



Barbara Delinsky



Punkt zwrotny

Rozdział pierwszy

Paige Pfeiffer biegła na czele w tempie, jakiego inna, mniej odważna trzydziestodwuletnia, nie odważyłaby się narzucić, ale wygrywając wyścig chciała coś udowodnić i przy okazji wygrać zakład. Stawką był obiad w restauracji Berniego Bearnaise - najmodniejszym lokalu w całym Vermont, a chodziło o to, że jeśli kobieta w wieku Paige pracuje nad kondycją, może z łatwością prześcignąć nastolatkę w kiepskiej formie. Najbardziej zależało jej na opinii dziewcząt ze szkoły w Mount Court, które już od pięciu lat trenowała w biegach przełajowych.

Ten wyścig stał się już tradycją, choć łatwo było przewidzieć jego przebieg i rezultat. Na pierwszym odcinku pięciokilometrowej trasy dziewczęta zagrzewały się jeszcze buńczucznie do walki, ale na drugim kilometrze cichły powoli. Droga wiodła tutaj przez las i teren stawał się coraz trudniejszy, wymagający większego wysiłku od nastoletnich ciał, do niedawna jeszcze pływających się w wakacyjnych luksusach, na jakie mogą sobie pozwolić wyłącznie najbogatsi. Tylko nielicznym udawało się dobiec do mety. Wiele dziewcząt odpadało, nie ukończywszy biegu. Jedynie prawdziwe gwiazdy drużyny potrafiły nadążyć za Paige.

W tym roku na starcie stanęło sześć takich gwiazd. Pięć dziewcząt brało udział w wyścigu w latach poprzednich, ta szósta była nową uczennicą Mount Court.

- No i jak? - zagadnęła Paige, a w odpowiedzi usłyszała tylko jęki i narzekania. - Rozchmurzcie się! - zawołała z uśmiechem, w pełni zdając sobie sprawę ze swojej złośliwości.

Bez trudności wysforowała się naprzód. Podążyły za nią jedynie trzy zawodniczki. Kilka minut później, kiedy znów zwiększyła tempo, tylko jedna, ta szósta, zdołała dotrzymać jej kroku. Nazywała się Sara Dickinson i poza tym Paige prawie nic o niej wiedziała, gdyż dziewczyna mówiła o sobie niewiele. Paige nie podejrzewała jej o tak świetną kondycję, ale była podwójnie zaskoczona, kiedy Sara zwiększyła szybkość i wyszła na prowadzenie.

Musiała się bardzo starać, żeby za nią nadążyć. Wbiegały teraz pod łuk z kutego żelaza, który wyznaczał wejście do szkoły, i trenerka zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie minął już szczyt jej świetności. Ta myśl, choć tak przykra, dodała jej sił i Paige zrównała się z dziewczyną. Biegły ramię w ramię długą aleją utworzoną z wysokich dębów. Był wrzesień i ich liście przybrały charakterystyczną ciemnozieloną barwę. Nie wypadając z tempa, skręciły na zakurzoną ścieżkę wiodącą na szkolne boisko.

- Dobra jesteś - sapnęła Paige, zerkając na swoją rywalkę.

Sara była wysoka jak na swój wiek, gibka, i biegła swobodnym, sprężystym krokiem.

Miała skupioną minę, która nadawała jej twarzy surowy wyraz.

Paige obserwowała ją ukradkiem i zauważyła nagle, że nowa już nie koncentruje się na biegu. Wyraźnie czymś zaintrygowana, ruszyła zdecydowanie w stronę krzewów porastających pobocze. Jej koleżanki podążyły za nią w tym samym kierunku, a Paige została sama na ścieżce.

Zatoczyła więc szeroki łuk, zwolniła kroku i zawróciła. Mniej lub bardziej zdyszane dziewczyny otoczyły Sarę, która przyklekła pod rozłożystym cisem, a Paige dostrzegła wreszcie, co skryło się pod jego najniższą gałęzią.

- Jakie maleństwo!
- Czyje to?
- Skąd się tu wzięło?

Paige zapomniała o wyścigu, ukłękła i wzięła na ręce rudo-szare kociątko, które miauczało żałośnie.

- Jakim cudem je zauważyłaś? - zwróciła się do Sary.
 - Zobaczyłam, że coś się rusza.
- Teraz dziewczyny mówiły jedna przez drugą.
- Nie może tutaj zostać. W Mount Court są tylko psy.
 - Ktoś je pewnie tutaj przemycił.
 - A potem porzucił.
 - Chudzina! Na pewno jest zagłodzone.

Paige przyznawała im w duchu rację i właśnie zaczęła się zastanawiać, co zrobić w tej sprawie, kiedy nagle dostrzegła, że wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

- Nie możemy go tak zostawić.
- Umrze. Jest taki maleńki.
- To byłoby nieludzkie.
- Będzie pani musiała zabrać tego kotka, pani doktor.

Paige wyobraziła sobie zwierzę w swoim zagrożonym domu.

- Nie mam miejsca. A poza tym jestem strasznie zajęta.
- Z kotami nie ma kłopotów. Same się sobą zajmują.
- A więc wy go weźcie - zaproponowała Paige.
- Nie możemy.
- To wbrew przepisom.

Paige trenowała drużynę Mount Court wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że łamanie przepisów jest tam na porządku dziennym, i choć nie popierała takiego postępowania, ta ostatnia uwaga bardzo ją rozśmieszyła.

- Wbrew przepisom? Macie jeszcze jakieś inne rewelacje?

- Mamy. Nowego dyrektora.

- Dupek.

- Ważniak!

- Wylał dwóch chłopaków na samym początku roku.

- Za co? - spytała Paige. Musiała przymknąć oko na ich słownictwo, jeśli chciała się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Palili trawkę.

- Nawet nie dał im ostrzeżenia.

- Zgred!

- Uziemił nas!

- Precz z Noahem!

- To więzienie, a nie internat.

Paige jeszcze nie miała okazji poznać nowego dyrektora szkoły, ale właśnie zaczęła wyobrażać go sobie jako rogate zwierzę, kiedy dziewczęta ponowiły prośbę.

- Niech pani weźmie tego kotka.

- Nie może pani skazywać go na śmierć.

- Zagryzie panią sumienie!

Paige pogłaskała maleńkie stworzonko wielkości pięści, tak wychudzone, że pod futerkiem łatwo wyczuwało się kości. Kotek zadrzał.

- To demagogia. Chcecie mnie zrobić.

- Dla dobra sprawy - powiedziała jedna z dziewcząt.

Paige skarciła ją wzrokiem. To ona zwykle mówiła dziewczętom, że powinny zrobić jeszcze jedno okrażenie „dla dobra sprawy”.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć - zaprotestowała.

Ta uwaga okazała się zgubna w skutkach, jeśli Paige rzeczywiście chciała się wymigać od odpowiedzialności. Dziewczęta natychmiast zalały ją potokiem słów, tłumacząc jedna przez drugą, co kotek ma jeść, gdzie spać i jak nauczyć go czystości. Dziesięć minut później Paige siedziała już w samochodzie, a na siedzeniu pasażera stało kartonowe pudło z kotkiem w środ-

ku.

- Znajdę mu nowych opiekunów - zawołała przez okno i odjechała do miasta z mocnym postanowieniem, że natychmiast zacznie ich szukać. Zatrzymała się przy komisariacie z zamiarem powierzenia kotka inspektorowi do spraw zwierząt, ale tego dnia nie było go w pracy. Zostawiła więc dla niego wiadomość i pojechała do domu towarowego, ponieważ jego właściciele mieli koty. A nawet całe stado. Sądziła, że jeszcze jeden więcej, a w dodatku taki maleńki, nie zrobi im większej różnicy.

- Niestety. - Hollis Weebly smutno pokręcił głową. - właśnie musieliśmy uśpić jednego z naszych. Chorował na kocią białaczkę. Inne na pewno też są zarażone. Temu również to grozi, jeśli go wezmę. Musi pani sama się nim zaopiekować. Przecież jest pani lekarzem. Da pani sobie świetnie radę.

Paige chodziła za nim między ladami z towarem, usiłując wyjaśnić swoją sytuację, ale powoli traciła nadzieję. Ogarnęła ją rozpacz.

- Jestem pediatrą. Nie mam pojęcia o kotach.

- Ale zna pani weterynarza, on na pewno wie o nich dużo. Niech pani pójdzie do niego jutro z samego rana i wszystkiego się pani dowie. Proszę. - Podał jej dużą, papierową torbę. - To na razie wystarczy. - Odprowadził ją do drzwi. - Trzeba go nakarmić i podać mu świeżą wodę. Powinien spać w jakimś ciepłym miejscu.

- Ale ja nie mogę go zatrzymać.

- Jestem pewien, że panią pokocha. Wszyscy panią kochają.

Paige znalazła się z powrotem w samochodzie, razem z kotem i przeznaczonym dla niego zapasem żywności, a Hollis wrócił do sklepu.

- Wspaniale - powiedziała do kotka, który zwinął się w kącie kartonowego pudła i zasnął.

- Nie znam się na zwierzętach, ale nikt mnie nie słucha.

Paige знаła się za to na ludziach. Cały dzień krążyła między szpitalem, gabinetem i szkołą, przeprowadzała setki rozmów, nawiązywała najróżniejsze znajomości, odbywała wiele spotkań. Było jej z tym dobrze. Prowadziła ustabilizowany tryb życia.

To Mara powinna wziąć kotka. Ona jest po prostu do tego stworzona. Zawsze pomaga pokrzywdzonym i ma złote serce. A teraz, kiedy straciła swoją wychowankę i czeka na dziewczynkę z Indii, która ma przyjechać dopiero za parę miesięcy, na pewno potrzebuje jakiegoś zajęcia.

Po powrocie do domu zatelefonowała natychmiast do swojej współpracownicy i przyjaciółki w

jednej osobie, ale nikt nie podniósł słuchawki. Wniosła więc pudło z kotkiem do mieszkania i wróciła do samochodu po torbę z żywnością. Właśnie kończyła przygotowywać jedzenie, kiedy kotek obudził się i zamiauczał żałośnie. Gdy postawiła go przed miseczką, natychmiast zaczął łapczywie jeść.

Paige usiadła, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Sądziła, że dopiero niedawno przyszedł na świat i być może powinien pić mleko. Niemowlaki piją przecież mleko; nawet jeśli nie mogą być karmione piersią, odżywiają się specjalnymi mieszankami. Można zaradzić sytuacji nawet w przypadku uczuleń na laktozę. Paige wiedziała dokładnie, jak postępować z dziećmi. Kocie niemowlę stanowiło jednak dla niej prawdziwą zagadkę.

Kotek jadł z apetytem. Paige podłożyła ściólkę do starego, plastikowego pojemnika. Ustawiła go nie opodal miski z jedzeniem i miała właśnie zamiar posadzić tam kotka, tak jak radziły dziewczęta, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwonili z centrali z wezwaniem do nagłego wypadku. Pięcioletni chłopiec grał na podwórku w baseball i za wcześnie wyszedł na stanowisko, w efekcie czego inny gracz trafił go kijem w łuk brwiowy. Na szczęście dla poszkodowanego kij był plastikowy.

Paige obiecała, że w ciągu dwudziestu minut przyjedzie do izby przyjęć szpitala Tucker General, żeby obejrzeć chłopca i porozmawiać z jego ojcem. Mogła więc wziąć jeszcze prysznic przed wyjściem z domu.

Dziecko nie doznało wprawdzie wstrząsu, ale rana była głęboka i bez odpowiednich szwów mogła pozostawić brzydką bliznę. Na razie jednak trzeba było przezwyciężyć naturalny lęk chłopca przed szpitalem. Paige wytłumaczyła mu delikatnie, co zamierza zrobić, ale nie poprawiło to sytuacji. Nie pomógł ani środek znieczulający, ani jej kojące słowa. Kiedy jednak lekarstwo zaczęło działać, zszycie rany okazało się bardzo łatwe. Paige nagrodziła męstwo chłopca prażoną kukurydzą i całusem, po czym odprowadziła dziecko i ojca do samochodu.

Ledwo zdążyła wrócić do szpitala, kiedy zadzwonił pager. Jej nowa pacjentka, dziewięciomiesięczna dziewczynka - gorączkująca przez cały prawie dzień - obudziła się nagle z krzykiem i jeszcze wyższą temperaturą. Rodzice szaleli z niepokoju. Paige, bardziej w trosce o nich niż o dziecko, kazała im przywieźć córkę.

- Nie chce pani przypadkiem kotka? - zapytała rejestratorkę, która natychmiast potrząsnęła przecząco głową. - A może zna pani kogoś takiego? Mam w domu kociątko i szukam dla niego opiekuna - dodała, widząc jej zdziwioną minę.

Ponownie zatelefonowała do Mary. Niestety bez rezultatu.

Dziecko miało zapalenie ucha. Paige wytłumaczyła rodzicom, w jaki sposób można szybko obniżyć temperaturę, zaopatrzyła ich w odpowiednią dawkę antybiotyku, która miała im wystarczyć do rana, zapewniła, że wszystko będzie dobrze, po czym odprowadziła całą trójkę na parking. W tej samej chwili zatrzymała się tam z piskiem opon karetka pogotowia.

Następne godziny spędzone w szpitalu pomogły jej zrozumieć, dlaczego zdecydowała się na pracę w Tucker w stanie Vermont, a nie na przykład w Bostonie, Chicago czy w Nowym Jorku. W Tucker mogła prowadzić praktykę jako lekarz ogólny, co było zgodne z nowoczesnymi tendencjami w medycynie. Paige specjalizowała się wprawdzie w pediatrii, ale rzeczywistość wymagała od niej stałej gotowości do niesienia pomocy w nagłych przypadkach. Tym razem musiała się zająć ofiarami karambolu i choć w szpitalu nie brakowało lekarzy, ona również mogła się na coś przydać. Zszywała więc rany, zestawiała kości i prowadziła obserwację kobiety w ósmym miesiącu ciąży. Gdyby zaczęły się bóle, Paige musiałaby odebrać poród, co było tak samo wdzięcznym zajęciem, jak skuteczne leczenie chorych dzieci, czyli jej główna specjalność. Czasem przeżywała frustracje. Zdarzało się jej przyjmować małych pacjentów będących w stanie wymagającym natychmiastowej konsultacji specjalisty. W takich przypadkach rokowania bywały nie najlepsze. Na szczęście nie przytrafiało się jej to często i na ogół zajmowała się narodzinami, rozwojem i leczeniem dzieci.

Wróciła do domu o pierwszej w nocy, zmęczona, ale zadowolona. Zapewne udałoby się jej przemknąć szybko przez ciemne pokoje i natychmiast trafić do łóżka, gdyby nie potknęła się w kuchni o kartonowe pudło. Natychmiast przypomniała sobie o kociątku. Ono najwyraźniej również sobie o niej przypomniało, gwałtownie obudzone hałasem, jakiego narobiła padając, i Paige usłyszała nagle miauczenie dochodzące gdzieś z głębi domu. Idąc za głosem kotka, minęła salon i mały korytarzyk prowadzący do sypialni. Małeńka puchata kuleczka wymościła sobie gniazdko wśród kolorowych poduszek na łóżku. Wzięła kotka na ręce.

- Co tu robisz, dzieciaku? Miałeś mieszkać w kuchni.

Kotek zaczął mruścić z zadowoleniem. Paige pogładziła go po puszystej główce. Ci-chutkie mruczenie działało na nią usypiająco, więc opadła na narożną kanapę i wtuliła się w leżące na niej poduszki. Podwinęła pod siebie nogi, które musiały ją nosić przez ostatnie osiemnaście godzin, i miała ochotę mruścić z zadowolenia razem z kotkiem.

- Dobrze ci, prawda? - zapytała i odczuła coś na kształt przyjemności. Wiedziała, że nie może zatrzymać zwierzęcia na stałe, ale teraz wcale nie było jej z nim źle.

Pomyślała, że powinna jeszcze raz zatelefonować do Mary, która rzadko chodziła spać

przed drugą w nocy i zwykle spała krótko. Była typem myślicielki, a także działaczki, więc zawsze miała jakiś problem do rozważenia. Tym razem zapewne całą uwagę skupiła na Tanyi John, którą się ostatnio opiekowała. Ucieczka dziewczyny wprawiała Marę w ogromne przygnębienie.

Z drugiej strony, właśnie dlatego Paige nie chciała do niej dzwonić. Mara była ostatnio bardzo zmęczona, więc istniał cień szansy, że wyjątkowo położyła się wcześniej.

Kotek zwinął się w kłębek, wtulił nosek w tylną łapkę i przymknął oczy. Paige zaniósła go do kuchni i ostrożnie ułożyła w pudełku, ale kiedy szła z powrotem do pokoju, malec szybko przemknął obok niej. Znalazła go na łóżku w sypialni. Nie miała siły, żeby zaprotestować, więc zdjęła ubranie i położyła się. Zasnęła natychmiast jak kamień i dopiero następnego ranka obudził ją ostry dzwonek telefonu.

Dzwoniła Ginny, rejestratorka. Zameldowała, że choć jest już wpół do dziewiątej, Mara nie przyszła jeszcze do gabinetu. Nie odpowiada na telefon ani na pager.

Paige zaniepokoiła się. Postawiła aparat na łóżku i wystukała numer przyjaciółki z takim samym skutkiem jak poprzedniego wieczoru. Mara nie wyjechałaby nigdzie bez uprzedzenia, wiedząc, że ma umówionych pacjentów. Najprawdopodobniej wybrała się wieczorem na przejażdżkę - zawsze tak robiła, kiedy była przygnębiona - poczuła, że jest zmęczona, stanęła na poboczu i przysnęła w samochodzie.

Wdzięczna losowi za to, że mieszka w małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają, Paige zatelefonowała na komisariat. Zreferowała sprawę zastępcy komendanta, który przyrzekł natychmiast, że poszuka samochodu Mary przy szosie i pojedzie do niej do domu. Ucieszył się, że ma zajęcie. W Tucker właściwie nigdy nic się nie działo. Od czasu do czasu tylko zdarzał się jakiś wypadek samochodowy, więc jakikolwiek problem do rozwiązania był mile widziany.

Paige odstawiła telefon i poszła do łazienki. Wzięła krótki, gorący prysznic, po czym otworzyła drzwi od kabiny, żeby sięgnąć po ręcznik. W tej samej chwili wrzasnęła z przerażenia, bo coś poruszyło się nagle w zaparowanym wnętrzu i rzuciło w popłochu do ucieczki.

Paige odetchnęła z ulgą.

- Przestraszyłeś mnie, kotku. Już zdążyłam o tobie zapomnieć - mówiła, wycierając się. - Nie ma tu wiele do oglądania. Mam bardzo małe mieszkanie, wiesz?

Wyobraziła sobie nagle swoje nieduże mieszkanko pełne niedużych upominków od niedużego kotka, którego nie nauczyła korzystać z kuwety. Obawiając się najgorszego, wróciła do sypialni, włożyła czarny dres i białą koszulkę. Przejechała szczotką po opadających na ramiona,

falujących włosach, wzięła kociaka na ręce i zaniósła do kuchni, gdzie wsadziła go do kuwety, tak jak powinna to była zrobić poprzedniego wieczora.

- Dobrze. Teraz możesz załatwić swoje sprawy. - Dostrzegła wybrzuszenie w ściółce. -
Aaa, już je załatwiłeś. Dobry kotek.

Zauważyła, że z miseczki ubyło już sporo jedzenia, więc uzupełniła niedobory, wlała trochę świeżej wody do drugiego pojemnika, a potem szybko wypila kilka sążnistych łyków soku pomarańczowego i wstawiła szklankę do zlewu.

- Idę do lecznicy - poinformowała kociątko, które przyglądało się jej uważnie maleńkimi, okrągłymi oczkami. - No, nie patrz tak na mnie. Codziennie chodzę do pracy. Właśnie dlatego nie mogę trzymać w domu żadnego zwierzątka. - Przyklękła i pogłaskała kotka. - Jeżeli Mara cię nie weźmie, na pewno zrobi to ktoś inny. Znajdę ci dobrych opiekunów. Zakochają się w tobie na zabój.

Wyprostowała się i spojrzała na kotka, który wydał się jej taki maleńki i samotny, że aż coś ścisnęło ją za serce.

- Nie chcę mieć żadnych zwierząt - mruknęła i zmusiła się do wyjścia.

W przychodni czekał na nią tłum pacjentów. Przenosiła się z jednego gabinetu do drugiego. Ani na chwilę nie przerwała pracy i nie myślała o Marze, dopóki nie przyjęła wszystkich chorych. Wróciła w końcu do swego pokoju i stanęła oko w oko z szefem policji.

Coś się musiało stać. Od pierwszej chwili nie miała co do tego wątpliwości. Norman Fitch był postawnym, rumianym mężczyzną, ale teraz wyglądał tak, jakby otrzymał właśnie mocny cios w żołądek.

- Benzyna się skończyła, ale przedtem zrobiła swoje - wymamrotał. - Drzwi od garażu były szczelnie zamknięte.

Paige jeszcze nie rozumiała.

- Co takiego?

- Ona nie żyje.

Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie słów, których tak zawsze nienawidziła. Kiedy Paige zakochała się już bez pamięci w medycynie, postanowiła zająć się pediatrią właśnie dlatego, że w tej specjalizacji nie używano ich tak często jak w innych.

- Mara? Nie żyje? - Wydawało się jej to niemożliwe.

- Zabraliśmy ciało do kostnicy. Będzie pani musiała zidentyfikować zwłoki.

Ciało. Paige przycisnęła dłoń do ust. Mara nie była ciałem, tylko kobietą czynu, bojow-

niczka, działaczką o ogromnej sile przebicia. Obraz leżącego w kostnicy ciała nie pasował zupełnie do tej kobiety.

- Mara nie żyje?

- Koroner zrobi sekcję - powiedział Norman - ale nie odkryliśmy śladów przemocy.

Minęło trochę czasu, zanim Paige zrozumiała, co to znaczy. Milczała długo, nim odważyła się odezwać.

- W takim razie uważa pan, że ona... popełniła samobójstwo?

- Na to wygląda. Paige pokręciła głową.

- Niemożliwe. Samobójstwo jest absolutnie wykluczone. Musiało zdarzyć się coś innego.

Mara nie żyje? Nie, to jakaś pomyłka. Paige zerknęła na drzwi w nadziei, że kobieta, o której mowa, zaraz wejdzie do pokoju i zapyta Normana, po co tu przyszedł.

Ale Mara nie stanęła w drzwiach; nadal pozostawały zamknięte.

- Klasyczny sposób. Prosty jak drut i w dodatku bezbolesny - ciągnął Norman.

- Ale Mara nie popełniłaby samobójstwa - upierała się Paige. - Przecież miała tylu pacjentów. A w dodatku oczekiwała dziecka.

- Była w ciąży? - spytał Norman.

Ta wiadomość wyraźnie go zaszokowała, choć przedtem bez skrępowania mówił o Marze jako o ciele. Paige poczuła, jak zalewa ją fala gniewu i przybrała ostrzejszy ton.

- Miała zamiar adoptować dziewczynkę. Hinduskę. Formalności przeciągały się w nieskończoność, ale wreszcie udało jej się wszystko załatwić. Mara niedawno mi o tym opowiadała. Mówiła, że władze hinduskie wyraziły zgodę. Spodziewała się małej dopiero za miesiąc, ale już przygotowała pokój, kupiła meble, ubranka, wszystko, co niezbędne dla dziecka, nawet zabawki. Nie mogła się już doczekać.

- Dlaczego dopiero za miesiąc?

- Biurokracja.

- Czy to ją przygnębiało?

- Nie, raczej irytowało.

- Nie popadła w depresję po ucieczce tej małej John?

- Może, ale nie do tego stopnia, żeby... Powiedziałyby mi przecież. Byłam jej najlepszą przyjaciółką.

Norman skinął głową i wstał.

- Może wołałaby pani, żeby ktoś inny zidentyfikował ciało?

Ciało. Znowu ta sama wizja, w której zabrakło miejsca na duszę i umysł. Antyteza prawdziwej Mary. Paige nie mogła sobie tego wyobrazić.

- Doktor Pfeiffer?

- Nie trzeba - wykrztusiła. - Sama to zrobię. - Zmusiła się do myślenia. - Ale ktoś powinien mnie tutaj zastąpić.

Zatelefonowała do Angie, nie wspominając jednak o podejrzeniach Normana. Wypowiedziane głośno słowa nabierały cech większego prawdopodobieństwa. Z podobnej przyczyny Paige zdecydowała się pojechać do kostnicy własnym samochodem. Uważała, że jeśli będzie postępować zupełnie zwyczajnie, nie pozwoli zrobić z siebie idiotki, bo przecież zaraz się okaże, że to był tylko kiepski kawał.

Prowadziła ze sobą tę grę aż do momentu, kiedy znalazła się w kostnicy. Marę znali wszyscy. W tym Norman, jego zastępca i koroner. Identyfikacja zwłok stanowiła jedynie formalność.

Śmierć była cicha i nieruchoma. Nadała różanej zwykle cerze Mary niebieski odcień. Budziła przerażenie, smutek, poczucie poniesionej straty. Okazała się również dziwnie i nieoczekiwanie spokojna.

Paige pamiętała tę Marę, z którą dzieliła pokój w koledżu, Marę, z którą jeździła na nartach w Kanadzie, tę, która piekła jej torty na urodziny, robiła swetry na drutach i razem z nią prowadziła prywatną praktykę w Tucker. Marę, która tyle razy namówiła ją, żeby wzięła udział w akcji wspierającej jakiś szlachetny cel.

- Och, Maro - szepnęła, czując, że coś w niej pękło. - Co się stało?

- Niczego pani nie zauważyła? - spytał koroner. - Żadnej huśtawki nastrojów?

Paige powoli przychodziła do siebie.

- Nie zaobserwowałam niczego, co mogłoby sugerować, że Mara chce się zabić. Była po prostu zmęczona. Poza tym martwiła się z powodu Tanyi John. W czasie naszej ostatniej rozmowy...

- Kiedy to było?

- Wczoraj rano w gabinecie. Wściekała się, bo ktoś pomieszał próbki.

Wśród preparatów była krew pobrana od czteroletniego Toddiego Fiska, jednego z ulubieńców Mary. Ale Paige też by się zdenerwowała. Nie lubiła pobierać dzieciom krwi, a teraz należało ponowić zabieg.

Nie wiedziała, jak ma powiedzieć Toddemu i jego rodzicom, że Mara nie żyje. Nie wie-

działa, jak komukolwiek o tym powiedzieć.

- Och, Maro - szepnęła znów Paige.

Chciała się znaleźć gdzieś daleko od tego okropnego miejsca, ale trudno jej było wyjść. To niesprawiedliwe, że Mara musiała tu zostać, choć miała jeszcze tyle do zrobienia.

Rodzice Mary mieszkali w Eugene w stanie Oregon Paige zadzwoniła do nich. Wiadomość o śmierci córki przyjęli milczeniem, które w żaden sposób nie zdradzało ich uczuć. Mara nie utrzymywała z nimi kontaktu już od wielu lat. O'Neillowie poprosili, by Mara została pochowana w Tucker. Ich decyzja nie zdziwiła Paige, choć bardzo ją zasmuciła.

- Chciała mieszkać w Tucker - stwierdził krótko Thomas O'Neill. - I mieszkała tam dłużej niż gdziekolwiek indziej.

- Czy mają państwo jakieś życzenia co do pogrzebu? - spytała Paige.

Wiedziała, że O'Neillowie są bardzo pobożni i choć Mara nie była specjalnie religijna, Paige chciała uszanować sugestie jej rodziców, szczególnie że mogłyby one stanowić przejaw jakichkolwiek uczuć.

Ale oni o nic nie prosili.

- Pani będzie wiedziała najlepiej, jak postąpić. Znała ją pani lepiej niż my.

- Przyjadą państwo na pogrzeb? - spytała i wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

Nastała cisza. Paige poczuła tak ogromny ból, jakby to ona sama była Marą.

- Tak - odparli w końcu niechętnie.

Angie milczała długo, osłupiała z wrażenia.

- Co takiego? - wykrztusiła w końcu.

Paige powtórzyła wszystko jeszcze raz, nie bardzo wierząc w swoje własne słowa. Mara O'Neill była pełna życia i energii. Stanowiła niemal zaprzeczenie śmierci.

Angie błagała ją wzrokiem, żeby cofnęła to, co powiedziała, i choć Paige niczego by bardziej nie pragnęła, nie mogła zaprzeczać faktom.

- Boże - szepnęła Angie po chwili milczenia, które wyrażało jedynie bezradność i cierpienie. - Nie żyje?

Paige westchnęła. To ona je ze sobą poznała. Zaprzyjaźniły się tak bardzo, że Mara odwiedzała Angie niemal w każdy weekend. Czasem wpadała do niej w niedzielę na drugie śniadanie, innym razem przychodziła po południu i dyskutowała z Benem o polityce albo przynosiła Dougemu lody z czekoladą.

Dougie. Paige poczuła, jak zalewa ją fala czułości. Angie zawsze usiłowała trzymać syna

z daleka od ciemnych stron życia, ale teraz jej się to nie uda. Śmierć jest bezwzględna. Nie stosuje półśrodków, nie odracza wyroków.

Angie najwyraźniej czytała w jej myślach.

- Dougie będzie kompletnie zdruzgotany. Uwielbiał Marę. Jeszcze w zeszłą niedzielę był z nią na wycieczce w górach.

Nie mogła dojść do siebie przez dłuższą chwilę, choć zwykle trudno ją było wyprowadzić z równowagi. Wreszcie zdołała jakoś uporządkować myśli i spytała o okoliczności śmierci Mary. Paige powiedziała jej wszystko, co sama wiedziała na ten temat. Nie wpłynęło to pozytywnie na stan ducha Angie.

- Dlaczego zawsze, gdy znajdują kogoś w samochodzie z włączonym silnikiem, a drzwi od garażu są szczelnie zamknięte, podejrzewają samobójstwo? - pytała. - Ale samobójstwo nie pasuje do Mary jeszcze bardziej niż to, że w ogóle umarła. Przecież mógł zdarzyć się wypadek. Mara była zmęczona. Może przysnęła, nie zdając sobie sprawy, że silnik wciąż pracuje. Samobójstwo? Tak bez uprzedzenia, bez żadnego wołania o pomoc? Nawet nie wspomniała, że jest bliska załamania.

Paige również uważała, że ta koncepcja jest absurdalna. Cieszyła się opinią osoby spostrzegawczej, ale nie zauważyła niczego, co mogłoby sugerować, że Mara przeżywa jakiś kryzys.

- A co z jej pacjentami? - ciągnęła Angie. - Trzeba im powiedzieć. Usłyszą plotki i zatelefonują do nas z prośbą o wyjaśnienie. Mamy obarczyć tym Ginny?

Ginny była dobrą rejestratorką, ale trudno porównywać prowadzenie książki wizyt z pocieszaniem zasmuconych ludzi. Na szczęście Paige nie musiała niczego tłumaczyć, bo Angie już kręciła głową.

- Powinnyśmy same z nimi porozmawiać. Mara była ich idolem. Potrzebują naszej pomocy, im nie będzie łatwo pogodzić się z jej śmiercią... Z jej śmiercią. Boże, jakie to okropne.

Paige opierała się o krawędź biurka Angie. Wreszcie dzieliła swój ból z kimś, kto w dodatku mógł pomóc jej w podejmowaniu decyzji. Po raz pierwszy od porannej wizyty Normana mogła pozwolić sobie na słabość. Czuła, że coś ją dławi w gardle - śmierć Mary stała się faktem.

Angie przytuliła ją mocno.

- Tak mi przykro, Paige - powiedziała łagodnie. - Byłaś z nią bliżej niż ja. - Odsunęła się. - Rozmawiałaś już z Peterem?

Paige pokręciła przecząco głową.

- On jest następny na liście - wyjąkała. - Będzie tak samo oszołomiony jak my. Zawsze uważał, że Mara jest twarda jak skała - prychnęła. - Ja zresztą też. Nigdy w życiu bym nie przypuszczała, że ona może... może... - Nie była w stanie dokończyć.

Angie znów ją objęła.

- To jeszcze nic pewnego.

- Nie znaleźli śladów napadu. Co w takim razie się wydarzyło?

- Nie wiem. Będziemy musiały poczekać.

Te słowa nawiązywały do przyszłości. Paige poczuła nagły ucisk w sercu.

- Jak będziemy pracować bez Mary? Tworzyliśmy świetny kwartet. Każde z nas jest inne, ale stanowimy doskonałą całość. Koncepcja spółki sprawdziła się.

Paige była wspólnym mianownikiem zespołu. Znała Marę z koledżu, a z Angie pracowała przez rok w Chicago. Potem Angie zrezygnowała na jakiś czas z pracy i urodziła syna. Paige nawiązała współpracę z Peterem, rodowitym mieszkańcem Tucker. Kiedy zaczęli razem prowadzić prywatną praktykę i odnosić pierwsze sukcesy, Angie mogła już wrócić do zawodu. Wydzierżawili małą lecznicę, a ponieważ żadnemu z czterech pediatrów nie zależało na wielkich pieniądzach, udało im się dzielić swój czas, wysiłki i umiejętności tak, że świadczyli swoim pacjentom usługi wysokiej jakości, nie zaharowując się przy tym na śmierć. Pragmatyzm Angie stworzył wspaniałe tło dla niespożytej energii Mary. Paige miała natomiast głowę do interesów i stanowiło to doskonałą przeciwwagę dla małomiasteczkowości Petera. Uzupełniali się zatem świetnie i przyjaźnili.

- Mara była dobrym lekarzem - powiedziała Angie z uznaniem. - Kochała dzieci i one ją kochały, bo wiedziały, że zawsze trzyma ich stronę. Trudno ją będzie zastąpić.

Paige przytaknęła tylko w odpowiedzi. Świadomość poniesionej straty była nie do zniesienia.

- Masz zamiar zająć się pogrzebem? - spytała Angie. Paige skinęła głową.

- Tak, ale będzie mi ciężko.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Muszę sama o wszystko zadbać. Choć tyle była winna Marze.

- W tym dniu nie będziemy pracować - zdecydowała Angie. - Ginny pozmienia terminy wizyt, kiedy już ustalisz datę pogrzebu. Do tego czasu postaram się przyjąć jak najwięcej pacjentów Mary. Peter mi pomoże. Chcesz, żebym do niego zadzwoniła?

- Nie, sama mu powiem. - W końcu to ona, Paige, dyrygowała tą orkiestrą. Trudno jej było uwierzyć, że zabrakło w niej koncertmistrza.

Obudziła Petera z głębokiego snu. Nie był szczególnie zachwycony jej telefonem.

- Mam nadzieję, że masz dobre wiadomości, Paige. Zaczynam pracę dopiero o pierwszej.

- Nie są dobre - odparła. Była zbyt zdenerwowana, żeby próbować jakoś złagodzić cios. - Mara nie żyje.

- Niech to jasny szlag. Ja też nie żyłem. Położyłem się dopiero o drugiej.

- Nie żyje. Właśnie wróciłam z kostnicy. Nastąpiła cisza.

- Co ty opowiadasz? - spytał ostrożnie.

- Znaleźli ją w samochodzie. W garażu - dodała. Znowu opowiadała tę samą historię, która za każdym razem wydawała się jej coraz bardziej surrealistyczna. - Podejrzewają zatrucie tlenkiem węgla.

Tym razem cisza trwała o wiele dłużej.

- Zabiła się? - zapytał w końcu ze zdumieniem. Paige usłyszała, że Peter niecierpliwie kogoś ucisza.

Odczekała chwilę.

- Nie wiedzą, co się stało. Być może sekcją pomoże ustalić fakty. Na razie jednak jesteś nam potrzebny tutaj. Ja organizuję pogrzeb, a Angie...

- Zostawiła list? - przerwał jej szorstko.

- Nie, nie było żadnego listu. Angie już przyjmuje. Musimy zawiadomić pacjentów Mary.

- Żadnego listu?

- Norman nic na ten temat nie mówił, a jestem pewna, że szukali.

- Więc prowadzą śledztwo? - spytał trochę głośniej.

- Przecież ją znaleźli - odparła zdziwiona jego reakcją. - Co w tym złego?

- Nie, nic. - Zniżył głos. - Tylko że aż mróz mnie przeszedł po kościach.

- Bo stało się coś bardzo złego. I nie dlatego, że sprawą zajęła się policja. Jeśli my jesteśmy tak przybici, pomyśl, jak się poczują pacjenci. Mara była bardzo zaangażowana w ich sprawy.

- Nawet za bardzo. Wielokrotnie z nią o tym dyskutowałem.

Tak jakby nie wiedziała! Peter i Mara zawsze przekomarzali się ze sobą na zebraniach, ale teraz Paige musiała zastąpić przyjaciółkę i bronić jej racji.

- Mara miała dobre serce i ogromne poczucie obowiązku. A ludzie ją uwielbiali.
- Najprawdopodobniej załamała się z powodu Tanyi John. Popadła w depresję.
- W medycznym czy potocznym znaczeniu tego słowa? Sądzisz, że była aż tak załamana, żeby odebrać sobie życie? - Paige nadal nie wierzyła. - Przecież cieszyła się bardzo na przyjazd dziecka. Miała na co czekać.

Paige zamierzała poinformować agencję adopcyjną o śmierci Mary, ale doszła do wniosku, że może to zrobić po pogrzebie.

- Może coś nie wyszło?

- Nie. Przecież by mi powiedziała. A nie wspomniała słowem na ten temat.

W każdym razie na pewno nie poprzedniego dnia rano. Później nie widziała już Mary żywej.

- Kiedy z nią ostatnio rozmawiałeś? - spytała.

- Wczoraj po południu, około wpół do piątej. Kończyliśmy przyjęcia. Prosiła mnie, żebym ją zastąpił, bo chciała wcześniej wyjść.

- Powiedziała, dokąd się wybiera?

- Nie.

- Była zdenerwowana?

- Raczej rozkojarzona. Nawet zupełnie rozkojarzona, tak mi się przynajmniej teraz wydaje. Miła odmiana. Zawsze parła do przodu jak taran.

Paige uśmiechnęła się mimo woli. Peter miał rację. Mara nieustannie o coś walczyła. Występowała w imieniu ludzi, którzy sami nie potrafili się bronić. A teraz ich adwokat zamilkł tak niespodziewanie.

Paige pochyliła głowę.

- Muszę załatwić parę spraw. O której możesz tu przyjechać?

- Daj mi godzinę.

Odsunęła włosy z twarzy i podniosła głowę.

- Za długo. Angie potrzebuje pomocy, a ty mieszkasz bardzo blisko. Wiem, że ci przeszkodziłam... - głos w tle należał niewątpliwie do kobiety, najprawdopodobniej do Lacey, ostatniej kochanki Petera - ...ale naprawdę potrzebujemy pomocy. Nasz zespół odnosił sukcesy, bo wszyscy poważnie podchodzimy do pracy. Pacjenci na nas liczą. Musimy starać się złagodzić cios, jakim będzie dla nich wiadomość o śmierci Mary. Jesteśmy im winni choć tyle.

- Postaram się przyjechać jak najszybciej - warknął i odłożył słuchawkę, nie słuchając

kolejnych argumentów Paige.

Rozdział drugi

Paige zaplanowała pogrzeb na piątek, dwa dni po znalezieniu ciała Mary. Wydawało się jej, że w tym czasie O'Neillowie zdążą dojechać do Tucker, a ona sama pogodzi się ze śmiercią przyjaciółki. Ale nadal nie mogła przyjąć do wiadomości faktów. Czuła się winna i miała wrażenie, że organizując pogrzeb sama wpędza Marę do grobu. Ponadto nadal nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak waleczna i odważna kobieta odebrała sobie życie.

Nie dawała jej spokoju myśl, że Mara podjęła tę straszną decyzję pod wpływem nagłego impulsu. Przeżyła wielki zawód z powodu dezercji Tanyi, ale doznawała też wielu innych rozczarowań i być może zgromadziło się ich w końcu tak wiele, że na krótką chwilę straciła zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

Paige nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo Mara musiała cierpieć, jeśli rzeczywiście zdecydowała się zabić. Wyrzucała sobie, że mogła zapobiec nieszczęściu, gdyby okazała przyjaciółce więcej zrozumienia i uwagi.

Miała wrażenie, że wszyscy, którzy przychodzili do jej gabinetu, czują to samo. Pytali, czy ktokolwiek przewidywał tragedię. Paige zdawała sobie sprawę, że w tych pytaniach zawierają obawy o stan psychiczny własnych dzieci, małżonków i przyjaciół, a poczucie winy nie dawało jej spokoju nawet na chwilę.

Raport koronera nie ukoił jej wyrzutów sumienia.

- Nałykała się valium - relacjonowała później, nie bardzo wierząc w to, co mówi.
- Przedawkowała? - spytał Peter.

Paige chciała użyć tego samego określenia, ale nie oddawało ono sensu wypowiedzi lekarza sądowego.

- On twierdzi, że bezpośrednią przyczyną śmierci było zatrucie tlenkiem węgla, ale Mara zażyła taką ilość valium, że nie była w stanie normalnie rozumować.

- To znaczy, że nigdy się nie dowiemy, czy zasnęła w samochodzie i poniosła śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku, czy też rozmyślnie odebrała sobie życie - podsumowała Angie z właściwą sobie zdolnością do precyzyjnego formułowania myśli i docierania do sedna zagadnienia.

- Nawet nie wiedziałam, że zażywa takie świństwo. A podobno byłam jej najlepszą przy-

jaciółką - powiedziała Paige drżącym głosem.

- Żadne z nas nie wiedziało - odparła Angie. - Przecież ona była przeciwna takim środkom. W ogóle wypisywała najmniej recept z nas wszystkich. Trudno mi nawet zliczyć nasze dyskusje na ten temat.

Od dziesięciu lat, czyli od początku istnienia ich spółki, cała czwórka spotykała się co tydzień w gabinecie Paige i rozmawiała o nowych pacjentach, trudnych przypadkach, rozwoju badań w danej dziedzinie i różnych sprawach administracyjnych. Pokój Paige niczym się wprawdzie nie różnił od pozostałych - stały w nim takie same dębowe meble, a na fiolkoworóżowych ścianach wisiały identyczne grafiki - ale to właśnie ona powołała ich zespół do życia i była jego opoką. Pozostała trójka zawsze szukała oparcia właśnie u niej.

Mara go jednak nie znalazła i Paige czuła, że zawiodła zaufanie przyjaciółki. Valium. W dalszym ciągu nie mogła w to uwierzyć.

- Ludzie zażywają valium, kiedy są wyjątkowo zdenerwowani lub przygnębieni. Nie miałam pojęcia, że Mara jest w takim stanie. Zawsze podchodziła do wszystkiego bardzo emocjonalnie, ale to przecież zupełnie co innego. Kiedy ją ostatnio widziałam, wybierała się właśnie z awanturą do laboratorium, bo pomieszczeni analizy synka Fisków. - Usiłowała przypomnieć sobie szczegóły tego spotkania, ale wtedy nie zaobserwowała niczego niezwykłego. - Mogłam ją powstrzymać. Mogłam z nią porozmawiać, próbować choć trochę ją uspokoić, ale widziałam, że jest naprawdę bardzo zmęczona. - Szybko podniosła wzrok na przyjaciół. - Prawdopodobnie Valium tak na nią podziałało. Ale wtedy myślałam tylko, że Mara za dużo pracuje i za mało śpi. Nie chciałam jej jeszcze bardziej rozdrażnić. Tchórz ze mnie, co?

- Rozmawiałaś z nią wcześniej rano - pocieszała Angie. - Jeszcze wtedy wszystko było pewnie w pełnym porządku.

- A w ciągu kilku godzin nastąpił totalny krach, tak? - Paige potrząsnęła głową. - Jeśli łykała valium, na pewno już od jakiegoś czasu miała jakieś zmartwienie. Dlaczego nic nie zauważyłam? O czym myślałam?

- O swoich pacjentach - powiedział Peter. - I słusznie.

- Ale ona mnie potrzebowała.

- Ona zawsze czegoś potrzebowała. Jak nie czegoś, to kogoś - dodał. - W końcu nie byłaś jej stróżem.

- Ale bardzo się z nią przyjaźniłam. Ty zresztą też. - Paige przypomniała sobie, że Peter dosyć często spotykał się z Marą. Uprawiali razem narciarstwo biegowe, a poza tym oboje pa-

sjonowali się fotografowaniem. A teraz on reagował tak spokojnie. - Mówiłeś, że widziałeś się z nią po południu. Wspomniałeś też, że była rozkojarzona. Czy była również zmęczona?

- Wyglądała okropnie. Nie omieszkałem jej tego powiedzieć.

- Peter!

- Byliśmy w takich układach, że mogłem sobie pozwolić na szczerość, a poza tym Mara naprawdę wyglądała strasznie. Chyba nie chciało się jej nawet umalować. Ale nie przejęła się moją gadaniną. Wszystko ci przecież opowiadałem. Myślami była zupełnie gdzie indziej. Nie mam pojęcia gdzie.

- A pytałeś? - rzuciła Angie.

- Nie chciałem wtykać nosa w nie swoje sprawy - bronił się Peter. - Poza tym ona wyraźnie się spieszyła. A ty? Kiedy ty ją ostatnio widziałeś?

- W południe. - Angie spojrzała na Paige. - Zatrzymałam ją w korytarzu i spytałam o sprawę Barnes'a. Walczyła o odszkodowanie z towarzystwem ubezpieczeniowym i miała z tego powodu mnóstwo kłopotów. Jak się czuła? Chyba rzeczywiście była zmęczona, ale na pewno nie rozkojarzona. Doskonale wiedziała, o co ją pytam, i udzieliła mi rzeczowej odpowiedzi. Była tylko trochę mniej zaangażowana w to, co mówi. Tak, jakby kończyło się jej paliwo.

- Cóż za udane porównanie - wyłóżliwił się Peter.

Paige wyobraziła sobie garaż Mary, zwalczyła mdłości, jakie wywoływał w niej ten obraz, i zmusiła się do myślenia. Bardzo chciała odtworzyć ten ostatni dzień z życia przyjaciółki. Upatrywała w tym szansę na wyjaśnienie zagadki jej śmierci.

- Dobrze. Widzieliśmy się z nią zatem o różnych porach. Kiedy spotkałam ją rano - była zła, później w towarzystwie Angie - zmęczona, a Peter twierdzi, że po południu nie mogła się skupić. Czy któreś z was zauważyło objawy depresji?

- Ja nie - odparł Peter.

Angie długo zmagiła się z myślami, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Nie. To nie była depresja. Raczej ogromne znużenie. - Spojrzała smutno na Paige. - Kiedy skończyłyśmy rozmowę, Mara poszła do gabinetu, a ja nie próbowałam jej zatrzymać. Musiała przyjmować pacjentów. Tego popołudnia mieliśmy komplet.

Angie starała się zachować resztki zdrowego rozsądku. Paige zdawała sobie sprawę, że oni wszyscy próbują tej samej metody, żeby jakoś usprawiedliwić całkowity brak intuicji, i do pewnego stopnia mieli rację. Jeśli Mara zmarła wskutek nieszczęśliwego wypadku - mogli oczyścić swoje sumienie. Jeśli nie, sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Złośliwość losu polegała na tym, że nie mieli szans poznać prawdy.

Angie i Peter nadrabiali opóźnienie w gabinecie, a Paige dopracowywała szczegóły pogrzebu. Zastanawiała się długo nad każdym drobiazgiem, bo bardzo chciała, żeby wszystko odbyło się zgodnie z najskrytszymi życzeniami Mary. Jej determinacja nie wynikała wyłącznie z miłości i szacunku; Paige chciała w ten sposób okupić swoje winy.

Rozmawiała z księdzem na temat mowy pogrzebowej. Zamówiła chór. Zdecydowała się na zakup prostej trumny. Napisała obszerny nekrolog.

Wybrała również ubranie, w którym Mara miała zostać pochowana. W tym celu musiała przejrzeć rzeczy przyjaciółki i sprawiło jej to ogromny ból. Dom Mary był nią przepelniony. Paige odczuwała niemal jej fizyczną obecność i znów przestała wierzyć, że naprawdę odeszła. Złapała się na tym, że szuka wskazówek - listu pożegnalnego na kominku albo prośby o pomoc przymocowanej do tablicy w kuchni, błagania o ratunek nabazgranego na lustrze w łazience. Ale jedynie valium w apteczce i bałagan w mieszkaniu dowodziły, że Mara przeżywała trudne chwile. W domu panował straszny nieład. Gdyby Paige uległa paranoi, podejrzewałaby z pewnością, że ktoś splądrował mieszkanie. Ale w końcu prowadzenie domu nigdy nie było mocną stroną Mary ani jej ulubionym zajęciem. Paige posprzątała trochę w nadziei, że O'Neillowie będą chcieli obejrzeć dom.

Rodzina Mary przybyła we czwartek. Paige spotkała się z nimi zaledwie raz w życiu. Po-dróżowała wtedy razem z przyjaciółką i wylądowały tak niedaleko Eugene, że Mara musiała zajrzeć do domu, choć wynajdowała najróżniejsze powody, żeby tego nie zrobić. Mówiła, że jej rodzina jest niemiła. I małomiasteczkowa. Duża. Zawzięta. Nietolerancyjna.

Paige nie odniosła nawet w połowie tak złego wrażenia, choć oczywiście oceniała O'Neillów z zupełnie innego punktu widzenia. Była jedynaczką, więc zazdrościła Marze sześciu braci i bratowych oraz całej gromady bratanków i bratanic. Rodzice Paige latali po całym świecie, a O'Neillowie tkwili niewzruszenie w jednym miejscu, co Paige uznała raczej za ich zaletę niż wadę. Doszła więc do wniosku, że są po prostu staroświeckimi, pracowitymi i głęboko religijnymi ludźmi, którzy zupełnie nie mogą pojąć postępowania Mary.

Nie rozumieli jej, kiedy była jeszcze niezwykle ciekawym świata dzieckiem, które zawsze współczuło pokrzywdzonym i interesowało się problematyką społeczną. Nie rozumieli jej kiedy podjęła naukę w koledżu i sama zarabiała na chesne, gdyż oni nie chcieli go płacić. Nie rozumieli, dlaczego studiuje medycynę.

Nie rozumieli, dlaczego zamieszkała w Vermont. Nawet gdy siedzieli bezpiecznie w sa-

mochodzie Paige, która wyjechała po nich na lotnisko, zachowywali się tak, jakby znaleźli się w zupełnie obcym, a w dodatku wrogim kraju.

Przyjechało ich tylko pięcioro - rodzice i trzech bracia. Paige usiłowała sobie wmówić, że reszta musiała zostać w Eugene ze względów finansowych. Miała nadzieję, że Mara również w to wierzy.

W takim samym milczeniu, jakie panowało między nimi podczas jazdy z lotniska, Paige wprowadziła ich do domu pogrzebowego i wyszła, żeby mogli pożegnać się z córką. Stojąc na schodach, usiłowała sobie bezskutecznie przypomnieć, kiedy Mara po raz ostatni mówiła cokolwiek na temat swoich bliskich. Paige również nie widywała zbyt często swoich rodziców, ale regularnie odwiedzała babcię, która mieszkała w West Winter, niedaleko Tucker. Babcia zastępowała jej w dzieciństwie oboje rodziców, a teraz była dla niej jedynym ważnym członkiem rodziny i Paige ją uwielbiała.

- Ładnie wygląda - odezwał się głośno ojciec Mary. Wysoki, krępy mężczyzna trzymał rękę w kieszeniach zniszczonych spodni i patrzył przed siebie zimnym wzrokiem. - Ktoś zrobił dobrą robotę.

- Ona zawsze ładnie wyglądała. - Paige stanęła w obronie przyjaciółki. - Czasem była blada, czasem potargana, ale zawsze wyglądała ładnie. - Czowała gwałtowną potrzebę, by mówić dalej. - Mara była szczęśliwa, panie O'Neill. Żyła pełnią życia.

- Dlaczego więc popełniła samobójstwo?

- Wcale nie jesteśmy pewni, że tak się właśnie stało. Równie dobrze mogła ulec wypadkowi.

- Co za różnica - mruknął. Patrzył prosto przed siebie. - My straciliśmy ją już dawno temu. Wszystko dlatego, że nas nie słuchała. Gdyby nie ruszała się z domu, żyłaby do dziś.

- Ale nie zostałyby lekarzem - zaproponowała Paige. Zdawała sobie sprawę, że ten człowiek cierpi, ale nie mogła nie podjąć dyskusji. - Była wspaniałym pediatrą. Kochała dzieci, a one ją uwielbiały. Walczyła o nie. Pomagała ich rodzicom. Wszyscy przyjdą na pogrzeb i sam się pan przekona.

O'Neill po raz pierwszy spojrzał na Paige.

- Czy to właśnie pani namówiła ją na studia medyczne?

- Nie, wymarzyła je sobie o wiele wcześniej.

- Ale ściągnęła ją pani tutaj?

- Sama chciała przyjechać. Ode mnie dowiedziała się tylko, że zakładam tu spółkę.

Mruknął coś pod nosem i znów spojrzał przed siebie.

- Pani jest taka sama jak ona - powiedział po chwili. - Może dlatego panią lubiła. Ma pani identyczne włosy, podobną budowę... Wyglądałyście zupełnie jak siostry. Jest pani mężatką?

- Nie.

- A była pani kiedykolwiek zamężna?

- Nie.

- Może ma pani dzieci?

- Nie.

- Więc traci pani tyle samo, co ona. Mara próbowała ułożyć sobie życie z tym swoim Danielem, ale nigdy nie było jej w domu i on tego nie wytrzymał. Żaden by nie wytrzymał. A w dodatku nie mogła zajść w ciążę. Po co komu taka kobieta?

Paige zaczynała powoli rozumieć, co wyгнаło Marę z Eugene.

- Trudno winić Marę o kłopoty Daniela. Był narkomanem, jeszcze zanim go poznała. Miała nadzieję, że mu pomoże, ale nic z tego nie wyszło. To samo było z zajściem w ciążę. Może zabrakło im czasu.

- Czas nie miał tu nic do rzeczy. Wszystko przez tę aborcję.

- Aborcję? - Paige nic na ten temat nie wiedziała.

- Nie mówiła pani? Wcale się nie dziwię. Nie każda dziewczyna zachodzi w ciążę w wieku szesnastu lat i pozbywa się dziecka, nawet nie pytając rodziców o zdanie. Ona popełniła morderstwo. - Strzyknął śliną. - A tragedia polega na tym, że macierzyństwo byłoby dla niej zbawieniem. Gdyby nie wyjechała, wyszła za mąż i urodziła dzieci, żyłaby do dziś, a my nie musielibyśmy wydawać połowy oszczędności, żeby przylecieć na pogrzeb.

Paige pożałowała, że w ogóle przyjechali. Żałowała, że kiedykolwiek rozmawiała z Thomasem O'Neillem, a najbardziej tego, że dowiedziała się o aborcji. Nie dlatego, że potępiała decyzję Mary - domyślała się, jakie piekło musiała wtedy przeżyć szesnastoletnia dziewczyna z takiej nietolerancyjnej rodziny - ale nie rozumiała, dlaczego nigdy się jej z tego nie zwierzyła.

Paige zawsze uważała, że są najlepszymi przyjaciółkami, a jednak, mimo że Mara wiele razy rozmawiała z nią o swoim małżeństwie, braku dzieci, wychowankach, którymi opiekowała się przez te lata, i planowanej adopcji, nigdy nie wspomniała o usunięciu ciąży. Nie przyznała się do tego również przy okazji częstych dyskusji na temat aborcji, prowadzonych w związku z problemami ciężarnych dziewcząt, będących pod ich opieką.

Paige zrozumiała, że nie wie tylu ważnych rzeczy o kobiecie, którą uważała za najlepszą

przyjaciółkę, i ta świadomość łamała jej serce.

Piątkowy poranek był ciepły i ponury. Coś wyraźnie wisiało w powietrzu. Może tajemnice Mary? Poczyszający był jedynie fakt, że w kościele panował prawdziwy tłok. Jeśli ktoś chciał się przekonać, ilu ludziom Mara pomogła i jak wielkim cieszyła się wśród nich szacunkiem, wystarczyło, żeby popatrzeć na zgromadzony na jej pogrzebie tłum. Paige czuła się usatysfakcjonowana w imieniu przyjaciółki, szczególnie że rodzina Mary nigdy nie doceniała jej osiągnięć.

Ale ten mały powód do radości zniknął w powodzi smutku i żalu, tak jak Mara zniknęła pod ziemią na wzgórzu. Zanim Paige zdążyła przyjść do siebie, cmentarz opustoszał, żałobnicy zjedli obiad w Tucker Inn, a O'Neillowie pojechali na lotnisko.

Paige wróciła do domu Mary - budowli w typowo wiktoriańskim stylu, z krętą klatką schodową i dużą werandą. Chodziła od pokoju do pokoju i myślała, że Mara na pewno lubiła rozpalać ogień na kominku, ustawiać choinkę w wysokim francuskim oknie i w ciepłe letnie wieczory siadywać na tarasie za domem. O'Neillowie powiedzieli Paige, że ma sprzedać dom, a uzyskane w ten sposób pieniądze przekazać na cele dobroczynne. Miała zamiar postąpić zgodnie z ich wolą, ale nie od razu. Nie mogła jeszcze spakować rzeczy Mary i pozbawić domu wszelkich śladów jej obecności. Potrzebowała czasu, by ją opłakać. Czasu, by przyzwycząić się do jej nieobecności. Czasu, by ją pożegnać. I znaleźć takiego kupca, który pokocha dom, tak jak ona go kochała. Była jej to winna.

Przez kuchnię wyszła na zewnątrz, zatraskując za sobą wykończone łukiem drzwi, usiadła na huśtawce i patrzyła na ptaki latające od karmnika od karmnika. Paige naliczyła pięć budek, ale sądziła, że pozostałe ukryte są w głębi ogrodu. Mara siadywała na tej huśtawce, trzymając w ramionach dziecko aktualnie powierzone jej opiece i raczyła je najróżniejszymi opowiastkami o mieszkających w ogrodzie ptakach. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności.

Będę je karmić - obiecała sobie Paige. I postaram się, żeby nowy właściciel domu również o nich nie zapomniał. Nie stanie im się żadna krzywda. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Mara z pewnością zaopiekowałaby się jej kotkiem. Kochała słabe i małe stworzonka. Również te nie oswojone. A Paige? Paige nie lubiła ryzykować. Zaopatrywała się we wszystko, co praktyczne i niezbędne. Zawsze chciała kontrolować sytuację. Kochała stabilizację, ład i porządek, a zmiany wytręcały ją z równowagi.

Zeszła z huśtawki i zrobiła parę kroków w głąb ogrodu. Ptaki odleciały. Stała przez chwi-

łę nieruchomo, wstrzymała oddech i czekała, ale nie wróciły. Została zupełnie sama.

Będę za tobą tęsknić, Maro - pomyślała i ruszyła w stronę domu, czując, że jest stara i pusta w środku. Dom wydał się jej nagle taki sam. Wymagał odnowienia. Trzeba było wymienić siatki na drzwiach. Żaden problem. I jeszcze te okiennice w sypialni po lewej stronie korytarza. A ileż to roboty!

Z oddali dobiegł do niej cichy, lecz wyraźny dźwięk dzwonka. Paige weszła do domu z uczuciem ulgi. Pomyślała, że prawdopodobnie któryś ze znajomych zobaczył jej samochód przed domem i postanowił zajrzeć na chwilę, albo ktoś nie mógł przyjść na pogrzeb i chce jej złożyć spóźnione kondolencje.

Przez szybę we frontowych drzwiach Paige dostrzegła jakiś kształt. Otworzyła je szeroko i zobaczyła niewysoką kobietę z dzieckiem, chyba dziewczynką, w ramionach. Na pewno nie pochodziły z Tucker. Widziała je po raz pierwszy w życiu.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała.

- Szukam Mary O'Neill - odparła kobieta stroskanym głosem. - Usiłowałam się do niej dodzwonić. Pani jest jej przyjaciółką?

Paige potwierdziła skinieniem głowy.

- Miałyśmy się dziś spotkać w Bostonie - wyjaśniała pośpiesznie nieznajoma - ale widocznie zaszło jakieś nieporozumienie. Ona nawet nie odpowiada na telefony.

Paige przyjrzała się jej uważnie. Kobieta miała około czterdziestu lat i kaukaski typ urody, a zatem na pewno nie była biologiczną matką dziecka o oliwkowej cerze i ogromnych, marnujących oczach. Paige szybko doszła do wniosku, że nieoczekiwana wizyta ma związek z kontaktami Mary z siecią agencji adopcyjnych.

- Czy Mara jest w domu?

Paige przełknęła ślinę.

- Nie.

- O mój Boże. Nie wie pani przypadkiem, dokąd poszła i kiedy wróci? Co za okropna historia. Wszystko było już ustalone. Tak się cieszyła.

Dziewczynka patrzyła na Paige, a ona nie mogła odwrócić od niej wzroku. Mała nie wyglądała nawet na roczne dziecko, ale wyraz jej oczu mówił wyraźnie, że jest starsza.

Paige widziała już to spojrzenie na zdjęciu pokazywanym jej przez Marę. Poczwała gwałtowne bicie serca i cofnęła rękę, którą gładziła nieśmiało policzek dziecka.

- Skąd pani zna Marę? - spytała.

- Pracuję dla agencji adopcyjnej. Do moich obowiązków należy między innymi odbieranie dzieci z lotniska. Ta dziewczynka przybyła z małego miasteczka położonego niedaleko Kalkuty. Towarzyszyła jej pracownica agencji z Bombaju. Biedactwo, podróżowała ponad trzy dni. Mara widocznie pomyliła dzień albo godzinę. Zamknęła gabinet? Telefonowałam, ale za każdym razem odpowiadała mi tylko automatyczna sekretarka.

- Sameera - szepnęła Paige. Dziecko Mary. - Myślałam, że ma przyjechać dopiero za kilka tygodni. - Wyciągnęła ramiona do dziewczynki.

- Zwykle nie precyzujemy dokładnie terminów. Niepokoje polityczne mogą opóźnić przebieg wypadków.

Paige pomyślała o sypialni po prawej stronie korytarza, świeżo pomalowanej na radosny, żółty kolor, udekorowanej koślawymi, niebieskimi gwiazdkami, widocznymi nawet z ogrodu. Przytuliła dziecko, a oczy wypełniły jej się łzami.

- Sami.

Dziecko nie wydało żadnego dźwięku, a Paige zapłakała cicho, gdy wyobraziła sobie, jak cudowną matką byłaby Mara i jak ogromnie byłaby szczęśliwa. Jej śmierć stała się jeszcze bardziej zagadkowa. Mara nie popełniłaby przecież samobójstwa wiedząc, że lada dzień zjawi się jej córeczka.

Paige otarła czy, nie wypuszczając dziewczynki z objęć.

- Mara umarła w środę. Dziś rano był jej pogrzeb - powiedziała, kiedy udało się jej trochę uspokoić.

- Umarła? - powtórzyła kobieta z przerażeniem.

- Zdarzył się straszny wypadek.

- Umarła. Mój Boże. - Zamilkła na chwilę. - Biedna Mara. Tak długo na nią czekała. A Sameera przebyła taki szmat drogi.

- Proszę się nie martwić - powiedziała Paige dziwnie spokojnie. - Zatrzymam ją. - To miało sens. Mogła przynajmniej w ten sposób zrekompensować Marze wszystko, czego nie zrobiła dla niej wcześniej. - Nazywam się Paige Pfeiffer. Byłam najlepszą przyjaciółką Mary i jestem pediatrą, tak samo jak ona. Pracowałyśmy razem. Udzieliłam jej referencji niezbędnych przy formalnościach adopcyjnych. W waszych kartotekach figuruję jako osoba, do której można się zwrócić o pomoc w razie nagłej potrzeby. Właśnie to pani zrobiła. - Spojrzała na dziewczynkę, kurczowo wczepioną paluszkami w jej sweter. Sami położyła głowę na piersi Paige, objęła ją chudą nóżką w tali, a oczy miała rozszerzone z przerażenia. Była lekka jak piórko i

emanowało z niej przyjemne ciepło.

Zaopiekuję się nią, Maro. Na pewno potrafię.

- Obawiam się, że to nie będzie takie proste - szybko odparła kobieta.

- Dlaczego?

- Bo istnieją przepisy, formalności, cała ta biurokracja - wyrzuciła z siebie jednym tchem, najwyraźniej wzburzona. - Adopcja międzynarodowa to bardzo skomplikowana sprawa. Mara pokonała wszystkie trudności, a i tak musi czekać aż pół roku na sfinalizowanie sprawy. Sameera oficjalnie w dalszym ciągu jest pod naszą opieką. Nie mogę jej tak po prostu tu zostawić.

- Co się z nią w takim razie stanie?

- Nie wiem. To zupełnie nietypowa sytuacja. Myślę, że zamieszka ze mną, dopóki nie podejmiemy jakiejś decyzji.

- Przecież nie może pani odesłać jej do Indii.

- Nie. Będziemy szukali rodziny, która zechce ją zaadoptować.

- Ale zanim znajdziecie, Sami będzie przebywać u tymczasowych opiekunów, prawda? Dlaczego ja nie mogę się nią zajmować?

- Bo nie ma pani zezwolenia.

- Ale jestem pediatrą. Kocham dzieci. Potrafię z nimi postępować. Mam własny dom i dobrze zarabiam. Cieszę się doskonałą opinią. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę zapytać kogośkolwiek w mieście.

- To niestety wymaga czasu. - Kobieta wyciągnęła rękę po Sami, ale Paige nie zamierzała tak łatwo rezygnować.

- Ja naprawdę chcę się zająć tym dzieckiem i dlatego mam przewagę nad innymi. Chcę ją zaraz zabrać do domu i zatrzymać, dopóki nie znajdziecie kogoś bardziej odpowiedniego, ale jestem pewna, że nikt nie okaże się lepszy ode mnie, zapewniam panią.

Mara byłaby taka szczęśliwa.

- Musi być jakiś sposób, żeby mogła zostać ze mną.

- Sądzę, że jest. Jeśli dyrekcja wyrazi zgodę, szybko przeprowadzimy wywiad środowiskowy.

- Proszę bardzo.

Paige zaczęła zachowywać się tak spontanicznie jak Mara i świetnie się z tym czuła.

- Dzisiaj?

- Oczywiście, jeśli to konieczne, żeby Sami mogła zostać u mnie na noc. Ona potrzebuje

miłości, a ja obdarzę ją uczuciem. Poza tym jestem w stanie zapewnić jej godziwe warunki życia. Wszystko gra.

Kobieta z agencji adopcyjnej nie mogła odmówić Paige racji. Zatelefonowała do kilku osób i uzyskawszy wstępną zgodę, zarzuciła ją pytaniami. Stanowiły one jedynie wstęp do wywiadu środowiskowego. W trakcie rozmowy, Paige trzymając Sami na biodrze, znosiła wszystkie niezbędne rzeczy do samochodu, dopóki nie wypełniła go po brzegi.

Pracownica agencji, która przez cały czas towarzyszyła jej w tej wędrówce po schodach, ledwo zipała ze zmęczenia. Dała Paige listę z ważnymi numerami telefonów, obiecała, że skontaktuje się z nią następnego dnia, i odjechała.

Paige odwróciła Sami twarzą do siebie i natychmiast napotkała wyraziste spojrzenie jej ogromnych, piwnych oczu.

- A ty nawet nie pisnęłaś przez cały czas? Nie jesteś głodna? Nie masz mokro? - Dziewczynka wpatrywała się w nią milczeniem. - Nie chcesz nic zjeść? - Dziecko nawet nie mrugnęło powieką. - A może masz ochotę na kąpiel? - Paige wiedziała, że Sami nie zna angielskiego, ale miała nadzieję, że zareaguje na ton jej głosu. - Tak? - Umilkła na chwilę. Mała nie wydała z siebie żadnego dźwięku. - A ja marzę o jednym i drugim. - Westchnęła.

Paige okrążyła samochód i chciała już otworzyć drzwi od strony pasażera, ale spojrzała jeszcze raz na dom i zawahała się. Mara tak krótko się nim cieszyła; przez pierwsze trzy lata pracy spłacała pożyczkę zaciągniętą na opłacenie studiów, a potem oszczędzała dwa lata, żeby móc kupić go za gotówkę. Dom nie był szczególnie reprezentacyjny, ale Mara uważała tę transakcję za swój wielki sukces.

A teraz ten wymarzony dom opustoszał, bo jego właścicielka leżała na podmiejskim cmentarzu. Paige przeszył dreszcz. Przez dwadzieścia lat Mara była nierozdzielnie związana z jej życiem i nagle jej zabrakło.

Paige przymknęła oczy. Tulila Sami mocno, coraz mocniej. Dziecko było ciepłutkie - milczało, ale żyło. Dodawało jej sił i pozwalało na chwilę zapomnieć o przeszłości. I wtedy nagle zaczęła powoli odzyskiwać zdolność myślenia. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na dziewczynkę. Dom był zamknięty, kobieta z agencji odjechała, a ona właśnie wzięła pod opiekę dziecko Mary. Paige dopiero teraz zrozumiała, co zrobiła. Ogarnął ją przejmujący strach.

Rozdział trzeci

Paige na ogół nie ulegała panice, ale w drodze do domu była bliska hysterii. Wciąż zadawała sobie pytania, na które nie знаła odpowiedzi - na przykład, co dziewczynka jada, czy nie jest przypadkiem na coś uczulona, jak sypia. Wszystkie tego rodzaju informacje mogła zapewne odnaleźć w stosie papierów przywiezionych z domu Mary, ale jej przyjaciółka miała dużo czasu, żeby się z nimi zapoznać, a Paige nie mogła sobie pozwolić na taki luksus.

Myślała gorączkowo o rozkładzie swego domu. Znajdowały się w nim trzy sypialnie. Jedna - jej własna - na parterze i dwie na piętrze: większa, zagracona meblami, których Nonny nie mogła ze sobą zabrać po sprzedaży domu, co miało miejsce już kilka lat temu, oraz mniejsza, zawalona przyborami do szycia, szydełkowania oraz pismami medycznymi. Zwykle Paige przeglądała je pobieżnie i odkładała na później.

Byłoby jej z pewnością łatwiej wysprzątać mniejszy pokój, ale z kolei ten większy lepiej nadawał się dla dziecka. Z drugiej strony uważała, że Sami nie powinna spać sama na górze, więc zdecydowała, że na razie ulokuje ją w swojej sypialni.

Pokój miał teraz pomieścić aż troje lokatorów: Paige, Sami i kotka. Co ja najlepszego zrobiłam? - myślała, ściskając mocno kierownicę i usiłując za wszelką cenę zachować spokój, a więc tym samym choć na chwilę zapomnieć, że rano będzie musiała jak zwykle pójść do pracy. Zerknęła szybko na Sami, która siedziała w nowiutkim foteliku samochodowym, kupionym jej przez Marę, i nie spuszczała z niej swych wielkich, marzących oczu.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła dziewczynkę, przybierając matczyzny ton. - Przyzwyczaisz się. Wszystkie dzieci łatwo się przystosowują. - Zwykle uspokajała w ten sposób rozhisteryzowanych rodziców, którzy zupełnie nie wiedzieli, jak postępować z nowo narodzonym dzieckiem. - Ja też jestem elastyczna, więc jakoś się dogadamy. Tobie najbardziej potrzeba miłości, a to ci mogę zapewnić, wierz mi. Będziesz tylko musiała dać mi jakoś znać, na co masz ochotę, a czego sobie nie życzysz.

Sami nie wydawała żadnych dźwięków, patrzyła tylko na Paige ogromnymi oczami, które widziały zbyt wiele w zbyt krótkim czasie.

Paige pomyślała, że być może dziewczynka jest taka cichutka, bo karano ją, gdy płakała, lub też nie próbuje już płakać, gdyż ta metoda nie odniosła nigdy żadnego skutku. Jeśli tak, to będzie musiała nauczyć Sami, że łzy nikomu nie szkodzą, a co więcej - wyrażają prośby i potrzeby jako jeden z nielicznych sposobów, za pomocą których dzieci mogą porozumieć się z

otoczeniem. W tym celu będzie musiała poświęcić Sami wiele uwagi i uczucia, a nawet trochę ją rozpieścić. To może zająć sporo czasu.

Czas. Boże. Nie potrafiła wybiegać myślą naprzód. Jeszcze nie.

- Na pewno potrafię - zwróciła się do dziewczynki, wysiadając z auta. - Jestem zrównoważona i tolerancyjna. Poza tym doskonale znam się na dzieciach. - Okrążyła samochód, otworzyła drzwi od strony pasażera i pociągnęła pas przytrzymujący małą. - Kobiety mają instynkt. - Tak zwykle pocieszała świeżo upieczone matki. Szarpała pas coraz mocniej, ale on nie chciał się rozpiąć. - Gdy w grę wchodzi dzieci, stać je na czyny, o jakie nigdy by się nawet nie podejrzewały. - Chwyciła zapięcie obiema rękami i wszelkimi możliwymi sposobami próbowała oswobodzić Sami. - Tkwi w nich wrodzone powołanie do macierzyństwa. - Miała właśnie zamiar posłużyć się nożyczkami, kiedy klamra odskoczyła wreszcie z trzaskiem. - Widzisz? - Odetchnęła z ulgą. - Poradzimy sobie.

Dziewczynka została na przednim siedzeniu, a Paige przetransportowywała jej rzeczy do mieszkania. Kiedy wreszcie skończyła, wniosła dziecko do środka, postawiła fotelik na podłodze i podniosła z podłogi kotkę - weterynarz określił jej płęć - która pętała się jej cały czas pod nogami.

- Sami, przedstawiam ci Kicię.

Obie damy wpatrywały się w siebie nie mrugnawszy nawet powieką.

Paige przytuliła twarz do pyszczka Kici i przysunęła ją bliżej do Sami.

- Kicia jest młodsza od ciebie - powiedziała. - I równie samotna, więc będziemy się nią opiekować, dopóki nie znajdziemy dla niej nowego domu. Prawda, jakie ma miękkie futerko? - Położyła dłoń Sami na grzbiecie zwierzątka, ale dziewczynka szybko cofnęła rękę, a jej podbródek niebezpiecznie zadrżał.

Paige natychmiast postawiła kociątko z powrotem na podłodze i wzięła maleńką w ramiona.

- Już dobrze, kochanie. Ona na pewno nie zrobi ci nic złego. Boi się ciebie jeszcze bardziej niż ty jej.

Mówiąc do dziewczynki, przeglądała przywiezione od Mary jedzenie. Zakładając, że Mara kupowała wyłącznie żywność, którą można było bezpiecznie podać dziecku, Paige nałożyła smoczek na jedną z butelek zawierających mieszankę. Ona sama nie czuła już głodu. Miała zupełnie ściśnięty żołądek i trudno się było temu dziwić.

Sami wypięła mleko do ostatniej kropelki, ani na chwilę nie spuszczając z niej oczu. Za-

chęcona tym sukcesem Paige przygotowała talerz owsianki, dodała do niej trochę brzoskwiń i wzięła łyżeczkę, żeby nakarmić dziecko. Mała zjadła całą porcję. Dziewczynka była mała i chuda, więc Paige odczuwała pokusę, żeby dać jej coś jeszcze, ale wiedziała, że zbyt duża ilość jedzenia może spowodować fatalne skutki. Włożyła więc domowy strój, wykapała Sami, natarła ją balsamem, założyła jej świeżą pieluszkę, ubrała w elastyczną różową piżamę kupioną przez Marę, i wzięła ją na ręce.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie. - Dziewczynka rzeczywiście wyglądała uroczo. Była przy tym taka delikatna i śpiąca. - Mara pokochałaby cię do szaleństwa.

Ale nie było już Mary. Paige poczuła nagły przypływ żalu, a zaraz potem ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Przytuliła mocniej dziewczynkę, ale ledwo zdążyła oprzeć policzek o ciemnowłosą główkę dziecka, usłyszała, że dzwoni telefon.

Telefonowała Deirdre Frechette, jedna z trenowanych przez Paige biegaczek.

- Potrzebujemy pomocy - powiedziała łamiącym się głosem. - Cały czas rozmawiamy o doktor O'Neill. Jeden chłopak twierdzi, że przedawkowała heroinę. Czy to prawda?

Zmęczenie natychmiast ustąpiło.

- Absolutnie nie.

- A drugi mówi, że zabiły ją demony. Bracia demony.

- Nie demony, tylko DeMony - poprawiła Paige. George i Harold DeMony stanowili temat do plotek już od lat. Obaj byli opóźnieni w rozwoju i zupełnie nieszkodliwi, choć niejednego zmylić by mogła ich potężna postura i groźny wygląd.

- Bracia DeMony nie skrzywdziliby muchy.

- Julie Engel mówi, że ona odebrała sobie życie. Matka Julie popełniła samobójstwo trzy lata temu i ona teraz znowu zaczyna to wszystko roztrząsać. Histeryzuje. Właściwie wszystkie jesteśmy bliskie hysterii.

Paige mogła to sobie z łatwością wyobrazić. Temat trafił na żyzny grunt młodzieńczych umysłów. Wzdrygnęła się na samą myśl o konsekwencjach takiej rozmowy, zważywszy, że prowadziła ją grupa nastolatków. Należało jakoś pokierować ich dyskusją, bo skłonności samobójcze bywają zaraźliwe, jeśli nie podejmie się odpowiednio szybko środków zaradczych.

Ta młodzież potrzebowała teraz rodziców bardziej niż kiedykolwiek. Ale oni byli daleko.

- Gdzie się zebraliście? - spytała Paige.

- W gmachu MacKenziego.

- Zostańcie tam. Przyjadę za piętnaście minut.

Położyła słuchawkę i dopiero wtedy przypomniała sobie o Sami. W pierwszym momencie nie wiedziała zupełnie, co robić. Ale to szybko minęło. Dziewczynka spała mocno w jej ramionach. Paige wolną ręką wydobyla nosidełko z ogromnego stosu ubranek i ułożyła w nim dziewczynkę, po czym powiesiła je sobie na piersi.

Jedną z najważniejszych rzeczy, w jakie musicie się zaopatrzyć - usłyszała swe własne słowa kierowane do rodziców odwiedzających poradnię - jest fotelik samochodowy. Dziecko należy bezpiecznie umieścić w foteliku, a fotelik przyczepić starannie do siedzenia.

- Wiem, że nie postępuję rozsądnie - szeptała łagodnie, siadając za kierownicą z Sami wiszącą w nosidełku - ale ty jesteś taka maleńka, ja świetnie prowadzę i po prostu uważam, że powinnaś się raczej przytulać do znajomego ciała, niż siedzieć w twardym foteliku, którego i tak pewnie nie udałoby mi się umocować. Nie powiem nikomu, że tak zrobiłam, więc nie wygadaj się, dobrze?

Dziecko nie obudziło się ani na chwilę.

Dwupiętrowy gmach MacKenziego był największym w Mount Court budynkiem mieszkalnym. Jak wszystkie inne, zbudowany został z czerwonej cegły. Piął się po nim dziki bluszcz, przesłaniając obszerne fragmenty muru. Wysokie, okratowane okna były otwarte, gdyż na dworze panowała ciepła, wrześniowa pogoda. W pokojach szumiały wiatraczki elektryczne.

W sali siedziało osiem dziewcząt. Wszystkie miały tak samo długie włosy, wszystkie nosiły powyciągane koszulki i szorty. Niektóre trenowały bieganie, niektóre nie, ale Paige znała świetnie całą ósemkę. Mara również.

Były przygaszone. Niektóre chyba płakały. Paige cieszyła się, że przyjechała.

Opadła na krzesło.

- Co pani tam ma? - spytała jedna z dziewcząt.

- Ga ga ga - naśladowała kpiąco druga.

- To przecież dziecko - stwierdziła następna.

- Czyje?

Paige nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Na razie moje.

- Skąd się wzięło?

- Kto je pani dał?

- To chłopiec czy dziewczynka?

- Ile ma lat?

Dziewczęta podeszły bliżej, żeby lepiej przyjrzeć się Sami. Paige odsunęła zagłówek.

- Ma na imię Sameera. Zdrobniale Sami. Urodziła się w małym miasteczku na wschodnim wybrzeżu Indii, niedaleko Kalkuty. - Przypomniała sobie gorące słowa Mary. - Została porzucona tuż po urodzeniu, bo w jej rodzinnym kraju przyjście na świat dziewczynki jest uważane za największe nieszczęście. Ma czternaście miesięcy, ale jest maleńka jak na swój wiek i opóźniona w rozwoju fizycznym, bo do tej pory wciąż tułała się od jednego sierocińca do drugiego. Potrafi tylko leżeć i czekać, aż ktoś ją nakarmi, ponieważ nikt jej niczego nie uczył.

- Nie umie chodzić?

- Jeszcze nie.

- Siada?

- Bez pomocy nie. - Tego również dowiedziała się od Mary. Później, kiedy kąpała dziewczynkę i powierzchownie ją badała, miała okazję przekonać się o tym na własne oczy. Nie dostrzegła jednak jakichkolwiek objawów choroby ani deformacji fizycznych. - Potrzeba jej tylko odpowiedniego jedzenia i właściwej opieki, żeby nadrobić opóźnienie. W wieku szkolnym niczym nie będzie się różnić od innych dzieci.

- Ale czyje to dziecko? Były uparte.

- Na razie ja się nią opiekuję.

- Ma pani zamiar ją adoptować?

- Nie, nie. Zostanie ze mną, dopóki agencja nie znajdzie odpowiedniej rodziny.

- A więc jest pani jej zastępczą matką. Ma szczęście. Mnie odesłano do ciotki, kiedy skończyłam osiem lat. Ona była zupełnie inna niż pani - powiedziała Alicia Donnelly.

Rozpoczęła naukę w Mount Court w siódmej klasie i cudem dobrnęła do szkoły średniej. Chorowała na wszystkie możliwe choroby - od bronchitu począwszy, przez paciorkowca w górnych drogach oddechowych, na mononukleozie skończywszy. Zajmował się nią Peter - lekarz szkolny Mount Court, ale kiedy Alicia zaraziła się drożdżycą, do akcji wkroczyła Mara.

Będąc jeszcze dzieckiem, Alicia sprawiała problemy wychowawcze, które do tego stopnia przerosły jej ustosunkowanych rodziców, że nie mogli już dłużej dać sobie z nimi rady. Poza tym dziewczynie groziła hospitalizacja. Lata terapii w Mount Court pomogły jej stanąć na nogi i choć nie stanowiła wzoru do naśladowania, okazała się niezwykle pojętną, zdolną uczennicą. Traktowała Mount Court jak swój prawdziwy dom.

- Będzie pani dobrą opiekunką - powiedziała do Paige.

- Wie pani wszystko o dzieciach. Nie brak pani cierpliwości. Ma pani poczucie humoru,

a to jest bardzo ważne. - Urwała. - Doktor O'Neill też je miała.

Z pewnością. Bardzo wysublimowane, delikatne, ale stanowiące doskonałą przeciwwagę dla jej nieustępliwości i siły. Paige tęskniła bardzo za tą właśnie siłą i dowcipem.

Dziewczyny ochłonęły i wróciły na swoje miejsca na krzesłach i podłodze. Zamilkły.

- Doktor O'Neill była dobra - odezwała się cicho Paige.

- Oddana swym pacjentom, niezastąpiona w bojach o sprawiedliwość. Powinniśmy brać z niej przykład. Dawała z siebie więcej niż inni ludzie.

- A potem odebrała sobie życie - powiedziała Julie Engel piskliwym głosem.

- A skąd wiesz, że to było samobójstwo? - wtrąciła Deirdre.

Julie spojrzała na Paige.

- Słyszałam, że znaleziono ją w garażu. Czy to prawda?

Paige skinęła głową.

- Umarła z powodu zatrucia tlenkiem węgla? Paige ponownie przytaknęła.

- A więc jednak się zabiła - powiedziała Julie do Deirdre. - Nic innego się przecież nie stało.

- To mógł być wypadek - odparła łagodnie Paige. - Doktor O'Neill była bardzo zmęczona. Zążywała leki. Mogła zasnąć za kierownicą.

- To do niej niepodobne - obruszyła się Tia Faraday. - Była bardzo uważna. Kiedy leczyła mnie w zeszłym roku, wypisała mi wszystkie zalecenia w najdrobniejszych szczegółach. Zawsze kontrolowała sytuację. Następnego dnia zadzwoniła do mnie, żeby sprawdzić, czy aby na pewno postępuję dokładnie z jej instrukcją.

- Gdyby czuła, że zasypia, wyłączyłaby silnik - podsumowała Alicia.

- Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że ogarnia nas sen. - Paige westchnęła.

Zadzwonił dzwonek. Dziewczęta nie ruszyły się z miejsca.

- Zostawiła list? - spytała Tina.

Paige zawahała się i potrząsnęła głową.

- Moja matka też nie - powiedziała Julie. - Ale i tak wiedzieliśmy, że odebrała sobie życie. Nie spodziewaliśmy się, że może zrobić coś takiego, ale jak już ktoś wchodzi na trzydzieste drugie piętro...

- Nie zaczynaj od początku - prosiła Deirdre. Dziewczęta mieszkające najwyżej ruszyły w stronę wyjścia.

- Odebrała sobie życie - upierała się Julie.

- To takie przygnębiające.
- Życie jest przygnębiające.
- Puste i beznadziejne.
- Czy doktor O'Neill była samotna? - spytała Tia.

Paige nigdy w ten sposób o niej nie myślała.

- Zawsze miała masę zajęć. Stale przebywała wśród ludzi.
- Ja też, a jednak często czuję się samotna.
- Ja tak samo - dodała inna dziewczyna.
- Najgorzej jest w nocy - powiedziała trzecia.
- Albo po rozmowach z rodzicami.
- I w lesie po dziesiątej.
- Dlatego właśnie - wtrąciła gładko Paige - nie wolno wam wychodzić wieczorami. W lesie wszystko wydaje się takie przerażające. A strach ma wielkie oczy.

Musiała jednak przyznać, że dziewczętom udało się poruszyć ważny problem. Rzeczywiście, w dzień Mara była bardzo zajęta, ale noce spędzała samotnie i miała aż nazbyt dużo czasu na myślenie o przepaści dzielącej ją od rodziny, klęsce małżeństwa i dziecku, któremu nie pozwoliła przyjść na świat. Nigdy o tym wprawdzie nie mówiła, ale istniały powody, że mogła czuć się samotna - uświadomiła sobie z goryczą Paige.

- Doktor O'Neill nigdy niczego się nie bała. Była taka silna - powiedziała Alicia.
- Ale przecież się zabiła! - krzyknęła Julie. - Musiał być jakiś powód!
- Jaki to był powód, pani doktor?

Paige ostrożnie dobierała słowa. Choć nie miała zamiaru zdradzać tajemnic Mary - a i tak przecież nie wszystko o niej wiedziała - chciała uświadomić dziewczętom, że samobójstwo jako takie jest skomplikowanym zjawiskiem. Istnieją przyczyny, dla których ludzie decydują się odebrać sobie życie, jak również sposoby, by temu zapobiec.

- Doktor O'Neill przeżywała rozczarowania. My wszyscy doznajemy zawodów. Nie ma ludzi, którzy zawsze odnoszą same sukcesy. Jeśli istotnie popełniła samobójstwo, to znaczy, że już nie potrafiła sobie poradzić ze swoimi problemami.

Zaległa cisza.

- Dlaczego jedni ludzie potrafią, a inni nie?

Paige spojrzała na mówiącą. Była to jej najgroźniejsza rywalka w wyścigu - Sara Dickinson. Dziewczyna przewiesiła plecak przez ramię, jakby zaczynała zbierać się do wyjścia.

- Zadałaś trudne pytanie. Ktoś, kto potrafi sobie radzić, ma zapewne jakąś siłę wewnętrzną, lepszą motywację do działania i jakąś podporę moralną.

- Czy to znaczy, że doktor O'Neill tego nie miała?

Paige sama wielokrotnie zadawała sobie to pytanie i usilnie starała się znaleźć właściwą odpowiedź.

- Prawdopodobnie nie skorzystała ze wszystkich możliwości.

- Co pani ma na myśli?

- Ona była bardzo niezależna. Czasem aż za bardzo. Nigdy nie prosiła o pomoc.

- Mój brat połknął w zeszłym roku całą garść aspiryny - powiedziała przestraszonym głosem Annie Miller. Dziewczęta zamieniły się w słuch. - Zrobili mu płukanie żołądka i doszedł do siebie. Ta ilość tabletek nie mogła mu zaszkodzić. Mój tata mówił, że to był akt rozpacz, takie wołanie o pomoc.

- Niewykluczone - zgodziła się Paige przerażona, że któraś z dziewcząt mogłaby zrobić coś podobnego. - Uważam jednak, że to zupełnie niefortunny sposób. Przedawkowanie leków może spowodować ciężką chorobę, z którą niedoszły samobójca musi się potem borykać do końca życia. Zapewniam was, że nie trzeba się uciekać do aż tak głupich i niebezpiecznych metod, aby uzyskać wsparcie. - Powiodła wzrokiem po twarzach zebranych. - Ze śmierci doktor O'Neill należy wyciągnąć pewną naukę, a mianowicie - by mówić, że jest nam źle.

- Komu? - spytała Sara.

- Komuś z rodziny, przyjacielowi, nauczycielowi, trenerowi, lekarzowi.

- I to oni mają właśnie być tą podporą moralną?

- Tak jest.

- A jeśli ktoś nie potrafi rozmawiać z ludźmi?

- Wszyscy potrafią.

- Ale niektórzy nikomu nie ufają.

- Zawsze znajdzie się ktoś, komu można zaufać. Na przykład ksiądz, jeśli nie wierzysz nauczycielom i rodzinie - dodała dostrzegając powątpiewającą minę Sary. - Na pewno jest ktoś taki. Trzeba się tylko dokładnie rozejrzeć.

Sara spojrzała za siebie. Jej twarz nagle znieruchomiała. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem, ale wyraźnie emanowała z niej niechęć.

Koleżanki Sary szeptały coś między sobą, Paige poszła wzrokiem za ich spojrzeniem i zobaczyła, że do sypialni wchodzi właśnie nieznamy, wysoki i szczupły mężczyzna, ubrany

w szare spodnie i rozchyłoną przy szyi koszulę z podwiniętymi rękawami. Miał kwadratową szczękę, a na twarzy ślady opalenizny. Paige nie była pewna, czy w jego włosach połyskują rozjaśnione słońcem pasemka, czy też są to pierwsze ślady siwizny. Nowo przybyły nosił okrągłe, druczane okulary.

Był bardzo reprezentacyjny.

Zerknęła na dziewczęta. Nawet jeśli wygląd mężczyzny zrobił na nich wrażenie, nie dały tego po sobie poznać. Wyprostowały się tylko, a wyraz ich twarzy na pewno był daleki od uwielbienia. Z pewnością go znały - Paige nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Domyśliła się też natychmiast, że go nie lubią.

- Praca w świetlicy - przypomniał cichym, nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Dziewczęta milczały, lecz Paige dopatrzyła się w ich reakcji bardziej postawy obronnej niż pokory. Konfrontacja była nieunikniona. Wiedziała, jak bardzo przeżyły śmierć Mary, i postanowiła za wszelką cenę uniknąć scysji.

Wstała i podeszła do mężczyzny.

- Narozrabialiśmy, prawda?

- Trochę - odparł tym samym podejrzenie łagodnym tonem.

- Czas na pracę w świetlicy?

- Od niedzieli do czwartku między siódmą a dziewiątą.

- To coś nowego?

- Owszem.

- Ach tak. - Pochyliła głowę w milczeniu. Podniosła na niego wzrok - nawet nie drgnął.

- Dziewczęta są bardzo przejęte śmiercią doktor O'Neill. Ja zresztą też. Myślałam, że uda nam się o tym porozmawiać.

- Dziewczęta mają czas wolny, ale nie teraz. Miały pójść do świetlicy już dziesięć minut temu.

- Nauka może jeszcze chwilę zaczekać, prawda? Potrząsnął wolno głową.

Zniżyła głos jeszcze bardziej.

- Zważywszy na okoliczności, przyjmuje pan bardzo sztywne stanowisko.

Nawet nie mrugnął powieką.

- Mara O'Neill wiele dla nich znaczyła - powiedziała Paige z nutą gniewu w głosie. - Potrzebują czasu na żałobę.

- Tak naprawdę - odparł równie cicho i gniewnie - potrzebują świadomości, że w ich ży-

ciu panuje ład i porządek. Dlatego właśnie w tych godzinach został im wyznaczony czas na naukę. Poza tym mają naprawdę bardzo złe oceny.

Paige doszła do wniosku, że niczego tutaj nie wskóra. Ten facet - przystojny, musiała mu to przyznać - był wyjątkowo gruboskórny. To jakiś nauczyciel matematyki albo wychowawca z piekła rodem. Mara byłaby wściekła, że ktoś taki pracuje w Mount Court.

- Tak naprawdę - przedrzeźniała głosem twardym jak stal - potrzebują zrozumienia. Pan z pewnością nie jest w stanie ich tym obdarzyć. Miejmy nadzieję, że nowemu dyrektorowi uda się ta sztuka.

- Ja nim jestem.

A więc to był Noah Perrine. Paige jeszcze nie wierzyła. W ciągu swojej pięcioletniej pracy w Mount Court poznała dwóch dyrektorów. Pierwszy odszedł na emeryturę po dwudziestu trzech latach pracy, drugi wytrzymał w szkole tylko rok. Obaj mieli wydatne brzuszki, siwe włosy i nieustannie bujali w obłokach.

Ten w niczym ich nie przypominał. Był zbyt ostry jak na dyrektora tej szkoły. Za młody. Zbyt atrakcyjny.

Ale dziewczęta nigdy nie twierdziły inaczej. Paige przypomniała sobie, że w czasie porannego treningu podkreślały tylko, jaki z niego sztywniak. Wszystko pasowało. Nie należało więc ciągnąć tej bezowocnej dyskusji, która w dodatku toczyła się w obecności uczennic. Paige nie chciała jeszcze pogarszać i tak już złej sytuacji.

Wróciła do dziewcząt i położyła Deirdre rękę na ramieniu.

- Musimy niestety kończyć. Ale to bardzo ważna rozmowa. Może przyjdę do was jutro po południu. - Wolałaby rano, ale miała dyżur. - Powiedzmy o pierwszej, dobrze?

Były wyraźnie obrażone i mówiły stłumionym głosem.

- Kompletny absurd!

- I tak nie będziemy w stanie się uczyć.

- Stracimy tylko czas.

- Zróbcie to dla mnie i postarajcie się - poprosiła Paige. - A jeśli nie chcecie odrabiać pracy domowej, napiszcie do mnie list o doktor O'Neill. Napiszcie, ile dla was znaczyła. Bardzo mi w ten sposób pomożecie. Ja również ciężko przeżywam jej śmierć. - Choć była pewna, że już udało się jej nad sobą zapanować, poczuła napływające do oczu łzy i przytuliła Sami.

Tia objęła Paige, a zaraz potem otoczyła je reszta dziewcząt. Paige była im głęboko wdzięczna za ten wzruszający dowód uczuć.

Nowy dyrektor stał obok i czekał, nie spuszczać z nich wzroku. Dziewczęta zaczęły powoli wychodzić z sali, rzucając mu rozgoryczone spojrzenia.

Paige udało się wreszcie uspokoić. Była zmęczona, wręcz wyczerpana, i czuła dziwną pustkę. Zaczęła odczuwać również ból mięśni. To był dzień pełen napięć, kolejny okropny dzień. Sami ważyła tyle, co piórko, ale paski nosidełka boleśnie wrzynały się Paige w plecy, więc lekarka podłożyła rękę pod pupkę dziecka, żeby zmniejszyć obciążenie.

Sądząc, że dyrektor wyszedł razem z dziewczętami, również ruszyła w stronę drzwi, ale wtedy zobaczyła, że nie uda się jej tak łatwo zrejterować, bo on nie ruszał się z miejsca i nie spuszczał z niej wzroku. Paige doznała nagle wrażenia, że jest brzydka i blada.

- Nie powinien pan ich czasem odprowadzić? - spytała cierpko. - Mogą nie trafić do świetlicy.

Pozwolił sobie na grymas, który przy odrobinie dobrej woli można było wziąć za uśmiech.

- To najtrafniejsza uwaga, jaka do tej pory padła z pani ust. Uczniowie tej szkoły sprawdzają, na ile mogą sobie pozwolić. Do tej pory nieźle im szło. Ja natomiast, choć może nie jestem zbyt lubiany...

- Ma pan skłonności do eufemizmów.

- ...nie pozwolę na bezhołowie.

Paige podziwiała jego zimną krew.

- Moja współpracowniczka umarła. Sądzę, że w tych okolicznościach można wykazać trochę zrozumienia i tolerancji, nie uważa pan?

- Uważam, że pani naprawdę przeżywa śmierć przyjaciółki, być może niektórym dziewczętom też jest smutno, ale większość chce wykorzystać tę sytuację dla osiągnięcia własnych celów.

- Nie znał pan Mary, więc nie ma pan prawa tak mówić. Ona była niezwykłą osobą. Dziewczęta wręcz ją uwielbiały.

- Przynajmniej jedna z nich nigdy nie miała okazji jej poznać. Jest nowa w tej szkole, a zajęcia rozpoczęły się dopiero pięć dni temu.

Paige szybko potrząsnęła głową.

- Rozpoczęliśmy dyskusję od Mary, ale poruszyliśmy przy okazji inne problemy. Mówiliśmy o samotności i o sposobach, jak jej zaradzić. Zainteresowanie tym tematem graniczy u nich niemal z obsesją. Na podstawie pytań Sary mogę tylko powiedzieć, że naprawdę interesuje

się otaczającymi ją ludźmi. Jeśli jest tu nowa, prawdopodobnie czuje się osamotniona i przestraszona. To potrwa do czasu, kiedy dołączy do jakiejś paczki. A jeśli w dodatku jej rodzice nie bardzo się nią interesują...

- Interesują się.

- Cóż. Ona mimo wszystko nie wie, komu może zaufać i do kogo powinna się zwrócić, jeśli coś ją dręczy. To mnie przeraża. Gdybym ja miała córkę...

- A kto to jest? - przerwał, wskazując Sami ruchem brody.

Mała przytuliła się do Paige, a ona odwzajemniła uścisk. Dziewczynka miała zamknięte oczy i przyciskała piąstkę do ust. Paige rozdzieliła delikatnie paluszki malutkiej i włożyła jej kciuk do buzi.

Westchnęła.

- To jest dziewczynka, którą Mara zamierzała adoptować. Przybyła do Tucker kilka godzin temu.

- A doktor O'Neill popełniła samobójstwo na parę dni przed jej przyjazdem?

Paige również wydawało się, że to nonsensowne. Po dłuższym zastanowieniu doszła jednak niechętnie do wniosku, że mimo wszystko można doszukać się powodu takiej decyzji. Mara opiekowała się przez te lata pięciorgiem dzieci, ostatnio Tanyą John. Zarówno ojciec, jak i matka maltretowali Tanyę - sąd odebrał im za to prawa rodzicielskie, a ona zamieszkała u Mary. Były razem ponad rok i Mara sądziła, że dziewczyna jest szczęśliwa, nabiera pewności siebie i wychodzi powoli ze swego pancerza. Wtedy właśnie, zupełnie nagle, Tanya uciekła. Została odnaleziona i umieszczona w innej rodzinie zastępczej. Mara ciężko to przeżyła.

Być może po ucieczce Tanyi doszłaś do wniosku, że nie będziesz dobrą matką dla Sami, bo szok, jaki przeżyłaś, nadwątlił twoją wiarę we własne siły - myślała Paige. Ale nic mi nie powiedziałaś, Maro. Aż do samego końca rozprawiałaś z entuzjazmem o adoptowaniu dziewczynki. Pokonałaś wszystkie przeszkody, kupiłaś wszystko, co ci było potrzebne, i przygotowałaś pokój dziecinny. Byłaś szczęśliwa.

A może przestraszyłaś się odpowiedzialności?

- Coś się musiało wydarzyć - powiedziała Paige zmęczonym głosem. - Zamierzam się tego dowiedzieć.

- A mała? Co się z nią stanie?

- Będzie pod moją opieką do czasu, aż znajdzie się dla niej odpowiednia rodzina.

- Jest pani mężatką?

- Nie - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Ale na pewno jest pani pediatrą?

- Tak. - Ogarnął ją nagle błogi spokój.

- Co pani zrobi z dzieckiem, kiedy będzie pani musiała pójść do pracy?

- No właśnie.

- Przecież ma pani chyba jakieś plany?

- Tak naprawdę - jej beztroska przechodziła stopniowo w stan lekkiej hysterii - to wszystko wydarzyło się tak nagle, że nie miałam czasu pomyśleć.

Odwrócił się od niej z niesmakiem.

- Pani powinna być wzorem dla tych dziewcząt. - Znow przeniósł na nią swój karcący wzrok. - Czy zawsze postępuje pani tak na łapu-capu?

- Nigdy! - wrzasnęła. - To wszystko stało się niezależnie od mojej woli. Tak po prostu wyszło. Prowadzę bardzo uporządkowany tryb życia. Kocham stabilizację. Ale co miałam zrobić? Odesłać małą?

- Oczywiście, że nie, ale nie powinna jej pani wszędzie ze sobą ciągnąć.

- Dlaczego? - spytała z wojowniczym błyskiem w oku.

- Może pani zaszkodzić dziecku. Poza tym to zupełnie nieestosowne. Jeśli zamierza pani trenować drużynę w biegach przełajowych.....

- A więc wie pan, kim jestem?

- Oczywiście. To mój obowiązek. Nie miałem natomiast pojęcia o dziecku i muszę pani powiedzieć, że przynoszenie dziewczynki tutaj uważam za wysoce nierozsądne. Moi podopieczni borykają się z wieloma problemami i należy im poświęcić maksimum uwagi.

- Nic innego nie robię.

- Naprawdę nie rozumie pani, że to kwestia dyscypliny? - Westchnął. - Przez wiele lat życie tutaj było zupełnie nie zorganizowane. Lekcje odbywały się nieregularnie, nie sprawdzano listy. Uczniowie nie przestrzegali ciszy nocnej, a ich zachowanie pozostawiało wiele do życzenia. Oni nie wiedzą, że na nagrodę trzeba zasłużyć, nie umieją też z niczego zrezygnować. Dostają wszystko, czego chcą, a jeśli nie - zdobywają to podstępem. Zostali w taki sposób wychowani, a szkoła nie miała na nich żadnego wpływu. Doszło do wielu skandali - zatrucie alkoholem, zażywania narkotyków, bójek z miejscowymi. A teraz ja mam zrobić z nimi porządek. - Przechesał palcami włosy. - Właśnie dlatego muszę zaprowadzić dyscyplinę. Chodzi o zasady.

Perrine mówił to wszystko z miną winowajcy i Paige pomyślała, że może tłą się w nim

resztki ludzkich uczuć.

- A zasady muszą być przestrzegane przez wszystkich bez wyjątku - dodał, kładąc tym samym kres jej nadziejom. - Nikomu nie wolno zabierać dzieci do pracy.

- Nie jestem tu służbowo, tylko jako przyjaciel.

- W takim razie, kiedy następnym razem przyjdzie pani na trening, proszę zostawić dziecko w domu.

- Ale bieganie z dziewczętami to również nie jest praca, tylko przyjemność - zaproponowała, bo czuła, że słuszność jest po jej stronie. - To zabawa i dlatego nie otrzymuję za nią wynagrodzenia. Bardzo lubię przebywać w towarzystwie pańskich wychowanków. Troszczę się o nich. Myślałam, że pan również, więc nie rozumiem, dlaczego nie pozwolił mi pan dokończyć tej ważnej rozmowy. Te dziewczęta potrzebowały autorytetu kogoś dorosłego. Zanim przyjechałam, były na skraju hysterii. Nic to pana nie obchodzi? Naprawdę uważa pan, że liczą się tylko ich wyniki w nauce? Jest pan wyłącznie urzędnikiem?

Mruknął coś z niesmakiem, oparł ręce na biodrach i wyjrzał przez okno.

- Wszystko się tu wali. Nie mamy pieniędzy, ledwo wiążemy koniec z końcem. Już nawet nie mówię o wprowadzaniu jakichkolwiek ulepszeń. Rada Szkoły jest przerażona, bo twierdzi, że przekroczyliśmy limit wydatków, a uczniowie odchodzą masowo ze szkoły i tracimy coraz więcej pieniędzy. Więc tak, w pewnym sensie ma pani rację, muszę być urzędnikiem, co wcale nie znaczy, że nie troszczę się o moich wychowanków. Gdybym o nich nie dbał, nie przyjeżdżałbym do tego przeklętego miasta. W końcu, do diabła, wiele lat pracowałem jako nauczyciel.

Paige pomyślała, że jest o wiele sympatyczniejszy, kiedy tak się wścieka, a już na pewno bardziej ludzki.

- Naprawdę?

- Nie wierzy mi pani? Uczyłem przedmiotów ścisłych.

- Myślę, że głównie matematyki. Stosuje się w niej najbardziej sztywne reguły.

- Wcale nie jestem sztywny.

- W każdym razie ja odniosłam takie wrażenie. Jeśli te dzieci zaczną wzorować się na doktor O'Neill i masowo popełniać samobójstwa, będzie je pan miał na sumieniu.

Z nosidełka dobiegło ją cichutkie kwilenie i Paige nie zdążyła się nawet nacieszyć swoją tyradą.

- O mój Boże! Odezwała się!

Sami miała przymknięte oczy. Płakała przez sen.

- Może zrobiła siusiu - zasugerował Noah.

- Dziękuję. Sama nigdy bym się nie domyśliła. - Usiłowała ukołysać dziecko, ale miała nadal popłakiwała.

- Albo ma już dosyć tego nosidelka. Przylepiła ją pani do siebie jak plaster. Jak by się pani czuła na jej miejscu?

- Był taki czas, kiedy o niczym innym nie marzyłam. - Gładziła plecy dziewczynki, ale ona wciąż narzekała.

- Trzeba ją położyć do odpowiedniego łóżeczka.

- Nie mam odpowiedniego łóżeczka.

- Ale mówi mi pani, jak należy postępować z dziećmi?

Nie była w nastroju do takich rozmów. A już na pewno nie miała ochoty na dyskusje z Noahem Perrine'em. Była zbyt zmęczona, spięta i niespokojna.

- Zgoda. Muszę ją położyć. - Skierowała się do wyjścia i mówiła dalej, usiłując przechrzyczyć płacz Sami. - Ale i tak wiem coś na temat pańskich podopiecznych i to coś mówi mi wyraźnie, że oni potrzebują pomocy. Moim zdaniem albo powinien pan zwrócić się do psychologa, albo pozwolić mnie i moim kolegom porozmawiać z najbardziej przygnębionymi uczniami. Uważam, że ich stan jest naprawdę groźny. Możemy na ten temat dyskutować godzinami, ale fakt pozostanie faktem.

Wyszła ze szkoły i ruszyła przez trawnik w stronę samochodu, łamiąc tym samym jeden z zakazów Perrine'a, ale za to nie zbacząc z drogi.

- No dobrze! - zawołał za nią. - Niech pani przyjdzie jutro. Zresztą już się pani z nimi umówiła.

Szła dalej, nie odwracając się do niego.

- W porządku. Ale zabiorę dziecko ze sobą. Gdzie ja, tam i ona. - Otworzyła drzwiczki auta i wśliznęła się do środka.

- Chyba nie zamierza pani tak jechać? - zapytał przez otwarte okno.

- Mogę ewentualnie przypiąć ją pasem do siedzenia pasażera. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że jest bezwładna jak worek kartofli i w dodatku bardzo niespokojna, uważam, że nie byłoby to najlepsze wyjście. W nosidelku będzie bezpieczniejsza. - Włączyła silnik, wrzuciła bieg i ruszyła.

- Musi pani kupić fotelik samochodowy! - wrzasnął.

Zignorowała go i dojechała krętą ścieżką aż do samej bramy. Noah Perrine znalazł się już poza zasięgiem jej wzroku, a Sami przestała płakać.

Paige zatrzymała się przed znakiem stopu, popatrzyła w prawo i w lewo, wyjechała na główną drogę. Ruszyła wolno w stronę domu, odczuwając coraz większe znużenie, tak jakby wykorzystywała już całą pojemność umysłu i ogarniała intelektualnie tylko podstawowe kwestie.

Właściwie chciałyby, żeby ten stan utrzymywał się jak najdłużej, ale jej pragnienia nie ziściły się. Kiedy już ułożyła Sami na środku swego ogromnego łóżka i rozłożyła kojec - dziewczynka musiała zadowolić się takim posłaniem do czasu przewiezienia łóżeczka z domu Mary - poczuła, że znowu drżą jej ręce.

Jakimś cudem zdołała przewinąć dziewczynkę, napić ją i umieścić w kojcu. I wtedy przypomniała sobie swoje własne słowa:

Jeśli przytrafia się takie nieszczęście jak śmierć doktor O'Neill, powinniśmy przynajmniej wysnuć z tego wniosek dla siebie. A wniosek jest taki, że należy zwierzać się innym ze swoich zmartwień.

W chwilę później telefonowała do Angie.

Rozdział czwarty

Angie Bigelow mawiała często, że pierwsze dziewięć miesięcy swego istnienia poświęciła lekturze „Time'a”, natomiast jej matka twierdziła, że z całą pewnością był to „Newsweek”. Dyskusja okazała się bezprzedmiotowa, ponieważ Angie została i tak wykształconą kobietą. Poza tym miała fotograficzną pamięć i doświadczenie życiowe, co pozwalało jej wykorzystywać teorię w praktyce. Dzięki temu Angie głęboko wierzyła w siebie.

Pacjenci kochali ją, bo rzadko się myliła. Kiedy twierdziła, że pacjent cierpi na infekcję wirusową, a choroba trwać będzie ni mniej, ni więcej tylko dwa tygodnie, jej diagnoza zawsze okazywała się trafna. Jeśli upierała się, że kończyna nie jest złamana, a jedynie stłuczona - z pewnością tak właśnie było. Angie jak gąbka pochłaniała literaturę fachową, znała wszystkie nowinki medyczne, a zatem wiedziała, jakie badania są warte zachodu i jakie lekarstwa działają najskuteczniej. Miała poza tym niezwykłą intuicję i potrafiła bardzo wiele wywnioskować z samej rozmowy z pacjentem. Traktowała medycynę w sposób o wiele bardziej naukowy niż większość lekarzy.

Do prowadzenia domu podchodziła również bardzo poważnie. Była świetnie zorganizowa-

wana, dokładna i sumienna. Wszystko miało swój czas i miejsce - zakupy w czwartki po południu, pranie codziennie po kolacji, sprzątanie w niedzielę wieczorem. Mogła właściwie prosić o pomoc Bena - jej mąż pracował w domu - ale sama wszystko robiła najlepiej. Szczyciła się, że potrafi świetnie godzić obowiązki żony i matki z karierą zawodową.

Właśnie dlatego w ten piątkowy wieczór postanowiła podwoić wysiłki i przygotować kolację z kilku dań - zupę z soczewicy, wątlusza, sałatkę i pieczone jabłka z miodem. Pogrzeb Mary stanowił swoistą kulminację trzech minionych dni, które okazały się niezwykle trudne dla nich wszystkich. Ich dom wciąż okryty był kirem, ale Angie miała nadzieję, że smutek choć trochę się rozproszy, gdy wszystko nabierze pozorów normalności.

Skończyła zmywać i zaczęła właśnie wycierać kuchenną ladę, kiedy usłyszała telefon. Odebrała, żeby ubiec syna, ponieważ sądziła, że dzwoni jego koleżanka. Dziewczyna telefonowała dwa razy w środę, trzy razy w czwartek, a dzisiaj już dwukrotnie. Młode, zakochane dziewczyny bywają natrętne i przysparzają wiele zmartwień matkom czternastoletnich synów, gdyż one wiedzą, do czego są zdolne dorastające panienki. A Dougie nie był jeszcze gotów, by zadawać się z taką dziewczyną. Nie był jeszcze gotów, by zadawać się z jakąkolwiek dziewczyną.

Ale to nie była Melissa. Angie usłyszała w słuchawce zgnębiony głos Paige. Opanowana zwykle przyjaciółka mówiła coś nieskładnie o Marze, łóżeczku i opiekunce do dzieci. Angie przerwała jej i poprosiła, żeby zaczęła od początku. Kiedy wreszcie zrozumiała, o co chodzi, nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

- Dziecko Mary? Z Indii? Chyba żartujesz!

- Leży teraz tuż przy mnie, maleńka jak ziarnko grochu, ale zupełnie prawdziwa. I na razie jest moja, Angie. Ma tylko mnie, a ja muszę iść jutro do pracy i w dodatku w przyszłym tygodniu będę przyjmować pacjentów Mary. Nie mówię już o treningach i wyścigu w Mount Court. A to przecież nie jest kwestia tego jednego tygodnia. Co mam robić?

Angie usiłowała najpierw dociec, dlaczego dziecko w ogóle pojawiło się tak wcześnie.

- Mara z pewnością nie wiedziała, że może już w tych dniach oczekiwać Sameery.

- Wiedziała. Pracownica agencji rozmawiała z nią w poniedziałek.

- W takim razie jak by mogła odebrać sobie życie? Tak się przecież cieszyła, że będzie mogła adoptować tę dziewczynkę. Czekala na nią jak na zbawienie. Co się stało?

- Nie wiem!

- Dlaczego nie powiedziała nam, że dziecko jest już w drodze?

- Nie wiem! - zawyła w słuchawkę Paige.

Angie przypomniała sobie, że Mara równie często napomykała o pechu i klątwie, jak o łasce boskiej i zbawieniu. Myślała wówczas, że przyjaciółka po prostu żartuje. A jeśli wcale nie żartowała?

- Może była przesadna? Może myślała, że jeśli nam powie, to coś się nie uda?

- Do diabła! Gdyby nam powiedziała, próbowałybyśmy się jakoś przygotować!

- Zakładając, że planowała samobójstwo.

- Nawet jeśli nie, powinna nas uprzedzić. Przyjaźniłyśmy się przecież. Powinna nam powiedzieć, kiedy dziewczynka ma przyjechać. Powinna powiedzieć, że jest załamana, że zażywa valium i traci kontrolę nad sobą. A niech to wszyscy diabli, Angie! A niech to wszyscy diabli!

- Zaraz przyjadę - odparła Angie po chwili namysłu. - Opanuję sytuację tutaj i natychmiast ruszam do ciebie.

Paige wciągnęła spazmatycznie powietrze.

- Wszystko w porządku. Naprawdę nie musisz.

Ale Angie czuła, że musi. Wprawdzie usilnie próbowała powrócić do normalnego trybu życia, lecz wciąż przeżywała bardzo boleśnie śmierć Mary. Ciągle miała przed oczami głęboką, ciemną dziurę w ziemi, do której spuszczone trumnę, i w żaden sposób nie potrafiła wymazać tego obrazu z pamięci. Wciąż stawiała sobie pytanie, czy mogła w jakiś sposób temu zapobiec, i choć nie sądziła, by Paige mogła pójść śladem Mary, nie zamierzała ryzykować.

Chciała z nią porozmawiać.

I zobaczyć dziecko.

Ben leżał na kanapie i zmieniał właśnie kanał z CNN na C-Span, a pod ręką miał szkicownik na wypadek, gdyby chciał zrobić czyjaś karykaturę. Patrzył jednak przed siebie szklistym wzrokiem i widać było, że nie może się skoncentrować. Śmierć Mary głęboko nim wstrząsnęła.

- Jadę do Paige, kochanie - powiedziała Angie, przerywając jego zamyślenie. - Pamiętaj, że Mara miała adoptować tę małą dziewczynkę z Indii? Wyobraź sobie, że ona przyjechała! Jest u Paige.

Ben nawet nie drgnął. Tylko wyraz jego oczu zdradzał zdziwienie.

- Wydawało mi się, że Mara oczekiwała jej dopiero za kilka tygodni.

- Tak mówiła. Ale dziewczynka przyjechała dzisiaj i Paige jest bliska hysterii.

- Ona wie, jak należy zajmować się dziećmi. Jest przecież pediatrą.

- Pediatrzy nie potrafią się opiekować własnymi dziećmi.

- Ty potrafiłaś.

- Jestem wyjątkiem. A poza tym przez cztery lata nie pracowałam, żeby poświęcić się całkowicie Dougiemu. I byłeś ty. A Paige nie ma męża, który będzie ją utrzymywał. Ty mogłeś zapewnić mi ten luksus.

- Ona chce zatrzymać to dziecko?

- Nie mam pojęcia, ale porozmawiam z nią na ten temat.

- A ty uważasz, że powinna?

- Nie wiem. Chcę najpierw wysłuchać Paige.

Z buntowniczą miną usadowił się na kanapie i zapatrzył w ekran. Angie wiedziała, że jest wściekły z powodu śmierci Mary. Ona sama również była wściekła. Złościła ją ta bezsensowna śmierć i strata oddanej przyjaciółki oraz wspaniałego lekarza w jednej osobie.

- Powiem Dougiemu, że wychodzę - powiedziała łagodnie. - Zrób to dla mnie i odbieraj telefony. Jeśli zadzwonią z centrali, powiedz, że jestem u Paige. Jeżeli natomiast zatelefonuje Melissa, nie pozwól Dougiemu rozmawiać z nią zbyt długo.

- Dlaczego? Tak ciężko przeżył pogrzeb Mary. Przydałoby mu się trochę rozrywki. Poza tym jest piątek, jutro nie idzie do szkoły.

- Chodzi mi o jego znajomość z tą dziewczyną. Dougie skończył dopiero czternaście lat.

- I co mu z tego, jeżeli nie może nawet rozmawiać z koleżanką przez telefon?

- Nie zapomnij poszukać smokingu. Jest na strychu. Jeśli nie będzie pasował, musimy go oddać jutro do krawca.

Ben zapadł się głębiej w kanapę.

- Uroczystość rozdania nagród jest dopiero za kilka tygodni.

- To prawda - potwierdziła, odrywając dłoń od futryny - ale miałeś go na sobie ostatnio aż sześć lat temu. Nawet jeśli rozmiar jest dobry, fason może okazać się niemodny i będziemy musieli kupić nowy. Dzięki tej nagrodzie zyskasz sławę w całym kraju. Chcę, żebyś naprawdę świetnie wyglądał. - Angie była dumna z Bena, który okazał się tak utalentowanym karykaturzystą.

Poszła na górę do pokoju Dougiego. Drzwi były zamknięte. Zapukała, otworzyła je i wsunęła głowę do środka. Dougie leżał na łóżku i był wyraźnie zły, że mu przeszkodziła. Najprawdopodobniej wiedział dokładnie, kiedy skończyła rozmowę z Paige, bo zdążył się już dorwać do słuchawki. Na widok matki szybko przysłonił mikrofon.

- Nawet nie zaczekałaś na „proszę”. Uśmiechnęła się.

- Jestem twoją mamą. Nie potrzebuję zezwolenia. - Zamilkła i pomyślała o Marze. - Dobrze się czujesz?

- Chyba tak - odparł, wzruszając ramionami.

- Z kim rozmawiasz?

- Z kolegami ze szkoły.

Angie wiedziała, jak to się zazwyczaj odbywa. Prawdopodobnie z pół tuzina dzieciaków kłębiło się wokół automatu i każdy wtrącał swoje trzy grosze do rozmowy.

- Melissa też tam jest? Znowu wzruszył ramionami.

- Nie rozmawiaj zbyt długo - powiedziała, wykazując, jej zdaniem, i tak wystarczająco dużo tolerancji. - Jadę do Paige. Pamiętasz, że Mara miała adoptować dziewczynkę? Ona właśnie przyjechała.

Otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

- Jest u Paige.

- I co ona ma zamiar z nią zrobić?

- Właśnie będziemy o tym rozmawiać. Możliwe, że wrócę dopiero za parę godzin. Wyciągnij ojca na kosza. Reflektory na boisku już są naprawione.

- Chciałem pójść do Reelsa.

Angie natychmiast się zaniepokoiła. Odkąd wychowawcy zaczęli częściej kontrolować sypialnie, wypożyczalnia kaset wideo z barkiem na zapleczu stała się ulubionym miejscem spotkań uczniów z Mount Court.

- Kto się tam wybiera? - spytała łagodnie.

- Parę osób.

- Melissa też?

- Może - odparł i po raz kolejny wzruszył ramionami. - Nic się nie stanie, mamó. Oni muszą wrócić o dziesiątej.

- Wolałabym, żebyś tam nie chodził, Dougie. Nie dzisiaj. - Angie westchnęła.

- Mara nie miałaby nic przeciwko temu.

- Nie dzisiaj.

- Dlaczego? - zapytał, zakrywając słuchawkę jeszcze szczelniej.

- Bo takie paczki jak wasza mają talent do popadania w tarapaty. Pamiętam, że zeszłej wiosny policja zatrzymała w samym centrum miasta grupę młodych ludzi, którzy ciskali pusz-

kami po piwie w pomnik upamiętniający ofiary wojny. Upili się i sprofanowali pomnik. Wszyscy byli niepełnoletni.

- Ale my wybieramy się do Reelsa.

- A nie opodal jest apteka, sklep i ten wielki magazyn. Wystarczyło dać parę groszy kierowcy, rozładowującemu tam swoją ciężarówkę, żeby kupił o parę piw więcej.

- Bardzo mnie niepokoi ten pomysł, Dougie.

- Nie wierzysz mi?

- Tobie tak, ale nie mam zaufania do reszty.

- Oni są w porządku.

- Z pewnością.

Jak wszystkie dzieci. Niektóre były tylko zagubione i zbuntowane, ale generalnie dobre. Niestety i te najlepsze miały czasem głupie pomysły.

- Mamo - szepnął z pretensją. - Mam czternaście lat. Stawiasz mnie w głupiej sytuacji.

Pierwszy raz musiała podejmować tego rodzaju decyzję. Siódmoklasiści musieli wracać do internatu przed ósmą, chyba że wychodzili do miasta pod opieką wychowawcy. Oczywiście niektórzy łamali regulamin, ale Dougie nigdy nie obracał się w ich towarzystwie.

Westchnęła.

- Zrób to dla mnie, dobrze? Miałam ciężki dzień i nie najlepiej się czuję. Nie chcę dodatkowych powodów do zdenerwowania i martwić się jeszcze o ciebie, a z pewnością będę umierać z niepokoju, jeśli pójdziesz do Reelsa. Może innym razem.

- Ale...

- Tata też potrzebuje pomocy. Jest mu bardzo smutno.

- Ale...

Uniosła dłoń, posłała mu całusa i wyszła.

Na dole wrzuciła bieliznę do pralki, chwyciła kluczyki i skierowała się do drzwi. Usiłowała jakoś uporządkować myśli i doszła do wniosku, że byłoby lepiej dla Paige, gdyby rano nie musiała iść do pracy.

W soboty przyjmowali między dziewiątą a dwunastą. Zazwyczaj opatrywali tylko skaleczenia, pacjentów mieli niewielu i wystarczyło, żeby na dyżurze był tylko jeden lekarz. Zawsze droczyli się między sobą, kto ma go pełnić tym razem.

Angie pomyślała, że najlepiej by było, gdyby Peter mógł zastąpić Paige. Wróciła więc do kuchni, żeby do niego zatelefonować.

Jak świat światem, wszyscy w mieście, którzy mieli ochotę się napić, przychodzili do Tavern. Peter pamiętał dobrze, że pił tu jego ojciec, a przedtem dziadek. Wystrój wnętrza zmienił się - kostropate stołki zastąpiono lakierowanymi ławami z sosnowego drewna, a zamiast gołych żarówek u sufitu paliły się lampy od Tiffany'ego - ale i tak było tu swojsko. Trzej starsi bracia Petera mawiali często, że żaden facet z Tucker, który nie dorobił się stałego miejsca w Tavern, nie stał się jeszcze prawdziwym mężczyzną. Wedle tych kryteriów, Peter osiągnął wiek męski w wieku trzydziestu lat, kiedy to wrócił do swego rodzinnego miasta z dyplomem i zaświadczeniem o ukończeniu stażu z pediatrii w kieszeni. Dopiero wtedy najmłodszy przedstawiciel rodu Grace'ów zdobył się na odwagę i wybrał sobie miejsce w gospodzie.

Był to drugi stolik od wejścia, lepiej widoczny niż te ukryte w głębi sali. Peter chciał, żeby ludzie go zauważali. Stał się ważną osobistością w mieście - niewielu rodowitych mieszkańców Tucker zwiedziło taki kawał świata i dokonało tylu ważnych rzeczy. A Peter został przecież lekarzem. Zyskał szacunek i ogromną sympatię pacjentów. Ich uwielbienie działało na niego jak balsam. Stało się oznaką sukcesu, jakiego nie można kupić za żadne pieniądze, i rekompensowało mu wszystkie dotychczasowe przegrane.

Dlatego też, widząc swoich braci przy zwykłych, gorzej położonych stolikach w głębi lokalu, odczuwał pewien rodzaj satysfakcji. Niegdyś bracia Petera uchodzili w swoim rodzinnym mieście za gwiazdy. Ich nazwiska ukazywały się w nagłówkach artykułów w sekcji sportowej „Tucker Tribune” - strzelali bramki, egzekwowali rzuty wolne, wygrywali biegi przełajowe, a on, najmłodszy, musiał znosić kpiny i docinki swoich kolegów. Był niski, niezgrabny i nie mógł sprostać stawianym mu wymaganiom. Stworzył więc sobie swój własny, spokojny świat, w którym mógł czytać, uczyć się i marzyć o dniu, kiedy im powinie się noga, a za to on będzie triumfować.

Teraz jego marzenia spełniły się. Jego bracia pracowali na budowie, on natomiast udawał, że jest samym Panem Bogiem. Był w świetnej formie, a oni mieli spracowane ręce, wydatne brzuchy i tak... rzeczywiście, obolałe nogi. Chudy słabeusz wyrósł na wysokiego, silnie zbudowanego mężczyznę. Potargane niegdyś kosmyki nabrały kasztanowatej barwy i zostały starannie przystrzyżone ręką profesjonalisty. Peter ubierał się jak człowiek obeznany z wielkomiejską modą, którą skutecznie przynosił na prowincję.

Tego wieczoru świętował. Oczywiście nikomu się do tego nie przyznał. Większość mieszkańców Tucker sądziła, że Peter topi w piwie żal po śmierci Mary.

A tak naprawdę smutek łagodniał wraz z każdą grudką ziemi, spadającą z łopat grabarzy

na jej trumnę. Grace został przy grobie najdłużej - chciał się przekonać na własne oczy, że ona naprawdę zniknęła dwa metry pod ziemią.

Była niebezpieczną kobietą. Potrafiła zjednywać sobie ludzi, zbliżać się do nich, by potem zadać im cios w plecy. Postąpiła tak ze swoim mężem, a potem z Peterem. Naprawdę niebezpieczna kobieta - żeby nie powiedzieć więcej. Miał szczęście, że udało mu się uciec.

Pociągnął saźnisty łyk piwa i odstawił szklanę, kiedy do Tavern weszło kilku robotników ze stalowni. W drodze na swoje miejsca w głębi sali, musieli minąć jego stół.

- Szkoda doktor O'Neill.
- Wielka strata dla miasta.
- Parła naprzód jak czołg.

Peter przytaknął w milczeniu. Nie musiał się silić na odpowiedź. I tak wszyscy byli pewni, że to żal odbiera mu głos. Odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie sobie poszli. Jak czołg? Tak, rzeczywiście mieli rację. Kiedy Mara raz coś postanowiła, nigdy się nie poddawała. Ale można przecież znaleźć innego lekarza, a do tego czasu on, Paige i Angie dadzą sobie świetnie radę sami.

Przysiadła się do niego Susan Hawes, właścicielka Tavern. Była urodzoną gospodynią, prawdziwą gawędziarką.

- Pastor wygłosił piękną mowę pogrzebową - zauważyła. - Ale tym trudniej mi teraz zrozumieć, dlaczego taka kobieta jak Mara odebrała sobie życie. Oczywiście w takich sytuacjach duchowni nie opowiadają o wadach zmarłych. - Zebrało się jej na wspominki. - Nie bywała tu często, ale kiedy już przyszła, piła równo ze wszystkimi.

Kiedyś Henry Mills chciał ją spoić. W końcu zrobiło mu się głupio i zrezygnował. Następnego dnia wrócił, ale tamtego wieczoru po raz pierwszy w życiu poszedł trzeźwy do domu.

Peter zaczął wyłamywać sobie palce.

- Miała w sobie coś niezwykłego - powiedział.
- Słyszałam, że była wtedy kompletnie pijana. Potrząsnął przecząco głową.
- W takim razie co się stało?

Wzruszył ramionami. Wiedział o valium, ale nie miał pojęcia, że bierze aż tyle.

- Nie było mnie przy tym. Nie wiem.
- Widywała się z kimś z miasta?
- Nie.
- Nie miała żadnego faceta?

- Nie.

- Spudowi Harveyowi będzie bez niej ciężko. Wodził za nią oczami, kiedy tylko się pojawiła. Dostał szau, jak raz się umówiła z jego bratem. Spud był w niej zakochany, ale proszę mu nie mówić, że panu wygadałam.

Peter miał właśnie powiedzieć jej bez ogródek, że Mara przerastała obu Harveyów pod względem intelektualnym i każdym innym o parę klas, ale zadzwonił pager. Susan pokazała mu automat za kontuarem i odeszła. Wybierając numer centrali, ani na chwilę nie przestawał myśleć o Marze. Wiedział o tej historii ze Spudem. Spędziła z nim jeden szalony weekend, który nic nie znaczył. Robiła czasem takie rzeczy.

Ale śmierć? Śmierć jest ostateczna. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Mara dokonała takiego właśnie wyboru.

- Słucham, gabinet.

- Dobry wieczór, Trudie. Mówi Peter Grace.

- Jak się masz. Doktor Bigelow zostawiła właśnie wiadomość z prośbą, żebyś jutro rano zastąpił doktor Pfeiffer. Jeśli to dla ciebie problem, zadzwoń do niej wieczorem.

- Dziękuję. - Westchnął.

Problem? Nie, to nie był dla niego żaden problem. Miał wprawdzie nadzieję, że się wyspi, ale równie dobrze mógł iść do pracy. Nie wysypiał się, a właściwie prawie w ogóle nie spał, odkąd dowiedział się o śmierci Mary. Cały czas prześladowały go demony - przypominały nieubłagane o ich ostatnim spotkaniu.

Był czwartek po południu. Mara przysłała do niego pielęgniarkę z pytaniem, czy będzie mógł przyjąć jej ostatniego pacjenta. Pracowali razem między innymi po to, by w razie potrzeby wzajemnie się zastępować, a on był już tak zmęczony, że nawet nie miał siły się zdenerwować. Zajrzał więc tylko do jej gabinetu i zobaczył, że Mara stoi przy biurku.

- Co się dzieje, Maro?

Patrzyła na niego z zakłopotaniem.

- Ja...

- Jesteś chora? - Świetnie pamiętał tę rozmowę. - Okropnie wyglądasz.

Milczała. Patrzyła na niego przez chwilę z takim samym zażenowaniem, a potem, jakby jakaś wewnętrzna iskra dodała jej sił, ruszyła pędem naprzód, minęła go i pobiegła korytarzem w stronę wyjścia.

- Chryste! - mruknął, ale już go nie słyszała, jak również i tego, że nawymyślał jej od

szajbusek.

Cały czas widział, jak tak biegnie przez korytarz. Ten obraz wciąż pojawiał mu się przed oczami. Pomyślał, że może to Mara nawiedza go z za grobu.

Lacey przysłała w chwili, gdy siadał z powrotem przy stoliku.

- Długo tu jesteś? - spytała z uśmiechem.

- Dziesięć minut - odparł i siadając poprawił eleganckie szelki. Upił spory łyk piwa, jakby chciał zyskać na czasie, by móc się przestawić z Mary na Lacey.

Lacey prezentowała się świetnie. Miała dwadzieścia osiem lat, Peter czterdzieści jeden, ale ta różnica wieku nie miała dla niego znaczenia. On zawsze wiedział wszystko lepiej, był bardziej doświadczony, podejmował decyzje. A poza tym pochodził z Tucker, a ona przyjechała tu cztery miesiące temu na zlecenie wydawnictwa z Bostonu, żeby popracować nad biografią najstarszego, studwuletniego mieszkańca miasta, zbierającego historie z życia Nowej Anglii na przełomie wieków. Peter zdradzał Lacey miejscowe sekrety, a ona pokazywała się z nim publicznie. Wielu mieszkańców Tucker zazdrościło Peterowi znajomości z tak atrakcyjną dziewczyną, a Grace bardzo się z tego cieszył.

- Jak było? - spytała Lacey, wykrzywając usta.

Peter wiedział, że pyta o pogrzeb. Nie brała w nim udziału, nie знаła Mary. Już on skutecznie się o to postarał.

- Nie tak strasznie.

- Smutno?

- Wszystkie pogrzeby są smutne. Ale ten wypadł zadziwiająco dobrze - powiedział, choć w rzeczywistości wcale nie był zdziwiony. Mara prowadziła tak aktywny tryb życia, że naprawdę wiele ją łączyło ze wszystkimi obecnymi na pogrzebie ludźmi. Zdumiał go natomiast ich stosunek do Mary, biorąc pod uwagę, w jakich okolicznościach umarła. Oczekiwał złości i urazy, pretensji, że ich opuściła. A tymczasem ten cholerny cmentarz aż dymił miłością.

- Jak przyjęli to jej rodzice? - zapytała Lacey. Poluźnił szelki.

- Powiedziałem im, że była bardzo dobra dla swoich pacjentów. Kiwali głowami ze stoickim spokojem. Chciałem być miły i dodałem, że dzielnie walczyła o swoje idee, ale to był kiepski pomysł. O'Neillowie woleliby słodką, małą kobietkę z mężem i dziećmi. - Zaśmiał się głośno. - Wyobrażasz sobie? Całkowite przeciwieństwo Mary.

- Właściwie dlaczego?

- Nie potrafiła spokojnie usiedzieć w jednym miejscu, musiała być w ciągłym ruchu,

chciała cały czas coś robić. Mara nie mogłaby przysiąc miłości i posłuszeństwa. Ona nie słuchała nikogo. To było wbrew jej naturze.

- Nigdy nie wyszła za mąż?

- Owszem. Zanim przyjechała do Tucker. Ale spieprzyła sprawę, facet przedawkował. I tak dobrze, że nie mieli dzieci, bo z nimi też nie dałaby sobie rady. Rozmieniała się na drobne, dlatego właśnie tak przeżyła ucieczkę tej małej Johnie. Mara zajmowała się zbyt wieloma rzeczami naraz i z tego powodu nie robiła niczego dobrze. Trudno mi uwierzyć, że myślała o adopcji. Lacey zamówiła kieliszek wina.

- Dlaczego tak jej nienawidziłeś? - spytała, kiedy tylko kelnerka odeszła od stolika.

Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Nieprawda - odparł.

- Dobrze. Nie lubiłeś.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo mówisz o niej w taki sposób. Przez zaciśnięte zęby.

- Czyżbyś stała się ekspertem od moich nastrojów?

- Nie jestem ekspertem. Po prostu cię obserwuję.

- Daj sobie spokój z psychoanalizą, dobrze?

- To nie ma nic wspólnego z psychoanalizą. Twierdzą tylko, że masz problem związany z osobą Mary O'Neill.

- A ja twierdzą, że nie mam żadnego problemu - odparł stanowczo. Musiał dbać o swój wizerunek, a nienawiść nie pasowała do idealnego obrazu, jaki chciał stworzyć na użytek mieszkańców Tucker. - Pracowaliśmy razem przez dziesięć lat. Byliśmy przyjaciółmi. Niemniej jednak - wyrwało mu się - nie uważam wcale, że była taka święta, za jaką wszyscy ją tu uważają. Na miłość boską, przecież popełniła samobójstwo! Odebrała sobie życie, a zatem postąpiła jak skończona egoistka. Gdybyś była na cmentarzu, przyznałabyś mi rację. Ci ludzie przyszli na pogrzeb, żeby złożyć jej hołd, choć tak bardzo ich zawiodła. Nas również zawiodła. Mam na myśli siebie, Paige i Angie. Liczyliśmy na nią. Miała swoje zadania do wykonania. A ona nagle znika, z własnej woli, ot tak po prostu, bez słowa, bez ostrzeżenia.

Wpatrzył się ponuro w kufel. Widział grób Mary, a jednak nie wierzył, że odeszła. Uważał, że jest zbyt silna, żeby pozwolić pokonać się śmierci już za pierwszym podejściem.

Z drugiej strony, Mara wcale nie zawsze była taka, za jaką ją uważano. Miała swoje drugie, delikatne i bezbronne oblicze. On to dostrzegał. Nie wiedział jednak, czy inni również.

Drzwi Tavern otworzyły się ponownie i do środka wszedł Jamie Cox, najbardziej majątny właściciel nieruchomości w mieście. Należało do niego centrum handlowe, połowa zaniedbanych kamienic czynszowych w dolnym Tucker i jeszcze wiele innych posesji, porzrzucanych po różnych dzielnicach. Cox był wysoki, chudy, ubrany w przykrótkie i przyciasne ubranie, które nadawało mu żaloszny, świetnie pasujący do niego wygląd.

- A więc odeszła, tak? - powiedział, zatrzymując się przy stoliku Petera. - Skłamię, jeśli powiem, że będę za nią tęsknił. Porządnie zalażła mi za skórę.

- Ona też cię miała w głębokim poważaniu - warknął Peter.

- Nie podobało jej się to, co robię. Nie zaprzeczam.

Peterowi również się to nie podobało. Nie był wprawdzie takim rycerzem krzyżowym jak Mara, ale wiedział, że Cox doprowadza kamienice do ruiny.

- Musisz przyznać, że dolne Tucker jest w opłakanym stanie. Nie możesz zaprowadzić tam trochę porządku?

- To należy do lokatorów. I tak jest zapisane w umowie.

- Ale malowanie wchodzi w zakres twoich obowiązków, prawda?

- Zrobię remont, jeżeli oni wysprzątają podwórka.

- Daj spokój. Przecież masz pieniądze.

- Chryste, gadasz zupełnie jak ona - jęknął Jamie. - Jeżeli masz zamiar przejąć pałeczkę, nie zwracaj sobie głowy. Wszystko się tu kręci dzięki mojej forsie i dlatego mój głos też się liczy.

- Mara miała rację. - Grace mógł sobie pozwolić na ten szlachetny odruch na tak małą skalę. - Szczególnie co do kina. Gdyby wybuchł tam pożar, nikt nie uszedłby z życiem.

- Kino to kopalnia złota. W weekendy zarabiamy na filmach, a dodatkowe imprezy też przynoszą niezły zysk. Nie ma nawet śladu po biletach na planowane koncerty, ale zostawiłem kilka dla siebie, więc mogę ci ze dwa odstąpić. Chcesz?

- Nie jestem samobójcą - mruknął Peter.

James roześmiał się cicho i poklepał go po ramieniu.

- Jej też o to nie podejrzewałeś, prawda?

Odszedł, nie pozwalając mu na ripostę, i Peter poczuł, jak znowu zalewa go fala gniewu na Marę, bo musiał przyznać Coxowi rację. Rzeczywiście, nigdy by się nie spodziewał, że taka kobieta okaże się zdolna do samobójstwa. Nie sądził, iż Mara jest tchórzem, a jednak nim była. Gdyby miała trochę odwagi, nie zabiłaby się. Stawiłaby czoło smutkom.

Wcale jednak nie żałował, że jej nie miała. Pociągnął następny, uspokajający, chłodny łyk piwa. Były wprawdzie w ich wspólnym życiu chwile słabości, w których nie potrafił się jej oprzeć, chwile powagi, gdy wydawała mu się interesująca, oraz chwile radości, kiedy bawił się świetnie w jej towarzystwie, ale zdarzały się one niezwykle rzadko. Grace generalnie uważał, że Mara jest kobietą niezwykle trudną we współżyciu.

Poza tym nie była niezastąpiona. Ani jako lekarz, ani jako kochanka. Żywy dowód siedział teraz na wprost niego przy stoliku.

Rozejrzał się po sali, popatrzył na Lacey i nagle stracił ochotę na hamburgera i piwo. Wolałby zdecydowanie filet mignon i stare, czerwone wino.

- Mam lepszy pomysł - mruknął.

Rzucił parę banknotów na stolik, wziął Lacey za rękę i razem ruszyli do wyjścia.

Rozdział piąty

Fotografia w białej plecionej ramce stała jak zawsze na kominku. Było to czarno-białe zdjęcie, portret rodzinny - młoda jeszcze Nonny trzyma sześciolletnią Paige na kolanach, a z boku stoją rodzice dziewczynki, wyglądający młodziej niż na dwadzieścia pięć lat. Sprawiali wrażenie, jakby nieruchomy kadr zamknął ich na chwilę w pułapce, po to tylko, by w następnej mogli wyrwać się z potrzasku i uciec.

I uciekli. Paige pamiętała dobrze ten dzień. Obchodziła wtedy urodziny, z którymi wiązała wielkie nadzieje. „Zrobimy wszystko, o czym marzysz” - pisała jej matka w liście przysłanym tydzień wcześniej z Paryża. - „To będzie twoje święto.”

Tak więc Paige zaplanowała uroczyste śniadanie, a następnie wycieczkę z podmiejskiego Oak Park do sklepów w Chicago, gdzie miała sobie wybrać prezent urodzinowy, potem kino i wreszcie kolację, którą zamierzała przygotować wspólnie z Nonny. Chciała, żeby jej rodzice dostrzegli, jak bardzo jest dorosła, oraz docenili jej wspaniałe maniery. Była gotowa zrobić wszystko, żeby tylko byli z niej zadowoleni, i sądziła, że się jej to udało. Dziewczynka zrealizowała swoje zamierzenia, a Chloe i Paul powiedzieli jej, że jest wspaniała.

Tak więc, gdy pozowała do zdjęcia, była w siódmym niebie. Tuż po kolacji rodzice ucałowali ją mocno i ku jej wielkiemu zdziwieniu odjechali, a ona patrzyła za nimi przez okno w holu.

Do tej pory Nonny w takich sytuacjach zwykle usprawiedliwiała córkę i zięcia przed Paige, tłumacząc ich nieobecność ważnymi sprawami, spotkaniami albo urlopem, licząc na to, że dziewczynka nie jest jeszcze w stanie skupić na niczym uwagi dłużej niż przez chwilę, oraz na to, że brak jej poczucia czasu, co znacznie ułatwiało sprawę. Tym razem jednak Nonny zdobyła się na szczerść.

- Twoi rodzice mają wyjątkowe zamiłowanie do włóczęgi po świecie - wyjaśniła wnuczce, a Paige pamiętała każde jej słowo, choć od czasu tej rozmowy minęły już trzydzieści trzy lata. - Lubią podróżować i zajmować się coraz to nowymi rzeczami. Nie są w stanie usiedzieć zbyt długo w jednym miejscu.

- Dlaczego?

- Bo są ciekawi świata i to im nie minie. Dlatego wciąż zwiedzają. W zeszłym roku byli we Francji. W tym roku wybierają się do Włoch.

- A Chicago? - spytała Paige. Wydawało się jej, że to ogromne miasto, w którym pełno jest ciekawych rzeczy do oglądania. - Gdyby mieszkali w Chicago, mogłabym się stale z nimi widywać.

- Masz rację, ale oni już dokładnie obejrżeli Chicago. Zrobili to, kiedy byli jeszcze w twoim wieku - powiedziała Nonny. - A wraz z upływem lat ludzie muszą coraz szybciej przemieszczać się z miejsca na miejsce, żeby zaspokoić ciekawość.

- Rodzice moich koleżanek tego nie robią. Są na miejscu. Ja też chcę, żeby moi rodzice byli w domu.

- Wiem, króliczku. - Nonny mocno przytuliła dziewczynkę. - Ale oni są inni.

- Nienawidzą mnie.

- Ależ skąd!

- W ogóle mnie nie chcieli.

- To nieprawda. Dostali cię w prezencie ślubnym. Bardzo cię kochają. Po prostu tacy już są. Inni.

- Dlaczego?

- Między innymi dlatego, że twój ojciec nie musi pracować. Ma bardzo bogatych rodziców. Dostaje tyle pieniędzy, ile mu potrzeba, więc stać go na te wszystkie śliczne rzeczy dla ciebie i podróże z twoją mamą.

- Dlaczego ja nie mogę z nimi jeździć?

- Bo musisz chodzić do szkoły. Ale czasem zabierają cię ze sobą. Pamiętasz? W zeszłym

roku byliście razem w Nowym Jorku. Bardzo ci się tam podobało.

Paige pokiwała głową.

- Ale szybko się zmęczyłam. Czy oni nigdy się nie męczą?

- Nie. Również pod tym względem różnią się od innych.

- I jeszcze pod jakim?

- Mówiłam ci. Są żądni wrażeń.

Dziecięcy umysł Paige włożył żądzę wrażeń do przegródki, w której leżała już ospa wietrzna.

- A kiedy wyzdrowieją?

Nonny objęła dziewczynkę.

- Nie są chorzy. Niektórzy ludzie uważają, że twoi rodzice mają bajeczne życie.

- Są szczęśliwi?

- Tak sądzę - odparła niechętnie Nonny po dłuższym namyśle, sprowadzając po raz pierwszy dziewczynkę na ziemię.

Paige długo myślała o szczęściu swoich rodziców, wciąż otoczona opiekuńczym ramieniem Nonny, aż w końcu, kiedy nie przyszło jej do głowy nic, co mogłoby złagodzić cios, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

- Króliczku - szeptała Nonny uspokajająco.

- Tak bardzo się starałam. Niczego nie rozlałam, nie ogryzałam paznokci, wzięłam najmniejszy kawałek tortu i dałam im największy - myślałam, że jestem grzeczna.

- Ależ byłaś grzeczna, króliczku. Zawsze jesteś grzeczna. Jesteś najlepszą dziewczynką w całym Illinois, w całych Stanach Zjednoczonych, na całym świecie. Nie masz żadnego wpływu na to, że oni nie potrafią nigdzie zagrzać miejsca. Kochają przygody, a że mają dużo pieniędzy i sił - mogą podróżować.

- Ale co ze mną? - płakała dziewczynka.

Nonny posadziła ją sobie na kolanach i mocno przytuliła.

- A ty jesteś moja. Ot co - powiedziała z mocą, którą Paige zapamiętała na długie lata. - Ty nigdy nie uciekasz.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że jesteś inna niż twoja mama. Jej nigdy nie mogłam tak przytulić. Zawsze się wymykała. Od dziecka rozpierała ją energia. Biegała w kółko, szukała czegoś, rozpałała ją ciekawość. I wcale nie chcę powiedzieć, że ty nie jesteś ciekawa. Jesteś, ale podchodzisz do

wszystkiego w bardziej naturalny sposób. Dzięki temu będziesz szczęśliwsza. Spokojniejsza, radośniejsza. Zrobisz na pewno wiele dobrych rzeczy w życiu.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem. Zrobisz. Jestem o tym przekonana.

Ale Paige długo jeszcze nie mogła w to uwierzyć. Uczyła się dobrze, miała wielu przyjaciół i z roku na rok pogłębiał się jej związek emocjonalny z Nonny, a mimo wszystko obwiniała się o nieobecność rodziców w swoim życiu. Za każdym razem, gdy pojawiali się w domu, dziewczyna próbowała ubierać się, wysławiać, a nawet zachowywać inaczej, jednak nigdy nie zdołała ich zatrzymać. W końcu zawsze patrzyła przez okno w holu, jak odjeżdżają.

Ludzie oczywiście pytali ją często o Chloe i Paula. Przez jakiś czas powtarzała to, co usłyszała od Nonny. Określenie „żądza wrażeń” weszło na stałe do jej słownictwa, zanim ktorekolwiek z jej przyjaciół było w stanie zrozumieć jego znaczenie.

- Rodzice? Och, pojechali na Alaskę. Są tacy żądni wrażeń - mawiała z udaną nonszalancją, skrywającą jej prawdziwe uczucia.

Potem poszła do ekskluzywnej szkoły średniej i poznała nowych kolegów. Była już dorastającą panienką, na tyle dużą, żeby wiedzieć, że niektórzy ludzie podróżują własnymi samolotami, tak jak czynili to rodzice jej przyjaciół, i na tyle zbuntowaną, by dać upust złości. Zapytana o rodziców, mawiała więc, że nie żyją, aż nastał ten straszny dzień, kiedy rzeczywiście o mało nie zginęli w katastrofie lotniczej. Paige już nigdy potem nie mówiła o nich jak o zmarłych.

W ciągu wielu lat Pfeifferowie tylko siedem razy pozostawali w kraju przez dłuższy czas. Czasem zatrzymywali się u Nonny, a czasem u rodziców Paula. Paige zawsze starała się być w pobliżu, w nadziei, że zechcą spędzać czas w jej towarzystwie. Te nadzieje zawsze okazywały się płonne. Nonny miała rację. Rodzice Paige nie mogli usiedzieć długo w jednym miejscu. Gdy czuli, że ktoś próbuje ograniczyć ich swobodę, natychmiast stawali się drażliwi, poirytowani i zniecierpliwieni.

Pod koniec lata, gdy znów odjeżdżali spod domu, Paige nie patrzyła już za nimi przez okno w holu. Pocałowała ich tylko na pożegnanie, pomyślała niemal z ulgą, że jej życie potoczy się wreszcie normalnym trybem, i wróciła z Nonny do domu.

Zapamiętała sobie na zawsze lekcję, której nauczyła się w czasie rozmowy z babcią z okazji swoich szóstych urodzin. Nigdy nie przestała pragnąć miłości rodziców i boleśnie przeżywała dzień swoich urodzin, ale w końcu pogodziła się z tym, że oni nie są w stanie okazać jej

uczuć tak, jak by tego pragnęła. Kochali ją, ale po swojemu. Na pocieszenie miała babcię.

- Zawsze będę przy tobie - obiecała Nonny, kiedy w końcu udało się jej zapakować dziewczynkę do łóżka w ów pamiętny wieczór, a Paige zawsze wiedziała, że może na niej polegać. Musiała się z nią rozstać, kiedy wyjechała do koledżu, a potem na studia. Gdy zaś odbywała staż w Chicago, Nonny przeniosła się do domu swego dzieciństwa w Vermont. Przez cały ten czas były w stałym kontakcie, żyły dla siebie i choć Paige nadal kochała rodziców, ufała tylko babci.

Właśnie dlatego wstała w niedzielę wcześniej rano, wykapała i nakarmiła Sami, zapakowała torbę z pieluszkami, przymocowała fotelik do siedzenia i pojechała do Nonny.

Odwróciła się teraz od fotografii i po raz pierwszy, odkąd otrzymała wiadomość o śmierci Mary, zaczęła spokojnie oddychać. Sama obecność staruszki podziałała na Paige jak balsam, mimo że babcia nie powiedziała jeszcze ani słowa. Nonny mieszkała teraz w małym domku z ogródkiem - tak samo pogodnym jak jego właścicielka - a dominującymi barwami wystroju wnętrza były czerwień i biel. Babcia Paige upierała się przy tej kolorystyce, odkąd sprzedała swój stary dom w wiktoriańskim stylu.

- Wszystko na białą i czerwono? - zapytała ją wtedy wnuczka.

- Wszystko. Kocham czerwień i biel. Już od dziecka uwielbiałam te kolory, ale nie mieliśmy pieniędzy na takie ekstrawagancje.

- A ja myślałam, że najbardziej lubisz niebieski. Nasz dom w Chicago był przecież niebieski.

- Bo tak sobie życzyła twoja matka, ale ona, jak wiesz, nie spędzała w nim zbyt dużo czasu. Kiedy przeprowadziłam się tutaj, najłatwiej mi było wykorzystać stare rzeczy, ale teraz chcę mieć wszystko w czerwieni i bieli. I nie próbuj mi nawet mówić, że jestem na to za stara. Może kiedyś przeniosę się do domu rencisty, ale nawet wtedy nie stanę się jedną z tych zgrzybiałych emerytek. Tak - dodała i westchnęła. - Czerwień i biel. Wreszcie.

Zarażona entuzjazmem babci, Paige pomagała jej urządzać dom, choć sądziła, że te kolory zaczną kiedyś działać wszystkim na nerwy. Nic takiego się jednak nie stało - przeciwnie, Nonny jeszcze bardziej je polubiła. Nawet zaczęła ubierać się na białą - kupowała białe bluzki, spódnice i legginsy, a nawet ciepłe kostiumy. Wkładała do nich czerwone korale, kolczyki lub wstążki do włosów. Tego dnia miała na sobie białą, marszczony wschodni kaftan i czerwone sandały, a ponieważ była mała i szczupła - wyglądała jak krasnalek. Długonoga Paige odziedziczyła figurę po ojcu; Chloe miała filigranową budowę matki.

Nonny usiadła na swoim ulubionym wiklinowym krześle, przytulając do siebie Sami, która nie spuszczała z niej wzroku.

- Dziecko! Mój Boże, Paige! Powinnaś była od razu mnie zawiadomić.

- Po pierwsze, byłam bliska paniki, po drugie - nie chciałam zawracać ci głowy. W dodatku od przybycia Sami nie miałam ani chwili czasu. Dopiero dziś mogę trochę odetchnąć.

Sobotę poświęciła na przewiezienie łóżka i innych rzeczy Sami z domu Mary, w czym pomagali jej podnieceni sąsiedzi. Pojechała jeszcze raz do Mount Court, odpowiadała na pytania pracownicy agencji adopcyjnej, a potem znowu zajęła się przeprowadzką.

- Słodkie maleństwo - gruchała staruszka.

Paige pochyliła się i popatrzyła Sami prosto w oczy. Dziecko odwzajemniło spojrzenie i znów przeniosło wzrok na Nonny.

- To prawdziwy aniołek, śpi całe noce, bardzo rzadko płacze. Prawdopodobnie odpoczywa jeszcze po podróży, ale kiedy już się zaaklimatyzuje, będzie sypiała mniej. Na szczęście jest w niezłym stanie, choć przyjechała zarażona amebą. Angie już ją badała.

- Dlaczego Angie? - spytała Nonny nie kryjąc oburzenia. - Dlaczego nie ty?

- Pediatrzy nie powinni leczyć swoich dzieci. Nie chcę przez to powiedzieć, że Sami jest moja - dodała szybko. - Opiekuję się nią tymczasowo, dopóki agencja adopcyjna nie znajdzie dla niej rodziny zastępczej. Wydawało mi się jednak, że Angie będzie bardziej obiektywna. W piątek wieczorem naprawdę mi pomogła. - Paige poczuła dreszcze. - Nigdy przedtem nie byłam tak bliska załamania.

Babcia zerknęła na nią niespokojnie i ujęła w dłonie maleńkie rączki Sami tak, że jedna klasnęła o drugą.

- Co się stało?

Paige wyprostowała się, westchnęła i oparła o krzesło.

- Myślę, że wszystko naraz. Śmierć Mary, jej pogrzeb, rozmowy z O'Neillami. Zaraz potem zjawiała się Sami. Ledwo zdecydowałam, że dziecko zostanie u mnie, zatelefonowały dziewczyny z Mount Court i musiałam do nich pojechać.

Tam posprzeczała się z dyrektorem i to była ostatnia kropla. Na szczęście w sobotę rano już się z nim nie spotkała.

- Wydaje mi się, że będąc na granicy wytrzymałości, musiałam przyjąć na siebie zbyt dużą odpowiedzialność. - Dotknęła ciemnych, jedwabistych włosów dziecka. - Taka maleńka dziewczynka i taka wielka odpowiedzialność. Już nawet nie mówię o leczeniu jej ameby,

wszystkich szczepieniach, ćwiczeniach na rozwój mięśni i barierze językowej. Pomijając to wszystko, ja przecież nigdy nie byłam matką.

- Czego ja osobiście ogromnie żałuję - powiedziała Nonny z wyrzutem. - Matkujesz wszystkim dzieciom po kolei, a nie dochowałaś się własnych.

- I taki stan rzeczy odpowiada mi całkowicie.

- Całkowicie? - upewniła się zgryźliwie Nonny.

- Tak. Poza tym mam zbyt dużo obowiązków, by móc pozwolić sobie na dziecko.

- W takim razie jak poradysz sobie z Sami?

Paige otworzyła usta, po czym natychmiast z powrotem je zamknęła.

- No właśnie - odparła w końcu z przerażeniem. - Mówię ci, sytuacja wymknęła mi się wtedy spod kontroli. Na chwilę straciłam rozsądek. Opłakiwałam Marę, chciałam dokończyć wszystkie rozpoczęte przez nią sprawy, a wtedy nagle pojawiła się Sami i pomyślałam, że ona jest przecież najważniejsza. Działalam pod wpływem chwili. Modne jest teraz twierdzenie, że można pogodzić posiadanie dzieci z obowiązkami zawodowymi. Ale to tylko piękna teoria. Rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej.

- Jeśli innym się udaje, dlaczego ty nie miałabyś spróbować?

- Ale czy będę potrafiła wywiązać się należycie z obowiązków? Czy będę umiała dać temu maleństwu wszystko, czego potrzebuje? A myślę, że ona ma ogromne potrzeby. Ktoś powinien ją pieścić, mówić do niej, bawić się z nią, uczyć ją siadania, a potem stawania i chodzenia. Trzeba ją przestawić na normalne mleko i inne dania, jakie zwykle jadają dzieci w wieku czternastu miesięcy.

- Ona już skończyła rok? - spytała Nonny ze zdziwieniem.

- Tak i właśnie usiłuję ci wytłumaczyć, że jeśli Sami ma się normalnie rozwijać, potrzebuje o wiele więcej uczucia i troski niż każde inne dziecko w tym wieku, a ja nie dam głowy, czy będę mogła jej to zapewnić.

- Oczywiście, że będziesz mogła.

- Przy tylu innych obowiązkach?

- Sama mówiłaś, że trzeba umieć dobrze wykorzystać każdą minutę.

- Święte słowa. Nie jestem tylko pewna, czy uda się wprowadzić je w czyn - mruknęła ironicznie Paige.

- Wkrótce się dowiesz - odparła Nonny i rozjaśniła się. - Przecież mogę ci pomóc. Zaopiekuję się Sami, kiedy ty będziesz w pracy.

- Nie ma mowy. Nianczenie dzieci to ciężka praca.

- No i co z tego?

- Już dwa razy odrabiałaś tę pańszczyznę. Opiekowałaś się własną córką, a potem mną.

- Właśnie. Dlaczego w takim razie nie mogę spróbować po raz trzeci? Mam tylko siedemdziesiąt sześć lat. Moja przyjaciółka Elisabeth przekroczyła już osiemdziesiątkę, a nadal zajmuje się wnukami.

- Sami nie jest twoją wnuczką - przypomniała jej Paige. - Zostanie ze mną tylko przez jakiś czas.

- Tym bardziej mogę ci pomóc. Moja przyjaciółka Sylvia trzy razy w tygodniu pracuje w centrum opieki społecznej, a jest ode mnie starsza o całe pięć lat.

- Potrzebny mi będzie ktoś na pięć dni w tygodniu. Będę miała więcej pracy niż przed śmiercią Mary.

- Zgadzam się na pięć dni w tygodniu. Moja przyjaciółka Helen pracuje codziennie w bibliotece, a ma siedemdziesiąt osiem lat.

- Jest jeszcze Gussie Von Damon - droczyła się z nią Paige.

- Nawet mi o niej nie wspominaj. - Nonny skrzywiła się. - Ta stara wiedźma przynosi wstyd wszystkim emerytom! Jeździ tylko tym trupem, który ośmiela się nazywać samochodem, i albo trąbi, albo wrzeszczy na wszystkich z okna. Och, króliczku. - Przytuliła Sami, bo dziewczynka zmarszczyła brwi. - Mówię za głośno? Na pewno byś mi wybaczyła, gdybyś знаła Gussie Van Damon i być może pewnego dnia będziesz miała okazję się z nią spotkać. Jeśli ona wysłedzi, że Paige przywozi cię tutaj, natychmiast przyjdzie i zacznie zadrećcać mnie pytaniami. I dlatego ja będę przyjeżdżać do ciebie.

- To kawał drogi.

- Tylko czterdzieści minut jazdy.

- Nonny - powiedziała Paige, obejmując staruszkę. - Poprosiłam już panią Busbee, żeby zaopiekowała się małą. Ona mieszka dwa domy dalej. To naprawdę idealny układ.

Niestety ten idealny układ był bardzo krótkotrwały. Pani Busbee za kilka tygodni wybrała się na południe i Paige wiedziała, że będzie wtedy musiała znaleźć kogoś innego.

- Czy ona potrafi postępować z dziećmi? - spytała Nonny.

- Świetnie sobie radzi.

- Tak dobrze jak ja?

- Nikt nie byłby w stanie zastąpić ciebie. Ani Mary - dodała Paige z westchnieniem,

głaszcząc ciemne włoski dziewczynki. - Mara bardzo by ją kochała. To takie cudowne maleństwo. - Sami wpatrywała się w czerwony skórzany wisiołek Nonny w kształcie truskawki. Paige przytknęła paluszek dziewczynki do sztucznego owocu. - Brak mi Mary. Często sięgam po słuchawkę, żeby do niej zadzwonić albo zastanawiam się, co chciałabym jej powiedzieć. Była mi taka bliska. - Przerwała na chwilę. - Zawiodłam ją.

- Bzdura - stwierdziła krótko Nonny.

- Nie było mnie przy niej, kiedy potrzebowała przyjaciela. Zajmowałam się wyłącznie własnym życiem i nie zadałam sobie nawet trudu, żeby sprawdzić, jak ona się czuje. A wiedziałam, że przeżywa ciężkie chwile. Powinnam była poświęcić jej więcej czasu.

- Prawdopodobnie niczego by to nie zmieniło.

- Może nie, ale czułabym się mniej winna. Nonny popatrzyła na wnuczkę ze zrozumieniem.

- Czułabyś się dokładnie tak samo. Często miewasz poczucie winy. Kiedy byłaś jeszcze dzieckiem, oskarżałaś się o to, że twoi rodzice bez przerwy podróżują. Oczywiście nie miałaś racji. Teraz też zupełnie niepotrzebnie się zadreczasz. Jesteś świetnym lekarzem, ale to nie znaczy, że potrafisz czytać w myślach. Skąd mogłaś wiedzieć, co czuje Mara?

Ale Paige wcale to nie uspokoiło. Przeżywała śmierć Mary wciąż na nowo.

- Nie mogę przestać o niej myśleć. Musiała strasznie cierpieć, skoro postanowiła odebrać sobie życie i wprowadziła ten zamiar w czyn.

Koszmar trwał nadal.

- Wykluczasz możliwość wypadku?

- Och, Nonny - westchnęła Paige. - Nie mówiłabyś o wypadku, gdybyś знаła Marę. Z drugiej strony, ona miała przecież po co żyć. Czekala na Sami. Zupełnie nie rozumiem, jak mogła w tej sytuacji świadomie odebrać sobie życie. To wszystko nie ma sensu.

Nonny spojrzała na nią współczująco.

- Chyba nigdy nie dowiesz się prawdy. Mara zabrała swoje tajemnice do grobu.

Ale Paige nie rezygnowała. Czula wprawdzie potrzebę powrotu do normalnego trybu życia, więc w poniedziałek rano stawiała się w gabinecie i jak zwykle przyjmowała pacjentów, ale równie głęboko pragnęła dowiedzieć się wszystkiego na temat ostatniego dnia z życia Mary. Zbadala więc Danny'ego Brody, który dotknął trującego bluszczu, wyjęła koralik z nosa Lisy Marmer, zapewniła przerażoną Marilee Stiller, że jej trzyletni synek nie doznał trwałych uszkodzeń ciała w wyniku lania, jakie sprawila mu w weekend, nastawiła zwichnięty nadgar-

stek, a w przerwach rozmawiała ze wszystkimi, którzy wedle posiadanych przez nią informacji kontaktowali się z Marą tamtego tragicznego dnia.

Do lunchu zdążyła zapisać maczkiem całą kartkę.

- Z tego wynika - mówiła do Angie, z którą spotkała się w małej kuchence przylegającej do gabinetu - że Mara przyszła tu pierwsza. Ginny widziała, że pisze jakieś sprawozdanie, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nie ma powodu sądzić, że robiła jakieś porządki przed śmiercią. Zresztą nawet nie dokończyła pisaniny, bo przyszedł pacjent. Przyjmowała do dziesiątej.

- Była może rozgorączkowana, niespokojna? - zapytała Angie. - Kto jej asystował?

- Dottie, ale ona nie zauważyła w jej zachowaniu niczego szczególnego. Poza tym nie miała powodów, żeby uważniej ją obserwować. My zresztą też ich nie mieliśmy.

Paige przeglądała notatki, jedząc bezmyślnie podany jej przez Angie kawałek pomarańczy.

- Było do niej kilka telefonów. Dzwonił ktoś z laboratorium, z oddziału dziecięcego w Tucker General i z apteki.

- Larry Hills?

- Tak. Ginny twierdzi, że ona również do kogoś telefonowała, ale jeśli to nie były międzymiastowe, nie dowiemy się nigdy do kogo. O dziesiątej poprosiła mnie o zastępstwo, bo chciała pójść do laboratorium w sprawie analiz Todda Fiske. Była zła, ale na pewno nie oszłamiona, czy wytrącona z równowagi. Wróciła po niecałej godzinie. Potem miała jeszcze kilku pacjentów i przeprowadziła parę rozmów telefonicznych. Udzieliła konsultacji w sprawie małej Webber, rozmawiała z rodzicami niektórych dzieci. Nikt nie pamięta, czy wykorzystała przerwę na lunch. Zatrzymałaś ją w holu około dwunastej trzydzieści. Odniosłaś wrażenie, że jest rozkojarzona. Dottie powiedziała mi, że później też zachowywała się trochę nieprzytomnie. Peter widział ją jako ostatni o wpół do piątej. Koroner twierdzi, że umarła koło północy.

Oparła się o krzesło.

- Co się z nią działo od czasu spotkania z Peterem? Wiemy tylko, że zażyła ogromne ilości valium.

Zadzwoił telefon. Angie odebrała i natychmiast oddała słuchawkę Paige, którą od razu ogarnął strach. Wprawdzie już dwukrotnie telefonowała do pani Busbee i dowiedziała się, że wszystko jest w porządku, ale coś przecież mogło się stać.

- Słucham cię, Ginny.

- Przyszła Jill Stickley. Chciałaby z tobą porozmawiać.

A więc nie chodzi o Sami, tylko o Jill Stickley. Odczuła ulgę, a jednocześnie zaczęła martwić się o Jill. Nie była z nią umówiona. Pamiętałaby przecież. Dziewczyna miała już siedemnaście lat i jako jedna z pierwszych pacjentek zajmowała szczególne miejsce w jej sercu. Poza tym Stickleyom nie wiodło się ostatnio najlepiej i mieli bardzo dużo problemów.

- Niech wejdzie do gabinetu - powiedziała Paige bez namysłu. - Już tam idę. - Wstała od stolika, rzucając Angie przepraszające spojrzenie.

- Idź - powiedziała Angie. - Spróbuję zdobyć więcej informacji. Czegoś tu wyraźnie brakuje.

Paige miała takie samo wrażenie, ale na widok Jill Stickley zapomniała o wszystkim. Spłoszona dziewczyna czekała na nią w gabinecie. Była blada, zdenerwowana i skrajnie wyczerpana.

Paige zaczęła sobie natychmiast wyobrażać, że ojciec Jill - sfrustrowany agent ubezpieczeniowy - po raz kolejny pobił jej matkę, która z kolei straciła i tak już nisko płatną pracę, zdobytą z wielkim trudem po roku bezrobocia, albo że brat Jill znowu wpadł do rowu kradzionym samochodem i został aresztowany.

- Na pewno nie stało się nic strasznego - powiedziała, obejmując dziewczynę ramieniem i pomyślała, że czas leczy rany. - Powiedz, jaki masz kłopot.

- Myślę, że jestem w ciąży - powiedziała Jill drżącym głosem, nie spuszczać wzroku z Paige.

Paige przełknęła ślinę. - Jesteś w ciąży? - Zupełnie się tego nie spodziewała. - Zapisalam ci przecież tabletki.

- Tak, ale chyba wszystko mi się pomyliło.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Spóźnia mi się okres.

- Jak długo?

- Dwa miesiące.

Luźna bluza kryła doskonale sekret Jill, więc Paige położyła rękę na jej brzuchu i namiętnie nacięła wyraźny wznórek.

- Dwa miesiące? Kochanie, mam wrażenie, że to przynajmniej cztery.

W oczach dziewczyny zalśniły łzy.

- Musiałam się pomylić.

Pomylić! Paige aż krzyczała w duchu ze złości. Jak mogła się pomylić? Wy tłumaczyła jej, na czym polega zapłodnienie, kiedy zaczęła miesiączkować, czyli już pięć lat temu. Doradzała abstynencję seksualną, dopóki wierzyła, że to ma jakieś szanse powodzenia, a później zapisała Jill tabletki.

Ale te rozważania nie miały już sensu. Było na nie za późno.

- I jesteś przerażona?

Dziewczyna przytaknęła, a Paige pocieszająco poklepała ją po plecach.

- Joey wie?

Joey - stały chłopak Jill - był od niej sześć lat starszy i pracował w warsztacie samochodowym.

- No jasne, że wie - odpowiedziała sama sobie. - Przecież widział twój brzuch.

- On myślał, że ja po prostu tyję. I tylko mi dokuczał. Wczoraj wieczorem powiedziałam mu prawdę. A on mi na to, że nie chce mieć nic wspólnego ani z grubą dziewczyną, ani z jej wrzeszczącym dzieciakiem, i że mogę sobie robić, co chcę. Poszłam do domu i modliłam się przez całą noc, bo myślałam, że może mu się coś odmieni, ale kiedy zajrzałam do niego rano, zobaczyłam, że zabrał wszystkie rzeczy i dał dyla.

- Och, biedactwo - westchnęła Paige.

- Nie mogę powiedzieć ojcu. Dostanie szału. A jeżeli przyznam się tylko mamie, on oskarży ją potem, że ona przed nim tajemnice. Zbije ją za to. - Otarła zażawiony policzek wierzchem dłoni. - Tym razem naprawdę narobiłam bigosu.

- Trudno tak określić poczęcie dziecka. Okoliczności są tylko trochę niesprzyjające. - Wskazała Jill drogę do gabinetu. - No, zobaczmy, co tu mamy.

Dziesięć minut później siedziały obok siebie na kanapie i zastanawiały się, co mają w tej sytuacji zrobić. Jill wykluczyła aborcję, a Paige - mając w pamięci Marę, która usunęła ciążę dokładnie w tym samym wieku - bardzo się z tego ucieszyła, choć w przypadku Jill i tak już było późno. Paige wyliczyła, że dziewczyna jest w czwartym lub nawet piątym miesiącu i choć nie istniały przeciwwskazania medyczne do przeprowadzenia aborcji, mogłaby ona pociągnąć za sobą nieodwracalne szkody natury psychicznej. Z drugiej strony, Jill nie bardzo mogła sobie pozwolić na wychowywanie dziecka - Stickleyowie byli bardzo ubogą rodziną, a Jill bez dyplomu szkoły średniej nie miała szans na poprawę ich sytuacji materialnej. Adopcja wydawała się najrozsądniejszym wyjściem.

Przed wszystkim Paige musiała zawiadomić rodziców Jill o jej ciąży, ponieważ dziew-

czyna nie była jeszcze pełnoletnia. Zatelefonowała więc do każdego z osobna i umówiła się z nimi na spotkanie w lecznicy o wpół do czwartej, po czym zaleciła Jill krótką drzemkę, a sama zaczęła przyjmować kolejnych pacjentów.

Frank Stickley był wściekły. Jego żona, Jane, stała obok niego i milczała, a on tymczasem przeklinał córkę za jej głupotę, brak skrupułów moralnych, a nawet brzydotę. Paige nie mogła się zgodzić z żadnym z jego zarzutów.

- Jill popełniła błąd - stwierdziła spokojnie. - Nie musi wcale przez to marnować całego życia.

- Pani sobie ze mnie żartuje? - wrzasnął Frank. - Przecież ona spodziewa się dziecka.

- Które odda do adopcji. Agencja adopcyjna pokryje koszty opieki medycznej. Nikt nie będzie się od pana niczego domagał.

- Ale będę musiał patrzeć na nią przez tyle miesięcy. Będę patrzył, jak rośnie jej brzuch, a całe miasto będzie się ze mnie śmiało w kułak. - Staął naprzeciw Jill. - Jesteś zwykłą dziwką. Mówiłem ci, że napytasz sobie biedy. A ten twój chłopak to kawał drania. Zawsze tak uważałem. Ale czy ty mnie słuchałaś? Nie. Ty wszystko wiedziałaś najlepiej. Co będzie z nauką? Przecież jesteś w ciąży. Jak zamierzasz skończyć szkołę?

- Będę musiała na razie zrezygnować. Zrobię dyplom, jak już będzie po wszystkim.

- Urodzi pod koniec semestru - poparła ją Paige. - Odda dziecko do adopcji i wróci do normalnego trybu życia.

- Ale nie do mojego domu.

- Frank - zaprotestowała cicho jego żona, ale natychmiast urwała, ponieważ nakazał jej milczenie oskarżycielskim gestem palca. I to wystarczyło. Nie musiał nic dodawać.

- Nawet się nie zorientujesz, że z tobą mieszkam, tatusiu. Naprawdę - obiecywała Jill.

- Już ja się zorientuję. I wszyscy napaleni kochasie też. Gwarantuję ci, że jak już urodzisz, nie dadzą ci spokoju, bo przecież ten głupek zostawił cię na lodzie. A ja nie mam zamiaru tego znosić. Jeśli chcesz zostać w mieście, poszukaj sobie innego mieszkania. I zjedź mi z oczu. - Nie zaszczyciwszy już ani Paige, ani żony bodaj jednym spojrzeniem, wybiegł jak oszalały z gabinetu.

Jane nie wiedziała, czy ma biec za mężem i próbować go uspokoić, czy pocieszać córkę. W jej oczach pojawił się wyraz cierpienia.

- Niech pani idzie - zdecydowała za nią Paige, ujmując dłoń dziewczyny. - Zabieram Jill do siebie.

Jane potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie może pani...

- Właśnie ją zatrudniłam. Potrzebuję kogoś do pomocy na stałe. Wszystko gra. Proszę iść. Dla własnego dobra musi pani jakoś załagodzić sytuację. Porozmawiamy później.

Jane wyszła z niepewną miną i zapanował spokój. Wtedy Paige powiedziała Jill o Sami.

- To wspaniałe rozwiązanie - podsumowała. - Jeśli masz zamiar zrezygnować ze szkoły, musisz mieć jakieś inne zajęcie.

Jane podjęła już decyzję o przerwaniu nauki, choć Paige próbowała ją od tego odwieść.

- Ja - ciągnęła Paige - potrzebuję natomiast opiekunki dla Sami, gdy jestem w pracy, i w nocy, kiedy muszę jechać do nagłego wypadku.

Paige pomyślała, że jeśli odda Jill jedną z sypialni na piętrze, będzie mogła bez obaw umieścić Sami w pokoju obok. Fakt, że w jej małym domu wciąż przybywało lokatorów, miał teraz drugorzędne znaczenie.

- To wielka odpowiedzialność. Sami wymaga szczególnej opieki. Poradzisz sobie?

- A jak pani sądzi? - spytała ostrożnie Jill. Paige uśmiechnęła się.

- Na pewno. - Jej uśmiech znikł na chwilę, po czym znów się pojawił. - Poza tym nie jesteś uczulona na koty. - Zerknęła na zegarek. - Akurat nadeszła odpowiednia pora, żeby wprowadzić nasz plan w życie. Za godzinę muszę jechać na trening. Zamierzałam zabrać Sami do Mount Court. - Podjęła taką decyzję, mimo że знаła zdanie dyrektora szkoły na ten temat. Zastanawiała się tylko, czy Perrine będzie szukał z nią kontaktu. - W tej sytuacji nie będzie to konieczne. Odeślemy panią Busbee do domu, włożymy małą do wózeczka i będziesz ją mogła zabrać na długi spacer, a ja pojedę. Zresztą przechadzka i tobie nie zaszkodzi. Przekonasz się, że Sami to prawdziwy aniołek. - Wstała i chciała posprzątać biurko, ale zadzwonił telefon.

- Jakiś facet pyta o Marę - powiedziała Ginny. - Dzwoni z Nowego Jorku. Z Indyjskich Linii Lotniczych. Będziesz z nim rozmawiać?

Intuicja odpowiedziała Paige natychmiast, że to coś ważnego.

- Oczywiście - powiedziała i wcisnęła guzik. - Tu Paige Pfeiffer. Jestem współniczką Mary O'Neill. Czy mogę panu pomóc?

- Bardzo proszę - odparł mężczyzna mówiący z wyraźnym brytyjskim akcentem. Przedstawił się i powiedział, że jest kontrolerem lotów. - Usiłowałem skontaktować się z doktor O'Neill, ale numer, który mi podała, nie odpowiada. Przypuszczam, że to jej domowy telefon, a teraz dodzwoniłem się do pracy. Bardzo przepraszam za zakłócenie spokoju, ale mimo wszyst-

ko chciałbym z nią mówić.

- Czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

- To... - odchrząknął - ...bardzo delikatna sprawa. Dzwonię z przeprosinami. Czy zastanawiałem się doktor O'Neill?

- Nie, ale chętnie przyjmę wiadomość.

- A to pech. Chciałem z nią rozmawiać osobiście.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Może jednak mogę coś zrobić? Oszczędzi pan czas.

Mężczyzna myślał chwilę.

- Tak, chyba ma pani rację. - Wziął głęboki oddech. - Widzi pani, doktor O'Neill telefonowała do nas w zeszły wtorek, żeby zapytać, jak postępuje lot z Kalkuty do Bombaju. Rozmawiał z nią nowy pracownik, nie obeznany najlepiej z obsługą komputera. Obawiam się, że wprowadził ją w błąd. Powiedział, że samolot, którym podróżowało jej dziecko, uległ katastrofie.

Paige zamknęła oczy.

- Jeden z samolotów naszych linii rzeczywiście się wtedy rozbił - ciągnął mężczyzna - ale nie leciało nim to dziecko i jego opiekunka. Niestety, dzwoniło do nas tyle osób, których bliscy znaleźli się na pokładzie tego samolotu, że nasz pracownik zrozumiał swoją pomyłkę dopiero w miniony weekend. Sprawdził, że dziecko wraz z opiekunką wylądowało bezpiecznie w Bostonie, ale nie omieszkał mnie o wszystkim poinformować, co zresztą mu się chwali. Chcielibyśmy przeprosić doktor O'Neill za tę pomyłkę, bo z pewnością bardzo się zdenerwowała. Przekazywanie błędnych informacji nie jest u nas na porządku dziennym i chciałbym wyrazić głębokie ubolewanie z powodu tego nieporozumienia. Mam nadzieję, że doktor O'Neill już przejęła opiekę nad dzieckiem i wszystko skończyło się dobrze.

Paige aż zgięła się wpół.

- Czy może mi pan powiedzieć, o której telefonowała do was doktor O'Neill?

- Dwadzieścia pięć po czwartej. Dziesięć minut przedtem otrzymaliśmy wiadomość o wypadku i staraliśmy się ustalić szczegóły, więc może pani sobie wyobrazić to piekło.

Nie piekło - otchłań rozpacz. Mara pragnęła Sami bardziej niż czegokolwiek na świecie. Po długich poszukiwaniach znalazła wreszcie właściwą agencję, przebrnęła przez wymagane formalności i sesje przedadopcyjne, otworzyła serce i ogołociła rachunki bankowe, wniosła wszystkie wymagane opłaty, kupiła kołyskę, ubranka i jedzenie. Miała nadzieję, że wraz z przybyciem Sami rozpocznie się nowy etap w jej życiu.

- ...jeszcze raz stokrotnie przepraszam - zakończył kontroler Indyjskich Linii Lotniczych.

- Dziękuję panu - odparła z trudem Paige.

Dwukrotnie próbowała trafić słuchawką na widełki i myślała tylko o tym, jak ogromny ból musiała odczuwać Mara, gdy otrzymała tę tragiczną wiadomość.

- Czy coś się stało, pani doktor?

Paige spojrzała na Jill za zdziwieniem, jakby zapomniała już o jej obecności, ale szybko udało jej się opanować.

- Nic, czym powinnaś się martwić - odparła lekko i poprowadziła dziewczynę w stronę drzwi.

W drodze do domu starała się nie myśleć o przeprowadzonej przed chwilą rozmowie. Na miejscu przywitała się z Sami - dziewczynka już ją poznawała, choć nigdy nie wyrażała radości uśmiechem. Zaraz potem oddała ją pod opiekę Jill, a sama pojechała do Mount Court. W przerwie między sprintami kazała dziewczętom zrobić dwie pętle wokół boiska - zbliżał się przecież wyścig. Biegała razem z nimi i narzucała tempo, na jakie sama mogła sobie pozwolić, a kiedy zaczynały narzekać, mówiła, że to dla dobra sprawy.

Przeszkadzała jej tylko obecność Perrine'a, który obserwował biegi ze stopni budynku administracji i niestety stał tam przez cały czas z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a jego okulary pobłyskiwały w blasku popołudniowego słońca. Paige rozzłościła się i przerwała trening. Przedrzeźniając jego gest również skrzyżowała ręce na piersiach, po czym wbiła w niego nieruchome spojrzenie. Dziewczęta otoczyły ją.

- On widzi wszystko.

- Czyha na najdrobniejsze potknięcie.

- Sadysta.

Paige opuściła ramiona.

- Mogę się założyć, że daleko mu do naszej kondycji.

- On też biega - powiedziała jedna z dziewcząt.

- Naprawdę?

- Codziennie rano.

- Dziesięć pętli wokół boiska.

- Kontroluje swoje włości.

Paige odetchnęła głęboko.

- W takim razie jesteśmy bezpieczne. Chodźcie do szatni. Trzeba się ubrać.

W chwilę później jechała już do domu. Myślała o Jill, jeszcze jednym lokatorze jej dotąd tak spokojnego domu, a tymczasem auto samo zawiozło ją do Mary.

Stała na podjeździe, starając się nie patrzeć na garaż, i myślała, jak bardzo jej przyjaciółka musiała cierpieć, kiedy wprowadzała samochód do środka. Wysiadła z wozu i weszła do domu, zamykając za sobą drzwi. Trzasnęła zasuwa i nastąpiła całkowita cisza, w którą wkradł się jedynie odgłos lekkich kobiecych kroków - Paige szybko weszła na górę i stanęła przed drzwiami sypialni Mary.

Ogromne rzeźbione łoże zajmowało niemal całą przestrzeń. Pozostałe meble - stoliki nocne, toaletka oraz fotel bujany - zostały kupione w tym samym czasie co łóżko i były utrzymane w tym samym stylu, ale wystrojowi wnętrza wiele brakowało do doskonałości. Jasiek miał jaskrawoniebieską barwę, poduszka na fotelu była pomarańczowa, a dywanik u stóp łóżka uszyty ze skrawków porażał wzrok pstrokacizną, na której - jak twierdziła Mara - zupełnie nie widać brudu. Dla osoby, która tak bardzo nie lubiła sprzątać, był to niewątpliwie ważny argument. Szmaciany chodniczek stanowił próbkę umiejętności ucznia z miejscowej spółdzielni rzemieślniczej i Mara po prostu go sobie przywłaszczyła. Bardzo lubiła podkradać tego typu rzeczy. Natomiast gdy w grę wchodziły dzieci, nie szczydziła pieniędzy, jak również czasu i miłości, choć i tak uważała, że ofiarowuje zbyt mało.

Paige rozejrzała się po pokoju. Odczuła ogromny żal, gdy pomyślała o marzeniach Mary, o jej długich, samotnych nocach, podczas których malowała w myślach obraz szczęśliwszego życia, a obraz ten roztrzaskał się na kawałki, bo... bo... właściwie dlaczego? Dlatego, że w wieku szesnastu lat usunęła ciążę? Dlatego, że wzięła Daniela pod swoje skrzydła, a nie udało się jej go wyleczyć? Dlatego, że Tanya John nie mogła uwierzyć dorosłym, gdyż zbyt wiele od nich wycierpiała? Dlatego, że niedoświadczony pracownik Indyjskich Linii Lotniczych przekazał jej nieprawdziwą, tragiczną wiadomość?

Usiadła na brzegu łóżka, przesunęła dłonią po blacie stolika nocnego i wolno otworzyła szufladę. Na dnie leżały bandaże, dwa długopisy, ołówek, kilka szydełek i kartki z notatkami o sprawach do załatwienia. Niektóre dotyczyły pracy, niektóre codziennych sprawunków, lecz większość, najprawdopodobniej te ostatnie, związane były z Sami.

Pod kartkami tkwiło wymięte pisemko z krzyżówkami. Paige przejrzała je pobieżnie. Każda krzyżówka zawierała kilka, najwyżej osiem odgadniętych haseł, a niektóre diagramy były przekreślone. Paige wyobrażała sobie, jak Mara wyciąga pisemko z szufladki; jest środek nocy, a ona próbuje zagłuszyć własne myśli. Nic to jednak nie pomaga, więc irytuje się jeszcze

bardziej.

Dlaczego milczałaś, Maro? - myślała Paige. Zdawałam sobie sprawę, jak bardzo zależy ci na Sami. Gdybym tylko wiedziała, że spodziewasz się jej tak szybko, gdybym tylko wiedziała, co powiedział ten urzędnik z linii lotniczych, być może zdołałabym ci pomóc.

Ale Mara zachowała wszystko dla siebie - radość i rozpacz, valium, skrobankę w wieku szesnastu lat i sam tylko Pan Bóg wie, co jeszcze.

- Cholera jasna, Maro, postąpiłaś nieuczciwie! - krzyknęła Paige, wpychając pisemko z krzyżówkami z powrotem do szuflady. Nie chciało się zmieścić, więc popchnęła je energicznie.

- Nie miałaś prawa do tylu tajemnic! Podobno byliśmy przyjaciółkami!

Zakłęła i odrzuciła na bok krzyżówki, sięgając do szuflady, żeby zobaczyć, co blokuje dostęp. Namacała palcami jakiś przedmiot, więc pociągnęła go do siebie. Chwilę później patrzyła tępych wzrokiem na owinięte wokół jej dłoni eleganckie szelki.

Po chwili uświadomiła sobie, że widywała je kiedyś dość często. Pochodziły z modnego, równie dobrze znanego jej sklepu dla eleganckiej klienteli. Tylko jedna osoba w Tucker nosiła tego rodzaju szelki, tylko jedna osoba w Tucker była na tyle próżna, by kupować garderobę tej firmy.

Peter Grace.

Rozdział szósty

Angie była spóźniona. Szybko skreśliła notatkę dla Dottie, wyszczególniając najpilniejsze sprawy do załatwienia. Nałożyła szybko żakiet, wyjęła torebkę z dolnej szuflady biurka, rozejrzała się po pokoju, sprawdzając, czy wszystko w porządku, i wyszła na korytarz.

Teraz wszędzie panowała kompletna cisza, choć do niedawna było tutaj rojno i gwarno. Angie pomyślała, że Peter również wyszedł, ale mijając gabinet Grace'a dojrzała, że jej wspólnik siedzi przy biurku. Trzymał w ręku ołówek, ale patrzył tylko tępo przed siebie i nic nie pisał.

- Wszystko gra? - zapytała.

Spojrzał na nią, odłożył ołówek i odsunął się od biurka wraz z krzesłem. Miał zmęczone oczy, mówił poirytowanym tonem.

- Potrzebujemy pomocy. Dziś siedziałem tu cały dzień. Wszyscy w mieście chorują.

Astma zbiera zniwo. Wiem, że to taka pora roku, ale nigdy nie zgłosiło się do mnie tylu chorych naraz.

Angie uśmiechnęła się smutno.

- Nigdy nie pracowaliśmy bez Mary. Ilu z tych pacjentów leczyło się przedtem u niej?

- Ponad połowa.

- Ataki astmy nasilają się zarówno pod wpływem pyłków, jak i silnych emocji. Pacjenci Mary, których ja przyjmowałam, byli wyraźnie wytrąceni z równowagi jej nieobecnością, a rodzice zachowywali się jeszcze gorzej niż dzieci. Musieli się upewnić, czy po jej śmierci nie zabraknie nam leków. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Planowaliśmy wszystko z myślą o czterech lekarzach. Liczbę pacjentów również.

Angie uniosła dłoń.

- Nie mogę jeszcze o tym myśleć. Jest stanowczo za wcześnie.

- Chryste Panie! Dochodzi wpół do siódmej, a my nie wyszliśmy jeszcze z pracy. Sądzisz, że Dougie i Ben zaakceptują taki stan rzeczy?

- Nic im nie będzie. Wiedzą, że na razie muszą wytrzymać. Wywiesiłam im nowy rozkład dnia na lodowce.

- Jeśli dziś mieliśmy przedsmak tego, co nas czeka, najprawdopodobniej wielokrotnie zdarzy się tak, że będziemy musieli tkwić w pracy do samego wieczora. Chyba że odeślemy pacjentów z kwitkiem, ale przysięgaliśmy sobie, że nigdy czegoś takiego nie zrobimy.

- Bo nie zrobimy. Wprowadzimy zmiany organizacyjne, będziemy pracować wydajniej, a jeśli i to nie pomoże, dopiero wtedy pomyślimy o czwartej osobie. Uspokój się, damy sobie radę. Trudno, żebyśmy zaledwie parę dni po śmierci Mary funkcjonowali na pełnych obrotach. Ja na przykład przez większość czasu rozmawiałam o niej z pacjentami. Tak jednak nie będzie zawsze.

- Ludzie łatwo zapominają - mruknął.

- Nie o to chodzi. Po prostu z biegiem czasu przestają zadawać pytania, jeśli widzą, że nie otrzymują na nie odpowiedzi. Życie toczy się dalej. - Zerknęła na zegar. - Muszę pędzić. Do zobaczenia jutro.

- Tak.

- Damy sobie radę - powtórzyła głośniej, idąc korytarzem do wyjścia. Jeśli Peter odpowiedział, i tak go nie słyszała. Zeszła szybko po schodach i pobiegła na parking.

Pięć minut później przejechała pod żelaznym łukiem Mount Court, skręciła na podjazd i zaparkowała naprzeciwko biblioteki. Uczniowie siedzieli w małych grupkach na trawniku, ale nie zauważyła wśród nich swego syna.

Zerknęła na zegarek. Była szósta czterdzieści.

W chwilę później Dougie podbiegł do auta, cisnął książki na tylne siedzenie i usiadł z przodu.

- Przepraszam, mam. Długo czekałaś?

- Nie, też się trochę spóźniłam. - Nawet nie próbowała nadstawić policzka do pocałunku. Czternastoletni chłopcy nie całują swoich matek w obecności kolegów. Włączyła silnik. - Miałaś dobry dzień?

- Oczywiście.

- A co robiłeś, zanim przyjechałam? - Na pewno nie czekał w bibliotece, choć tak się z nim umówiła.

- Poszedłem do stołówki. Zjadłem kolację z kolegami. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Właśnie że mam - odparła, nie kryjąc zawodu. - Chciałam podać ci posiłek w domu.

- Wiem, ale byłem strasznie głodny. Wszystko przez tę piłkę. Na treningu zrobiliśmy dziesięć kółek wokół boiska, a potem jeden chłopak wkurzył trenera i przez niego musieliśmy to powtórzyć. Myślałem, że padnę. Potrzebowałem trochę paliwa.

- Och, Dougie - westchnęła. Zawsze zaliczała kolację do ważnych wydarzeń rodzinnych.

- Co jadłeś?

- Coś z kurczakiem. Całkiem niezłe.

Angie potrafiła sobie doskonale wyobrazić sos z kawałkami kurczaka, tłuczone ziemniaki, chleb z masłem i ciasto.

- No, ale nie takie dobre jak stek, który zamierzałam przyrządzić w domu.

- Umierałem z głodu. Nie wiem, czy codziennie wytrzymam do siódmej bez jedzenia. To długo, mam.

- Tylko czterdzieści pięć minut dłużej niż do tej pory - powiedziała i wyjechała na szosę.

- Poza tym dałam ci owoce. - Zerknęła na niego z ukosa. - Nie zjadłeś ich?

Wyglądał przez okno.

- Nie jadam owoców przy chłopakach. Ciastka albo cola to co innego. - Spojrzał na nią. - A cóż jest takiego strasznego w tym, że od czasu do czasu zjem kolację z kolegami? - zapytał z

zadziwiająca mocą. - Jeśli oni mogą jadać w stołówce, mnie też nic się chyba nie stanie, a poza tym to frajda.

- Być może, ale nie mieszkasz w internacie, a ja lubię z tobą rozmawiać przy posiłku. To dla mnie jedna z niewielu przyjemnych chwil w ciągu dnia.

Angie wiedziała, że już niedługo będzie się cieszyć Dougiem. Musiała też przyjąć do wiadomości fakt, że jej syn staje się coraz bardziej niezależny i że wkrótce wyjedzie do kole-dżu, bo taka jest naturalna kolej rzeczy, ale jeszcze nie zamierzała z niego rezygnować.

- Kolacja bez ciebie to nie to samo. Poza tym umówiliśmy się, że będziesz spędzał czas w bibliotece i odrabiał lekcje, a ja później pozwolę ci porozmawiać trochę przez telefon. - Uważała ten układ za rozsądny kompromis.

- Byłem głodny - powtórzył. - Sądziłem, że postępuję właściwie.

- Nie ma problemu. - Uśmiechnęła się. - Poza tym jestem spóźniona. Zanim zdejmę steki z grilla, znowu nabierzesz apetytu. Powiedz lepiej, co nowego. Jak ci poszła klasówka z hiszpańskiego?

Angie ceniła sobie bardzo czas, jaki spędzała z synem w czasie jazdy do domu. Miała wtedy Dougiego wyłącznie dla siebie i mogła się od niego dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Tym razem, ponieważ klasówka poszła mu jak z płatka, tematem dnia był nowy pomysł dyrek-tora szkoły.

- On buduje dom.

- Dom?

- Dla absolwentów. Chce, żeby mieli gdzie przenocować, kiedy będą odwiedzać szkołę. Zajmą się tym uczniowie, którzy nie uprawiają żadnego sportu.

- Ciekawe.

- To oszustwo. Wszyscy są wściekli. Przedtem, jeżeli nie trenowali, mieli wolne. Teraz już nie mają i mówią, że to zmuszanie dzieci do pracy.

- Raczej wspólny czyn społeczny.

- On też tak twierdzi. Jeden z absolwentów jest architektem i pomoże sfinansować pro-jekt, Rada Szkoły zaaprobowala już koszty materiałów, a prace nadzorować będzie cieśla, któ-rego syn może w zamian chodzić za darmo do szkoły.

- Świetny układ.

- Ten chłopak to świr. Prawdziwy mieszcuch. Nigdy się nie przystosuje.

- Jeszcze dwa lata temu ty również byłeś mieszcuchem.

- Nie tylko o to chodzi. Jego ojciec jest cieślą.

- Więc?

- Więc inni rodzice mogą ich dziesięć razy kupić i sprzedać, zanim się zdążą obejrzeć.

- Nas również.

- Z nami jest inaczej.

- Bo twój ojciec nie pracuje fizycznie? Nie, Dougie, nie widzę różnicy. Ten chłopiec może być tak samo zdolny jak każdy inny uczeń w Mount Court. Ma prawo się dalej kształcić, a jeśli jego ojciec znalazł sposób, żeby mu to zapewnić, można go tylko za to podziwiać. A jak on się właściwie nazywa?

- Jason Druart.

- A! Lubię Jasona. - Angie uśmiechnęła się. - Wyjdzie mu to na dobre. Poza tym uważam, że dzieciom z Mount Court przyda się takie doświadczenie. Budowanie domu będzie dla nich bardzo pouczające. Zrozumieją, jak trudno stworzyć coś, co oni mają podane jak na talerzu. Ty też się czegoś nauczysz. Pomożesz im?

- Nie ma mowy. Trzymam się z daleka od dyrektora. Narobi nam tylko kłopotów.

- To ciekawe. Myślałam, że jest miły. - Angie poznała go na przyjęciu wkrótce potem, jak ubiegłej wiosny podpisał kontrakt. Odniosła wrażenie, że to typ przywódcy, czyli ktoś, kto świetnie nadaje się na stanowisko dyrektora szkoły.

Zatrzymała samochód na podjeździe. Dougie zabrał książki z tylnego siedzenia i szybko pobiegł do domu. Angie poszła za nim. W kuchni zastała Bena, owijającego sobie właśnie palec papierowym ręcznikiem.

- O Boże! - Odłożyła torebkę i obejrzała palec.

- Robiło się późno - powiedział charakterystycznym gderliwym tonem, używanym przez mężczyzn, gdy coś im się nie uda - i pomyślałem, że przyrządzę sałatkę. Kroilem marchewkę i skaleczyłem się. Trzeba to zeszyć?

- Nie. Krwawienie ustępuje. Wystarczy plaster. Dougie? Dougie!

Ponieważ nie odpowiadał, Angie z powrotem owinęła palec męża ręcznikiem, kazała Benowi mocno przycisnąć prowizoryczny opatrunek, a sama poszła do apteczki w łazience. W chwilę później rana była już fachowo obandażowana, zakrwawiony ręcznik wyrzucony do kosza, a Angie kroїła jarzyny na nie dokończoną przez Bena sałatkę.

- Nie musiałeś tego robić - powiedziała, patrząc czule na męża.

Ben opierał się o ladę, ubrany w dżinsy i koszulkę. Patrzył na nią serdecznie, choć był

trochę zdenerwowany. Jak zwykle jednak nie dawał niczego po sobie poznać.

- Powiedziałaś mi przecież, że zrobię kolację.

- Byłem głodny.

- Biedactwo. Drugi Dougie. Nie jadamy o wiele później niż zwykle.

- Wydawało mi się, że czekam już całą wieczność. Kiedy jestem zmęczony i głodny, czas płynie o wiele wolniej.

- Miałaś dobry dzień? - zapytała, odstawiając sałatkę i sięgając do lodówki po mięso.

- Przekazałem ci parę rysunków. - Przytrzymał drzwi, po czym je zamknął, kiedy steki znalazły się już na ladzie. - Strasznie nie lubię, jak przychodzisz tak późno. Kiedy zatrudnicie nowego lekarza?

- Jak się pozbieramy. Teraz jesteśmy za bardzo zajęci i wytrąceni z równowagi. - Paige doskonale to rozumiała, ale Ben i Peter na pierwszym miejscu stawiali własne sprawy. - Dopiero co pochowaliśmy Marę. Jakoś nie mogę jeszcze myśleć o tym, że ktoś ma ją zastąpić.

- Ale to nie Mara jest głodna - powiedział Ben i odszedł.

Angie uśmiechnęła się.

- Jakoś przeżyjesz! Za dziesięć minut podam kolację.

I rzeczywiście. Dokładnie dziesięć minut później Ben siedział już przy stole, a Angie wołała Dougiego.

- Jadłem w szkole! - odkrzyknął z góry.

- Tam dostałeś przekąskę. Teraz jest kolacja.

- Nie jestem głodny.

- Chodź, kochanie. Tylko troszeczkę.

- Mamo, muszę odrabiać lekcje.

- Posiedzisz z nami pięć minut i będziesz mógł wrócić do pracy. - Nalała trochę mleka do szklanki syna. - Kiedyś martwiłam się, że jest taki pokorny - powiedziała do Bena.

- A teraz zaczyna się stawiać i to dla mnie prawdziwa ulga. Zachowuje się tak jak wszyscy dorastający chłopcy.

- Wyjęła upieczony ziemniak z kuchenki mikrofalowej i położyła go na talerzu Dougiego. Upiekła potem ziemniak dla Bena i jeszcze jeden dla siebie. - Harkinowie byli dziś u mnie ze swoją najmłodszą córką. Gerry pytał o ciebie.

- Mała jest chora?

- Kiepsko się uczy, a nauczycielka nie wie, jak należy z nią postępować. Wydaje mi się,

że dziewczynka ma trudności z koncentracją, ale przed rozpoczęciem leczenia trzeba ją przeba-
dać. Zleciłam odpowiednie testy. - Podniosła głowę. - O, jesteś. - Podsunęła synowi krzesło.

- Mam nawet dla ciebie śmietanę do kartofli.

Ale Dougie nie usiadł.

- Nie jestem głodny, mamo. Już ci to mówiłem.

Uśmiechnęła się. Już jako dziecko był urodziwy, a teraz jeszcze wyprzystojniał. Rósł tak
szybko, że żadna ilość jedzenia nie mogła spowodować nadwagi.

- Powtórzysz mi to jeszcze raz, jak już spałaszujesz stek.

- Nie będę jadł. Kolacja była o szóstej. I wtedy naprawdę kiszki mi marsza grały. A teraz
nie mam na nic ochoty.

Odłożyła widelec. On się nie stawiał, z czego jeszcze niedawno była zadowolona. On ją
oskarżał. Mogłaby przysiąc, że w tonie jego głosu wyraźnie pobrzmiwała wymówka. Ale
przecież on nigdy jej o nic nie winił. Uwielbiał ją.

- Więc zjedz chociaż kartofelek. Skorka jest najlepsza.

- Nie będę nic jadł.

- Jest kolacja. Daj spokój, kochanie. Mówiłam ci, że będziemy jeść o siódmej. - Wskaza-
ła kartkę z rozkładem dnia, wiszącą na lodówce. - Możesz sprawdzić w planie. Dougie zrobił
minę, jakiej nigdy przedtem u niego nie widziała.

- Nie podoba mi się ten plan. Muszę wstawać wcześniej i jeść kolację później. To okrop-
ne.

- Po prostu nowe - uspokajała Angie. - Za tydzień już nawet nie będziesz pamiętał, że
kiedyś było inaczej.

- Wątpię.

- Kochanie - szepnęła łagodnie i oparła się o krzesło. - Denerwują cię te zmiany, bo jesteś
zmartwiony z powodu Mary. To naturalne i nie zamierzam cię o nic winić, ale spróbuj się przy-
zwyczać. Śmierć Mary wywróciła wszystko do góry nogami. Na razie nic lepszego nie mogę
wymyślić. Dostosujesz się.

- Ja się zawsze dostosowuję - odparł z pretensją.

- Kiedy już zorganizujemy sobie pracę i zatrudnimy nowego lekarza, wrócimy do starych
porządków.

- Nie chcę starych porządków.

- Więc czego chcesz? - Angie przestała rozumieć cokolwiek.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym natychmiast je zamknął.

- Mów - zachęciła go Angie. - Możesz być ze mną szczery. Wysłucham cię. Zawsze przecież słucham. O co ci chodzi?

- Chcę spędzać więcej czasu w szkole - wyrzucił z siebie wreszcie. - Kiepsko jest chodzić tylko na lekcje. Traci się połowę frajdy.

- Właśnie - potwierdziła Angie rozbawionym tonem. - Ale zostaje ci ta druga połowa dla rodziny.

- Ale ja chcę być z kumplami. Chcę mieszkać w internacie.

Ta propozycja wydała się jej zupełnie absurdalna.

- Przykro mi, ale to wykluczone.

- Dlaczego?

- Bo wiąże z tobą inne plany. Posłałam cię do Mount Court, bo tam jest wyższy poziom niż w szkole w mieście. Ale mieszkanie w internacie to całkiem inna sprawa.

- Dlaczego nie mogę spróbować?

- Bo masz dopiero czternaście lat. Możesz od czasu do czasu zostać tam na noc, tak samo jak w zeszłym roku, ale sądzę, że nie musisz wyprowadzać się z domu.

- Mieszkałbym o pięć minut drogi stąd. Znowu potrząsnęła głową.

- Już wkrótce wyjedziesz do koledżu. Wtedy zamieszkas w akademiku. Teraz jeszcze nie ma takiej potrzeby.

Dougie patrzył na nią przez chwilę, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Ben przełknął kawałek steku.

- Zanosilo się na to od dawna.

- Jak to? Nigdy nie mówił, że jest mu z nami źle.

- Teraz też wcale tak nie twierdził. Powiedział tylko, że świetnie by się bawił, gdyby mógł mieszkać w internacie.

- A ty też tak uważasz?

- Gdybym miał jego lata i tyle wiary w siebie, też pewnie bym myślał, że to frajda. Dougiemu potrzeba trochę rozrywki. Koledzy opowiadają mu różne historie, na pewno mocno przy tym koloryzując, a on im wierzy i sądzi, że w bursie jest bardzo przyjemnie.

Ale Angie również była przekonana, że udało się jej stworzyć przyjemny dom, o jakim niejedno dziecko mogłoby tylko marzyć. Nie rozumiała, dlaczego Dougie chce się przenieść do internatu.

- To ma jakiś związek ze śmiercią Mary - zawyrokowała. - Wszyscy jesteśmy w dołku psychicznym. Dougie tęskni za Marą i chce przebywać w takim miejscu, gdzie nie będzie podświadomie na nią czekał, a w tym domu stale wyczuwa jej obecność.

Ben stuknął widelcem o talerz.

- Nie o to chodzi. Do diabła, Angie! Przestań wreszcie filozofować. Sprawa jest prosta - chłopak dorasta i tyle.

- Wiem, że dorasta.

- Więc przestań go niańczyć.

- Wcale go nie niańczę - odparła, zdziwiona takim zarzutem.

- Oczywiście, że tak. Nie spuszczasz go z oka.

- Co nie znaczy, że go niańczę. Ja się po prostu nim opiekuję.

Odłożył widelec i popatrzył na nią tak samo dziwnie, jak przedtem Dougie.

- Wszystko było dobrze, kiedy miał cztery, siedem, nawet dziesięć lat. Ale skończył już czternaście, a ty wciąż mu mówisz, co ma robić. Przygotowujesz mu ubranie do szkoły, sprawdzasz pracę domową, kontrolujesz rozmowy telefoniczne.

- Czy to źle? - spytała zaskoczona. - Powinnam stać z boku i pozwalać mu rozmawiać przez telefon całą noc, z kimkolwiek sobie zażyczy? Nie miałby czasu na naukę. Co by się stało?

- Dostałby jedną czy drugą pałę, ale przynajmniej wiedziałby, czym grozi nieprzygotowanie pracy domowej. Jest na tyle duży, żeby wykazać się inicjatywą i wyrobić w sobie poczucie odpowiedzialności. Ale ty mu na to nie pozwalasz, bo wciąż go niańczysz. Jesteś nadopiekuńcza. To jasne jak słońce.

Wcale nie - myślała Angie. Nie rozumiała, co się dzieje. Ben nigdy jej nie krytykował. Zawsze uważał, że postępuje słusznie.

- Czy to przez Marę?

- Co masz na myśli?

- Wszystko. - Zrobiła wymowny gest.

- Na miłość boską, nie. Dlaczego wciąż mówisz o Marze?

- Bo nie rozumiem, co się stało. Śmierć kogoś bliskiego może tak bardzo nas przygnębić, że zaczynamy doszukiwać się problemów tam, gdzie ich nie ma.

Ben patrzył ponuro w talerz. Angie z ulgą przyjęła jego milczenie. A więc jednak miała rację. Śmierć Mary wykończyła ich psychicznie. Wszystko się poprawi, kiedy czas uleczy rany.

Wtedy Ben popatrzył na nią znad talerza.

- Być może śmierć Mary podziałała jak katalizator, być może staliśmy się nadwrażliwi i przez to bardziej skłonni do wyrażania uczuć, ale ja mówiłem serio. Zanosiło się na to od dawna. Prędzej czy później musielibyśmy stawić czoło faktom. Ty naprawdę tłamsisz Dougiego. On ma czternaście lat i w piątki wieczorem chce się spotykać z kolegami. Nastolatki robią takie rzeczy.

- Niektóre tak, niektóre nie.

- Doug chciał wyjść, a biorąc pod uwagę to, że uczestniczył wraz z nami w pogrzebie Mary, sądzę, że potrzebował chwili wytchnienia.

- Proponowałam mu, żeby pograł z tobą w kosza.

- Właśnie. Ze mną. A ja jestem jego ojcem. To nie to samo. On chce przebywać w towarzystwie kolegów częściej, niż mu na to pozwalasz.

Znów ten karcący ton.

- Nie rozumiem, Ben. Skąd ta nagła krytyka? Zawsze się ze mną zgadzałeś.

- Nie - powiedział wolno i zrobił złowieszczą pauzę. - Ja tylko nie protestowałem. Co niekoniecznie oznacza, że się zgadzałem.

Poczuła, że ogarnia ją gniew.

- Dlaczego nic nie mówiłeś?

Sam widocznie zadał sobie to pytanie i zastanawiał się nad odpowiedzią, bo wstał od stołu, podszedł do zlewu, wyjrzał przez okno i w końcu odwrócił się do niej.

- Bo ty zawsze tak świetnie panowałaś nad sytuacją. Odkąd Dougie przyszedł na świat, miałaś na wszystko gotową odpowiedź. - Uniósł dłoń. - Do diabła, jeszcze wcześniej. Od kiedy cię poznałem, zawsze wiedziałaś, co robić. Postanowiłaś wyjść za męża, zostać matką i... lekarzem. Upatrzyłaś mnie sobie na początku ostatniego roku koledżu, tak żebyśmy mogli się pobrać, jak zrobisz dyplom.

- Hola, hola - zaprotestowała. - Nie usiłujesz mi chyba wmówić, że to była zimna kalkulacja? Przecież właśnie ty mnie prosiłeś o spotkania, a nie odwrotnie. Umawiałaś się ze mną bez przerwy. Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, byłam w tobie naprawdę zakochana.

- I plan wypalił, prawda? Skończyłaś koledż, wyszłaś za męża i zaraz po miesiącu miodowym podjęłaś naukę w szkole medycznej. Zostałaś lekarzem, skończyłaś staż i dopiero potem urodziłaś dziecko. Kiedy Dougie wyrósł z pieluch i wreszcie poszedł do szkoły, przeniosłaś się

tutaj i zaczęłaś pracować z Paige. Wszystko zaaranżowałaś, Angie, a co najdziwniejsze - udało ci się. Jesteś wyjątkowo zdolną kobietą. Robisz plany, natychmiast je realizujesz i nie pozwalasz sobie pomagać. Na pewno poświęcałbym Dougiemu więcej czasu, kiedy był mały, ale ty nigdy niczego ode mnie nie chciałaś.

- Próbowałam ci ułatwić życie - zaproponowałam. - Miałaś pracę. Terminy. Utrzymywałaś nas, a ja zajmowałam się dzieckiem.

- Nawet wtedy, kiedy sama zaczęłaś pracować? Tak, wiem, chodził już do szkoły. Mogłam jednak się na coś przydać. Całe dni spędzam w domu. Umiem prowadzić samochód i też kocham naszego syna. Ale ty ułożyłaś sobie zajęcia tak, żeby rano odwozić go do szkoły i odbierać wracając z pracy do domu, a także postarałaś się o to, żeby spędzać z nim wszystkie weekendy i wakacje.

- Mamy cudowne wspomnienia z weekendów i wakacji - przypomniała mężowi. Chodzili na piesze wycieczki, jeździli do Bostonu, zwiedzali zabytki i muzea.

- Nic nie rozumiesz. A ja ci mówię, że to ty sama zaplanowałaś dzieciństwo Dougiego i zrealizowałaś swój plan. Nie potrzebowałaś mojej pomocy. Po jakimś czasie przestałem nawet cokolwiek proponować. Wystarczająco wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, że jestem zbędny. Przez te wszystkie lata odgrywałem wyłącznie rolę biernego obserwatora.

Angie przełknęła ślinę. Mąż zadawał jej cios za ciosem, a ona zupełnie nie rozumiała, co się stało.

- Czy źle się wywiązywałam ze swoich obowiązków?

- Nie. Dobrze. Zawsze wszystko robiłaś znakomicie. Byłaś żoną, matką i lekarzem w jednej osobie, ale nie zaniedbywałaś żadnych zajęć, chociaż musiałaś chodzić jak po sznurku przez cały dzień. Ale teraz wszystko się zmienia. Dougie już nie jest małym dzieckiem. Nie możesz planować mu życia tak, jak próbowałaś to robić do tej pory. On dojrzewał. Potrzebuje przestrzeni życiowej.

- Daję mu przestrzeń.

- Chyba żartujesz. Mówisz mu co, kiedy i dlaczego ma robić. Nie pozwalasz mu o niczym decydować.

- Pomagam mu. Życie jest trudne.

- Przez ciebie będzie zniewieściały.

- Jak może być zniewieściały, skoro nie jest jeszcze mężczyzną?

- I nigdy nim nie zostanie, jeśli nie zmienisz swojego postępowania. Odmawiasz mu

prawa do rzeczy, które wpłynęłyby świetnie na jego samopoczucie. Teraz nie brak mu pewności siebie, ale kiedy zrozumie, że nie wolno mu podejmować żadnych decyzji, bo ty już zrobiłaś to za niego, będzie miał kłopoty. Odbierasz mu poczucie siły. Przez ciebie ma wrażenie, że na nic go nie stać. Nie może być nic gorszego, wierz mi. Wiem, bo traktujesz mnie w ten sposób od lat.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Nieprawda.

Ben pokiwał wolno głową.

- Uważasz, że jesteśmy dziećmi, które nie potrafią same o siebie zadbać. Organizujesz nam życie tak, żebyś mogła osiągnąć swoje własne cele.

- Ben! Nie! - krzyknęła.

- Ależ tak, a kiedy ośmielamy się protestować, gładzisz nas protekcjonalnie po główkach jak małych chłopców, którzy nie wiedzą, o co chodzi w życiu. To nas obraża, upokarza i doprowadza do szału.

Nie musiał nawet tego dodawać. Widziała, jak zacisnął pięści na brzegu stołu. Ale ona nadal nic nie rozumiała. Ben był przecież taki łagodny. Zawsze spokojnie załatwiał swoje sprawy i ten wybuch zupełnie do niego nie pasował. Angie usiłowała pojąć, o co mu właściwie chodzi.

- Pewnie jesteś zły, bo dłużej pracuję, ale przecież tak nie będzie wiecznie.

- Nie, Angie. Nie chodzi o to, że przychodzisz później do domu, ale o sposób, w jaki rozwiązujesz problemy. Nawet nie przyszło ci do głowy, żeby przedyskutować ze mną sytuację. Podejmując decyzję, myślałaś wyłącznie o swojej pracy. Potem po prostu wywiesiłaś nam nowy plan zajęć i założyłaś, że go zaakceptujemy. A więc przyjmij do wiadomości, że ten harmonogram nie zdaje egzaminu i nie odpowiada ani Dougiemu, ani mnie.

Poczuła skurcz żołądka.

- Zdaje egzamin. - Usiłowała go przekonać, bo sądziła, że ona nigdy się nie myli. Była dumna, że odnosi sukcesy w pracy, ma subordynowane dziecko, a jej małżeństwo opiera się na solidnych podstawach. - Przecież jest wam dobrze.

- Widzisz? Cholera jasna! Znowu zaczynasz! Mówisz mi, jak się czuję, tak? Pozwól więc, że ja ci coś powiem. Wcale nie jest mi dobrze! Siedzę godzinami sam w domu i...

- Pracujesz.

- Ale nie cały czas. Robię przerwy. Nie spędzam przy desce więcej niż pięć godzin. Więc

co robię, kiedy już skończę? Ano chodzę po pustym domu i czuję się bardzo samotny.

- To kompletny absurd, Ben. Do zeszłego tygodnia nigdy nie pracowałam dłużej niż sześć godzin dziennie.

- Za to kiedy jesteś w domu, koncentrujesz się na Dougiem. - Usiłowała zaprzeczyć, ale on kontynuował. - Mówię prawdę, Angie. Na pierwszym miejscu stawiasz pracę, na drugim Dougiego, a na końcu mnie.

- Jesteś zazdrosny? - olśniło ją.

- Nawet jeśli tak, nie ma w tym nic dziwnego. - Uderzył się w piersi. - Jestem mężczyzną. Jestem człowiekiem. Potrzebuję towarzystwa.

- Wybrałeś zawód, który skazuje cię na samotność.

- Wybrałem zawód, który dawał mi szansę wykazania się. Nie myślałem wtedy o samotności, ale - ciągnął, jakby już nie mógł powstrzymać potoku słów - skoro poruszyłaś ten temat, to wiedz, że w Nowym Jorku spotykałem się z ludźmi: zanosilem rysunki do redakcji, umawiałem się na lunch z kolegami. Mogłem do woli przesiadywać w ratuszu. Teraz musi mi wystarczyć telewizja kablowa. Cóż to za porównanie!

Odnosiła wrażenie, że nic już mu się nie podoba.

- Teraz z kolei nienawidzisz Vermont? Przecież chciałeś się tu przenieść. Ani razu nie zaprotestowałeś.

- Bo wydawało mi się, że to dobry pomysł. Chciałaś prowadzić praktykę, ale szukałaś współników, żeby nie zaharowywać się na śmierć. Marzyliśmy o kupnie domu, co w Nowym Jorku było niewykonalne, a ja mogę pracować wszędzie. Wydawało się nam, że będziemy tu żyli na przyzwoitym poziomie. Doszedłem do wniosku, że jest więcej argumentów za niż przeciw. Przenieśliśmy się więc do Tucker i byłaś szczęśliwa.

- Ty również. - Za dobrze pamiętała, ile radosnych chwil wtedy przeżyli, żeby mu o tym nie zapomnieć.

- W pewnym sensie tak. Ty pracowałaś, na czym bardzo ci zależało. Ja również pracowałem. Mieliśmy własny dom i mogliśmy jeździć po Main Street bez obawy, że utkniemy w korku.

- Było dobrze - powiedziała, próbując przeważać szalę zwycięstwa na swoją stronę, ale zadał jej kolejny cios.

- Czuję się samotny. Na początku próbowałem utrzymywać kontakt z kolegami, jeździłem nawet raz na jakiś czas do Nowego Jorku, ale mijały lata, a w gazetach jest stała rotacja

kadr. W końcu nie wiedziałem już, do kogo dzwonić, ty cały dzień siedziałas w pracy, a gdy wracałaś do domu, interesował cię tylko Dougie. A ja też mam jakieś potrzeby, do cholery!

- Powinieneś był coś powiedzieć! Uniósł podbródek.

- Mówiłem, ale ty nie słyszałaś. Kiedy pytałem, czy możesz wyskoczyć ze mną na lunch, odpowiadałaś, że masz komplet pacjentów. Kiedy proponowałem wyjazd na weekend, okazywało się, że Dougiemu akurat wyskoczyła jakaś pilna sprawa do załatwienia. Kiedy on już wreszcie szedł spać, ty też się kładłaś. A co ze mną?

- Mam przecież czas dla ciebie. - Nie rozumiała jego zarzutów. - Chodzimy do restauracji, zapraszamy przyjaciół.

- Ty decydujesz, ty zapraszasz, ty planujesz.

- A poza tym wyjeżdżamy razem. Dlatego taka ważna jest twoja uroczystość w przyszłym miesiącu.

- Ważna, bo prestiżowa, tak? I wcale nie chodzi tu o mnie. Nie zależy mi na tej nagrodzie. To tobie jest ona potrzebna.

- Z uwagi na ciebie.

- Ale mnie na niej nie zależy - powtórzył. - Ty jednak nie wiesz, czego ja tak naprawdę chcę, prawda? Wymyśliłaś sobie, kim jestem i co robię, po czym wplotłaś tę koncepcję w nasze życie. Nawet jeśli słuchasz tego, co mówię, nie słyszysz moich myśli, nie znasz moich pragnień. Ty mnie nie widzisz. Nie dostrzegasz mnie od lat.

Zerwała się z krzesła i stanęła na wprost niego.

- To nieprawda! Jesteś moim mężem. Rzeczywiście nie przesiaduję cały czas w domu, ale wiem, czym się zajmujesz.

Pokręcił głową.

- Jesteś tak uwikłana w swoje własne sprawy, że nawet nie masz pojęcia.

- Grubo się mylisz.

- Nie sądzę - odparł, patrząc jej prosto w oczy. - Gdybyś naprawdę wiedziała, co czuję, gdybyś słyszała, o co cię pytam, i przyjrzała mi się, tak dokładnie przyjrzała, domyśliłabyś się, że w moim życiu coś się dzieje. Ale ty dostrzegasz tylko swój plan zajęć, a tak naprawdę jesteś ślepa. Po prostu ślepa. - Przeczesał palcami włosy. - Chryste Panie! Już od ośmiu lat spotykam się z inną kobietą, a ty się nawet tego nie domyśliłaś.

Angie poczuła się tak, jakby coś jej pękło w środku. Położyła rękę na piersi, żeby uspokoić gwałtowne bicie serca.

- Co takiego? - spytała drżącym głosem.

- Przecież słyszałaś - mruknął.

Powiedział, że już od ośmiu lat spotyka się z inną kobietą, ale to nie mogła być prawda. Znała swego męża. Był lojalny i oddany. Kochał ją.

- Mówisz tak, żeby mnie zranić? - spytała, bo tylko takie wyjaśnienie - choć trochę bezsensowne - przyszło jej do głowy. Ben nie lubił zadawać innym bólu. Był dobry, szlachetny i wyzuty z jakichkolwiek złych intencji.

Odwrócił wzrok.

- Mówię tak, bo to prawda, a poza tym nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób, żeby do ciebie dotrzeć.

- Kto to jest? - spytała automatycznie. Chciała zdobyć jak najwięcej informacji.

Stanął twarzą do okna i oparł ręce na biodrach. Angie myślała przez chwilę, że nie zamierza jej odpowiedzieć.

- Nora Eaton - powiedział w końcu cicho.

Angie przywołała w pamięci obraz sympatycznej kobiety, przeciętnej pod każdym względem. Wyróżniały ją jedynie długie, mocno kręcone, popielatoblond włosy. Nora pracowała w bibliotece miejskiej i była niewiarygodnie realna.

- Ona jest starsza od nas. - Tylko tyle przyszło jej na razie do głowy.

- Nigdy o tym nie myślałem - powiedział, wzruszając ramionami.

Drżały jej nogi, więc usiadła na krześle.

- Jak często się z nią widzisz?

- Nie wiem. Raz, czasem dwa razy w tygodniu. - Stanął do niej tyłem. - Nie jestem maniakiem seksualnym. Czasem tylko rozmawiamy. Tak jak my rozmawialiśmy ze sobą przed ślubem. Brak mi tego. Brak mi twego towarzystwa.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Ależ mówiłem. Tylko że tobie było wygodniej nie słuchać.

- Ale teraz, skoro już ją masz, niczego ci chyba nie brakuje - powiedziała Angie. Czowała się ogromnie samotna, pusta w środku.

- To nieprawda. Wciąż brak mi ciebie. Ona jest tylko namiastką, a nie lekarstwem. Nie dorasta ci do pięt, ale, cholera - ciągnął z wściekłością, jakiej dał upust już wcześniej - nie mogę spędzić reszty życia walcząc o zainteresowanie z twojej strony po to, żeby i tak znaleźć się na ostatnim miejscu.

Wyrzekłszy te słowa, wyszedł z domu tylnymi drzwiami i zniknął w mroku, zostawiając Angie ze świadomością, że jej życie właśnie legło w gruzach.

Peter przez prawie godzinę przeszukiwał zwoje klisz. Wreszcie włożył film do nośnika, który z kolei umieścił w powiększalniku nastawionym na odpowiedni format.

Naświetlił próbnie negatyw, poddał go działaniu obu wywoływaczy, w końcu zapalił światło i ocenił efekt. Znów zgasił lampę, zrobił ciemniejszą odbitkę, a potem jeszcze jedną, bardziej kontrastową od poprzedniej. Przy każdym następnym podejściu skupiał się coraz bardziej na szczegółach.

Dopiero po kilkunastu próbach był zadowolony z rezultatu. Potem znowu zajął się negatywami, wybrał drugą kliszę i zaczął wszystko od początku.

O siódmej rano był jeszcze w ciemni i oglądał odbitki, jakie pozostawił do wyschnięcia. Choć jeszcze ubiegłego wieczoru wydawały mu się niezłe, teraz już nie spełniały jego oczekiwań. Zebrał więc pospiesznie zdjęcia i wrzucił je do kosza, powziąwszy mocne postanowienie, że następnym razem pójdzie mu lepiej.

Niezadowolony z siebie zjawił się w gabinecie, gdzie czekali już pierwsi pacjenci. Będąc zwolennikiem teorii, że im więcej się pracuje, tym mniej pozostaje czasu na myślenie, przyjmował do wpół do jedenastej. Paige dopadła go, kiedy zrobił sobie właśnie przerwę na kawę.

Rozdział siódmy

Paige wyciągnęła szelki z kieszeni kitla. Trzymając je przed sobą, obserwowała Petera. Choć nie zmienił wyrazu twarzy, zbladł tak, że odpowiedział na wszystkie nie zadane pytania.

- Znalazłam je w toalecie Mary - powiedziała. - Trochę mnie to zdziwiło.

- Rzeczywiście. - Strzelił palcami. - W toalecie Mary? Ciekawe.

- Nie wiedziałeś, że tam są?

- Gdybym wiedział, na pewno bym się o nie upomniał. To moje ulubione szelki. Myślałem, że zostawiłem je w centrum rekreacyjnym. Dziękuję. - Wyjął jej szelki z ręki i upchnął w kieszeni. - Dlaczego szperałaś w rzeczach Mary?

Pytanie nie było pozbawione sensu. Teoretycznie, śmierć Mary można było wytłumaczyć valium, zmęczeniem i tą nieszczęsną rozmową telefoniczną. Ale Paige to nie wystarczyło. Im więcej dowiadywała się o przyjaciółce, tym bardziej chciała poznać tajemnicę jej śmierci, gdyż poczucie winy nie dawało jej spokoju.

- Siedziałam na jej łóżku i próbowałam zrozumieć, co się stało. A biurka mogą czasem wiele wyjaśnić. Nocne stoliki również. Otworzyłam więc szufladę, żeby zobaczyć, co jest w środku. Jak myślisz, skąd one się tam wzięły?

Upił łyk kawy, skrzywił się, dodał więcej śmietanki i wymieszał parujący napój.

- Pewnie się jej podobały.

- Tobie również. Bardzo często je nosiłeś. W jaki sposób je zdobyła?

- Bywała u mnie często. Najprawdopodobniej po prostu je zabrała.

- Bez twojej wiedzy?

- Czuła się u mnie jak u siebie w domu. Nie pilnowałem jej przecież.

- Ale po co miałyby zabierać ci szelki i chować je później w toalecie?

Pił spokojnie kawę.

- Peter? Spojrzał na nią.

- Bo ona coś do mnie czuła. Daj spokój, Paige! Przecież o tym wiedziałaś.

Ale ona nie wiedziała. Zrobiła minę, która nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości.

- No więc przyjmij do wiadomości, że tak było.

- Byliście przyjaciółmi. Spotykaliście się czasem. Co masz na myśli mówiąc, że ona coś do ciebie czuła?

- Podobałem się jej. Miała obsesję na moim punkcie. Paige potrząsnęła głową.

- Obsesję? Bzdura. Mara nie miała żadnej obsesji na twoim punkcie. Wiedziałabym o tym.

- Tak samo jak wiedziałaś o valium? I o tym, że dziecko już wyjechało z Bombaju? Spójrz prawdzie w oczy. Mara miała swoje tajemnice. - Umilkł na chwilę. - A ty sądzisz, że skąd się tam wzięły? - Zadał pytanie, które nie dawało jej spokoju przez całą noc.

- Myślałam - zaczęła Paige, ale prawda była taka, że choć tak długo się nad tym zastanawiała, nie była pewna, czy właściwie interpretuje sytuację. - Myślałam - powtórzyła - że może kiedyś u niej nocowałeś i zapomniałeś je zabrać.

- Dlaczego, u licha, miałbym u niej nocować? Miałem jej wystarczająco dosyć po całym dniu.

- Bo ją lubiłeś.

- Tak, lubiłem od czasu do czasu spędzić z nią trochę czasu, ale towarzystwo Mary na dłuższą metę stawało się trudne do zniesienia. Po co miałbym u niej nocować?

- Bo ją lubiłeś.

- Wcale nie.

- Oczywiście, że tak. Ona ciebie również. Tak, wiem, darliście czasem ze sobą koty i doprowadzaliście nas tym do szału, ale przecież byliście przyjaciółmi.

- Zgoda. Przyjaciółmi. Ale nie kochankami. Dlaczego uważasz, że mieliśmy romans? To niedorzeczny pomysł.

Paige nie twierdziła wcale, że byli kochankami. Ani razu nie użyła tego słowa. Myślała, że prawdopodobnie zasiedzieli się kiedyś do późna i Peter w końcu zanocewał u Mary, a szelki zdjął dla wygody, po czym o nich zapomniał. Paige znalazła je wprawdzie w dość osobliwym miejscu, ale Mara mogła je po prostu gdzieś znaleźć i upchnąć w szufladzie, żeby nie walały się po domu.

Nie, Paige nie twierdziła wcale, że byli kochankami, ale fakt, że Peter użył tego słowa, uznała za dość wymowny.

- Cześć - powiedziała Angie, rzuciła im szybkie, badawcze spojrzenie i podeszła do ekspresu. - Nie przeszkadzam?

- Absolutnie w niczym - odparł Peter, robiąc jej miejsce przy stoliku.

- A dlaczego mam wrażenie, że rozmawialiście o Marze? - Nalała sobie filiżankę kawy.

- Być może dlatego - odparła Paige - że głównie o niej myślimy. Chcecie wiedzieć, co wczoraj odkryłam? - Streściła im przebieg rozmowy z kontrolerem z Indyjskich Linii Lotniczych.

- Biedna Mara! - westchnęła Angie. - To mógł być powód. Tak bardzo pragnęła dziecka. Jeśli się dowiedziała, że po tym wszystkim, co przeszła, Sami zginęła w katastrofie lotniczej, miała prawo się załamać.

Ale Peter pokręcił głową.

- Zdarzało się, że jej pacjenci umierali, a nie popadała w depresję, chociaż znała te dzieci. A Sameery nigdy nie widziała.

- Ale ona miała być jej córką - przypomniała mu Angie. - Na tym właśnie polega różnica. Gdybyś miał dzieci, rozumiałbyś, o czym mówię. Uczucia rodzicielskie są niezwykle silne, a Mara całym sercem zaangażowała się w adopcję tej dziewczynki.

Choć Paige również była bezdzietna, poparła przyjaciółkę.

- Mara uważała, że adoptowanie Sami to jej jedyna szansa na macierzyństwo.

- Właśnie tu zaczynają się moje wątpliwości. Dlaczego to było dla niej takie ważne?

- Miała trzydzieści dziewięć lat. Czas mijał, a zegar biologiczny nie chciał stanąć.

- Jesteś w tym samym wieku. Czy równie rozpaczliwie pragniesz dziecka?

Paige nie miała czasu na rozpacz.

- Nie zdarza mi się nigdy czuwać całą noc i myśleć. A ona często nie mogła zasnąć. Takie nocne rozważania każdego mogą doprowadzić do obłądzenia. Poza tym ja pochodzę z innej rodziny.

Rodzice Paige nie byli specjalnie przywiązani do domu, kochali podróże. Dla nich posiadanie dziecka oznaczało jedynie życie w kieracie. O'Neillowie natomiast traktowali macierzyństwo jak święty obowiązek kobiety.

Przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyła z ojcem Mary przed domem pogrzebowym.

- Jej rodzice chcieli, żeby miała dzieci.

- Ale ona nienawidziła swoich rodziców. Odrzucała wszystkie wartości, jakie oni uznawali za ważne.

- Może co innego robiła, a co innego myślała.

- Przyznała ci się kiedyś do tego?

- Nie. Ale chyba mam rację. Mara kochała dzieci i bardzo poważnie traktowała macierzyństwo. A skoro już o tym mowa - zwróciła się do Angie, która patrzyła na nią zdumiona - Jill Stickley nie była u mnie wczoraj bez powodu. Jest w ciąży.

Peter stuknął się filiżanką w głowę.

- Dobry Boże! Kiedy wreszcie te dziewczuchy się opamiętają? - Podszedł do drzwi.

- Do tanga potrzeba dwojga! - zawołała za nim Paige i natychmiast tego pożałowała, bo nie lubiła żartów z podtekstem seksualnym. - Rozmawiałam rano z jej matką. Pani Stickley powiadomi szkołę, że Jill wróci do nauki dopiero we wrześniu. Dziewczyna będzie na razie mieszkać ze mną.

- Dobry pomysł - przyznała Angie.

- Zostanie u mnie, dopóki agencja adopcyjna nie znajdzie odpowiedniej rodziny dla Sami. To takie cudowne maleństwo. Zasluguje na wszystko, co najlepsze.

- Mara na pewno byłaby zadowolona. Chociaż... - Angie spojrzała w sufit. - Skąd mam niby wiedzieć, z czego ona by się cieszyła? Myślałam, że ją znam, ale teraz widzę, że się myliłam.

Paige również odnosiła to samo wrażenie, a tajemnica Mary nie doczekała się wyjaśnienia.

- Jak myślisz, czy Peter i Mara romansowali ze sobą?

- Romansowali?

- Tak. Czy spali ze sobą?

Angie zawahała się.

- Ciekawa koncepcja. Dlaczego pytasz? Paige powiedziała jej o szelkach.

- Jeżeli nawet coś ich ze sobą łączyło, Mara nigdy mi o tym nie mówiła.

- Mnie również nie - odparła Angie. Upiła łyk kawy i skrzywiła się. - Może robiła jakieś aluzje, których nie zrozumiałam. Jeśli tak, to nie ona jedna. - Ukryła twarz w filiżance.

- Co masz na myśli? - zaniepokoiła się Paige. Mimo że Angie była świetnym fachowcem, nigdy się nie wywyższała. Nie miała jednak skłonności do umniejszania swojej wartości.

- Och, sama już nie wiem - westchnęła Angie i zaczęła bezmyślnie przesuwając palcem po brzegu filiżanki.

- Angie?

Podniosła wzrok. Jej oczy były pełne łez.

- Myślę, że wszystko popsułam - powiedziała wolno.

- Popsułaś? Ty? Niemożliwe.

- Ja też sądziłam, że to niemożliwe, ale jak widać nie miałam racji. Wczoraj wieczorem strasznie pokłóciłam się z Benem.

- Nie wierzę. Wy się nie możecie pokłócić. On jest na to zbyt spokojny, a ty zbyt zasadnicza.

- A jednak wczoraj doszło do awantury. - Wyjęła chusteczkę higieniczną ze stojącego na stole pudełka i przytknęła ją sobie do oczu.

Paige była wstrząśnięta. Nigdy przedtem nie widziała jej w takim stanie.

- Posprzeczaliście się. W porządku. Wierzę ci. Ale to na pewno nic poważnego.

- On ma romans - załkała Angie w chusteczkę.

- Ben?

- Tak. Z bibliotekarką - dodała drżącym głosem.

- Żartujesz? - spytała Paige, choć dobrze wiedziała, że Angie nie płakałaby i nie była tak nieszczęśliwa, gdyby to były żarty. - Dlaczego, na miłość boską, on ma romans z kimkolwiek?

Angie nie mogła się pozbierać. Szlochała cicho.

- Mówi, że go nie słucham - wykrztusiła wreszcie. - Że go nie zauważam. Że jest samotny.

- Dlaczego wcześniej nie rozmawiał z tobą na ten temat?

- Twierdzi, że próbował mi powiedzieć, ale nie traktowałam go poważnie. Może nawet nie przyznałabym mu racji, gdyby nie Mara. Była moją przyjaciółką, pracowałyśmy razem, a ja nie wiedziałam, że chce odebrać sobie życie. Pewnie też nie zauważyłam, co czuje Ben. A zresztą, o czym tu dyskutować, skoro on ma kochankę? Nora Eaton. Mój Boże!

Paige nigdy nie podejrzewała by Bena o niewierność, co nie najlepiej świadczyło o jej intuicji, ale - tak samo jak Angie - nie wiedziała nic na temat stanu ducha Mary, a przecież znała ją o wiele dłużej.

- Tak mi przykro - powiedziała, przytulając Angie i była to jedyna pociecha, jaką mogła jej zaoferować. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Niewiele - odparła Angie przez łzy. - Już po wszystkim.

- Co teraz będzie?

- Nie mam pojęcia. Nie byłam jeszcze w takiej sytuacji.

- W jej głosie wyraźnie pobrzmiwało przerażenie.

- Przecież masz instynkt.

- Chyba jednak nie, skoro niczego nie zauważałam. Mój własny mąż ma romans od ośmiu lat - zająknęła się - a ja nic o tym nie wiem. Próbuję analizować swoje małżeństwo, tak jak usiłowałam przeanalizować swoją przyjaźń z Marą i staram się zrozumieć, jakie popełniałam błędy. Usiłuję zobaczyć to wszystko, czego nie dostrzegałam, ale nadal nic nie widzę. Boże! Nie było śladów szminki na kołnierzyku, ubranie nie pachniało obcymi perfumami... on również nie. - Zadrzała.

Nietrudno było sobie wyobrazić, o czym myśli.

- Może zachowywał się inaczej w stosunku do ciebie? - spytała delikatnie Paige.

Angie spojrzała na nią dumnie.

- Nie, w łóżku nie. Seks zresztą nie był najważniejszym elementem naszego związku. Nie mieliśmy czasu... ja nigdy nie miałam czasu. Nie kochaliśmy się zbyt często, ale zawsze było nam dobrze. Przynajmniej mnie było dobrze. Myślałam, że jemu również. - Przymknęła oczy. - Uważałam, że ważniejsza jest jakość, nie ilość. A teraz czuję się jak idiotka.

- Nie jesteś idiotką.

- Kochał się ze mną, a myślał o niej! Wyobrażasz to sobie?

- Nie musiało tak być,

- Osiem lat. Jak mogłam nie zauważyć?

- Jeśli się nie zorientowałaś na samym początku, później nie miałaś już szans. Wszystko, co robił, uważałaś za normalne. On wciąż zachowywał się tak samo i nie było powodu, żeby go o cokolwiek podejrzewać.

Angie spojrzała na nią zimno.

- Nie pisano o tym w „Przeglądzie Medycznym”, więc skąd takie wnioski?

- Na czym stało? - spytała Paige z uśmiechem.

Angie oparła się o stół i odetchnęła głęboko. Była już spokojniejsza.

- Nie wyrzuciłam go z domu, chociaż jestem pewna, że Mara kazałaby mi tak właśnie postąpić. Już ją słyszę: „Wystąp o rozwód. Niech ma, na co zasłużył. Jeżeli tak bardzo podoba mu się Nora Eaton, niech ona pierze mu skarpetki.” Mara przepadała za Benem, ale brzydziła się zdradą.

Paige znowu musiała się uśmiechnąć. Angie miała rację. Mimo że w głębi serca Mara była bardzo łagodna, zachowywała się czasem wojowniczo.

- Jest tylko jeden mały problem. Ty go kochasz.

- Kocham - szepnęła Angie.

- Powiedział, co zamierza zrobić? - Słowo „separacja”, ani tym bardziej „rozwód”, nie mogło jej przejść przez gardło.

- Wyszedł z domu. Później wrócił, ale już nie kontynuowaliśmy rozmowy. Kiedy wstałam, był jeszcze w łóżku. - Przycisnęła drżącą dłoń do ust i spojrzała pytająco na Paige. - Co mam robić? - szepnęła.

- Porozmawiaj z nim. Idź do domu i zrób to. Angie pokręciła głową.

- Mamy za dużo pracy. - Odsunęła się od stołu, spojrzała na swoje odbicie w szklanych drzwiczkach kuchenki mikrofalowej i otarła oczy. - Czekają na mnie pacjenci.

- Na mnie również, ale czy nie uważasz, że to wyjątkowa sytuacja? Chodzi o twoje małżeństwo.

- Wiem, ale potrzeba mi czasu.

- Czas to luksus. Dla Mary już go nie znajdziemy. Dziesięć razy dziennie żałuję, że nie mogę cofnąć zegara i choć raz z nią porozmawiać. A ty przecież możesz wszystko naprawić.

Angie trzymała już rękę na klamce, stojąc tyłem do Paige.

- Nie wiem, co mam mu powiedzieć. Czy zdajesz sobie sprawę, jak mnie to wyprowadza z równowagi? Rzadko tracę kontrolę nad sytuacją, ale nigdy w życiu nie spodziewałabym się, że on mnie zdradza. Myślałam, że mnie kocha, nadal tak myślę. - Pokręciła głową. - Po prostu

nie rozumiem. Może on jednak ma rację. Może nie dawałam mu tego, czego potrzebował.

- Usiłujesz go tłumaczyć?

- Nie, ale muszę wziąć na siebie część odpowiedzialności. Sama mówiłaś Peterowi, że do tanga trzeba dwojga. Jeśli jeden z tancerzy gubi rytm, drugi szuka innego partnera.

- Angie, nic nie usprawiedliwia niewierności.

- Wiem, ale mówimy o Benie. Muszę się zastanowić, jak mam postąpić.

Paige nie zatrzymywała jej dłużej i wkrótce potem rozpoczęła przyjęcia, ale przez cały dzień myślała o problemach przyjaciółki, które odczuła w bardzo osobisty sposób. Małżeństwo Angie było dotąd jak brylant bez skazy, stanowiło wzór do naśladowania, a teraz zatrzęsło się w posadach. Paige marzyła o związku, który pozwoliłby jej na wykonywanie zawodu, a jednocześnie zapewnił szczęście rodzinne. Życie koncentrowałoby się wokół męża, i choć Ben nie był jej ideałem mężczyzny, Paige zawsze uważała, że przynajmniej można na nim polegać.

Jego niewierność zmała ten idealny obraz. Odczuwała z tego powodu żal, a myśli o Marze pogłębiały jeszcze jej smutek, więc postanowiła wpaść do domu przed treningiem w Mount Court. Wmawiała sobie, że chce skontrolować Jill, ale tak naprawdę wiedziała, że widok Sami złagodzi ból. Choć dziewczynka nie była biologiczną córką Mary, a nawet nigdy się z nią nie spotkała, Paige wydawało się, że przyjaciółka pozostawiła jej jakąś maleńką część siebie w postaci dziecka.

Chciała mocniej odczuć ten związek, więc wysłała Jill na spotkanie z przyjaciółmi i zabrała Sami do Mount Court. Kierowniczka drużyny z przyjemnością zaopiekowała się dziewczynką, a Paige prowadziła trening. Potem, gdy zawodniczki biegały na sto metrów, Paige znów mogła się zająć dzieckiem. Po treningu zapakowała Sami do wózka i korzystając ze słonecznego wrześnieowego popołudnia, wybrała się z nią na spacer.

Spacerowała wijącymi się drózkami, mijając budynki szkolne, centrum sztuki i bibliotekę, a potem biura. Nie spieszyła się, rozmawiała ze spotkanymi po drodze uczniami, parokrotnie przystawała, żeby pokazać coś Sami. Gdy dochodziła już do bursy, usłyszała, że niedaleko pracuje buldożer, i poszła w tamtym kierunku.

Dziewczęta mówiły jej wprawdzie o zamierzeniach nowego dyrektora szkoły, ale Paige chciała zobaczyć plac budowy na własne oczy. Dom absolwenta miał zostać wzniesiony na zalesionym terenie za internatem i byłoby to prześliczne miejsce, gdyby nie wciąż pogłębianą przez koparkę dziura, akurat w samym centrum placu.

Uczniowie obojga płci, ubrani w dzinsy i czapki ze sztywnego, lśniącego materiału, stali

wokół i przyglądali się budowie równie bezradnie jak Paige. Za nimi stał - bynajmniej nie bezradny - Noah Perrine. Oczy przysłaniały mu lustrzane okulary, ale ze sposobu, w jaki trzymał głowę, można było wywnioskować, że jest całkowicie skupiony się na pracy.

On również ubrany był w dżinsy, a na głowie miał czapkę, która jednak nie lśniła już nowością, jak te noszone przez jego wychowanków. Perrine włożył również wypłowiałą koszulkę i Paige zdziwiła się, że ten strój tak świetnie do niego pasuje. Doskonale też wczuwał się w rolę kierownika budowy. Sądząc ze sposobu, w jaki pokazywał coś operatorowi dźwigu, doskonale wiedział, co robi. Gdy Paige widziała go w ostatni piątek, nie zauważyła, że jest taki wysoki i potężnie zbudowany. Teraz, patrząc na niego, nigdy by się nie domyśliła, że to dyrektor szkoły.

Sami rozplakała się. Paige wyjęła ją z wózka i mocno przytuliła.

- Już dobrze, kochanie. Nie zwracaj uwagi na ten hałas. Budują tu dom, wiesz? Nowy dom. Muszę przyznać, że to niezwykle przedsięwzięcie. Nigdy nie posądziłabym tego zarozumialca o takie dobre pomysły.

Obserwowała bacznie Noaha, który oparł jedną rękę na biodrze, a drugą pokazywał coś budowniczemu. W pewnym momencie, gdy buldożer przerwał pracę, Perrine odwrócił się do uczniów i zaczął im coś tłumaczyć, ale Paige nie słyszała ani słowa, ponieważ silnik maszyny wciąż pracował. Nie widziała też wyrazu oczu mężczyzny, gdyż przesłaniały je lustrzane okulary.

Na znak Noaha buldożer wznowił pracę. Po chwili operator wyłączył silnik i wysiadł z kabiny. Zrobiło się cicho. Perrine ponownie zwrócił się do swoich wychowanków, ale i tym razem Paige nie słyszała, o czym mówi, bo stała zbyt daleko. Potem uczniowie zaczęli się rozchodzić. Kilku podeszło do niej, żeby ponarzekać, ale Paige uśmiechała się tylko pobłaźliwie, więc i ci poszli w swoją stronę.

Powinna była ułożyć dziewczynkę z powrotem w wózku i wrócić do samochodu, ale stała jak wryta w miejscu, dopóki nie podeszedł do niej Noah.

- Czekala pani na mnie? - zapytał cichym, zimnym głosem.

Jego okulary dziwnie ją onieśmiały.

- Ależ skąd - odparła, starając się uciszyć mocne bicie serca. - Muszę jednak przyznać, że ma pan interesujące pomysły.

Zdjął czapkę i okulary, otarł ramieniem czoło i włożył z powrotem szklę.

- Ja też tak myślałem - powiedział. - Ale oni czują się zażenowani. Twierdzą, że są ponad

to.

Właśnie tego rodzaju uwagi dotarły do Paige.

- Mają przewrócone w głowie - powiedziała.

- Nie tylko. - Zerknął w stronę internatu. - Nakryliśmy wczoraj taką jedną parkę w lesie.

- Co robili?

- Proszę nie pytać.

- Narkotyki, alkohol, seks?

- A co to za różnica?

- Oczywiście, że jest różnica. Narkotyki i alkohol są zakazane przez prawo. Seks jest tylko niemądry, przynajmniej w ich wieku. - Noah przeszył ją wzrokiem. Paige poczuła, że serce bije jej coraz mocniej. - Zakładam, że robili to za obopólną zgodą. Gdybym miała ich ukarać, na pewno o wiele surowiej potraktowałabym alkohol i narkotyki - dodała obronnym tonem.

- Z pewnością lubi pani seks.

- Co to ma do rzeczy? - Żałowała, że nie widzi wyrazu jego oczu.

- Lubi pani, prawda?

Wydawało się jej, że Noah powstrzymuje uśmiech.

- Nie widzę związku. Rozmawiamy o pana wychowankach, ale... - uniosła dłoń, szybko ją opuściła, objęła Sami i włożyła dziewczynkę do wózka - to do pana należą wszelkie decyzje. Pan jest za nich odpowiedzialny. - Poprawiła pasek przytrzymujący dziecko i zaczęła popychać przed sobą wózek. Odczuwała potrzebę ruchu. Noah Perrine wprawiał ją w zakłopotanie.

- Gwoli wyjaśnienia - powiedział, dotrzymując jej kroku - oni pili wódkę. Zostaną zawieszani na trzy dni, a potem warunkowo przyjęci z powrotem - westchnął. - Jeżeli utrzymamy takie tempo, to do Wszystkich Świętych połowa z nich będzie w szkole warunkowo, co absolutnie nie rozwiązuje moich problemów. W końcu, do licha, pełnię tu obowiązki dyrektora jedynie tymczasowo. Kto jednak będzie miał później ochotę zajmować się tyłoma sprawami dyscyplinarnymi?

- Może pan przymknąć oko na ich wykroczenia.

Mimo że wciąż miał na nosie ciemne okulary, poczuła na sobie jego oskarżycielski wzrok.

- Po kobiecie, która wiesza sobie dziecko na piersi i siada z nim za kierownicą, nie mogłem się spodziewać niczego innego.

- Gwoli wyjaśnienia - odbiła piłeczkę Paige - teraz już wiem, jak należy się posługiwać

fotelikiem samochodowym i wożę w nim Sami. Ostatnim razem straciłam zupełnie głowę, ale generalnie staram się nie łamać przepisów.

- Ja również - powiedział, nie podnosząc głosu - i właśnie dlatego nie mogę pozwolić, żeby uczniowie robili wszystko, na co mają ochotę. Prawdopodobnie zostanę tu tylko rok, ale przez ten czas odpowiadam za szkołę. Nie mogę narażać na szwank swojej reputacji. Poza tym jestem taki surowy, bo troszczę się o bezpieczeństwo i życie tych dzieci.

- Fiu! Fiu! - gwizdnęła, żeby jakoś rozładować atmosferę.

- Więc proszę mi nie wmawiać, że nie dbam o swoich uczniów, bo jest odwrotnie - dodał.

Najwyraźniej pamiętał ich ostatnią rozmowę.

- Nie dawało to panu spokoju, co?

- Rzeczywiście. Robię, co mogę, żeby jakoś zaradzić sytuacji. A staram się właśnie dlatego, że mi na nich zależy. Wcale nie musiałem przyjmować tej posady. Miałem świetną pracę.

- Dlaczego w takim razie zgodził się pan zostać dyrektorem tej szkoły?

Nie odpowiedział od razu.

- Wydawało mi się, że to będzie odpowiednie zajęcie na ten rok - odparł w końcu z rezygnacją w głosie. - A jak się wiedzie pani drużynie?

Ponieważ przestał mówić o sobie, odważyła się spojrzeć mu prosto w twarz, która miała zupełnie bezosobowy wygląd, bo przysłaniały ją lustrzanki. Paige pożałowała, że też nie ma okularów na nosie, albo chociaż kapelusza z szerokim rondem - stałaby się mniej widoczna.

- Pierwszy wyścig odbędzie się w sobotę. Zawiadomię pana.

- A jak tam dziewczęta? Uspokoily się?

- Nie telefonowały do mnie więcej, jeśli o to pan pyta.

- Przyszły na sobotnie spotkanie?

- Większość z nich tak.

- Nowe również?

- Wpadły na chwilę.

- Zabierały głos?

- Raczej słuchały. Tak jak pan mówił, Sara nie знаła mojej współpracownicy.

- A pani twierdziła, że ponieważ ona uczy się tutaj pierwszy rok, nie należy do żadnej paczki. Jakie wrażenie zrobiła na pani ta dziewczyna?

- Jest miła. Spokojna, poważna. Moja najlepsza zawodniczka. Myślę, że świetnie wypad-

nie w wyścigu.

Szli dalej. Paige zastanawiała się, dokąd on właściwie idzie. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wreszcie dotarł do celu. Chciała zostać sama i uspokoić się.

- Jestem w podobnej sytuacji - odezwał się nagle Perrine i dopiero po chwili Paige zrozumiała, że on w dalszym ciągu mówi o Sarze. - Nowy. Nie związany z żadną paczką. Sądzi pani, że udało się jej już nawiązać jakieś przyjaźnie?

- Dobrze pasuje do drużyny, ale nic więcej nie wiem. A co mówi jej wychowawczyni?

- Prawie w ogóle ze mną nie rozmawia. Ma do mnie taki sam stosunek jak moi uczniowie. Jestem po prostu kimś, kto wprowadza nowy regulamin, który ona z kolei musi egzekwować.

- Ale ona należy do grona pedagogicznego. Musi informować pana o wszystkim.

- Można przekazywać różnego rodzaju informacje. Nauczyciele rozmawiają ze mną tak samo niechętnie jak młodzież. I na pewno nie chcą uchodzić za moich sojuszników.

Paige wyszła na ścieżkę prowadzącą prosto do auta.

- Ja również nie mam na to ochoty - powiedziała i z ogromną ulgą skinęła mu ręką na pożegnanie.

Angie czuła, że ma wilgotne dłonie. Puściła syna przodem, w nadziei, że chłopiec pójdzie do swego pokoju, a ona będzie mogła zostać sama na sam z Benem. Nawet jeśli Dougie słyszał ich kłótnię, nie podjął tematu. Kiedy wsiadał do samochodu przed szkołą, stwierdził tylko gniewnie, że umiera z głodu, ale potem rozmowa ich toczyła się tak, jakby wymiana zdań, do jakiej doszło ubiegłego wieczoru, w ogóle nie miała miejsca.

Nie miała pojęcia, jak się czuje Ben. Z jednej strony, chciałaby bardzo, żeby udawał, że nic się nie stało. Z drugiej jednak - była urażona, wściekła i aż nadto świadoma sytuacji. Nora Eaton istniała naprawdę i należało jakoś rozwiązać ten problem. Trzeba było jedynie zdecydować, kiedy to zrobić.

Angie wolą później zająć się tą sprawą. Bardzo chciałaby zastać Bena przed telewizorem. Mogłaby przygotować kolację - rano wyjęła kurczaka z zamrażarki - a potem włożyć białinę do pralki. Te banalne, codzienne zajęcia dodałyby jej sił.

Weszła do kuchni i zawołała męża, starając się, by jej głos brzmiał tak samo pogodnie jak zawsze. Ben nie odpowiedział, ale nie było w tym nic niezwykłego. Czasem zdarzało się, że jej nie słyszał lub za bardzo pochłaniały go wiadomości, ale w końcu, gdy dolatywały do niego odgłosy wieczornej krzątaniny, przychodził, żeby się przywitać.

Ale tego wieczoru nie przyszedł, a Angie doszła do wniosku, że prawdopodobnie nie wie, jak zostanie przyjęty. Przecież to on ją zdradzał.

Kiedy skończyła przygotowywać posiłek, zawołała, że kolacja już jest gotowa. Usłyszała tupot na schodach i Dougie wpadł do jadalni, po czym szybko zajął miejsce przy stole.

- Gdzie tata?

- Już idzie - odparła, mając nadzieję, że się nie myli.

Zaczęła nakładać jedzenie na talerze, ale Bena wciąż nie było.

- Pewnie nie słyszał - powiedziała i wyszła z jadalni. Jej mąż był dokładnie tam, gdzie spodziewała się go zastać. - Kolacja gotowa - oznajmiła.

Odniosła wrażenie, że Ben patrzy na nią trochę niepewnie. Ona natomiast przybrała zdecydowany wyraz twarzy. Teraz chodź na kolację. Porozmawiamy później - mówiła mu spojrzeniem. Zobaczyła, że wstaje, więc wróciła do kuchni. Kiedy nałożyła mu już jedzenie i zajęła się swoim talerzem, usiadł przy stole.

- Cześć, Doug - powiedział i klepnął syna po ramieniu - Co tam w szkole?

Angie wysłuchiwała jeszcze raz opowieści, które słyszała już w samochodzie. Kiedy Dougie, odpowiadając na zadane mu przez ojca pytanie, poruszył nie znany jej jeszcze problem, bardzo chciała się skupić, ale myślała wciąż o tym, co czeka ją później w salonie. Od czasu do czasu udawało się jej wtrącić jakąś uwagę, świadczącą o tym, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Zdołała nawet zmusić się do zjedzenia połowy kolacji, ale cały czas układała w głowie plan. Nałożyła im na talerze ciasto czekoladowe i rozpoczęła odkładaną na później rozmowę.

- Dużo ostatnio myślałam. - Starła się przybrać pojednawczy ton. - Wiem już, że nie jesteście zadowoleni z tego, że teraz, po śmierci Mary, muszę dłużej pracować, a nowy rozkład zajęć nieszczególnie przypadł wam do gustu. Dlatego - odchrząknęła - zdecydowałam się na wprowadzenie zmian.

Obaj przezornie milczeli.

- Ty, Dougie, nie chcesz wstawać tak rano.

- Nie o to chodzi, mam. Przywozisz mnie tylko za wcześnie do szkoły. Głupio się czuję, bo nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Moi koledzy z internatu jeszcze śpią o tej porze.

- A powinni już być na nogach, jeśli chcą zdążyć na śniadanie. Ale to ich problem, nie nasz. Ponieważ Paige zatrudniła niańkę, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pełniła poranne dyżury, a w związku z tym tylko dwa razy w tygodniu będę musiała przychodzić wcześniej do pracy. W te dni, kiedy będę przyjmowała, ojciec może odbierać cię ze szkoły. Jeżeli przekąsisz

coś zaraz po powrocie, dotrwasz jakoś do kolacji.

Żaden z nich się nie odezwał. Angie przenosiła wzrok z męża na syna.

- No jak? Czy to brzmi lepiej?

Dougie patrzył na Bena, który zacisnął usta i wbił wzrok w talerz.

- Słucham - ponagliła.

- Nic nie rozumiesz, mamó. Ja chcę po prostu mieszkać w internacie - odezwał się Dougie, nie spuszczając z niej wzroku.

- Wczoraj doszliśmy do wniosku, że to niemożliwe.

- Może ty. Ja nie.

- Dlaczego mówisz o tym teraz? - spytała zmieszana, odkładając serwetkę na stół. - Dlaczego nie w zeszłym roku? Wtedy był akurat odpowiedni moment na podjęcie takiej decyzji. Dlaczego akurat teraz?

- Bo mam świetnych kumpli i jestem o rok starszy. Poza tym, jeśli nie zamieszkam w internacie, będziesz mi stale suszyła głowę, żebym nie rozmawiał wieczorem przez telefon. A jak się tam przeniosę, dostanę kolację o tej samej porze co wszyscy.

- Przecież powiedziałam ci przed chwilą, że tata będzie przyjeżdżał po ciebie wcześniej, żebyś mógł coś przekąsić.

- Nie chcę wracać wcześniej do domu. Chcę dłużej zostawać w szkole.

Odsunął krzesło od stołu.

- A co z ciastem? - zapytała Angie.

- Nie upiekłaś go sama, tylko kupiłaś w cukierni.

- Sądzisz, że mam na wszystko czas?

- Kucharz z internatu sam piecze ciasto - powiedział i wyszedł z kuchni.

Angie ogarnęło przerażenie. Nie rozumiała zupełnie, co w niego wstąpiło. Spojrzała pytająco na męża; ich spojrzenia spotkały się.

- Nie słuchasz, prawda? - odezwał się Ben. - On usiłuje ci powiedzieć, że potrzeba mu więcej swobody, ale ty nic nie słyszysz.

- Usiłowałam mu dogodzić - zaprotestowała. - Obiecałam, że nie będzie musiał wcześniej wstawać i przesiadywać w szkole do wpół do siódmej, bo będziesz po niego przyjeżdżał. Robię, co mogę, żeby wszystko było tak samo jak przed śmiercią Mary.

- Ale jemu nie o to chodzi. Powiedział ci przecież, że chce mieszkać w bursie.

- Ty też chcesz, żeby się wyprowadził? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie, ale to nieistotne. Problem polega na tym, że ty usiłujesz wszystkim dyrygować, a on się buntuje. Czuje, że musi się od tego uwolnić. Ja również.

- Dom nie może funkcjonować bez organizacji.

- Mylisz organizację z manipulacją. Właśnie poinformowałam Dougiego, że będę go odwoził do szkoły dwa razy w tygodniu i trzy razy po niego przyjeżdżał, ale nie raczyłaś mnie przedtem zapytać o zdanie.

Odebrało jej mowę i poczuła się podle oszukana.

- Dokładnie w tym samym miejscu - powiedziała w końcu, wskazując drżącym palcem podłogę - nie dalej jak wczoraj powiedziałeś mi, że odbieram ci męską godność, i że nie pozwalam ci zajmować się Dougiem, bo według mnie wszystko robisz źle. Teraz daję ci szansę. Nie rozumiem, dlaczego masz do mnie pretensję.

- Bo to twój plan. Ty go opracowałaś. Nie zapytałaś mnie, czy może mam jakieś inne propozycje.

- A masz?

- Nie w tym rzecz. - Przejechał ręką włosy, odchrząknął i wstał od stołu. - To przegrana bitwa. Nic nie mogę zrobić. - Ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz? - Przed oczami stanęła jej Nora Eaton.

- Wychodzę.

- Ben... - Ale on zatrzasnął już za sobą drzwi i poszedł do samochodu.

Angie opadła na krzesło, wpatrzyła się tępym wzrokiem w nie zjedzone porcje ciasta i siedziała przez chwilę jak sparaliżowana. Gdy odrętwienie zaczęło mijać, poczuła, że ma dreszcze.

Żyła dotąd w przekonaniu, że postępuje słusznie, a już na pewno zawsze miała dobre intencje. Nie rozumiała, w którym miejscu popełniła błąd.

Nie mogła dłużej się oszukiwać. Mąż żywił do niej naprawdę głęboką urazę, a jego wczorajszy wybuch nie wynikał ze złego humoru. Gdyby tak było, ich dzisiejsza rozmowa przebiegłaby inaczej. Żal Bena narastał prawdopodobnie całe lata, a ona musiała być ślepa, skoro nie udało się jej tego zauważyć.

Zastanawiała się teraz, gdzie właściwie była przez ten czas, o czym myślała. „Nie słuchasz, prawda?” - powiedział Ben, podsumowując w ten sposób wszystkie pretensje, jakie do niej żywił. Zadał jej tym samym bolesny cios, bo była do tej pory przekonana, że znakomicie panuje nad własnym życiem. I ta jego niewierność. Ostatnia kropla. O tym dziś nawet nie

wspomnieli. Być może dobrze się stało, gdyż był to tylko objaw choroby, jaka dotknęła ich małżeństwo, a skrupulatnie przez nią opracowywane rozkłady zajęć i wnoszone do nich poprawki leczyły ją równie skutecznie jak placebo.

A problem polegał na tym, że mimo swego wykształcenia, doświadczenia, zdolności i umiejętności, Angie nie miała pojęcia, co robić.

Rozdział ósmy

Wszyscy w rodzinie Noaha Perrine'a - ojciec, matka, jak również dwie siostry - zajmowali się nauczaniem i było oczywiste, że on również wybierze ten zawód. Noah uczynił to z własnej woli. Wychował się na terenie małego południowo-wschodniego koledżu, gdzie jego ojciec sprawował funkcję dziekana. Noahowi podobała się panująca tam atmosfera wspólnoty. Był wprawdzie trochę odizolowany od świata, ale wcale mu to nie przeszkadzało, ponieważ uważał, że w dobie komputerów można z łatwością nawiązywać kontakty z ludźmi. Stał się kosmopolitą i prowincjuszem w jednej osobie.

Zrobił doktorat w Nowym Jorku, a potem został kierownikiem sekcji przedmiotów ścisłych w szkole niedaleko Tucson, ale wkrótce stało się jasne, że zmarnuje zdolności, jeśli ograniczy się do nauczania. Potrafił postępować z ludźmi. Miał zdolności organizacyjne i talent do interesów, jakim nikt inny z tej szkoły nie potrafił się wykazać. Niemalże przez pomyłkę wszedł do zarządu i wkrótce powierzono mu stanowisko kierownika do spraw finansowych, dzięki czemu mógł uczyć, a jednocześnie nawiązywać kontakty z absolwentami i zbierać fundusze na rozwój placówki, co było warunkiem jej istnienia. Musiał podróżować i choć specjalnie za tym nie przepadał, solidnie wywiązywał się z obowiązków. Chciał zostać dyrektorem, jeśli nie tej, to innej szkoły.

Przykre okoliczności zmusiły go do nagłego wyjazdu. Wówczas nie było dla niego odpowiedniej posady, więc przeprowadził się do północnej Virginii i objął stanowisko dyrektora fundacji ekologicznej. Tam mógł wykazać się znajomością zagadnienia, talentem do nauczania i smykałką do zdobywania pieniędzy. Przez dwanaście lat wiodło mu się wspaniale i jeśli nawet tęsknił za atmosferą koledżu, miał przynajmniej świadomość, że wykonuje ważną pracę i wspiera w ten sposób bliską swemu sercu ideę.

A jednak, gdy skończył czterdzieści lat, poczuł, że brak mu korzeni. Budził się równie chętnie w Minneapolis, Boulder czy Boise, jak w Aleksandrii. Nowo poznani ludzie szybko

znikali z jego życia. Tęsknił za stabilizacją, jakiej zaznał w dzieciństwie.

Tak więc powrót do szkoły stał się koniecznością - miał to już widocznie zapisane w genach - ale Perrine wciąż szukał miejsca, które odpowiadałoby mu pod każdym względem.

Szkoła w Mount Court na pewno nim nie była. Stała na granicy bankructwa i zyskała złą sławę, do czego przyczyniła się zarówno nieudolna dyrekcja, jak i niesubordynowani wychowankowie. Najlepsi nauczyciele odeszli, najbardziej niezdolni uczniowie pozostali. Wszystko najgorsze, co mogło się stać, już się stało i należało jedynie zebrać żniwo tej katastrofy.

Ale Noah potrzebował zmiany. Podpisał umowę z Mount Court tylko na rok, pozostawiając sobie tym samym drogę odwrotu, poza tym miał ochotę podjąć tak trudne wyzwanie.

Rozpoczął pracę w czerwcu i całe lato porządkował bałagan, jaki pozostawił mu w spadku poprzedni dyrektor szkoły. We wrześniu sytuacja była już opanowana, a on przebijał się przez gąszcz list absolwentów, rozmawiał z kierownikiem finansowym oraz kierownikiem do spraw kształcenia i oceniał krytycznie realizowany przez szkołę program nauczania. Rozpoczął od przedmiotów obowiązkowych, później skupił się na fakultetach. Okrajał, dodawał i zmieniał, aż powstał nowy program, wymagający od uczniów znacznie większego wysiłku intelektualnego i systematycznej nauki. Nauczyciele narzekali, bo musieli przepisywać plany rocznej pracy, ale to było nic w porównaniu z reakcją wychowanków Mount Court, którzy po wakacjach wrócili do szkoły.

Teraz minęły już dwa tygodnie zajęć i Noah zaczął się zastanawiać, czy podjął odpowiednią decyzję. Eufemizmem byłoby twierdzić, że nie jest szczególnie lubiany. Nauczyciele traktowali go jak intruza, a uczniowie jak wroga. Z nikim nie udało mu się zaprzyjaźnić. Wciąż wierzył w słuszność swoich założeń, ale wcale nie ułatwiało mu to sytuacji. Czuł się samotny.

Dlatego właśnie, jak mu się wydawało, zwrócił uwagę na Paige Pfeiffer. Była inteligentna i miał nadzieję, że znajdzie w niej sojusznika. Nie tyle popełnił błąd w założeniu, co nie wziął pod uwagę faktu, że Paige patrzy na wszystko z kobiecego punktu widzenia. Dostrzegała emocjonalny aspekt każdego problemu, podczas gdy Noah interesował się wyłącznie jego strukturą. On tworzył prawa i pilnował dyscypliny, ona mogła pozwolić sobie na tolerancję. Nie widział w tym nic złego, ale to nie Paige była odpowiedzialna za szkołę przed całą armią wymagających rodziców i jeszcze surowszymi członkami rady.

A jednak nie mógł się doczekać spotkania z tą kobietą. Intrygowała go. W końcu Perrine doszedł do wniosku, że po prostu podobają mu się jej długie, szczupłe nogi. Nogi biegaczki. Seksowne jak diabli.

Niestosowność tej myśli wprawiła go znów w smutny nastrój. Potrzebował przyjaciela. A jeszcze bardziej zachęty do działania i potwierdzenia, że czyni słusznie.

Wziął prysznic, włożył czyste spodnie i świeżą koszulę, po czym poszedł do jadalni. Nie usiadł jednak przy stole dla nauczycieli, żeby nie wysłuchiwać ich aluzji na temat dodatkowych zajęć, jakie muszą prowadzić w tym semestrze. Zamiast tego zajął miejsce wśród uczniów dopiero rozpoczynających naukę w jego szkole.

Niektórzy patrzyli na niego z rezerwą, inni wymieniali znaczące spojrzenia.

- Co tam słyhać, chłopaki? - spytał po przyjacielsku.

- Wszystko dobrze - odpowiedział najodważniejszy.

- Nauka dobrze wam idzie?

Kilku wzruszyło ramionami, pozostali natychmiast zajęli się jedzeniem.

- Co sądzicie o budowie? - Koniecznie chciał ich skłonić do rozmowy.

Popatrzyli po sobie.

- W porządku - odezwał się jeden.

- Jesteśmy za młodzi do takiej roboty - odparł drugi.

- Zobaczymy, jak ten dom będzie wyglądał, kiedy skończymy. Amatorszczyzna jest zawsze kiepska.

- To nie ma nic wspólnego z amatorszczyzną - zaprotestował Noah. - Projekt został wykonany przez koncesjonowanego architekta, a budowę nadzoruje inżynier.

- Mój brat macza w tym palce, więc grozi nam kompletna kłapa - stwierdził trzeci.

- Nie ma mowy. Nie mogę sobie pozwolić na kłapę. Wszyscy muszą porządnie pracować.

- Więc skończą szkołę i będą umieli zbudować dom - powiedział pewny siebie chłopak, rzucając porozumiewawcze spojrzenia na kolegów.

- Nie widzę w tym nic złego - odparował Noah.

- Mój ojciec nie płaciłby takiej ciężkiej forsy, gdyby chciał, żebym został budowlańcem.

- Pewnie nie, ale wam potrzebne jest nie tylko wykształcenie. Zbudowanie domu daje ogromną satysfakcję. Naprawdę.

- Pan już próbował?

- Nawet nie raz.

- Zbudował pan własny dom?

- Nie. Pomagałem ludziom, którzy sami nie mogliby sobie na to pozwolić.

- I tu jest pies pogrzebany - jęknął któryś.

- Co masz na myśli?

- Zaraz pan nam zrobi wykład na temat pracy społecznej i okaże się, że to najlepsza rzecz, jaka nas mogła spotkać, nie licząc oczywiście baru sałatkowego. Tylko że ja nienawidzę sałatek.

- Co nie znaczy, że musisz nienawidzić pracy społecznej.

- Dla Tucker? Pan chyba żartuje. To kompletna dziura. Dno. Tu po prostu nic nie ma.

- Jest biblioteka, poczta, skład drewna. Są sklepy. Spółdzielnia rzemieślnicza. Oprócz tego restauracja. I gospoda. Lodziarnia. Kino. Szpital.

- Szpital miejski w Tucker - prychnął jeden z chłopców.

- Z tego, co wiem - odezwał się Noah - ocalono w nim życie wielu dzieci, więc nie powinniście z niego kpić.

Pomamrotali jeszcze, ale powstrzymali się od komentarzy.

- Wolałbym nie wylądować tam z atakiem serca - stwierdził któryś, a inni roześmiali się głośno.

- Dlaczego? - spytał Noah. - Tutejsi lekarze odbywali staż w szpitalach, które znacie i szanujecie. Oni po prostu chcieli zamieszkać w Vermont. A pacjenci mają świetną opieką. Lepszą i bardziej troskliwą niż w wielkich szpitalach.

- Te wiejskie pielęgniarki nic innego nie potrafią.

Cynizm chłopca sprawił mu przykrość, ale specjalnie go nie zaskoczył. Ci piętnastolatki były zepsuci i przez to aroganccy. A przy tym pozbawieni radości życia.

- Masz na imię John, prawda? - zapytał. - Coś ci powiem. Przepracujesz tam trzydzieści godzin, a jeśli potem nie zmienisz zdania, zaproszę ciebie i twoich trzech kumpli do Scoopsa.

- Trzydzieści godzin? - spytał chłopak przerażonym tonem.

- Przez sześć kolejnych sobót. Po pięć godzin. Albo w niedziele. Może być po południu, jeżeli nie lubisz wstawać. A jeśli nie chcesz pomagać w szpitalu, możesz dawać korepetycje z matematyki w podstawówce. Ewentualnie zostać lektorem w domu starców lub pracować w przetwarzalni odpadków. Chodzi o to - zakończył - że jesteście klasą uprzywilejowaną. Macie więcej niż inni. Dlatego powinniście zrobić coś dla społeczeństwa.

- Płacimy podatki.

- Wasi rodzice płacą - sprostował Noah. - A wy bierzcie wszystko, nie dając z siebie nic.

- Jesteśmy za młodzi. Mamy jeszcze czas.

- Na to nigdy się nie jest za młodym. - Wstał. Jeszcze chwila, a dostanie niestrawności, choć nie zjadł zbyt wiele. - Kto wie? - dodał już z tacą w ręku. - Może przekonacie się do idei dobroczynności. Może się wam spodoba. I staniecie się dzięki temu o wiele miłsi. - Odszedł, żeby nie powiedzieć czegoś znacznie bardziej przykrego. Usiadł przy stole dla nauczycieli i dokończył kolację. Czuł się pokonany. Gdy jednak wyszedł na świeże powietrze, postanowił spróbować jeszcze raz.

Tym razem natknął się na zawodniczki z drużyny Paige - Julie Engel, Alicię Donnelly, Tię Faraday, Annie Miller i kilka młodszych dziewcząt, a także dwie nowe - Meredith Hill i Sarę. Dziewczęta siedziały na trawniku i jadły zmrożony jogurt, podany na deser po kolacji. Włożył ręce do kieszeni i podszedł do nich wolnym krokiem.

- Jak wam smakuje?

Dziewczęta przypatrywały mu się z rezerwą. Julie wzruszyła ramionami, Annie pochyliła głowę.

- Jest niezły - mruknęła Tia.

Jadły dalej. Niektóre prosto z pojemniczków, jak lody, niektóre posługiwały się łyżeczką.

- Wyżywienie poprawiło się w stosunku do zeszłego roku?

Wymieniły spojrzenia.

- Wyżywienie tak - odparła w końcu Alicia.

Aluzja była aż nadto przejrzysta. Noah czekał, żeby ktoś rozwinął temat.

- Ale lunch wam nie smakował, prawda? - powiedział w końcu, bo wszystkie milczały.

Annie wykrzywiła się, a Tia burknęła coś tylko w odpowiedzi.

- Był okropny.

- Tofu nabiera zapachu jedzenia, z którym jest przyrządzane - wyjaśnił Noah. - Nasz kucharz jeszcze tego nie rozumie, ale nauczy się. Zrobił znakomitą pizzę. Z dodatkową warstwą sera i warzyw, a co najważniejsze - bez takiej ogromnej ilości oliwy, jaką zwykle dodaje się do niej w szkolnych stołówkach. Nikt nie komentował.

- Dobrze sobie radzi z barem sałatkowym i przekąskowym.

Oba te bary były pomysłem Noaha, który wyszedł z założenia, że zmarnuje się mniej jedzenia, jeśli uczniowie sami będą sobie nakładać odpowiednie porcje. Zresztą oni woleli bagietki na śniadanie niż pracochłonne, pieczone na miejscu i zawsze przypalone bułeczki. Noah miał wątpliwą przyjemność skosztować tych wypieków, gdy przyjechał tu z wizytą zeszłej wiosny.

Alicia rozprostowała nogi, Tia szepnęła coś do Julie. Młodsze posypały resztki jogurtu kruszonką. Meredith i Sara sięgnęły po leżące na trawie serwetki.

- Jak się czuje twój tata, Lindsey?

Dziewczyna, jedna z młodszych, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd pan wie, że choruje?

- Rozmawiałem z nim, kiedy rodzice przywieźli cię tutaj. Mówił, że czeka go operacja.

- Już jest po. Czuje się lepiej.

Noah kiwnął głową z zadowoleniem. Spojrzał w górę i zdołał złapać piłkę, która wymknęła się graczom spod kontroli. Odrzucił ją z powrotem na boisko.

- W zeszłym roku o tej porze - powiedział do milczących wciąż dziewcząt - byłem w północnej Wirginii. Wydawało mi się, że jesień jest tam wyjątkowo piękna, ale teraz widzę, że tutejsza może się z nią równać. A za parę tygodni kolory staną się naprawdę malownicze.

Dziewczęta spojrzały po sobie.

- Jeszcze trudniej będzie się skupić na nauce - zauważyła Julie.

- I na sprawach administracyjnych - odparł Noah - ale trzeba pracować. Poza tym - dodał żartobliwie - należy kształtować swój charakter i koncentrować się właśnie wtedy, gdy jest nam najtrudniej.

Żadna z dziewcząt się nie roześmiała, żadna nie zdobyła się nawet na uśmiech. Noah aż nadto wyraźnie wyczuwał ich niechęć.

Alicia podniosła się z trawy.

- Zabiorę naczynia do jadalni.

Koleżanki natychmiast wręczyły jej łyżeczki i talerzyki. Wzięła je i odeszła.

- Muszę iść się uczyć - powiedziała Julie dobitnie i ruszyła w jej ślady, a za nią inne dziewczęta.

Zostały tylko drugoklasistki. Noah miał ochotę z nimi porozmawiać, ale zrezygnował, dostrzegłszy strach w oczach Sary.

Martwił się o nią. Przyjechała do Mount Court z San Francisco w bardzo kiepskim stanie psychicznym. Istniało ku temu wiele powodów. Po pierwsze, matka zawiodła ją na całej linii, po drugie, rozstała się ze wszystkimi przyjaciółkami, a po trzecie, musiała w połowie roku rozpocząć naukę w nowej szkole.

Sara nie okazywała uczuć, ale Noah wiedział, że jego córka jest dobra i wrażliwa. Właśnie dlatego miewał czasem wątpliwości, czy aby na pewno wybrał dla niej odpowiednią szko-

łę. Perrine lubił Meredith, a inne dziewczęta z klasy Sary również sprawiały sympatyczne wrażenie. Nie przepadał natomiast za najstarszymi zawodniczkami z drużyny. Paige Pfeiffer chyba żywiła do nich sympatię, ale ona mogła sobie na to pozwolić, bo nie spędzała zbyt wiele czasu w ich towarzystwie. Noah natomiast wiedział, że będzie mu bardzo trudno do nich dotrzeć. Młodszy wychowankowie stanowili mniejszy problem. Mógłby dogadać się na przykład z uczniami pokroju Sary, ale pod warunkiem, że starsi nie będą na nich wywierać zbyt dużego wpływu. Miał zamiar walczyć, wiedział jednak, że ma twarde orzech do zgryzienia.

Zresztą nic, co w jakikolwiek sposób wiązało się z Mount Court, nie było łatwe.

Smutny, samotny i zmęczony ruszył przed siebie. Za biblioteką i centrum sztuki wiała się wśród drzew ścieżka, prowadząca prosto do służbowej siedziby dyrektora szkoły. Piękny, porośnięty bluszczem dom w stylu Tudorów stanowił jeden z powodów, dla których Perrine zdecydował się przyjąć tę posadę. Jeszcze mu się wtedy uważnie nie przyjrzał.

Budynek wyglądał dostojnie, elegancko, nawet majestatycznie, ale tak naprawdę był po prostu stary. Noah nie miał nic przeciwko starym domom, o ile ktoś dbał o ich wygląd, ale o ten najwyraźniej nikt się nie troszczył. On zdążył już wymienić niefunkcjonalne klamki przy drzwiach wejściowych, uszczelnić okna i naprawić dach, gdyż w czasie sierpniowych burz okazało się, że przecieka. Hydraulik zainstalował nowy bojler, a Perrine cały czas się zastanawiał, czy jego poprzednik uznawał wyłącznie zimne kąpiele. Poza tym kupił jeszcze lodówkę, bo stara nie nadawała się już do użytku.

Ten mały dom był stworzony dla kogoś, kto odchował już dzieci, i choć Noah nie należał do tego gatunku, odpowiadała mu panująca tam intymna atmosfera. Na dole znajdował się salon, jadalnia, kuchnia i gabinet, w którym mógł przyjmować gości. Perrine lubił najbardziej swój pokój i kuchnię, bo okna obu tych pomieszczeń wychodziły na las.

Na piętrze były dwie sypialnie z łazienkami. Tuż po przeprowadzce Noah zerwał okropne stare tapety, ale nowe tkwiły jeszcze w pudełkach - Perrine postanowił, że przyklei je własnoręcznie, więc czekały, aż znajdzie na to czas.

Czasem myślał, że zwariował. Dlaczego właściwie miałby inwestować pieniądze w służbowy dom, w którym planował mieszkać zaledwie przez rok? Z drugiej jednak strony sądził, że takie zajęcie jak tapetowanie podziała na niego kojąco. Gdy nastaną chłodne dni, przyjdzie mu spędzać większość czasu w domu i oszaleje, jeśli nie znajdzie sobie czegoś do roboty, bo na razie nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek zamarzy o jego towarzystwie.

Ze stosu otrzymanej korespondencji wziął „Washington Post” i od razu doznał ulgi. Ga-

zeta ta wiązała się niejako z życiem, jakie wiódł przed przyjazdem do Tucker i należała do zupełnie innego świata - świata, który cenił Perrine'a i niecierpliwie czekał na jego powrót. Noah nie zdecydował jeszcze, czy tam wróci, ale wybór należał do niego, a świadomość, że udało mu się zdobyć czyjeś uznanie, była bardzo pokrzepiająca.

Postanowił przeczytać gazetę w oszklonej wnęce w kuchni. Słońce kryło się już za drzewami. Zapadał zmierzch. Przetyknął włącznik lampy wiszącej nad stołem. Światło nie zapaliło się, więc walnął w niego pięścią, ale to również nic nie dało. Zaklął, rzucił gazetę na stół, wykręcił żarówkę z oprawki i przyniósł nową z szafy w holu. Zainstalował ją szybko i jeszcze raz spróbował zapalić światło. Bezskutecznie. Wkręcił kolejną żarówkę, ale gdy tym razem przetyknął włącznik, posypały się z niego iskry. Perrine odskoczył, znów zaklął i oparł ręce na biodrach. Serce biło mu mocno, a on już wiedział, że będzie musiał wymienić puszkę, i zastanawiał się, w jakim stanie są pozostałe.

Nie rozumiał, dlaczego ten niewątpliwie piękny z zewnątrz dom jest tak zrujnowany w środku. Przyszło mu do głowy, że, być może, ma to jakieś symboliczne znaczenie. Przyjechał do Mount Court pełen najlepszych intencji. Jeśli one również wybuchną mu prosto w twarz, nie będzie wiedział, co ma zrobić.

Nienawidził zniszczonych rzeczy, nie cierpiał rozpuszczonych, bogatych bachorów, a ponad wszystko pogardzał swoją własną klęską. Chwycił kluczyki do samochodu i pognął do garażu. Wkrótce siedział już w aucie i jechał krętymi ścieżkami Mount Court w stronę łuku z kutego żelaza. Patrzył prosto przed siebie i nie zdjął nogi z gazu, dopóki szkoła wraz z przyległościami nie zniknęła na dobre w tylnej szybie auta, oklejonej pamiątkami z przeszłości.

Będzie już z tydzień, jak umarła. Jak to się bez niej kręci? - spytał Charlie Grace.

Charlie, tak jak dwaj pozostali bracia Petera, często bez zaproszenia siadywał przy jego stoliku. Peter zwykle łaskawie się na to godził. Przecież w porównaniu z nim starsi Grace'owie do niczego nie doszli i zasługiwali chociaż na taki akt miłosierdzia. Teraz jednak Peter był zmęczony, bo przez cały dzień rodzice jego pacjentów zasypywali go pytaniami o Marę.

- W porządku - odparł, ale nie poprosił kelnerki o piwo dla Charliego, jak miał to zwyczaj czynić. Absolutnie nie zamierzał zachęcać go do dłuższej pogawędki. Pragnął zostać sam, dopóki nie przyjdzie Lacey.

- Dziwna była - zadumał się Charlie. - Potrafiła niezłe zaleźć za skórę, na przykład temu Coxowi. Ale pacjenci ją lubili. Moje dzieciaki mówią, że była najlepsza. - Postukał palcem w stolik, dając do zrozumienia Beth, żeby przyniosła mu piwo.

Peter nie był z tego zadowolony. Jak również i z tego, co przed chwilą usłyszał.

- Mówią tak, bo ja uznałem, że skoro jestem ich wujkiem, to nie powinienem ich leczyć. Gdyby znały mnie od tej strony, na pewno uważałyby, że jestem jeszcze lepszy.

- Uważają, że jesteś wspaniały - odparł Charlie tak szczerze, że Peter poczuł się jak ostatni cham - ale ona była kobietą, a kobiety mają w sobie coś takiego... Mara traktowała pacjentów jak swoje własne dzieci. A poza tym połowa chłopów w tym mieście się w niej kochała.

- Jeżeli masz zamiar opowiadać mi o Spudzie Harveyu, oszczędź sobie kłopotu. To stara śpiewka.

- Spud? On też? Miałem na myśli Jackiego Kagena, Moose'a LeMieux i Butchie Lombarda. Umawiała się ze wszystkimi.

- Najwyżej raz albo dwa - uściślił Peter. - Mówisz o niej, jakby się puszczała, a to nieprawda. Postępowała z mężczyznami bardzo uczciwie. Nigdy nikogo nie zwodziła i nie obiecywała więcej, niż mogła dać.

- Dobra. - Charlie uniósł uspokajająco dłoń. - Ja jej o nic nie oskarżam. Poza tym Norman zgadza się ze mną. Nie miała wrogów. Rozmawiałem z nim dziś rano w cukierni. Widocznie to sprawdził. - Posłał Beth uwodzicielski uśmiech gwiazdy futbolu. - Dziękuję ci, laleczko.

Peter poczuł, że ogarnia go niepokój, choć w żaden sposób tego nie okazał.

- Sprawdził? Co masz na myśli?

- Dowiedział się wszystkiego o jej romansach. Rozmawiał z facetami, z którymi się spotykała, i z tymi, którzy chcieli się z nią umówić, ale nic nie wskórali. A z tobą nie gadał?

- Byłem jej współnikiem. Nie chodziliśmy na randki.

- Dobra, dobra - powiedział Charlie trochę ciszej. - Widywałem was rano przy moście. Bładym świtem.

- Oboje mieliśmy bzika na punkcie fotografii. Robiliśmy tam zdjęcia.

- O takiej porze? - zapytał sceptycznie Charlie.

- Przy niewyraźnym świetle można osiągnąć ciekawsze efekty. Najlepiej fotografować o wschodzie i zachodzie słońca. A ja nie kłamię. Nie chodziliśmy na randki. I dlatego Norman nie rozmawiał ze mną. Przypuszczam, że tamci musieli się wkurzyć.

- Nie, nie mieli nic do ukrycia. Wiedzieli, że on po prostu wykonuje swoją robotę. Żał mi faceta. Myślałem, że odkryje coś ciekawego.

- Na przykład co? - rzucił Peter znad szklanki.

- Na przykład, że Mara wplątała się w jakąś aferę. A potem ktoś ją stuknął i nie wyłączył silnika w samochodzie.

Peter zakrztusił się. Odkaszlnął i pokręcił głową.

- Koroner wykluczył tę możliwość. Ona nie miała nawet jednego siniaka na ciele.

- Wiem, Pete, ale mógłbyś mieć trochę więcej fantazji.

- Jestem lekarzem. Nie lubię sobie wyobrażać takich rzeczy.

Charlie westchnął głęboko.

- Powiedziałem tylko, że Normanowi przydałaby się jakaś ciekawa sprawa do rozwiązania. Nam zresztą też. Tu się kompletnie nic nie dzieje. - Podniósł wzrok. - Cześć, Donny. Zaczekaj. Zaraz tam do ciebie przyjdę.

Donny poklepał Petera po ramieniu, a on uniósł dłoń na powitanie.

Charlie nachylił się do niego.

- Powiedz mi prawdę. Przysięgam, że nie będę paplał. Dobra była?

- Kto?

- To ja. Charlie. Twój starszy brat.

- O kim mówisz?

Charlie oparł się z powrotem o krzesło.

- Dobra. Mogę się tak dalej bawić. Ale muszę cię ostrzec, że jak Henry Mills da sobie w szyję, a robi to prawie codziennie, zaczyna za dużo gadać. Opowiada, że czasem pili razem. A ona, jak się wstawiła, zawsze mówiła o tobie. Henry mówi jeszcze, że jeśli Mara w ogóle kochała jakiegoś faceta w tym mieście, to na pewno był nim ty.

- Bardzo mi miło - odparł Peter z uśmiechem.

- Tak było naprawdę?

- Nigdy nie wyznawała mi uczuć.

- Nawet w łóżku?

Peter nie odpowiedział. Pomyślał, że milczenie w połączeniu ze znudzonym wzrokiem będzie najlepszym zaprzeczeniem.

- A niech cię - powiedział Charlie zrezygnowanym tonem. Ze szklanką piwa w ręku wstał od stolika. - Drętwy jesteś. Przysięgam, że gdybyś nie był moim bratem, wcale bym cię nie lubił.

Dał mu przyjacielskiego kuksańca i poszedł do swego stolika z tyłu, zostawiając Petera w fatalnym nastroju. Grace chciał zyskać choć jeden powód, dla którego mógłby znienawidzić

swoich braci. Czekał tylko, żeby powiedzieli coś obraźliwego o jego zawodzie. Czekał, żeby nazwali go idiotą albo oskarżyli o postawienie fałszywej diagnozy jakiemuś dziecku, czy też skrytykowali za to, że się nie ożenił. Ale oni nigdy nie zachowali się w ten sposób. Wiedli nudne życie, ale byli porządnymi ludźmi. A on, mimo swego wykształcenia, stopni naukowych i szacunku mieszkańców Tucker, którzy uwielbiali stawiać swoich ziomków na piedestale, nie dorastał swoim braciom do pięt, jeśli chodzi o charakter.

- Cześć! - powiedziała Lacey zdyszonym głosem, siadając przy stoliku. - Przepraszam za spóźnienie. Kiedy wychodziłam z domu, zaczepił mnie Jamie Cox. Chciał pogadać.

Peter odetchnął z ulgą. Jamie nie mógł narobić mu kłopotów. Był tylko irytujący. I mimo że do Coxa należała połowa miasta, Peter nie siedział u niego w kieszeni.

- O czym?

- O Marze.

Powinien się był tego domyślić. Nigdy nie zdoła przed nią uciec.

- I o tobie - ciągnęła Lacey. - Chciał wiedzieć, czy ty również zamierzasz z nim walczyć. No, czy przejmiesz po niej pałeczkę. Mówił, że tak cię rozumiał podczas ostatniego spotkania. Muszę przyznać, że wcale mu się nie dziwię. Powiedziałam, że masz rację. A on mi na to, że wcale nie i że widocznie chcesz się wpakować w kłopoty.

- Groził?

- O to samo zapytałam. Zaprzeczył. Ja jednak odniosłam takie wrażenie. Tłumaczyłam mu, że jesteś lekarzem i nie wolno ci milczeć, gdy ludzkie zdrowie jest narażone na szwank.

- I co powiedział?

- Poprosił, żebym mu to powtórzyła. Nie rozumiał mnie. Wcale nie jestem pewna, czy za drugim razem pojął, o co mi chodzi, ale zaczął odpierać wszystkie zarzuty. Wyobraża sobie, że jest jedynym sprawiedliwym w całym mieście. Masz zamiar z nim walczyć, prawda?

Peter nigdy się nad tym nie zastanawiał. Aż do ubiegłego tygodnia nie było zresztą takiej potrzeby. Mara wzięła problem na swoje barki.

- Nie wiem.

- Musisz - powiedziała niespokojnie.

- Dlaczego?

- Bo powinien znaleźć się ktoś taki, a ty jesteś w najlepszej sytuacji. Znałeś Marę. Rozumiałeś, o co jej chodzi. Wiesz, że miała rację.

Nie podobał mu się ton dziewczyny. Nie podobała mu się również jej pewność, że zjadła

wszystkie rozumy. Nie podobało mu się, że go instruuje.

- To wcale nie znaczy, że muszę prowadzić tę samą wojnę.

- Ale właśnie tak należy postąpić - naciskała Lacey.

- Równie dobrze może mi się nie udać. Jamie Cox ma prawo robić ze swoją własnością, co mu się żywnie podoba. Fakt, że dolne Tucker jest strasznie zaniedbane, ale to kwestia estetyki. Nie ma w tym nic nielegalnego lub niezdrowego.

- A co z kinem? Mówiłeś, że w razie pożaru byłoby tam bardzo niebezpiecznie.

- Ale on dostał na nie zezwolenie od specjalnej komisji.

Miała zawiedziony wyraz twarzy.

- Mówiłeś, że zachodzi tu konflikt interesów, bo szef tej komisji mieszka w jednej z kamienic Jamiego.

Grace wyczuł, że dziewczyna jest niemile zaskoczona jego postawą.

- Słuchaj, Lacey. Jeżeli chcesz wykopać topór wojenny, nie krępuj się. Masz prawo walczyć z Jamiem Coxem. Możesz nawet zaskarżyć go do sądu, jeżeli masz pieniądze. Jak myślisz, dlaczego Mara tego nie zrobiła?

- Nie zdążyła. Potrząsnął głową.

- Szkoda jej było forsy.

- Nie musiała wydawać pieniędzy. Miała znajomych adwokatów. Pomogliby jej. Tobie również pomogą.

- Chryste! Skąd wezmę czas i siły na takie rzeczy? Cały dzień przyjmuję pacjentów, bo Mara O'Neill postanowiła ze sobą skończyć, a ty chcesz, żebym jeszcze prowadził jej wojny? Możesz sobie pomarzyć.

Lacey nie odpowiedziała. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w wyżłobienie na stole.

- To twój obowiązek - powiedziała w końcu cicho.

Peter zaklął. Wiedział, że Lacey ma rację, ale on miał już wystarczająco dużo na głowie. Po co był mu jeszcze ten cholerny Cox? Nie mógł uwierzyć, że Mara nawet i to na niego zwała. A on wychodził na mięczaka, bo nie miał ochoty toczyć rozpoczętej przez nią walki.

- Od ósmej do wpół do szóstej, czasem nawet do szóstej - zaczął, starając się ukryć złość - przyjmuję pacjentów. W przerwach telefonuję do rodziców, aptekarzy, laborantów, radiologów, a czasem nawet nauczycieli. Teraz - zerknął na zegarek - zostało mi pół godziny na dojazd do Rotary Club, a to dosyć daleko stąd. Myślę, że i tak robię już wystarczająco dużo, nawet bez

tych świętych wojen. Jeśli uważasz, że to za mało, co cię usatysfakcjonuje?

- Ja nie mówiłam...

- Mówiłaś. - Wstał od stołu. - Mówiłaś, że nie jestem wystarczająco dobry. W porządku. Idź i poszukaj kogoś lepszego. A najlepiej wracaj do Nowego Jorku. Chcesz filantropa? Nawiedzonego dobroczyńcy? Męczennika? Mogę ci przysiąc, że tacy nie mieszkają w Tucker.

Rozgoryczony wyszedł z gospody. Nie przejmował się tym, że Lacey będzie musiała zapłacić cały rachunek. I tak miała już o nim wystarczająco złą opinię. Mógł ją sobie popsuć jeszcze bardziej.

Rozdział dziewiąty

Paige stała na progu, dopóki agentka nieruchomości nie odjechała spod domu Mary, po czym znowu weszła do środka i zabrała się do pracy. Choć wcale się do tego nie paliła, nie miała innego wyboru. Musiała sprzedać dom, ale zanim jeszcze zaczęła szukać kupca, zgłosiła się do niej pośredniczka z informacją, że być może znalazła już nabywców - rodzinę, która dopiero niedawno sprowadziła się do miasta. W takiej sytuacji nie należało marudzić, tylko niezwłocznie zacząć działać. Trzeba było posprzątać, poprzestawiać meble, ułożyć brzożowe okrągłaki na kominku i spakować porozrzucane wszędzie rzeczy.

Paige nie była jeszcze na to psychicznie przygotowana, ale fakt ten miał teraz drugorzędne znaczenie. Wiedziała zresztą, że nigdy nie będzie jej łatwo sprzedać domu, który - podobnie jak Sami - stanowił część Mary. Czuła się tak, jakby wbijała w ten sposób jeszcze jeden gwóźdź do trumny przyjaciółki i ostatecznie godziła się z jej śmiercią.

Paige nie mogła przestać myśleć o Marze - wydawała się jej teraz jeszcze bardziej tajemnicza niż za życia.

Może więc dobrze się stało, że to agentka zajęła się sprzedażą. Paige odwlekałaby pewnie tę decyzję w nieskończoność.

Obiecała pośredniczce, że do dziewiątej rano dom będzie dokładnie wysprzątanym i gotowym do pokazania. Nie miała więc czasu do stracenia. Było go też zbyt mało, żeby zmienić decyzję. Po powrocie z Mount Court przebrała się w bawełnianą bluzkę i obcięte džinsy, po czym zatelefonowała do Jill i poinformowała ją, że wróci późno. Zostawiła jej również numer telefonu, pod którym będzie można ją znaleźć.

Wieczne słońce świeciło już pomarańczowym blaskiem, gdy - uzbrojona w szmatkę,

puszkę z pastą i odkurzacz, który sama kupiła Marze w prezencie - zabrała się do polerowania stolika w holu, wycierania wiszącego nad nim lustra, odświeżania balustrady i sprzątania schodów. Potem przeszła do saloniku i zajęła się meblami. Jej przyjaciółka wybrała je najwyraźniej według tych samych kryteriów, które zwykle stosowała wobec ludzi. Ponieważ zwykle pomagała poszkodowanym, jej kanapa też była nierówna, leżąca na niej poduszka - wyblakła, dywanik postrzępiony, a stolik do kawy - obłupany w sposób, który jedynie wielkoduszne oko Mary mogło uznać za artystyczny.

Pokój z tyłu domu wyglądał nieco inaczej. Tu umeblowanie było bardzo proste - ława, dwa krzesła w stylu Windsor i półki, całe mnóstwo półek na ceglany murze. Tylko trzy elementy nadawały temu pomieszczeniu mniej surowy wygląd. Pierwszym była kolekcja poduszek - Mara kupowała ich całe mnóstwo w najróżniejszych sklepach i układała w stosy tak, by mogły zastąpić najwygodniejszą nawet kanapę. Wychowankowie Mary biegali w podskokach po pokojach i ciskali w siebie kolorowymi jaškami, śmiejąc się przy tym radośnie, a ona im wtórowała. Paige zrobiło się trochę weselej na to wspomnienie.

Drugi miły akcent w saloniku stanowił stół. Błat zastępowały stare drzwi od stodoły, do których przyczepiono nogi. Na tym prowizorycznym biurku leżały książki, czasopisma, korespondencja, mapy, koszyk ze ścinkami materiałów, nie dokończona poduszka ze skrawków oraz broszury rozdawane na kursie pikowania kołder.

Trzecim elementem dekoracyjnym w tym pokoju były porozwieszane wszędzie zdjęcia, które Mara zarówno robiła, jak i wywoływała pod czujnym okiem Petera. Wbrew temu, czego można się było spodziewać, fotografie nie przedstawiały dzieci, tylko drzewa, mosty, łąki i zwierzęta, ale zawierały w sobie taki ładunek emocjonalny, jaki można by odnaleźć w twarzach małych podopiecznych lekarki.

Gdyby to od niej zależało, Paige kazałaby zapieczętować ten pokój. Królowała w nim wszechwładnie pamięć o Marze, która nie pozwalała wierzyć w jej śmierć. W końcu jednak przyszła pora na żal, bo rozum znał prawdę, choć serce nie chciało jej zaakceptować.

Paige wzięła głęboki oddech i przetała stół. Rozłożyła na nim kilka pism, a resztę zabrała do samochodu. Wzięła również mapy i korespondencję - część kopert była otwarta, część nie tknięta. Poukładała przybory do pikowania tak ładnie, jak potrafiła, bo czuła, że w ten sposób składa przyjaciółce rodzaj hołdu. Jeszcze bardziej napracowała się przy poduszkach - dopiero za trzecim razem osiągnęła efekt, jaki mógłby zyskać uznanie w oczach Mary.

To było bardzo istotne. Paige obiecała Marze w dzień jej pogrzebu, że następnym właści-

ciel pokocha ten dom tak, jak ona go kochała, i zamierzała dotrzymać przyrzeczenia. Jeśli klientom znalezionym przez pośredniczkę nie spodoba się ten pokój, transakcja nie dojdzie do skutku.

Zrobiło się ciemno, więc zapaliła światła i przystąpiła do polerowania mebli w jadalni. Na wyprzedaży Mara kupiła zarówno długi stół, jak i pasujące do niego krzesła. Są tak pretensjonalne, że aż zabawne - mówiła, tłumacząc swój wybór. Przecierając szmatką wiśniowe drewno, Paige pomyślała, że być może istniały inne, głębsze przyczyny jej decyzji. Taki sam komplet mebli stał bowiem w salonie O'Neillów. Mogła na to przysiąc.

Ogarnął ją tak głęboki żal, że osunęła się bezwładnie na krzesło. Apatia okazała się jednak jeszcze gorsza, więc ze zdwojoną energią Paige ruszyła na podbój kuchni. Kiedy zaczęła ociekać potem, związała włosy kawałkiem włóczki znalezionej w koszyczku Mary, wypuściła bluzkę na wierzch bermudów i otworzyła okno, po czym znów zabrała się do porządków. Musiała robić cokolwiek, by wypełnić tę straszliwą pustkę, jaka zagościła nagle w jej życiu.

Kiedy szorowała ze złością piecyk, usłyszała dzwonek do drzwi. Było parę minut po dziesiątej. Paige nie miała ochoty na przyjmowanie gości. Sądziła, że to prawdopodobnie jeden z sąsiadów, który zobaczył światła w oknach. Idąc do drzwi, przytknęła włącznik lampy na ganku. Za szybą majaczył jakiś potężny kształt. Miałam rację. Sąsiad - pomyślała, przypominając sobie posturę Duncana Fallona. Na pewno jest ciekaw, kto się kręci po domu Mary. To do niego podobne. Dziwne, że nie poznał samochodu.

Ale to nie był Duncan, tylko Noah Perrine. Paige aż jęknęła.

- Przyszedłem w niewłaściwym czasie? - zapytał swym miękkim głosem.

- Tak. - Serce waliło jej jak młotem, ale wytłumaczyła sobie, że to spóźniona reakcja na nagły dzwonek. - Jestem zmęczona i brudna. Poza tym nie mam ochoty się kłócić. Może kiedy indziej? - Zmarszczyła brwi. - Skąd pan wiedział, że tu jestem?

- Od niańki.

- Był pan u mnie w domu?

- Dzwoniłem.

- Aha. - Skinęła głową ze zrozumieniem. Dopiero po chwili drgnęła i otworzyła szeroko oczy z przerażenia. - Boże! Coś się stało z...

- Nie - przerwał jej natychmiast. - Wszystko jest w porządku.

Przycisnęła rękę do piersi.

- Wyobraziłam sobie coś straszego.

- Nic się nie stało - powtórzył.

- Dzięki Bogu. - Wciąż trzymała dłoń ma klamce. - Więc był pan na przejażdżce? Taka ładna noc. Dlaczego nie wybrał się pan gdzieś dalej?

- Szkoła stała się zbyt uciążliwa. Musiałem uciec.

- Z Mount Court?

- Pani nie jest tam dyrektorem. - Wciągnął głęboko powietrze tak, jakby tłumiał westchnienie. - Czasem ogarnia mnie zmęczenie. To wszystko. Pomyślałem więc, że pojeżdżę trochę po mieście, ale nie poczułem się przez to ani trochę mniej samotny niż w szkole. Miałem ochotę kogoś odwiedzić. Wiem jednak, że moje dotychczasowe poczynania nie wzbudziły entuzjazmu mieszkańców Tucker, więc pewnie nigdzie nie byłbym zbyt mile widzianym gościem.

- Jeśli mam być szczerą... - zaczęła, ale on już zaglądał do środka.

- To dobrze, że zatrudniła pani opiekunkę. Dziecko nie powinno o tej porze przebywać poza domem. Mieszkała tu doktor O'Neill, prawda?

- Tak - mruknęła Paige.

- Miłe mieszkanko.

- Pośredniczka znalazła kupców. Mają przyjść jutro rano, więc sprzątam. - Zerknęła krytycznie na swoje poplamione ubranie, ale natychmiast dumnie podniosła głowę.

- Ładnie pani wygląda - powiedział Perrine z krzywym uśmiechem. - Może pani przerwąć na chwilę?

- Nie. Muszę skończyć na tyle wcześnie, żeby jeszcze chociaż trochę się przespać.

- A może wyskoczmy na chwilę na hamburgera?

Paige nie jadła hamburgerów. Sądziła, że czerwone, smażone mięso to największa trucizna na świecie. Ale teraz z przyjemnością dałaby się skusić.

- Zostało mi jeszcze mnóstwo pracy w kuchni i nawet nie zaczęłam sprzątać pięt. - Zmusiła się do odmowy. Wiedziała poza tym, że fatalnie wygląda. Nie mogłaby wyjść bez prysznic. A tym bardziej nie mogłaby się nigdzie pokazać w towarzystwie Noaha Perrine'a. Denerwował ją, bo był za elegancki.

- W takim razie pomogę pani.

- Och, nie. To wykluczone.

- We dwoje zrobimy to wszystko o wiele szybciej.

- Ale... - Cofnęła się, bo Noah już wchodził do środka.

- Gdzie mam zacząć?

- Zniszczy pan ubranie - zaprotestowała.

Czuła, że Perrine nad nią dominuje. Wiedziała, że jest intelektualistą, ale gdy usiłowała sobie wyobrazić, jak przegląda porozkładane na biurku papiery, zamiast tego stawał jej przed oczami obraz mężczyzny w stroju budowlańca.

- Nie zamierzam sprzątać chlewu, tylko mieszkanie. Mam doświadczenie. A mojemu ubraniu nic się nie stanie.

- Naprawdę doceniam pańską propozycję, ale...

- Musi pani dokończyć sama, żeby się pozbyć poczucia winy - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Chciała zaprotestować, ale ta szczerza uwaga podziałała na nią otęrażająco.

- Tak - odparła cicho, z lekkim zdziwieniem. Nie posądzała go o taką przenikliwość. - Skąd pan wie?

- Ja również straciłem przyjaciela. Niedługo minie sześć lat od jego śmierci.

- Popelniał samobójstwo?

- W pewnym sensie tak. Zabił go dzin. Przysięgał, że nie pije więcej niż jeden, dwa kieliszki do obiadu. Kiedy dostał wezwanie do sądu za jazdę po pijanemu, twierdził, że to jakaś pomyłka. Wierzyłem mu, dopóki nie władował się na ciężarówkę. Wtedy już było za późno.

Paige rozumiała aż nadto dobrze, co Perrine ma na myśli.

- Powinnam zrobić dla niej więcej, kiedy jeszcze żyła. Powinnam była dostrzec, że jest w kiepskim stanie i starać się jej pomóc. Ale byłam ślepa. I nie pomogłam. - Wyprostowała plecy, oparła ręce na biodrach i popatrzyła w górę schodów. - To wszystko, co mi zostało, ale nawet teraz nie jestem w porządku. Mam wyrzuty sumienia, bo obiecałam jej, że każę założyć nową siatkę na drzwi i wymienię okiennice w sypialni. Jeśli jednak ludzie, którzy przyjdą tu jutro, zechcą kupić dom, nie starczy mi czasu.

- Niech pani poprosi o pomoc moich wychowanków.

Nie wiedziała, jak to rozumieć, i spojrzała na niego pytająco.

- Praca społeczna. Chcę, żeby polubili takie zajęcia. Będą wrzeszczeć i protestować, ale pomalują cały dom w przeciągu tygodnia.

Pokręciła głową.

- Jeśli mają cokolwiek odnawiać, powinni raczej zająć się kamienicami w dolnym Tucker. Ludziom, którzy tam mieszkają, przydałaby się pomoc. Mnie stać na fachowców. Poza tym mam szansę zdążyć. Wcale nie jestem pewna, czy zdecyduję się sprzedać dom tej rodzinie.

Równie dobrze mogę miesiącami szukać odpowiedniego klienta.

- Byłoby dla pani lepiej, gdyby tak się nie stało. Musi pani zamknąć tę sprawę raz na zawsze.

Krotko i zwięźle. Bez ogródek.

- Zamknąć sprawę - powtórzyła. - Tak, rzeczywiście. Powinnam tak zrobić, choć to bolesne. Ale najpierw wyczyszczę piecyk. - Machnęła ręką w stronę kuchni. - Pora na mnie.

- Jak mam pani pomóc?

- Dziękuję. To naprawdę zbędne.

- Proszę pozwolić mi zostać. Muszę się czymś zająć. Jeśli nie pomogę pani w porządkach, będę jeździł bez celu przez następne parę godzin. Nie mogę wrócić do domu. Jeszcze nie.

Paige była ciekawa dlaczego, ale nie pytała. Nie miała też siły dłużej z nim dyskutować. Pozostało jej jeszcze sporo pracy i nie chciała przedłużać rozmowy.

- Na górze - powiedziała w końcu - są cztery sypialnie. Dwie z nich puste. Może pan zacząć od nich - przede wszystkim trzeba tam odkurzyć, a potem wymyślić cokolwiek, żeby nadać im bardziej zachęcający wygląd. Pośredniczka proponowała, żebym wstawiła do nich chociaż po jednym meblu, ale mogę zająć się tym później. Kiedy skończę z kuchnią, przyjdę na górę i posprzątam pozostałe dwa pokoje.

- Może pomóc pani w kuchni?

Potrząsnęła głową i odeszła. Zrobiło się jej jeszcze smutniej. Wzruszyła ją nieoczekiwana troskliwość Noaha, ale nie chciała, żeby cokolwiek odrywało ją teraz od zajęć. Marzyła tylko, żeby jak najszybciej dokończyć pracę i znaleźć się w domu.

Wyczyściła kuchenkę, po czym przetrła lady. Lodówka wyglądała tak smutno i żałośnie jak ona sama. Był w niej tylko karton mleka, ćwiartka margaryny i kawałek sera.

Paige zostawiła wszystko w środku i umyła podłogę. Potem jednak znów otworzyła drzwiczki, powąchała mleko i w przyływie nagłej złości wylała je do zlewu. Potem upchnęła resztę żywności w koszu na śmieci - czuć było wyraźnie, że jest zepsuta. To ją dobiło.

Nagle zapragnęła zaczerpnąć świeżego powietrza, więc wyszła tylnymi drzwiami na ganek. Trąciła huśtawkę i patrzyła, jak się monotonnie buja, ale nie znalazła w tym ukojenia. Zbyt dobrze pamiętała, jak bardzo Mara lubiła tu spędzać czas. Pusta huśtawka budziła w niej żal.

Westchnęła i odnajdując drogę w cienkim strumieniu światła sączącym się przez drzwi wejściowe, skierowała się na podwórze. Koncert świerszczy i szum liści nie mogły zastąpić świergotu pogrążonych we śnie ptaków. Paige wtuliła głowę w ramiona i poszła dalej w noc.

Usiadła na trawie w miejscu, gdzie zaczynały się drzewa. Czerń nocy pasowała idealnie do jej nastroju i pogłębiała jeszcze ponurą wizję przyszłości. Wyobrażała sobie, że przyszłe lata upływać jej będą w samotności. Otoczy ją pustka i pograży się w smutku.

Usłyszała jego kroki, ale nie podniosła wzroku.

- Co pani robi? - zapytał.

- Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem.

Zorientowała się, że Noah siada tuż przy niej na trawie, ale nie zdążyła zaprotestować. Nie lubiła takich zasadniczych mężczyzn. Ale on był żywym człowiekiem, dzięki któremu noc wydawała się jej mniej złowieszcza.

- Poznałyście się w szkole? - spytał charakterystycznym, łagodnym tonem.

- Nie, w koledżu. Od razu przypadłyśmy sobie do gustu.

- Byłyście podobne?

- Raczej z wyglądu niż z charakteru. Mara żyła intensywniej, miała silniejszą osobowość. Rzadziej myślała o sobie. Tak ją właśnie zapamiętałam - przedkładała cudze dobro nad swoje. Gdyby role się odwróciły i to ja leżałabym w grobie, ona prawdopodobnie zrobiłaby wszystko, żeby jakoś upamiętnić moje życie. Nie siedziałaby tu beznadziejnie i nie myślała o swojej przyszłości.

Wyrwał źdźbło trawy i odrzucił je za siebie.

- Nie można uniknąć refleksji, gdy umiera przyjaciel.

- A rozczulania się nad sobą?

- To też na ogół trudne. Szczególnie gdy dochodzimy do niepożądanych wniosków.

- Ale ja lubię swoje życie. Uważam, że jest udane. Zajmuję się ważnymi sprawami.

Wyrwał kolejne źdźbło.

- Mimo to, odkąd ona umarła, czuję wokół siebie tę straszną pustkę. Mam więcej zajęć niż do tej pory i jest przecież Sami, a jednak wydaje mi się, że tkwię w próżni i cały czas się zastanawiam, czy to samo czuła Mara, kiedy wprowadzała wtedy auto do garażu.

Z trudnością chwyciła powietrze. Dopiero za drugim razem zdołała odetchnąć nieco głębiej. Dotknął jej szyi.

- Już w porządku - szepnęła, choć wcale nie była tego pewna. Wraz z pustką, równie niespodziewanie ogarnęła ją głęboka tęsknota.

- Już dobrze - powtórzyła, czując dotyk jego dłoni na swoim policzku i ciepło jego ciała przy swoim ciele.

Chłonęła to ciepło, doznając natychmiastowej ulgi.

Noc nie protestowała. Słyszeć było jedynie melodyjny, hipnotyzujący szum wiatru. Paige chłonęła żar i zapach skóry mężczyzny, a gdy przyciągnął ją bliżej, poddała się pieszczocie. Pustka stała się nagle mniej przejmująca, a choć tęsknota jeszcze się pogłębiła, było to przyjemne uczucie.

Dlatego oddała mu pocałunek. Jego usta były stanowcze i zachłanne, choć delikatne, jak jego głos. Ale on nic nie mówił, tylko znowu ją pocałował, jeszcze bardziej namiętnie.

Później nie mogła zrozumieć, co w nią wstąpiło, ale wtedy, gdy tak siedziała za domem Mary w ciemnościach nocy, nie przychodził jej do głowy lepszy sposób na odpędzenie samotności. Jej ciało ulegało jego ciału z coraz większą ochotą, budził się w niej długo tłumiony instynkt.

Smakowała wnętrze ust Noaha i dotykała jego ramion, szukając oparcia w sile tego mężczyzny. Nie czuła już chłodu. Ciało paliło ją w miejscach, gdzie zakradała się jego dłoń, więc poddała się pieszczotom i po raz pierwszy od wielu dni doznała ulgi. Pragnęła coraz więcej i więcej, rozchyliła usta, a gdy skończył ją całować, nie mogła złapać tchu.

Nie ona jedna. On również ciężko oddychał. Położyła mu palce na ustach, potem dotknęła jego policzków, a w końcu przesunęła ręką po oprawce okularów.

Był obcy, a jednak przytuliła się do niego mocniej. Noah znów poszukał głodnymi ustami jej ust. Ten głód był zaraźliwy, narastał, a ona mogła myśleć wyłącznie o tym, by go zaspokoić.

Odrzucił okulary i zanurzył twarz w jej szyi. Oddychając z trudnością, pieścił jej plecy, aż w końcu przytulił ją jeszcze mocniej.

Żar narastał. Gdy Noah musnął jej piersi, poczuła coś na kształt ulgi. Ściągnął z niej podkoszulek, wyswobodził z biustonosza, a w chwilę później poczuła jego dłoń na swym nagim ciele.

Może w szkole rzeczywiście przesadzał z tymi wszystkimi regulaminami i przepisami, ale wtedy, na trawie, nie postępował według żadnego schematu. Był cudownym kochankiem, obdarzonym niezwykle wrażliwością. Nawet w chwilach, gdy sam przeżywał największe uniesienia, wiedział dobrze, czego od niego oczekuje Paige. W odpowiednim momencie zdjął koszulę, potem spodnie i wszedł w nią dokładnie wtedy, kiedy pomyślała, że umrze, jeśli nie zagna jego ciała do końca.

Rzeczywistość przestała istnieć. Paige zagubiła się w ciemnościach nocy i namiętności

własnego ciała, rozbudzonej wciąż silniejszymi pchnięciami - Noah prowadził ją coraz wyżej i wyżej, świadomie i żarliwie, aż w końcu wydała z siebie cichy okrzyk, napięła mocno mięśnie i wstrząsnął ją potężny orgazm. Drżała jeszcze, gdy on osiągnął spełnienie.

Świadomość powracała falami, usiłując przebić się poprzez przyjemne rozleniwienie. Wreszcie zwyciężyła. Paige zaczęła spokojniej oddychać, a jej serce było już normalnym rytmem, gdy pojęła, że leży naga na trawie obok równie nagiego mężczyzny, którego w dodatku prawie nie знаła. Co gorsza, kochała się z nim bez zabezpieczenia.

- Boże - jęknęła, usiłując podnieść się z ziemi. Otoczyła kolana ramionami i skuliła się. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam.

- Ciiii. - Nie powiedział nic więcej.

Popatrzyła na niego, ale w ciemnościach nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy.

Odwróciła głowę.

Dotknął jej pleców. Chciała się odsunąć, lecz znów doznała znajomego uczucia ulgi i nie poruszyła się.

- Niczym cię nie zarażę - odezwał się w końcu - ale możesz zajść w ciążę. Czy to byłby problem?

- Tak! - krzyknęła nienaturalnie wysokim głosem.

Poruszył lekko ręką. Zajmiemy się tym, jak będzie trzeba - mówił wyraźnie jego dotyk.

Paige nagle roześmiała się trochę histerycznie i pomyślała, że ma jednak chorą wyobraźnię.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Powiedz mi - prosił.

Zdała sobie sprawę, że jego dłoń odgrywa rolę przewodnika, dzięki niej powstawał między nimi jakiś nowy rodzaj więzi - czystej, niewinnej, niepodobnej zupełnie do dzikiego seksu, jaki przed chwilą uprawiali, ale nadającej mu nowy, lepszy sens.

- Jak na ironię - powiedziała w końcu - moja praca polega między innymi na tym, że wprowadzam młodzież w dorosłe życie. Zachęcam do abstynencji, a kiedy to nie skutkuje, zalecam bezpieczny seks. Świetnie, prawda? A co ja robię? - Wydała pogardliwy pomruk i sięgnęła po ubranie. Dotykał jej, dopóki nie znalazła się poza zasięgiem jego dłoni. Poczuła, że przechodzi ją dreszcz, i szybko się ubrała.

Nie ruszał się.

- Po co ten pośpiech? - zapytał, gdy była już na nogach, gotowa do odejścia.

- Mam masę pracy. - Pobiegła prosto do domu i wpadła do sypialni Mary.

- To się nie zdarzyło - mruknęła, omiatając wzrokiem pokój.

W chwilę później czyściła już niezliczone ilości małych buteleczek stojących na toalecie i przecierała jej dębowy blat. Wypolerowała stelaż łóżka, stoliki nocne i stojący w rogu bujany fotel. Wytrzepała jasiek, poprawiła poduszki na fotelu, odkurzyła każdy centymetr podłogi i bajecznie kolorowy dywan.

Zadyszała się tak bardzo, że musiała przerwać pracę. Gdy zaczęła masować mięśnie powyżej talii, zdała sobie sprawę, że nie tylko one są spięte. Trzęsły się jej uda.

Ale nie chciała o tym myśleć. Nie mogła. Przeszła przez pokój, usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Odzyskała spokój dopiero wówczas, gdy jej wzrok padł na duży, wiklinowy koszyk z pokrywką, w którym Mara trzymała wełnę i druty. Teraz koszyk był wypełniony po brzegi resztkami robótek. Paige przełknęła ślinę i uniosła pokrywkę. Rozpoczęta robótka wykonana została z różowej wełny, ale gdyby postawiła na sweter, przegrałaby zakład. W środku bowiem znalazła szal w muszelki, pasujący rozmiarem do łóżeczka Sami.

Położyła go na kolanach i zakołysała się w fotelu. Po chwili znowu zerknęła do koszyka. Był tam również i sweter. Na żółtym tle widniały trochę krzywe, niebieskie gwiazdki - takie same jak na ścianach w pokoju dzieciennym.

Postanowiwszy, że dokończy obie rzeczy, Paige zanurzyła rękę głębiej. Na dnie tkwiły kłębki wełny, które wyznaczały - jak obręcze na drzewach - pewien etap z historii życia Mary. Z zielonej włóczki zrobiła zeszłej wiosny sweter dla Tanyi, z pstrokatych resztek - czapki i rękawiczki dla najbiedniejszych pacjentów na ostatnią gwiazdkę. A dokładnie rok temu z kordonka wydziergała dla siebie ogromny sweter. Paige nie wiedziała, jak Mara spożytkowała piękną, brązową, ręcznie przędzoną wełnę, ale rozpoznała natychmiast jaskarawopomarańczowy motek, z którego powstał pulower dla jednego z wychowanków. Pamiętała też, że z fioletoworóżowej włóczki Mara zrobiła czapkę. Biały motek pozostał po szalu, jaki otrzymała od niej Nonny. Mara uczyła wtedy Paige szydełkowania. Wśród wełen walały się druty najróżniejszych rozmiarów i najrozmaitsze szydełka.

Paige czuła się tak, jakby oglądała album z fotografiami. Sięgnęła głębiej. Znalazła jeszcze dwa kłębki włóczki i namacała plik kartek. Sądząc, że to opisy modeli, wyciągnęła je z koszyka.

Ale to były listy pisane na kremowej papeterii, związane kawałkiem zielonej włóczki.

Koperta na wierzchu zaadresowana została do Lizzie Parks z Eugene w stanie Oregon. Z tyłu Mara zamieściła swój adres, ale nie przykleiła znaczka i oczywiście nie wysłała listu.

Lizzie Parks. To nazwisko było jej obce. Może Lizzie była przyjaciółką Mary z dzieciństwa? Może list został napisany, zanim Paige poznała Marę? Z drugiej strony jednak Mara nabyła dom dopiero sześć lat temu, a chciała, żeby pisać do niej pod tym właśnie adresem.

Paige przez chwilę trzymała listy w dłoni, aż w końcu zwyciężyła ciekawość. Odwiązała włóczkę i przejrzała pakiecik. Było w nim sześć listów, wszystkie zaadresowane do Lizzie Parks.

Powtórzyła jeszcze raz głośno to nazwisko, ale w dalszym ciągu wydawało się jej nieznanym. W pierwszym odruchu chciała przykleić znaczki i wysłać listy pod wskazanym adresem. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że gdyby Mara zamierzała je nadać, już dawno by to zrobiła. Nie trzymałaby ich w szufladzie, ślicznie przewiązanych zielonym kawałkiem wełny. Paige mogła wprawdzie pomyśleć, że korespondencja stanowi własność Lizzie Parks i nie należy jej ruszać, ale nie była aż tak szlachetna. Jej najlepsza przyjaciółka umarła, a ona chciała poznać treść listów.

Pierwsza koperta nie była zaklejona. Paige wyjęła z niej kartkę i rozprostowała ją wierzchem dłoni. Serce zabiło jej bardzo mocno, gdy stwierdziła, że Mara napisała ten list na tydzień przed śmiercią.

Droga Lizzie - czytała. - Cóż za wspaniała wiadomość! Dziewczynka, którą mam zamiar adoptować, już niedługo wyjedzie z Indii. Odetchnęłam z ulgą. Czuję się jak tonący, któremu ktoś rzucił linę ratunkową.

Mam tylko jedno zdjęcie Sami, więc nie mogę ci go wysłać, ale wierz mi: jest śliczna. Mam ciemne włosy i oczy, zupełnie jak ja. Nie uwierzę, że to naprawdę moja córka, dopóki Sameera nie dotrze wreszcie na miejsce. Muszę jeszcze złożyć papiery w urzędzie stanowym, ale agencja zapewnia mnie, że to zwykła formalność. Najtrudniej było zdobyć aprobatę władz hinduskich.

Moi rodzice nie mają zbyt dobrego mniemania o adopcji. Kiedy powiedziałam im o Sameerze, stwierdzili, że to nie to samo. Mam do nich zadzwonić, jak wyjdę za mąż i urodzę własne dziecko. Łatwo im mówić. Ponieważ nie udało mi się zająć w ciążę z Dannym, myślałam, że to on jest bezpłodny, ale potem również nic się nie zmieniło. A przecież próbowałam. Tak bardzo chciałam mieć dziecko. Może właśnie za bardzo. Słyszałam, że tak się czasem zdarza.

Paige zaczęła się zastanawiać, kto uczestniczył w tych próbach. Nikt nie przychodził jej do głowy. A może w życiu Mary byli mężczyźni, o których nigdy jej nie wspomniała? Zrobiło jej się bardzo przykro i czytała dalej:

Może jestem chora. Czasem wydaje mi się, że na umyśle również. Udaje mi się tyle różnych rzeczy, a ponoszę klęski, ilekroć naprawdę mi na czymś zależy. Tak jak było z zajściem w ciążę. Zdecydowałam się więc adoptować Sameerę i nie obchodzi mnie to, że rodzice nigdy nie uznają jej za swoją wnuczkę. Ona będzie moja.

Było mi bardzo ciężko, kiedy Tanya uciekła. Wszyscy mi powtarzają, że to nie była moja wina, ale kogo mam w takim razie oskarżyć, jeśli nie siebie? Sądziłam, że potrafię jej pomóc. Miała już coraz mniejsze kłopoty z zasypianiem. Rzadziej moczyła łóżko. W dalszym ciągu nie mogę zrozumieć, co się stało. Widocznie zaczęła sobie wymyślać jakieś niestworzone historie albo ja powiedziałam coś, co ją zraziło. A więc potrzebuję Sameery. Muszę sobie udowodnić, że potrafię być matką. To tak, jakby otwierały się przede mną drzwi czasu, a ja sama zamknęłabym je na zawsze.

Nie stać mnie na jeszcze jedną klęskę. Poniosłam ich już zbyt wiele.

Paige opuściła bezwładną dłoń na kolana. Na jeszcze jedną klęskę.

- Nie ponosiłaś klęsk, Maro. Uwierzyłybyś mi, gdybyś widziała tych wszystkich ludzi na swoim pogrzebie. Odnosiłaś ogromne sukcesy.

Ale listów tych nie pisała Mara - lekarka. Pisała je Mara - kobieta.

- Nie poniosłaś klęski - szepnęła Paige i otworzyła drugi z rzędu list. Z daty wynikało, że Mara napisała go wkrótce po ucieczce Tanyi.

Droga Lizzie - zaczęła. - Byli dziś u mnie państwo Lorenzo. Mają sześcioro niepełnoletnich dzieci i niewyobrażalne kłopoty. Jedno dziecko jest diabetykiem, drugie ma wadę słuchu, a inne bez przerwy łapią infekcje wirusowe. Myślę, że w nocy zawsze któreś z nich kaszle, płacze albo wymiotuje. Zresztą to samo wynika z opowieści rodziców. A jednak im zazdroszczę. Noce w moim domu są ciche - martwe i jałowe. Robię, co mogę, żeby jakoś wypełnić pustkę, ale w końcu zawsze kładę się do łóżka i wsłuchuję w nicość własnego życia.

To prawda, odnoszę sukcesy zawodowe. Ale to się nie liczy. Ważne są jedynie noce. Wtedy kończą się wszelkie przejawy życia i zostaje naga prawda. A tak się dzieje, gdy jestem zupeł-

nie sama. Tyle mi się właśnie udało osiągnąć. Próbowałam to wszystko zmienić, ale teraz brak mi już sił. Czuję się pokonana. Noce są puste, długie i samotne, a jeśli nie uda mi się załatwić tych wszystkich formalności adopcyjnych, nic nie wróży lepszej przyszłości. Chyba tego nie zniosę.

Paige przeszedł dreszcz. Poskładała list, włożyła go na miejsce i przewiązała plik włóczką.

- Powinnaś mi była powiedzieć - szepnęła. - Próbowałabym ci pomóc.

Ale tak naprawdę nie wiedziała, co mogła właściwie zrobić. Ona sama nie uważała, że poniosła klęskę, ale też nigdy nie marzyła o tym, co Mara. Niemniej jednak Paige miewała ostatnio, podobnie jak jej przyjaciółka, poczucie otaczającej ją pustki.

Miała wrażenie, że odziedziczyła ją wraz z innymi wątkami życia Mary.

Bynajmniej nie zachwycona taką sytuacją, ułożyła wełnę i listy w koszyku w podobny sposób, jak je zastała, zamknęła przykrywkę i poszła do nie posprzątanego jeszcze sypialni, która miała służyć jako pokój dziecinny. Teraz było w nim zupełnie pusto, bo Paige zabrała już rzeczy przeznaczone dla Sami. Zaczęła sprzątać, ale nagle ogarnęła ją przemożna chęć powrotu do świata żywych. Wyłączyła odkurzacz, pogasiła światła i pojechała przez centrum miasta do domu.

Wychodząc od Mary, zastanawiała się przez chwilę, kiedy wyszedł Noah, ale potem odepchnęła od siebie te myśli i szybko wsiadła do auta. W drzwiach przywitała ją Kicia - ocierała się o nogi swojej pani z takim zadowoleniem, że Paige nie przywitała jej nawet sakramentalnym: „Wkrótce znajdę ci nowych właścicieli”. Zamiast tego podniosła kotkę do góry, pogłaskała ją i mocno przytuliła.

Jill spała na sofie. Obudziła więc delikatnie dziewczynę i posłała do łóżka. Potem przebrała się w szlafrok i również poszła na górę, żeby zajrzeć do Sami.

Dziewczynka spała na plecach, tak jak wszyscy Hindusi, więc Paige nie obróciła jej na brzusek. Chciała poza tym widzieć buzię dziecka. Opierając ręce o stelaż łóżeczka, pochyliła się nad maleńką. W przyćmionym świetle nocnej lampki dostrzegła, że na jej drobnej twarzy maluje się spokój. Paige dotknęła ciepłego, delikatnego policzka dziewczynki.

Sami poruszyła się. Otworzyła oczy i patrzyła chwilę przed siebie nie widzącym wzrokiem, dopóki nie dostrzegła Paige, która natychmiast wyjęła ją z łóżeczka, choć sama wielokrotnie pouczała młodych rodziców, że pod żadnym pozorem nie powinni budzić w nocy swo-

ich pociech.

- Cześć, kochanie - powiedziała śpiewnym, delikatnym głosem. - Jak się masz? - Pocałowała dziewczynkę w czoło. - Miło spędziłaś czas? Widzę, że Jill umyła cię i przebrała. Masz sucho i ślicznie pachniesz. Jadłaś coś dobrego przed snem? Piłaś mleko? A może soczek?

Sami przetarła piąstką oczka i nosek.

- Ach, ty śpiochu. Przepraszam, że nie pozwalam ci zasnąć. Chodź do mnie. Pobujamy się troszkę.

Z dzieckiem skulonym rozkosznie na jej piersi, usiadła w fotelu na biegunach i zaczęła się kołysać. Nuciała przy tym piosenkę bez słów - może tę samą, którą kiedyś śpiewała jej Nonny. Sami przytuliła się do niej mocno i natychmiast zasnęła.

Ale Paige nie wypuszczała dziewczynki z objęć. Kołysanie fotela, ciepło dziecięcego ciała i mruczenie Kici, która również znalazła miejsce na kolanach swej tymczasowej pani, przyniosły jej wreszcie upragniony spokój. Zanuciła jeszcze jedną melodię, pochodzącą z jakiegoś bezimiennego miejsca z przeszłości, i bujała się w fotelu, dopóki nie opuściła jej ostatnia myśl, jaka mogłaby nie pozwolić zasnąć. Położyła dziewczynkę pod lekką kołdrą i poszła na dół. Prawie natychmiast zapadła w sen z Kicią przyklejoną jak plaster do jej brzucha.

Zaczęła wracać do rzeczywistości dopiero wtedy, gdy następnego ranka zadzwonił budzik - poczuła wyraźnie zapach Noaha na swoim ciele i uświadomiła sobie, co właściwie robiła.

Rozdział dziesiąty

Wyścig zaplanowano na sobotę, w związku z czym Paige musiała prowadzić treningi w Mount Court, choć wolałaby tego uniknąć. Biegała więc z dziewczętami, zapisywała wyniki, zachęcała, chwaliła i poświęcała im niepodzielną uwagę. Nie dostrzegała nikogo poza swoimi podopiecznymi i nie zerknęła ani razu w stronę budynków administracyjnych, żeby zobaczyć, czy przypadkiem ktoś jej nie obserwuje. Bywała w szkole wyłącznie służbowo, a Noah Perrine przestał dla niej istnieć.

W normalnych okolicznościach nie mogłaby się doczekać soboty. Przy takich okazjach Mount Court tętniło życiem - przyjeżdżali rodzice zawodników i ich koledzy z innych szkół, a wszyscy byli jej starymi znajomymi. W ten Weekend Dougie miał wystąpić w reprezentacji piłkarskiej szkoły, co stanowiło dodatkową atrakcję zawodów. Paige chętnie posadziłaby Sami

w wózek i po skończonym wyścigu poszła na mecz, ale nie była pewna, czy sprawi jej to przyjemność. Nie tylko narażała się w ten sposób na spotkanie z dyrektorem szkoły, ale w dodatku na ewentualny kontakt z Benem, z którym nie rozmawiała od czasu, gdy dowiedziała się o jego niewierności. Bardzo współczuła Angie i była wściekła na jej męża, toteż obawiała się, że nie zdoła poskromić języka.

W sobotę padało już od rana, więc Paige nie mogła zabrać Sami do Mount Court. Zawody nie zostały wprawdzie odwołane, ale trudno z przyjemnością oglądać zmagania sportowców, gdy stoi się w ulewnym deszczu i myśli wyłącznie o tym, żeby się ogrzać i zachować dobrą minę do złej gry.

Wraz z opadami nadeszło ochłodzenie i Paige musiała pogodzić się z faktem, że dziewczęta nie zdołają zaprezentować pełni swoich umiejętności. I choć zdawała sobie sprawę, że ich rywalki będą biegły w tak samo złych warunkach, wcale jej to nie pocieszało. Przed zawodami miała nadzieję, że niektóre z jej zawodniczek spróbują dać z siebie wszystko - morale w szkole było wyjątkowo niskie i dziewczęta potrzebowały dopingu, żeby stanąć na wysokości zadania. W taką pogodę jednak trudno się wykazać.

Mimo wszystko próbowała zachować dobry nastrój. Ubrała się ładnie - jak zwykle z okazji zawodów - w gabardynowe spodnie i elegancki sweter. Na wierzch włożyła długi płaszcz przeciwdeszczowy, wzięła ogromną parasolkę. Miała nadzieję, że uchronią ją przed ulewą, ale przede wszystkim chciała stać się dzięki nim mniej widoczna.

Podopieczne Paige stłoczyły się w kącie sali gimnastycznej - miały na sobie ciepłe dresy i ponuro patrzyły na swoją trenerkę. Nie zachwycała ich wcale perspektywa sportowych zmagania w taką pogodę.

- Koszmar - jęknęła Julie. - Powinni byli odwołać zawody.

- Bzdura - odparła Paige. - Biegniecie przecież przez las i schronicie się pod drzewami.

Widzowie są w znacznie gorszej sytuacji.

- Ale jest zimno - powiedziała Alicia tonem skargi.

- Chłodno. To lepsze niż upał.

- Mięśnie mi zeszywniały - dodała Tia.

- Więc je poćwicz - zaproponowała Paige. - Zróbcie też dodatkową rozgrzewkę. Na pewno świetnie sobie poradzicie. Postarajcie się pamiętać, czego was nauczyłam. Panujcie nad sobą. Nie pozwólcie innym narzucić zbyt dużego tempa, bo nie zdołacie dobiec do mety. Cały czas musicie kontrolować sytuację.

- Nie uda się nam wygrać z Wickham Hall - stwierdziła Annie. - Te dziewczyny są fantastyczne.

- My również - odparła Paige.

- W zeszłym roku były nie do pokonania.

- Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jeśli nie nauczycie się myśleć pozytywnie, wystartujecie ze straconej pozycji. Przecież poprawiłyście ostatnio wyniki.

- Odbiliśmy się tylko trochę od dna - poprawiła ją Julie.

- Cicho bądź. - Paige pogroziła jej żartobliwie palcem. - Wiara we własne siły to połowa sukcesu. Trasa ma pięć kilometrów. Jeśli chcecie zejść poniżej dwudziestu jeden minut i uwierzycie, że jesteście w stanie tego dokonać, na pewno wam się uda. Nie zależy mi na waszym zwycięstwie. Pragnę tylko, żebyście mogły być z siebie dumne, i wierzę, że tak się stanie. Reszta zależy od was.

Wyszła razem z nimi z sali i zamieniła parę słów z trenerami pozostałych drużyn, a tymczasem dziewczęta rozpoczęły rozgrzewkę. W końcu Paige stanęła w ustronnym miejscu pod osłoną ogromnej parasolki i czekała na rozpoczęcie zawodów.

- To ty, Paige?

Serce zabiło jej gwałtownie, ale uspokoiło się natychmiast, gdy rozpoznała głos swego rozmówcy. Był to Peter, ubrany w długi płaszcz z kapturem.

- Ty tutaj? - spytała z uśmiechem.

- Nie miałem nic innego do roboty. - Poklepał wybrzuszony kształt pod płaszczem. - Pomyślałem, że trochę sobie popstrykam.

- W taki deszcz?

- No pewnie. Im gorsza pogoda, tym większe dramaty. Świetne są takie ujęcia w błocie.

Paige przypomniała sobie, że Mara mówiła kiedyś coś podobnego, tylko że chodziło jej nie o błoto, a o śnieg. Uwielbiała fotografować w czasie zamieci śnieżnej, bo spadające z nieba płatki tworzyły rodzaj zasłony dla świata. Być może chciała w ten sposób stłumić obrazy, które wydawały się jej zbyt ostre.

- Jak ci dzisiaj poszło w pracy? - spytała Paige, siląc się na obojętny ton. - Wydarzyło się coś ciekawego?

- Zapytaj Angie - odparł Peter. - Zastępowała mnie. Powiedziała, że chce być do przodu z robotą, bo Dougie może kiedyś zachorować i wtedy ona będzie musiała wziąć wolne. Ale Angie i tak już jest do przodu. Tyrała ostatnio jak wół.

Paige doskonale rozumiała przyjaciółkę. Praca pozwala odpędzić natrętne myśli.

Domyśliła się, że Peter nie ma pojęcia o kłopotach małżeńskich Angie i nie zamierzała go o nich informować.

- Dougie dorasta. Dłużej przebywa w szkole, ale kiedy już jest w domu, powinien spędzać więcej czasu z ojcem.

- Dzień dobry, doktorze! - wołały zawodniczki Paige. Przebiegając obok nich, uśmiechały się szeroko do Petera, co było u nich zjawiskiem dość rzadkim.

Peter odwzajemnił uśmiechy i uniósł kciuk do góry.

- Świetne dziewczyny - powiedział.

- Tak - potwierdziła, odprowadzając je wzrokiem. - One również dorastają. W czerwcu będą robiły dyplom. Aż trudno uwierzyć. - Czas leciał. Pamiętała ich pierwsze dni w Mount Court. Były wtedy mniej zepsute i cyniczne, choć już wówczas rozpuszczone do granic możliwości. Paige od początku usiłowała nauczyć je dyscypliny wewnętrznej, a teraz mogła się przekonać, czy jej wysiłki przyniosły oczekiwany efekt.

Biegaczki stanęły na starcie. Peter wyjął aparat spod płaszcza i pstryknął kilka zdjęć. Paige przysunęła się bliżej. Wiara, wiara, wiara - myślała intensywnie, jakby chciała przekazać im te słowa telepatycznie. Ruszyły. Kibice zagrzewali do walki swoje drużyny. Paige głośno dodawała otuchy dziewczętom z Mount Court, a Peter robił im zdjęcie za zdjęciem, póki nie zniknęły w lesie.

- Paskudny dzień - usłyszała nagle Paige gdzieś ponad czubkiem parasolki.

Serce znowu zabiło jej mocniej, ale tym razem już się nie uspokoiło. Poczowała, że zalewa ją fala gorąca. Tak było zawsze, gdy on się zbliżał. Emanująca z niego energia udzielała się otoczeniu.

Nie spuszczała wzroku z drzew, dopóki nie skryła się za nimi ostatnia zawodniczka.

- Rzeczywiście mogłoby być ładniej.

- Jak tam nastroje?

- Również mogłyby być lepsze - powiedziała lekko drżącym głosem.

- A ty jak się czujesz?

- Bardzo dobrze - odparła starając się, by zabrzmiało to przekonywająco.

- Nie dostarczono mi nalepek, pani doktor. - Występował najwyraźniej jako dyrektor szkoły. Miał na myśli specjalne karteczki, na których zapisywało się miejsca, jakie reprezentantki poszczególnych drużyn zajęły w biegu. Gdy wszystkie zawodniczki były już na mecie,

odbierano im nalepki, zestawiano wyniki i obliczano, która drużyna wygrała wyścig.

Paige zobaczyła, że kierowniczką drużyny rozmawia z przyjaciółkami.

- Sheila! - zawołała i wskazała jej dyrektora. Dziewczyna poszperała w kieszeni, wyjęła naklejki i wręczyła je dyrektorowi.

Zanim Paige zdążyła się odsunąć, Noah wsadził już głowę pod jej parasolkę.

- Nie żałuję - powiedział miękko, ale stanowczo i prowokująco zarazem.

Paige dojrzała grupkę rodziców, którzy przyjechali do Mount Court na zawody, ale nie znalazła wśród nich nikogo znajomego.

- Żałuję tylko, że niczego ze sobą nie wziąłem - dodał ciszej. - Jeszcze by nam tego brakowało, żeby się martwić twoją ciążą.

Paige nie chciała nawet dopuścić do siebie takiej możliwości. Nie chciała również myśleć o tym, co zaszło tamtej nocy w ogrodzie Mary. Odchrząknęła.

- Może porozmawiamy na ten temat kiedy indziej.

- A dlaczego nie teraz?

- Bo trwa wyścig.

- W najlepszym wypadku pierwsze zawodniczki wybiegną z lasu za jakieś piętnaście minut. - Wyprostował się i uniosł parasolkę, żeby lepiej widzieć jej twarz. - Prawdę powiedziawszy, nie jestem zachwycony tą trasą.

Kibice nie mogą obserwować wyścigu. Jak możemy ściągnąć na zawody rodziców i absolwentów, skoro wszystko rozgrywa się w lesie? W dodatku to bardzo niebezpieczne. Coś się przecież może stać.

- One nie biegają w pojedynkę. Jeśli któraś dozna kontuzji, koleżanki sprowadzą pomoc. Poza tym trasa jest naprawdę bardzo piękna, a w taki deszcz jak dzisiaj na pewno lepiej biegać po lesie niż na otwartej przestrzeni.

Paige wypatrywała intensywnie Petera, żeby móc opuścić Perrine'a pod pretekstem konieczności zamienienia paru słów ze współnikiem. Niestety, nigdzie go nie było.

- Jak się przedstawiają szanse naszych dziewcząt? - spytał Noah.

Znacznie lepiej. Rozmowa przybrała służbowy charakter. Wszystko w porządku.

- Myślę, że pierwsza trójka w naszej drużynie to Merry, Annie i Sara. W odwrotnej kolejności.

- Sara jest taka dobra?

- Tak.

- To naprawdę zadziwiające - powiedział niemal radośnie. - Biega dopiero drugi rok. Zaczęła w zeszłym roku w swojej starej szkole. W dodatku z dużymi oporami.

- Dlaczego? - spytała Paige, patrząc na niego z ukosa. Miał na sobie płaszcz podobny do tego, jaki nosił Peter. Przy kapturze był specjalny daszek do przysłaniania okularów, który chyba nie zdał egzaminu, bo szkła Perrine'a lśniły od deszczu.

- Bo wszystko robiła bardzo niechętnie. Nie mogła porozumieć się z matką, a to miało wpływ na prawie każdy aspekt jej życia. Uczyła się coraz gorzej. Trzymała się na uboczu, straciła przyjaciół. Kilka razy przyłapano ją na kradzieżach.

- Sarę?

- Tak.

Paige trudno było w to uwierzyć, ale Noah wiedział najwyraźniej, co mówi.

- Kradła drobiazgi. Raz wyniosła ze sklepu szminkę, drugi raz wstążkę. Chciała w ten sposób ukarać swoją matkę. Ale jak się zapewne domyślasz, o wiele bardziej skrzywdziła siebie. Policja nie oddała sprawy prokuraturze, zamiast tego postawiła kilka warunków. Między innymi i taki, że w godzinach popołudniowych Sara ma uczestniczyć w organizowanych przez szkołę zajęciach sportowych. Zaczęła więc biegać. Wyładowywała w ten sposób swój gniew.

Paige знаła bardzo dobrze ten skupiony, surowy wyraz twarzy, który Sara przybierała zawsze podczas biegu.

- W takim razie wszystko jest jasne. Ona nadal stosuje tę metodę. Wydaje mi się jednak, że nie złości się już tak bardzo. Co z oczu, to i z serca.

- To nie takie proste - mruknął.

- Nigdy nie miała ochoty porozmawiać na ten temat?

- Na pewno nie ze mną - odparł znaczącym tonem. Oczywiście Paige mogła domyślić się powodów. Perrine był dyrektorem szkoły, uczniowie go nie lubili... Nagle dostrzegła w nim coś znajomego - wyraz twarzy, sposób, w jaki gestykułował, jego spojrzenie.

- A to dlaczego? - spytała, w niemal absurdalny sposób pewna, że zna odpowiedź. Sara i Noah mieli wprawdzie inne nazwisko, ale tak samo długie nogi i rozjaśnione słońcem włosy. W dodatku Perrine podejrzanie interesował się tą dziewczyną, pod pretekstem, że oboje są nowi w Mount Court. Właśnie. Oboje byli tu nowi, samotni i trenowali bieganie.

Perrine patrzył na nią teraz niespokojnie.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - spytała czując, że robi się jej przykro. Przeżyli ze sobą intymne chwile, a on ukrył przed nią taki ważny fakt. Zresztą właściwie niczego nie ukrywał.

Oni się po prostu nie znali. Ich zbliżenie było zdecydowanie przedwczesne. Zachowali się absurdalnie, zbyt impulsywnie. Nieodpowiedzialnie.

Zdjął okulary, otrząsnął je z deszczu i włożył z powrotem.

- Wydawało mi się, że tak jej będzie łatwiej. A teraz, biorąc pod uwagę moją wątpliwą popularność, jestem pewien, że podjęliśmy słuszną decyzję. Po co komu takie brzemię?

Paige wiedziała, że antypatia jest wzajemna. Mount Court nie zaakceptowało Noaha, a on również nie przepadał za swoją pracą.

- Przyjąłeś tę posadę wyłącznie z uwagi na Sarę?

- Nie, to nie był jedyny powód. Zawsze chciałem zostać dyrektorem szkoły. Musiałem też podjąć stosowną decyzję w związku z Sarą, która nie mogła nadal mieszkać z matką. Ja szukałem pracy i choć prawdopodobnie nie zdecydowałbym się na Mount Court, gdybym miał inny wybór, nic poza tym mi wtedy nie proponowano.

A więc Perrine był ojcem. Teraz, gdy Paige już się tego dowiedziała, spoglądała na niego zupełnie innymi oczyma.

- Dickinson. Skąd ten pomysł?

- Ona się tak naprawdę nazywa.

- To nazwisko panieńskie twojej żony?

- Byłej żony. Z drugiego małżeństwa. Sara posługuje się nim od lat - powiedział twardo. Można się było domyślić, że Perrine cierpi z tego powodu.

- Ile miała lat, kiedy doszło do rozwodu?

- Trzy.

- Mój Boże! Była jeszcze taka maleńka.

- Za mała, żeby głęboko przeżyć nasze rozstanie.

- Ale wystarczająco duża, żeby tęsknić za ojcem. Sąd od początku przyznał opiekę matce?

- Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej - powiedział obronnym tonem.

Paige zaczęła się zastanawiać, jakim właściwie jest człowiekiem, skoro zdecydował się opuścić trzyletnią córeczkę. Oczywiście nie znała przyczyn rozpadu jego małżeństwa i wcale nie miała ochoty ich poznawać, ale doszła do wniosku, że specjalnie się nie pomyliła, gdy przy pierwszym spotkaniu zarzuciła Noahowi brak wrażliwości.

Perrine włożył ręce do kieszeni.

- Nie zawsze jesteśmy w stanie panować nad swoimi uczuciami. - Spojrzał na nią w spo-

sób, który świadczył o tym, że wypowiedział ostatnią kwestię bez związku z Sarą.

Potrząsnęła głową.

- Nie, proszę cię. Nie teraz.

- W takim razie kiedy? Może wieczorem?

- Nie.

- Jutro.

- Nie.

- Tak bardzo tego żałujesz? - zapytał bez złości. W tonie jego głosu wyraźnie pobrzmiwał żal, a Paige poczuła znajome drżenie. - Było aż tak okropnie?

- Nie! - krzyknęła. - Wcale nie było okropnie, ale zrobiliśmy głupstwo. Zachowaliśmy się niedorzecznie. Wybraliśmy w dodatku zupełnie niestosowny moment. Myślałam o Marze, odczuwałam tę straszliwą pustkę i nagle wyrosłeś przy mnie jak spod ziemi.

- W takim razie to nie była moja wina.

Paige bardzo by chciała zrzucić na niego całą odpowiedzialność, ale nie mogła. Nie zaprotestowała wtedy ani słowem.

- Też brałam w tym udział.

- Aktywny - uzupełnił.

Paige odniosła wrażenie, że Noah uśmiechnął się filuternie, ale kiedy znowu na niego spojrzała, miał zaciśnięte usta.

Chciała się od niego uwolnić, więc ruszyła w kierunku lasu, żeby zaczekać tam na dziewczęta. Natychmiast ją dogonił.

- Okropny zwyczaj - powiedział z głową na wysokości jej parasolki.

- Co masz na myśli? - spytała, nie przerywając marszu.

- Takie odwracanie się i odchodzenie bez słowa. A ty często tak robisz.

- Wykluję ci niechący oko, jeśli się nie odsuniesz. - Parasolka podskakiwała przy każdym kroku, a wystające końcówki drutów zbliżały się niebezpiecznie do twarzy mężczyzny.

- Podnieś ją wyżej.

- Nie mam zamiaru moknąć.

- Dobrze. W takim razie zatrzymaj się na chwilę i powiedz, dlaczego nie potrafisz ustać przez chwilę spokojnie w jednym miejscu.

Zarzucił jej, że czegoś nie potrafi, więc musiała mu udowodnić, jak bardzo się pomylił. Przerwała marsz i stanęła nieruchomo w strugach zacinającego deszczu.

- Odchodzę, bo mam dokąd pójść i co robić. W ciągu ostatnich dwóch dni moje życie poważnie się skomplikowało. Jestem potwornie zestresowana. Poza tym nie wiem, jak mam z tobą postępować. Przypierasz mnie do muru.

- Ja?

Rzuciła mu znaczące spojrzenie.

- W porządku - powiedział. - Jestem więc apodyktyczny.

- A poza tym wielki, wspaniały i bardzo uparty.

- Dzięki takim cechom łatwiej osiągać zamierzone cele.

Pomyślała o ich wspólnej nocy na trawie. Wtedy też był wielki, wspaniały i bardzo uparty. A przy tym przekonujący. W takim stanie umysłu jak wówczas nie mogła z nim skutecznie walczyć.

Znów ruszyła naprzód, a on natychmiast podążył w jej ślady. Usiłowała nie trącać go parasolką.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział.

- No, o czym? - zapytała kpiąco.

- O tym, że wykorzystałem wspomniane przez ciebie cechy, żeby cię uwieść w momencie, gdy nie byłaś w stanie się obronić. I jeszcze o tym, że wszystko zaplanowałem. Ale mylisz się. Gdyby tak było, wziąłbym ze sobą prezerwatywę.

- Lepiej będzie, jeśli przełożymy tę rozmowę - powiedziała Paige, rozglądając się nerwowo.

- Dobrze, ale ty nie chcesz się ze mną umówić. Powiedz, kiedy możemy się spotkać.

Paige jednak zmieniła zdanie. Nie miała w ogóle ochoty poruszać tego tematu. Chciała raczej zapomnieć o wszystkim, co się wtedy wydarzyło i jeśli - co daj Boże - dostanie okresu w terminie, na pewno nie będzie miała z tym kłopotów.

- Słuchaj - zaczęła, stając z dala od zebranego na brzegu lasu tłumu. - Szkoda czasu na dyskusje. Popelniliśmy błąd i kropka. Miałam chwilę słabości. Obiecuję, że to się już nie powtórzy.

- Dlaczego?

- Ponieważ - odparła - nie widzę dla nas przyszłości. Mam już wystarczająco dużo zajęć bez wikłania się w tego rodzaju związki. W dodatku przyjechałeś tu tylko na rok, więc jaki to wszystko ma sens? - Przyspieszała właśnie kroku, gdy na skraju lasu pojawiła się sylwetka pierwszej zawodniczki.

Nie była to wychowanka Mount Court. Druga również należała do innej drużyny. Tak samo zresztą jak i trzecia. Sara dobiegła na metę jako siódma, Annie jako jedenasta, a Merry, trzecia najlepsza zawodniczka z reprezentacji trenowanej przez Paige, zajęła ostatecznie czternaste miejsce.

Jej drużyna nie popisała się.

Oczywiście nie powiedziała tego dziewczętom, a Noah gratulował serdecznie wszystkim na linii mety.

Mając cały czas w pamięci jego wyznanie, Paige patrzyła, jak Perrine rozmawia z Sarą. Zapytał ją o trasę, o najtrudniejsze i najłatwiejsze etapy biegu i powiedział chyba ze trzy razy, że wspaniale wypadła. Ona odpowiadała mu niechętnie i odwróciła się, gdy położył rękę na jej ramieniu.

Paige zrobiło się go żal. Wcale nie miała ochoty współczuć Noahowi, a jednak mu współczuła. Za największą tragedię uważała bowiem rozpad rodziny.

Droga Lizzie - przeczytała późnym popołudniem, siedząc na podłodze i kołysząc Sami na miniaturowej huśtawce. - Nie wiem, kiedy to wszystko się zaczęło, ale sądzę, że jeszcze wtedy, gdy byłam mała i nie potrafiłam niczego zrobić porządnie. Mama myślała, że będę jej pomagać, a mnie roznosiła energia i nie mogłam usiedzieć w domu. Chciałam przebywać jak najczęściej w towarzystwie braci, bo oni cały dzień kręcili się po mieście. Pragnęłam poznawać nowych ludzi i świat. Nie mogłam tkwić bez końca w czterech ścianach.

Szczeniara z ciebie. Twoi rodzice byli zupełnie inni.

Paige odłożyła list. Była zwykłym szpiclem, intruzem i podglądaczem myśli Mary. Wiedziała, że nie wolno czytać cudzej korespondencji i z tego powodu poprzedniego dnia zostawiła listy tam, gdzie je znalazła. A jednak nie potrafiła oprzeć się pokusie.

Wracając z Mount Court, wstąpiła jeszcze raz do domu przyjaciółki, który tak bardzo spodobał się znalezionej przez pośredniczkę rodzinie. Paige zawarła już z nimi umowę wstępną. Nabywcy chcieli się wprowadzić w ciągu miesiąca, więc Paige musiała spakować i zabrać większość rzeczy Mary. Tego dnia zamierzała wstąpić jedynie po zdjęcia, ale ledwo rzuciła na nie okiem. Zamiast tego zagłębiła rękę w koszyczku i grzebała wśród robótek, dopóki nie namacała pakietu kopert. Gdy je wyjęła, przekonała się natychmiast, że są to zupełnie inne listy - pisane na błękitnej papeterii, przewiązane czerwoną włóczką. Kierowana nagłym impulsem,

wywróciła koszyk do góry dnem i znalazła jeszcze cztery takie pakieciki. Każdy z nich składał się z sześciu do dziesięciu kopert. Chcąc uspokoić sumienie, Paige zdjęła ze ściany jedną fotografię i zabrała listy.

Miała zamiar wysłać je adresatce, kiedy już znajdzie siłę, żeby się z nimi rozstać. Stały się teraz dla niej jedyną szansą rozwiązania tajemnicy Mary.

Czy pamiętasz - pisała dalej Mara - jak skończyłam osiem lat i chciałam spędzić urodziny na pokazie rodeo? Rodzice się nie zgodzili. Powiedzieli, że to nieodpowiednie dla dziewczynki i im bardziej się z nimi kłóciłam, tym bardziej się na mnie gniewali. A ja nie zamierzałam ustąpić. Przesiedziałam sama cały dzień, a oni nawet się mną nie zainteresowali. Teraz myślę, że gdyby mnie kochali, zabraliby mnie wtedy na pokaz, ale oni tego nie zrobili, a gdy w końcu wyszłam z pokoju, powiedzieli mi, jak wielki sprawiłam im zawód.

Sądzę, że często sprawiałam im zawód. Nawet teraz nie są ze mnie zadowoleni. W przyszłym tygodniu mój ojciec obchodzi siedemdziesiąte piąte urodziny.

Paige policzyła szybko, że list pochodzi sprzed trzech lat, i kontynuowała lekturę.

Chcę wydać dla niego przyjęcie. Nie miałabym o tym pojęcia, gdyby nie telefon od Bonnie - żony Chipa - która poinformowała mnie, iż moi bracia ustalili z matką, że powinnam przyjechać. Kiedy poprosiłam, żeby mi poradziła, co mam kupić, powiedziała, że najlepszym prezentem dla ojca byłby zięć. Śmiała się przy tym, ale wcale nie żartowała. Oni wszyscy mają nadzieję, że w końcu przywiozę im męża, całe stadko dzieci i zamieszkać w sąsiedztwie, tak jak John i Chip, ale ja, niestety, tego nie zrobię. Nie potrafię.

Co w tym złego, że zostałam lekarzem? Większość ludzi uważa, że wybrałam zajęcie godne najwyższego szacunku, a ja mam poczucie winy, ilekroć zaczynam o tym myśleć w kontekście całego życia. Prawda, mój ojciec miał zapalenie ucha, które nie zostało rozpoznane we właściwym czasie, i przez to teraz niedosłyszany. A mama miałaby jeszcze jedną córeczkę, gdyby lekarz pojawił się w szpitalu na czas i odplątał łożysko z szyi płodu. To chyba nie znaczy, że wszyscy ludzie, którzy uprawiają ten zawód, są źli?

Ciekawa jestem, jaka byłaby moja młodsza siostrzyczka, gdyby przeżyła. Pewnie taka, jaka ja miałam być. Może rodzice daliby mi wtedy spokój. Ale nie jestem pewna. Zawsze zwracałam na siebie uwagę swoim postępowaniem, choć przez dłuższy czas starałam się tego nie robić. W końcu zniknęłam im z oczu i zajęłam się własnymi sprawami, co również mocno ich zirytowało.

Twoje życie jest zupełnie inne. Zawsze ci zazdrościłam. Potrafisz uszczęśliwiać swoich bliskich, dzięki czemu sama jesteś pełna radości życia. Nie zdobyłaś wprawdzie żadnych stopni naukowych, ale jesteś z siebie zadowolona. A ja już przestałam nad czymkolwiek panować. Najgorzej jest wtedy, kiedy bardzo zależy mi na tym, by coś osiągnąć.

Paige odłożyła list z uczuciem ogromnego żalu. Nie rozumiała, dlaczego Mara doszła do wniosku, że poniosła klęskę, ale taka myśl dominowała również w liście, który przeczytała jako pierwszy.

- Jak się czujesz, kochanie? - zwróciła się do Sami, która zwinęła się w kłębuszek na siedzeniu huśtawki. - Ona wcale nie poniosła klęski, tylko była zupełnie inna niż jej rodzice. Ja miałam taki sam problem, ale mogłam zawsze liczyć na Nonny - dodała Paige lekko, jakby jej ton miał złagodzić wymowę tych słów.

Skrzyżowała nogi i usadowiła na nich dziewczynkę twarzą do siebie, po czym zaczęła łaskotać ją po brzuszku.

- Chyba przybierasz na wadze. W zeszłym tygodniu nie było tu tej fałdki. - Połaskotała ją jeszcze raz. - Uśmiechnij się do mnie. Chociaż raz. Żeby podtrzymać mnie na duchu.

Zadzwoił telefon. Paige posadziła Sami na biodrze i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Pytałaś, jaki to ma sens - powiedział Noah bez zbędnych wstępów. - A więc dowiedz się, że chodzi tu o przyjemność. Ty jesteś zbyt zajęta, żeby angażować się w poważny związek, ja pod koniec roku wyjeżdżam, ale do tego czasu możemy pozwolić sobie na trochę rozrywki.

Nawet głos Perrine'a robił wrażenie na Paige. Czując, jak zalewa ją znajoma fala gorąca, usiłowała uspokoić nierówny oddech.

- Rozrywką można nazwać oglądanie filmów, grę w warcaby albo dyskusję na temat książek. A my uprawialiśmy seks.

- To również jest rozrywka.

- Raczej ucieczka. Zachowałam się zupełnie irracjonalnie. Chyba nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje.

- A zwykle postępujesz rozsądnie - powiedział Noah ze złością, ale nie zrobiło to na niej wrażenia. Niech się wścieka. Na dłuższą metę tak będzie lepiej.

Pomyślała o Sarze. Nadal nie mogła się nadziwić, że to jego córka. Była ciekawa, jak często się widywali przez te lata i czy byli sobie bliscy. Sara nigdy nie dała po sobie poznać, że

zależy jej na Noahu. Ani wtedy, gdy dziewczęta go oczerniały, ani wtedy, gdy gratulował jej udanego biegu. Poza tym sam Noah twierdził, że córka nie ma do niego zaufania. Wynikało z tego jasno, że mieli problemy.

Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że poniósł klęskę jako ojciec.

- Jak na tak rozsądną osobę - ciągnął tonem dyrektora szkoły, który rozmawia z trenerem drużyny sportowej - nie wyciągasz chyba właściwych wniosków co do swojej drużyny. Nasze reprezentantki pobiły fatalnie.

Sami sięgnęła niepewnie po sznur od telefonu. Paige włożyła go jej do ręki.

- Warunki nie były najlepsze.

- Innym deszcz nie przeszkadzał. Za mało od nich wymagasz, Paige. Wiele razy widziałem, jak gadałyście zamiast trenować.

- Kiedy dzieje się coś ważnego, rozmawiamy na ten temat. Wierzę, że tak należy postępować. Jeżeli pomogę im przetrwać koszmar dorastania, jakie znaczenie mają jedne czy drugie przegrane zawody? Ostatnio jednak nie dyskutowaliśmy zbyt wiele. Pracowałyśmy naprawdę ciężko.

- Dlaczego w takim razie tak kiepsko wypadły?

- Nietrudno zgadnąć - westchnęła Paige. - Nie wierzą, że są dobrymi biegaczkami, nie śni im się nawet, że mogą wygrać. A tego nam właśnie potrzeba. Jednego zwycięstwa, które na pewno dałoby im trochę wiatru w żagle.

- W jaki sposób chcesz odnosić sukcesy, jeśli nie uda ci się najpierw zmienić takiej negatywnej samooceny?

- Właśnie zamierzałam o tym pomyśleć. A może ty możesz zaproponować jakieś rozwiązanie?

Noah miał pewien pomysł, ale nie zamierzał się nim dzielić z Paige. Był na nią zły. Przeżył wtedy wspaniałe chwile i nie mógł zapomnieć o tej kobiecie. Może rzeczywiście ona nie bardzo wiedziała, co się dzieje, ale on pamiętał każdy szczegół - jej ręce na swoim ciele, stwardniałe sutki i te ciche, gardłowe okrzyki podczas orgazmu. A teraz ona chciała wszystko puścić w niepamięć, co doprowadzało go do szału. Właśnie dlatego nie zdradził jej swego planu - nie jej cholerny interes - a poza tym nie był pewien, czy uda mu się wprowadzić go w życie. Musiał uzyskać pewne gwarancje, kupić, pożyczyć lub ukraść potrzebny sprzęt i podjąć naprawdę ogromne ryzyko. Historia dowodziła, że się nie myli, ale balansował na cienkiej linii.

A on nie mógł pozwolić sobie na upadek - już i tak cała społeczność Mount Court, z Sarą na czele, miała o nim nie najlepsze zdanie.

Rozdział jedenasty

Angie wróciła do domu wcześniej. Przełożyła kilka wizyt, żeby zyskać trochę czasu, choć nie bardzo jeszcze wiedziała, jak ma zamiar go wykorzystać. Pracowała ostatnio więcej niż zwykle, w nadziei, że dzięki temu zagłuszy bolesne myśli, ale one wciąż ją prześladowały. Nawet jeśli na chwilę udawało się jej od nich uwolnić, natychmiast wracały ze zdwojoną siłą. Nie mogła przed nimi uciec. Musiała znosić koszmar codzienności, która w dodatku przestała wydawać się jej zwyczajna.

Dougie, który zawsze paplał jak najęty i często się do niej czulił, nagle zamilkł i ostygł. Podczas jazdy samochodem do domu prawie w ogóle się nie odzywał, odpowiadał tylko krótko na jej pytania. W domu zachowywał się podobnie - większość czasu spędzał w swoim pokoju i albo się uczył, albo rozmawiał przez telefon. Wyraźnie coś go dręczyło, a głównym tematem jego rozmyślań zapewne stały się napięte stosunki między rodzicami.

Ben w ogóle na nią nie patrzył, odzywał się rzadko i oczywiście jej nie dotykał. Mieszka-
li razem, ale żyli osobno. A teraz nawet nie wiedziała, gdzie on jest, bo choć spodziewała się zastać męża przy pracy, w domu było zupełnie pusto. Gdy przyszła, w studio nie paliło się światło, a potem zobaczyła jeszcze, że biurko jest starannie posprzątane. Telewizor milczał. Samochód zniknął z podjazdu.

Angie usiadła przy stole w kuchni i nie tyle czekała, co raczej zastanawiała się, co robić. Gdyby Ben nie wyszedł, mogłaby z nim porozmawiać. Zrozumiała, że podświadomie miała takie intencje już w chwili, gdy postanowiła skończyć wcześniej pracę. Ale dom był tak pusty i milczący, jak jej dusza. Angie czuła, że jest bezradna. Paraliżowała ją świadomość tego, że nie wie, co ze sobą począć. A ona nie tolerowała ani apatii, ani ignorancji.

Ironia losu polegała na tym, że zdobyła rzetelne wykształcenie, a nigdy nie nauczyła się najbardziej potrzebnych rzeczy. Ukończywszy wiele specjalistycznych kursów medycznych, wiedziała doskonale, jak funkcjonuje ludzkie ciało i jak należy się z nim obchodzić. Potrafiła wyjąć to, co się zepsuło, naprawić i wstawić z powrotem, ale nie umiała niczego stworzyć. Obca jej była zdolność wyczarowywania czegoś z niczego i dlatego nie zdołała wypełnić pustki jakimkolwiek znaczeniem.

Nie rozmawiał z nią ani mąż, ani syn, więc czuła się tak, jakby usunięto jakąś istotną część jej organizmu, który po tej operacji funkcjonował wyłącznie siłą rozpędu. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Uczucie narastającej pustki stawało się coraz bardziej intensywne i Angie miała wrażenie, że wchłania ją czarna dziura.

Zastanawiała się, gdzie jest Ben. Może poszedł na pocztę. Lub do gospody. Albo do biblioteki.

Położyła ręce na wyłożonym terakotą stole. Miała szczupłe, kształtne, sprawne dłonie z krótko przyciętymi, nie pomalowanymi paznokciami. Ponieważ całe lata myła je kilkanaście razy dziennie, więc używała często kremów nawilżających. Były to dłonie kobiety pracującej. Wszystkie zmarszczki, maleńkie blizny i żyłki - jeszcze niedawno o wiele mniej widoczne - mówiły wyraźnie, że ich właścicielka skończyła czterdzieści dwa lata.

Westchnęła i spojrzała w szybę, w której zobaczyła swoje odbicie. Miała czarne włosy, sztywnie przycięte do połowy policzków, i bladą, szczupłą twarz. Była małą kobietką, choć wysoki poziom wiedzy dodawał jej parę centymetrów wzrostu.

A teraz czuła się mała, opuszczona i bezradna. Splotła palce, rozprostowała je i w końcu opuściła ręce na kolana. Myślała o przeszłości, o tym, jak dobrze zorganizowała swoje życie, jak również o koszmarze teraźniejszości i niepewnej przyszłości. Kiedy Dougie wyjedzie do koledżu, ona zostanie sama z Benem w zupełnie nowej sytuacji. Usłyszała samochód męża na podjeździe i wstała czując, że ogarnia ją niepokój. Miała tyle zajęć. Bezczynność nie rozwiązywała problemów. Przeciwnie, tworzyły się zaległości. Mogła więc przygotować kolację, podlać kwiaty albo zadzwonić do banku w sprawie nie nadesłanej jeszcze nowej karty kredytowej. Ale nie ruszyła się z miejsca. Czuła się tak, jakby paraliż, który dotknął jej umysł, ogarniał stopniowo całe ciało. Osunęła się z powrotem na krzesło.

Zaparkował. Usłyszała trzask drzwiczek, odgłos kroków na podjeździe, a zaraz potem na schodach. Ben otworzył drzwi od kuchni, wszedł do środka i stanął jak wryty w progu.

- Angie. Nie wiedziałem, że jesteś.

- Zostawiłam auto w garażu - odparła. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zrezygnowałyby z powrotu do domu, gdyby zobaczył jej wóz. Ben wcale się nie ucieszył na jej widok. Świadczył o tym wyraźnie jego ton. Angie zaczęła wyłamywać sobie palce.

- Coś nie w porządku? - zapytał ostrożnie.

Omam się nie roześmiała. Przecież nic nie było w porządku. Nie spuszczała z niego wzroku.

- Myślałem, że zachorowałaś - wyjaśnił szybko intencję swego pytania.

Potrząsnęła głową.

- Dougie wraca dopiero za dwie godziny - zauważył.

- Wiem.

Patrzył na nią z rezerwą, stojąc w progu, jakby nie wiedział, czy ma wyjść, czy zostać.

- Dlaczego to ja czuję się winna? - spytała, bo już nie mogła wytrzymać milczenia Bena i jego oskarżycielskiego spojrzenia. - Ty masz romans, a ja jestem winna. Absurd.

Jego wzrok mówił wyraźnie, że to nie absurd. Ona przecież pozbawiła go uroków małżeństwa, więc szukał pociechy u innej kobiety. Jeśli nawet postąpił źle, biorąc sobie kochankę, Angie popełniała błędy wcześniej.

Czuła ciężar w nogach, brzuchu, rękach i po raz pierwszy w życiu pomyślała, że paraliż ma jednak dobre strony, skoro uwalnia swoją ofiarę od konieczności udzielania wyjaśnień i w ogóle wszelkiej odpowiedzialności.

Wiedziała jednak, że jeśli ona nie zacznie działać, Ben na pewno nie uczyni nic, by rozwiązać problem. Zawsze polegał na niej i do tej pory nie widziała w tym nic złego. Teraz jednak wolałaby zostawić inicjatywę w jego rękach.

Wytresowała go świetnie. Czekał.

- Musimy porozmawiać - westchnęła w końcu.

- My? - zapytał. - Czy ty?

- Ty - odparła, wkładając w to słowo wszystkie negatywne uczucia, jakie żywiła do męża. Zranił ją tak boleśnie. Nic nie mogło usprawiedliwić zdrady. - Chcę, żebyś mi powiedział, co tu się właściwie dzieje - ciągnęła. - Niby żyjemy normalnie, ale to przecież farsa. Nasza rodzina się rozpada. Chodzimy wokół siebie na palcach. Nie patrzymy sobie w oczy. Nie ma między nami śladu porozumienia.

Miał kamienną twarz.

- Ben?

- A co mogę dodać? Wszystko już powiedziałaś. - Wzruszył ramionami.

Spazmatycznie wciągnęła powietrze. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Mąż nawet nie starał się jej pomóc.

- Proszę cię, Ben - zaczęła cicho, pokornie i nieśmiało. - Powiedz mi, co myślisz. Co tak szczerze myślisz? Nie chcę ci niczego wmawiać. Po prostu pytam. Nie wiem, co ci chodzi po głowie. Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. Nie wiem, co mam robić.

- To coś nowego - zauważył.

Spojrzała na swoje ręce.

- Zgoda. Należało mi się. - Odwróciła wzrok. - Ale zrozum, myślałam, że taka jest właśnie moja rola, żeby wiedzieć. I byłam z siebie dumna. A ty akceptowałeś wszystko. Nie sądziłam, że uwłaczam twojej godności. Może tak się czułeś, ale ja nie miałam absolutnie takiego zamiaru. Byłam po prostu sobą.

- Czyli chodzącą doskonałością.

Oglądała uważnie swoje dłonie. Musiał czuć do niej ogromną niechęć, bo ranił ją każdym wypowiedzianym zdaniem. Usiłując zachować resztki godności, zdobyła się na odpowiedź.

- Najwyraźniej daleko mi było do doskonałości, skoro przychodzi mi prowadzić tego rodzaju rozmowy. Ale ty musisz mówić, Ben. Powiedz, co z nami będzie. Powiedz, czego chcesz. Twierdzisz, że ja cię nigdy nie słucham. Chciałabym to zmienić, ale niczego nie usłyszę, jeśli ty się nie odezwiesz.

Włożył dłonie za pasek i myślał chwilę.

- Dobra. Musimy naradzić się w sprawie Douga. On jest zły na nas oboje. Nie sądzę, żeby rozmawiał ze mną częściej niż z tobą. Dziś rano telefonowała nauczycielka hiszpańskiego. Pytała, czy mamy jakieś kłopoty rodzinne.

- Jak się domyśliła? - zapytała Angie z przerażeniem. Przez chwilę miała wrażenie, że cały świat dowiedział się o jej problemach.

- Dostał pałę z klasówki. Pierwszy raz w życiu.

- Rzeczywiście - przyznała w poczuciu poniesionej klęski. Nie chodziło o stopień. Uczeń bez pały to jak żołnierz bez karabinu. Dougie mógł napisać tę klasówkę jeszcze raz, a poza tym i tak miał wysoką średnią. Problem polegał na tym, że napisalby sprawdzian o wiele lepiej, gdyby czuł się normalnie.

- Tak więc musimy z nim pogadać - zakończył Ben.

Jeszcze parę tygodni temu Angie przeprowadziłaby tę rozmowę bez jego pomocy. Ale Ben oskarżał ją o to, że zawsze chce kontrolować sytuację, a on odgrywa jedynie rolę pionka w tej grze.

- Co mu powiemy? - zapytała.

- Nie wiem - odparł, wzruszając ramionami.

Spuściła wzrok. Jeśli on nie wie, a jej nie wolno mu niczego narzucać, sytuacja stawała się patowa. Powstrzymała się jednak od komentarzy i popatrzyła na męża wyczekująco.

- Cała ta sprawa ma dwa aspekty - powiedział wreszcie po chwili, która trwała wieczność. - Pierwszy dotyczy naszych problemów, drugi jest związany wyłącznie z tym, że Dougie potrzebuje przestrzeni życiowej.

- One się łączą - powiedziała i pożałowała tego natychmiast, gdy usłyszała jego odpowiedź.

- Jak zwykle masz rację - rzekł kpiąco. - Ale przynajmniej jeden z nich można łatwo rozwiązać i dlatego sędzę, że powinniśmy pozwolić mu zamieszkać w bursie.

Potrząsnęła tylko głową. Buntowała się przeciwko temu pomysłowi całym sercem, ale milczała.

- Dlaczego nie? - zapytał Ben.

Uspokoila się.

- Bo jest za młody.

- Chodzi do ósmej klasy. W internacie w Mount Court mieszkają nawet siódmoklasiści.

- Skoro ma kłopoty z hiszpańskim, potrzebuje pomocy. - Angie знаła pobieżnie ten język i regularnie przepytowała syna ze słówek.

- Nie ma kłopotów, tylko dostał pałę z jednej klasówki - sprostował Ben. - W internacie na pewno otrzyma pomoc, biorąc pod uwagę czas, jaki muszą tam teraz poświęcać na naukę.

- Nie zniesie na dłuższą metę ciągłej obecności kolegów.

- Być może. Ale on ci powie, że woli to niż przebywanie tutaj. Ty ciosasz mu kolki na głowie, a ja pracuję. W dodatku Dougie jest jedynakiem. Byłoby inaczej, gdyby miał rodzeństwo.

- Umówiliśmy się, że wystarczy nam jedno dziecko.

- To ty się umawiałaś.

- Cholera jasna! Dlaczego się nie sprzeciwiłaś? Miej teraz pretensje wyłącznie do siebie.

- Cofnęła się myślą do czasów, gdy Dougie był jeszcze maleńki. Nigdy nawet nie rozmawiali o drugim dziecku. Zaplanowali wszystko tak, żeby Angie mogła wrócić do pracy.

Zaplanowali? A może to ona zaplanowała? Przyszła jej do głowy okropna myśl, że tego rodzaju decyzje należały wyłącznie do niej.

- Cóż - westchnęła, trochę już zbita z tropu. - Za późno teraz o tym mówić. Za późno jest również i na to, żeby przetranszować Dougiego do internatu. Semestr już się rozpoczął. Wątpię, czy zostanie przyjęty.

- Do Mount Court? - prychnął Ben. - Za odpowiednią opłatą przyjęliby nawet pawiana.

Angie miała wrażenie, że bawią się w przeciąganie liny - Dougie jest w środku, a ona i Ben szarpią przeciwległe końce sznura.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

- Oczywiście, że mam. Nawet całe mnóstwo. Ja też kocham naszego syna. Lubię, gdy jest przy mnie. Ale jemu tak bardzo na tym zależy.

- Zależy mu również i na tym, żeby dostać samochód na szesnaste urodziny, co wcale nie oznacza, że musimy mu go kupić.

- Naprawdę nie widzisz różnicy? Samochód to luksus. Mieszkanie w internacie w pewnym sensie również jest luksusem, ale mam nadzieję, że łączy się przynajmniej ze zdobyciem pożytecznych doświadczeń.

- Masz rację. Dzieci z bursy uczą się wielu wspaniałych rzeczy.

- Nie sądzisz, że prędzej czy później on się i tak wszystkiego dowie? Już teraz nie ma dla niego zbyt wielu tajemnic. Zdaje sobie sprawę, że niektóre papierosy wcale nie zawierają tytoniu. Rozumie, co to znaczy ćpun. Spróbuj być realistką. To inteligentny, normalny dzieciak. Będzie dyskutował na temat cycków koleżanek, niezależnie od tego, czy zamieszka w internacie, czy nie. A jak będzie mu potrzebna gumka, to nie będzie cię prosił o pomoc, tylko sam ją sobie kupi.

- On ma dopiero czternaście lat - zaprotestowała.

- To wcale nie znaczy, że będzie jej używał. Chłopcy najpierw rozmawiają długo na takie tematy, zanim zdecydują się na swój pierwszy raz. - Oparł dłoń z tyłu głowy, jakby chciał przytrzymać czaszkę. Angie nie widziała u niego tego gestu, odkąd sprowadzili się do Vermont i ekipa transportowa upuściła jego komputer. - Chryste Panie! Pomyśl o tym, dobrze? Wychowywałaś tego chłopca. Czternaście lat uczyłaś go uczciwości, zapobiegliwości i pracowitości. Te wartości tkwią w nim teraz bardzo głęboko. Nie zapomni o nich tak ni stąd, ni zowąd, chyba że wsadzisz go do klatki i zmusisz do ucieczki za wszelką cenę. Pozwól mu odetchnąć. Zaufaj mu.

- Tak jak ufałam tobie? - wybuchnęła.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Po raz pierwszy dostrzegła, że Ben czuje się winny.

- Naprawdę ci wierzyłam - powiedziała ciszej. - Wydawało mi się, że cenisz wierność. Nie przyszłoby mi do głowy, że możesz mieć romans. Po prostu nie przyszłoby mi to do głowy.

Pomasował dłońmi kark. Głośno wypuścił powietrze.

- Nie zrobiłem tego celowo. Tak po prostu wyszło.

- I trwało osiem lat? - krzyknęła. - Ben, bądź realistą. Gdybyś raz się z nią przespał, mogłabym uwierzyć, że to był przypadek. Ale ciągniesz tę znajomość już bardzo długo. Jesteś bystrym facetem. Wiesz, co się dzieje na świecie. Wielokrotnie opowiadałeś mi przy kolacji o ostatnich skandalach z udziałem członków rządu. Wspominałeś o korupcji, łapówkarstwie, czasem aferach miłosnych. Ileż to razy mówiłeś o facetach, którzy mają kogoś na boku! Nie zdawałeś sobie sprawy, że jesteś jednym z nich?

Odwrocił wzrok.

- Oczywiście, że tak.

- A wiedziałeś również, jakie to bolesne dla kobiety?

Choć nie miała zamiaru płakać, łzy same napłynęły jej do oczu, gdy poczuła na sobie jego wzrok. Otarła je natychmiast, żeby nie pomyślał, że to kolejna próba manipulacji, ale natychmiast pojawiły się nowe.

- Jak się poznaliście?

- To nieistotne.

- Chcę wiedzieć.

- Być może, ale ja nie mam ochoty się zwierzać.

- Bo to coś wyjątkowego, tak? Coś, co stanowi wyłącznie twoją własność, a ja próbowałabym przejąć nad tym kontrolę?

- Nie. Dlatego że nie powinienem być w ogóle nic mówić. Zdawałem sobie sprawę, że będziesz zaskoczona. Wiedziałem, że będziesz cierpieć. Wygadałem się, bo byłem na ciebie wściekły. Ale nie dlatego cię zdradzałem. Miałem wiele potrzeb, a ty ich nie dostrzegałaś.

Potrzeb, których nie udawało się jej zaspokoić. Po raz setny w tym tygodniu uświadomiła sobie, że nie potrafi stanąć na wysokości zadania, więc wywarło to już na niej mniejsze wrażenie niż wtedy, gdy za pierwszym razem doszła do tego wniosku. Okazało się, że nie jest niezastąpiona, i musiała się z tym pogodzić.

Ben oparł się o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami i wpatrywał w czubki butów.

- Często chodziłem do biblioteki, żeby przejrzeć prasę. Ona tam pracowała. Zaprzyjaźniłiśmy się.

- A kiedy doszło do czegoś więcej?

- Nie wiem. Czekala.

- Chyba po roku znajomości - powiedział w końcu.

- Robicie to u niej w domu?

- Angie, naprawdę...

- To ważne - powiedziała smutno. - Mieszkamy w małym mieście. Znam tu większość ludzi. Wielu z nich lecę. Ciekawa jestem, ilu z nich wie.

- No tak. Twój wizerunek mógłby ucierpieć.

- Nie tylko. Pozbawiłeś mnie całkowicie pewności siebie. Mówisz mi, że popełniałam same błędy. To samo twierdzi Dougie. Chcę wiedzieć, czy przynajmniej poza domem mogę udawać, że cokolwiek potrafię.

- Wiele rzeczy robisz świetnie. Nie dramatyzuj.

- Ja dramatyzuję? - Zerwała się z krzesła. - Jestem ostatnią osobą, która ma skłonności do dramatyzowania. Przez ostatnie parę dni zachowywałam się, jakby nic się nie stało. - Opadła z powrotem na krzesło. - Próbuję jakoś sobie z tym poradzić. A jeśli nawet zadaję ci niewygodne pytania, musisz mnie zrozumieć. Patrzysz na tę sprawę z zupełnie innego punktu widzenia. - Westchnęła. - Powiedz mi chociaż, czy ktoś oprócz mnie wie o waszym romansie.

- Nie. Byliśmy bardzo ostrożni.

- A teraz? Kiedy już nie musicie się przede mną ukrywać?

- Nie spałem z nią, odkąd się dowiedziałas.

- Ale rozmawiałeś?

- Jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Myślałam, że ja nią jestem.

- Kiedyś byłaś. Potem już nie miałaś dla mnie czasu. Traktowałaś mnie jak mebel. Stałem na swoim miejscu, od czasu do czasu musiałaś mnie odkurzyć, wytrzeć albo przesunąć na inne miejsce, żebym pasował do wystroju. Tylko na samym początku miałaś pewne kłopoty. Później przyzwyczajenie zrobiło swoje - prychnął ironicznie.

- Czy przechodzimy kryzys wieku średniego? - zapytała w nadziei, że odnalazła przyczynę. Wiedziała, że takie kłopoty szybko mijają.

- Nie, to znacznie poważniejsza sprawa.

- Rozstaniemy się? - spytała przez zaciśnięte zęby. Długo milczał. Wpatrywał się w podłogę ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie wiem - odparł w końcu cicho i ostrożnie. - Chcesz rozwodu?

Przynajmniej nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji, a bardzo się tego bała. Zaczęła drzeć.

- Nie, nie chcę. Lubię nasze małżeństwo.

- Tak samo jak nasze puchowe poduszki?

Znowu ta gorycz. Nie mogła się nadziwić, że potrafił tak długo ją tłumić. Albo też niczego nie ukrywał, tylko ona prostu była ślepa, co wciąż jej ostatnio wytykał.

- Bardzo się na mnie gniewasz.

- Tak, jestem wściekły, że nic do ciebie nie docierało. Jestem wściekły, że Dougie był zawsze dla ciebie ważniejszy. Jestem również wściekły dlatego, że w końcu musiałem cię zdradzić, żeby zaspokoić swoje potrzeby.

- Nie jestem potworem - powiedziała cicho. - Nie chciałam, żeby tak się stało. Gdybyś wcześniej porozmawiał ze mną naprawdę szczerze, tak jak teraz, zamiast robić niejasne aluzje, udałoby się nam tego wszystkiego uniknąć. Osiem lat to za długo, żeby cierpieć w milczeniu.

- Trudno. Ostatnia kropla przepełnia puchar.

- Więc co teraz zrobimy? Wrócili do punktu wyjścia.

On również uświadomił sobie, że kręcą się w kółko. Przygarbił się, jakby nie mógł dłużej udźwignąć tego balastu. Pamiętała, jak masowała mu barki i plecy, kiedy byli jeszcze młodzi, bardziej zależni od siebie i mocno związani uczuciem przyjaźni. Tuż po ślubie uwielbiała go dotykać. Potem robiła to coraz rzadziej, aż w końcu całkiem wypadli z rytmu.

Zaczęła się zastanawiać, czy te czasy mogą wrócić, a przede wszystkim - czy ona tego pragnie. Lecz zanim zdążyła to dokładnie przeanalizować, pojawiła się następna kwestia do rozważenia.

- Przede wszystkim pozwolimy Dougiemu zamieszkać w internacie. Na razie na próbę, z zastrzeżeniem, że będzie musiał wrócić do domu, jeśli cokolwiek zawali.

Angie toczyła z góry przegraną bitwę. Nie miała szansy wygrać z dwoma przeciwnikami.

- Trudno mi się z tym pogodzić.

- W takim razie pozwól mu mieszkać w bursie przez pięć dni w tygodniu. Na weekendy będzie wracał do domu.

Już lepiej. I tak fatalnie, ale jednak trochę lepiej.

- Czy jemu będzie odpowiadał taki układ?

- A ma jakiś inny wybór?

Taka decyzja miała również ujemne strony. Angie chciała właśnie je przedstawić, ale zawahała się. Zwykle, gdy zawodziła ją wiedza, polegała na intuicji. Okazało się jednak, że i na nią nie może liczyć. Siódmy zmysł nie podpowiedział jej bowiem niczego w związku z Marą, Benem i Dougiem.

- No? - spytał niecierpliwie Ben.

Potrząsnęła głową.

- Wolałbym, żebyś powiedziała, o co ci chodzi. Nie chcę później usłyszeć: „Wiedziałam, że tak będzie”.

A ona właśnie postanowiła, że zachowa się w ten sposób. Ben miał zamiar pozwolić Dougiemu zamieszkać w internacie, więc musiał wziąć za to odpowiedzialność.

Niestety, problem polegał na tym, że w grę wchodziło szczęście ich dziecka. Angie nigdy w życiu nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zaszkodzić synowi, i dlatego pomyślała, żeby Dougie zamieszkał w Mount Court, nie budził w niej entuzjazmu. Wysłuchiwała wprawdzie argumentów Bena i nawet niektóre z nich wydały się jej dość przekonujące, ale istniały również inne aspekty takiej decyzji.

- Chodzi mi o to - zaczęła z wahaniem - że jeśli pozwolimy mu zamieszkać w Mount Court akurat teraz, może sobie pomyśleć, że chcemy się go pozbyć z domu, bo albo mamy zamiar się kłócić, albo przeprowadzać rozwód. Z dala od nas będzie przeżywał wszystko jeszcze bardziej.

Ben myślał chwilę w milczeniu. Dawniej Angie na pewno przerwałaby tę ciszę jakimiś nowymi uwagami, ale tym razem nie odezwała się.

- Poradzi sobie, jeśli porozmawiamy z nim we właściwy sposób.

Czekała, żeby coś dodał, bo mogłoby to wiele wyjaśnić. Ale on patrzył na nią, jakby oczekiwał pomocy. Ona jednak nie zamierzała mu niczego sugerować.

- Możemy mu powiedzieć, że się zgodziliśmy, bo bardzo mu na tym zależało - zaproponował w końcu Ben, nie zahaczając nawet o sedno sprawy.

Angie milczała, ale widocznie wyraz jej twarzy mówił wystarczająco wiele, lub w nim też odezwało się sumienie, bo zdecydował się uzupełnić swoją wypowiedź.

- Możemy mu powiedzieć, że w każdy weekend będziemy czekali na niego w domu.

- A będziemy?

- Ja na pewno - odparł. - Nie mógłbym mu sprawić takiego zawodu.

Nie wyjaśnił, jak ma zamiar postąpić w sprawie ich małżeństwa.

- A ty? - spytał, ponieważ milczała.

- To mój dom. Nie mam dokąd pójść. Sądzę jednak, że nie dotarliśmy jeszcze do sedna sprawy.

Podniósł się i spojrzał na zegarek.

- Pojadę po niego, robi się późno. Ale porozmawiamy dopiero przy kolacji.

Wyszedł, a ona poczuła się bardziej osamotniona i udrczona niż kiedykolwiek.

Peter opuszczał Tavern w podobnym stanie ducha. Nie siedział długo w gospodzie - wypił tylko jedno piwo. Nie miał z kim rozmawiać i myślał jedynie o pozostawionych w ciemni zdjęciach.

Poprzedniego wieczoru poświęcił im wiele czasu. Nie udało mu się od razu znaleźć odpowiedniej kliszy, a przynajmniej miał tyle wątpliwości, że postanowił zrobić wszystkie odbitki. Potem przez cały dzień badał swoich małych pacjentów i rozmawiał z ich rodzicami na temat metod leczenia. Czuł się po prostu wspaniale, bo był pewien, że wreszcie udało mu się osiągnąć pożądaną efekt. Gdy jednak wrócił do domu, przekonał się, że żadne ze zdjęć nie spełnia jego oczekiwań. Na żadnym nie uchwycił tego uczucia, które tak bardzo pragnął uwiecznić. Żadne nie oddawało jej sprawiedliwości.

Piwo nie poprawiło mu nastroju. Wypad do Tavern uświadomił mu jedynie, że jest sam, a wszyscy inni mają kogoś do pary, jak również i to, że miałby towarzystwo, gdyby Lacey się na niego nie wściekła.

Z aparatem fotograficznym w ręku doszedł do końca przecznicy i skręcił w Main Street. Słońce chyliło się już ku zachodowi, głębokim cieniem spowijając budynki i sklepy. Peter sfotografował najpierw księgarnię, potem wydłużył obiektyw i uchwycił kościół stojący przy samym końcu ulicy, a następnie zdecydował się na panoramiczne ujęcie trzech przecznic, stanowiących centrum miasta. W promieniach zachodzącego słońca bursztyn wydawał się jeszcze bardziej złocisty, szyldy wyglądały tak, jakby naprawdę pochodziły z ubiegłego stulecia, a wystawy prezentowały się niezwykle oryginalnie.

Peter ustawił się przy pojemnikach na śmieci, na wprost pawilonu, w którym mieściła się apteka, magazyn oraz wypożyczalnia Reelsa z barkiem, którą miał właśnie zamiar sfotografować. Uczniowie z Mount Court byli w środku - widział ich przez okno. Niektórzy wybierali kasety, inni rozmawiali, a kilkoro stało z tyłu i piło wodę mineralną.

Dostrzegł wśród nich Julie Engel, która pochylała się nad kasetą. Przeczytała tytuł, odłożyła ją na półkę, po czym sięgnęła po następną. Peter przeszedł na drugą stronę ulicy, zatrzymał się obok zaparkowanych tam ukośnie samochodów i zrobił jej kilka zdjęć przez szybę. Zwykle Julie zaczesywała włosy do tyłu i w ogóle się nie malowała. Teraz wyglądała ślicznie - miała lśniące, puszyste loki i lekki makijaż, podkreślający głównie jej piękne oczy. Ubrana była aż za skromnie i przez to prowokująco.

Zobaczył, że odłącza się od kolegów i idzie w kierunku wyjścia. Dostrzegła go natychmiast. Uśmiechnęła się i pomachała mu na powitanie. Powiedziała coś do koleżanek, po czym wyszła na ulicę.

- Dzień dobry, doktorze.

- Co słychać, Julie?

- Na ogół nieźle.

- Wypożyczyłaś coś ciekawego?

- Nie. Wszystko, co tu mają, oglądałam przynajmniej ze trzy razy. Może się znudzić. -

Wskazała aparat. - Fotografuje pan coś konkretnego?

- Po prostu miasto - odparł, odwracając głowę w stronę ulicy. - Teraz jest dobre światło.

- Może zrobi mi pan parę zdjęć?

- Tobie?

- Moja macocha obchodzi urodziny w przyszłym tygodniu. Chciałabym jej wysłać coś naprawdę ładnego. Ona ma o mnie fatalną opinię, a pan upozowałby mnie na świętoszkę. - Zerknęła w kierunku kościoła, za którym był mały park. - Moglibyśmy pójść tam - dodała i pociągnęła go za rękę.

Peter poczuł lekki niepokój. Julie Engel była równie piękna, jak podstępna, jeśli historie, jakie o niej słyszał, zawierały bodaj ziarno prawdy. Nie miał żadnej gwarancji, że jej macocha rzeczywiście obchodzi urodziny w październiku, a poza tym nie wiedział nawet, czy Julie rzeczywiście ma macochę. Usłyszał nagle głos Mary, która ostrzegała go przed przebiegłymi młodymi kobietami.

Z drugiej strony jednak park położony był tuż przy kościele, więc na bezpiecznym poniekąd gruncie.

- Zostawisz swoich przyjaciół? - zapytał.

- Miną wieki, zanim wybiorą jakiś film i wypiją wodę, a później jeszcze zjedzą lody w tym sklepie po drugiej stronie. Nie możemy już kupować ich w szkole. Pan Perrine uważa, że mrożony jogurt jest zdrowszy. - Wzięła go pod rękę. - Straszny z niego nudziarz, prawda?

Peter oswobodził ramię. Tucker to małe miasto. Ludzie widzieli dosłownie wszystko, a wyobrażali sobie jeszcze więcej. Nie chciał, żeby ktoś wyciągnął fałszywe wnioski. Nigdy nie zadawał się z uczennicami i nie zamierzał zmieniać swoich zasad.

- Prawdę mówiąc - odparł - mam o nim bardzo dobrą opinię. Popieram wprowadzone przez niego zasady.

- Bo nie musi się pan do nich stosować. Nie musi pan wracać do sypialni o jedenastej w weekendy i o dziesiątej w dni powszednie, tak jak ja, chociaż mam osiemnaście lat i robię dyplom. Jakim prawem ten przybłęda tak mnie ogranicza?

Nie wierzył, że skończyła osiemnaście lat. Może siedemnaście. W najlepszym wypadku siedemnaście i pół. Ale na pewno nie była pełnoletnia.

Julie poszła przodem i oparła się o pień drzewa rosnącego na samym skraju. Słońce igrało w jej włosach i dodawało im blasku. Peter uniósł obiektyw i uchwycił tę pozę. Później zrobił jeszcze kilka ujęć pod innym kątem. Właśnie ustawiał ostrość, kiedy Julie weszła w głąb parku i przysiadła na długiej, drewnianej ławce. Z niewinną miną pozowała do zdjęć.

- Unieś podbródek. Świetnie. Doskonale. Kiedy są te urodziny?

- W listopadzie. Mamy masę czasu. Oczywiście zapłacę panu. Potraktujemy całą sprawę bardzo oficjalnie. - Zeskoczyła z ławki i wskazała rosnące nieopodal brzozy. Drzewa wyglądały zupełnie tak, jakby stały w płomieniach, bo wystające kawałki kory lśniły ognicie w blasku zachodzącego słońca.

Peter nie miał zamiaru brać od Julie pieniędzy za zdjęcia dla macochy, która obchodziła urodziny w październiku lub listopadzie. Wolał fotografować brzozy. Julie znalazła się poza obiektywem, ale nagle weszła mu w kadr. Kiedy zobaczył, co zrobiła, natychmiast opuścił aparat.

- Julie - zaczął ostrzegawczo.

- Tylko kilka - szepnęła, ściągając bluzkę. - Takie piękne światło!

- Ubierz się natychmiast.

Ale dziewczyna rzuciła już bluzkę na ziemię, a jeśli miała przedtem na sobie biustonosz, również zdążyła się go pozbyć.

Miała duże, sterczące piersi młodej kobiety, która jest już bliska osiągnięcia pełni piękna i doskonałości. Trudno było ocenić, czy ma osiemnaście, dwadzieścia jeden, czy dwadzieścia pięć lat. Ale Julie przecież chodziła jeszcze do szkoły, w której Grace pracował jako lekarz, więc mogła stać się przyczyną ogromnych kłopotów.

Ostentacyjnie przewiesił aparat przez ramię.

- Nie będę cię fotografował nago.

- Nie jestem naga - powiedziała, podchodząc nieco bliżej. - Mam jeszcze majtki.

- Ubierz się, Julie. Odprowadzę cię do przyjaciół. Potrząsnęła głową i jak osoba świadoma swojej przewagi odważnie wytrzymała jego wzrok.

- Niech mnie pan dotknie - szepnęła stając tuż przy nim.

- Mowy nie ma - mruknął Peter, kręcąc głową.

- Nie podobam się panu?

- Podobasz, ale jesteś moją pacjentką, a w dodatku dzieckiem.

- Nie jestem dzieckiem. Mam osiemnaście lat. A teraz, po śmierci doktor O'Neill, leczy mnie doktor Pfeiffer.

Po śmierci doktor O'Neill. Mara dostałaby szału, gdyby ich teraz zobaczyła. Koncentrując się całkowicie na tej myśli, zrobił kilka kroków w tył i podniósł z ziemi bluzkę Julie, ale ona nie zamierzała ustąpić.

- Jest pan najbardziej atrakcyjnym mężczyzną w mieście.

Zarzucił jej bluzkę na ramiona, ale rękawy były wywinięte na drugą stronę, więc najpierw musiał się z nimi uporać.

- Połowa dziewczyn w szkole kocha się w panu. - Dotknęła wargami jego brody.

Walczył z niesfornymi rękawami bluzki. Jeden był już po właściwej stronie, więc zaczął się nerwowo szarpać z drugim.

- Nie jestem dziewicą, jeśli o to panu chodzi. Mam już to za sobą.

- Daj mi spokój, Julie - powiedział stanowczo, wywijając drugi rękaw.

Chciał włożyć jej bluzkę, ale przez to znaleźli się niebezpiecznie blisko siebie. Dłonie dziewczyny powędrowały do jego paska. Potem niżej.

- Ma pan na mnie ochotę - szepnęła ze zwycięskim uśmiechem.

- Nie! - wrzasnął i cofnął się. - Nie - powtórzył ciszej i uniół ręce obronnym gestem. - Pochlebiasz mi. Jesteś naprawdę ładna. Ale do niczego między nami nie dojdzie. To niemożliwe.

- Ja wyczułam co innego - zakpiła.

- Wyczułaś różnicę między ciałem chłopca a ciałem mężczyzny. - Westchnął. - A poza tym - dodał surowo - wdarłaś się nieproszona w bardzo intymną sferę mego życia. - Oparł ręce na biodrach. - Teraz mogę się przespacerować z tobą po mieście, tak żeby wszyscy mogli podziwiać twój biust, ale jeśli niezupełnie o to ci chodziło, lepiej będzie, jeśli się zapniesz.

Posłusznie zapięła guziki, ale jej wzrok mówił wyraźnie, że wie, jak go podnieciła. W drodze do Reels uśmiechała się ironicznie, żeby Grace nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wreszcie pobiegła do przyjaciół, a Peter odetchnął z ulgą. Przez chwilę czuł się jak eunuch, ale to wrażenie szybko minęło. Już dawno zaspokoiłby zupełnie naturalny pociąg do

atrakcyjnych kobiet, gdyby Lacey nie zaczęła mu ciosać kołków na głowie. Właściwie powinien się na niej zemścić i postanowił to zrobić natychmiast.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił na parking przy Tavern. Wsiadł do auta i pojechał do Weeble.

Zatrzymał wóz przed garażem, wszedł na schodki prowadzące do mieszkania powyżej i zapukał. Usłyszał muzykę kapeli rockowej z Tucker. Zespół nazywał się Henderson Wheel i zdążył już wydać trzy złote płyty. Zapukał raz jeszcze, tym razem głośniej.

- Tak? - krzyknęła Lacey, przekrzykując muzykę.

- To ja, Peter - zawołał. Nie był wcale pewien, jak zostanie przyjęty. Nie rozmawiał z Lacey od czasu, gdy zostawił ją w Tavern z rachunkiem do zapłacenia.

Długo nie podchodziła do drzwi. W końcu stanęła w progu w długiej sukni i z bardzo oficjalną miną.

- Powinieneś był zatelefonować. Jestem zmęczona.

- Nie zostanę długo - odparł i wyminawszy Lacey, wszedł do mieszkania. Czekał, żeby zamknęła drzwi. Ale ona wciąż stała tyłem do niego z ręką na klamce. Jasne loki sięgały jej niemal do ponętnej linii bioder. Poczł nagłe napięcie w lędźwiach.

Podszedł do dziewczyny i zanurzył twarz w jej włosach, usiłując jednocześnie zamknąć drzwi.

- Przestań - zaprotestowała i chciała się odsunąć, ale przytulił ją jeszcze mocniej.

- Wiem, że jestem draniem - powiedział, uprzedzając jej wymówki. - Jest jednak coś, co powinniśmy dokończyć - dodał, pieszcząc jej piersi.

Jeszcze raz spróbowała oswobodzić się z jego uścisku

- Zostaw mnie.

Zaczekał, aż się odwróci, i przygniótł ją do drzwi. Jedną ręką przytrzymał jej twarz, a druga tymczasem wędrowała niżej.

- Lubisz to. Jestem pewien, że lubisz.

- Peter...

- Wiem, jak cię dotykać. - Jego ręka dotarła już do celu. - A teraz nie masz nawet majteczek. Spodziewałaś się, że przyjdę?

- Nie! - wrzasnęła, odpychając go mocniej. - Absolutnie nie! I nie życzę sobie...

Zamknął jej usta namiętym pocałunkiem, ani na chwilę nie przerywając pieszczot, ale choć przez sekundę miał wrażenie, że Lacey się podda, dziewczyna nagle odwróciła głowę.

- Nie masz prawa tak tu sobie przychodzić - dyszała. - Skąd wiesz, że tego chcę?

- Uwielbiasz mnie - odparł, rozchylając jej suknię i rozpinając rozporek.

Czuł, że jest silny, męski, twardy jak skała, gotowy wybuchnąć.

- Nie, cholera jasna, Peter, ja...

- Chcesz, przecież wiem, że chcesz - wymamrotał. Jego uścisk nie był już tak delikatny.

Tłamsząc wargami usta dziewczyny, wszedł w nią gwałtownie. Wydała z siebie okrzyk - bólu lub ulgi - nie wiedział. I nie chciał wiedzieć, bo rosnące w nim pożądanie było zbyt silne, zbyt samcze, zbyt porażające.

Miał wrażenie, że słyszy, jak Lacey uderza plecami o drzwi, które wydawały głuchy, klekoczący dźwięk. Ale wszystko działo się jakby poza nim. Czuł tylko ogromne, wciąż rosnące napięcie. Zacisnął zęby, wydał gardłowy okrzyk i wreszcie osiągnął orgazm, który zdawał się trwać w nieskończoność. Do jego świadomości dotarła jedynie zupełnie niewyobrażalna przyjemność, ogarniająca stopniowo całe ciało.

Wolno dochodził do siebie. Opierał się bezwładnie o Lacey i nie mógł złapać tchu. Dopiero po chwili wyczuł, że dziewczyna zeszywniała.

Odsunął się nieco - patrzyła na niego zimnymi jak lód oczami. Wyśliznęła się spod naporu jego ciała i zapięła suknię. Zacisnęła dłoń wokół stojącej na stoliku figurki i spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę, żebyś stąd natychmiast wyszedł.

Trzymała posążek w taki sposób, że wolał się nie ruszać. Zapiął suwak.

- O co ci chodzi?

- Nie chcę, żebyś tu był. Od początku nie chciałam, ale wdarłeś się siłą. Jesteś zwykłym chamem.

- Ach, tak. Wściekasz się, bo cię wtedy zostawiłem z tym rachunkiem.

- Nie chodzi o rachunek. Stać mnie, żeby zapłacić za piwo. Odszedłeś, kiedy zaczęłam cię krytykować. Nie wiedziałam, że masz takie kompleksy.

- Znowu zaczynasz się bawić w psychoanalizę...

Zaczęła kręcić głową, zanim jeszcze zdołał dokończyć kwestię.

- To nie psychoanaliza. Mówię zupełnie oczywiste rzeczy. Nie znosisz najmniejszej krytyki, a ja tracę w ten sposób poczucie bezpieczeństwa. Nie chcę się wiązać z takim facetem. Wbrew temu, co sądzisz, do niczego nie jesteś mi potrzebny. Za miesiąc wracam do Bostonu. Było miło, ale się skończyło.

Nie wiedział, czy ma potraktować ją poważnie. Nie wierzył, żeby Lacey znalazła sobie kogoś lepszego na te parę tygodni, jakie dzieliły ją od wyjazdu od domu.

- Jesteś zła, bo nie miałaś orgazmu?

- Posłuchaj mnie! - powiedziała z irytacją w głosie. - To koniec. Spędziliśmy ze sobą miłe chwile, ale mam cię dość. Nie przychodź tu więcej. Nawet nie próbuj, bo cię zaskarżę.

- Zaskarżysz? Z jakiego powodu? - Nie miał zamiaru znowu dać się zrobić. - Przecież cię nie zgwałciłem.

- Tylko dlatego, że wiesz, jaki guzik trzeba nacisnąć. Ale następnym razem nie dopuszczę cię do tych guzików. Zadzwońię po prostu po gliny. - Ścisnęła mocniej figurkę. - A teraz wyjdź.

Peter rzucił jej ostatnie, przeciągłe spojrzenie. Lacey była bardzo atrakcyjna, ale miał już lepsze kochanki. A poza tym wcale mu na niej nie zależało. Niech robi, co do niej należy i wraca do Bostonu. On doskonale się bez niej obejdzie.

Wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

- Twoja strata! - zawołał, zbiegając po schodach.

Trzaśnięcie drzwi zamknęło kolejny rozdział w historii jego romansów, ale zupełnie się tym nie przejął. Życie przed nim. Był wielką, ważną osobistością i cieszył się powszechnym szacunkiem. A kobiety uwielbiają takich mężczyzn. Na pewno nie groziła mu samotność.

Rozdział dwunasty

Noah nie sądził, że zrealizuje swój plan z taką łatwością. Pomysł zyskał aprobatę dlatego, że był dobry, a już z pewnością bezkonkurencyjny - w Mount Court bardzo długo nic się nie działo. Fakt, że ktoś zamierza zrobić coś zupełnie nowego, wzbudził natychmiastowy entuzjazm.

Rodzice wytypowanych przez niego uczniów nadesłali już pozwolenia faksem, a parę osób zatelefonowało nawet do szkoły, żeby wyrazić swoje poparcie dla tej idei.

Sprzęt dostarczył jeden z absolwentów Mount Court, który profesjonalnie zajmował się biegami na orientację. Najprawdopodobniej był ciekaw, co też z tego wyniknie, zważywszy na fakt, że uczniowie tej szkoły zapracowali sobie na fatalną opinię. Noah odnowił stare znajomości i poprosił o pomoc dwoje doświadczonych alpinistów. Młode małżeństwo o chętnie wyraziło zgodę, w zamian za tak im potrzebne, choć skromne wynagrodzenie.

Perrine długo zastanawiał się nad doborem uczestników wyprawy. Wreszcie zdecydował się na trzydziestu uczniów i czterech nauczycieli, sądząc, że właśnie oni najbardziej potrzebują tego rodzaju doświadczenia. Podzielił ich równo według płci i wieku. Umieścił wśród nich również Sarę, ponieważ spełniała wymagane kryteria, a także z paru innych względów. Wspólna wspinaczka stwarzała okazję współpracy. Między uczestnikami takich wypraw rodziły się specyficzne więzi i zaufanie. Uważał, że będzie to dla jego córki ważne wydarzenie. Pragnął również, żeby Sara przekonała się, że jej ojciec nie jest takim potworem, za jakiego wszyscy go uważają. Chciał się przed nią wykazać doświadczeniem, wiedzą i fantazją.

W wieczór poprzedzający wyprawę, zaprosił do siebie nauczycieli i wyjawiał im swój plan. Zgodnie z jego oczekiwaniami potraktowali pomysł z rezerwą. Cała czwórka była niezbyt życzliwie nastawiona do otoczenia, podobnie jak wytypowani przez niego uczniowie, co stanowiło jedną z przesłanek takiej, a nie innej selekcji.

- Katahdin? - spytał jeden z nich. - Czy to nie zbyt ambitny szlak jak na grupę, która nigdy dotąd nie chodziła po górach?

Drugi pokręcił głową. Był bardzo zmartwiony.

- Jeśli zgodnie z naszymi pierwotnymi założeniami mamy położyć nacisk na dyscyplinę i podwyższyć poziom nauczania, nie powinniśmy w żadnym wypadku odwoływać zajęć.

- Na liście uczestników są najbardziej niezdolni uczniowie. To duży błąd. Oni mogą zastrajkować w połowie drogi.

- Nie zastrajkują - odparł Noah. - Będą się bali odłączyć od grupy. Wyruszymy jutro po południu, zaraz po lekcjach. Podróż do Baxter State Park zabierze nam cztery godziny, więc dotrzemy do bazy akurat na kolację.

- A są tam jakieś przyzwoite restauracje?

- Nie. - Natychmiast wyprowadził ich z błędu. - Sami będziemy gotować.

- My?

- Wasza czwórka, przewodnicy, trzydzieścioro uczniów i ja. Wszyscy muszą pomóc, żeby zjeść. Przenocujemy w bazie, a na trasę wyruszymy przed świtem.

- Przed świtem - powtórzyli za nim jak echo, ale Noah nie zwrócił na to uwagi.

- Zabierzemy tylko niezbędne rzeczy. Jutro wieczorem przyjedzie po nas autokar. Będzie czekać po drugiej stronie góry. Stracimy w ten sposób tylko jeden dzień szkoły.

- A dlaczego nie możemy wybrać się tam w weekend? Nie przepadłyby nam lekcje.

- Bo nie chcę, żeby ktokolwiek potraktował tę wyprawę jak niedzielny piknik. To poważne przedsięwzięcie, stanowiące zresztą istotną część mojego programu. Jest tak samo ważne jak inne szkolne zajęcia.

- Droga powrotna zajmie nam cztery godziny, co oznacza, że wrócimy do internatu w środku nocy. Nie może pan wymagać od uczniów, żeby następnego dnia uczestniczyli w lekcjach. Będą strasznie niewyspani.

Tę kwestię poruszył Tony Philips - nauczyciel matematyki, trener drużyny piłkarskiej, były zawodnik, najbardziej leniwy członek ekipy. Noah wcale się nie zdziwił, że to akurat on martwi się o brak snu. I bynajmniej nie chodziło mu o uczniów.

- Dzieciaki potrafią się zmobilizować, jeśli chcą. Z piątku na sobotę mogą spać do woli.

- Przecież w piątki po południu są treningi, a w soboty rano zawody.

- Racja - przytaknął Noah. - Uczniowie będą narzekać i dlatego potrzebuję waszej pomocy. Musicie ich podtrzymywać na duchu. Ale wierzę, że mogą zdobyć Katahdin, a potem trenować i w dodatku mieć fantastyczne samopoczucie. Chodzi mi o to, żeby udało im się coś osiągnąć. O sukces.

Abbey Cooke, nauczycielka historii, chrząknęła znacząco.

- Ma pani jakieś wątpliwości? - zapytał Noah.

- Już nie - odparła.

- Odniosłem przeciwne wrażenie. Chciałaby pani coś powiedzieć?

- Właściwie tak - odparła po chwili wahania. - Ci uczniowie nie cenią takich wypraw. Wspinaczka ich nie obchodzi. Nie będą mieli poczucia sukcesu.

- Może nie, a może tak. Nie chcę rozbudzać w nich pasji alpinistycznej. Moim celem jest to, żeby udało im się czegoś dokonać. Chodziłem już w góry z różnymi ludźmi. Nawet ci najbardziej niechętni odnosili jakieś korzyści z takich wypraw.

Zapadła cisza.

- Jaka ma być pogoda? - zapytał ktoś po chwili.

- Jakaś. - Wzruszył ramionami.

Znowu milczeli chwilę.

- Kiedy oni się o tym dowiedzą?

- Na ostatniej lekcji nauczyciele poinformują ich o zebraniu w audytorium. Przyjdziemy tam wszyscy, powiemy im, co planujemy i co powinni przygotować. Będą mieli na to pół godziny. Rodzice już wyrazili zgodę. Mają państwo jeszcze jakieś pytania?

- Tylko jedno - powiedział Gordon McClennan, nauczyciel łaciny. - Czy możemy nie iść?

Noah pokręcił wolno głową. Gordon rozejrzył się bezradnie.

- Ale dlaczego akurat my?

Bo jesteście znudzeni i leniwi - myślał Perrine. Bo mógłbym się założyć o każde pieniądze, że nigdy w życiu nie robiliście niczego podobnego i jeszcze dlatego, że dajecie mi się ostro we znaki od chwili, kiedy zdecydowałem, się przyjąć tę niewdzięczną robotę. Poza tym potrzeba wam trochę ruchu.

- Bo akurat wy znajdziecie wspólny język z uczniami, których wybrałem - odparł dyplomatycznie. - Macie rację. Mogą wystąpić różne trudności. Te dzieci żyją w cieplarnianych warunkach. Nie są przyzwyczajone do uprawiania turystyki ani do pracy zespołowej. Wiem, że nie daliby sobie rady w szkole przetrwania i dlatego do pomocy zatrudniłem profesjonalistów. Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, ale mam nadzieję, że wszyscy postarają się zachować ostrożność i będą słuchać wskazówek, jakich będę udzielał ja i przewodnicy. Tak czy inaczej - trasa nie należy do łatwych. Nasze hasło to „wyzwanie” i taki jest sens wyprawy.

Tyleż samo powiedział zgromadzonym w audytorium uczniom. Byli absolutnie przerażeni i próbowali różnych wykrętów, aż w końcu Noah stracił cierpliwość.

- To obowiązkowa wyprawa - oświadczył. - Macie pół godziny na spakowanie rzeczy i dojdziecie do autokarów.

- A jeśli się nie stawimy? - spytał jeden z wybrańców.

Noah znał go bardzo dobrze. Chłopak złamał już tyle przepisów, że można by było co najmniej na miesiąc posadzić go karnie w świetlicy.

- To zabawne, że akurat ty o to pytasz - odparł Noah z uśmiechem. - Twoi rodzice zdecydowali, że jeśli nie zechcesz pójść z nami, masz przyjechać do domu. - Noah wiedział o konflikcie Briana z rodzicami i był przekonany, że chłopak z pewnością nie zechce ich odwiedzić. - Są jeszcze jakieś pytania? - spytał, tocząc wzrokiem po zebranych.

Wyruszyli pół godziny później. Noah siedział sam obok kierowcy. Dwa pozostałe miejsca z przodu były wolne, cztery za nim również. Wszyscy ulokowali się dalej i mieli bardzo ponure miny.

Dotarli do bazy zgodnie z planem. Tam spotkali się z przewodnikami, Jane i Steve'em. Noah uważał, że nastąpiło to we właściwym momencie, ponieważ nauczyciele traktowali całe przedsięwzięcie równie niechętnie jak uczniowie. Nie mieli też pojęcia o gotowaniu na kuchen-

ce turystycznej, a co dopiero o wykopaniu ubikacji i rozbiciu namiotu.

Uczestnicy wyprawy podzieleni zostali na grupy; w skład każdej z nich wchodziło pięciu uczniów i jedna osoba dorosła. Noah specjalnie rozparcelował przyjaciół, a także podżegaczy, po czym wydał wszystkim odpowiednie instrukcje. Narzekali, jęczeli, tłumili przekleństwa, a jednak zabrali się do roboty. Zrozumieli, że nie dostaną nic do jedzenia, dopóki go sami nie przygotują, a im bardziej się postarają, tym szybciej kolacja będzie gotowa.

Posiłek składał się z gulaszu z puszek, bułeczek upieczonych przez kucharza z Mount Court i ciepłego napoju jabłkowego. Wszyscy jedli, a Noah krążył wśród uczniów i odpowiadał na pytania albo wysłuchiwał skarg.

Najbardziej narzekały dziewczęta. Nie smakowało im jedzenie, bały się robactwa, nie wiedziały, jak poradzą sobie bez łazienki i marzyły o powrocie do szkoły, jakby Mount Court było rajem na ziemi. Chłopcy nie marudzili, ale udawali chojraków. Zachowywali się tak, jakby byli doświadczonymi turystami i nudziło ich całe to przedstawienie.

Noah przypisał Sarę do grupy najmniej kłopotliwych uczniów, ale nie starał się spędzać z nimi więcej czasu niż z innymi. Nie śmiał jednak pytać jej o cokolwiek, choć dałby wiele, żeby wiedzieć, jak się czuje i co myśli. Nie mógł jednak faworyzować własnej córki, bo mogłoby się to obrócić przeciwko niej.

Kiedy skończyli jeść, Perrine obszedł jeszcze raz wszystkie drużyny, żeby sprawdzić, czy naczynia są dobrze pozmywane, i przedstawił swoim wychowankom plan na następny dzień. Potem rozdał im płachty brezentowe i wyjaśnił, jak należy je porozwieszać na drzewach, a następnie sprawdził, czy prawidłowo wykonali jego instrukcje.

Koło północy zaczęło padać i przez parę godzin lało bez przerwy. Noah spał jak zajac, więc słyszał, że kilku uczniów zakradło się do jednej z ciężarówek, ale nie kazał im wyjść. Dzięki nim pozostali uczniowie mogli zyskać lepsze samopoczucie. W istocie tak się właśnie stało. Rano bowiem wszyscy kpili okrutnie z wygodnickich i Perrine byłby prawie zadowolony ze swoich podopiecznych, gdyby natychmiast potem nie zaczęli narzekać na upiorną porę wymarszu.

Przynajmniej przestało padać. Było jednak chłodno, choć powoli zaczynało się ocieplać. Na śniadanie zjedli jabłka oraz owsiankę i wypili gorącą czekoladę. Od czasu do czasu wybuchały sprzeczki, które Noah rozmyślnie ignorował. Później wyznaczył trasę, powiedział uczniom, z jaką szybkością mają iść, uprzedził, co może im sprawić szczególną trudność i jakich zasad muszą bezwzględnie przestrzegać. Zaraz potem ruszyli.

Wszyscy, którzy mieli na sobie podkoszulki i ciepłe majtki, zdjęli je natychmiast, gdy wyszło słońce, i albo upchnęli je w plecakach, albo obwiązali się nimi wokół talii. Szli wijącą się wzdłuż drzew drogą - sześć grup po pięciu uczniów plus jeden dorosły. Noah prowadził. W środku szła drużyna Jane, na końcu podopieczni Steve'a.

Noah wsłuchiwał się w odgłosy gór i kroki idących tuż za nim wychowanków, którzy wprawdzie nadażali za nim, ale posuwali się naprzód w całkowitym milczeniu. Chciałby uwierzyć, że kontemplują piękno przyrody, ale był realistą i wiedział, co naprawdę oznacza ta cisza.

Po dwóch godzinach łatwego spaceru doszli do Chimney Pond, gdzie czekała na nich świeża woda i strażnik parku krajobrazowego. Robiło się coraz chłodniej. Podkoszulki i ciepłe majtki wróciły do łask. Przegryźli coś, wypili wodę, uzupełnili zapasy w bidonach i powędrowali dalej.

Szli wzdłuż Cathedral Trail - tu drzewa przerzedzały się, a zaczynały dominować karłowate sosny. Noah włożył gruby, wełniany sweter. Inni natychmiast poszli w jego ślady.

- W tym miejscu Thoreau zawrócił ze szlaku! - krzyknął Perrine, żeby obudzić w nich ducha walki. - Zmęczył się i doszedł do wniosku, że nie zdoła zająć na szczyt.

Odpowiedziały mu pomruki i pochrząkiwania. Noah wyłapał zarówno negatywne, jak i pozytywne komentarze na temat wielkiego transcendentalisty, a więc nie mógł jeszcze wyciągnąć ostatecznych wniosków co do szans powodzenia swego planu.

Minęli linię drzew. Przed sobą mieli tylko nagie skały, a chmurzyło się coraz bardziej.

- Co będzie, jak zacznie padać? - spytała jedna ze stojących za nim dziewcząt, bardziej przestraszonym niż zirytowanym tonem.

- Mamy płachtę przeciwdeszczową. Nie zmokniemy.

- A nie będzie ślisko?

- Nie bardzo.

- Im bardziej, tym lepiej - zawołał jeden z chłopców. - Przynajmniej się rozerwiemy, bo jest strasznie nudno.

- Tu jest nudno? - spytał Noah i odwrócił się, żeby obejrzeć widok, który - mimo chmur - był z tego miejsca wyjątkowo piękny. Perrine wychował się na południowym zachodzie i uwielbiał wędrówki po opustoszałych górach. Wyobrażał sobie, że urodził się dwieście lat wcześniej.

Wzgórza były wtedy bardziej zielone, a świadomość dziejowa tak samo głęboka.

- Kiedy zobaczymy szczyt? - zapytała dziewczyna stojąca tuż przy nim.

Uczniowie powoli otaczali go kołem.

- Jest tam. - Wskazał im ręką kierunek. - Zaczekajcie. Chmury już się przesuwają. Widzicie?

- Tak daleko?!

- Zamarzniemy na śmierć.

- Nie damy rady.

- Ależ oczywiście, że damy - odparł. - Nasza góra jest bliżej, niż myślicie. - Zdjął plecak, żeby wyjąć z niego kurtkę.

- Nie dojdziemy. Nic nie widać w tych chmurach.

- Dojdziemy - powtórzył. Zobaczył, że zbliżają się do nich uczniowie z ostatniej grupy. Wśród nich była Sara. - Włóżcie jeszcze coś na siebie - zawołał. - Najpierw zrobi się zimno, a dopiero potem ciepło.

- To nic w porównaniu z pogodą, w jaką zwykle jeździmy na nartach - powiedział jeden z chłopców. Był kapitanem drużyny piłkarskiej i jedynym uczestnikiem wyprawy, który nadal miał na sobie tylko szorty.

Inni wyciągnęli już swetry z plecaków i ubierali się pośpiesznie. Noah odwołał chłopca na bok.

- Wiem, że bywałeś już w trudniejszych warunkach - powiedział tak cicho, żeby nikt poza Ryanem nie mógł go usłyszeć - ale tam na górze naprawdę może być piekielnie zimno. Jeśli zmarzniesz, będzie ci się trudno rozgrzać.

- Nic mi się nie stanie - odparł chłopak i wrócił do przyjaciół.

Noah włożył czapkę i wełniane rękawiczki. Spojrzał na resztę i stwierdził z ulgą, że większość zrobiła to samo. Sara również. Kiedy jego podopieczni byli już gotowi, poprowadził ich dalej.

Po godzinie uciążliwej wspinaczki zrobili postój. Zjedli krakersy z masłem orzechowym i ubrali się jeszcze cieplej. Noah usłyszał, że wybuchła sprzeczka, więc podążył w kierunku dyskutujących zawzięcie uczniów, ale zatrzymał się w połowie drogi. Ryan usiłował przekonać kolegów, że wcale nie jest zimno. Oni twierdzili, że jeśli zmarznie, będą musieli potem na niego czekać. W końcu Ryan włożył ciepłą bieliznę, a Noah ucieszył się podwójnie. Po pierwsze, nie chciał, żeby kierowany poczuciem fałszywej dumy chłopak skostniał, a po drugie, wśród uczniów zaczęło wreszcie funkcjonować poczucie solidarności.

Tym razem, gdy powędrowali dalej, grupa idąca z przodu starała się trzymać jak najbli-

żej Noaha. Bali się, a właśnie o to mu chodziło: bez strachu trudno później cieszyć się sukcesem, który był wszystkim tak potrzebny.

Zaczęło padać. Pojedyncze krople nie mogły wyrządzić zbyt wielu szkód, ale mimo kurtek przeciwdeszczowych czuli się zagrożeni i bezbronni. Szli jednak naprzód - szóstka za szóstką, usiłując - mimo zimna i deszczu - przedrzeć się przez opadającą mgłę i dojść na szczyt, którego na razie nie mogli nawet zobaczyć.

Noah wyczuł, że nie mogą się już doczekać. On zresztą też pragnął jak najszybciej znaleźć się u celu.

- Jesteście zmęczeni? - zapytał i stwierdził z satysfakcją, że kręcą przecząco głowami. Tak, bali się, ale zaszli już za daleko, żeby zawrócić. Upór i determinacja zrobiły swoje. Sapali, dyszeli, lecz mimo wszystko szli dalej.

Gdy rozpadało się na dobre, nauczyciele zaczęli narzekać, a nawet otwarcie przeklinać, ale zostali natychmiast uciszeni. Wszyscy skupili się wokół Noaha i parli naprzód, zalewani potokami wody, otuleni gęstą jak mleko mgłą. Wspinali się wciąż wyżej i wyżej, aż w końcu dotarli do miejsca, które nie różniło się specjalnie od mijanych dotychczas płaskowyżów.

- Jesteśmy - powiedział Noah. - To Knife Edge.

Zapadła kompletna cisza. Perrine odważył się zerknąć w tył i zobaczył śmiertelnie przerażone twarze stojących tuż za nim uczestników wyprawy. Nadeszli inni - wśród nich przewodnicy, którzy wielokrotnie pokonywali tę trasę. Ich jednak również ogarnął strach.

Knife Edge było wąskim na trzy metry, skalistym przejściem wiodącym na szczyt. Można je było pokonać tylko gęsiego. Po półtorakilometrowej wędrówce wychodziło się na szlak powrotny.

Noah wyczuwał lęk uczniów. On również trochę się bał i przez chwilę nawet zastanawiał się, czy przypadkiem nie popełnił błędu. I choć towarzyszyło mu dwóch licencjonowanych przewodników, to on jako dyrektor szkoły ponosił całkowitą odpowiedzialność za swoich wychowanków. A z Knife Edge spadali już bardziej doświadczeni turyści.

- Nie możemy tędy iść! - krzyknął czyjś zrozpaczony głos.

- Po drugiej stronie są tylko chmury - zawtórował mu drugi.

- Na pewno spadniemy! - jęknął trzeci.

- Nikt nie spadnie - oświadczył stanowczo Noah. - Byłem tu zimą i nawet wtedy wszyscy doszli bezpiecznie na górę. Jane, Steve! - zawołał. - Macie zamiar tu kogoś zgubić?

- Nie!

- W żadnym wypadku!
- To całkowicie bezpieczne przejście - dodał. - Trzeba tylko uważać.
- Ja nie pójdę.
- Ja też nie.
- Wracajmy.

Noah chciał rzucić im wyzwanie i najwyraźniej zrealizował swój plan. Otrząsnął z okularów krople deszczu.

- Nie możemy wrócić. Samochód będzie na nas czekał po drugiej stronie. - Włożył z powrotem szkła. - Słuchajcie - ciągnął spokojnie, ale na tyle głośno, żeby przekrzyczeć deszcz - nie ma powodu do obaw. Pójdziemy gęsiego, bardzo blisko siebie. Jeśli ktoś nie chce wspinać się w pojedynkę, może się trzymać kolegi. W porządku?

Zdawał sobie sprawę, że im dłużej będą tak stać, tym bardziej będą się denerwować. Zawołał Abbey Cooke.

- Pójdzie pani przodem ze swoją grupą. Za panią Steve i jego podopieczni.

Abbey z powątpiewaniem patrzyła na kamienistą ścieżkę, która wyglądała jak cieniutka, skalista wstążka opasująca kocioł z gotującą się mgłą. Noah miał świadomość, że niejeden amator wspinaczki poniósł tu śmierć, ponieważ ogarnęła go panika. Położył rękę na ramieniu kobiety.

- Kiedy już wejdziemy na szlak, wyda nam się szerszy. Idźcie wolno, miarowym krokiem. Zaraz zrobi się ciemno.

Nie chciał wywierać na niej presji, ale wiedział, że jeśli nie uda im się szybko pokonać Knife Edge, będą musieli schodzić w kompletnych ciemnościach, co dodatkowo utrudni sytuację.

Abbey bez słowa ruszyła przed siebie. Była blada jak ściana. Noah zegnał swoich wychowanków słowami otuchy i klepał ich po ramieniu na szczęście.

- Trzymajcie się środka i bądźcie spokojni. Gęsiego. Tak. Dobrze. Jak was strach obleci, możecie chwycić za kurtkę kolegi.

Sara szła w czołówce. Noah pomyślał, że właśnie tej drużynie będzie najłatwiej przejść Knife Edge i dać dobry przykład innym. Jeśli w ogóle ktoś miał stchórzyć, lepiej by było, gdyby zdarzyło się to w grupach idących na końcu, bo pozostałym nie udzieliłaby się ich panika.

W ślad za Abbey poszedł Steve i jego paczka, potem Gordon ze swoją piątką.

- Bliżej środka, Sherri - przypominał Noah. - Dobrze. Trzymajcie się. Właśnie tak.

Świetnie - chwalił.

W momencie, gdy w drogę wyruszała trzecia z kolei ekipa, Abbey i jej trzódka zniknęli już we mgle. Deszcz nie ustawał. Po obu stronach przejścia unosiła się mgła.

Czwarta drużyna szła za Jane wolno i niepewnie, jak leniwa gąsienica. Piąta obstępiała Noaha. Annie Miller zanosila się od płaczu.

- Uda ci się, zobaczysz. Jesteś tak samo sprawna fizycznie jak twoi koledzy - szepnął Perrine, obejmując dziewczynę.

- Nie widzę drogi.

- Widzisz. Tak ci się tylko wydaje. Przejście jest szersze, niż myślisz, a już na pewno szersze od ciebie - żartował. - Pamiętaj o tym i idź wolno, krok za krokiem. - Pociągnął Ryana za ramię. - Annie będzie cię trzymać za kurtkę. Musisz iść wolno i uważać. Rozumiesz?

Chłopak przytaknął, choć nie miał zbyt pewnej miny. Noah uściskał Annie.

- Będziemy tuż za tobą. Poradzisz sobie.

Annie ruszyła ostrożnie, ściskając kurtkę Ryana. Mamrotała coś pod nosem, ale brnęła naprzód.

- Trzymajcie się razem - polecił Noah. Został mu tylko Tony Philips ze swoją piątką. Jedna z dziewcząt siedziała na ziemi i najwyraźniej nie zamierzała wstać. Przyklęknął przy niej.

- Julie? Potrząsnęła tylko głową.

- Nie możemy tu zostać na zawsze - powiedział aż nazbyt boleśnie świadom deszczu, zimna i upływu czasu.

Przytaknęła ochoczo w odpowiedzi.

Inni przykucnęli przy niej - drżeli i ociekali wodą.

- Musimy iść, Julie.

- Jest strasznie zimno. Nie będziemy tak tu stać.

- Dasz sobie radę.

- Ja nie chciałam chodzić po górach. - Julie jęknęła.

- My też nie, ale skoro już tu jesteśmy...

- Nie możemy zawrócić.

- Doszliśmy na szczyt. Teraz będzie łatwiej.

- Nie jest wcale łatwo! - wrzasnęła Julie piskliwie. Była wyraźnie na granicy hysterii.

Noah doskonale wiedział, że niczego jej nie wytłumaczy. Dziewczyna musiała się sama przekonać, że nie będzie stąpać po cienkim lodzie. Objął ją w talii i zmusił do wstania. Inni cia-

sno otoczyli ich półkolem.

- Możesz się mnie trzymać - powiedział Mac, jedyny starszy chłopak z tej grupy. Został surowo ukarany za obraźliwe aluzje seksualne, na jakie sobie pozwolił w stosunku do jednej z nauczycielek, ale teraz wszystkim przydała się jego pewność siebie.

- Będę szedł tuż przed tobą.

- Nie mogę - zawyła.

- Ja też się boję! - krzyknęła jedna z dziewcząt - ale jak do tej pory nikomu nic się nie stało.

Julie cofnęła się i wpadła prosto na Noaha, który nawet się nie poruszył.

- Chodź - powiedział Mac, biorąc ją za rękę. Dziewczyna utkwiała między nim a Noahem i wreszcie udało się ją jakoś zaprowadzić na ścieżkę. Za Tonym Phillipsem poszedł Brian, potem Hope, Mac, a na końcu Julie i Marney która wcisnęła się na miejsce Noaha i objęła koleżankę w talii.

- Nie pozwolę ci spaść! - zawołała do dziewczyny. - Mam nadzieję, że pan z kolei będzie pilnował mnie - dodała natychmiast, odwracając się do Perrine'a.

- Na pewno - odparł. Szedł tuż za nią, żeby miała większe poczucie bezpieczeństwa. Krzyknął coś pogrzbijającego do Julie i jej kolegów. Usiłował wypatrzeć we mgle pozostałych, ale widoczność była bliska zeru.

Starał się odpędzić od siebie czarne myśli, ale na próżno. Nie dawały mu spokoju i przesładowały tak samo natrętnie, jak wyrzuty sumienia. Przeklinał siebie za brak umiejętności przewidywania. Jak mógł sądzić, że uda mu się bezpiecznie przejść tym szlakiem z tak liczną, niedoświadczoną i oporną grupą? Dwaj zawodowi przewodnicy nie gwarantowali wcale powodzenia przedsięwzięcia. Przeklinał tę górę, pogodę, a także Radę Powierniczą Mount Court, która powierzyła mu stanowisko dyrektora.

Przejście Knife Edge powinno było im zająć trzydzieści minut, a trwało trzy godziny. Warunki atmosferyczne narzucały żółwie tempo marszu, a ponadto stawali kilka razy, gdy niektórym uczestnikom wyprawy nerwy odmawiały posłuszeństwa. Jednak za każdym razem pomagali im koledzy i był to dla Noaha jedyny powód do radości, bo ogólnie czuł się strasznie.

Niebo pociemniało. Zapadał złowróżbny zmierzch.

- Możemy nieco przyspieszyć? - zawołał Noah, ale szybko ugryzł się w język. - Nie, nie. Świetnie sobie radzicie - mruknął.

Wędrowali w ulewnym deszczu, potykając się co krok.

- Bliżej środka! - krzyczał Noah za każdym razem, gdy ktoś znajdował się niebezpiecznie blisko krawędzi. Gdy wreszcie dotarli do miejsca, gdzie Knife Edge przechodził w łagodny płaskowyż, Perrine poczuł, że jest zlany zimnym potem.

Powitały ich szalone owacje i wiwaty. Potem były uściski - nawet on został wycalowany - i chóralne śmiechy. Choć przez chwilę, zanim zdołał pomyśleć o trudach powrotu, miał wrażenie, że było warto. Wszyscy byli zziębnięci, przemoknięci i zmęczeni, ale wystarczająco rozradowani, by włączyć go do swego wiwatującego grona. Jego wychowankowie po raz pierwszy w życiu zaznali smaku zwycięstwa.

Poczucie sukcesu dodawało im sił, nawet gdy zapadła już noc i wędrówka stała się wyjątkowo uciążliwa. Do autokaru dotarli dopiero koło północy - co chwila zatrzymywali się na odpoczynek, przekąskę lub żeby podnieść kogoś, kto przewrócił się w ciemnościach. O czwartej nad ranem auto wjechało pod łuk z kutego żelaza i stanęło na podjeździe pod internatem.

- Wyśpijcie się - nakazał Noah na pożegnanie.

Tym razem nikt wyjątkowo nie protestował.

Perrine dotarł do domu kompletnie wykończony, lecz nadmiar wrażeń nie pozwolił mu zasnąć. Stał przy oknie, pił gorące kakao i myślał, że chętnie opowiedziałby komuś, czego udało im się dokonać, choćby po to, żeby móc samemu łatwiej we wszystko uwierzyć. Ale nie było nikogo takiego i smutek wziął górę nad radością zwycięstwa. Tak więc, kiedy ledwo zaczęło świtać, Perrine włożył sportowe ubranie i ruszył do miasta.

Paige obudziły ciche dźwięki, dochodzące z monitora łączącego jej pokój z sypialnią Sami. Poszła więc na górę, żeby ją przewinąć, a potem zabrała dziewczynkę do siebie, podgrzała butelkę i usadowiła się na łóżku. Kicia dołączyła do towarzystwa i zwinęła się w kulkę obok nich.

- O tak - szeptała Paige. - Lepiej? - Jeszcze raz poprawiła poduszkę. Wiedziała, że już niedługo będzie musiała wstać, ale na razie rozkoszowała się ciepłem rozgrzanej pościeli. Ułożyła się wygodnie i patrzyła na pijącą mleko dziewczynkę. Trzymały razem butelkę, a Sami nie spuszczała wzroku ze swojej opiekunki.

- Smakuje ci? - spytała Paige z uśmiechem. - Na pewno. Widzę, ile już ubyło. - Mówiąc to dotknęła kciukiem brzuszka dziewczynki. Mała podkurczyła nóżki i wydała z siebie gulgo-czący odgłos, który Paige uznała za śmiech. Pocałowała dziecko w czubek noska.

Oparła się z powrotem o poduszkę i uderzyło ją piękno tej chwili. Przyzwyczała się już do ranków spędzanych z Sami - do tych kilku skradzionych chwil przed rozpoczęciem codzien-

nych zajęć. W domu panował spokój, a ciche odgłosy ssania i deszczu spadającego na liście drzew w ogrodzie potęgowały poczucie bezpieczeństwa. Wsłuchana w kojące dźwięki Paige poczuła, że ogarnia ją błogostan potęgowany przez ciepło łóżka, dziecięcego ciała i kociego futerka. Wiedziała jednak świetnie, jak bardzo ulotne jest to wrażenie. Sami i Kicia były jedynie gośćmi w jej życiu, a ich obecność stwarzała tylko iluzję spokoju. Teraz jednak Paige była szczęśliwa.

Usłyszała stuknięcie w szybę i pomyślała, że to gałąź rosnącego pod domem klonu. Nie zareagowała, ale stukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze. Spojrzała w okno i aż jej dech zaparło. Oparła Sami o poduszkę, wyszła z łóżka i podniosła okiennicę.

- Co tu robisz o tej porze? - spytała natarczywym szeptem. Nie chciała, żeby Jill zobaczyła Noaha, gdy zejdzie na dół.

- Biegam. - Nie mogł złapać tchu. - Przydarzyło mi się coś zupełnie niezwykłego i muszę ci o tym opowiedzieć.

Jego widok w tak skąnym, ściśle przylegającym do ciała odzieniu, był również czymś zupełnie niezwykłym.

- Jest wpół do siódmej - wykrztusiła.

- Czy mogę wejść?

- Nie! - Chciała owinać się szczelniej szlafrokiem, ale i tak czuła się, jakby była rozebrana. Sami zaczęła popłakiwać, więc natychmiast pospieszyła jej na ratunek. - Cicho, kochanie. To tylko Noah. - Usiadła na łóżku i włożyła butelkę do wyciągniętych rączek dziewczynki. Spojrzała w kierunku okna, gdy Perrine włąził właśnie do środka.

Jej protest był mocno spóźniony. Noah już skakał z parapetu.

- To mój poranek i moja sypialnia - powiedziała. Perrine zakłócał jej spokój.

Rozejrzał się, dostrzegł drzwi do łazienki i zniknął w środku. Wyłonił się po chwili, przecierając ręcznikiem okulary, twarz i szyję. Miał mocno umięśnione, lśniące od wilgoci ramiona.

- Wciąż pada - powiedział, choć było to zupełnie oczywiste. Wystarczyło popatrzeć na niego. - Ale stało się coś zupełnie niewiarygodnego. Zdobyliśmy szczyt. - Ściągnął koszulkę, rzucił ją na ziemię i wytarł się ręcznikiem. - W pewnym momencie myślałem, że popełniam duży błąd. Zbierało się na deszcz i nic nie było widać. Dzieciaki mało nie umarły ze strachu. - Zdjął szorty. - Naprawdę. Myślałem, że stanie się coś strasznego. - Zrzucił but i zaczął wycierać nogę. - Na przykład, że ktoś spadnie w przepaść. - Zręcznie pozbył się drugiego adidasa. -

Jednak wzięli się w garść. Byli bardzo solidarni. Nie wierzyłem, że nam się uda, ale w końcu wyszło na moje.

Odrzucił ręcznik, podszedł do łóżka i wśliznął się pod kołdrę.

- Boże! Umieram z zimna. - Westchnął i przytulił się do Paige. - I ze zmęczenia. Nie spałem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. - Zdjął okulary i przymknął oczy. - Chciałem tylko podzielić się z tobą moją radością.

Miała zamiar coś powiedzieć, ale nie pamiętała co. Widok nagiego Perrine'a pozbawił ją na chwilę zdolności myślenia, a potem już było za późno. Rysy jego twarzy złagodniały nagle, a pierś zaczęła się wznosić i opadać wolno i spokojnie. Noah zapadł w głęboki sen.

Przez chwilę nie wiedziała, co ma robić. Nie mogła pozwolić mu zostać, bo nie chciała, żeby Jill zobaczyła gołego faceta w jej łóżku. Być może dla Sami również nie był to odpowiedni widok, choć na razie dziewczynka nie dawała niczego po sobie poznać - piła spokojnie mleko, wydając te same urocze odgłosy ssania, które mieszały się z głębokim, spokojnym oddechem mężczyzny.

Kicia porzuciła piłeczkę i sprężyła się do skoku. Wylądowała tuż przy twarzy Noaha i obwąchała go ostrożnie, ale ten nawet się nie poruszył, więc kotka zaczęła bawić się prześcieradłem wystającym spod jego ramienia. Nawet wtedy nie zareagował.

Paige pomyślała nagle, że w tym ogromnym, przeznaczonym jak dotąd wyłącznie dla niej łóżku zrobiło się nagle dość tłoczno. Pocieszając się, że to przejściowy stan rzeczy, poczuła znajome ukłucie w żołądku. Zaczekała, aż Sami dokończy pić mleko, usadowiła ją w kojcu i uciekła do łazienki.

Wkrótce potem wyszła stamtąd rześka i odświeżona. Noah nie zmienił pozycji. Jego wilgotne włosy wydawały się ciemniejsze niż kiedykolwiek, tym bardziej że rozsypały się teraz na białej powłoczce poduszki. Paige patrzyła na ukryte pod kołdrą ręce i nogi mężczyzny i nie wiedziała, gdzie one się właściwie kończą. Perrine miał mocną, charakterystyczną dla biegacza budowę ciała, choć nie był tak chudy jak zawodowcy. Mimo że leżał na jej łóżku zupełnie bezprawnie, Paige musiała przyznać, że pościel ślicznie się na nim układa. Sami wciąż siedziała - zgodnie z przewidywaniami szybko opanowała tę sztukę - i wpatrywała się poważnie w małego wypchanego pieska, a tymczasem Kicia usiłowała dostać się do kojca. Wreszcie wgramoliła się do środka, a Sami wydała jakiś powitalny dźwięk i wyciągnęła do niej rączkę.

Paige patrzyła na nie z niemałą dumą. Choć wkrótce ktoś inny miał przejąć opiekę nad dziewczynką, Mara byłaby z niej zadowolona. Zdziałała naprawdę wiele i wcale nie było to

trudne. Sami nie sprawiała jej najmniejszych kłopotów. Jadła, świetnie spała, doskonale znosiła szczepienia i chętnie się gimnastykowała. Amebę udało się pokonać, dziecko miało dobrą opiekę, a przede wszystkim - było kochane.

Owinięta w wielki ręcznik Paige pochyliła się nad małą i pogłaskała ją po główce.

- To Kicia. Spróbuj powiedzieć Kicia. Kicia. Spójrz, jak śmiesznie się bawi. Ooo! Zabrała ci piłeczkę. - Paige sięgnęła po zabawkę. Ścisnęła ją tak, żeby pisnęła i oddała dziewczynce, która nie spuszczała z niej wzroku. - Proszę - powiedziała i potarła piłeczką o dłoń dziecka. Sami przypatrzyła się uważnie zabawce i położyła na niej rączkę. - Dobrze - pochwaliła Paige. - Mądra dziewczynka.

Wyprostowała się i zerknęła na Noaha, który umarł dla świata. Ubrała się więc, wysuszyła włosy i wyjęła Sami z kojca. Z piętra nie dochodziły żadne dźwięki, co oznaczało, że Jill jeszcze śpi. Było to zupełnie naturalne i Paige nie miała serca jej budzić.

Posadziła Sami na biodrze na wypadek, gdyby ogarnęły ją jakieś pokusy, i przyklękła przy łóżku.

- Noah! - zawołała. - Obudź się! Oddychał miarowo i nie reagował.

- Nie możesz tu spać. Mieszkam z dziećmi. Mogą przeżyć szok.

Sami nie sprawiała jednak wrażenia zaszokowanej. Przyglądała się Noahowi tak samo, jak patrzyła przed chwilą na wypchanego pieska - z ciekawością, ale dość obojętnie.

- Noah! - zawołała głośniejszą Paige. - Noah!

Wciągnął głęboko powietrze i przewrócił się na drugi bok.

Paige westchnęła z rezygnacją.

- W porządku - powiedziała wstając. - Teraz ja i Sami musimy zjeść śniadanie. Zaraz potem sobie pójdziesz.

Zamknęła pokój, zostawiając Kicię w środku.

- Niech trochę po nim poskacze. Może go obudzi - powiedziała do dziewczynki.

Ale nic takiego się nie stało. Dwadzieścia minut później Perrine spał tak samo głęboko jak przedtem. Tym razem Paige potrząsnęła go za ramię.

- Noah! Obudź się wreszcie.

Otworzył jedno oko, ale chyba jej nie poznał.

- Musisz wstać, Noah. Nie możesz tutaj spać. Jill zaraz wstanie, a poza tym czeka mnie wizyta tej kobiety z agencji adopcyjnej. Jeszcze by mi tego brakowało, żeby któraś cię tutaj zobaczyła.

Patrzył na nią uważnie.

- Paige? Przewróciła oczami.

Rozejrzył się ze zdziwieniem, potem zaczęła mu wracać pamięć. Jęknął cicho.

- Słuchaj - ciągnęła Paige i choć w połowie nie kłamała - chciałabym, żebyś tu spał, ale wybrałeś kiepski moment. Przestało już padać. Możesz wrócić do Mount Court.

Wpatrywał się w nią głupawo.

- Kiedy wstałaś?

- Już dość dawno.

- Ślicznie wyglądasz.

Nie chciała wysłuchiwać jego komplementów. To się mogło źle skończyć w sytuacji, gdy miała tyle innych rzeczy na głowie.

- Musisz iść.

- Mówiłem ci o wyprawie? - zapytał nie podnosząc głowy z poduszki.

- Tak. Cieszę się bardzo, że ci się udało, choć wczoraj połowa mojej drużyny opuściła trening. Co będzie z dyscypliną?

- Posłuchałem twojej rady i staram się być bardziej elastyczny. - Zmienił nieco pozycję. - Masz fantastyczne łóżko.

- Nie powinieneś tu leżeć.

- Miałaś okres? Przytaknęła.

- Dziękuję, że mnie zawiadomiłaś.

- Zaczęło się dopiero dziś rano.

- Ach tak. Cieszysz się?

- Bardzo. A ty nie?

- Pewnie. Dzieci należy planować. Wczoraj kupiłem całe pudełko prezerwatyw. Oczywiście zapomniałem je ze sobą zabrać, kiedy wyruszałem do miasta.

- To dobrze, bo nic się nie zdarzy - powiedziała, choć same jego słowa zrobiły na niej spore wrażenie. Coś się zaczynało dziać. Perrine nawet jej nie dotknął, a jednak odczuwała podniecenie, mimo bólu spowodowanego miesiączką. - Proszę cię, wyjdź, Noah. Muszę się zająć swoimi sprawami.

Wysunął rękę spod kołdry. Położył ją na chwilę na jaśku i w końcu wstał.

Paige cofnęła się. Najpierw chciała wyjść, potem doszła do wniosku, że musi zostać i pilnować, żeby się wreszcie ubrał. Nie spuszczała z niego wzroku. Wreszcie Noah włożył oku-

lary i przeczesał palcami włosy. Popatrzył na nią przeciągle.

- Co? - spytała niespokojnie.

Nic nie powiedział, zrobił tylko krok naprzód, ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta.

Dopiero gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi, pomyślała, że powinien był wyjść przez okno i przemknąć się między drzewami.

Godzinę później Paige siedziała w salonie z Sami na kolanach, a Joan Felix, przedstawicielka agencji adopcyjnej, przeglądała papiery.

- Zaświadczenie o dochodach, referencje, świadectwo zdrowia, życiorys, akt urodzenia - wszystko. - Uśmiechnęła się i spojrzała na Paige. - Oczywiście nikt nigdy nie wątpił, że może pani przejąć czasowo opiekę nad dziewczynką. Posiada pani aż za dużo kwalifikacji. Nawet nie muszę czytać tego wszystkiego - dodała, wskazując stertę papierów - żeby wiedzieć, że może pani zająć się nią dłużej. Jako matka zastępcza. Czy takie są pani intencje?

- Od początku mówiłam, że chcę zaopiekować się Sami, dopóki ktoś jej nie zaadoptuje. Nie powinna wciąż tulać się po różnych domach - odparła, przesuwając różnokolorowe plastikowe kluczyki na kółku. Dziewczynka nie spuszczała z niej wzroku.

- Czy będzie pani mogła uczęszczać na nasze spotkania?

Paige słyszała o tym od Mary. Co dwa tygodnie agencja organizowała specjalne kursy dla rodzin zastępczych i przysposabiających dzieci urodzone poza granicami Stanów.

- Oczywiście - odparła.

- Nie wiem, kiedy uda mi się znaleźć odpowiednią rodzinę.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Na pewno? - spytała Jane uprzejmie, lecz bez ogródek. - Biorąc pod uwagę pochodzenie Sami, nie będzie łatwo o miejsce dla niej, szczególnie w tak hermetycznym stanie, jakim niewątpliwie jest Vermont. Na razie nie udało mi się wyszukać nawet potencjalnych kandydatów. Oczywiście wciąż zgłaszają się nowi chętni, ale powinna pani w pełni zdawać sobie sprawę z sytuacji.

Paige patrzyła na Sami, która wyglądała wyjątkowo uroczo w biało-zielonym kombinezonie do zabawy i z dopasowaną do niego wstążką we włosach. Nie rozumiała, jak ktoś, kto pragnie dziecka, mógłby jej nie zaakceptować. Była przecież zdrowa, zrównoważona i bardzo inteligentna. Paige dostrzegała również oznaki budzących się w niej uczuć, jeśli przyjąć za dobrą monetę sposób, w jaki mała przywarła teraz do jej ramienia.

- A jeśli to potrwa rok albo dwa? - spytała Joan.

Rok albo dwa. Paige poczuła, że ogarnia ją niepokój. Bała się ze względu na dobro dziewczynki.

- Nie sądzi pani, że w miarę upływu czasu będzie coraz trudniej?

- I tak, i nie. Gdy Sami podrośnie, łatwiej jej będzie wyrzeć dobre wrażenie. Ludzie, którzy myślą o adopcji, znają statystyki. Mała omal nie postradała życia tuż po urodzeniu, potem mieszkała w jakiejś podejrzanej kryjówce, a następnie tułała się po sierocińcach. Makabra. Z biegiem lat to wspomnienie jakoś się zatrze. Poza tym Sami będzie już trochę zamerykani-zowana, a Vermontczycy lubią takie dzieci.

Paige tylko mruknęła coś w odpowiedzi.

- Kłopot polega na tym - ostrzegła Jane - że zaczniecie się coraz bardziej do siebie przy-wiązywać. Wszystkie rodziny zastępcze prędzej czy później stają przed tym problemem. Czy będzie pani w mogła się z nią rozstać, gdy nadejdzie pora?

- Myślę, że tak - odparła Paige, nie patrząc na Sami. - Mam tyle innych zajęć.

- Czy utrudniają one pani opiekę na dzieckiem?

- Nie. - Przytuliła mocniej dziewczynkę, rozkoszując się ciepłem i zapachem jej dziecię-czego ciała. - Zupełnie nie. Wszystko gra, a Sami robi postępy.

- To było dla mnie oczywiste - odparła Joan. Poprawiła się na krześle i przyjrzała się naj-pierw Paige, a potem Sami. - Nie chciałaby pani jej adoptować?

- Ja? Nie, nie mogę. Nigdy nie planowałam dzieci.

- Co nie znaczy, że nie byłaby pani cudowną matką.

Ale Paige miała wiele wątpliwości. Jej własna matka nie wywiązała się dobrze ze swojej roli i choć ona sama była na pewno większą domatorką niż Chloe, nie oznaczało to wcale, że kiedykolwiek marzyła wyłącznie o wychowywaniu dzieci. Lubiała wracać do domu, ale przez cały dzień zajmowały ją najróżniejsze problemy. Na razie pomagała jej Jill, ale ona sama miała wkrótce zostać matką. Wtedy będzie musiała zatrudnić inną nianię, co nie było w porządku wobec Sami. Dziecko potrzebowało prawdziwej matki z nieograniczoną ilością czasu.

- Cóż - westchnęła Joan, upychając papiery w torbie. - Proszę o tym pomyśleć. Przyjdę za tydzień i jeszcze sobie porozmawiamy. Oczywiście mam zamiar kontynuować poszukiwa-nia, jeśli na pewno pani tego chce.

- Tak będzie lepiej dla Sami.

Paige naprawdę tak uważała, a utwierdziła się w tym przekonaniu po rozmowie z Pete-rem, jaką przyszło jej odbyć następnego ranka.

Rozdział trzynasty

Co się dzieje? - spytała Paige. Usiadła przy biurku, postawiła przed sobą kawę i spojrzała na Petera z nieskrywaną ciekawością.

- Musimy porozmawiać - odparł, nie ruszając się od drzwi. Zerknął na Angie i skrzyżował ręce na piersiach. - Wszystko, co się tu dzieje, to absurd. Jestem zmęczony, Angie jest zmęczona, ty też jesteś zmęczona. Mieliśmy pozatwierać pewne sprawy, kiedy już dojdziemy do siebie po śmierci Mary, ale jak dotąd nie podjęliśmy żadnych działań w tym kierunku. Potrzebna nam pomoc. Czwarty lekarz.

Angie jęknęła, wyrażając jednocześnie uczucia Paige.

- Wiem, że to dla was trudne. - Przenosił wzrok z jednej na drugą. - Uważacie, że powinniście być lojalne w stosunku do Mary, ale ona nie żyje, do diabła! Leży tam na wzgórzu, zimna jak lód i nie wie, że my tymczasem zaharowujemy się na śmierć. O co wam chodzi?

Paige nie potrafiła ująć swych myśli w słowa.

- Rozumiem. Nie chcesz, żeby ktoś inny kręcił się po gabinecie Mary, ale sprzedałaś jej dom, prawda?

- Musiałam - odparła, próbując bronić swej decyzji, choć podjęła ją bardzo niechętnie. - W przeciwnym wypadku trzeba by było spłacić hipotekę za następny miesiąc, a pośredniczka właśnie znalazła kupca. - Paige bardzo polubiła nabywców. Oboje byli maklerami, zmęczyło ich życie w mieście i postanowili pracować w domu przy komputerze. Mieli dwoje dzieci i kochali ptaki. - Co wcale nie znaczy - dodała - że było mi łatwo. Cały czas uważam, że tylko ona powinna tam mieszkać.

- Ona nie żyje - warknął Peter. - Dlaczego nikt nie chce przyjąć tego do wiadomości? W przychodni pacjenci też bez przerwy się o nią dopytują, zupełnie jakby dostała kataru i zamierzała wrócić pod koniec tygodnia. Jeszcze gorzej jest w mieście.

- Wszyscy ją kochali - powiedziała Angie z zazdrością podszytą smutkiem.

Ciebie również kochają - pomyślała Paige. Chciała powiedzieć jej wszystko spojrzeniem, ale Angie wbiła wzrok w Petera, który był wyraźnie wściekły na swoje współniczki.

- Ona wcale tak nie uważała.

- Żartujesz? - spytał ostro Peter. - Ludzie lgnęli do niej jak muchy do miodu, a ona była zachwycona taką sytuacją.

- Posłuchajcie - odparła Paige. - „Wiele się tutaj dzieje, więc czasem mam wrażenie, że

to, co robię, ma jakiś głębszy sens, ale tak naprawdę wszyscy mają swoje życie, a ja jestem sama. Spotykam różnych ludzi. Zauważają mnie, rozmawiają ze mną, a czasem nawet mówią, jaka jestem wspaniała, ale potem wracają do własnych spraw i nawet o mnie nie myślą. Stanowią tylko przypadkowy element ich codzienności. Nasze losy splatają się zaledwie na jedną, krótką chwilę. Na tym kończą się wszystkie moje związki, pozbawione jakiegokolwiek głębi. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje".

- Mara naprawdę to napisała? - Angie nie mogła przyjść do siebie z wrażenia.

- Kiedy? - spytał Peter.

- Nie mogłam znaleźć dokładnej daty. To jeden z wielu listów. Żadnego z nich nigdy nie wysłała, ale wszystkie są zaadresowane do Lizzie Parks. Czy mówi wam coś to nazwisko?

- Nie - odparła Angie.

- Jeden z wielu listów? - upewnił się Peter. - Przeczytałaś wszystkie?

- Nie. To trudna lektura. Czytam po kawałeczku, inaczej nie dałabym rady. Ona naprawdę uważała, że ponosi same klęski.

- A co jeszcze pisała? - dopytywał się Peter.

- Bardzo wiele o rodzicach. Zawsze udawała, że się z nimi nie liczy, ale prawda wygląda zupełnie inaczej. Może przesadą byłoby twierdzić, że Mara popadła w obsesję na punkcie tych ludzi, ale na pewno często o nich myślała.

Peter podszedł do Paige, wziął od niej koperty i dokładnie je obejrzał.

- Dlaczego dopiero teraz nam powiedziałaś?

- Bo czułam się winna, że czytam jej listy. Wydawały mi się takie osobiste. A teraz w dodatku zdradziłam wam ich treść.

- Dlaczego?

Postąpiła impulsywnie i w zupełnie nie przemyślany sposób, ale niczego nie żałowała.

- Bo wszyscy jesteśmy spięci. Myślałam, że to nam pomoże. Łatwo jest uzalać się nad sobą i rozpamiętywać, ale my, w porównaniu z Marą, trzymamy się jednak całkiem nieźle. Związki pozbawione głębi! Tak właśnie napisała. Aż się wzdrygnęłam!

Peter rzucił list na biurko.

- Była niezrównowazona. Powtarzam to wam od paru tygodni. - Zerknął na Angie, potem na Paige. - Możemy zatem poszukać jakiegoś zastępstwa, czy też w dalszym ciągu będziemy tak siedzieć i rozpaczać?

Paige poczuła się głupio, słysząc w ten sposób postawioną kwestię.

- Myślę, że masz rację. Po co czekać? W końcu i tak będziemy musieli kogoś zatrudnić, więc chyba rzeczywiście należy się tym zająć natychmiast.

Pomyślała, że Peter będzie triumfować, ale on tymczasem zerknął pośpiesznie na zegarek.

- Muszę jechać do Montpellier na zebranie. Rozumiem, że mnie zastąpicie.

- Nie. - Angie wyprostowała się nagle. - To moje wolne popołudnie. Jakie znowu zebranie?

- Dyskusyjne. Na temat metod leczenia alergii.

- Przecież one odbywają się w poniedziałki.

- Na dziś ustaliliśmy dodatkowy termin.

- Ginny nic nam o tym nie mówiła.

- Więc narobiła bałaganu. - Podszedł do drzwi. - Dlatego potrzebny jest nam czwarty lekarz. Nie dajemy sobie rady. Możesz pomóc Paige, czy mam zostać?

- Pomogę - odparła.

Peter wyszedł, a Paige spojrzała na Angie, która wyglądała wyjątkowo mizernie nie tylko z powodu braku snu. Paige wiedziała, że Dougie mieszka teraz w internacie, więc Angie została sama z Benem, a raczej czekając na Bena, ponieważ jej mąż nie bywał ostatnio zbyt często w domu. Chodzili obok siebie na palcach i choć Paige gorąco namawiała przyjaciółkę, żeby postarała się z nim dogadać albo przynajmniej namówić go na wizytę u psychologa, Angie nie chciała słuchać żadnych rad. Ben zarzucał jej, że zawsze usiłowała kontrolować sytuację, więc teraz przyczaiła się i czekała, aż to on przejmie inicjatywę. Czekanie sprawiało jej ból; przypominało powolne umieranie.

Paige z kolei cierpiała, widząc, jak bardzo Angie się męczy. Chciała jej pomóc, ale nie wiedziała jak.

- Czy to zastępstwo jest dla ciebie kłopotliwe?

- Nie. Niczego nie planowałam. Ostatnio w ogóle nie wiem, co mam robić. Wydaje mi się, że potrzebuję czasu, żeby pomyśleć, a jak przychodzi co do czego, nie potrafię się skupić.

- Rozmawiałaś wczoraj z Dougiem?

- Oczywiście. Szykuje się jakiś bal, ale jeśli chcesz mnie zapytać, co to znaczy, z góry ci mówię, że nie wiem. Niewykluczone, że mój syn nie robi nic, co powinien robić, i wszystko, czym nie powinien się zajmować, ale jest szczęśliwy, bo udało mu się wreszcie ode mnie uwolnić.

- Uważam, że bierzesz to zbyt mocno do siebie.

- Być może. - Odsunęła skórę z paznokcia. - W każdym razie Ben jest o niego zupełnie spokojny. Uważa, że cokolwiek by robił, i tak wyjdzie mu to w końcu na dobre.

- W pewnym sensie ma rację. Zresztą gdybyś ty również tak nie uważała, nigdy nie pozwoliłabyś Dougiemu zamieszkać w bursie.

- Racja. Może i racja. - Opuściła ręce. - Sama już nie wiem. Przeraza mnie myśl, że Dougie może doznać krzywdy - czy to moralnej, czy fizycznej - ale z pewnością niektóre argumenty Bena mają sens. Byłam nadopiekuńcza. Teraz sama doszłam do takiego wniosku. Żałuję tylko, że nie udało nam się znaleźć jakiegoś kompromisowego wyjścia z sytuacji. Internat to takie drastyczne rozwiązanie. - Potarła dłonią o spódnicę. - Tak czy inaczej Dougie wraca na weekendy do domu i czasem bywa sobą. Może więc Ben ma słuszość. Może tylko ja jestem wszystkiemu winna.

Paige wiedziała, że na tym się skończy. Odeszła od biurka.

- Angie...

- Byłam złą matką.

- Bzdura. - Paige przycupnęła na krześle tuż przy niej. - Kompletna bzdura. Wychowałam wspaniałego syna. Nie wolno ci o tym zapomnieć. Przez te lata poznałyśmy wiele dzieci. Niektóre z nich popadały w poważne tarapaty, zawinione bezpośrednio przez ich rodziców. Pomyśl o Welkesach, Foggsach, Legerach. Oni rzeczywiście ponieśli klęskę wychowawczą. Ale ty przecież absolutnie nie jesteś do nich podobna, przysięgam ci. Doug nie ma kłopotów emocjonalnych ani tym bardziej skłonności samobójczych. Nie chodzi na wagary po to, żeby zabawiać się z koleżankami. Nie pije przed pomnikiem ofiar wojny. Nie kradnie dekli turystom. Jest normalnym chłopcem, który chce po prostu spędzać więcej czasu z przyjaciółmi. Możliwe, że gdyby Mount Court było daleko od domu, nigdy w życiu nie zdecydowałby się tam przenieść. Teraz i wilk jest syty, i owca cała. Doug nie mógł oprzeć się pokusie mieszkania w bursie, a jednocześnie ma rodziców pod bokiem. W ten sposób czerpie same korzyści z nowego układu. Sprytne z niego dziecko.

- Nie takie znowu dziecko - zadumała się Angie. - Muszę cały czas o tym pamiętać. Jak również i o tym, że mieszka w jednym pokoju z prymusem. Wiem, że trafił na świetnego wychowawcę, a ponadto sądzę, że gdyby nowy dyrektor miał jakieś zastrzeżenia co do warunków życia w internacie, nie zdecydowałby się w nim ulokować własnej córki. Wiedziałaś, że ona tam mieszka?

Paige sądziła, że powinna zachować tę informację w tajemnicy.

- Kto ci o tym powiedział?

- Marian Fowler. Jest jedną z nielicznych mieszkanek Tucker wchodzących w skład rady. Telefonowałam do niej, zanim Dougie przeniósł się do bursy. Wiedziałam, że opisze mi Mount Court w różowych kolorach, ale tego właśnie było mi trzeba. A Marian stwierdziła, że jeśli Perrine powierzył swoje własne dziecko opiece tej szkoły, ja również nie powinnam się wahać. - Urwała. - Słyszałam coś jeszcze na temat nowego dyrektora - dodała ostrożnie.

Paige uniosła brwi, w pełni rozumiejąc ciekawość przyjaciółki.

- Ktoś mi mówił, że wychodził kiedyś od ciebie wczesnym rankiem. Biegacie razem?

Powinien był wymknąć się przez okno. Paige wiedziała, że pewnego pięknego dnia wszystko się wyda.

- Nie. On trenował i po drodze wpadł na chwilę, żeby zamienić ze mną parę słów. Zaprzyjaźniliśmy się.

- Jak bardzo?

Paige wzruszyła ramionami na tyle obojętnie, na ile potrafiła. Nie wiedziała, jak opisać znajomość z Noahem. Nawet nie była pewna, czy powinna nazywać go przyjacielem, a już tym bardziej szefem czy kochankiem.

- To przystojny facet - kusila Angie.

Gdyby Paige zaprzeczyła, natychmiast obudziłaby podejrzzenia przyjaciółki. Tak więc nawet nie próbowała.

- Zgoda. Zauważyłam to od razu. Myślałam, że wszystkie dziewczyny z Mount Court będą się do niego zalecać. - Potrząsnęła głową. - Nic z tego. Nie mogą przystosować się do nowego regulaminu, ja zresztą również. On potrafi być surowy.

- Z punktu widzenia rodziców to ogromna zaleta - odparła Angie. - Dopiero po rozmowie z dyrektorem przestałam się tak martwić o Dougiego.

Paige wyobraziła sobie Noaha siedzącego przy biurku, rozmawiającego z Angie. Nic dziwnego, że ją uspokoił. Wyrażał się jasno, miał wspaniałe maniere i sprawiał wrażenie człowieka bezgranicznie oddanego swojemu posłannictwu. Biorąc pod uwagę fakt, że podpisał kontrakt tylko na rok, byłoby mu bardzo łatwo zachować status quo. A on tymczasem wybrał chodzenie po linie, decydując się na wprowadzenie tak surowych przepisów. Paige wprawdzie nie popierała wszystkich pomysłów Perrine'a, ale musiała uszanować jego odwagę.

Nie widziała go od chwili, gdy wyszedł z sypialni poprzedniego ranka. Natomiast często

pojawił się w jej myślach i - rzecz ciekawa - zawsze wtedy był nagi.

- Paige?

- Tak?

- Co oznacza to spojrzenie?

- Nic. Tak się po prostu zadumałam.

- Więc dostarczę ci jeszcze paru tematów do rozmyślań. Noah Perrine pracował ostatnio w prywatnej szkole na przedmieściach Tucson. Awansował ze stanowiska nauczyciela przedmiotów ścisłych do funkcji kierownika administracyjnego i miał właśnie zostać dyrektorem, kiedy nagle zrezygnował z posady. Zdaje się, że musiał wiele podróżować. Jego żona pochodziła z Nowego Jorku i od początku nie bardzo miała ochotę mieszkać na takim pustkowiu, a straciła ją zupełnie, kiedy on nagle zaczął znikać. Uważała, że mąż ją zaniedbuje i obarcza całkowitą odpowiedzialnością za wychowanie córki. Nawiązała bliską znajomość z jednym z nauczycieli z tej szkoły. Kiedy Noah wrócił ze swojej ostatniej eskapady, wszyscy już wiedzieli, co się święci.

Paige poczuła, że ściska się jej serce.

- To okropne.

- Szkoła była niewielka, zatem wieść szybko się po niej rozniosła. Noah zrozumiał, że nigdy nie zostanie dyrektorem tej placówki, i natychmiast wyjechał.

- Musiał się czuć strasznie upokorzony. - Paige od razu stanęła w jego obronie. Nie uciekłby tylko dlatego, że stracił szanse na wymarzoną posadę. Nie miał chorych ambicji. W tak małym środowisku tego rodzaju sytuacje są szczególnie trudne do zniesienia.

- Jego żona wkrótce potem wyjechała ze swoim kochankiem - ciągnęła Angie spokojnie. - Przeprowadzili się do San Francisco, tam wzięli ślub, a potem weszli w skład elity akademickiej. W zeszłym roku nastąpił krach.

Ach, to tak. Prawdopodobnie dlatego Sara nie mogła porozumieć się z matką. Paige odnosiła zawsze wrażenie, że ta dziewczyna cierpi, choć niejeden mógłby posądzić ją o złe intencje. Jeśli jej dom zadrżał w posadach - a Sara winiła o to matkę - i ponadto straciła przybranego ojca, którego nazwiskiem posługiwała się przez te wszystkie lata, nic dziwnego, że usiłowała ułożyć sobie życie z pomocą Noaha.

Oczywiście nie wyjaśniało to jej zaledwie sporadycznych kontaktów z ojcem, ani też powodów, dla których nie istniały między nimi silne związki emocjonalne.

Angie była wyraźnie przybita.

- Coraz częściej tak się zdarza. Rodzice się rozwodzą, a dzieci cierpią. Bardzo mnie to martwi.

- Chodzi ci o Dougiego?

- Ciekawa jestem, co on o tym wszystkim myśli.

- A ty? Co ty myślisz? - zapytała Paige przekrzykując dzwonek telefonu. Wcisnęła guzik interkomu. - Słucham cię, Ginny.

- Przed gabinetami czeka tłum ludzi.

- Zaraz przyjdę. - Odwiesiła słuchawkę i spojrzała na Angie wyczekująco.

- Prawie w ogóle nie myślę - odparła niechętnie Angie i wstała. - Próbuję jakoś przeżyć kolejny dzień.

- Ale jeśli porozmawiasz z Benem...

- Jeśli z nim porozmawiam, mogę usłyszeć coś, czego wcale nie chcę słuchać.

Paige stała tuż za nią, przytrzymując drzwi.

- Na przykład co?

- Że bez Dougiego nic nie ma sensu. Że rozeszliśmy się w przeciwnych kierunkach. Że chce rozwodu. Że ją kocha.

Paige chciała zaprzeczyć tym wszystkim bolesnym domysłom, ale nie była wyrocznią ani w sprawie Bena, ani też żadnego innego mężczyzny, szczególnie że w grę wchodziły sprawy sercowe. Nie chciała tylko, żeby klęska małżeństwa Angie prześladowała ją tak samo jak śmierć Mary.

- A więc nic nie mówisz, bo masz nadzieję, że problem dzięki temu zniknie. Ale się mylisz. Na jakiś czas stanie się tylko mniej wyraźny, ale jeśli istnieje, to istnieje i już. Możesz go jedynie przez jakiś czas nie zauważać. Porozmawiaj z Benem. Musisz się z nim dogadać.

- Wiem - jęknęła Angie. - Wiem. - Wyprostowała plecy, przybierając profesjonalną pozę. - Idę do pracy.

- Zdecydujesz się zacząć temat?

- Pomyślę.

- Proszę cię. Kiedy to zrobisz?

Wzrok Angie mówił wyraźnie, że powzięła już decyzję. W milczeniu otworzyła drzwi i wyszła z gabinetu.

Paige i Angie przyjęły wszystkich umówionych pacjentów. Między porannym szczytem i przerwą na lunch zbadały nawet kilkoro dzieci, które nie były zapisane na wizytę. Paige, jak

często się jej zdarzało, poświęciła masę czasu ostatniemu malcowi, więc w końcu zostało jej tylko dziesięć minut na zjedzenie kanapki z tuńczykiem i telefon do Jill. Potem pracowała bez przerwy do trzeciej - o tej porze miała wpaść do domu po Sami i pojechać z nią do Mount Court, Jill poprosiła o wolne popołudnie, ponieważ obiecała, że pomoże zorganizować przyjęcie urodzinowe swojej przyjaciółki. Paige chętnie się zgodziła, gdyż uważała, że dziewczyna powinna spędzać więcej czasu z rówieśnikami. Ona zaś bardzo lubiła zajmować się Sami i zabierała ją wszędzie, gdzie mogła.

Tuż po drugiej zatelefonowała Jill. Nie mogła złapać tchu ze zdenerwowania.

- Byłam z Sami na długim spacerze, tak jak się umówiliśmy, a kiedy wróciłam, zobaczyłam, że tylne drzwi są otwarte. Ktoś dostał się do domu i przeszukał pani rzeczy.

Paige poczuła nagły skurcz żołądka.

- Włamanie?

- Nie zamknęłam drzwi na klucz. Ale na pewno były zatrzaśnięte. Pamiętam o tym zawsze ze względu na Kicię. A teraz nie mogę się jej dowołać.

- Jak się czuje Sami?

- Wszystko w porządku.

- Gdzie jesteś?

- U sąsiadów. Nie wiem, co robić.

Paige przycisnęła palcami skronie i próbowała zebrać myśli. Serce waliło jej jak młotem.

- Nic nie rób, Jill. Zostań tam, gdzie jesteś. A już w żadnym wypadku nie wchodź do domu, dopóki się nie pojawię. Zadzwońię do Normana Fincha i umówię się z nim na miejscu.

Na szczęście wrócił Peter i mógł ją zastąpić. Paige zatelefonowała jeszcze tylko do Mount Court, żeby odwołać trening, i natychmiast ruszyła w drogę, usiłując za wszelką cenę pokroić szalejącą wyobraźnię. Nic podobnego nigdy się jej nie przytrafiło - ani w dzieciństwie, gdy mieszkała na lubianym przez włamywaczy przedmieściu, ani też w latach szkolnych. Nie sądziła, że coś tak nieprzyjemnego może ją spotkać w maleńkim, przyjaznym i prawomyślnym Tucker.

A jednak - miała nieproszonego gościa. Ktoś powyciągał szuflady, wygarnął książki z półek i porzrzucał wszystkie papiery. Ubranie leżało w garderobie na podłodze i wyglądało tak, jakby samo spadło z wieszaków, ale włamanie pozostawało włamaniem. Jedyne szafa z lekarstwami pozostała nietknięta, z czego wynikało jasno, że nikt nie szukał u niej narkotyków.

Właściwie nic nie zginęło - nic oprócz Kici, która przepadła bez wieści. Norman i jego

zastępca zbierali odciski palców, a Paige tymczasem pobiegła do państwa Corkell. Chwyliła Sami w ramiona, a gdy już zaniósła dziewczynkę do domu, natychmiast rozpoczęła poszukiwania.

- Kiciu, Kiciu! - wołała, chodząc od pokoju do pokoju. - Gdzie jesteś?

Potem obeszła cały dom jeszcze raz, potrząsając torebką z przysmakami kotki, co dotychczas zawsze zdawało egzamin, gdy chciała wywabić zwierzątko z kryjówki. Ale Kicia nie wyszła i Paige przestraszyła się na dobre.

Wróciła do holu i zobaczyła, że Norman rozmawia z Noahem Perrine'em.

- Słyszałem, że odwołałeś trening - powiedział Noah, jakby chciał w ten sposób usprawiedliwić swoją obecność, ale Paige myślała teraz wyłącznie o jednym.

- Nie mogę znaleźć Kici. Prawdopodobnie wybiegła z domu, kiedy drzwi były otwarte. - Minęła obu mężczyzn i wyszła na ganek. - Kiciu? Chodź tu! - zawołała, po czym zbiegła na dół i zaczęła przeszukiwać ogród. Szukała pod krzakami, zaglądała pod wszystkie drzewa i w okienka piwnic.

- Gdzie jesteś? Kiciu, kicikikiki!

Noah przyłączył się do niej w okolicach garażu.

- Nie widzę jej tutaj.

Paige była bliska łez.

- To przecież niemowlę. Ona jeszcze nigdy nie była sama na dworze. Nie potrafi się obronić przed żadnym zwierzęciem, a jeśli zabrnije za daleko, z pewnością nie będzie umiała trafić do domu.

Z Sami na rękę poszła na podwórze sąsiadów i przy pomocy Jill i Betty Corkell przeszukała je dokładnie. Potem wszystkie razem wyszły na ulicę. Kiedy Paige wróciła do domu, czuła, że ma obolałe ręce. Osunęła się na schodki, posadziła Sami na najniższym stopniu, przytrzymując ją między nogami, i ukryła twarz w dłoniach. Nie musiała nawet odwracać głowy, żeby się domyślić, że usiadł przy niej Noah - obecność tego mężczyzny była prawie namacalna. A potem on zaczął masować jej ramiona. Czynił to isticie po mistrzowsku. Silne, zręczne dłonie znajdowały bezbłędnie najbardziej bolące miejsca.

- Na pewno się znajdzie. Nie mogła odejść daleko.

- Ale nie ma obróżki. Kicia jest u mnie od niedawna i szukałam dla niej właściciela, a ponieważ całe dni przebywała w domu, nie zawiesiłam jej na szyi tabliczki z adresem. Teraz nikt nie będzie wiedział, komu powinien ją zwrócić.

- Może ktoś ją znajdzie i zatrzyma. Przecież chciałaś ją oddać.

- Nie! - Przeszyła go spojrzeniem. - Chcę sama znaleźć dla niej dom. Odpowiedni dom, a nie jakieś przypadkowe miejsce. Wiesz, co ludzie robią z kotami, które przygarniają pod wpływem chwili?

- Dlaczego zakładasz najgorsze?

- Już raz została porzucona. Teraz błąka się gdzieś i myśli, że znowu ją spotkał ten sam los. Wtedy była tak przeraźliwie smutna. Jest już wprawdzie troszkę starsza, ale tak samo bezradna.

- Koty nie są bezradne. Potrafią o siebie zadbać.

- Ona jeszcze nie zdążyła się tego nauczyć.

- Ma instynkt.

- To jest jeszcze kocie dziecko - powiedziała Paige i oparła głowę na rękach. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się głupio, a z drugiej strony czuła, że ogarnia ją rozpacz. - Wywieś ogłoszenia. Ktoś z pewnością ją widział.

Oczywiście przy założeniu, że włamywacz nie zabrał jej do samochodu i nie wywiózł Bóg wie gdzie.

Noah ani na chwilę nie przerwał masażu. Po kilku minutach, z jedną ręką wciąż na ramieniu Paige, zsunął się o jeden stopień niżej.

- Cześć - szepnął, patrząc uważnie na dziewczynkę. - Rośnie - dodał. - I na szczęście nie przeszkadza jej to całe zamieszanie.

Paige posadziła sobie Sami na kolanach. Maleńka nie należała do niej bardziej niż Kicia, ale troska o to dziecko stała się jej wyłącznym udziałem.

- Dzięki Bogu, że Jill wyszła z Sami na spacer. - Z emocji czuła ucisk w gardle i z trudem wydobywała z siebie słowa. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś im się stało.

- Domyślasz się, kto to mógł być? - spytał Noah.

Potrząsnęła głową.

- Nic nie zginęło?

- Wydaje mi się, że nie. Wszystko jest na miejscu: telewizor, stereo, odtwarzacz kompaktowy. Srebra moich rodziców również, choć na czarnym rynku można za nie otrzymać dobrą cenę.

- A nie przechowujesz w domu kartoteki pacjentów, czy innych poufnych materiałów, które mogły się komuś przydać?

- Nie.

- W takim razie należy wykluczyć motyw rabunkowy w tradycyjnie rozumianym sensie tego słowa. Ktoś prawdopodobnie próbował ukraść ci spokój. Czy masz wrogów? Takich, którzy chcieliby cię nastraszyć?

- Wrogów? W Tucker?

- Na przykład rodziców jakiegoś dziecka, którego nie udało ci się wyleczyć? Nie ma wśród nich kogoś niezrównoważonego umysłowo?

- Nawet jeśli tak, nie sądzę, żeby ci ludzie mogli się posunąć do tego rodzaju działań. Lekarze z małych miasteczek są w pewnym sensie pod ochroną. Można się czasem z nimi nie zgadzać, ale nie należy ich wysyłać do diabła, bo potem w ogóle nie ma kogo prosić o pomoc. - Wstała nagle i zeszła po schodkach na podwórko. - Kiciu? - Spojrzała na Noaha. - Wydawało mi się, że coś słyszałam. - Odsunęła gałązkę rododendrona. - Kiciu? - Odpowiedziała jej cisza i brak jakichkolwiek oznak życia.

Zniechęcona, wróciła na schodki. Oparła się ciężko o drewnianą poręcz i zajrzała do środka - Norman pisał coś zawzięcie w notesie. Nagle Paige poczuła przyływ mdłości.

- Dobrze się czujesz? - spytał Norman.

- Chyba tak. Wyobraziłam sobie tylko, że jakiś intruz dotyka moich rzeczy. Wdarł się tu przemocą. Pogwałcił moją prywatność.

Natychmiast potem pomyślała o Kici. Wyobraziła sobie, że okaleczone zwierzątko miauczy żałośnie, traci powoli siły i za chwilę umrze.

Noah zszedł ze schodków i zaczął przetrząsać teren wokół rododendronów.

- Nie ma jej tam - powiedziała Paige. - Będę musiała porozwieszać ogłoszenia w sąsiedztwie.

Ale on podszedł do następnego krzaka i przyklęknął. Gdy się wyprostował, na twarzy miał szeroki uśmiech, a w ręku kotka.

Paige odczuła natychmiastową ulgę. Rozradowana, wzięła Kicię od Noaha i zbliżyła ją do Sami. Wtuliła twarz w ciepłe, mięciutkie futerko zwierzątka, któremu na szczęście nic się nie stało.

- Tak się o ciebie martwiłam - szepnęła. Nie mogła sobie wyobrazić, że Kicia już nie śpi w nogach jej łóżka.

- Paige? - zawołał Norman. - Nie znalazłem żadnych śladów włamania, ale w końcu to nic dziwnego, skoro drzwi nie były zamknięte na klucz. Mickey zbierze jeszcze trochę odc-

sków, a ja pójdę się trochę rozejrzeć. Możliwe, że ten ktoś wyszedł przez ogród i nikt go nie zauważył, ale warto popytać. Proszę, nie ruszaj niczego, dopóki Mickey nie skończy pracy.

Paige skinęła głową. Spojrzała w stronę domu i głośno przełknęła ślinę. Poczowała gęsią skórkę na samą myśl o tym, że mogłaby dotykać rzeczy, które miał w ręku włamywacz.

- Zatelefonuję do dziewcząt z twojej drużyny - powiedział Noah. - Pomogą ci posprzątać, jak już policja sobie stąd pójdzie.

- Nie, nie - zaprotestowała Paige, choć była wzruszona jego troską. - Nie rób tego.

- Dlaczego?

- Bo nie trzeba ich w to mieszać. Są za młode.

- Nie za młode, żeby zrewanżować się komuś, kto tyle razy im pomagał. To będzie dobra lekcja. A poza tym one cię lubią i z przyjemnością wyrwą się z internatu.

Ale Paige nie chciała, żeby dziewczęta poświęcały swój wolny czas na sprzątanie.

- Zwolnię je z popołudniowej nauki - kusił Noah.

Paige nie mogła powstrzymać triumfalnego uśmiechu.

- Zaraz wrócę - powiedział i dziarsko pomaszerował przez trawnik do samochodu.

Dziewczęta przyjechały mikrobusem i przywiozły ze sobą pizzę. Mickey dawno już wyszedł, a ślusarz zaczął instalować specjalne zamki, jakich Paige nigdy by nie kupiła, gdyby nie to, że mieszkała teraz z Jill i Sami. Ale nie miała wyboru - nie byłaby w stanie spokojnie pracować, gdyby obawiała się, że jej podopieczne mogą paść ofiarą włamywacza.

Z drugiej strony, intruz prawdopodobnie czekał, żeby wyszły, i obserwował dom. Świadomość, że nic im z jego strony nie groziło, była bardzo pokrzepiająca, lecz tak starannie zaplanowane działanie budziło zrozumiały lęk.

Usiłowała się domyślić, kto jest sprawcą włamania i czego właściwie szukał. Dotychczas nie udało się jej odkryć, co zostało skradzione. Dziewczęta porządkowały salon i kuchnię, a ona zajęła się łazienką.

- Tu jest najgorzej - odezwał się Noah z korytarza.

Wszystkie szuflady zostały pootwierane, a ich zawartość poupychana byle jak z powrotem do środka. Tak samo wyglądały półki w szafie. Koszyczek Mary był przewrócony, a motki wełny walały się, gdzie popadło.

Paige upchnęła bieliznę w koszu na brudy. Zdecydowała, że będzie pracować nawet całą noc, byle tylko odzyskać wrażenie czystości, jaka dotąd panowała w jej życiu.

- Nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić.

- Jest wielu wariatów na świecie.

- Zawsze myślałam, że trzymają się z dala od Tucker - powiedziała gniewnie, wkładając piżamę do kosza.

- Wszystkie miasta są do siebie podobne. Nie sądzę natomiast, żeby maczał w tym palce jakiś naprawdę niebezpieczny przestępca. Ten, kto to zrobił, ma prawdopodobnie dość specyficzne poczucie humoru. Jesteś pewna, że cię nie okradł?

Paige przejrzała już pudełko z biżuterią, ale niczego nie brakowało. Sprawdziła również półkę z dokumentami - zarówno akt hipoteczny, jak i polisa ubezpieczeniowa pozostały nieknięte. Wyglądały zupełnie tak, jakby sfotografował je jakiś szpieg.

Poczuła nagle ukłucie w sercu, bo pomyślała o listach Mary. Odsunęła na bok sukienki, bluzki i spodnie, po czym wyjęła z szafy fartuch, który dostała kiedyś od niej na urodziny. Prezent miał żartobliwy charakter - Paige nigdy nie lubiła gotować, choć Mara wielokrotnie usiłowała przełamać jej opory w stosunku do tego przyziemnego zajęcia. W końcu obdarowała ją fartuszkim z co najmniej tuzinem kieszeni. Twierdziła, że pomieszczą się w nich wszystkie składniki potrzebne do ciasta czekoladowego.

Paige nigdy tego nie sprawdziła, bo jak dotąd nie zdobyła się jeszcze na tak śmiały eksperyment kulinarny, ale uznała, że kieszonki z pewnością pomieszczą listy Mary. Listy również były na swoim miejscu - wszystkie cztery pakieciki przewiązane wstążeczką.

- Nic nie zginęło - powiedziała i zaczęła się zastanawiać, dlaczego poczuła taki niepokój na samą myśl o listach. Być może dlatego, że zawierały tyle intymnych zwierzeń. Z tego samego powodu jednak nie mogły stanowić cennego łupu dla włamywacza. I rzeczywiście, nawet ich nie tknął. A może po prostu nie znalazł?

Dlaczego jednak komukolwiek miałyby zależeć na listach Mary?

- Co się stało? - spytał Noah.

Potrząsnęła głową.

- Nic takiego.

- Zbladłaś, gdy ich szukałaś.

- Bo są bardzo osobiste.

- Od kochanka?

- Nie, nie od kochanka - odparła, patrząc na niego kpiąco. - Nigdy nie romansowałam z tak sentymentalnymi mężczyznami.

- A chciałabyś? - spytał wychylając się zza szafy. - Może uważasz, że okazywanie uczuć

dowodzi słabości?

- Nie, wcale tak nie uważam - odparła, wkładając koszulki do pojemnika. - Z drugiej strony jednak nie wystarczy być sentymentalnym, żeby stać się najlepszym kochankiem.

- A jakie cechy cenisz najbardziej?

- Siłę, indywidualność, pewność siebie - tradycyjne walory mężczyzny, jeśli z kolei ktoś ma wyłącznie takie zalety, jest według mnie zwykłym samcem. Ale jak dodasz do nich wrażliwość... - westchnęła - super!

- Nigdy nie spotkałaś takiego mężczyzny?

- Nie.

- I dlatego nie wyszłaś za mąż?

- Nie wyszłam za mąż - odparła, otwierając szufladę ze skarpetkami - bo nigdy nie kuśli mnie tego rodzaju związek.

- Nie chciałaś się angażować?

- Raczej brać na siebie aż tyle.

- Czego?

- Zobowiązań. Oczekiwań, których nie mogłabym spełnić.

- To znaczy, że nie mogłabyś się związać z jednym mężczyzną?

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- W takim razie jakich oczekiwań nie mogłabyś spełnić?

- Przede wszystkim pracuję i to nie od dziewiątej do piątej. Mam często dyżury w nocy i w weekendy, a poza tym naprawdę lubię swoją pracę. Ktoś, kto czekałby na mnie w domu, mógłby stracić cierpliwość.

- Może sam miałby wiele pracy. Może wcale by mu to nie przeszkadzało.

- Tak, ale nasza dyskusja i tak jest bezprzedmiotowa, zważywszy na to, że nie zakochałam się do szaleństwa w nikim z Tucker.

- A ja?

- Po pierwsze, nie jestem w tobie do szaleństwa zakochana, po drugie, za rok już cię tu nie będzie. Ty się nie liczysz - skończyła dobitnie i usłyszała jakiś ruch przy drzwiach. - Spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła Sarę. Szybko podeszła do dziewczyny.

- Witaj, Saro. Jak wam idzie?

- Mała płacze. Mogę się nią zaopiekować? Mam braciszka i wiem, co trzeba zrobić.

Paige wzięła głęboki oddech.

- Oczywiście. - Popatrzyła za dziewczyną, a potem przeniosła wzrok na Noaha, który zbierał właśnie rzeczy z podłogi.

- Nie wiedziałam, że twoja eks ma dzieci z drugiego małżeństwa. - To jeszcze bardziej komplikowało sytuację.

- Do prania? - spytał Noah ponuro.

- Tak, ale w pralni chemicznej. Zostaw wszystko na łóżku.

- Przecież będziesz w nim spała.

- W takim razie na kozetce.

- Najlepiej w samochodzie - powiedział i wyszedł. Paige zabrała kosze z brudną bielizną do pralni, nastawiła pierwszą partię i poszła na górę.

Sara pochylała się nad łóżeczkiem Sami, ale nie dotykała jej - po prostu patrzyła.

- Zasnęła? - spytała szeptem Paige stając obok dziewczyny.

- Chyba tak. - Sara pogłaskała Kicię, która zwinęła się w kulkę obok dziecka. - On panią przysłał?

- Nie. Ładuje moje rzeczy do samochodu.

- Pani wie, prawda?

Paige nie zamierzała udawać.

- Że on jest twoim ojcem? Tak.

Nie widziała sensu w prowadzeniu gierki z dorastającymi panienkami, które były w dodatku sprytniejsze od niej. A z Sarą tym bardziej musiała postępować uczciwie.

- Mówił pewnie, żeby mi pani nie wierzyła?

- Nie. Dlaczego miałby robić coś takiego?

- Bo on sam mi nie wierzy. Wie, że kłamię.

- Cóż - westchnęła Paige, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. - Nigdy nie zrobiłaś tego w mojej obecności.

- Ależ zrobiłam. - Popatrzyła na Paige trochę z góry. - Nie mam młodszego rodzeństwa. Ja dałam się mojej matce wystarczająco we znaki.

Paige doskonale rozumiała uczucia Sary. W jej głosie pobrzmiwała wyraźna skarga skrzywdzonego dziecka.

- Powiedziała ci to?

Sara dotknęła łapki kotki.

- Nie, ale wiem, że tak właśnie było. Dopóki udawało się jej nie zauważać mnie, wszyst-

ko jakoś się układało. Potem pojawiły się kłopoty.

- Wiem.

- Nie, nie wie pani - prychnęła Sara.

- Owszem. Urodziłam się, kiedy moi rodzice mieli zaledwie po dziewiętnaście lat, więc stałam się dla nich przysłowiowym kamieniem u szyi. Chcieli podróżować po całym świecie, a nie siedzieć w domu i wychowywać dziecko.

- Ale zostali?

- W domu? Przez trzy lata. Potem zniknęli.

- Więc kto się panią zajmował?

- Babcia.

- I była z tego powodu zadowolona?

- Tak, bardzo. Traktowała to jak drugie podejście do macierzyństwa. Miała wrażenie, że może zrobić wszystko od nowa.

- Tylko proszę mi nie mówić, że tak samo się czuje mój ojciec, bo on w ogóle nigdy niczego nie zrobił.

- Może widzi teraz, że popełnił błąd, i chce go naprawić.

Sara nie odpowiedziała. Bawiła się przez chwilę uchem Kici, a potem przysunęła zwierzątko bliżej do Sami.

- Lubi go pani?

- Twojego tatę? Oczywiście. Jest bardzo miły.

- Niezupełnie to miałam na myśli.

- Nie znam go na tyle, żeby powiedzieć coś więcej.

- Wydawało mi się, że on się tutaj czuje jak u siebie w domu.

- Pomagał mi sprzątać. Usiłował jakoś wesprzeć mnie moralnie. Byłam kompletnie wytrącona z równowagi. - Paige rozejrzała się po pokoju. - Ten, kto się tu włamał, przeszukał nawet rzeczy Sami. Dlaczego to zrobił?

- Nie wiem. Nie znam się na włamaniach. Ja tylko kradnę różne rzeczy ze sklepów.

Paige westchnęła.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś - powiedziała, obejmując dziewczynę. - Jeśli interesują cię głównie sklepy, mogę być spokojna o rodzinne srebra, Waterforda babci, a także o brylantowy naszyjnik, który dostałam od ojca na szesnaste urodziny. - Pociągnęła Sarę do drzwi. - Chodźmy na dół. Może pomożesz mi w sypialni? Wolę, żebyś zrobiła to ty, a nie twój tata.

Trzymam tam wszystkie swoje kobiece drobiazgi.

Kiedy już mieszkanie zostało uporządkowane, wszyscy wyszli. Sami zjadła ostatnią porcję mieszanki, choć początkowo nie bardzo miała na to ochotę, a Jill położyła się spać.

Paige zamknęła dokładnie drzwi na nowe zamki i wśliznęła się do łóżka. Bawiąc się z Kicią, niemal bezwiednie otworzyła kolejną paczkę listów Mary.

Wydaje mi się, że go kocham - przeczytała i zaczęła szukać daty, ale bez skutku.

List musiał być stary, skoro Mara pisała o Danielu w czasie teraźniejszym. Jej mąż nie żył przecież od czternastu lat.

Mam wrażenie, że znam go od lat. Prawie cały czas się kłócimy, ale jest w nim coś, co dostrzegają tylko nieliczni. Uchodzi przecież za człowieka bardzo pewnego siebie, choć to tylko pozory. Jako najmłodszy w rodzinie nie potrafił dorównać swoim braciom. Miałam podobne problemy i dlatego tak dobrze rozumiem, co on czuje. Kiedy próbowałam mu to kiedyś powiedzieć, bardzo się rozszłościł. On wcale nie odczuwa braku poczucia bezpieczeństwa. Więc nic już nie mówię, ale dostrzegam to we wszystkim, co robi, szczególnie wtedy, kiedy jesteśmy razem, a on najwyraźniej potrzebuje wsparcia.

Biedny człowiek. Wmawia sobie, że stanowi siłę napędową naszej spółki, a przecież wszyscy wiedzą, że tak nie jest.

Pomogły nam wprowadzić jego kontakty z miejscowymi, ale przecież on się zupełnie nie zna na prowadzeniu interesów. Miał gabinet po drugiej stronie Tucker

Tucker?

- Kiedy tu przyjechałyśmy. Paige natychmiast wydzierżawiła lokal niedaleko szpitala. On nigdy by na to nie wpadł. Ona również utworzyła naszą spółkę. Urządziła gabinety, wymyśliła logo, a potem zatrudniła Ginny i Dottie.

Paige odłożyła list ze zdziwieniem. Mara pisała o Peterze.

Znowu sięgnęła po arkusik i czytała dalej.

Zrobiła to oczywiście celowo. Chciała, by mógł przypisać sobie całą zasługę. Może próbowała być uprzejma albo postąpić dyplomatycznie. Albo ona również zdawała sobie sprawę, że doskwiera mu brak wiary we własne siły. Nie wiedziała natomiast i najprawdopodobniej nie wie do dziś, jak on z tym walczył. Skończył szkołę, potem zaczął studiować medycynę, a gdy

zrobił dyplom - mógł wrócić do Tucker z podniesioną głową. Podziwiam go za to, jak również i za to, że jest dobrym lekarzem. Może zachowuje się czasami arogancko, lecz bywa i tak, że przypomina małego chłopca, który usiłuje przygotować się psychicznie na kpiny, bo jest pewien, że prędzej czy później ktoś zacznie z niego drwić. W takich razach mięknie mi serce. Paige wciąż mi powtarza, że mam słabość do pokrzywdzonych. Nawet nie ma pojęcia, jak wielką.

Paige przebiegła wzrokiem ostatnie linijki listu i sięgnęła po następny. Zaczęła go czytać od połowy pierwszej strony.

Przychodzi w środku nocy i nigdy nie zostaje długo. Mówi, że niedobrze by było, gdyby inni się dowiedzieli o naszym związku i chyba ma rację. Paige i Angie nie mogłyby tego zrozumieć. Bo on bywa rzeczywiście nieznośny, to prawda. Ale one nie wiedzą, jak mi jest z nim dobrze. Przywiera do mnie kurczowo w ciemnościach, jakby się bał, że ktoś nas rozdzieli, i jeśli nawet tuli się tak nieświadomie, przez sen, to ja i tak czuję wtedy, że jestem szczęśliwa.

Mara i Peter. Jednak. A Paige nie miała o tym pojęcia.

Przejrzała list, a następnie przeczytała pobieżnie kilka innych, opuszczając fragmenty, w których Mara opisywała doznania czysto fizyczne. Potem jednak znów zaczęła z uwagą studiować arkusik z przedostatniej koperty.

Naprawdę nie powinnam się dziwić. Nigdy nie potrafiłam dłużej utrzymać żadnego związku. Zawsze coś zaczynało szwankować.

Ale tym razem to nie była moja wina. Sprzątaliśmy ciemnię i nagle zobaczyłam te zdjęcia na samym spodzie sterty innych odbitek. Najpierw pomyślałam, że wyciął je z gazety - naprawdę robiły wrażenie - a potem rozpoznałam modelkę. Ta dziewczyna przed dwoma laty skończyła Mount Court. Peter twierdzi, że była już pełnoletnia, kiedy mu pozowała, i może rzeczywiście próbowała mu to wmówić, ale myślę, że on sam nie bardzo jej wierzył. Mógł przecież sprawdzić datę urodzenia w karcie zdrowia. A dziewczyna miała zaledwie siedemnaście lat i sfotografowano ją nago w takich pozach, że Peter na pewno wylądowałby w więzieniu za te zdjęcia.

On mówi, że to sztuka. A ja twierdzę, że afera. On utrzymuje, że akurat ja nie powinnam się wypowiadać, bo podałam własnemu mężowi lekarstwo, które go zabiło, ale przecież sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Problem polega na tym, że jeśli Peter zasugeruje komukolwiek coś takiego, moja kariera będzie raz na zawsze skończona. Tak więc umowa stoi - ja nie doniosę na

niego i on również nie będzie paplał.

Paige złożyła arkusik trzęsącymi się rękami. Nie chciała już więcej czytać. Przynajmniej nie tego wieczoru. Zrobiło się jej niedobrze.

Rano Peter dowiedział się o listach Mary. Nagle okazało się, że musi jechać na zebranie, o którym wcześniej nikomu nie wspominał, a w tym czasie ktoś przeszukał jej rzeczy.

Był to mało pocieszający zbieg okoliczności.

Rozdział czternasty

Paige zadzwoniła do Petera bardzo wcześnie i umówiła się z nim w kawiarni niedaleko szpitala. Prawdopodobnie mogliby rozmawiać swobodniej u niego w domu, ale nie chciała ryzykować. Jeśli miało się okazać, że w czasie całonocnych przemyśleń doszła do słusznych wniosków i Peter istotnie jest wszystkiemu winien, oznaczało to również, że dotąd brała go za kogoś zupełnie innego.

Tak, wiedziała, że brak mu pewności siebie. W czasie ich cotygodniowych zebrań usprawiedliwiał się o wiele częściej niż inni. Co więcej, Paige zawsze podejrzewała, że Peter ukrywa głęboko swoje uczucie do Mary. Angie nazwała to związkiem miłosno-nienawistnym, a Paige podzielała jej opinię.

Ale cała ta reszta była trudna do przyjęcia.

- Cześć, Paige! - zawołał na powitanie. Wyglądał bardzo elegancko w tweedowej marynarce i dopasowanych do niej spodniach. W drodze do stolika mrugnął na kelnerkę. - Co się dzieje? - Odsunął krzesło i usiadł.

- Kawy?

- Oczywiście. - Podsunął jej kubek.

Paige nalała mu kawę z dzbanka przyniesionego właśnie przez kelnerkę, ale jej naczynie pozostało nadal odwrócone do góry dnem. Była wystarczająco roztrzęsiona bez kofeiny.

Peter dodał trochę śmietanki i cukru, po czym upił spory łyk parującego płynu. Wyraźnie zadowolony wypił jeszcze trochę i odstawił kubek.

- Jakież kłopoty?

- Nie wiem. - Usiłowała wyczuć jego nastrój, ale bez powodzenia. Zachowywał się jak typowy, nonszalancki Vermontczyk, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy go poznała. Nie wie-

działa tylko, czy ta nonszalancja jest udawana, czy naturalna. - Ale może ty mi powiesz - do-
kończyła.

Położył łokcie na stole.

- Wal!

- Listy Mary? Te, o których ci wczoraj mówiłam.

- No? - Upił kolejny łyk kawy.

- Wczoraj przeczytałam jeszcze kilka, w których Mara wiele pisała o tobie.

Odstawił głośno kubek.

- Czy to cię dziwi? Mówiłem ci, że miała bzika na moim punkcie.

- One mają dość szczególny charakter. - Paige zniżyła głos do szeptu. - Mara opisała
wasz romans. A także i to, o co się wzajemnie oskarżaliście. Dowiedziałam się z nich również,
że zawarliście pewnego rodzaju porozumienie. Jeśli jedno dochowa tajemnicy, drugie również
będzie milczeć.

Był wyraźnie wstrząśnięty.

- Coś jej chyba padło na mózg!

- To nie wynika z jej listów. Wszystko, co pisze, ma głęboki sens - sprzeciwiła się Paige.

- Można na tej podstawie wyciągać daleko idące wnioski, zarówno co do Mary, jak i twojej
osoby.

- Co do mojej osoby? Jakie? Na przykład takie, że stałem się obiektem marzeń kobiety
chorej z braku miłości?

Paige natychmiast przestała mu współczuć. Być może Mara rzeczywiście cierpiała na tę
chorobę, ale nawet jeśli tak, to on również.

- Nie wykręcisz się tak łatwo. Mara napisała wiele niepokojących rzeczy, nad którymi
nie mogę przejść do porządku dziennego.

- Chodzi ci zapewne o te zdjęcia. - Miał wyraźnie zde gustowaną minę. - Zrobiła z tego
wielki problem. Doprowadzały ją do szału, bo pod względem artystycznym przewyższały
wszystko, co jej samej udało się dokonać. Były naprawdę piękne.

- Pisała o tym.

- Nie mają nic wspólnego z pornografią.

- Ale Mara twierdziła również, że pozowała ci niepełnoletnia dziewczyna i jeśli to praw-
da, to rzeczywiście znaleźliśmy się w trudnej sytuacji.

- Ona skończyła osiemnaście lat.

- Zanim zaczęła ci pozować?

- Tak twierdziła.

- Problem polega na tym - powiedziała Paige przyciskając palce do skroni - że być może nie mówiła prawdy. - Usiłowała zachować kamienny spokój, choć miałyby ochotę nawyzywać Petera od idiotów. - Nie widziałam tych fotografii, więc nie wiem, jakie byłoby zdanie sądu na ich temat.

- Sądu?! Chryste Panie! Paige! To nie jest sprawa karna. I nigdy nie była. Wszystko zostało dawno zakończone.

Uniosła dłoń.

- Posłuchaj mnie uważnie. Nie wiem, gdzie jest granica między sztuką i pornografią, ale wiem za to, że jesteś pediatrą. Zarabiasz na życie lecząc dzieci. Należysz do spółki lekarskiej, która specjalizuje się w tej dziedzinie medycyny. Czy możesz sobie wyobrazić, co by się stało - z tobą, z nami - gdyby ktokolwiek zobaczył te zdjęcia?

- Zakładasz, że są perwersyjne - powiedział oskarżycielskim tonem i podniósł się. - Dzięki za zaufanie.

Chwyciła go za ramię.

- Proszę cię. To dotyczy nas wszystkich. Nie chcę niczego zakładać. Dlatego teraz rozmawiam z tobą. Nie powiedziałam ani słowa Angie. Na razie jesteśmy sami. Siadaj.

Rzucił jej pogardliwe spojrzenie, ale zrobił to, o co prosiła.

- Dziękuję. - Odetchnęła z ulgą. - Bardzo mi trudno dogadać się z tobą. Czuję się tak, jakbym otrzymała kolejny cios po całej serii bardzo mocnych uderzeń. A ja po prostu próbuję jakoś zapanować nad sytuacją.

- Moim kosztem - odparł, wyłamując sobie palce.

- Nie. Między innymi ze względu na ciebie. Lubię cię i zawsze szanowałam twoje umiejętności. Gdyby tak nie było, nie nawiązywałabym z tobą współpracy, a już tym bardziej nie ściągałabym do Tucker swoich przyjaciółek. - Paige uświadomiła sobie ze zgrozą konsekwencje tego pomysłu. - Może byłoby lepiej dla Mary, gdybym jej nie wciągnęła do spółki.

- Nie jestem odpowiedzialny za jej śmierć - powiedział z pociemniałą twarzą.

- Toteż ja tak wcale nie twierdzę, ale jak się okazuje, Mara potrzebowała czegoś, czego żadne z nas nie potrafiło jej dać. Jej listy są pełne bólu, rozpacz i poczucia poniesionej klęski. Łamią mi wprost serce. Kiedy ojciec Mary przyjechał na pogrzeb, powiedział, że nic by się nie stało, gdyby jego córka nie ruszała się z Eugene.

- Ale nie zostałyby wtedy lekarzem. A to był dla niej powód największej dumy.

- Tak też mu odpowiedziałam. Czasem jednak myślę...

- Ugryzła się w język i nie dokończyła. - Nieważne. Co się stało, już się nie odstanie. My jednak nadal tu pracujemy i nie chciałabym niczego zmieniać. Cieszę się, że udało nam się tyle osiągnąć, i jednocześnie dlatego tak bardzo się martwię.

- Nie ma powodu do niepokoju - odparł Peter, bawiąc się kubkiem. - Te zdjęcia już nie istnieją. Zniszczyłem je. Negatywy również.

- Dlaczego? Przecież sądziłeś, że mają wartość artystyczną.

- Bo nie jestem idiotą. I zgadzam się, że nie wiadomo jak zakwalifikowałby je sąd. Gdyby dostały się w niepowołane ręce, znalazłbym się w poważnych tarapatkach. Nie były tego warte. - Przerwał. - Nie cieszysz się? Zniszczyłem dowody zbrodni. Uratowałem dobre imię naszej spółki. Już nikt nie może nam zarzucić, że zajmujemy się zgoła czym innym niż leczenie.

Oglądała swoje ręce, nie całkiem pewna, co właściwie powiedzieć. Peter potrafił zachować poczucie humoru nawet w tak trudnej sytuacji, choć z pewnością był niezłe przestraszony.

- Może i nie ma dowodów, ale problem nie zniknął - powiedziała łagodnie i chwyciła go za ramię, bo znowu chciał wstać. - Uspokój się. Interesuje mnie tylko jedno: czy Mara bardziej martwiła się z powodu samych zdjęć, czy raczej dlatego, że w ogóle je zrobiłeś? Musisz mi powiedzieć. Zajmujemy się dziećmi. Nie mogę ryzykować, że któremuś z nich stanie się krzywda.

- Obrażasz mnie - powiedział bardzo cicho.

- Po prostu pytam - odparła, ściskając go za rękę.

- Gdybyś mnie znała i ufała mi, nie miałabyś takich wątpliwości.

- To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Ludzie nie zawsze potrafią trzymać instynkt na wodzy.

Peter uwolnił ramię z jej uścisku. Wziął kubek w obie dłonie i spojrzał Paige prosto w oczy.

- Powiem ci coś, ale już nigdy nie będę tego powtarzał - syknął. - Kocham dzieci, bo są niewinne, ufne i dobre, ale nie pożądam ich seksualnie. Pożądam kobiet. Normalna sprawa i sądzę, że nie różnię się niczym od innych facetów. A skoro już o tym mowa, mogę zupełnie legalnie zerznąć każdą chętną osiemnastkę.

- Tak, ale tylko formalnie. Jestem pewna, że gdyby taka historia wyszła na jaw, straciłbyś połowę pacjentów.

- Oczywiście. Dlatego nie mam niczego podobnego na sumieniu.

- A co powiesz na temat włamania do mojego domu? - przerwała mu Paige, która doszła do wniosku, że woli już złodzieja od pedofila. Przypuszczała jednak, że Peter wykręci się z tego zarzutu równie gładko. - Gdybyś sądził, że listy Mary mogą cię skompromitować, próbowałbyś je ukraść?

Kiedy tym razem wstał od stołu, nie próbowała go powstrzymać.

- Ty mi zupełnie nie ufasz, prawda? - spytał.

- Chciałabym ci wierzyć. Ale łamałam sobie głowę, kto oprócz ciebie miał motyw, i do niczego nie doszłam.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z kawiarni, nie odzywając się już ani słowem.

Peter przez dwa dni unikał rozmowy z Paige. Gdy ich drogi krzyżowały się, udawał, że studiuje karty zdrowia bądź jest bardzo zajęty czymś innym. Angie zauważyła, że Grace zachowuje się dziwnie, ale Paige zbagatelizowała problem. Czowała się później jak ostatnia hipokrytka. Próbujcie się porozumieć - doradzała dziewczętom z Mount Court. Próbujcie się porozumieć - prosiła pacjentów.

A teraz ona sama musiała spróbować. Po paru dniach całkowitego milczenia dopadła Petera w gabinecie.

- Wiem, że jesteś wściekły, ale jeśli nie będziemy rozmawiać, nie uda nam się rozwiązać żadnych problemów.

- Nie mamy o czym mówić - odparł, patrząc na nią chłodno. - Wyraziłaś się dość jasno. Nie muszę wysłuchiwać tego samego po raz wtóry.

- Nie twierdziłam, że to zrobiłeś. Tylko zapytałam.

- W zupełności wystarczy.

- Musiałam cię zapytać - broniła się Paige. - Spróbuj choć na chwilę przyjąć mój punkt widzenia. Mówiąc językiem policyjnym, miałeś sposobność i motyw. A jeśli to nie byłeś ty, tym bardziej chcę się dowiedzieć, kto. Ktoś się do mnie włamał. Nie chodzi mi tylko o własne bezpieczeństwo. Przecież wiesz, że mieszkam z Jill i z Sami.

- Przykro mi, ale nie jestem w stanie ci pomóc. - Dopisał coś do rozpoczętego sprawozdania.

- Peter - westchnęła. - Jak możemy razem pracować, skoro nawet nie potrafimy ze sobą rozmawiać?

- Ależ rozmawiamy. - Odłożył pióro i rozparł się na krześle. - Jestem gotów dyskutować

na temat każdego pacjenta z naszej przychodni. No, zaczynaj.

- Kochałeś Marę?

- Ona nie była naszą pacjentką.

- Czy wmawiałeś jej, że zabiła Daniela?

- Ten facet - zaczął ze złością - był narkomanem. Mara zakochała się w Danielu, bo potrzebował pomocy i wyszła za niego za mąż, gdyż sądziła, że dzięki swej miłości wyciągnie go z bagna. Kiedy to się nie udało, rozpoczęła leczenie farmaceutyczne. Nie mogę twierdzić, że go zabiła. Ale sama Mara przyznała, że podawała mu narkotyki.

- Chciała, żeby odzwyczajał się od nich stopniowo.

- Facet umarł, bo przedawkował. Taka jest prawda. A izba lekarska debatowałaby miesiącami, żeby ustalić, czy to wina Mary, czy jakiegoś miejscowego handlarza.

- Straszylesz ją izbą?

Paige nie wierzyła ani przez chwilę, że jej przyjaciółka ponosi winę za śmierć męża, ale gdyby zasugerowano taką możliwość izbie lekarskiej, która w konsekwencji odebrałaby jej prawo do wykonywania zawodu, dla Mary byłoby to równie zabójcze jak spaliny z rury wydechowej samochodu. Nie potrafiłaby żyć bez pracy.

Ale Peter nie myślał w ten sposób.

- Oczywiście, że tak. Była w swoim żywiole, kiedy mówiła, co mi grozi za te zdjęcia, więc odbiłem piłeczkę. Mara postępowała czasem jak skończona suka. - Przeczesał palcami włosy. - I nadal jej się to udaje. Nie możemy się od niej odczepić. Cały czas gdzieś tu się pęta.

Szkoda, że tak nie jest - pomyślała Paige. Odkąd ona umarła, wszystko się zmieniło. Nigdy nie będzie jak dawniej.

Oparła się o drzwi.

- Więc co zrobimy? - spytała zniechęconym tonem.

- Nie wiem.

- Przecież nie możemy w ten sposób żyć. To napięcie mnie zabija.

- W takim razie rozstańmy się. Każdy weźmie swoich pacjentów i kropka.

- Ale ja nie chcę! - krzyknęła Paige. Uważała rozwiązanie spółki za ostateczność. - Lubię swoich pacjentów tak samo jak twoich, odpowiada mi praca w grupie. Chcę, żeby wszystko ułożyło się dobrze, jak kiedyś. To było naprawdę wygodne życie.

Peter nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrział. Wziął pióro i powrócił do pracy, a ona wyszła z gabinetu. Kiedy przyjęła już wszystkich pacjentów, pojechała do Mount Court.

Trening udał się świetnie. Paige uciekała przed demonami codzienności, narzucając sobie i dziewczętom ogromne tempo, i zmęczyła się bardziej niż zwykle. Była również bardziej rozkojarzona i dlatego, gdy wsiadała do samochodu, nie wyczuła, że coś jest nie w porządku. Dojechała do domu, zatrzymała auto na podjeździe i otworzyła tylne drzwiczki, żeby zabrać ubranie robocze. Wtedy ją zobaczyła.

- Sara! - wrzasnęła przerażona.

Dziewczyna patrzyła na nią spokojnie.

- Omal nie umarłam ze strachu. - Paige położyła rękę na piersi, żeby uspokoić oddech. - Nie miałam pojęcia, że jesteś w aucie. Dlaczego się nie odezwałaś?

- Bo odwiozłaby mnie pani z powrotem.

- W dalszym ciągu mogę to zrobić - odparła groźnie Paige, ale Sara już przeszła przez trawnik i usiadła na ganku.

Paige osunęła się na schodki. Choć bardzo chciała jak najprędzej zobaczyć Sami, doszła do wniosku, że na razie przyda się bardziej Sarze. Jeśli dziewczyna potrzebowała przyjaciela, Paige nie miała nic przeciwko temu, żeby nim zostać.

- Odwiedziny?

Sara skinęła głową.

- Czy ktoś wie, że tu jesteś?

- Zameldowałam, że wychodzę.

- Na jak długo?

- Do dziesiątej.

- Aha. - Wieczór. Niegdyś świętość, teraz pora na pogawędki z Sami. I Jill. I Sarą. Czas spędzony z fikcyjną rodziną. Atrakcja - jak wszystko, co nowe. - Zostaniesz na kolację?

Sara wzruszyła ramionami.

- Jeśli pani mnie zaprosi.

- Oczywiście. Ale muszę cię uprzedzić, że jeżeli wezwą mnie do szpitala, będę musiała pojechać. Zabrałaś ze sobą jakieś zeszyty?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie masz nic zadane?

- Skończyłam przed treningiem.

- To dobrze. Wyjęłam dziś rano kurczaka z zamrażalnika. Co ty na to?

Sarze było najwyraźniej wszystko jedno. Paige poklepała ją po ramieniu i weszły do do-

mu. Sami bawiła się z Jill na dywanie w salonie.

- Jak się masz, kochanie? Co tam słysząc u mojej dziewczynki?

- Gagaga.

- Wspaniałe powitanie! Niedługo będziesz trąkotała jak karabin maszynowy. Jill - to jest Sara. Mieszka w Mount Court. Sara, Jill mieszka ze mną i opiekuje się Sami. Kiedy byłaś tu ostatnio, nie miałaś okazji jej poznać, bo wyszła do przyjaciół.

Sara rzuciła Paige niespokojnie spojrzenie.

- Myślałam, że mieszka pani tylko z Sami.

- Jedna osoba mniej czy więcej, co za różnica? - Podała maleńką Sarze, zanim ta miała okazję powiedzieć, że nie zna się na dzieciach. - Chcesz odpocząć, Jill?

Dziewczyna natychmiast pobiegła na górę zatelefonować do przyjaciółek. Paige wzięła Kicię na ręce.

- Ciebie również serdecznie witam. Jak się czuje moja druga dziewczynka?

Kicia zamiauczała w odpowiedzi. Sara niezręcznie obejmowała dziecko.

- Chyba nie potrafię - mruknęła. - Może lepiej będzie, jak pani ją weźmie.

- Posadź ją na biodrze. O tak. Świetnie.

- Ma pani zamiar adoptować Sami?

- Nie. Zostanie u mnie, dopóki agencja nie znajdzie dla niej przybranych rodziców.

- Jak pani sądzi, ona wie?

- Jest za mała. - Paige podeszła bliżej do Sary z Kicią na rękach. - Uświadamia sobie natomiast, że jest czysta, sucha i najedzona, a także i to, że nic jej nie grozi. Doskonale wyczuwa atmosferę niepokoju. Wie także, czy ludzie, z którymi przebywa, troszczą się o nią. Na pewno rejestruje zmiany. Odróżnia nowych znajomych od starych, ale wątpię, czy zdaje sobie sprawę z tego, że mimo tak długiej podróży nie dotarła jeszcze do celu.

Sara wpatrywała się w dziewczynkę.

- Okropnie jest wciąż przechodzić z rąk do rąk.

- Tak jak ty? - spytała Paige. Chciała, żeby Sara uwierzyła, że może z nią rozmawiać o wszystkim.

- Niezupełnie. Choć nienawidziłam tych dni, kiedy przyjeżdżał do mnie ojciec.

- Dlaczego?

- Bo był dziwny.

- Dziwny?

- Po prostu obcy. Nie znałam go. Nie rozumiałam, dlaczego przyjeżdża.
- Chciał się z tobą zobaczyć. Kochał cię.
- Nie. On tylko miał zakodowane w głowie, że jeśli się ma córkę, trzeba ją kochać. Ale to nie było prawdziwe uczucie.

- Chyba go nie doceniasz.
- Jeśli naprawdę mu na mnie zależało, dlaczego nie przyjeżdżał częściej?
- Może czuł się niezręcznie w towarzystwie twojej mamy i jej męża?
- Ale był moim ojcem.
- Prawdopodobnie sądził, że chciałabyś o tym zapomnieć. Nawet nie nosiłaś jego nazwiska.

- Mama tak sobie życzyła, a on nawet z nią nie walczył.

Paige żałowała bardzo, że Noah nie powiedział jej więcej na ten temat.

- Pytałaś kiedykolwiek dlaczego?

Sara potarła koniuszek nosa i potrząsnęła głową.

- W takim razie zrób to, zamiast się dręczyć.
- Wcale nie twierdziłam, że się dręcę - powiedziała szybko. - Nie obchodzi mnie, dlaczego postępował w ten czy inny sposób. On żyje swoim życiem, ja swoim.
- Mam wrażenie, że teraz te płaszczyzny zaczęły na siebie zachodzić.
- Nie bardzo. Nie widzimy się zbyt często, bo on mnie unika.

Paige postawiła Kicię na podłodze i zaprowadziła Sarę do kuchni.

- Myślałam, że chcecie zachować tajemnicę. - Wyjęła kurczaka z lodówki i odwinęła go z folii.

- Rzeczywiście taki mieliśmy zamiar, ale nie bardzo się nam udało. I tak już zaczynają się domyślać.

- On się wygadał? - Paige nie była w stanie w to uwierzyć. Wiedziała, że Noah jest bardzo lojalny w stosunku do córki. Na przykład nie powiedział Paige, że kłamała, gdy mówiła o młodszym braciszku, choć mógł ją przecież wydać.

- Nie. Koledzy zadają pytania: skąd jesteś, z kim mieszkasz i jak spędzisz święta.

- Ach tak. Więc ty się wygadałaś.

- Tylko przed paroma osobami - odparła obronnym tonem. - Musiałam się przyznać przyjaciółkom. - Zrobiła skwaszoną minę. - Już niedługo dowie się cała reszta. Zbliża się przerwa międzysemestralna. Wszyscy wyjeżdżają, a ja nie. Będą pytać dlaczego.

- Zawsze możesz powiedzieć, że nie warto jechać do Kalifornii na tak krótko - poradziła Paige. - A niewykluczone, że zechcesz powiedzieć im prawdę. Już się znacie, mają wyrobione zdanie na twój temat. A poza tym chyba przestały osądzać twojego ojca tak ostro jak na początku.

Sara wzruszyła ramionami.

- Wspinaczka nie pomogła?

- Trochę.

- No, to już coś. - Paige wyjęła z lodówki dwa słoiki. - Muszę cię ostrzec, że nie jestem dobrą kucharką. Zwykle piekę kurczaka na grillu, ale możesz wybrać sos. Jaki wolisz: musztardowo-miodowy czy teriyaki?

- Musztardowo-miodowy. Czy pani naprawdę nie jest w nim zakochana? Bo tak panią wtedy zrozumiałam.

Paige zdjęła pokrywkę ze słoika.

- Nie znam go zbyt dobrze. Jakżebym mogła się w nim zakochać? - Poląła kurczaka sosem.

- Uważa pani, że jest przystojny?

- Nawet bardzo.

- A inteligentny?

- Z pewnością, ale akurat te cechy mają dla mnie drugorzędne znaczenie. Najwyżej cenię sobie wnętrze człowieka. - Sięgnęła po zapalki. - Pomyśl o tym. Zaraz wrócę. - Wyszła na zewnątrz, zapaliła grill i wróciła do kuchni. Jak się okazało, Sara rzeczywiście zastanawiała się nad tym, co usłyszała, ale jej myśli powędrowały w zupełnie innym kierunku.

- A chciałaby się pani w nim zakochać?

- Tak naprawdę - odparła Paige, wyjmując z lodówki składniki potrzebne do przyrządzenia sałaty i bułkę - wcale nie jestem pewna, czy chciałabym się zakochać w kimkolwiek. Mam tyle innych rzeczy do roboty.

Sara skinęła głową. Ułożyła spoczywające w jej ramionach dziecko w innej pozycji.

- Nie jest za ciężka? - spytała Paige.

- Nie.

Wróciła Jill. Miała zadowoloną, a jednocześnie niepewną minę.

- Moja koleżanka dostała bilety do kina na występ Henderson Wheel. Może mi jeden odstąpić, ale chciałabym się upewnić, czy nie będę pani przypadkiem potrzebna w następną sobotę.

tę.

Paige uważała, że w kinie nie powinny odbywać się żadne imprezy. Jednocześnie wiedziała, że i tak nie ma na to żadnego wpływu. Poza tym chciała, żeby Jill miała trochę rozrywki.

- Nie, nie będziesz mi potrzebna. Właściwie wszystko idealnie się ułożyło. Pracuję tylko rano, a potem pojedę do babci i zostanę u niej na noc. Ona ubóstwia Sami.

- Więc mogę iść? - spytała Jill. Paige już dawno nie widziała u niej tak uszczęśliwionej miny.

- Zatelefonuj do Cathy i powiedz, że idziesz, zanim zaproponuje bilet komu innemu.

Jill wybiegła z kuchni.

Paige skojarzyła nagle, że koncert wypada w ten sam weekend, który Sara będzie spędzać niemalże samotnie w Mount Court.

- Lubisz Henderson Wheel?

Sara wydała nieokreślony dźwięk.

- Czy to znaczy tak, czy nie?

- Tak sobie.

- Mogłabym postarać się o kilka biletów dla ciebie i innych, którzy nie pojedą do domu. - Wybacz, Maro, to dla dobra sprawy.

Sara potrząsnęła głową.

- Przyjdą sami miejscowi. Oni za nami nie przepadają.

- Kto ci tak powiedział?

- Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Tuckerzycy uważają, że mamy poprzewracane w głowach, ale imponują im nasze pieniądze.

Paige chciałyby zaprzeczyć, ale wiedziała, że skandaliczne zachowanie uczniów Mount Court na ulicach nie pozostawało bez echa. Mieszkańcy Tucker mieli o nich wyrobioną opinię.

- Może teraz, kiedy twój tata został dyrektorem, wszystko się zmieni. W tym roku nie wybuchł jeszcze żaden skandal. Nowy regulamin zdaje egzamin.

Wyszła i położyła kurczaka na grillu, a potem wróciła, żeby zrobić sałatę. Zajęło jej to trochę czasu. Jill przyszła do kuchni, a Paige wyciągnęła rękę po Sami.

- Trzeba ją przewinąć. Jill, nakryj do stołu, a ty, Saro, przynieś kurczaka, dobrze? Chyba się już upiekł.

Paige bawiła się z Sami w drodze do pokoju, a potem podczas zmiany pieluszek. Zaob-

serwowała, że mała zaczyna się uśmiechać. Kilka razy nawet roześmiała się na cały głos. Ale najbardziej uszczęśliwiło ją to, że dziewczynka przytuliła się do niej, gdy tylko ma taką okazję.

- Moja maleńka - szeptała, obejmując Sami. W kuchni posadziła małą na wysokim krześle, dała jej papkę z kurczaka i krojonego banana, po czym sama zajęła miejsce przy stole obok Jill i Sary. Ledwo zaczęła jeść, zadzwonił telefon.

- Uprzedzałam cię. To na pewno ze szpitala - powiedziała, patrząc na Sarę.

Nie dzwonił jednak nikt z centrali, tylko Noah.

- Dostaję szału, Paige. Potrzebuję twojej pomocy. Nie możemy nigdzie znaleźć Sary. Po treningu nikt już jej nie widział.

- Ona jest u mnie - powiedziała szybko Paige.

- U ciebie? Naprawdę?

- Tak. Razem wyjechałyśmy z Mount Court, a teraz jemy kolację.

- Dzięki Bogu - westchnął. - Już sobie wyobrażałem straszne rzeczy.

- Niepotrzebnie. Przecież zameldowała, że wychodzi.

- Nic podobnego.

Paige dostrzegła skruszoną minę dziewczyny.

- Ach, tak. - Zakryła dłonią słuchawkę. - Twój ojciec wpadł w panikę. Wszędzie cię szukają - powiedziała z naganą w głosie.

Jeśli nawet zrobiło to na Sarze jakiegokolwiek wrażenie, dziewczyna potrafiła skrzątnie ukrywać uczucia. Paige miała ochotę mocno nią potrząsnąć.

- Dziewczęta mówiły, że napadli na nią bracia demony. Kto to jest, do cholery?

- Nie demony, tylko DeMony. Są to dwaj uroczy, zupełnie nieszkodliwi, trochę upośledzeni faceci, którzy pełnią w Tucker rolę kozłów ofiarnych.

- Ach, tak. W takim razie dziewczyny same się tak nakręcały, a ja o mało nie oszalałem ze strachu. Obawiam się, że zdradziłem im nasz sekret. A więc Sara jest u ciebie. Dzięki Bogu.

- Odetchnął głęboko. - Niech Pan Bóg ma tę dziewczynę w swojej opiece. Jeśli myśli, że ominię ją kara, głęboko się myli. Szczególnie teraz, kiedy już się wydało, że jest moją córką, nie mogę jej traktować ulgowo. A wyjście poza teren internatu bez pozwolenia to bardzo ciężkie przewinienie.

- Co on mówi? - szepnęła Sara.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - odparła cicho Paige. - Czy pozwolisz jej przynajmniej skończyć kolację? - rzuciła w słuchawkę.

- Przyjadę za pół godziny.

- Za godzinę.

- Za pół. - Znów odetchnął głęboko. - Dzięki Bogu. Już myślałem, że zabrałem ją od matki po to, żeby stała się łupem krwiożerczych oprawców. - Przerwał i znowu zaczerpnął powietrza, tym razem spokojniej. - A co jest na kolację?

- Kurczak, ale dla ciebie już nie wystarczy. Przyjedź za godzinę, to dostaniesz ciasteczka domowej roboty. - Przerwała połączenie, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Ciasteczka? - zdziwiła się Jill. - Nie mamy żadnych ciasteczek.

Paige przenosiła wzrok z jednej dziewczyny na drugą.

- W takim razie musimy je szybko upiec. Co wy na to?

Noah przyjął ciasteczka z entuzjazmem, który minął mu jednak szybko w drodze do Mount Court. Między nim a Sarą wytworzyła się dziwna atmosfera. Perrine zawsze uważał, że potrafi dogadać się z młodzieżą i trudno mu było zrozumieć, dlaczego nie udaje mu się w żaden sposób trafić do własnego dziecka. Wiedział przecież, że Sara potrzebuje ojca, tak samo jak on córki.

Lecz rozmowy o uczuciach, a także wyrażanie krytycznych opinii i wysłuchiwanie żalów - stanowiło ogromne ryzyko w przypadku ludzi, którzy prawie się nie znali.

- Martwiłem się - powiedział wreszcie po parominutowej ciszy.

- Przepraszam - odparła bez śladu skruchy w głosie.

- Dlaczego nie zgłosiłaś, że wychodzisz?

- Zapomniałam.

Chciał powiedzieć, że to przecież podstawowa zasada. Gdyby wszyscy wychowankowie Mount Court wychodzili i wracali o dowolnej porze, w ogóle nie byłoby wiadomo, co się z nimi dzieje. Rodzice powierzają dzieci opiece szkoły, a on jest odpowiedzialny za wszystkich.

- Wiesz - odezwał się po chwili zastanowienia - kiedy wyobrażałem sobie, że moja córka będzie chodzić do szkoły, w której pracuję, brałem pod uwagę różnego typu komplikacje. W końcu ja sam jako dziecko byłem w podobnej sytuacji, więc przewidywałem, że to może być dla ciebie trudne, ale w ogóle nie myślałem o sobie. A przecież normalnie jest tak, że rodzice nie zdają sobie sprawy z drobnych kłopotów w internacie. Zwykle dowiadują się już po wszystkim. I nie przeżywają takiego piekła, jakie stało się dzisiaj moim udziałem.

Milczała bardzo długo. W końcu zaczął się zastanawiać, czy Sara w ogóle go słyszy.

- Odeślij mnie do domu - powiedziała w końcu. - Nie będziesz wtedy wiedział, że źle się

sprawuję.

- Nie. Chcę cię mieć blisko siebie.
- A jeśli ja nie mam ochoty tu zostać?
- Na pewno?

Nie odpowiedziała.

- Saro?
- Nie wiem - wymamrotała.
- Tęsknisz za Kalifornią?
- Może.
- Pewnie czekasz na Święto Dziękczynienia. Milczała.
- Rozmawiasz z mamą co tydzień, prawda?
- Mhm.
- Wszystko u niej w porządku?
- Oczywiście.

A tak naprawdę kilka dni temu Noah rozmawiał z matką Sary, która poinformowała go mocno poirytowanym tonem, że nigdy nie udaje się jej zastać córki w internacie. Pytała również, dlaczego Sara ani razu do niej nie zadzwoniła. Według Liv nie rozmawiały ze sobą przez trzy tygodnie.

Noah był skłonny uwierzyć eks-małżonce, ale nie mógł tego powiedzieć córce. Usiłował nabrać do niej zaufania, w nadziei, że kiedyś naprawdę na nie zasłuży.

Niestety, ten proces trwał już stanowczo za długo i cierpliwość Perrine'a powoli się wyczerpywała.

Dlatego nie mógł się już doczekać przerwy w zajęciach. Ferie miały wprawdzie trwać zaledwie pięć dni, ale byłyby to zarazem pierwsze wspólne chwile, jakie spędziliby razem w jego domu. Nigdy nie przebywali ze sobą tak długo. Co roku jeździli wprawdzie na tydzień do jego rodziców, ale nigdy nie byli wtedy sami. Natomiast teraz Noah był jedynym opiekunem Sary.

Nie odczuwał jednak tremy, bo bardzo się cieszył z tych ferii. Chciał, żeby dziewczyna wreszcie go polubiła, i dlatego zaplanował już wspólną kolację w restauracji i wypad na zakupy do Bostonu. Miał zamiar pójść z nią do kina, na bingo i zaproponować pomoc przy urządzeniu domu, żeby Sara wreszcie poczuła, że należy również i do niej.

Wierzył, że uda im się popływać łódką po rzece. Uważał, że to świetna forma wypoczynku. Poza tym wiosłowanie było wspólnym przedsięwzięciem, wymagającym wysiłku od

nich obojga, a takie sytuacje sprzyjają powstawaniu nowych więzi. Tak przynajmniej sądził. Zdawał sobie sprawę, że napotka na opór, ale postanowił walczyć. Jeśli wolne dni okażą się wielkim niewypałem, będzie przynajmniej wiedział, że dał z siebie wszystko.

Rozdział piętnasty

Angie równie niecierpliwie wypatrywała ferii. Z dużym wyprzedzeniem poinformowała Petera i Paige, że nie będzie w tym czasie przychodzić do pracy. Chciała trochę pobyc w towarzystwie Dougiego - spać do późna, celebrować posiłki, poleniuchować, rozpalić ogień na kominku. Pragnęła, by jej syn docenił zalety przebywania w domu.

Gdyby to wyłącznie od niej zależało, zrealizowałyby swój plan bez najmniejszych trudności. Ale był jeszcze Ben. Przez dwa dni, w trakcie zwykłego weekendu, udawało im się wprawdzie zachowywać pozory normalności, ale teraz czekała ich znacznie trudniejsza próba.

Odwołali już podróż do Nowego Jorku. Ben absolutnie nie chciał tam jechać i z ulgą poprosił swego agenta, by reprezentował go na uroczystości. Dawniej Angie nalegałaby, żeby mąż osobiście odebrał nagrodę, ale te czasy już minęły. Nie miała prawa przekonywać go o czymkolwiek. Kiedyś stale z nim rozmawiała, teraz przestała się w ogóle odzywać. Nie wiedziała, co jej mąż myśli i czuje. Ben na ogół również milczał - przychodził i wychodził, a Angie wciąż myślała, gdzie on się właściwie podziewa. Często wpadała do domu w ciągu dnia, ale rzadko zastawała męża na miejscu. Ben kończył zaplanowaną wcześniej pracę, a później znikał.

Nie miała pojęcia, dokąd chodzi, i brakowało jej odwagi, żeby pytać, głównie dlatego, że wcale nie była pewna, czy naprawdę chce się dowiedzieć. Uświadamiała sobie za to aż nazbyt dobrze, że myśl o Benie w ramionach innej kobiety w dalszym ciągu sprawia jej dotkliwy ból.

Postanowiła, że przed przyjazdem Dougiego na ten przedłużony i najprawdopodobniej trudny weekend należy rozwiązać problem. Pojechała więc do domu wcześniej, niż zamierzała, ale zobaczyła, że samochodu Bena nie ma na podjeździe, więc nawet się nie zatrzymała. Minęła pocztę w centrum Tucker, ale niebieskiej Hondy męża również i tam nie było. Ruszyła dalej i obejrzała dokładnie rząd samochodów stojących pod sklepem spożywczym, księgarnią i pawilonem z artykułami żelaznymi. Potem sprawdziła parkingi przy gospodzie i restauracji. Wróciła tą samą drogą - obok wypożyczalni Reelsa i lodziarni, sądząc, że być może po prostu przegapiła auto Bena.

Następnie zajęła pod bibliotekę. Był to mały, szary budynek z białą sztukaterią - pa-

miętka z czasów kolonialnych, ceniona przez tuckerczyków na równi z kościołem. Kiedy Dougie był jeszcze maleńki, Angie przyprowadzała go do czytelnicy na bajki, a później, gdy już poszedł do szkoły, pomagała mu szperać w katalogach i wyszukiwać materiały do referatów. Biblioteka nie wyróżniała się specjalnie bogatym księgozbiorem, ale za to była wyjątkowo urocza i przytulna.

Niebieska Honda stała pod drzewem. Angie zaparkowała obok i ukryła twarz w dłoniach. Od czasu do czasu spoglądała przed siebie, ale widok nie cieszył specjalnie jej oczu. Liście - jeszcze tydzień temu piękne, czerwone lub złociste - teraz zaczynały już więdnąć. Były mniejsze, smutniejsze, bardziej zamknięte w sobie. Co kilka minut kolejne ofiary wiatru spadały z gałęzi na ziemię.

Ale można było z tego wyciągnąć również i pozytywne wnioski. Na samochodzie Bena leżało niewiele liści, zatem jej mąż przyjechał tu niezbyt dawno. Z drugiej strony, i tak było fatalnie, skoro w ogóle zdecydował się zawitać w te okolice.

Angie, po raz setny w ciągu ostatnich kilku tygodni, usiłowała przypomnieć sobie dzień, gdy zobaczyła swego małżonka po raz pierwszy. Miał wtedy dużo pewności siebie, której jednak nie demonstrował zbyt ostentacyjnie, co bardzo jej się spodobało. Poza tym Angie lubiła jego specyficzne poczucie humoru, a kiedy Ben się do niej uśmiechał, zawsze czuła przyspieszone bicie serca. Bez trudności wyciągał ją do kina, do przyjaciół albo na wielogodzinne przejażdżki samochodem, którym zawsze towarzyszyła muzyka.

Beztraska Bena współgrała z jej powagą i dzięki temu doskonale się uzupełniali.

Nie bardzo wiedziała, kiedy wszystko się między nimi zmieniło. Te wspólnie spędzone lata - całe dwadzieścia jeden lat - jakie dzieliły ich pierwsze spotkanie od terażniejszości, zlały się w jedną całość. W tym czasie zajmowali się wyłącznie tym, co konstruktywne i przynoszące zysk. Fantazja zagubiła się gdzieś bezpowrotnie, a ich życie zostało dokładnie zaprogramowane.

Wyłącznie pod jej kątem. Ben miał rację. W porządku, niech będzie jej wina. I tak nic nie usprawiedliwiałoby jego romansu z Norą.

Usłyszała ciche puknięcie w szybę - jej mąż oparł się o samochód. Miał na sobie skórzaną kurtkę, którą przed paroma laty dała mu w prezencie. Wystawała spod niej kraciasta koszula. Wyglądał zdrowo, a nawet trochę szelmowsko ze srebrnymi nitkami we włosach, ale trudno było się w nim dopatrzeć wesołości czy pewności siebie. Spojrzał na Hondę, potem wbił wzrok w ziemię, a Angie najchętniej włączyłaby silnik, zawróciła i uciekła. Wiedziała jednak, że

sprawi mu ogromną przykrość, a byłby to kiepski początek. Niestety, pozostawał problem łez, które pojawiły się całkiem niespodzianie, zupełnie znikąd, i popłynęły nieprzerwanym strumieniem. Angie zakryła twarz obiema dłońmi, ale i tak nie udało się jej ukryć przed Benem.

Drzwiczki od strony pasażera otworzyły się i znów zamknęły. Ben wziął żonę w objęcia, w czym zupełnie nie przeszkodziła mu skrzynia biegów.

- Daj spokój, Angie. Nie jest aż tak źle.

- Strasznie! - chlipnęła. Bliskość męża, jego znajomy dotyk i zapach spowodowały tylko nasilenie rozpaczy. - Życie rozpada mi się na kawałki.

- My po prostu mamy problemy.

- Ale one stanowią o całym moim życiu. Słowo my jest tu najważniejsze. Przecież to podstawa mojego istnienia.

Milczał, a ona zaczęła się zastanawiać, dlaczego powiedziała coś, czego w ogóle nie miała zamiaru mówić. Ale nie mogła już cofnąć kwestii. Jako kobieta sukcesu nigdy nie uwierzyłaby, jak wiele prawdy udało się jej zawrzeć w tych kilku prostych zdaniach.

Przez chwilę usiłowała nad sobą zapanować, a potem oderwała się od męża i zaczęła szukać chusteczki w kieszeni żakietu. W końcu ją znalazła i wytarła nos.

- Przepraszam, nie sądziłam, że się rozkleję. Za dużo naraz. - Nie odpowiadał, więc odechnęła głębiej, ale przyszło jej to z ogromnym trudem. - Nie przypuszczałam, że życie może być jednego dnia piękne, a już następnego wręcz straszne. Od śmierci Mary... - Znów poczuła ucisk w gardle.

- Nasze problemy nie mają nic wspólnego z Marą.

- Wiem. - Chciała tylko powiedzieć, że ta śmierć zapoczątkowała cały strumień wydarzeń, bo tak wynikało z chronologii, ale wiedziała, że Ben ma rację. Ich problemy małżeńskie pozostawały bez związku z Marą.

- Dlaczego nie jesteś w pracy? - zapytał. Unikała jego wzroku.

- Właściwie... czasem wychodzę z lecznicy w środku dnia i liczę na to, że zjemy razem lunch, ale ciebie nie ma w domu. Dotychczas nie chciałam wiedzieć, co robisz. Dziś stało się inaczej.

- Jak to?

Wspomniałaby coś na temat ferii Douga, ale uświadomiła sobie, że one tak samo nie mają wpływu na jej małżeństwo, jak śmierć Mary. Pierwszy raz w życiu musiała przyjąć do wiadomości, że syn nie decyduje o przyszłości ich związku.

- Dłużej tego nie wytrzymam - powiedziała drżącym głosem, ściskając w ręku chusteczkę. - Nie mogę się na niczym skupić, bo wciąż myślę o nas. Muszę jakoś rozwiązywać swoje problemy. - Ogarnęło ją porażające poczucie klęski. - Postanowiłam sprawdzić, gdzie jesteś.

- Ona ma dziś wolny dzień. Ostatnio bywam tutaj wyłącznie przy takich okazjach.

Angie poczuła na sobie jego wzrok.

- Naprawdę?

Przytaknął.

- W takim razie często miewa wolne. Właściwie nigdy nie bywasz w domu.

- Jeżdżę w kółko po okolicy - odparł z żalem, który dowodził, że nie zmyśla. - Nie mogę znieść ciszy, więc wsiadam do samochodu i jeżdżę. Czasem wyruszam już o dziesiątej.

Angie nawet nie usiłowała zgadywać, dlaczego jej mąż jest przygnębiony, choć ta informacja mogła okazać się bardzo pocieszająca. Kiedyś uważała, że wie wszystko. Teraz okazało się, w jak wielkim tkwiła błędzie.

- O czym myślisz, gdy tak jeździsz? - spytała.

- O nas. A o czym innym mógłbym myśleć? - Westchnął.

Wyglądał przez okno. Angie przestała się już czuć jak na cenzurowanym.

- A konkretnie?

- O tych wszystkich rzeczach, które kiedyś robiliśmy razem, i o tym, jak bardzo je lubiłem.

Miała ochotę drażnić dalej, ale ugryzła się w język. Pod żadnym pozorem nie powinna nadawać żadnego kierunku tej rozmowie. Ben był już dużym chłopcem. Jeśli będzie miał ochotę rozwinąć temat, zrobi to i bez jej pomocy. Rzeczywiście. Zdecydował się kontynuować.

- Lubiłem różne wariactwa - zaczął po chwili milczenia. - Pamiętasz, jak gotowaliśmy egzotyczne potrawy na rozklekotanym balkonie naszego pierwszego mieszkania? Albo jak graлиśmy w backgamona do trzeciej nad ranem? I te spacerunki w zawiei śnieżnej? Takie drobiazgi.

- A potem już nie mogłam tak po prostu utknąć w zaspie, bo byłam zbyt zajęta.

- Nie protestowałem - przyznał. - Nie podjąłem żadnych przeciwdziałań. Jestem równie winny.

Dzięki i za to - pomyślała. Jeśli dzięki samotnym przejażdżkom wyciągnął taki wniosek, potrafiła mu je z łatwością wybaczyć. Ale niewierność należała do zupełnie innej kategorii.

- Wystąpisz o rozwód? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę oddawać walkowerem naszego małżeństwa, ale muszę wiedzieć, jak masz zamiar rozwiązać problem Nory.

- Nijak. Wszystko skończone.

Uwierzyła, ale takie wyjaśnienie jej nie wystarczyło.

- Dlaczego?

- Bo ona była jedynie substytutem. Sposobem na zabicie czasu.

- Przez osiem lat. Co się teraz zmieniło?

- Ty wiesz. Czuję się jak ostatni drań.

Jej pierwsza, wciąż rozsierdzona połowa odczuła głęboką satysfakcję, a ta druga, zdemoralizowana, uznała, że Ben okupił już winę swoim wyznaniem. Angie zawsze uważała, że jej mąż nie jest pozbawiony sumienia. Świadczyły o tym wyraźnie jego karykatury - walczył nimi w imieniu tych wszystkich, którzy sami nie potrafili się bronić. Angie była dumna z rysunków Bena, a Mara wręcz je uwielbiała.

Mimo że popełnił błąd, odezwało się w nim sumienie. Miała satysfakcję, że trafnie oceniła swego małżonka.

- A co z nami? - spytała cicho. - Czy potrafimy jeszcze stworzyć razem coś ważnego?

Wyprostował nogę i potarł udo.

- Nie wiem. Czasem bywam wściekły.

- Kiedy jestem w pracy?

- Głównie wtedy.

- Chcesz, żebym z niej zrezygnowała?

- A zrezygnowałabyś? - spytał, patrząc na nią badawczo. Sama chciała, żeby jej odpowiedział, więc już nie wypadało próbować żadnych wykrętów.

- Nie chodzi o to, czybym to zrobiła, czy nie, lecz o to, czy potrafiłabym podjąć taką decyzję. - Wciągnęła spazmatycznie powietrze. - Ta praca jest częścią mnie samej. Nie wiem, czy byłabym w stanie zupełnie się jej wyrzec, tak jak i wątpię, czy ty kiedykolwiek mógłbyś porzucić swój zawód.

- Zacząłem rysować, kiedy miałem dwa latka.

- A ja równie długo pragnęłam być lekarzem.

- Zamiłowanie do sztuki stanowi integralną część psychiki.

- Tak samo jak potrzeba uzdrawiania.

Cisza, która pomiędzy nimi zaległa, zaczęła jej mocno doskwierać. W podświadomości

słyszała rady Paige: Porozmawiaj z nim, Angie. Powiedz, co czujesz. Kołatało się jej w głowie także zdanie z listu Mary: „Nasze losy splatają się tylko na chwilę, a potem ci ludzie odchodzą z mojego życia”.

Teraz Angie utożsamiała się z Marą. Wbrew własnej woli.

- Musi być jakieś kompromisowe rozwiązanie - wybuchnęła. - Potulność nie jest szczególnie wskazana, gdy staje się na rozstaju dróg życiowych. To się nie może tak skończyć. Zbyt wiele nas łączy. Mamy tyle wspólnego ze sobą, tyle wspomnień...

- I syna, który przyjeżdża jutro na ferie - wtrącił Ben z nutą sarkazmu w głosie, która zresztą ostatnio bardzo często pobrzmiwała w jego wypowiedziach. - Właśnie tu jest pies pogrzebany, prawda?

Na bagażnik auta spadł suchy, wypłowiały, brudny liść. I właśnie dlatego, że wyglądał tak smętnie i zniechęcająco, Angie postanowiła walczyć dalej, by wreszcie zakończyć ten okropny temat.

- Nie, Ben. Dostrzegam teraz wiele rzeczy, jakich nie widziałam wcześniej. Miałaś rację co do Dougiego. Nie cieszę się wprawdzie, że mieszka w internacie, i chyba nigdy nie będę z tego zadowolona, ale z kolei pamiętam czasy, gdy jako mały chłopiec stawał na huśtawce. Wtedy zamykałam oczy i nie protestowałam, bo wiedziałam, że nie ma innego sposobu, żeby wreszcie opanował tę sztukę. A teraz on zupełnie dobrze sprawuje się w Mount Court. I tak bardzo chce tam mieszkać. Być może potrzebował zmiany. - Wzięła głęboki oddech. - Nie, Ben. Chodzi mi o nas.

Kółko się zamknęło.

- A zatem - powiedział Ben do tablicy rozdzielczej - co powinniśmy zrobić?

Angie w ogóle nie poruszała tej kwestii.

- Ty mi musisz powiedzieć. Ogarnia mnie śmiertelne przerażenie na myśl, że miałabym o czymkolwiek decydować.

- Sam nie mogę niczego zmienić.

- Ale ja nie mam żadnej gotowej recepty. Wiem natomiast, czego chcę. Zależy mi na tym, żebyśmy byli razem i spróbowali wszystko naprawić, ale wcale nie jestem pewna, czy takie jest również twoje życzenie.

- Tak - powiedział cicho, po chwili długiego milczenia.

- W takim razie musi się znaleźć jakieś rozwiązanie. Może powinniśmy najpierw pomyśleć, a dopiero potem rozmawiać. - Jej słowa zabrzmiały tak, jakby proponowała długofalowe

negocjacje, ale żadne inne propozycje nie przychodziły jej do głowy. Jeśli istniała nadzieja, mogła spokojnie czekać.

- A Nora? - zapytał i natychmiast dostrzegł jej przerażone spojrzenie. - Czy potrafisz o niej zapomnieć? - wyjaśnił szybko.

- A ty? - Wydawało się jej to o wiele ważniejsze.

W napięciu czekała na odpowiedź.

- Była bardzo dobrą przyjaciółką. Gdyby nie ona, już dawno bym uciekł.

- Podziękowałabym jej serdecznie, ale nigdy więcej nie chcę widzieć tej kobiety na oczy - powiedziała sarkastycznie. - Spała z moim mężem. Nie wiem, czy potrafię jej wybaczyć. Poza tym, gdybyś odszedł, dowiedziałabym się o wszystkim wcześniej. A tak - cały czas żyłam w nieświadomości. - Znowu ogarnęło ją przerażenie. - Naprawdę.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Wiem - odparł tym razem już bez ironii i wysiadł z samochodu.

Masowe wyjazdy uczniów zaczęły się w środę, zaraz po lekcjach. Mikrobusy woziły ich na lotnisko całe popołudnie. Przyjeżdżali również rodzice - pakowali swoje pociechy do samochodów i natychmiast ruszali w drogę.

Wiedząc, że Sara ma trening i obowiązkową naukę w świetlicy, co stanowiło część kary za opuszczenie internatu bez pozwolenia, Noah nie spodziewał się córki przed kolacją. Nie przygotował jednak posiłku w domu, tylko zamówił stolik u Berniego Bernaise, gdyż uważał, że będzie to efektowny początek wspólnych ferii.

Minęła piąta trzydzieści. Dał jej jeszcze trochę czasu na spakowanie rzeczy, ale gdy wybiła szósta, ruszył na poszukiwania. W drodze do internatu wyobrażał sobie, że Sara uciekła, została porwana lub też znów poszukała schronienia u Paige.

Ta ostatnia możliwość nawet mu odpowiadała - miałby przynajmniej pretekst, by do niej pojechać. Ich związek był wprawdzie pozbawiony perspektyw, ale Paige wciąż go fascynowała - nie tylko seksualnie, choć na pewno to odgrywało też ważną rolę. Noah odnosił wrażenie, że ta kobieta ma zawsze na wszystko gotową odpowiedź i nigdy nie traci równowagi. Potrafiła powiedzieć mu prosto w oczy, że się myli, i podniecić go tak, że wszystko inne przestawało się liczyć.

A jeszcze oprócz tego stanowiła idealny wzór do naśladowania dla jego córki.

Sale lekcyjne i świetlica opustoszały. Noah wszedł na drugie piętro i stanął pod sypialnią Sary. Drzwi były zamknięte, ale Perrine słyszał wyraźnie, że ktoś jest w środku. Zapukał.

- Saro?

- Tak?

Nacisnął klamkę. Bez skutku.

- Otwórz.

Minęło sporo czasu, zanim dziewczyna zdecydowała się podejść do drzwi. Miała na sobie dżinsy, koszulkę, na nogach skarpetki. Nie włożyła butów. W tle trajkotał mały telewizorek.

- Gdzie byłaś? - spytał Noah, siląc się na niedbały ton. Nie zapomniała przecież o feriach. Wszystkie jej przyjaciółki wyjechały. Sypialnia była pusta, jadalnia zamknięta.

Wzruszyła ramionami.

- Tak sobie siedziałam.

- Ale ja na ciebie czekałem.

- Dlaczego?

- Przecież masz przez te parę dni mieszkać ze mną.

- Nie wiedziałam - odparła.

- Jak mogłaś nie wiedzieć? - Westchnął. - Zostawiłem ci kartkę w skrytce. Myślałem, że pójdziemy do restauracji. Planowałem, że popływamy łódką.

- Nic mi nie mówiłeś.

- A gdzie w takim razie mogłabyś spędzić ferie? - spytał niecierpliwie.

- Tu. Zostało jeszcze parę osób.

- Niewiele i nie w tym budynku. Nocują w zupełnie innej części internatu, bo tylko tam są wychowawcy. - Usiłował zachować spokój, ale było mu bardzo przykro. Tak samo jak wówczas, kiedy jeździł do niej w odwiedziny i spotykał się z chłodnym przyjęciem. Miał wtedy wrażenie, że odrzuca go jedyna osoba na świecie, na której naprawdę mu zależy.

- Dobra - powiedział, rozglądając się po pokoju. - Spakuj parę rzeczy i idziemy. Jutro możemy wstąpić po resztę.

- Wolałabym zostać tutaj. Wyłączył telewizor.

- Plecak w zupełności wystarczy. Nie musisz wszystkiego zabierać.

- Mam masę pracy.

- Nie zapomnij o sukience. Będzie ci dzisiaj potrzebna. Na przedstawienie włożyłaś taką czerwoną, pamiętasz? Bardzo ci w niej ładnie.

Odwróciła się i podeszła do biurka.

- Nie wysilaj się. Mogę naprawdę miło spędzić czas z kolegami.

- Ale ja nie, do cholery! - wybuchnął. - Jesteś moją córką i to są również moje ferie. Sprawowałem się dobrze. Dałem ci święty spokój, żebyś się zaaklimatyzowała w szkole jak każdy inny uczeń, ale ten weekend jest przeznaczony na odpoczynek i nie będę ukrywać, że bardzo mi na nim zależy. Przeżyłem bardzo wiele samotnych miesięcy. Potrzebuję mojej córki. Potrzebuję mojej rodziny, jeśli można nas tak określić.

- Nie jesteśmy rodziną - zaprotestowała, tym razem nieco łagodniej.

- Ależ oczywiście, że jesteśmy. Ja jestem ojcem, a ty córką.

- Ledwo się znamy.

- Dlatego tak niecierpliwie oczekiwałem ferii. Najwyższy czas, żebyśmy zawarli bliższą znajomość, nie sądzisz?

- Kiedyś nie było tak źle.

- Było okropnie. Chciałem uszanować fakt, że twoja matka rozpoczęła nowe życie ze swoim mężem, i nie wtrącałem się w twoje wychowanie. I co się stało? Spędzaliśmy ze sobą od czasu do czasu parę godzin i na tydzień w roku jeździliśmy do moich rodziców. Gdybym teraz miał zacząć wszystko od nowa, postępowałbym zupełnie inaczej. Walczyłbym o to, żeby się częściej z tobą spotykać. Nosiłabyś moje nazwisko. Nie ulegałbym tak łatwo twojej matce.

Ugryzł się w język. Przysiągł kiedyś sobie, że nigdy nie będzie oczerniał Liv, choć winił ją za rozpad małżeństwa.

- Te czasy minęły, Saro. Nie mogę cię zmusić, żebyś mnie kochała, ale jestem pewien jak cholera, że spróbuję.

Przygarbiła się. Zobaczył, że płacze, więc podszedł bliżej i wziął ją w ramiona.

- Nie płacz, kochanie. Uda nam się, obiecuję.

Łkała cichutko. Nie objęła go, ale również nie odepchnęła i nagle te wszystkie lata zniknęły. Znowu była małą dziewczynką, która płacze, bo nabiła sobie guza, a on pocieszał swoją ukochaną córeczkę.

- Wiem, że ci ciężko. Twoje życie przewróciło się do góry nogami. To naturalne, że nie masz poczucia stabilizacji. Dlatego musimy spróbować.

- Nie wiedziałam, że chcesz spędzać ze mną czas. - Zaszlochała.

- W czasie ferii?

- W ogóle.

- Żartujesz? Widziałas te wszystkie zdjęcia na kominku? Nie udało mi się wydusić ich zbyt wiele od twojej matki, ale ilekroć byliśmy razem, zawsze cię fotografowałem. Denerwo-

wałaś się i pokazywałaś mi plecy, pamiętasz? Ja jednak czasem nimi żyłem.

- Nie przyjeżdżałaś.

- Sądziłem, że wyrządzam ci przysługę. Nie musiałaś się przynajmniej zastanawiać, kto właściwie jest twoim ojcem, ale istniał jeszcze inny powód. Nigdy nie prosiłaś, żebym przyjechał. Kiedy odwoziłem cię do domu, nie pytałaś, kiedy znów się zobaczymy. Nie zapraszano mnie na twoje występy, choć twoja matka ma wiele zdjęć z tych przedstawień - ale na swoim kominku. Kiedy zaczęłaś biegać, też nie powiedziałaś mi ani słowa, mimo że wiedziałaś, jak bardzo to lubię. Trenowałem przecież, kiedy bywaliśmy u dziadków.

- Nie sądziłam, że coś takiego może cię w ogóle zainteresować.

- Widzisz. A ja myślałem o tobie nieustannie. Zawsze telefonowałem z życzeniami urodzinowymi albo przysyłałem ci prezent. Na wszystkie święta wysyłałem kartki z życzeniami i nie pisałem wyłącznie: „Całuję, tata”. Staralem się przekazać ci w tych liścikach coś istotnego. Na przykład, co oznacza taka pocztówka, albo czym się w danym momencie zajmuję, czy też swoje domysły o tym, co ty robisz. - Odgarnął jej z twarzy pasmo włosów, które miały dokładnie ten sam kolor, co jego własne. - Zawsze zależało mi na tobie, Saro. Zarówno przez te wszystkie lata, jak i teraz.

- Przecież nienawidzisz swojej pracy. Zgodziłaś się objąć stanowisko dyrektora szkoły ze względu na mnie. Pod koniec roku wyjedziesz, a ja będę musiała się tu męczyć jeszcze dwa lata.

- Jeśli ty zostaniesz, ja również. Znieruchomiała.

- Nie wyjedziesz? - spytała po chwili ciszy.

- Nie wiem, ale nawet jeśli tak, zabiorę cię ze sobą.

Znowu milczała chwilę.

- Dlatego, że mogę się uczyć za darmo tam, gdzie pracujesz.

- Kochanie, zapłaciłbym dziesiątki tysięcy dolarów, gdybyś nagle zapagnęła chodzić do szkoły, z którą nie miałbym nic wspólnego. Nie chodzi o pieniądze. Ty jesteś najważniejsza. Koniec kropka.

Znowu zaczęła płakać.

- To najlepsze i najgorsze, co może mnie spotkać - szepnął. - Zawsze tak było. Najgorsze, bo płakałaś, ilekroć było ci źle, a najlepsze, bo musiałem cię pocieszać. Chciałbym i teraz uspokoić cię tak samo łatwo jak wtedy, kiedy miałaś roczek, ale problemy są znacznie bardziej skomplikowane. - Tulił ją, dopóki nie przestała płakać. - Kocham cię, Saro. Wiem, że mi nie

wierzysz, ale tak jest. Potrzebuję szansy, żeby ci to udowodnić.

Siąknęła nosem. Odwróciła się od ojca i wyjęła chusteczkę z pudełka.

- Nie rozumiem, dlaczego. Mnie przecież nie można kochać.

- Kto ci naopowiadał tych bzdur? - zapytał podejrzewając, że Sara cytuje Liv. Uniósł dłoń. - Ktokolwiek tak mówił, mylił się. Każdego można kochać. Trzeba tylko dotrzeć do... dotrzeć do... dotrzeć... - Co jest do cholery? - Dotrzeć do tego, co w nim najmiłsze.

Stała przy toalecie, tyłem do Noaha.

- Więc spróbujmy - powiedział łagodnie. - Dobrze?

Milczała, więc pomyślał, że nie obejdzie się bez problemów, ale nigdy na nic innego nie liczył. Nawet najbardziej elokwentny i żarliwy mówca nie wymazałby tylu nieporozumień w ciągu jednej rozmowy. Sara nie miała o nim najlepszej opinii. Do takiego stanu rzeczy mógł przyczynić się Jeff, mąż Liv, albo też uraz tkwiący gdzieś głęboko w niej samej. Nie uda się niczego zmienić w ciągu paru dni.

- Naprawdę bardzo mi się podobała ta czerwona garsonka - powiedział. - Wrzuć kilka ciuchów do plecaka, weź resztę razem z wieszakami i pojedziemy do domu. Muszę ci coś pokazać.

Tym czymś był zestaw mebli do sypialni Sary. Noah całymi dniami szukał odpowiedniego łóżka, stolika i toaletki, a nawet grubej kołdry pasującej do kwiecistych powłoczek i jasnozielonej wykładziny. Sara nie powiedziała ani słowa, ale wyraźnie się ucieszyła. Długo stała przy drzwiach i patrzyła na swój pokój rozszerzonymi oczami, a na jej twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu.

Perrine odwiesił ubranie do szafy i zostawił córkę samą, żeby się mogła przebrać. Piętnaście minut później, już zupełnie beztrioski jechał do restauracji Berniego Bernaise z Sarą u boku. Gdy mijał Tucker General i przyległy do niego budynek przychodni, wydawało mu się, że widzi samochód Paige.

Gdyby był sam, zatrzymałby auto i podzielił się z nią swoim małym sukcesem. Często myślał o tej kobiecie, szczególnie w środku nocy, kiedy budził się w łóżku, które wydawało mu się zbyt duże, zimne i sterylne. Uważał, że to dość dziwne, bo sypiał w nim już długo i dotąd nie narzekał.

Wahał się, czy się jednak nie zatrzymać, bez względu na Sarę, ale doszedł do wniosku, że teraz musi przeznaczyć swój czas wyłącznie dla córki i nie chciał, by cokolwiek mu przeszkodziło.

Paige zaparkowała pod przychodnią i poszła na górę. Kiedy weszła do biura, zobaczyła, że Ginny stoi przy telefonie, ściskając kurczowo dużą, papierową torbę.

- Kupiłam mleko w czasie przerwy na lunch i zostawiłam je tutaj. Kiedy po nie wróciłam, on już tu był - szepnęła zmartwionym tonem.

- Dobrze się stało. Dziękuję. Zaraz do niego idę - powiedziała Paige, poklepując ją po ramieniu.

Peter był u siebie w gabinecie i ledwo siedział. Wyglądał tak, jakby miał zaraz runąć na podłogę.

- Cześć! - powiedziała Paige, podchodząc do biurka. - Co porabiasz?

Zasłonił przed nią coś, co wyglądało jak zwinięta, wygnieciona kartka.

- Sprzątam. - Wyciągnął dłoń w kierunku stojących przed nim butelek whisky.

Jedna z nich, prawie już pusta, przewróciła się. Chciał ją podnieść, ale nie potrafił. Paige ustawiła ją prosto. Peter zaklął cicho, widząc, że część drogiego płynu rozlała się na biurko, a Paige natychmiast wytarła plamę.

- Zwykle o tej porze chodzisz do Tavern. Jadłeś już kolację?

- Nie chcę jeść. To nie ma sensu.

- Oczywiście, że ma. Musisz być silny. Pacjenci na ciebie liczą. - Zaczęła się modlić w duchu, żeby tej nocy żadnemu z nich nie przyszło do głowy prosić Petera o pomoc. Potem pomyślała, że może go zastąpić. Niestety nie rozwiązywało to całkowicie problemu, bo jeśli ktoś zobaczyłby, jak Grace zatacza się na ulicy, już nazajutrz całe miasto wiedziałoby, że ulubieniec wszystkich tuckerczyków upił się w trupa.

Paige nigdy nie widziała go w takim stanie i próbowała dociec, dlaczego wypił aż tyle.

Znów zrobił taki ruch, jakby chciał coś przed nią ukryć.

- Co tam masz? - spytała.

- Nic takiego - odparł, starając się wymawiać wyraźnie każde słowo.

Ale to było zdjęcie. Tyle udało się jej zauważyć. Poczula, że ogarnia ją przygnębienie.

- Peter, przecież mówiłeś, że je zniszczyłeś!

- Chciałem. Już były w ko... szu na śmieci - bełkotał. - Ale je wyciągnąłem. Tyllle mi po niej zostało.

- Tak nie można. Przecież wiesz. Nawet gdyby miała osiemnaście lat.

Zaśmiał się.

- Allle ona nie miała osiemnastu lat. Może chciała, ale przecież widać było zmarszczki na

rękach, na szyi, o... - pokazał - takie malutkie, tycie, a jednak. I na udach. Bardzo ją denerwowały...

Paige skorzystała z okazji i chwyciła zdjęcie, ale zanim na nie spojrzała, ogarnęła ją jakaś dziwna pewność, że wie, kogo na nim zobaczy.

Na fotografii była Mara - całkowicie ubrana uśmiechała się głupawo do obiektywu. Zapewne niewiele osób widziało u niej taką minę.

Paige poczuła się jeszcze gorzej. A więc nie pedofilia, tylko co? Fascynacja? Obsesja? Miłość?

- Jest piękne - powiedziała. - Nie wiedziałam, że ją fotografowałeś.

Sięgnął po zdjęcie, położył je z powrotem na biurku i potarł, jakby chciał wyprostować zagniecenia.

- Tysiące razy - mamrotał. - Tysiące razy. Paige przysunęła sobie krzesło i usiadła bliżej.

- Ona na pewno to lubiła. Wiedziała, że jej pragniesz. Zmarszczył się.

- Tak było.

- Kochałeś ją, prawda?

- Kochałem. - Znowu się skrzywił. - Powiedziała, że wszystko zniszczyłem.

- Co zniszczyłeś?

- Nas. Mówiła, że ja zawsze potrafię wszystko zepsuć. - Spojrzał na Paige. - Układy z kobietami - dodał, jakby uważał to za oczywiste, i spojrział chmurnie na zdjęcie. - Niby wma-
wiam sobie, że nie jestem ich wart - tak właśnie uważała. Głupia sprawa, co? - spytał.

Nim jednak zdążyła odpowiedzieć, znów sięgnął po whisky. Paige przytrzymała butelkę.

- Może już wystarczy?

- Samotni nigdy nie mają dość.

- Nie jesteś samotny. Zawarłeś wiele przyjaźni.

- Ale ona odeszła - powiedział i twarz skurczyła mu się dziwnie. Paige zobaczyła z prze-
rażeniem, że Peter płacze.

Dotknęła jego ramienia.

- Tak mi przykro, tak bardzo przykro. - Jednak miłość. Na nieszczęście.

- Ona była najlepsza - wykrztusił przez łzy.

- Wiem.

- A ja nigdy jej... a ja jej nigdy nie powiedziałem... I zabiła się. Myślała, że... nie wiedzia-
ła, że ja ją...

- Nie dlatego. Nastąpił bardzo nieszczęśliwy splot okoliczności.

- Wszystko przeze mnie.

- Nie. Nie jesteś winny bardziej ode mnie, Angie, czy jej rodziców - powiedziała Paige, ściskając go za ramię. - Wszyscy myśleliśmy, że Mara jest silniejsza, niż w istocie była, więc popełniliśmy masę błędów, ale żaden z nich nie spowodował tej tragedii. Zdarzyło się wiele rzeczy, na które nie mieliśmy wpływu.

Peter kręcił głową.

- Nawet nie możemy być pewni, czy popełniła samobójstwo - dodała łagodniej.

- Wszystko przeze mnie.

- Może była skrajnie wyczerpana. Zasnęła i... Nigdy się nie oszczędzała. Niewykluczone, że nagle całkiem zabrakło jej sił.

Kiedy tym razem sięgnął po whisky, zdjęła obie butelki z biurka i postawiła je na kredensie.

- Muszę - jęknął. - Niedobrze mi - dodał i pozieleniał na twarzy.

Paige w samą porę zawlokła Petera do łazienki. Kiedy opróżnił żołądek, pomogła mu się umyć. Poszła z nim do kuchni, gdzie przy jej pomocy z trudnością usadowił się na krześle. Potem przygotowała cały dzbanek mocnej kawy i poiła Petera dopóty, dopóki odrobinę nie wytrzeźwiał.

- Lepiej? - spytała w końcu. Objął głowę rękami.

- Nie bardzo - mruknął. - Ale już co nieco kojarzę. - Milczał chwilę. - Za dużo gadałem, prawda?

- Nie.

- Żadnych kretyńskich wyznań?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Nie zamierzała kopać leżącego.

- Mówiłeś, że bardzo lubiłeś Marę, i że ci jej brak, dzięki czemu czuję się o wiele lepiej. Przecież sama tyle o niej myślę.

- Wszystko przez ciebie - burknął. - Nie chcesz zatrudnić czwartego lekarza.

- Dałam już ogłoszenia do gazety, ale ukążą się dopiero w przyszłym tygodniu. Na pewno ktoś się zgłosi.

- A ty codziennie patrzysz na tę małą. Ledwo się obudzisz, już ją widzisz.

- Dobrze mi z tym.

- Przypomina ci Marę.

- Pomaga mi odzyskać równowagę. Kiedy agencja wybierze wreszcie odpowiednią rodzinę dla Sami, będę w lepszym stanie. - Nalewała mu ostatnią już filiżankę kawy, kiedy przypomniała sobie o whisky, której w żadnym wypadku nie powinien znaleźć.

- Wypij. Zaraz wracam.

Wróciła do biura i chciała zabrać butelki z kredensu, ale coś przykuło jej uwagę. Był to ręcznie pisany list na welinowym, perfumowanym papierze. Znała ten zapach. Kojarzył się jej z Mount Court.

Podniosła niespokojnie arkusik. Nie mogła odczytać skomplikowanego monogramu na pierwszej stronie, ale charakter pisma nadawcy był niewątpliwie ładny, porządny, choć jeszcze niezupełnie wyrobiony.

Drogi Doktorze - przeczytała. - Przykro mi, że postawiłam pana wtedy w parku w głupiej sytuacji. Chciałam tylko być z panem. Od dawna marzyłam, żeby mógł mnie pan tak zobaczyć. Już nie jestem małą dziewczynką jak wtedy, kiedy przyjechałam do Tucker. Wyrosłam. Teraz i pan miał okazję się o tym przekonać. Zdjęcia na pewno będą świetne.

Paige nie czytała już dalej. Wściekła, poszła z powrotem do kuchni i położyła mu list przed nosem.

- Co to jest? - spytała oskarżycielskim tonem. Zmarszczył się i obejrzał dokładnie arkusik.

- List od Julie Engel - wymamrotał.

- Widzę. Jak należy go rozumieć?

- Nie krzycz - poprosił, unosząc lekko głowę.

- Mówiłeś, że nie masz żadnych problemów! - wrzasnęła.

- Bo nie mam - odparł i skrzywił się.

- Dlaczego w takim razie Julie Engel wysyła ci perfumowane listy?

- Bo jest chora na głowę. To ta dziewczyna mnie uwodziła, a nie odwrotnie. Uciekłem, a ona przesłała mi przeprosiny.

- I podziękowania za zdjęcia. Jakie zdjęcia?

- Te, które jej zrobiłem. Chciała wysłać je w prezencie żonie swojego ojca.

- Przestań. - Paige przewróciła oczami. Po tym, jak wysłuchiwała jego pijackich wyznań i doprowadzała do porządku, poczuła się oszukana.

- Naprawdę. Przynajmniej tak mi powiedziała. Zrobiłem zupełnie niewinne zdjęcia. A jak rozpięła bluzkę, zwałem. Po powrocie do domu prześwietliłem film. - Wziął filiżankę w obie dłonie, ale ledwo doniósł ją do ust.

- Mam nadzieję - westchnęła Paige - bo mogę równie dobrze poszukać od razu dwóch lekarzy. Ostatni raz cię pytam, czy przypadkiem nie potrzebujesz pomocy.

- Pogadaj z Julie - mruknął.

- Rozmawiam z tobą. Dla dobra wszystkich naszych pacjentów muszę wiedzieć, czy istnieje jakiś powód, dla którego nie powinieneś leczyć dzieci.

- Nie ma takiego powodu. - Wstał z trudnością, ale już dość pewnie trzymał się na nogach. - Dzięki ci za nie - dodał i wyszedł z kuchni.

Patrzyła, jak idzie prosto korytarzem, a gdy zniknął jej z oczu, zabrała się do sprzątanania.

Rozdział szesnasty

W sobotę wieczorem, tuż po dziesiątej, Peter skręcił na drogę wiodącą na cmentarz. Dodał gazu i zatrzymał auto dopiero na szczycie wzgórza. Wsiadł, sięgnął po mały bukiet kwiatów i poszedł na grób Mary.

Tuż nad horyzontem zawisł sierp księżycy, zbyt cienki, by oświetlić ziemię, ale Peter nie bał się ciemności. Nie lękał się również nagrobków, stojących na tym polu umarłych, bo przez ostatnie parę tygodni i tak prześladował go duch. Nie mogło go spotkać już nic gorszego.

Był zupełnie trzeźwy. Od czasu, gdy tak wygłupił się przed Paige, nie pił nic prócz soków owocowych. Pamiętał tylko strzępy rozmowy, szczegóły zupełnie się zatarły, ale i tak podejrzewał najgorsze. Następnego ranka nie pozostało mu nic innego, jak spojrzeć wspólnicze prosto w oczy i zapewnić, że jest w stanie normalnie przyjmować.

Nagrobek Mary został wykonany z granitu. Kamień pozostał w zasadzie nietknięty, oprócz tego, że w środku wypolerowano maleńki kwadracik, na którym widniało nazwisko i imię, daty urodzin i śmierci, oraz epitafium: „Droga przyjaciółka, uzdrowicielka, zawsze kochana, niezapomniana”.

Peter zdjął kilka liści z kamienia i grobu. Sprzątnął również wiązankę, którą położył tam tydzień wcześniej, i zastąpił ją świeżym bukietem. Kwiaty były żółte, czerwone, żywe - na pewno podobałyby się Marze. Wiedział, że niedługo zwiędną, ale chciał jej przynieść coś miłego.

Lepiej późno niż wcale - pomyślał i usiadł na usypanym własnoręcznie kopczyku liści.

- Wpadłem w odwiedziny - powiedział. - Jestem bardzo samotny.

Nie widywał się z Lacey i już mu na niej nie zależało. Ta znajomość dobiegła końca i umarła śmiercią naturalną, jak na ironię bardziej ostateczną niż jego związek z Marą. To, co łączyło go z Lacey, nie miało takiego znaczenia jak uczucie do Mary. Wygadał się już przed Paige, więc równie dobrze mógł wyznać wszystko tej, którą kochał.

- Nie ma wielu takich kobiet jak ty. - Tęsknił za nią aż do bólu. - Pojęcia nie mam, jak będę bez ciebie żył.

Możesz się umówić z jakąś miejscową dziewczyną - usłyszał nagle jej głos.

- Nigdy w życiu tego nie robiłem. Przecież wiesz. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zaczął.

- Po co? Nie chciały mnie, kiedy dorastałem, a ja ich teraz nie potrzebuję. Poza tym - dodał - za dużo wiedzą. Znają moich braci. I próbowałyby was porównywać? Bzdura. Nikt już nie porównuje cię z braćmi. Wszystko wymyśliłeś.

- Możliwe, ale nadal w to wierzę. I nie mów, że brak mi pewności siebie. Pisałaś o tym w listach?

- Nie musiałam. Wszyscy, którzy cię znają, doskonale wiedzą, jaki jesteś.

- Jezu! Serdeczne dzięki! Zawsze potrafiłaś mnie wprowadzić w doskonały nastrój. Czy mówienie miłych rzeczy naprawdę sprawia ci przykrość?

- Napisałam parę.

- Czyżby? Na jaki temat? Zgadnij.

- O tym? Naprawdę? - Ucieszył się. - Ciekaw jestem, jak zareagowała Paige. Przydałoby mi się nieco uznania z jej strony. Teraz ona myśli, że pociągają mnie małe dziewczynki. Mówiłem jej, że wolę dorosłe kobiety, ale mi nie uwierzyła. Doszła do wniosku, że w ogóle nie powinienem zajmować się leczeniem.

- Musisz jej wybaczyć. Żyje w ciągłym napięciu.

- Ja również, a ona zwleka z zatrudnieniem nowego lekarza, choć ty pierwsza kazałaś jej kogoś znaleźć.

Więc musisz sam załatwić sprawę.

- Ja? O, nie. To działka Paige. Porozmawia z kandydatami, a potem przedstawi mi najlepszych do akceptacji. Nie będę tracił czasu na nieudaczników.

- Popeliłeś błąd w rozumowaniu.

- Jaki?

- Nie będziesz miał nawet w połowie takiego wpływu na ostateczny wybór. Paige może na przykład od razu odsiać jakąś śliczną młodą kobietę, z którą ty miałbyś ochotę pracować.

- Celną uwaga.

- Uważam, że Paige podejmuje samodzielnie stanowczo zbyt dużo decyzji. Za bardzo się rządzi. W konsekwencji czuje się ważna i uważa, że miałaby prawo donieść na mnie izbie lekarskiej, która mogłaby mi odebrać licencję. Jeśli kiedyś spróbuje zrobić coś takiego, narazi się na poważne kłopoty. Mój zawód jest dla mnie tak samo ważny, jak dla ciebie. Jak był dla ciebie - poprawił szeptem. - Umarłbym bez pracy.

Gdzieś w oddali zawyła syrena.

- Oho. Wypadek. Ciekaw jestem, gdzie tym razem. - Postawił kołnierz płaszcza. - Pewnie jeden ze staruszków władował się swoim dostawczakiem na drzewo.

- Jesteś okropny.

- Nie. Tylko rzeczowy. - Zadrżał i spojrzał na prawie nagie konary. - Idzie zima. Niedługo spadnie śnieg. - Zaczął się zastanawiać, czy Marze jest ciepło dwa metry pod ziemią.

Jeśli rzeczywiście chciał uchodzić za rozsądnego faceta, musiał przyjąć do wiadomości, że ona nie będzie już nic czuła - ani tej, ani następnej zimy, a nawet za dziesięć i sto lat. Umarła. U-m-a-r-ł-a.

Podniósł się, zanim nieodwracalność tego wyroku nie zwała go na dobre z nóg.

- Muszę lecieć. Słyszę następną syrenę. Coś się dzieje. Może potrzebują lekarza.

Ruszył naprzód, ale zatrzymał się, zrobił półobrót i zawrócił. Ukląkł, przesunął kwiaty bliżej obelisku i czubkami palców pogładził litery składające się w jej imię.

- Wrócę - szepnął.

Gdy szedł do samochodu, serce, przepełnione uczuciem do Mary, biło mu jak szalone, więc uruchomił szybko silnik i ruszył na poszukiwanie jakiegoś zajęcia.

Noah wreszcie odczuł coś na kształt podszytego zmęczeniem zadowolenia - był zupełnie wyczerpany fizycznie, ale usatysfakcjonowany emocjonalnie. Łódka spoczywała bezpiecznie na dachu wozu, który ciągnął za sobą przyczepę kempingową.

Sara przysnęła oparta o drzwi. Pas napiął się do granic możliwości, a Noah sprawdził po raz dziesiąty, czy blokada działa. Oddałby wiele, żeby córka położyła głowę na jego ramieniu. Język ciała potrafił przekazać wiele znaczeń. Ale Perrine musiał zdobyć się na cierpliwość.

W ciągu ostatnich paru dni udało im się poczynić postępy. Nie rozmawiali wprawdzie

wiele, ale współpraca układała im się fantastycznie. Sara nie narzekała, kiedy trzeba było przenieść łódkę, rozbić obóz ani nawet wtedy, gdy natychmiast po przebudzeniu ujrzała za oknami szalejącą zamieć śnieżną, która zresztą nadeszła i skończyła się równie gwałtownie. Oczywiście Perrine marzył, żeby okazała choćby minimalny entuzjazm. Chciał, żeby wykrzykiwała: „Och, tato, wspaniale!” albo „Świetny jesteś!” czy „Mogę się założyć, że nikt nie ma równie cudownych ferii!”

W lusterku mignęły światła karetki, a zaraz potem usłyszał syrenę. Zjechał jak najbardziej na prawo, nie ocierając się jednak o balustradę, która zabezpieczała dwupasmówkę. Nie chciał wiedzieć, co jest za barierą. Ukształtowanie terenu sugerowało wyraźnie dziesięciometrowy uskok, prowadzący wśród drzew i kamieni aż do strumienia. Po raz jedenasty sprawdził blokadę drzwi po stronie Sary.

Karetka przeleciała obok nich jak błyskawica. Noah przyspieszył i wyjechał na środek szosy. Było piętnaście po dziesiątej. Nie spali od świtu. Przed wypłynięciem na wodę ogrzali się, zjedli śniadanie i zwinęli obóz. W południe było już tak ciepło, że poranna śnieżycy wydawała się żartem.

Cieszył się, że wyruszyli na tę wyprawę właśnie teraz. Za parę tygodni nadejdzie już prawdziwa zima. Myślał o niej z przyjemnością. Świat otulony białym płaszczem śniegu, zredukowany do podstawowych kształtów, wydawał się zarazem bardziej wyrazisty. Nie wiedział jednak, czy Sara lubi zimę. Może za kilka lat wybiorą się dalej na północ. Na trzy, cztery dni. Spłyną wtedy w dół wodospadu.

Nikłe światło księżycy prześwitywało przez nagie gałęzie drzew. Jeszcze miesiąc temu nie zdołaloby się przedrzeć przez liście.

W lusterku znów zamigotały światła ambulansu. Noah musiał jeszcze raz zjechać na prawo. Tym razem minęły go trzy karetki jadące z ogromną prędkością. Na pewno doszło do jakiegoś poważnego wypadku, a Noah próbował dociec, gdzie.

Sara drgnęła. Uniosła głowę w chwili, gdy ostatnie migające światła zniknęły za zakrętem szosy.

- Co się stało?

- Nie wiem, ale chyba coś poważnego. Ściągają ambulanse ze wszystkich stron.

Wyprostowała się.

- Może jakiś wypadek samochodowy.

- Za dużo karetek.

- W takim razie katastrofa autobusowa. Albo jakiś wariat strzela do gości w Tavern.

Popatrzył na nią rozbawionym wzrokiem.

- Dobry Boże! Kochanie! Widzę, że masz bujną wyobraźnię.

Wzruszyła ramionami.

- W Kalifornii naprawdę zdarzyła się taka historia. W barze szybkiej obsługi. Siedziało tam wtedy wiele rodzin, w większości z dziećmi.

- To charakterystyczne dla dużych miast. Ale w małym, spokojnym, prowincjonalnym Tucker chyba nam coś podobnego nie grozi. - Zobaczył za sobą następną karetkę. - Chociaż może masz rację - powiedział, gdy już ich minęła.

- Pojedziemy za nimi?

- Nie. Przeszkadzalibyśmy tylko. - Nie chciał narażać Sary na makabryczne widoki. - Wracamy do domu, i tak wkrótce się wszystkiego dowiemy.

- W Mount Court? - spytała takim tonem, jakby chciała sprowadzić go na ziemię. - Nie należymy do tego miasta, choć mieszkamy w jego obrębie.

- To wyjątkowo przenikliwe spostrzeżenie - odparł. - W dodatku prawdziwe pod wieloma względami. Tak wieloma, że aż nie chce się liczyć.

- Nienawidzą nas.

- Nie. Po prostu nie znają. Założyli, że wiedzą, kim jesteśmy, jakie reprezentujemy wartości, jak się zachowujemy, a na nieszczęście postępowanie uczniów Mount Court w ciągu ostatnich paru lat całkowicie usprawiedliwia taką opinię. W tym roku rozpoczęliśmy trochę lepiej.

Znów zbliżyła się do nich pędząca karetka - już siódma według obliczeń Noaha. Perrine pomyślał, że wcale by się nie zdziwił, gdyby fantastyczne pomysły Sary okazały się niezbyt dalekie od prawdy.

- Sądysz, że jest tam doktor Pfeiffer?

- Wśród ofiar? Dobry Boże, nie!

- Jako lekarz. Jeśli mają wielu rannych, mogą potrzebować jej pomocy.

Uspokoił przyspieszony oddech.

- Rozumiem. Tak, na pewno masz rację.

- Ale ona wyjechała do babci. Słyszałam, jak mówiła o swoich planach niani, kiedy byłam u niej na kolacji.

Noah odczuł natychmiast olbrzymią ulgę, że Paige znalazła się poza zasięgiem zagrożeń.

nia.

- Jeśli będzie im potrzebna, na pewno ją znajdą.

- Okropność.

- Co?

- Tak żyć w stałej gotowości. Jesz sobie kolację w restauracji, a tu nagle dzwoni telefon i musisz natychmiast wyjść, niezależnie od tego, z kim siedzisz przy stoliku.

- Zwykła dola lekarza.

- Cóż, z pewnością jestem zadowolona, że ona nie jest moją matką. - Aluzja Sary była aż nadto przejrzysta i Noah musiałby zupełnie nie znać się na psychice młodych ludzi, żeby jej nie zrozumieć.

Angie czuła się o wiele lepiej. Ona i Ben zabrali Douga do Montpellier, gdzie przez kilka godzin spacerowali po mieście, a potem zjedli wczesną kolację. Później wrócili do Tucker i wypożyczyli dwa filmy na kasetach wideo. Właśnie skończyli oglądać pierwszy i zasiedli do drugiego.

A najlepsze było to, że cały dzień został zaplanowany nie przez nią, lecz przez Bena. Angie przygotowała tylko prażoną kukurydzę, a teraz ostentacyjnie polewała ją rozpuszczonym masłem.

Rzadko robiła cokolwiek na pokaz, a polewanie kukurydzy masłem odbierało sens prażeniu, ale Angie chciała za wszelką cenę wyrwać się z rutyny, w jaką popadła w ciągu ostatnich lat, i gotowa była na wszystko, by tego dokonać. Polewała więc kukurydzę masłem, ignorowała fakt, że jej mąż wybrał film przeznaczony dla dorosłych, a także nie zważała na wycie karetek, które dochodziło do nich z oddali już co najmniej od dziesięciu minut.

- Ciekawe, co się stało - powiedział Ben, gdy Angie z pełnym talerzem wróciła do pokoju.

- Pojęcia nie mam - odparła z zamierzoną nonszalancją. - Peter jest na dyżurze. Poradzi sobie ze wszystkim. - Nie popatrzyła na męża, żeby sprawdzić, czy jest zadowolony. Na pewno był. Z jej słów wynikało wyraźnie, że na pierwszym miejscu stawia rodzinę, co choć częściowo spełniało jego oczekiwania.

- Usiądź tutaj, mamus. - Dougie przesunął się lekko i zrobił jej miejsce obok Bena. - Zaczyna się film. Jest bardzo dobry.

- Skąd wiesz?

- Bo już go widziałem.

- Kiedy? - spytała, odważywszy się zerknąć na męża.

- W szkole. Moi koledzy wypożyczyli go u Reelsa.

- Ale to film dla dorosłych.

- Są wystarczająco dorośli.

- Ach, tak.

- Nie ma różnicy, w czyim towarzystwie go ogląda - wtrącił łagodnie Ben. Angie widziała wyraźnie, że stara się nie zaognić sytuacji i dzięki temu było jej łatwiej.

- Lepiej, że w naszym - odparła lekko. - Możemy odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Albo komentować scenę po scenie. Ewentualnie w odpowiednim momencie zakryć mu oczy.

- Tu nie ma seksu - poinformował ją Dougie. - Jest tylko dużo przemocy.

- Przemoc. Świetnie. - Zawyla następna syrena. - Przez te odgłosy na zewnątrz i sceny w filmie będę miała złe sny - żartowała, ale tak naprawdę wcale nie była specjalnie przerażona. Siedziała pomiędzy mężem a synem. Panowała między nimi bardzo miła atmosfera i na Angie nawet najgorsze koszmary nie zrobiłyby wrażenia. Dla tej chwili zgodziłaby się na wszystko.

Ben zgasił światło i zalała ich ciemność rozświetlona jedynie jasnym ekranem telewizora. Kiedy zaczęła się czołówka, zadzwonił telefon.

Angie chciała wstać, ale zamiast tego trąciła Dougiego.

- W weekend na ogół dzwonią do ciebie. Idź. Zatrzymamy film. - Miała wrażenie, że dokonuje rewolucji. Ben oskarżał ją, że jest zaborcza, więc na początek pozwoli odbierać synowi telefony. Ta czynność nie wymagała wielkiego wysiłku. Wystarczyło przejść przez pokój.

- Mamo, do ciebie! - zawołał Dougie po chwili.

- Przepraszam. - Wstała. Gdy brała od chłopca słuchawkę, już wiedziała, że to sprawa służbowa. Nikt nie dzwoniłby w celach towarzyskich w sobotę wieczór.

- Angie, mamy problem - odezwał się Peter.

Jeśli chciał powiedzieć, że jest w łóżku z kobietą i prosi o zastępstwo, niepotrzebnie się fatygował.

- Słyszałaś o tej imprezie w kinie? Już od paru dni nie można było dostać biletów na koncert Henderson Wheel.

Jamie Cox chodził dumny jak paw, bo udało mu się zorganizować ich występ.

- Tak? - Zawiesiła głos, przeczuwając coś niedobrego.

- Balkon się zawalił. Setki ludzi spadły cztery metry w dół, na parter, a razem z nimi

zmurszałe drewno, cement i fotele. - Wydał odgłos oznaczający niedowierzanie. - Nikt nie wie, ilu jest rannych i zabitych. Na razie usiłują ich stamtąd wyciągnąć. Izba przyjęć pęka w szwach. Karetki jeżdżą co dwie minuty, przywożą rannych do szpitala i wracają po następnych. Helikoptery zabrały już tych, którzy byli w krytycznym stanie, ale pozostała jeszcze cała reszta. Oni nas potrzebują, Angie. Nie wiesz, gdzie można znaleźć Paige?

Angie widziała już oczyma duszy ten cały koszmar, stokroć bardziej przerażający niż najokrutniejszy film, bo prawdziwy. Zadrżała i spojrzała na Bena, który właśnie wstał z kanapy i szedł w stronę telefonu,

- Gdzie mam szukać Paige? - zapytał ponownie Peter.

- Ach, tak. U babci. Zostawiła mi telefon. Zaraz do niej zadzwonię.

- Przyjedź jak najszybciej. To prawdziwa rzeź.

- Co się stało? - spytał Ben.

- W czasie koncertu Henderson Wheel u Coxa zawalił się balkon. Są setki rannych.

Wszystkich odwożą do izby przyjęć.

- W trakcie koncertu? - powtórzył za nią Dougie, błądy jak ściana. - Przecież tam się wybierała połowa miasta.

Angie położyła mu rękę na ramieniu i patrzyła na Bena błagalnym wzrokiem.

- Mara przeczuwała coś takiego. Wiedziała, że kino nie jest bezpieczne.

- I tak nie mogłaby odwołać występu. Cox zbyt długo planował całą tę imprezę. Nie pozwoliliby sobie przeszkodzić.

- Sądziecie, że Cox nasłał na Marę płatnych morderców? - spytał Dougie.

- Nie - odparli unisono.

- Nie - powtórzyła Angie łagodnie - ale ludzie będą teraz wiele mówić o Marze. - Spojrzała na Bena pytająco.

Podświadomie wskazywał głową drzwi.

- Idź - powiedział. - Jesteś tam teraz niezbędna.

- Chciałam zostać tutaj.

- Wiem, ale to nagły wypadek. Nie przedkładasz w ten sposób pracy ponad rodzinę. Oni po prostu potrzebują cię teraz bardziej niż my.

Fala ciepła zalała jej serce i rozproszyła chłód, jaki w nim zagościł od rozmowy z Peterem. Przytaknęła, przytuliła Dougiego, a potem Bena. Bez zastanowienia otworzyła szufladę, wyjęła notes, odnalazła odpowiednią stronę i wystukała numer babci Paige.

Paige przysypiała właśnie na czerwonym dywanie przed kominkiem, kiedy zadzwonił telefon. Ostry dźwięk był tak bardzo nie na miejscu, że natychmiast zerwała się na równe nogi, ale Nonny, siedząca nie opodal na białym, wiklinowym krześle, wyciągnęła tylko rękę po słuchawkę.

- Halo - powiedziała z charakterystyczną słodyczą. Słuchała chwilę, spojrzała na Paige i kontynuowała rozmowę. - Nie, Angie, oczywiście, że mnie nie obudziłaś. Paige, owszem, drzemała, a mój mały króliczek śpi już od dawna, ale ja będę czuwać jeszcze co najmniej dwie godziny. Czy coś się stało? Masz taki zdyszany głos.

Paige przyklękała, gotowa wziąć od niej słuchawkę.

- O mój Boże - powiedziała Nonny. - Mhm, mhm. Tak... Nie, kochanie, to żaden kłopot. Obudził ją telefon. Już ci ją daję.

- Angie? - spytała Paige, zerkając na zegar.

- Stało się coś strasznego, Paige. U Coxa zawalił się balkon w czasie koncertu Henderson Wheel.

- Co takiego?!

- Jest bardzo dużo rannych. Właśnie dzwonił Peter, a ja już jadę do szpitala. Potrzebują pomocy. Tam jest teraz podobno istny dom wariatów. Przykro mi, że psuję ci weekend, ale niestety istnieje możliwość, że nasi podopieczni również wybrali się na koncert.

Paige przycisnęła dłoń do piersi.

- Jill poszła tam na pewno z przyjaciółką. Leczymy obie dziewczyny. Balkon się zawalił?!

- Tak twierdzi Peter. Przyjedziesz?

- Już wychodzę. Powiedz, czy są jacyś..: - Nie dokończyła, ale Angie i tak doskonale ją zrozumiała.

- Nie wiem. Wkrótce się okaże.

Paige położyła słuchawkę i powiedziała Nonny, co się stało.

- Nasz szpital nie jest przygotowany na taką katastrofę. - W głowie huczało jej tysiące myśli naraz. - Mara obawiała się pożaru, ale ci ludzie nie są poparzeni, tylko zmiżdżeni. Muszę jechać.

- Oczywiście, że musisz.

- Ale nie mogę zabrać Sami. Szczególnie że nie wiem, co się dzieje z Jill.

- Przecież będę się nią opiekować.

Zabrzmiało to tak naturalnie, jakby dziewczynka mieszkała u Nonny na stałe.

- Nie chciałam prosić.

- I nie prosiłaś. Ale ja cię informuję, że króliczek zostanie ze mną.

- Zaraz z samego rana ją zabiorę.

- Po bezsennej nocy? Wykluczone. Będzie jej tu dobrze. W dodatku przywiozłaś dość pieluch na tydzień.

- Na razie muszą wystarczyć do jutra. Dobrze, może rzeczywiście odbiorę ją po południu. Jeśli będę bardzo zmęczona, wstąpię do domu i prześpię się z godzinkę. Czy mogę do ciebie zadzwonić?

- Oczywiście. Ale nie martw się, jeśli nie odbiorę telefonu. Może pójde z króliczkiem na spacer. Zostaw mi tylko ten mały wózek, którego używałyśmy po południu. Jest świetny. Moja przyjaciółka Elizabeth zabiera wnuki na przejażdżki w najwymyślniejszym wózku, jaki kiedykolwiek widziałam na oczy. Mówi, że to prawdziwe dzieło sztuki, ale tyle w nim wyściółek, zabezpieczeń antywstrząsowych i markiz, nie mówiąc już o kocykach i kołderkach, że w ogóle nie widać spod nich dziecka. Więc proszę cię o ten śliczny, mały wózek. Ja lubię patrzeć na moją Sami.

Ona nie jest twoja. Moja również nie - chciała powiedzieć Paige, bo zabieranie dziecka na weekend do własnej babci sprawiało jej ogromną przyjemność, do której zbyt łatwo mogła się przyzwyczaić. Dlatego uważała, że musi od czasu do czasu zejść na ziemię i spojrzeć prawdzie w oczy.

Teraz jednak, wzięwszy pod uwagę tragedię w kinie, rzeczywistość była już wystarczająco brutalna. Tak więc Paige po prostu mocno uścisnęła Nonny.

- Ratujesz mi życie.

- Dlatego pętam się jeszcze po tym świecie. Masz jechać ostrożnie, słyszysz?

Paige pojechała do Tucker okrężną drogą, bo chciała ominąć kino. Wyobrażała sobie ten sznur karetek, a na własne oczy widziała start dwóch helikopterów, które błyskawicznie odleciały w przeciwnych kierunkach. Nie chciała utknąć w korku.

Przy wejściu do szpitala kłębił się tłum ludzi, więc zaparkowała pod przychodnią, po czym szybko pobiegła przez dziedziniec do izby przyjęć.

Jej oczom ukazał się prawdziwy krajobraz po bitwie. Najpierw zalała ją kakofonia dźwięków - szlochy, okrzyki bólu i strachu, a potem poczuła zapach środków odkażających, nad którym dominowała jednak charakterystyczna woń zmurszałego drewna.

Poczekalnia była pełna rannych, którzy oczekiwali na pomoc w najróżniejszych pozycjach - niektórzy siedzieli, niektórzy leżeli, inni trzymali się mebli lub opierali niepewnie o ścianę. Na ich podartych ubraniach i skórze widoczne były ślady brudu i krwi.

Wprawdzie Paige została przeszkolona w zakresie udzielania pomocy ofiarom wypadków, ale do tej pory nie miała okazji wykorzystać tych umiejętności. Ogarnęło ją przerażenie, tym większe, że wśród rannych było tylu młodych ludzi. Dostrzegła wiele znajomych twarzy, ale nie znalazła ani Jill, ani jej koleżanki. Niektórym rannym towarzyszyli rodzice lub rodzeństwo, którzy od razu pospieszyli na miejsce wypadku. Inni poszkodowani szukali wsparcia u towarzyszy niedoli.

W drzwiach stanęła pielęgniarka z listą pacjentów. Miała zalekziony wyraz twarzy.

- Czy wszyscy zostali już wstępnie zbadani?

- Chyba tak. Ale jest tylu rannych. Pacjentów w najcięższym stanie helikoptery zabrały na oddział chirurgii urazowej do Burlington. Paru z nich musieliśmy zatrzymać tutaj, ale kiedy wyszli ze wstrząsu, również tam poleciecieli. I tak ominęło panią najgorsze.

- Ofiary śmiertelne?

- Trzy na miejscu.

Paige przymknęła oczy, ale na nic więcej nie mogła sobie pozwolić. Minęło pół godziny od wypadku. Ludzie z najcięższymi obrażeniami, których nie zabrały helikoptery, znajdowali się prawdopodobnie na sali operacyjnej lub pooperacyjnej. Z minuty na minutę przybywało rannych w stanie ciężkim, aczkolwiek bezpośrednio nie zagrażającym życiu. Naprawdę była tu potrzebna.

Chciała natychmiast pospieszyć na oddział, ale trudno było się przedrzeć przez labirynt cierpiących. Wśród ofiar znalazło się wielu nastolatków, ale nie brakowało również pacjentów po trzydziestce. Przyjaciele starali się trzymać razem. Paige dostrzegła swoich podopiecznych i starała się wesprzeć ich uściskiem lub przynajmniej dobrym słowem.

- Doktor Pfeiffer! Tutaj! - Usłyszała nagle, że ktoś ją woła.

Przecisnęła się przez tłum i dotarła pod okno, gdzie na parapecie siedziała podtrzymywana przez rodziców szesnastolatka.

- Mówią, że Leila ma tylko złamaną rękę, więc musi czekać - biadolił ojciec dziewczyny.

- Ona strasznie cierpi. Czy nikt nie może przynajmniej jej zbadać?

Paige uniosła ostrożnie bandaż i obejrzała dokładnie miejsce, w którym kość przebiła ciało.

- To skomplikowane złamanie - powiedziała łagodnie. - Trzeba będzie operować, ale w tej chwili nie ma takiej możliwości. Ja dopiero przyjechałam i nie bardzo wiem, co się dzieje. Wszystko będzie dobrze - szepnęła do Leili.

- Wytrzymasz jeszcze chwilę?

Leila skinęła głową, a Paige znów usłyszała wołanie.

- Doktor Pfeiffer! - Obejrzała się. - Butch jest ciężko ranny, pani doktor.

Butch opierał się o ścianę. Tuż obok stała jego siostra - Catherine. Oboje byli kiedyś pacjentami Paige. Butch skończył już dziewiętnaście lat, a Cathy dwadzieścia jeden. Chłopak przyciskał do czoła opatrunek z gazy, a jednocześnie trzymał się za żebra.

Paige uniosła gazę i obejrzała ranę.

- Parę szwów i po wszystkim - zawyrokowała, po czym delikatnie uniosła rękę chłopca, żeby spojrzeć na żebra. - Tu wystarczy obandażować, o ile nie ma przebicia. Wiem, że czujecie się fatalnie - powiedziała, patrząc na oboje współczująco - ale nie ma się czego bać. Ty również byłaś na koncercie, Cathy?

- Tak, ale siedziałam w jednym z pierwszych rzędów na parterze. Chłopcy grali bardzo ostro, więc kiedy usłyszeliśmy trzask, sądziliśmy, że to jakieś efekty specjalne. Potem coś huknęło, ktoś wrzasnął i balkon runął prosto na siedzących za nami ludzi. A Butch miał miejsce na górze. Ci, którzy byli bezpośrednio pod balkonem, zostali przygnieceni. Po prostu zmiażdżeni.

- Nie widzieliście przypadkiem Jill Stickley? Trzy ofiary śmiertelne, trzy ofiary śmiertelne.

- Mignęła mi dwa rzędy dalej - powiedział Butch, co znaczyło dla Paige tyle, co nic. - Bardzo mnie boli, gdy zacznam mówić - dodał słabo.

- Więc siedź cicho - zbeształa go łagodnie Paige. - Pamiętaj, to minie. Złamałeś parę żeber. - Miała nadzieję, że nic ponadto się nie stało, ale nie mogła być pewna swojej diagnozy, bo nie zrobiono jeszcze prześwietlenia.

- Wyzdrowiejesz. Idę na oddział. Im szybciej udzielimy pomocy ludziom, którzy są teraz w gabinetach zabiegowych, tym prędzej będziemy mogli przyjąć następnych pacjentów.

Przedarła się przez tłum, wmawiając sobie, że Jill z pewnością siedziała na balkonie, a nie pod nim, co było mało pocieszające. Jeżeli natomiast odniosła lekkie obrażenia, prawdopodobnie odwieziono ją autokarem do jednego z dalej położonych szpitali. Paige zaczęła się modlić, żeby dziewczyna znalazła się właśnie w tej grupie.

W poczekalni roiło się od wózków i noszy obleganych przez rodziny poszkodowanych.

- Kiedy wreszcie zajmą się Trish? - pytała jedna ze zdenerwowanych matek.

- Jak się masz, Trish - powiedziała Paige, pochylając się nad dziewczyną. - Kiedy tylko się da - obiecała, ściskając jej matkę za ramię.

- Doktor Pfeiffer, Patrick nie może się podnieść! - krzyknęła zapłakana kobieta.

Chłopiec miał na sobie specjalny gorset, który krępował mu ruchy.

- Zrobiliśmy to celowo. Musimy stwierdzić, jaki jest zakres obrażeń. Do tego czasu powinien leżeć spokojnie.

Uśmiechnęła się do nich pokrzepiająco i weszła do sali A, gdzie Ron Mazzie, szef oddziału, pochylał się nad jednym z pacjentów. Asystowała mu pielęgniarka i technik.

- Co mam robić? - spytała, gdy podniósł na nią wzrok.

- Proszę iść do sali F. Albo G. Tam, gdzie brakuje lekarza. W obu czeka wielu rannych.

Dziękuję, że pani przyszła. Jest tu pani bardzo potrzebna.

- Cieszę się, że mogę pomóc. Nie badał pan przypadkiem Jill Stickley?

- Nie. Pewnie ktoś inny się nią zajmował.

Pokiwała głową i wyszła. Rozpytywałaby wszędzie o Jill, ale czekało na nią zbyt wielu pacjentów. Nie traciła czasu na szukanie kitla ani też dezynfekcję, umyła tylko ręce. W gabinecie G zastała jedynie pielęgniarkę. Istotnie brakowało tam lekarza, a ranni byli w dość ciężkim stanie. Paige kończyła wycierać ręce, a pielęgniarka odczytywała jej tymczasem dane jednego z poszkodowanych.

Nazywał się John Collie. On i jego rodzeństwo leczyli się kiedyś u Petera. John miał dwadzieścia dwa lata i nie bywał już w przychodni, ale natychmiast rozpoznał Paige. Przeprowadzając badanie, cały czas usiłowała go pocieszyć.

Miał rozcięty podbródek i skaleczone ramię. Najbardziej jednak niepokojący był ból, jaki odczuwał po lewej stronie brzucha, tuż pod żebrami. Jeśli złamane żebro przebiło śledzionę, zebrana w środku krew mogła w każdej chwili spowodować jej pęknięcie, a John wymagałby natychmiastowej interwencji chirurgicznej.

- Konieczna jest tomografia komputerowa organów wewnętrznych. Musimy wykluczyć krwawienie śledziony. Trzeba też zrobić rentgen żeber, ale to może poczekać - Paige wypisywała już zlecenie. - Czy ktoś może go zabrać na analizator?

Pielęgniarka wysunęła głowę przez drzwi.

- Bartholomew! - wrzasnęła.

- Bartholomew? - powtórzyła za nią Paige, mrugając do Johna. Przyjrzała się uważniej

skaleczeniom. Rana na podbródki wyglądała wprawdzie paskudnie, ale nie była specjalnie groźna. Paige oczyściła ją z brudu, a potem dokładnie obejrzała ramię. - Trzeba będzie założyć parę szwów, ale już po tomografii - powiedziała. Sprawdziła jeszcze raz pracę serca pacjenta i zrobiła parę notatek w karcie zdrowia. Wtedy otworzyły się drzwi.

Bartholomew - potężnie zbudowany, siwy sanitariusz z brodą miał już siedemdziesiątkę na karku. Wyprowadziłby łóżko na korytarz bez najmniejszych problemów, gdyby nie stanęły mu na drodze dwie siostry Johna i jego matka. Paige wytłumaczyła im dokładnie, co zamierza zrobić. Trzy kobiety podążyły natychmiast w ślad za Bartholomew, a ona tymczasem zajęła się drugą pacjentką.

Młoda kobieta nazywała się Mary O'Reilly. Miała dwadzieścia cztery lata, męża i dwoje małych dzieci, które leczyła Paige. Mąż Mary, Jimmy, został przewieziony w stanie krytycznym do innego szpitala, a ona wpadła w taką panikę, że w ogóle nie interesowała się własnymi obrażeniami. A były poważne. Szczególnie udo wyglądało strasznie. Wbiła się w nie oderwana z balkonu drewniana szczapa; wprawdzie usunięto ją od razu na miejscu wypadku, ranę obandażowano, ale rozcięcie było tak głębokie, że odsłaniało kość. Paige uruchomiła wszystkie swoje zdolności, żeby poszywać rozerwane mięśnie, ścięgna i skórę. Gdy wreszcie skończyła, odgarnęła kobiecie włosy ze zroszonego potem czoła i poszarzałej twarzy.

- Konieczne jest leżenie i odpoczynek. Powinna pani regenerować siły.

- Przecież muszę opiekować się dziećmi i znaleźć Jimmy'ego.

- Kto się teraz zajmuje małymi?

- Moja gospodyni. Robiła to z uprzejmości - dodała histerycznym, piskliwym głosem. -

Nie wychodziliśmy wiele, odkąd urodziły się dzieci.

- A pani rodzice?

- Mam tylko ojca, ale on mieszka w Saint Johnsbury i nie utrzymuje ze mną kontaktu, od kiedy wyszłam za Jimmy'ego.

- On ma rodziców?

- Tak. Są tutaj, w Tucker. - Mary zrobiła przerażoną minę. - Ktoś im musi powiedzieć o Jimmym.

I o tobie - pomyślała Paige. Mary nie mogła zostać długo w szpitalu, biorąc pod uwagę tłum pacjentów oczekujących na łóżko, ale przecież nie była w stanie wrócić do domu o własnych siłach. Poza tym będzie potrzebowała pomocy przy dzieciach.

- Poproszę, żeby ktoś do nich zadzwonił - obiecała.

- Może już wiedzą. Może nawet zaczęli go szukać.

- W takim razie gospodyni zostanie z dziećmi do czasu twojego powrotu, a my tymczasem postaramy się o jakieś wieści o Jimmym.

- A jeśli on nie żyje? - krzyknęła kobieta.

- Nie wolno pani tak myśleć - zganiła ją delikatnie Paige i cofnęła się, bo sanitariusz już złapał za uchwyt łóżka.

Towarzyszyła im przez chwilę, po czym podeszła do stanowiska udręczonej pielęgniarki oddziałowej, wspomaganą przez kilku ochotników. Poprosiła o przekazanie wiadomości o wypadku rodzicom Johna i gospodyni Mary. Ledwo wróciła do gabinetu G, a już zaczął ją stroksany mężczyzna.

- Tu jest mój syn, Alex Johnson. Kiedy zbada go lekarz?

- Ja jestem lekarzem. Już do niego idę. Proszę tutaj poczekać. Wyjdę do pana, jak tylko postawię diagnozę - powiedziała, wchodząc do gabinetu i zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Alex miał rozliczne skaleczenia i pękniętą kość udową. Paige sprowadziła przenośny aparat rentgena do gabinetu i zrobiła zdjęcia. Gdy złamanie okazało się nieskomplikowane, zagipsowała udo i pozszywała głębsze rany.

- Najlepiej by było, żeby został u nas na noc, ale w tej sytuacji to zupełnie niemożliwe. Dostanie kule. Zawieziemy go na wózku do auta i pomożemy mu wsiąść. Powinien oszczędzać tę nogę.

- Niech pani sama z nim porozmawia. Mnie nie posłucha.

- Musisz uważać, Alex. Pod żadnym pozorem nie wolno ci obciążać nogi - zwróciła się do chłopca. - Trzymaj ją w górze, bo inaczej opuchnie. Tu jest aspiryna. Możesz ją zażyć, gdyby bolało. Gdyby byłoby ci bardzo niewygodnie, gips by cię uciskał albo się obluźował, natychmiast daj znać, dobrze?

Następnie przystąpiła do badania pacjenta, który zajął miejsce pani O'Rilley. Nazywał się Tim Hightower i został unieruchomiony. Był pacjentem Mary. Miał liczne skaleczenia i siniaki, oraz prawdopodobnie lekki wstrząs mózgu, ale Paige najbardziej obawiała się o kręgosłup. Zbadła delikatnie podstawę czaszki i szyję, żeby wyczuć ewentualną opuchliznę, a potem przesuwiała czubki palców coraz niżej, pytając jednocześnie Tima, co czuje. Z ulgą stwierdziła, że chłopak nie jest sparaliżowany. Nie wystąpił również niedowład kończyn. Tim miał prawidłowe odruchy, a żołądek, nerki i wątroba pracowały normalnie. Pacjent skarżył się jednak na ból pleców i dlatego sanitariusze zdecydowali, że należy go unieruchomić.

- Zdezynfekuję rany i pošlę cię na wszelki wypadek do rentgena, ale przypuszczam, że cierpisz na przykurcz mięśni w dolnej połowie pleców i dlatego bardzo cię boli.

Wyekspediowała go na badania i zajęła się dwudziestoośmioletnią kobietą, która miała tak pokaleczoną twarz, że mógł jej pomóc wyłącznie chirurg plastyczny. Potem ze ściśniętym sercem badała znajomego siedemnastolatka, który złamał obojczyk i bark. Następny w kolejce był trzydziestotrzyletni mężczyzna - miał pęknięte żebro i najprawdopodobniej przebite płuco, a po nim dwudziestodwiewięcioletnia kobieta z obrażeniami brzucha, wymagającymi natychmiastowej operacji.

Przez parę następnych godzin Paige pracowała niemalże bez przerwy. Ledwo kończyła badać jednego pacjenta, a już przywożono następnego. Wielu z nich znała z przychodni. Odczuwała ogromną przykrość na myśl, że wszyscy ci ludzie jeszcze tak niedawno świetnie się bawili, a teraz leżą tu zakrwawieni, połamani i cierpiący. Ale żywi. Cały czas o tym pamiętała. Być może niektórzy będą potrzebowali dużo czasu, żeby dojść do siebie, zaczną się kłopoty ze szkołą, pracą, uprawianiem sportu w mieście, które szczyliło się ogromną ilością klubów, ale to wszystko było nieważne. Oni żyli.

Adrenalina dodawała jej sił i niwelowała zmęczenie. Paige składała kości, zszywała rany, dezynfekowała zadrapania. Pacjentów z bardziej skomplikowanymi złamaniami, krwotokami wewnętrznymi i urazami - znanymi jej dotąd tylko z trzymiesięcznego kursu pierwszej pomocy w nagłych wypadkach - musiała odsyłać na salę operacyjną.

Nie natknęła się nigdzie na Jill i jej rodziców, ani też na koleżankę dziewczyny. Podczas jedynej, króciutkiej przerwy na kawę spotkała Angie, ale ona również ich nie widziała.

Trzy ofiary śmiertelne - huczało jej w głowie - trzy ofiary śmiertelne.

W ciągu nocy przebadali wszystkich pacjentów w ciężkim stanie, a o świcie zajęli się lżej rannymi. Paige połknęła jeszcze trochę kawy z automatu, kupiła batonik i znów wróciła do szwów, gipsu i plastrów.

W południe również zrobiła sobie przerwę i zatelefonowała do Stickleyów. Nikt nie odpowiadał. W nadziei, że Jill uszła cało z miejsca wypadku, Paige zadzwoniła do domu. Odebrała Nonny.

- Co ty tu robisz? - krzyknęła zdziwiona.

- Wstałyśmy wcześniej, poszłyśmy na spacer, a potem postanowiłyśmy chociaż trochę ułatwić ci życie i przyjechać tutaj - świergotała Nonny, a w jej głosie nie słyhać było nawet śladu zmęczenia, choć na pewno podróż z dzieckiem dała się jej trochę we znaki. - Dobrze się

czujesz?

- Ja tak - odparła Paige znużonym tonem. - Ale inni nie. Co za koszmar.

- Spałaś?

- Jeszcze nie, ale już niedługo będę mogła się zdrzemnąć. Nie miałaś żadnych wiadomości od Jill, prawda?

- Nie. Oczekiwałaś tego telefonu?

- Raczej marzyłam, że zadzwoni. Nie mogę jej znaleźć. Proszę cię, gdyby dała znak życia, zostaw mi wiadomość w izbie przyjęć.

Nonny obiecała, że tak zrobi, i Paige wróciła do pracy. Około dwunastej usiadła w gabinecie lekarskim, żeby zebrać siły na powrót do domu, a wtedy Peter przyniósł jej dawno oczekiwane wieści.

- Jill jest na górze. Była w grupie pierwszych pacjentów. Złamała miednicę.

- Dziecko? - jęknęła Paige.

- Jest w ogromnym niebezpieczeństwie. Jill miała niewielkie krwawienie, ale nie poroniła. Nie wiadomo, jak to się skończy. Ona i jej przyjaciółka siedziały dokładnie tam, gdzie runął balkon, ale Jill ucierpiała znacznie bardziej. Tamtą odwieziono autobusem do Hanoveru.

Paige przymknęła oczy - ogarnęło ją ogromne znużenie, a ze zmartwienia aż ścisnęło się jej serce. Nieważne, że Jill nie planowała ciąży, nieistotne, że chciała oddać dziecko do adopcji - jego utrata i tak byłaby dla niej tragedią.

- Muszę się z nią zobaczyć - powiedziała i z trudnością wstała z kanapy. Ledwo zdążyła zrobić dwa kroki w kierunku drzwi, gdy pojawił się w nich przerażony lekarz.

- Potrzebujemy pomocy. Wyciągnęli następną partię rannych.

Doznała wrażenia, że to się nigdy nie skończy, rzuciła Peterowi zalęknione spojrzenie i razem ruszyli do pracy.

Rozdział siedemnasty

Peter nachylił się nad umywalką w pokoju D i ochlapał twarz wodą. Był śmiertelnie zmęczony, ale odczuwał ogromną satysfakcję. Zrobił dobrą robotę, wykonał wszystkie zadania, pomógł innym i udało mu się wytrwać do końca.

Gdyby poszedł do Tavern, powitano by go tam jak bohatera. Na następnych parę lat miał również zapewnione darmowe piwo - opatrzył dzieci wielu przyjaciół swoich braci. Peter marzył jednak wyłącznie o powrocie do domu. Zamierzał spać przez najbliższych szesnaście godzin - o ile zdoła zasnąć.

Otarł twarz, cisnął do kosza papierowy ręcznik i ruszył w stronę wyjścia. Tuż za rogiem potknął się o łóżko na kółkach, na którym - przymocowana pasami do materaca, biała jak okrywające ją prześcieradło - leżała Kate Ann Murther.

- Pomóżcie mi - błagała szeptem. Była pod tlenem i kroplówką. - Pomóżcie, proszę, pomóżcie.

Jej głowa, podobnie jak reszta ciała, została unieruchomiona, więc Kate nie widziała Petera, a pielęgniarki z pokoju obok nie słyszały jej albo też nie chciało im się zareagować. Równie dobrze mogłaby być niewidzialna. Zresztą przez całe życie nie rzucała się w oczy. Kate Ann - zamknięta w sobie aż do przesady i nienaturalnie spokojna - nigdy nie odważyła się sięgnąć po takie dobrodziejstwa losu jak przyjaźń, dobrobyt czy szacunek.

Peter nie był jej nic winien. Nawet odrobiny współczucia, zważywszy na to, ile sam musiał wycierpieć jako dziecko, i nigdy by sobie nie życzył, żeby ktokolwiek kojarzył go z kimś tak anonimowym jak Kate Ann Murther.

Kate - młodsza od Petera o całe siedem lat - nigdy nie wyszła za mąż. Z tego, co wiedział, nawet nie chodziła na randki. Mieszkała sama w maleńkim domku na przedmieściach i bez przerwy miała jakieś kłopoty - a to zamarznęte rury, a to ciekący dach albo szopy w piwnicy. Jej auto psuło się w najbardziej nieodpowiednich sytuacjach i w najbardziej niewłaściwych miejscach. Kate utrzymywała się z prowadzenia ksiąg podatkowych dla małych firm, choć ich właściciele nigdy się do tego publicznie nie przyznawali. Podrzucali jej tylko dokumenty, a potem, gdy już kończyła pracę, odbierali księgi po ciemku, tak żeby nikt ich nie mógł na tym przyłapać. Nawet jeśli czasem ktoś sugerował, że te spotkania mają inny charakter, mieszkańcy Tucker nie byliby w stanie w coś takiego uwierzyć. Kate Ann była nieśmiała aż do przesady i dlatego całkowicie pozbawiona kobiecości. Nikt nie mógłby się poszczycić znajo-

mością z osobą tego pokroju.

Peter zdumiał się, że Kate w ogóle miała odwagę pójść na koncert.

- Pomóżcie mi, błagam, pomóżcie.

Nigdy przedtem nie słyszał, żeby wypowiedziała tak wiele słów naraz.

- Błaaaagam.

W jej głosie pobrzmiwało tyle słodyczy, smutku i przerażenia, że Grace nie mógł odwrócić się na pięcie i wyjść ze szpitala jak gdyby nigdy nic. Nie był z kamienia.

Podszedł do łóżka tak, żeby mogła go zobaczyć.

- Co ci jest, Kate Ann? - spytał z troską w głosie. Magia tej nocy w dalszym ciągu robiła swoje. Peter służył tym, którzy mieli mniej szczęścia niż on sam. Mara byłaby z niego zadowolona.

Kate spojrzała na niego przez łyzy.

- Nie mogę się ruszyć - powiedziała cicho. Peter prawdopodobnie w ogóle by jej nie zrozumiał, gdyby nie to, że w ciągu minionych godzin słyszał tę samą skargę tak wiele razy.

- Nie możesz - odparł łagodnie - bo chcemy, żebyś leżała spokojnie. Obawiamy się, że masz uszkodzony rdzeń kręgowy. Stwierdzono opuchliznę. W kroplówce podano ci solumedrol, a jesteś unieruchomiona, bo chcemy zapobiec dalszym komplikacjom. To początek kuracji. Na pewno wrócisz do zdrowia.

- Nic nie czuję - szepnęła i spojrzała na niego wielkimi jak u dziecka oczami.

Peter nie mógł oderwać od nich wzroku. Sięgnął myślą do czasu, gdy rozpoczął staż na pediatrii i przyjmował swego pierwszego pacjenta. Widział w jego oczach najpierw cierpienie, potem strach, a wreszcie ufność i ulgę, gdy Peterowi udało się złagodzić ból. Wtedy właśnie Grace powzięła decyzję, że zostanie pediatrą.

Ale Kate Ann Murther nie była już dzieckiem. Nie należała do grona jego pacjentów. W ogóle nie musiał się nią interesować, choć jako lekarz bardzo jej współczuł.

- Uraz spowodowany wypadkiem powoduje czasem takie odrętwienie.

Mówił w pewnym sensie prawdę, choć nie do końca.

Nie odpowiedziała, ale nie odrywała od niego swych wielkich, dziecięcych oczu. Peter zrozumiał, że powiedział jej znacznie więcej niż inni.

- Mówili, że zabiorą cię na salę?

- Nikt nie odpowiada na moje pytania.

- W takim razie sam z nimi porozmawiam - odparł i zapominając całkowicie o zmęcze-

niu, pomaszerował do pokoju pielęgniarek.

- Co będzie z Kate Ann? - zapytał siostrę oddziałową, która w odpowiedzi spojrzała na niego tępo.

- Kate Ann?

- Murther. Kate Ann Murther. - Wskazał głową łóżko na kółkach.

Pielęgniarka wyjrzała na korytarz z taką miną, jakby nie wiedziała, że tam ktokolwiek leży. W porządku - Kate Ann rzeczywiście nie rzucała się w oczy i w ogólnym zamęciu można było o niej zapomnieć, ale teraz panował już spokój. A Kate miała uszkodzony kręgosłup i groził jej nieodwracalny paraliż. Nic dziwnego, że się bała. Jakim prawem wszyscy ignorowali tę kobietę?

- Chcę ją zabrać na salę - powiedział cicho, ale bardzo stanowczo.

- Niby którą? Wszystkie pękają w szwach - odparła pielęgniarka i machnęła tylko ręką.

- Interesuje mnie oddział trzy B. Tam zwykle kładziemy chorych z urazami kręgosłupa.

- Nie ma miejsca.

- Coś pani powiem - odezwał się Peter. - Sam ją tam zawiozę, a tymczasem pani zadzwoni na górę i zorientuje się w sytuacji. Na pewno coś znajdą. Może trzeba będzie opróżnić magazyn. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Ona musi być pod opieką, bo jest poważnie ranna. - Zerknął na zegarek. - Daję pani pięć minut. Tyle czasu zabierze mi droga na górę.

Wrócił do Kate Ann, która błagała go wzrokiem o pomoc.

- Jedziemy na salę. Nie jest ci zimno? - Dotknął jej ramienia. Było lodowate. - Chryste Panie, Kate Ann, trzeba było się odezwać. - Potoczył łóżko na koniec korytarza, do składziku z pościelą, i wyjął stamtąd ostatnie trzy koce. Dwa naciągnął jej aż pod brodę, a trzecim okrył zziębnięte stopy.

Pielęgniarka oddziałowa z trzy B zrobiła na ich widok zatroskaną minę.

- Nie możemy pomieścić pacjentów. W dwójkach leżą już i tak po trzy osoby.

- Potrzebny nam tylko jakiś kącik - powiedział. Ze zmęczenia kręciło mu się w głowie. - Zobaczysz, Kate, postaram się o jakieś dobre miejsce przy oknie.

Jak powiedział, tak zrobił. Znalazł wolny skrawek podłogi w czwórce, gdzie leżało już pięciu pacjentów. Jedna osoba nie robiła różnicy. Kate nie mogła wprawdzie wyglądać przez okno, ale czuła na twarzy promienie słońca wpadające do pokoju przez szybę.

Gdy już ją tam ulokował, oddał kartę zdrowia pielęgniarce i obiecał - ale zabrzmiało to jak groźba - że wpadnie rano. Potem zjechał windą na dół i zostawił w rejestracji kartkę do or-

dynatora neurochirurgii, w której prosił go o opiekę nad Kate Ann. Wtedy dopiero poczuł, że jest śmiertelnie zmęczony. Wsiadł więc do samochodu i ruszył do domu.

Później pomyślał, że nie powinien był się zwracać do ordynatora. Zaczną się plotki. Ludzie będą gadać, że proteguje Kate Ann Murther i to go załatwi na amen.

Paige wyszła ze szpitala jeszcze później. Jej ostatni pacjent był w strasznym stanie. Młody chłopak pracował dla wydziału komunikacji jako pracownik fizyczny, a w dodatku był gwiazdą drużyny koszykówki. Został uwięziony pod taką ilością gruzu, że pracownicy pogotowia musieli amputować mu nogę, żeby go uwolnić.

W ogólnym zamieszaniu Paige wylądowała najpierw na sali operacyjnej i pomagała dwóm chirurgom, a potem, gdy lekarze odeszli, została z rodziną pacjenta. Mówili o rekonwalescencji, fizykoterapii i protezie. Rodzice chłopca mieli nadzieję, że ich syn będzie w stanie pracować, ale nikt nawet słowem nie wspomniał o koszykówce.

Paige została z nimi tak długo, jak mogła. Potem udała się na pierwsze piętro, przeszła przez korytarz i z zapartym tchem szukała wzrokiem Jill wśród pacjentów leżących w ostatniej sali.

Podeszła od razu do łóżka, pochyliła się nad dziewczyną i wzięła ją za rękę.

Jill z trudnością otworzyła oczy. Paige wiedziała, że oszołomienie nieprędko minie. Dziewczyna była zagipsowana od talii do kolan, a u wezgowia jej łóżka pikał monitor. Matka Jill siedziała nie opodal na krześle. Wyglądała jak półtora nieszczęścia.

- Dziwnie się czuję - wymamrotała Jill.

- To minie. Niedługo wrócisz do siebie.

- Dziecko.... nie wiedzą....

- Właśnie dlatego podłączyli monitor.

Matka Jill wstała. Nie odzywała się, ale jej wzrok powiedział dokładnie Paige, o czym ta kobieta myśli.

- Muszę porozmawiać z twoją mamą - zwróciła się do Jill. - Zaraz wracam.

- Chcieli zrobić cięcie - odezwała się Jane, gdy odeszły kawałek - ale się bali, że dziecko jest za małe i nie przeżyje. Powiedzieli jednak, że to zrobią, jeśli wystąpi krwawienie. Oby! Im szybciej, tym lepiej. Ona nie może mieć dziecka. Szczególnie teraz.

- Może. Zaczekają, aż płód będzie zdolny do samodzielnego funkcjonowania, i zrobią cesarkę.

- Nie widzi pani, że to nie ma sensu? Jill nie powinna już u pani mieszkać. Potrzebuje

opieki, ale mój mąż nie chce jej widzieć. Udaje, że w ogóle nie ma córki. Ostatnio jest taki okropny... - Nie musiała rozwijać tematu.

Paige chciało się wyć.

- Nie musi pani znosić takich upokorzeń. Już to pani tłumaczyłam. Są ludzie, którzy na pewno udzielą pani pomocy.

Ale Jane pokręciła tylko głową.

- Tylko pogorszę sprawę. Zakatuje mnie na śmierć, jak komuś powiem.

- Spróbuję się postarać o eksmisję.

- Nie chcę. To mój mąż.

Paige dość dawno pojęła, że niektóre kobiety wolą najgorszą poniewierkę od samotności, a jej nie uda się tego zmienić, choćby nawet oszalała z wściekłości. Nie potrafiła ich zrozumieć, nie akceptowała takiej postawy, ale sama nigdy przecież nie była mężatką. Nigdy też nie kochała żadnego mężczyzny, a już na pewno nie nałogowca.

Mara miała tego rodzaju doświadczenia. Ona na pewno pomogłaby Jane.

Ale Mary tu nie było, a Jill została sama na sali. Paige uścisnęła Jane za ramię.

- Proszę się zastanowić. Mogę pani pomóc. Teraz powinniśmy zająć się Jill, a na los jej dziecka i tak nie mamy żadnego wpływu.

Obie wróciły do pokoju. Paige posiedziała jeszcze chwilę przy łóżku Jill, a gdy dziewczyna zasnęła, lekarka wymknęła się cicho z pokoju. Jechała do domu z ciężkim sercem. Zatrzymała auto na podjeździe, zaparkowała za samochodem Nonny i weszła do holu.

Nonny bawiła się z Sami w salonie, a Kicia zerknęła na nie ciekawie. W porównaniu ze szpitalnym koszmarem był to tak sielankowy obrazek, że Paige aż dostała zawrotu głowy.

- Ooooooo! - zawołała Sami i wyciągnęła do niej rączki. Paige przytuliła mocno dziewczynkę.

- Jak się czuje moje słoneczko? Tak się cieszę, że cię widzę. I ciebie - zwróciła się do Nonny. - I ciebie - powiedziała do Kici. - Mam wrażenie, że nie było mnie w domu od wieków. - Opadła na sofę i zwinęła się w kłębek, nie wypuszczając Sami z objęć. Kicia natychmiast ułożyła się w zagłębieniu jej kolan.

- Sytuacja opanowana? - spytała Nonny.

- Jak na razie. Niestety zmarł pacjent przewieziony do Burlington. To już czwarty. Setka rannych w szpitalach. Pięćdziesięciu z lżejszymi obrażeniami powędrowało do domów. Mara przewidywała, że w kinie wydarzy się jakieś nieszczęście. - Wzięła głęboki oddech. - Sami

ślicznie pachnie. Tak czysto, zdrowo. - Paige natomiast czuła się brudna, ale nie miała siły pójść do łazienki. - Jill jest w kiepskim stanie. Ma złamaną miednicę. Dziecku grozi poważne niebezpieczeństwo.

- O mój Boże. Tak mi przykro.

- Mnie też. - Mówienie sprawiało jej trudność. Sami była taka ciepłutka, że przytuliła ją jeszcze mocniej. - Nie zgmiotę cię - szepnęła, a potem poczuła, że Nonny delikatnie potrząsa ją za ramię.

- Powinnaś iść do łóżka, kochanie.

- Już, zaraz - odparła i znów się zdrzemnęła. Tym razem obudził ją pisk Sami. Dziewczynka stała oparta o sofę i przyglądała się Paige.

- Wyszła się z twoich objęć jakieś pół godziny temu - wyjaśniła Nonny - ale nie chce się stąd ruszyć. Myślę, że bardzo za tobą tęskniła.

Paige uśmiechnęła się i dotknęła ust dziewczynki.

- Guuuuuuu - zaśpiewała Sami, zmarszczyła nosek i odwzajemniła uśmiech.

Paige dała jej całusa.

- Słodkie maleństwo. Ale mamusia jest taka zmęczona. Musi się przespać. - Z wysiłkiem zmusiła się do wstania. - Tylko ze dwie godzinki. Możesz zostać, Nonny?

- Taki miałam zamiar.

- Dwie godzinki - powtórzyła Paige, ale zawiesiła głos, bo nagle sobie przypomniała, że nie ma już przecież opiekunki do dziecka.

- Tak długo, jak będzie trzeba - zapewniła Nonny. - Objęła ją w talii i poprowadziła do łazienki. - Pachniesz stęchlizną.

- To pył z kina. Był gorszy od krwi.

- Mam ci zrobić kąpiel, czy zaśniesz w wannie?

- Na pewno zasnę. Później. - Powłokła się do sypialni, ale brakowało jej słodkiego zapachu dziecka. Stała więc pod prysznicem, umyła się i wytarła do sucha, a potem wgramoliła się na łóżko i natychmiast zasnęła.

Noah i Sara dowiedzieli się o tragedii w kinie, kiedy poszli do miasta na wczesny lunch. Nie musieli zadawać wielu pytań, w kawiarni nie mówiło się o niczym innym. Wystarczyło jedynie siedzieć przy stoliku i słuchać rozmów.

- Był tam syn Horace'a. Ma złamaną nogę. Chłopak Porterów złamał obydwie ręce.

- Przecież tam się zebrało pół miasta. A złamania to jeszcze nic strasznego.

- Balkon runął prosto w tłum. Straszne.
- Nic dziwnego. To taki stary budynek.
- Więc nie powinno się tam organizować koncertów z tupaniem, skakaniem i tak dalej.
- Jamie jest ugotowany.
- Zasłużył sobie na to. Kutwa.
- Powinni mu kazać dobudować nowe skrzydło do szpitala. Podobno roi się tam jak w

ulu.

- Od pacjentów czy rodzin?
- Wszyscy chcą pomóc. Brakuje pielęgniarek. Podobno przyjechało kilka sióstr z Hannoveru.

- I lekarze z Abbotsville. Wszyscy nasi pracowali na okrągło bez chwili wytchnienia.

- Doktor Pfeiffer też? Jak myślisz? - spytała Sara, pochylając się do Noaha.

- Na pewno ją zawiadomili.

- Jill też miała iść na ten koncert. Ta dziewczyna, która opiekowała się Sami. Może jest ranna?

Noah wzruszył ramionami i pokręcił głową. Skąd niby miał wiedzieć? Ale wciąż myślał o wypadku i o Paige. Nawet wtedy, kiedy razem z Sarą przyklejał nową tapetę w łazience. Myślał, że córka zacznie narzekać, ale nie dała mu tej satysfakcji, więc gdy już sam dostał zawrót głowy, poprosił o przerwę.

Pojechali do Paige, niby to zobaczyć, czy jest w domu, ale tak naprawdę chcieli usłyszeć jakieś wiadomości z pierwszej ręki.

- Doktor Pfeiffer ma gościa - powiedziała Sara, dostrzegłszy obce auto na podjeździe.

- Nie szkodzi. I tak nie zostalibyśmy długo. Jeśli Paige wróciła do domu, jest na pewno śmiertelnie zmęczona.

- Śpi jak zabita - powiedziała staruszka, która przedstawiła się jako Nonny. Noah i Sara mieli wrażenie, że zna ich z opowiadań. - Ale proszę, wejdźcie. Uwielbiam gości. Sami również.

Noah spojrział pytająco na Sarę.

- Lubię Sami - powiedziała krótko.

Weszli więc do środka. Sara natychmiast zapytała o Jill i bardzo się zmartwiła, gdy Nonny powiedziała jej, co się stało.

- Na razie musi zostać w szpitalu.

- Czy rodzina jest przy niej?

- Na pewno.

- A kto zajmie się Sami, jak doktor Pfeiffer będzie w pracy?

- Ja. - Nonny wysunęła podbródek. - Paige jeszcze o tym nie wie, ale się dowie. Jestem najlepszą niańką w okolicy.

- Ja też mogę opiekować się Sami - powiedziała Sara.

Siedziała naprzeciwko dziewczynki na podłodze i bawiła się z nią piłką.

Noah pomyślał, że Sara dobrze się tu czuje. Nigdy nie słyszał, żeby jego córka tak uprzejmie z kimś rozmawiała. Prawdopodobnie była to zasługa ciepłej atmosfery tego domu. Może zresztą owo ciepło emanowało od Nonny, która wyglądała jak dobra wróżka w czerwonych pończochach i czerwonym, za dużym swetrze. A może od Paige - śpiącej sobie słodko w sąsiednim pokoju, ubranej w nie wiadomo co.

Niestety, w żadnym wypadku Sara nie będzie mogła opiekować się Sami.

- Nie możesz się opiekować Sami - Nonny powtórzyła jak echo myśli Noaha. - Masz przecież szkołę. To o wiele ważniejsze. A ja muszę niańczyć małą. Im jestem starsza, tym bardziej się czuję bezużyteczna. Teraz znów będę komuś potrzebna.

Sara w dalszym ciągu bawiła się z Sami.

- Doktor Pfeiffer mówiła, że pani ją wychowywała. Tak było?

- Tak, rzeczywiście - odparła Nonny. - Moja córka jest czarująca, ale nie nadaje się na matkę. Zdarzają się takie kobiety. Oczywiście lepiej by było, gdyby doszły do odpowiednich wniosków, zanim zdecydują się na dzieci. W tym przypadku wszystko skończyło się dobrze. Oczywiście Paige nie zawsze akceptowała taki stan rzeczy. Brakowało jej rodziców. Sądzę, że czasem nadal za nimi tęskni.

- A gdzie oni są? - spytał Noah.

Nonny zmarszczyła czoło i spojrzała w sufit.

- Zaraz... Na Capri? Nie... W Sienie. Na pewno. W Sienie.

- A co tam robią? - spytała Sara.

- Nie za wiele - przyznała Nonny bezradnie. - Chloe poślubiła zbyt bogatego mężczyznę. Bawili się razem, kiedy mieli po osiemnaście lat, i tak zostało do dziś. Nigdy nie dorośli. Nigdy nie umieli wziąć za nic odpowiedzialności.

- Ale mieli dziecko - zauważył Noah. - Musieli czuć się za nie odpowiedzialni.

- Sądzę, że zbyt łatwo ich od tego uwolniłam - powiedziała Nonny wstydliwie. - A Paige była moją słodką przylepką. Jej matka nigdy się do mnie nie czuliła tak jak ona. Więc wcale się nie martwiłam, kiedy moja córka i zięć wyjeżdżali gdzieś do swojej willi, domku albo na daczę. Miałam Paige tylko dla siebie. A teraz mam Sami. - Uśmiechnęła się szeroko. - I jeszcze was. Tak lubię przyjmować gości. - Przestała się uśmiechać i w jej małych oczkach pojawił się prawdziwy niepokój. - Zostaniecie na kolację, prawda?

Noah nie mógł sprawić zawodu tej uroczej kobiecie, tym bardziej że wcale nie chciał się zmuszać do tapetowania łazienki.

- Nie powinniśmy się narzucać.

- Ależ skąd! - krzyknęła Nonny. - Dopiero co zamówiłam jedzenie w restauracji. Przecież mogę poprosić o dodatkowe porcje. - Nachyliła się do Sary. - Lubisz meksykańską kuchnię?

Sara przytaknęła skwapliwie.

- Ale mój ojciec nie znosi. Takie potrawy szkodzą mu na żołądek. Za każdym razem, gdy odwiedzał mnie w Kalifornii, powstawał problem, bo pytał, gdzie miałabym ochotę zjeść, a ja zawsze wybierałam meksykańskie restauracje. On wołał takie zwyczajne, nudne miejsca.

Sami poczerwieniała na buzi. Nonny pogłaskała ją po głowie.

- Ty też nie masz ochoty na nachos? Ani na chili?

- Jej również szkodzą? - spytała Sara.

- Chyba nie w tym rzecz - odparła Nonny, biorąc dziewczynkę na ręce. - Proszę nam wybaczyć - zwróciła się do Noaha z uroczą delikatnością. - Musimy pójść do toalety i doprowadzić się do porządku.

- Oczywiście. - Noah zaśmiał się.

Sara wstała i poszła za Nonny, a on został w pokoju sam. Nie w jego stylu byłoby przepuścić taką okazję, więc ruszył natychmiast do sypialni Paige.

Na początku jej nie zauważył, bo tonęła w kolorowej pościeli. Zasłaniał ją koc, poduszki i narzuta w ciepłych odcieniach brązu, złota, zieleni i szkarłatu. Wydawało mu się przez chwilę, że widzi pasmo jej włosów, ale okazało się, że to Kicia, zwinięta w kłębek na jednym z jaśków.

Wtedy dostrzegł Paige. Leżała w poprzek łóżka pod kocem, a jej włosy zlały się w całość z kolorową pościelą. Ale jego ciało mówiło mu wyraźnie, że to jednak ona, choć nie mógł zbyt wiele zobaczyć.

Przysunął się bliżej i popatrzył z bliska na jej twarz - czystą, bladą i bezbronną we śnie.

Umyte przed zaśnięciem włosy tworzyły prawdziwą burzę loków. Perrine odsunął kilka niesfornych kędziorków i pogłaskał delikatnie gładki policzek śpiącej, a potem dotknął czule jej nosa. I ust. Nawet nie mrugnęła powieką - oddychała spokojnie i o wiele równiej niż Noah.

Usiadł na łóżku. Nie zareagowała.

Pomyślał, ile czasu musiała spędzić w szpitalu, o tych wszystkich koszmarach godzinach i poczuł, jak wzbiera w nim fala szacunku dla Paige. Podziwiał również Nonny, która wychowała dziecko swojej nieobliczalnej córki na tak odpowiedzialną kobietę.

Wzbierało w nim jeszcze inne doznanie - tym razem czysto fizyczne. Od samego początku Paige mocno go pociągała, a pożądanie rosło wraz z upływem czasu. Perrine miał nieodparte wrażenie, że śnił tylko o upojnych chwilach, jakie z nią spędził w ogrodzie Mary. Może zresztą śnił o nich tyle razy, że już wszystko mu się poplątało.

Ucałował jej skroń i czekał. Nie poruszyła się, więc dotknął wargami oczu i policzka śpiącej, a potem wdychał przez chwilę świeży zapach skóry.

Odgarniał jej włosy, pasmo po paśmie i w końcu wyczuł kształt ucha. Wsunął palce pod koc i chłonał nimi ciepło kobiecej szyi.

Mruknęła cicho z zadowolenia. Przesunął rękę dalej.

Zamrugła powiekami. Najpierw spojrzała nieprzytomnie przed siebie, a potem zobaczyła Noaha. Wydawało mu się, że Paige nie bardzo wie, co się dzieje, że śpi jeszcze z otwartymi oczami, ale nic go to nie obchodziło. Miała zbyt miękkie i słodkie usta, by mógł oprzeć się pokusie. Pochylił się i pocałował ją. Pieścił jej wargi językiem, ssał je, smakował i gryzł delikatnie.

Wydała cichy, gardłowy dźwięk. Zamknęła oczy, ale nie odepchnęła go, a on był zbyt spragniony, żeby się powstrzymać.

Znów wydała ten samo ledwo słyszalny dźwięk i zaczęła oddawać mu pocałunki. Już nie oddychała tak spokojnie. Przywarła do jego ust.

Ujął jej podbródek, a potem zaczął przesuwając rękę coraz niżej. Na swej drodze napotykał nagie ciało - aksamitne i ciepłe - wznoszące się i opadające w rytm oddechu kobiety. Odnalazł pierś, najpierw pieścił ją delikatnie, a potem mocno chwycił sutkę w palce. Odrzucił koc i cofnął rękę, by zrobić miejsce dla ust.

Tym razem krzyknęła - cicho, ale namiętnie. Wydawało mu się, że wyszeptała jego imię. Wygięła się w łuk, a on wessał sutkę głęboko do ust.

Uniósł się lekko i popatrzył na twarz kobiety. Miała zaróżowione policzki i wilgotne

wargi. Otworzyła oczy, przysłonięte teraz mgłą pożądania. Noah wsunął rękę pod koc i pieścił jej brzuch, aż w końcu odnalazł to, czego szukał.

Jęknęła.

- Ciii. - Zakrył jej usta dłonią, a potem zsuwał rękę coraz niżej, całując ją jeszcze bardziej namiętnie. Zdawał się połykać szybki oddech kobiety i jej okrzyki, które stały się głośniejsze, gdy jej ciało wyprężyło się, a potem zadrżało w potężnym orgazmie.

Wolno cofał dłoń - rozszerzył palce, by nacieszyć się jeszcze tym dotykiem. Sutki Paige były twarde, piersi nabrzmiałe. Przytrzymała jego rękę, dopóki nie wróciła w końcu do rzeczywistości.

Wydała w końcu pełen zawstydzenia jęk, przetoczyła się na drugi koniec łóżka i zakryła kocem tak, że widać było tylko czubek jej głowy.

Noah miał ochotę z nią porozmawiać. Pragnął, by zrozumiała, że jej rozkosz była jego rozkoszą. Uważał, że Paige potrzebowała rozładowania, i marzył, by znów mogła się całkowicie zatracić. Przede wszystkim chciał się rozebrać, wejść do łóżka i zanurzyć głęboko w niej, tak aby z otaczającego ich świata pozostały jedynie poszarpane strzępy pamięci.

Niestety, ten otaczający świat trwał nadal - słyszał jego odgłosy tuż nad głową. Nonny z pewnością znalazła dla Sary jakieś zajęcie, co było bardzo miłe z jej strony, ale nie rozgrzeszało wcale Noaha z nieodpowiedzialnego zachowania.

Niechętnie wstał z łóżka. Wyprostował się i zaczerpnął kilka głębokich oddechów, wdzięczny losowi za to, że Paige - zagrzebana głęboko w pościeli - nie mogła zobaczyć kształtu jego spodni. Poszedł do łazienki i skropił twarz zimną wodą, ale zobaczył jej biustonosz, wilgotny ręcznik na wieszaku i pachnące mydło, które tak bardzo przypominały mu jej ciało, że znów poczuł przyływ żądz.

Wrócił do sypialni i wyjrzał przez okno na podwórze. Klony i brzozy utraciły już liście, więc resztki popołudniowego słońca odbijały się w błyszczących igłach wiecznie zielonych sosen. Już wkrótce słońce zatrzyma się nisko na niebie, jego promienie ostygną, a na drzewach osiadą białe czapy śniegu. Już wkrótce Rada Szkoły wybierze nowego dyrektora i Noah zakończy pracę w Tucker.

Przyszło mu na myśl, że to wcale nie jest takie okropne miejsce. Ale niektóre rzeczy zostały zapisane w gwiazdach, a jemu przeznaczone było zarządzać wspaniałą szkołą. A nie Mount Court.

Spojrzał za siebie - Paige nadal leżała nieruchomo pod kocem. Odgłosy na pierwszym

piętrze nasiliły się. Uznał to za sygnał do odwrotu i wyszedł z sypialni.

Paige miała tak erotyczny sen, że obudziła się zlana potem. Była sama w ciemnym pokoju. Dopiero po chwili przestała drżeć i zdała sobie sprawę z przyczyny swego ogromnego wyczerpania. Odgarnęła włosy z czoła i jęknęła.

Zielone cyferki zegarka wskazywały dziesiątą dwadzieścia. Lekarka spała ponad siedem godzin i była gotowa powtórzyć ten wyczyn, ale pomyślała o Jill, jej dziecku i innych, którzy zostali ranni. Życie jest takie kruche - uważa się je za dar otrzymany na własność, ale jakże łatwo je utracić. Rodzice Paige byli o krok od śmierci w wypadku lotniczym. A ileż jest wypadków samochodowych? Niebezpiecznych przejść ulicznych? Jakże łatwo można umrzeć, siedząc spokojnie na sali koncertowej, która ni z tego, ni z owego zaczyna walić się ludziom na głowę!

Przypominała sobie swój dzisiejszy powrót do domu i nagle przed oczami stanął jej znów obraz Noaha. Czy on naprawdę do niej przyszedł, czy tylko o nim śniła? Jeszcze kilka miesięcy temu uważała, że niczego jej nie brak - w dalszym ciągu była tego zdania - ale nowe elementy w jej życiu zdawały się pasować jak ulał do całości.

Kruche. Wiotkie. Szczęście, które najpierw chwyta cię szaleńczo w ramiona, a potem zostawia poranioną i obolałą, gdy odchodzi. Czy lepiej jest kochać, nawet gdyby się miało utracić tę miłość, czy też bezpieczniej nigdy jej nie zaznać?

Paige nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Ból, towarzyszący nie zrealizowanym marzeniom, może zabić. Lepiej pozbyć się ich na zawsze i udawać, że nigdy nie istniały.

Tyle o marzeniach. Nie wolno było zapominać o rzeczywistości.

Czyli o dziesiątkach pacjentów, których Paige bardzo chciała odwiedzić, mimo że już nie odpowiadała za stan ich zdrowia. Jak również o spółce, w której zabrakło czwartego lekarza. I o Nonny, siedemdziesięciosześcioletniej staruszce udającej pięćdziesięciolatkę. I o Sami - szesnastomiesięcznej dziewczynce wyglądającej na zaledwie roczne dziecko. Paige musiała jeszcze pamiętać o codziennych treningach, o Jill, która potrzebowała pomocy, i jeszcze o tym, że ma na wszystko za mało czasu.

Te rozważania całkowicie ją wyczerpały i znowu zasnęła, ale obudziła się następnego ranka z myślą, że jeden z czwórki kandydatów na wspólnika musi okazać się dobry.

I był. A właściwie była. Nazywała się Cynthia Wales. Po ukończeniu stażu pracowała przez cztery lata w szpitalu dziecięcym w Bostonie. Nigdy jednak nie podpisała umowy na pełny etat, głównie dlatego, że bardzo kochała naturę, góry i rzeki. Woląла mniej zobowiązujący kontrakt, bo chciała znaleźć czas na turystykę. Przyjechała na rozmowę zaraz na początku wa-

kacji, ale mogła przełożyć urlop i od razu rozpocząć pracę.

Cynthia spełniała wszystkie warunki. Paige przestudiowała jej wspaniałe referencje i natychmiast wyczuła, że tę kobietę rozsadza wprost energia. Polubiła ją od pierwszego wejrzenia. Angie, która marzyła tylko o tym, by móc spędzać więcej czasu w domu, również nie miała zastrzeżeń. Jak na ironię, wahał się Peter, choć to jemu właśnie tak się spieszyło.

- O co ci chodzi? - spytała Paige.

- Nie wiem. - Unikał jej wzroku.

- Dostała fantastyczne listy polecające. - Paige nie posądzała Petera o jakieś rozgrywki, bo był autentycznie przerażony.

- Jest w niej coś - zaczął, a w jego głosie wyraźnie pobrzmiwał ból, a potem rezygnacja.

- Nie, może to nie ma z nią nic wspólnego.

- Ona nie jest Marą.

- Nie. - Wyłamywał sobie palce. - Nie jest.

Paige ucieszyła się, że Grace wreszcie jest szczerzy. Nie wiedziała, co Peter zapamiętał z tamtego wieczoru w lecznicy, ale od tamtej pory nie wyrażał się już tak krytycznie o Marze.

- Nie jest Marą - powtórzyła Paige - ale może okazać się wspaniałym lekarzem. Dajmy tej kobiecie szansę. Sam przecież mówiłeś, że musimy żyć i pracować dalej.

Spojrzał jej w oczy i westchnął.

- Masz rację. Trzeba ją zatrudnić.

Odczuli natychmiastową ulgę. Cynthia emanowała wprost entuzjazmem, co sprawiło, że pacjenci przyjęli ją bardzo serdecznie. W związku z tym Paige rozesłała do nich listy z zawiadomieniem, że Cynthia przejmuje praktykę po Marze.

Paige mogła teraz głębiej odetchnąć i poświęcić więcej czasu pacjentom w szpitalu, gdzie była niemalże rozrywana. Personel z Tucker nie dawał sobie rady z taką liczbą chorych. Wprawdzie do wielu ofiar wypadku wzywano specjalistów z innych placówek, ale Paige zawsze miała coś do zrobienia. Była przecież Jill, która leżała do połowy w gipsie. Całe dni słuchała pikania monitora, zastanawiając się, czy jej dziecko przeżyje i czy ona naprawdę chce, by żyło. Ojciec nadal ją ignorował. Matka wpadała rzadko, bo musiała pracować i w dodatku ukrywać swe wizyty przed mężem. Najlepsza przyjaciółka leżała w szpitalu w Hanoverze, więc Jill czuła się bardzo osamotniona.

Dlatego też Paige ucieszyła się bardzo, gdy w sobotni poranek zobaczyła przy niej Sarę.

- Jaka miła niespodzianka - powiedziała, obejmując dziewczynę. Nagle szybko się cofnę-

ła. - Tylko mi nie mów, że znowu zwiąłeś - zaczęła groźnie.

- Nie, przyszedłam z ojcem.

- No to w porządku. - Sama myśl o Noahu sprawiła, że znów zalała ją fala gorąca.

- Nic mi pani nie mówiła, że Jill jest w ciąży - odezwała się Sara.

- Uważałam, że to jej sprawa.

- Pytała, po co podłączyli ten monitor - wyjaśniła Jill. - Ale nic się nie stało. I tak już wszyscy wiedzą.

- Dobrze się czujesz? - spytała Paige z uśmiechem.

W drodze do pokoju dowiedziała się od pielęgniarki, że w nocy dziecko zaczęło tracić oddech i lekarze rozważali operację, ale wszystko się szybko unormowało.

- Dobrze - odparła Jill. - Tylko mam okropne bóle, a nie podają mi prawie żadnych lekarstw.

- Nie chcę zaszkodzić dziecku.

- Ono byłoby bardzo zadowolone. - Sara uśmiechnęła się i przewróciła oczami. Wydawało się, że patrzy w kilku kierunkach naraz.

- Jak to zrobiłaś? - spytała Paige ze śmiechem.

- Jill mówi, że odwiedzili ją chłopcy z Henderson Wheel - odparła Sara, zręcznie zmieniając temat.

- Tak? - zainteresowała się Paige.

- Tak. Wczoraj. Zaraz po pani wyjściu zajrzał do mnie Rob Howe - perkusista. On jest taki spokojny. Siedział tu parę minut. Mówił, że zostałby dłużej, ale musi lecieć z zespołem do New Jersey.

- O czym rozmawialiście? - spytała Sara.

- O muzyce. O koncercie. Gdzie jeszcze występują. Nigdy w życiu nie przydarzyło im się nic równie strasznego, a przecież, jak na ironię, pochodzą z Tucker. Czują się strasznie. Mają zamiar znowu przyjść do szpitala. Robbie prosił, żebym mu dała znać, jeśli będzie mi czegoś potrzebna. Na przykład pieniędzy. Chcą pomóc.

- Mój tata też - powiedziała Sara. - Właśnie teraz rozmawia na ten temat z kimś na dole. Uważa, że dobrze byłoby, gdyby uczniowie z Mount Court mogli zrobić coś dla rannych. Nie chodzi oczywiście o pielęgnację, ale po prostu odwiedziny, pomoc w pracy domowej, takie rzeczy.

- Albo opiekę nad dziećmi? - zaproponowała Paige z myślą o Mary O'Reilly. Jej mąż

miał złamany kręgosłup i czekał go wielomiesięczny pobyt w szpitalu. Mary też była w dużym stopniu unieruchomiona. Na razie pomagali jej teściowie, ale oboje jeszcze pracowali zawodowo.

- Na pewno potrafimy opiekować się dziećmi - stwierdziła Sara z przekonaniem.

Oprócz opieki nad dziećmi Paige miała wiele innych pomysłów. Było tyle do zrobienia - zarówno dla ludzi leżących w szpitalu, jak i dla tych, którzy dotąd byli od nich zależni. Przedstawiła swoje plany Noahowi, a on postanowił wykorzystać tę okazję, by nauczyć swych wychowanków pracy społecznej.

Organizacją całego przedsięwzięcia miał się zająć opiekun socjalny ze szpitala w Tucker, a w tym czasie uczniowie Mount Court mogli wziąć udział w jesiennych zawodach sportowych.

Paige przygotowała swoją drużynę do ostatnich wyścigów w sezonie. Niektóre dziewczęta szczególnie się wyróżniały. Były to uczestniczki wyprawy na Katahdin, którym udało się zyskać wiarę we własne siły. Wśród nich znalazła się Sara - miała coraz lepsze wyniki i wyraźnie odzyskała spokój. Odważyła się nawet przyznać koleżankom, że Noah jest jej ojcem. A może - myślała Paige - postąpiła w ten sposób, bo stosunek uczniów do nowego dyrektora szkoły również się zmienił. Perrine nie wygrałby wprawdzie jeszcze plebiscytu popularności, ale z pewnością zaskarbił sobie wiele uznania i szacunku.

Ona natomiast, za każdym razem, gdy Perrine zbliżał się do niej podczas treningu, musiała powstrzymać drżenie. W dalszym ciągu uważała, że jest niesamowicie przystojny. A poza tym miewała ostatnio różne dziwne sny.

Tak więc starała się ograniczyć kontakty z nim do dyskusji na temat dziewcząt z drużyny - w końcu to dla nich przyjeżdżała do Mount Court. A mieli o czym rozmawiać - już sama Julie Engel dostarczała im wystarczająco wielu tematów do dyskusji.

Julie sprawiała kłopoty. Wagarowała i siedziała w kozie. Wychodziła z sypialni po ogłoszeniu ciszy nocnej, po czym znów szła do kozy. Palila - i spotykała ją kolejna kara. Na innych działały metody wychowawcze Noaha, ale ona nie reagowała na nic. Mimo wyprawy na Knife Edge Julie nie zyskała ani odrobiny optymizmu. Przeciwnie. Czuła się poniżona.

- Nie mogłam sobie poradzić - przyznała się Paige, gdy ta poruszyła temat, by dotrzeć do sedna problemu.

- Ależ wręcz przeciwnie. Doszłaś na samą górę.

- To była totalna klęska.

- Zdobyłaś szczyt, a taki był cel waszej wyprawy. Przestań szukać dziury w całym. Musisz chcieć cieszyć się z własnych osiągnięć.

Ale na nieszczęście jedyne pragnienia Julie dotyczyły płci przeciwnej. Ze wszystkich starszych dziewcząt ona najbardziej uświadamiała sobie swoją kobiecość, co - biorąc pod uwagę list, jaki napisała do Petera - wprawiało Paige - w stan lekkiego niepokoju.

Peter nie lekcewał problemu i za każdym razem, gdy w Mount Court potrzebny był lekarz, wysyłał tam Cynthię. On sam, podobnie jak Paige, codziennie chodził do szpitala i opiekował się rannymi.

Mimo że Paige nie myślała o nim najlepiej, musiała docenić jego zaangażowanie. Kiedy jednak zrobiła niewielką wzmiankę na ten temat, Peter zareagował bardzo gwałtownie.

- To mój psi obowiązek, nie sądzisz? Fakt, pożar rzeczywiście nie wybuchł, ale Coxowi nie wolno było tak narażać ludzi. A ja wiedziałem o wszystkim równie dobrze jak Mara, tylko że nie miałem odwagi przejąć pałeczki. Gdybym podjął jej walkę, może wcale nie doszłoby do wypadku.

Paige poczuła się słusznie ukarana.

- Jestem równie winna jak ty. Też nic nie zrobiłam.

- W tej sprawie. Robisz jednak wiele innych rzeczy, na przykład zajęłaś się dzieckiem Mary. Wzięłaś na siebie najtrudniejszy obowiązek.

- W słowie obowiązek kryje się coś pejoratywnego. A Sami daje mi tyle radości.

- Która łączy się z pracą i odpowiedzialnością.

- Ale w pozytywnym sensie. W dodatku to sytuacja przejściowa.

Paige przez cały czas była w pełni świadoma faktów. Co tydzień spotykała się z Joan Felix, a co dwa tygodnie z kandydatami na przybranych rodziców. Dyskutowali o pozytywnych i negatywnych stronach adopcji, a głównie o problemach związanych z przysposobieniem dziecka o innym kolorze skóry. Te rozmowy sprowadzały ją na ziemię, choć nie dlatego, że obawiała się jakiegokolwiek z omawianych trudności. Jednak gdyby nie te spotkania, mogłaby udawać, że Sami zostanie z nią na zawsze.

Traktowała dziewczynkę jak największy skarb: wspaniałą małą osobkę, dla której warto było budzić się rano, wpadać do domu w ciągu dnia i wracać wieczorem na kolację. Jako pediatra Paige dobrze wiedziała, na czym polega cud rozwoju, ale obserwowanie tego procesu u cudzych dzieci było czymś zupełnie innym niż wrażenia, jakich doznawała w związku z Sami. Dziewczynka codziennie popisywała się jakąś nową umiejętnością, czymś, z czego Paige była

szczególnie dumna. Mała kwitła, przybierała na wadze i z oszalamiającą szybkością nadrabiała wszelkie zaległości. Paige była przekonana, że Sami okaże się jednym z najzdolniejszych dzieci w klasie, gdy pójdzie do szkoły.

Prześladował ją jednak problem niańki. Wiedziała, że powinna zacząć wreszcie kogoś szukać, ale wciąż odkładała to na później. I choć czuła się winna, że przewraca życie Nonny do góry nogami, do nikogo nie miała takiego zaufania jak do własnej babci. Nonny ze względów praktycznych przeniosła się do Paige i zajęła drugą sypialnię na piętrze. Przywiozła z domu sporo rzeczy, łącznie z czerwoną poduszką w kształcie serca i białym wiklinowym krzesłem, by nadać swojemu nowemu pokojowi własny styl.

Nonny, Sami i Paige stanowiły rodzinę. Wychodziły razem do sklepów, jeździły na wycieczki, odwiedzały znajomych. Paige cieszyła się każdą wspólnie spędzoną z nimi chwilą. Gdy czuła się winna, że jest jej tak dobrze, wmawiała sobie, że to przecież sytuacja przejściowa i wyrzuty sumienia ustępowały. Nie odczuwała ich również, kiedy Noah zabrał je wszystkie na kolację, bo on też gościł w Tucker jedynie tymczasowo. Tymczasowość stanowiła dla Paige gwarancję bezpieczeństwa.

Jej nowe, sklecone naprędce życie znacznie się różniło od dotychczasowego. Paige czuła się tak oderwana od rzeczywistości, że gdy w połowie listopada, gdy zbliżały się jej urodziny, postanowiła tym razem zerwać z tradycją. Zwykle z tej okazji podejmowała się wielu nadprogramowych obowiązków, by wrócić do domu jak najpóźniej, rzucić się na łóżko i od razu zasnąć. I nie myśleć. A gdy budziła się następnego ranka, ten okropny dzień należał już do przeszłości.

W tym roku postanowiła zdobyć się na odwagę.

Rozdział osiemnasty

Urodziny Paige wypadły w czwartek. Tego dnia nie pracowała, a sezon biegów przełajowych zakończył się w poprzedni weekend, więc nawet trening nie mógł zakłócić słodkiego nieróbstwa, jakie zaplanowała na tę okazję. Zamierzała spędzić cały dzień w towarzystwie Nonny i Sami.

Stykam się z tym w domach pacjentów - pisała Mara. - Znam kilka szczęśliwych rodzin, które doceniają przyjemność przebywania ze sobą, polegająca właśnie na byciu razem. Aby osiągnąć taki stan, muszą akceptować się nawzajem, tolerować różnice charakterów. Ich wzajemna miłość niczego nie wymaga; po prostu jest.

Tak właśnie Paige traktowała Sami i Nonny. Kiedy wydarzyła się tragedia w kinie, była im wdzięczna za to, że są.

W czwartek zamierzała zjeść duże śniadanie w domu, a potem poczytać gazetę. Chciała wyjść na spacer z babcią i małą, pochodzić z nimi po mieście, a później pobujać dziewczynkę na huśtawce w parku przy kościele. Potem wróciłyby do domu, słuchały muzyki, a ona porobiłaby coś na drutach. Na koniec zaplanowała kolację w gospodzie w Hanoverze.

Nim jednak skończyła jeść gofra, zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg. Gdy przeczytała już gazetę od deski do deski, białe płatki sypały się z nieba coraz gęściej. Paige wyjęła Sami z kojca i stanęła obok Nonny przy kuchennym oknie wychodzącym na podwórze.

- Pięknie, prawda? - spytała Nonny.

- Tak. Spójrz, Sami. Śnieg. To jej pierwszy śnieg - powiedziała do Nonny. - Prawdziwy kamień milowy.

Sami położyła rączkę na szybie.

- Powiedz: śnieg - zachęcała Paige. Dziewczynka milczała. - No to spróbuj powiedzieć: Nonny. No, próbuj. Nonny. Nie chcesz? W takim razie: Ma-ma, ma-ma.

Nonny uniosła brwi.

- Ja tak ogólnie.

- Szkoda. Dlaczego jej nie adoptujesz?

- Bo ona musi mieć matkę na pełen etat.

- Między nami mówiąc, ona już ma matkę, a zanim zdążysz się obejrzeć, pójdzie do

szkoły i wtedy nawet ja nie będę ci potrzebna. Możesz zorganizować sobie wszystko tak, jak robiła to dotychczas Angie - pracować w ciągu dnia i kończyć na tyle wcześnie, żeby odbierać Sami ze szkoły. Nie wiesz, jak Mara zamierzała rozwiązać ten problem?

- Dokładnie w ten sposób - przyznała Paige - ale ja nie jestem Marą. Ona chciała być matką. Miała nawet obsesję na punkcie związku między matką i dzieckiem. Nazywała to głębokim kontaktem. A ja nie odczuwam takiej potrzeby.

- Jesteś bardziej niezależna?

- Raczej samowystarczalna.

- Klituś-bajduś. Potrzebujesz rodziny, jak wszyscy ludzie.

- Tak, ale nie natychmiast, jak Mara. Nie w tak intymny sposób. Byłam całkowicie zadowolona z życia, zanim ona umarła.

- Ale cieszysz się z Sami.

- Tak. Jestem zadowolona, że mogę jej dawać miłość. Oczywiście, dopóki agencja nie znajdzie dla niej przybranych rodziców.

- A jeśli nic z tego nie wyjdzie?

- W końcu na pewno im się uda.

- Ale ty się będziesz coraz bardziej do niej przywiązywać. Nie oszukasz mnie, Paige. Widziałam, jak zakradałaś się do jej pokoju, kiedy już spała.

- Po prostu sprawdzałam, czy wszystko jest w porządku.

- Czasem stoisz przy jej łóżeczku nawet piętnaście, dwadzieścia minut. Spójrz prawdzie w oczy, kochanie. Wpadłaś.

Paige podniosła rączkę Sami do ust i ucałowała jej maleńkie paluszki.

- Mara poruszała ten problem w swoich listach. Pisała, że świadomość dobra wyrządzonego dziecku łagodzi ból rozstania. A ja pomogłam Sami. Zapewniłam jej udany start. I jestem zadowolona.

- A ból? Będziesz odczuwać ból?

- Jak przyjdzie pora.

Nonny nie powiedziała nic więcej, a Paige nie chciała jej już prowokować. Obchodziła przecież urodziny - dzień wystarczająco trudny sam w sobie. Chciała, żeby przebiegł bez zakłóceń.

Bawiła się więc z Sami, potem zabrała dziewczynkę na górę, wykapała ją i ubrała, ale kiedy chciała wyjść na spacer, zobaczyła, że pada jeszcze większy śnieg.

Nonny stanęła obok niej przy oknie.

- Ale sypie!

- Napadało już chyba z pięć centymetrów.

- Siedem. Daleko nie zajedziemy.

- Szkoda, że nie mamy sanek. A może włożę Sami do nosidełka i schowam pod kurtką?

- Nic w ten sposób nie zobaczy.

- Obróćę je tyłem do przodu i rozepnę parkę tak, żeby Sami mogła wyglądać. Albo wsiamiemy do auta i od razu pojedziemy do Hanoveru. Nie może być aż tak strasznie.

Spojrzenie Nonny mówiło wyraźnie, że jest wręcz przeciwnego zdania, a potem w jej oczach pojawił się smutek.

- Wiem, o co ci chodzi. Zawsze tak robisz. Modyfikujesz tylko warianty wciąż tej samej strategii. Jeśli wyjdiesz z domu, nie będzie cię tutaj, gdy nie zadzwoni telefon. - Widać było, że staruszka cierpi. - Oni nie zadzwonią, Paige. Pewnie odezwą się później, za dwa tygodnie albo za miesiąc, ale nigdy nie przypomną sobie o twoich urodzinach. Taka jest prawda.

- Nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć. - Paige wpatrywała się w wirujące za oknem płatki. - Gdyby mieli ośmioro dzieci, zgoda, mogliby pomylić daty urodzin. Ale ja jestem jedynaczką. Moja matka tylko raz rodziła, jeden jedyny raz dała komuś życie. Czy ten dzień naprawdę nic dla niej nie znaczył?

- Znaczył bardzo wiele, tyle że niezupełnie to samo, co dla mnie. Albo dla ciebie, gdybyś została matką.

- Ja czekałabym na urodziny mojego dziecka tygodniami. Planowałabym przyjęcie. Zastanawiałabym się, czego mój synek czy córeczka najbardziej pragnie, i nawet nie musiałabym o nic pytać.

- Bo ty to ty. Ale Chloe jest inna i już na pewno się nie zmieni.

Paige pomyślała chwilę, a potem uśmiechnęła się lekko i wzruszyła tylko ramionami.

- Wciąż się łudzisz?

- Może za którymś razem doznają olśnienia - zakpiła. - Ale masz rację, nie powinniśmy nigdzie jechać. Rozpalmy ogień na kominku i zagrajmy w scrabble. - W trakcie tej gry nie należy myśleć o milczącym telefonie. Trzeba się skupić.

- Zawsze wygrywasz - jęknęła Nonny.

- Dam ci fory.

Nonny spodobał się ten pomysł. Również Sami z przyjemnością wybierała kartoniki z li-

terami. Paige i tak wygrała, ale Nonny nie miała czasu się martwić, bo trzeba było zjeść lunch. Po skończonym posiłku Sami poszła spać, a staruszka zdrzemnęła się na sofie.

Paige usiadła przy kominku z robótką w ręku. Chciała dokończyć rozpoczęty przez Marę szal dla Sami. Myślała o tym, że jeśli otuli nim dziewczynkę, Mara odczuje jej obecność w swoim drugim życiu.

Do salonu wparadowała Kicia. Ranek upłynął jej zupełnie zwyczajnie - biegała po domu, czaiła się na parapetach i ostrzyła sobie zęby na wszystko, co chociaż z daleka przypominało ptaka. Teraz kotka zwinęła się w kłębek u stóp Paige i patrzyła na wełnę. Co parę minut rzucała się z pazurami na kłębek, chwytając go w zęby i zaczynała nim potrząsać. Gdy Paige ją głaskała, rozluźniała uchwyt, siadała prosto i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wędrującą nitkę.

Paige odłożyła w końcu robótkę i wzięła kotkę na kolana. Kicia urosła, jej futerko stało się dłuższe i bardziej puszyste. Tak przyjemnie było czuć dotyk ciepłej, jedwabistej sierści w nogach łóżka i słuchać cichego mrużenia zwierzątka, zadowolonego z pieczyoty.

- Kotki również zamierzasz się pozbyć? - spytała nagle Nonny.

Paige poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce. Szczególnie to „również” zrobiło swoje.

- Nie. Chcę jej po prostu znaleźć odpowiedni dom.

- W dalszym ciągu szukasz?

- Teoretycznie tak, ale jakoś zawsze o tym zapominam. Ona naprawdę nie ma zbyt wielkich potrzeb.

- Postanowiłaś ją zatrzymać?

Paige podrapała Kicię pod brodą. Kotka przymknęła oczy i uniosła głowę, prosząc o dalsze pieczyoty, co natychmiast przyniosło pożądany efekt.

- Chyba po prostu zaniedbałam tę sprawę. Ona jest tutaj. Łatwiej mi ją zatrzymać niż szukać nowych opiekunów. - Spojrzała na Nonny. - Wiem, co myślisz, ale w przypadku Sami jest zupełnie inaczej. Nie można decydować się na wychowanie dziecka tylko dlatego, że zabrakło czasu na szukanie innych rozwiązań. Sami jest człowiekiem, a z upływem czasu będzie wymagała coraz większej troski.

Nonny nie odezwała się. Nie odwróciła też wzroku.

- Pracuję na cały etat - broniła się Paige.

- Teraz już nie. Zatrudniliście przecież czwartego lekarza.

- W takim razie na trzy czwarte etatu. Opiekuję się Jill. Pomagam uczniom Mount Court

zorganizować pomoc dla ofiar wypadku i ich rodzin. - Paige uważała to za wyjątkowo ważne zadanie. - Kiedy uruchomią wyciąg narciarski, będę cały czas w pogotowiu. Muszę czytać. Robić na drutach. Mam bardzo skomplikowane życie. Nie ma w nim miejsca na dzieci, przynajmniej na razie. - Nonny w dalszym ciągu nie spuszczała wzroku z wnuczki. Paige postawiła Kicię na podłodze. - Wiem, co myślisz, ale jeśli zegar biologiczny przestanie tykać, to trudno. Nie mogę się podjąć czegoś, na co w ogóle nie jestem przygotowana.

Nonny milczała. Nawet się nie poruszyła.

- Wiem, że oczekiwałaś innej odpowiedzi - westchnęła Paige. - Przykro mi też, że narzuciłam ci opiekę nad Sami...

- Nie używaj takich określeń! - krzyknęła Nonny, wstając z łóżka ze zwinnością, o jaką Paige nigdy by nie podejrzewała kobiety w jej wieku.

- Przecież stwierdzam tylko fakty.

- Do diabła! Właśnie na tym polega twój problem, Paige! Niby jesteś inteligentna, a w sprawach dzieci wykazujesz czasem zupełną ignorancję. - Zdenerwowana, zaczęła przemierzać pokój. - Właściwie nie jesteś temu winna. Czujesz się jak piąte koło u wozu. To twoi rodzice są za to odpowiedzialni. Gdy dorastałaś, byłaś idealnie grzeczna, bo nie chciałaś mi sprawiać kłopotów. I do dziś przepraszasz tysiąc razy, zanim zdecydujesz się o cokolwiek poprosić. Wciąż tylko przepraszasz.

Stała na wprost Paige i oparła ręce na biodrach.

- Na miłość boską! Paige! Ludzie gotowi są dokonywać cudów dla tych, których kochają. Dlaczego się jeszcze tego nie nauczyłaś? Czy ja kiedykolwiek narzekałam? Czy mówiłam, że wolałabym grać w brydża? Opieka nad Sami nie jest dla mnie pracą, tylko przywilejem. Radością. A jeśli nawet to praca - wykonuję ją z miłości, a nie w poczuciu jakiegoś smutnego obowiązku, z którego muszę się wywiązać. Chcę się nią opiekować. Gdybyś była szczerą przynajmniej w stosunku do siebie, przyznałabyś, że pragniesz zatrzymać Sami. Przecież uwielbiasz ją, a ona ciebie. Masz wszelkie możliwe środki, żeby wychować ją w dostatku. Ale ty się boisz podejmowania zobowiązań, bo uważasz, że cię zniewolą. Całymi dniami matkujesz cudzym dzieciom, ale to się nie liczy, bo możesz przecież wieczorem oddać je pod opiekę rodzicom. Pozwól sobie powiedzieć - mówiła karcącym tonem, którego używała wobec Paige niezwykle rzadko - że pozbawiasz się również radości. Mówią, że przez trudności do gwiazd, i mają rację. A ty wracasz do pustego domu, który teraz będzie ci się wydawał jeszcze bardziej pusty, bo przyzwyczaiłaś się już do obecności dziecka.

Chciała się odwrócić, ale w ostatniej chwili zmieniła zamiar.

- I jeszcze coś ci powiem. Jak skończysz pięćdziesiąt lat, będziesz odczuwać tę pustkę w dwójnasób, a po sześćdziesiątce - jeszcze bardziej. Ale wtedy już zrobi się za późno. Na wszystko. Zobaczysz. - Obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Paige myślała, że Nonny wróci. Czekala chwilę, a potem poszła do kuchni i zaparzyła dzbanek herbaty owocowej, w nadziei, że aromatyczny zapach skłoni staruszkę do zejścia na dół. Ale tak się nie stało, więc nalala filiżankę tylko dla siebie.

A śnieg padał dalej. Paige pijąc herbatę patrzyła na białe gwiazdki i myślała, że wszystko, co mówi Nonny, ma sens, ale z drugiej strony tak trudno jest się wyrzec starych przyzwyczajęń. Mogła sobie wmawiać, że rzeczywiście nikomu niczego nie narzuca, ale w głębi serca czuła inaczej. Zawsze starała się być samowystarczalna, żeby uniknąć właśnie tego rodzaju dylematów.

Co do Sami, Paige po prostu nie wiedziała, co robić. Z jednej strony sądziła, że znalazłaby czas na macierzyństwo. Uważała również, że jest wystarczająco inteligentna i zamożna, by dać sobie ze wszystkim radę. A miłość? O, było w niej tak dużo miłości. Naprawdę kochała Sami. Ale wziąć na siebie taką odpowiedzialność? Przecież nie dało się jej porównać z leczeniem czy tymczasową opieką nad dzieckiem. A Paige zawsze była zdania, że nie została stworzona na matkę, co było jednym z wielu powodów, dla których postanowiła poświęcić się medycynie.

Niewykluczone, że chciała stworzyć sobie wygodną wymówkę, byle tylko nie podejmować się tak ciężkiego zadania.

Nikt nie zadzwonił. W Sienie zapadała już noc. Jeśli telefon nie odezwie się w najbliższym czasie, nie zadzwoni wcale.

Dopiła herbatę, umyła filiżankę i wstawiła ją do suszarki. Potem znów wyjrzała przez okno i na widok śniegu poczuła przemożną potrzebę wyjścia na dwór. Włożyła kombinezon treningowy, parkę, wełnianą czapkę, rękawiczki, zostawiła na kuchennym stole liścik do Nonny i wybiegła.

Ulice - choć odśnieżone - świeciły pustkami. Paige miała całą przestrzeń dla siebie, mogła biegać od krawężnika do krawężnika, jak chciała. Pierwszy tego dnia pojazd zobaczyła dopiero wtedy, gdy znalazła się w centrum Tucker, okrążyła szpital i ruszyła w drogę powrotną. Auto należało do Normana Fincha.

- Okropny dzień na trening - zawołał do niej przez okno.

- Wcale nie - zaprotestowała zdyszana. - Jest cudownie!

- Na razie chyba nie przestanie padać. Prognozy zapowiadają trzydziestocentymetrowe zasy. Niech pani wraca do domu. Zaraz się ściemni.

Paige nie chciała jeszcze wracać. Wpadła w rytm i czuła się zbyt dobrze, żeby przerwać bieg. A jeśli jej rodzice zdecydują się zadzwonić, trudno. Ich strata.

Biegała po ulicach za centrum, pod jej stopami narastała warstwa śniegu. Miała zupełnie przemoczone buty, ale biegła dalej. Skierowała się na północ - tam drogi były szerokie i piękne, wiodły wśród drzew przyozdobionych teraz śnieżnymi czapami.

Zrobiło się jej trochę zimno, ale utrzymywała tempo. Nie straszny był jej chłód, wilgoć i zapadający zmierzch.

Ale gdy skręcała pod łuk w Mount Court, trzęsła się już z zimna. Ogarnął ją niepokój, ale zrobiło się za późno, żeby wrócić. Poza tym nie zdołałaby dobiec do domu. I wcale nie miała ochoty tam wracać.

Widać było, że podjazd został niedawno odśnieżony, ale znów pojawiła się na nim spora warstwa śniegu. Paige brnęła przez zasy czując, że ogarnia ją coraz większe zmęczenie. I determinacja. Minęła szkołę, potem biura, bibliotekę i pierwszy gmach internatu. Skręciła na drogę pomiędzy drugim i trzecim budynkiem bursy, z daleka majaczył jej szkielet hotelu dla absolwentów, ale ona pobiegła w stronę domu dyrektora i wreszcie stanęła na prowadzących do niego schodkach. Dysząc ciężko, nacisnęła dzwonek.

Noah miał na sobie dres, druciane, okrągłe okulary na nosie i ołówek w zębach. Spojrzał na Paige, wypluł ołówek i wciągnął ją do środka.

- Wspaniale - oświadczył, zatraskując za nią drzwi. - Po prostu wspaniale. - Zdjął z niej czapkę i rękawiczki, po czym przystąpił do walki z zamrzniętym, ośnieżonym suwakiem parki.

- Taki kawał drogi! Co cię napadło?

- Nie wiem - odparła, szczękając zębami. Przeszła z nogi na nogę. Było jej zbyt zimno, by mogła stać spokojnie, a za bardzo się trzęsła, żeby zdjąć samodzielnie ubranie, co zresztą nie stanowiło żadnego problemu, ponieważ Noah doskonale dawał sobie z tym radę. - Nie zrobiłam tego świadomie. Nogi same mnie tu przyniosły.

Uchwycił końcówkę suwaka i usiłował ściągnąć go w dół, a Paige kręciła się w kółko, żeby uwolnić się z rękawów kurtki. Przytrzymała jego ramię, gdy ukląkł, żeby zdjąć jej buty.

- Pobrudzę ci korytarz - ostrzegła.

- Świetnie. Będę miał dobry pretekst, żeby wreszcie wycyklinować podłogę. Czy zdajesz sobie sprawę, że jest zamieć?

- Cały czas odśnieżają. Nie było tak źle.

- Jest minus sześć stopni, a ty włożyłaś takie spodenki? - Odrzucił drugi but, wziął ją za rękę i zaprowadził na górę do łazienki. Odkręcił prysznic. Czekając, aż woda się nagrzeje, ściągnął z niej bluzę i spodnie. Wymamrotał jakieś przekleństwo, gdy zobaczył jej nogi - całe czerwone z zimna. Kiedy z kabiny buchała już para, popchnął Paige do środka, nie pozwalając nawet, żeby zdjęła bieliznę.

Zalewające ją ciepło było wręcz boskie. Czowała przenikliwy ból we wszystkich mięśniach. Skóra piekła ją mocno i swędziała. Ciepły strumień obmywał zziębniętą twarz. Paige odwróciła się i woda polalała się jej prosto na czubek głowy. Powoli zaczynała odczuwać pulsowanie krwi w przemarzniętym ciele. Ściągnęła z siebie bieliznę, rzuciła ją w kąt kabiny i wróciła pod prysznic.

Właśnie myślała, że mogłaby zostać tu na zawsze, kiedy drzwi od kabiny otworzyły się i do środka wszedł Noah. Nie miał już okularów na nosie, ubranie też mu się gdzieś zapodziało, ale Paige pomyślała, że nic lepszego nie mogło się jej przydarzyć i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Jeśli sądzone jej było dostać jakiś prezent na urodziny, właśnie go otrzymała. Miała wrażenie, że zawsze pragnęła tego mężczyzny, a długie oczekiwanie pogłębiło jeszcze przyjemność, jaką odczuwała. Przeszył ją dreszcz, gdy Noah otoczył ramionami jej biodra i uniósł tak, by ich usta mogły się wreszcie spotkać.

Paige zupełnie zatraciła się w tym pocałunku, a każdy następny był coraz słodszy, głębszy, zachłanny i irytujący - wzmagając jedynie pragnienia. Przywarła mocniej do Noaha, gładziła jego włosy i skórę, rozkoszując się dotykiem, o którym myślała codziennie, gdy budziła się nie zaspokojona.

Oparł ją sobie na udach, tak że przywierała plecami do ściany, dotykał jej piersi, wchłaniał każdy oddech, a ona wciąż nie miała dość. Ogarnęła ją desperacja; miała wrażenie, że jeśli natychmiast nie dostanie więcej - umrze. I wtedy w nią wszedł.

Poczuła, jak wślizguje się do środka, wypełniając ją szczelnie, tak że wszystkie okruchy życia zespoliły się w jedno i wywołały tysiące eksplozji, zanim jeszcze Noah zdołał się poruszyć. A potem odetchnęła tylko głęboko i trzymała się go kurczowo, a jej ciało drżało w kolejnych paroksyzmach orgazmu.

Dyszała ciężko i drżała jeszcze z rozkoszy, gdy zdała sobie sprawę, że on wciąż jest twardy jak skała. Odsunęła się lekko, otarła wodę z twarzy i napotkała wzrok mężczyzny - tak twardy jak jego ciało, lecz pożądlivy i wygłodniały zarazem.

- Nie mogę skończyć - powiedział przez zęby - dopóki czegoś nie włożę.

- Nie musisz - szepnęła.

Wyśliznęła się i ujęła jego członek w dłonie, po czym pocałowała Noaha namiętnie w usta, ani na chwilę nie przerywając pieszczoty. Nie czekała długo na efekt. Perrine był tak samo wygłodzony jak ona. Może również dręczyły go dziwne sny? Nie odważyła się jednak pytać. Nie była przygotowana na wyznania i bardziej intymne rozmowy. Woląla tulić się do niego, dopóki nie skończył, wydając długi, gardłowy okrzyk. Kiedy już był w stanie normalnie oddychać, umyła go, pozwoliła, by ją wytarł i zaprowadził do łóżka.

Pomyślała, że Noah ma naprawdę piękne ciało - takie proporcjonalne i męskie. Znow go zapragnęła. Ale zamiast wziąć ją ramiona i ułożyć w pościeli, Noah przysiadł na łóżku, przysunął sobie telefon i wystukał jakiś numer. Czekając, aż ktoś odbierze, nie odrywał od niej wzroku.

- Jak się masz, Nonny? Tu Noah. Paige jest u mnie. - Słuchał. - Wszystko w porządku. Próbuję ją jakoś ogrzać. - Znowu słuchał chwilę. - Czy będzie to dla ciebie jakiś kłopot, jeśli Paige przenocuje tutaj? - Zamilkł po raz ostatni. - Dobrze. W takim razie do zobaczenia.

Paige nie poruszyła się.

Noah odłożył słuchawkę. W dalszym ciągu bacznie się jej przyglądał.

- Najwyższy czas, żebyśmy przestali się oszukiwać - powiedział. - Coś się między nami dzieje i wcale nie jestem pewien, czy to zwykła żądza. - Wykrzywił usta w uśmiechu. - Ale na razie chciałbym się zagłębić w tę pierwszą teorię.

Wsunął się do łóżka i wziął ją w ramiona. Jeśli Paige kiedykolwiek miała mu cokolwiek za złe, w tamtej chwili wybaczyłaby mu wszystko. Nigdy nie doświadczyła czegoś równie wspaniałego jak ponowne zetknięcie się ich ciał. Było w tym coś zupełnie innego, prowokującego i tak żarliwego, że wyrzeczenie się tej chwili mogłoby równie dobrze oznaczać rezygnację z istnienia.

Poznawali się od nowa. Ręka gładząca skórę, błądząca we włosach. Język - szukający, drażniący, cofający się, gdy wygięte w łuk ciało domagało się pieszczot. Studium reakcji na dotyk i uwodzicielskie efekty słowa, pomruku, westchnienia, zespolonego oddechu i rosnącej, wspólnej potrzeby spełnienia.

Razem osiągnęli orgazm, a potem długo leżeli bez ruchu. Ciało Paige ogarnął słodki letarg. Czowała, jak zalewa ją fala ciepła i spokoju.

Noah wyciągnął się przy niej.

- Kiedy złożyłem podanie o pracę w Mount Court - powiedział ochryplym głosem, ucałowawszy ją najpierw w czoło - członkowie rady pytali mnie, jak się prowadzę. Niepokoili ich sprawa mojej moralności, ponieważ nie byłem żonaty. Jesteśmy przecież prawie na pustyni, a słodkie miejscowe panienki z chęcią pożarłyby kawałek świeżego mięsa. Ciekaw jestem, co ci panowie powiedzieliby teraz, gdyby mogli mnie zobaczyć.

- Ale ja nie jestem słodką, miejscową panienką, tylko lekarzem. A poza tym przyszedłem tu pierwszy raz.

- Dlaczego przyszedłeś?

Podniosła na niego oczy.

- Nonny ci nie mówiła?

- Czego?

Ułożyła się wygodniej i zaczęła głaskać kciukiem włosy porastające jego pierś.

- Dziś obchodzę urodziny. Pomyślałam, że należy mi się poczęstunek.

- Urodziny? Naprawdę?

- Naprawdę.

- Nonny nie upiekła ci tortu?

- Nie. To Mara zawsze piekła ciasto. W zeszłym roku zrobiła gigantyczny tort, przyniosła go do przychodni i zostawiła w poczekalni, żeby wszyscy chorzy mogli się poczęstować. - Umilkła i nagle poczuła się bardzo samotna. Starzała się bez Mary.

Noah przytulił ją mocniej. Przyjęła jego współczucie z wdzięcznością, ale nie mogła przestać myśleć o przyjaciółce.

- Ona potrafiła uszczęśliwić każdego oprócz samej siebie - powiedziała po chwili Paige. - Była jak kłown, który płacze w środku. Taka smutna. Nie chciałabym doświadczyć czegoś podobnego. Więc kiedy dziś po południu zaczęłam się nad sobą litować - śnieg popsuł mi plany, Nonny gniewała się na mnie, a moi rodzice nie zatelefonowali - wyszłam z domu, żeby pobiegać po śniegu. W końcu znalazłam się tutaj.

Usypiającym gestem przeczesywał palcami jej włosy. Mruknęła z zadowolenia, więc gładził ją dalej, aż w końcu zasnęła.

Noah zdrzemnął się tylko na chwilę. Nie miał ochoty przespać tak intensywnej przyjem-

ności, jakiej źródłem była dla niego Paige Pfeiffer. Przez jakiś czas tylko na nią patrzył i obserwował jej pogrążoną we śnie twarz. Rozkoszował się kobiecym ciałem wtulonym w jego ciało, cudownym wzniesieniem piersi i łukiem uda. W końcu ją pocałował, bo już tak długo tego nie robił, że zaczynał odczuwać ból.

Przecież była tuż obok.

Powoli otworzyła oczy, zobaczyła go i uśmiechnęła się.

- Jesteś zmęczona - szepnął.

- Nie aż tak - odparła cicho.

- Głodna?

- Jak wilk.

- Czy mogę przygotować ci kolację urodzinową?

- Oczywiście, jeśli chcesz. - Propozycja Noaha sprawiła jej ogromną przyjemność.

- Chcę - powiedział, ale wyraźnie nie zamierzał ruszać się z łóżka. Zamiast tego położył się na niej, ucałował jej oczy, nos i rozchylone wargi. Potem powędrował ustami na czubek podbródka i jeszcze niżej, wzdłuż szyi, gdzie znalazł puls, który zaczął bić szybciej, kiedy Noah osuwał się w dół, muskając wargami jej piersi, żebra i brzuch. Paige miała wrażenie, że składa się wyłącznie z koniuszków nerwów. Gdy Noah językiem doprowadził ją do spełnienia, czego nie zrobił dotąd żaden mężczyzna, była zbyt roztrzęsiona, żeby zdać sobie sprawę, co się właściwie z nią dzieje.

Później, gdy Perrine wstał wreszcie z łóżka i przygotował najprostszą, najmielszą i najbardziej smakowitą kolację urodzinową, jakiej mogła oczekiwać, Paige wiedziała dobrze, że wydarzyło się coś ważnego. Zakosztowała bowiem czegoś, co zagrażało dotychczasowemu porządkowi jej życia bardziej niż śmierć Mary, przybycie Sami czy też wprowadzenie się Nonny.

Głos rozsądku mówił jej, że powinna wstać i uciekać jak najdalej i jak najszybciej, ale Paige nie ruszała się z miejsca. Została w łóżku Noaha i kochała się z nim przez całą noc, a gdy Perrine odwiózł ją do domu drogą wiodącą przez krainę czarów, w jaką tej nocy zmieniło się Tucker, pozwoliła mu pocałować się na pożegnanie.

- To jeszcze nie koniec - ostrzegł, jakby czytał w jej myślach.

Nie odpowiedziała. Musiała rozważyć tak wiele problemów, między innymi ten, który dotyczył osoby siedzącej na wysokim krześle, z papką z banana rozmazaną po buzi. Gdy Paige stanęła w drzwiach, Sami obdarowała ją promiennym uśmiechem.

- Ma-ma-ma-ma-ma-ma - powiedziała z pełnymi ustami, a Paige zaczęła się zastanawiać,

czy przypadkiem nie padła ofiarą jakiegoś spisku. Ktoś wyraźnie próbował pochwycić sznurki wiodące do jej serca i przywiązać ją tak, żeby nie mogła się ruszyć.

Paige doszła do wniosku, że jeśli zajmie się innymi sprawami, do tej pory stanowiącymi istotną treść jej życia, nałoży tym samym pancierz ochronny. I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Jill zaczęła rodzić.

Gdy Paige biegła przez korytarz, zawołał ją Peter, ale ona tylko uniosła dłoń i pomknęła dalej. Tak więc Grace poszedł do przychodni, bo i tak najbardziej zależało mu na rozmowie z Angie.

Dopał ją pół godziny później, między jednym pacjentem a drugim.

- Masz chwilę czasu? - zapytał.

Włożyła stetoskop do kieszeni fartucha i wprowadziła Petera do gabinetu.

- Co się dzieje?

- Chciałbym zasięgnąć twojej opinii w sprawie pacjenta.

- Kto to jest?

- Nikt z naszych. Po prostu ktoś, komu pomogłem po wypadku. Kobieta, trzydzieści cztery lata. Ogólny stan zdrowia dobry. Siedziała na balkonie i uniknęła najgorszego, ale spadła na plecy. Rentgen wykazuje uszkodzenie rdzenia kręgowego między T-12 i L-1. Wtedy zastanawiano się, czy nie należy jej odesłać helikopterem do innego szpitala, ale ponieważ doznała jedynie urazu kręgosłupa, a było tak wielu pacjentów w stanie krytycznym, w końcu zatrzymano ją u nas. Ponowiono badania. Opuchlizna ustąpiła dzięki kroplówce, ale ona wciąż nie może się ruszać.

- W ogóle? - spytała Angie.

- Jest sparaliżowana od pasa w dół. Nic nie czuje. Nie reaguje na ból, ucisk czy szczypanie. - Peter przeprowadził własne badania, gdy poszedł odwiedzić Kate. - Neurochirurg tylko rzucił na nią okiem, stwierdził nieodwracalny paraliż, a ja chcę się upewnić, czy on ma rację.

- Czy to był Mike Caffrey?

- Tak.

- On jest niezły.

Ale Peterowi nie podobało się zachowanie Caffreya, który powiedział Kate bez ogródek, że nigdy nie będzie chodzić. Zdecydował się na to akurat wtedy, kiedy dziewczyna była zupełnie sama i nikt nie mógł jej pocieszyć. Peter nadszedł w parę godzin później i zastał ją we łzach. Nie potrafił wprawdzie jej pomóc, ale przynajmniej okazał współczucie.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Angie.

- Nie jestem neurochirurgiem.

- Ale pamiętasz wszystko, czego się uczyłaś, i masz biblię neurochirurgii w małym palcu.

Powiedz, czy mam wezwać do niej konsultanta, czy rzeczywiście nic się już nie da zrobić?

Myślała chwilę.

- Opuchlizna cofnęła się?

- Tak.

- Ale nie ma czucia?

- Niestety.

- Nie wygląda mi to najlepiej - powiedziała współczująco.

Bał się takiej odpowiedzi. Zbyt wiele czasu minęło, by móc oczekiwać, że odruchy powrócą same z siebie.

- A fizykoterapia? - zapytał.

- Proponowali fizykoterapię?

- Oni w ogóle niczego nie proponowali. Ta biedaczka leży tam sama i tak mija dzień za dniem, a ona nawet nie wie, co się dzieje.

- Ma rodzinę?

- Nie.

- Przyjaciół?

- Nie.

- Poszła na koncert zupełnie sama? - spytała Angie zdziwiona.

- Tak. - Peter aż parsknął śmiechem. - Na tym polega cały dowcip. Ona jest najspokojniejszą i najbardziej nieśmiałą kobietą na świecie, ale uwielbia Henderson Wheel. Nigdy przedtem nie była na koncercie rockowym. Kupienie biletu stanowiło dla niej akt heroicznej odwagi. Mniej się bała samego pójścia na koncert.

Nikt się z niej nie wyśmiewał, Peter pytał przecież. A Kate zniknęła w swoim fotelu na balkonie, przy ogłuszających dźwiękach muzyki i ta chwila stanowiła właściwie całą treść jej życia. Nawet teraz była tak cichutka i skromna, że stała się prawie niewidzialna. Peter nie rozumiał, jak można jej nie współczuć.

- Fizykoterapia - powtórzył, wracając do tematu. - Warto spróbować?

Angie wzruszyła ramionami.

- Dzięki fizykoterapii rozwinie i umocni mięśnie w górnej partii ciała. Zachowa jaką taką

kondycję w dolnej, tak że gdyby wróciło czucie, może to wykorzystać. Ale ćwiczenia nie zniwelują skutków urazu.

- Tak myślałem. - Peter odgarnął włosy i zaklął cicho. Nie miał pojęcia, co ta kobieta teraz zrobi. Kate również nie wyobrażała sobie dalszego życia, a przy bliższym poznaniu okazało się, że wcale nie jest głupia. Peter nie potrzebował dużo czasu, żeby dojść do takich wniosków. Ona doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji.

- W Rutland jest Centrum Chorób Kręgosłupa - powiedziała Angie. - Podobno bardzo dobre. Poza tym można pomyśleć o Centrum Rehabilitacji w Burlington. A jeśli ona zdecyduje się pojechać do Springfield, Worcester czy Bostonu, już na pewno będzie miała z czego wybierać.

Peter znał te ośrodki. Nie miał natomiast pojęcia, w jaki sposób Kate zapłaci za ich usługi - nie była ubezpieczona, bo nie mogła pozwolić sobie na składki.

- Kto to jest? - spytała Angie ciekawie.

Wziął głęboki oddech i włożył ręce do kieszeni spodni.

- Nikt ważny - wykrztusił i znowu zaczerpnął powietrza. - Muszę ci się jeszcze do czegoś przyznać. Chcę zaskarżyć Coxa do sądu - powiedział niepewnie.

Angie popatrzyła na niego zdziwionym wzrokiem.

- Sądysz, że nie powinienem? - spytał obronnym tonem.

- Sądzę, że powinienes. Jestem tylko zdziwiona. To twój pacjent.

- Ale przede wszystkim łajdak. Wiesz, co on teraz wygaduje? Rozповіда wszem i wobec, że balkon się zawalił, bo na górze było za dużo ludzi. Więcej niż biletów. Niektórzy siedzieli między rzędami albo stali z tyłu. Mówi, że ranni sami są sobie winni i każdy sąd na świecie przyzna mu rację. Według Coxa nie można udowodnić, że balkon miał niebezpieczną konstrukcję, a każdy, kto spróbuje to zrobić, wyjdzie na idiotę.

- Usiłuje zniechęcić ludzi do działania.

- I kłamie. Można udowodnić, że balkon był niebezpieczny. Każdy robotnik w mieście, który dokonywał tam drobnych napraw, wie, jak było naprawdę. Problem polega na tym, że oni nie będą zeznawać, bo mieszkają w kamienicach Coxa. Jamie trzyma ich w garści. - Peter strzelił szelkami. - Ale nie mnie. Mam własny dom. A on pieniądze. Dzięki nim można pomóc ludziom potrzebującym leczenia, na które ich nie stać. Weźmy choćby Kate Ann. Idealny wprost przykład. Ona zapłaciła za bilet i zmobilizowała całą swoją odwagę, żeby po raz pierwszy w życiu pójść na koncert. A teraz jest sparaliżowana. Oczywiście nikt nie odda tej kobiecie wła-

dzy w nogach, bo już jest za późno, ale na pewno należy ułatwić jej życie. Nie wiem tylko - ciągnął - skąd wziąć pieniądze. Myślałem, że pogadam z Benem. On pewnie zna jakiegoś prawnika spoza miasta, który zgodziłby się poprowadzić taką sprawę. Na przykład kogoś z Montpellier. Sądziś, że mogę liczyć na jego pomoc?

- Oczywiście. Tak czy inaczej, na pewno chętnie się z tobą zobaczy. Ostatnio bardzo rzadko do nas wpadasz.

Nie był tam ani razu od śmierci Mary. Lubił oglądać ją u Bigelowów. Zawsze łagodniała w ich towarzystwie.

A potem oni zaczęli się kłócić i Peter nie chciał ich odwiedzać.

- Porozmawiam z Benem już dzisiaj - obiecała Angie.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Robisz to dla Mary? - spytała, kładąc mu rękę na ramieniu.

Myślał chwilę.

Może. A może trochę dla Lacey, choć pojechała już do Bostonu, z czego zresztą bardzo się cieszył. Wcale nie chciał, żeby wracała. Uraziła tylko jego ambicję i nic poza tym.

- Kto wie? - Wzruszył ramionami. - Może dla siebie. Może chce zostać bohaterem. A ponieważ dzięki moim kochanym współpracownikom nie mam kłopotów finansowych, potrzebuję jakiegoś innego pola do popisu. Peter Grace - działacz społeczny. To robi wrażenie, nie sądziś?

Rozdział dziewiętnasty

Angie przyjęła ostatniego pacjenta tuż przed trzecią, a wkrótce potem wyszła z gabinetu i pojechała do siebie. Na podjeździe nie było samochodu Bena i trochę ją to rozczarowało, choć raczej nie zdziwiło. Już trzeci raz w tym tygodniu udało się jej wrócić wcześniej z pracy. Ani razu jednak nie zastała męża w domu.

Czasem jeździła po okolicy, czasem czekała. Tym razem zdecydowała się wstąpić na targ w Abbotsville. Z wybrzeża Maine dowożono tam codziennie świeże ryby, a ich ceny były mocno wyśrubowane. Ale Ben uwielbiał kraby i Angie doszła do wniosku, że ten wydatek będzie świetną inwestycją w ich małżeństwo.

Wróciła do domu i czekała. Ściemniło się, więc zapaliła światła. Zrobiła przepierkę, nakryła do stołu, nastawiła kraby, przyrządziła sałatkę i rozsmarowała czosnek na chlebie tostowym. Przeczytała „Newsweek”. Zatelefonowała do Dougiego, ale nie zastała syna w pokoju,

więc tylko zostawiła dla niego wiadomość.

Pomyślała, że Ben prawdopodobnie pojechał zobaczyć się z synem. W ten weekend ósma klasa wybierała się do Parku Narodowego w Akadii, więc Dougie nie mógł zobaczyć się z rodzicami, ale może dzwonił i prosił ojca, żeby mu coś przywiózł. A potem Ben zabrał go na lody. Nie, nie na lody. Na gorącą czekoladę.

Pewnie chciał porozmawiać z nim o szkole. I o Świącie Dziękczynienia. I o Angie.

Zastanawiała się, co też Ben o niej mówił.

Niewykluczone również, że spotkał się z Norą. Zarzekał się wprawdzie, że wszystko między nimi skończone - Angie zajechała parę razy pod bibliotekę i nie zauważyła Hondy - ale jeśli jej mąż nie umówił się z Norą, co właściwie robił o tej porze poza domem?

Angie wzięła gazety z Chicago, Seattle i Nowego Jorku, po czym otworzyła je na pierwszych stronach. Wszędzie były karykatury autorstwa jej męża, przedstawiające znanych członków Izby Reprezentantów - wszyscy mieli na sobie harcerskie mundurki, nad głowami aureole, dobrotliwe uśmiechy na twarzach i ukryte noże z napisami: biedni, starzy, przewlekłe chorzy.

Dwadzieścia lat temu Ben też rysował podobne rzeczy. Nie zmienił upodobań, przynajmniej politycznych. Angie wierzyła, że zawsze stanie po stronie pokrzywdzonych, ale nie wiedziała, w co jeszcze oprócz tego wolno jej wierzyć.

Usłyszała samochód na podjeździe, ale nie ruszyła się z miejsca. Ben zdziwił się na jej widok, choć z pewnością nie przeoczył stojącego pod domem auta.

- Cześć. Kiedy przyszedłeś do domu? - spytał.

- Niedawno.

- O rany! - wykrzyknął, zerkając na stół. - Coś tu się szykuje! Czy mnie wzrok nie myli?

Kraby?

- Byłam na targu w Abbotsville. Należy nam się trochę przyjemności.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jedliśmy frutti di mare.

- Dlatego właśnie je kupiłam.

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytał z niewinną miną.

Czy coś było nie w porządku? Przede wszystkim jego pytanie zadane takim niefrasobliwym tonem. Poczula nagle ukłucie w środku, ale tym razem nie rozplakała się.

- Czy coś jest nie w porządku? Tak, masz rację. Coś jest nie w porządku. Już trzeci raz w tym tygodniu wracam wcześniej do domu, tylko że ciebie nigdy w nim nie ma. Gdzie byłeś?

Zacisnął usta, przez chwilę wyglądał jak człowiek, który zamierza się bronić przed nie-

spodziewanym atakiem, aż w końcu wzruszył ramionami.

- Tu i ówdzie - odparł.

- Więc gdzie? - Wiedziała, że zachowuje się jak ostatnia jędza, ale nic jej to nie obchodziło. Dotąd nie poruszali drażliwych tematów i udawali, że nic się nie stało. A przecież się stało.

- Chcesz znać trasę? - spytał obronnym tonem.

- Tak, chcę.

- Zacząłem od poczty. - Oparł się o blat i skandował tonem robota. - Spotkałem tam George'a Hicksa, który zaprosił mnie na kawę. Nie miałem ciekawszego zajęcia. Sądziłem, że jesteś w pracy, więc się zgodziłem. Potem pojechałem do sklepu z artykułami metalowymi i pogadałem trochę z Martym. Wtedy nadeszli Freemanowie. Powiedzieli, że wybierają się na aukcję w White River Junction, a ja postanowiłem im towarzyszyć.

- Na aukcję? - spytała Angie zdziwiona. - Od kiedy interesują cię antyki?

- W ogóle mnie nie interesują - odparł już normalnym głosem. - Ale dom był piękny. Poza tym przyszło tam sporo osób. Tak sobie chodzili, oglądali, a ja czułem, że mam z nimi jakiś kontakt. A tu całymi dniami siedzę sam. - Schował ręce z tyłu. - Gdybyś mnie uprzedziła, że wrócisz wcześniej, być może nie zdecydowałbym się na tę wycieczkę.

- Pragnęłaś spontaniczności. Chciałam ci zrobić niespodziankę.

- Zrobić mi niespodziankę, czy po prostu mnie sprawdzić? Już ci przecież mówiłem, że wychodzę z domu, zatrzymuję się w mieście i robię wszystko, żeby tylko zabić czas. Nie patrz na mnie w ten sposób. Nie widuję się z Norą. To również ci mówiłem.

- Dobrze. - Angie uniosła dłoń. - Świetnie. Nie spotkałeś się z Norą. - Ręka sama jej opadła. Czują, jak ogarnia ją absolutne zniechęcenie. - Ale coś jest nie tak, Ben. Coś wyraźnie nie gra. Nie przyjeżdżałam do domu, żeby cię sprawdzać, tylko dlatego, że chciałam spędzić z tobą trochę czasu. Próbowałam się zmienić, naprawdę. Nie mówię ci, co masz robić czy myśleć. Nie dyryguję już naszym życiem. I jakie są efekty? Żadne. Nigdzie nie wychodzimy. Nie zajmujemy się niczym ciekawym. I nie rozmawiamy ze sobą. Przynajmniej nie tak jak kiedyś. Nie wystarczająco szczerze. Nie spontanicznie. A już na pewno nie o naszych marzeniach czy nadziejach, tak jak wtedy, gdy byliśmy młodzi.

Zaklął cicho, westchnął głęboko i odwrócił wzrok.

- Już nie wiem, jakie są nasze nadzieje i marzenia - powiedział zmęczonym głosem. - Wydawało mi się, że teraz powinniśmy cieszyć się ich spełnieniem, ale tak się nie stało. I nagle

okazało się, że mam czterdzieści sześć lat. Ponad połowa życia jest już za mną. A przede mną? Sam nie wiem co.

- A co chcesz, żeby było? - spytała niecierpliwie. Cała jej przyszłość zależała od odpowiedzi Bena.

- Nie wiem. Na tym właśnie polega problem. Gdybym wiedział, starałbym się wprowadzić plan w czyn. A tak czuję, że ogarnia mnie bezwład. Budzę się rano i widzę jakiegoś faceta w lustrze. Facet zrobił karierę, zarabia kupę forsy i odkłada ją na czarną godzinę, która może nigdy nie nadejść. Przede mną wciąż ta sama droga. Dzień za dniem. Cholerna nuda. - Przeczesał palcami włosy. - Więc może to wszystko przeze mnie, a nie przez ciebie.

- Nie całkiem. Dość trafnie mnie osądziłeś. Przede wszystkim byłam lekarzem, potem matką, a na końcu żoną. Próbuję się zmienić, ale potrzebna mi twoja pomoc. Z nas dwojga ty zawsze miałeś weselsze usposobienie i szalone pomysły. Ja, pragmatyczka, stałam mocno na ziemi, a ponieważ narzucałam ci swój styl, w końcu ogarnęła nas nuda. - Urwała. - Dlaczego pozwoliłeś mi dominować? - spytała z pretensją.

- Tak było łatwiej - odparł. - Wydawało mi się to słuszne. Wiedziałem, że gdy wyjadę z Nowego Jorku, zmienię całe swoje życie. Podałem się czemuś, co uznałem za nieuchronne.

Angie poczuła, że ogarnia ją gniew.

- W takim razie możesz winić tylko siebie.

- Nie zaprzeczam - odparł, co znów odebrało jej resztki energii.

Wstała od stołu i podeszła do okna, żeby przemyśleć wszystko, czego Ben nie powiedział. Nie mówił, że chce rozwodu. Ani że jest nią znudzony. Ośmielona tą konstatacją podeszła do Bena i niemal nieśmiało ujęła go pod rękę. Bliskość męża zawsze dodawała jej odwagi; tak się stało i teraz. Jakże za tym tęskniła.

- A więc co z nami będzie? Powiedz coś.

- Chciałbym, ale niestety nie potrafię.

- Co chcesz robić?

- Nie wiem. Właśnie usiłuję ci to wytłumaczyć.

- A teraz - zachęcała - teraz, gdybyś mógł zrobić wszystko, na co masz ochotę, co byś wybrał? Co dodałoby ci skrzydeł? Co byłoby na tyle atrakcyjne, żeby cię wyrwać z marazmu?

Wiedziała, że ryzykuje. Jeśli Ben stwierdzi, że najbardziej na świecie marzy o spotkaniu z Norą Eaton, to będzie już koniec gry.

- Wyjazd - odparł po chwili namysłu.

- Mój?

- Nasz. Chcę, żebyśmy gdzieś wyjechali.

- Dokąd? - spytała z ulgą.

- Do Williamsburga w Wirginii.

- Tak? - Uśmiechnęła się.

- Planowaliśmy tę eskapadę jeszcze w Nowym Jorku, ale ty stale byłaś taka zajęta, potem urodził się Dougie i jakoś nigdy nie mieliśmy czasu.

- Dobrze. - Przestała się uśmiechać. - Jedźmy tam zaraz.

- Zaraz? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Tak, zaraz - przytaknęła.

- A co z Dougiem?

- Wybiera się na wycieczkę klasową.

- A praca?

Angie nie musiała się o nic martwić. Zrobiła do tej pory więcej, niż do niej należało, a poza tym zatrudnili Cynthię. Miała prawo do paru wolnych chwil. A teraz wynikła pilna sprawa rodzinna.

- Dadzą sobie beze mnie radę przez parę dni - odparła Angie. - Jak wyglądają twoje sprawy?

- Zawsze jestem trochę do przodu z robotą. Mogę jechać.

Angie oderwała się od niego i poszła zatelefonować. Dawniej to ona zajęłaby się przygotowaniem do podróży, ale teraz podała mężowi słuchawkę. Ben wpatrywał się w nią przez chwilę ogłupiałym wzrokiem. Potem rozbłysły mu oczy i uśmiechnął się lekko tym samym uśmiechem, który zawsze robił na Angie takie wrażenie.

Miał minę władcy - niezależnie od tego, co sądziła Mara - władczy mężczyźni mają w sobie dużo seksu. Z tą myślą i uśmiechem na ustach Angie poszła na górę, żeby spakować rzeczy.

Paige nie przebrała się. Nie była potrzebna na sali operacyjnej. Jill dostała znieczulenie ogólne i nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Jej matka, samotna i przerażona, siedziała w poczekalni.

Paige usiadła przy niej i obie wstrzymywały oddech za każdym razem, gdy drzwi otwierały się i stawał w nich lekarz, po czym znów oddychały głębiej, kiedy okazywało się, że to nie ten, na którego czekają. Paige myślała o tych wszystkich rodzicach, którzy jeszcze przed naro-

dzinami dziecka przychodzili do niej na konsultacje i zarażali ją swoim podnieceniem.

Teraz nie odczuwała tego radosnego podniecenia, tylko strach. Dziecko mogło urodzić się kalekie lub zbyt małe, by przeżyć, albo przewlekłe chore, co wymagałoby kosztownej kuracji szpitalnej. A operacja stanowiła zagrożenie dla Jill, która przecież wcześniej uległa poważnym obrażeniom.

Gdy wreszcie podszedł do nich ten właściwy lekarz, miał im do przekazania zarówno dobre, jak i złe wiadomości.

- Jill czuje się dobrze - powiedział. - Ale nie udało nam się uratować dziecka. Przykro mi, pani Stickley. Złamanie miednicy spowodowało obrażenia wewnętrzne. To cud, że nie poroniła wcześniej. Jane przyciskała rękę do piersi.

- Ale Jill nic się nie stało?

- Dojdzie do siebie. Po wyjęciu płodu pozszywaliśmy ją trochę. Jeśli wszystko dobrze się zagoi, pani córka będzie jeszcze mogła rodzić.

- Kiedy mogę ją zobaczyć?

- Proszę iść na salę. Zaraz ją tam przewieziemy.

Paige nie zamierzała czekać. Jane poszła do separatki, a ona powędrowała na salę pooperacyjną, gdzie Jill powoli wychodziła z narkozy. Dziewczyna już prawie całkowicie odzyskała świadomość. Paige wzięła ją za rękę i pochyliła się nad łóżkiem.

W końcu chora popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Witaj - Paige się uśmiechnęła.

- Co się stało? - spytała Jill ochryplym głosem.

- Wyzdrowiejesz.

- A dziecko?

Paige przestała się uśmiechać. Pokręciła smutno głową.

- Było za małeńkie. Nie przeżyło.

Jill przełknęła ślinę i przymknęła oczy.

- Chłopiec czy dziewczynka?

Paige nie bardzo miała ochotę odpowiadać, bo dziecko bez płci wydawało się mniej rzeczywiste. Ale w końcu ono przecież istniało, a Jill miała prawo do żalu.

- Chłopiec - łagodnie powtórzyła słowa chirurga. - Bardzo malutki. Być może on również ucierpiał w wypadku. Tak będzie lepiej.

Jill skinęła głową. Na chwilę znowu zapadła w sen. Paige została przy niej i trzymała ją

za rękę. Po paru minutach dziewczyna odwróciła głowę i otworzyła oczy. Zmarszczyła brwi.

- Chłopiec. Podobny do Joeya?

- Nie wiem. - Paige uśmiechnęła się smutno. - Nie widziałam go. Chyba był za mały, żeby przypominać kogokolwiek.

- A ja myślałam... że kiedyś będę szła i zobaczę dziecko podobne do któregoś z nas. - Skrzywiła się. - Boli mnie brzuch.

- Bo przeszłaś operację. Zrobili cesarskie cięcie, ale wszystko będzie dobrze.

- Przecież nie ma dziecka.

- Teraz nie. Kiedy indziej. Jak przyjdzie pora.

Jill skinęła głową. Przymknęła powieki i spod rzęs pociekły łzy. Paige ścisnęła mocniej dłoń dziewczyny i pozwoliła jej płakać, dopóki efekty znieczulenia nie dały o sobie znać i Jill znów nie zapadła w sen. Wtedy Paige wezwała sanitariusza i razem zabrali chorą do pokoju.

Czekała tam Jane i ojciec Jill, który nie rozmawiał z córką od chwili, gdy oznajmiła, że jest w ciąży. Widocznie Jane powiedziała mu, co się stało.

- Jill? Jill? - szeptał, pochylając się nad dziewczyną.

Jill otworzyła oczy, które na jego widok natychmiast wypełniły się łzami.

- Wszystko dobrze, kochanie - mówił, głaszcząc ją po rękę. - Wyzdrowiejesz. O nic się nie martw.

Paige celowo przysunęła się bliżej. Gdyby poczuła alkohol, kazałaby go natychmiast wyrzucić ze szpitala. Tyle właśnie znaczył dla niej Frank Stickley.

Ale on tym razem był trzeźwy.

- Idę do domu, Jill - powiedziała, kładąc rękę na ramieniu dziewczyny. - Twoi rodzice posiedzą tutaj trochę. Jutro rano znów przyjdę cię odwiedzić. Gdybyś miała jakieś kłopoty, zadzwoń natychmiast po pielęgniarkę, a ona mi wszystko przekaże.

Jill skinęła głową.

Paige wyszła ze szpitala z wrażeniem, że Frank Stickley jest trochę podobny do Thomasa O'Neilla. Obaj byli bardzo uparci, uważali wyznawane przez siebie wartości za świętość; obaj traktowali pozbycie się nie narodzonego dziecka bardziej jak wycięcie paznokcia niż wydarcie z piersi kawałka serca.

Jill nie zapomni nigdy, jak się zachował jej ojciec. Na razie odłoży ten problem na bok, ale najprawdopodobniej nie wyrzuci z pamięci swych doznań i taki bagaż emocjonalny będzie dźwigać już do końca życia.

Odrącenie powoduje zawsze podobną reakcję. Jest jak świder, który wciąż wierci w środku dziurę. Czasem udaje się ją wypełnić radością, lecz w trudnych chwilach ten otwór zaczyna się gwałtownie powiększać, aż w końcu staje się na tyle ogromny, by pochłonąć w swych czeluściach jakąkolwiek wolę życia. To właśnie zabiło Marę. Paige nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Odrącenie oznaczało klęskę. Mara straciła wolę życia, niezależnie od tego, czy zmarła wskutek nieszczęśliwego wypadku, czy też popełniła samobójstwo.

Później, gdy Paige pochylała się nad łóżeczkiem Sami, myślała, czy to przypadkiem nie dzieci są najważniejsze - zapewniają nieśmiertelność gatunkom i jednostkom. Dla Mary dzieci stanowiły sens życia, a także pewnego rodzaju deklarację złożoną przed światem: "Jestem wartościowa, więc zasługuję na prawo do wychowywania dziecka". Jill - choć jeszcze trochę za młoda, żeby wiedzieć, co oznacza macierzyństwo - miała jednak podobne odczucia. A Paige? Sens jej istnienia stanowiła wyłącznie praca.

Nagle ogarnęły ją wątpliwości, czy to wystarczy.

Następnego ranka Peter zjawił się w przychodni jako pierwszy i od razu zaczął przyjmować. Czuł się o wiele lepiej niż kiedyś, mimo rozmowy telefonicznej, jaką przeprowadził z Angie poprzedniego wieczora. Fakt, że wzięła wolne zarówno w piątek, jak i w poniedziałek, oznaczał dla Grace'a więcej pracy w momencie, gdy miał tyle innych spraw na głowie, ale Peter chciał pokazać, że stać go na wspaniałomyślność. Angie przeżyła ciężkie chwile. Jeśli potrzebny był jej długi weekend z mężem, on nie chciał stwarzać trudności.

Rano przyszło wyjątkowo wielu pacjentów. Jak zwykle o tej porze roku cierpieli na przeziębienia, kaszel i zapalenie uszu. Po południu natomiast nie zgłosił się do niego nikt. Grace wyszedł z przychodni o piątej i od razu pojechał do szpitala. Po zawiei pozostały jedynie resztki roztopionego, brudnego śniegu, ale wcale go to nie zniechęciło. Odwrotnie - czuł, że narasta w nim energia.

Peter codziennie odwiedzał ofiary wypadku; ich lista regularnie malała, ponieważ kolejni pacjenci stopniowo opuszczali szpital. Zostali tylko ci z najpoważniejszymi obrażeniami i wreszcie mogli liczyć na troskliwą opiekę.

Do Kate Ann Grace zawsze przychodził na końcu. Tym razem zastał ją przy kolacji. Przez chwilę stał w drzwiach i uważnie się jej przyglądał.

W tej sali, prócz Kate, leżała już tylko jedna pacjentka, do której zawsze wpadało sporo osób. A Kate nie odwiedzał nikt i dlatego Peter starał się poświęcić jej więcej czasu. Poza tym naprawdę współczuł tej kobiecie.

- Proszę, proszę, a to kto? - usłyszał znajomy głos. Z tyłu objęły go czyjeś ręce, które spoczęły na jego piersi. - Mój ukochany doktor - uwodził dalej głos.

Oderwał ręce dziewczyny i odwrócił się. Grupka chichoczących nastolatek rozpierzchła się po korytarzu.

- Nie podoba mi się twoje zachowanie, Julie.

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Taki był pan zadumany. I tak seksownie pan wyglądał. Naprawdę, bardzo seksownie. Proszę, niech pan przyzna, że myślał pan o mnie.

- Przykro mi, ale nie. Co ty tu robisz?

- Pracuję - odparła, wskazując swój fartuch.

Fartuch fartuchem, a on i tak jej nie wierzył. Mogła po prostu zwędzić ten kitel.

- Dobra, dobra.

- Naprawdę. Nie ja jedna. Zgłosiliśmy się do pomocy ofiarom tego wypadku. Gdybyśmy nie mieli wtedy ferii, też pewnie wybralibyśmy się na koncert.

- Pan Bóg czuwał nad wami?

- Chyba tak. - Wskazała głową Kate Ann. - Zjadła wreszcie? Już drugi raz przychodzę po tacę, ale ona się strasznie grzebie.

- Nie bez powodu - wyjaśnił Peter. - Ma trudności z poruszaniem się. Jeśli rzeczywiście chcesz pomóc, sprawdź, czy nie trzeba pokroić dla niej jedzenia. A w ogóle wystarczy w zupełności, jak pójdziesz i posiedzisz z nią trochę. Ona nie ma żadnej rodziny. Całymi dniami leży tak zupełnie sama. Potrzeba jej towarzystwa. Julie zerknęła niespokojnie na Kate Ann.

- O czym, na miłość boską, mogłabym z nią rozmawiać? Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

- Skąd wiesz?

- Bo ona jest o wiele starsza ode mnie.

- Ja również.

- Poza tym ona pochodzi z Tucker.

- I ja też, ale to nie ma znaczenia. Kate Ann bardzo lubi czytać. Zna wszystkie bestsellery. Spróbuj porozmawiać z nią o książkach. Chyba że ich nie znasz.

- Uczę się - zaprotestowała. - Nie starcza mi czasu na lekturę.

- W takim razie możecie rozmawiać o piosenkach. Kate słucha radia. Zapytaj ją o samopoczucie albo czy miałyby ochotę pooglądać telewizję. Niewykluczone, że trzeba postawić łóż-

ko pod innym kątem. Przecież ona nie jest w stanie nic zrobić. Przyda się jej każda pomoc. Chodź.

- Jak się masz, Kate Ann - powiedział i zauważył z przyjemnością, że dziewczyna aż pojaśniała na jego widok. - Jak się dziś czujesz?

- Dobrze.

- Co jadłaś na kolację?

Spojrzała z powątpiewaniem na tacę, a później na Julie.

- Chyba rybę. Ale nie jestem specjalnie głodna. Przykro mi, że tak długo cię zatrzymałam - zwróciła się do dziewczyny. - Możesz już wszystko zabrać.

- Nie przepraszaj - wtrącił Peter. - Jej praca polega między innymi na tym, że ma czekać, dopóki nie skończysz. - Dokonał prezentacji. - Kate Ann, przedstawiam ci Julie. To uczennica najstarszej klasy z Mount Court.

Kate Ann Uśmiechnęła się słabo do Julie, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy.

- Julie zawsze ci pomoże, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Zgoda? - Wskazał talerz. - Nie chcesz więcej?

- Nie - szepnęła.

Peter wręczył tacę Julie.

- Wszystko załatwione - powiedział, dając jej tym samym do zrozumienia, że nie jest już potrzebna, a potem stanął w nogach łóżka i zajął się studiowaniem karty choroby. Ledwo zdążył przeczytać, że w stanie zdrowia kobiety nie zaszła żadna zmiana, Julie już wyszła z pokoju. Peter podszedł bliżej do Kate.

- Lepiej wyglądasz. Podoba mi się ta koszula. - Sam ją wybierał w jednym ze sklepów na deptaku. Nie kosztowała wiele, ale Kate Ann było w niej bardzo ładnie.

- Mnie też - szepnęła, dotykając kołnierzyka. - Ale naprawdę nie powinieneś mi nic kupować.

Może i nie - pomyślał, ale ta szmaragdowa zieleń rzucała się w oczy. Nie dało się jej nie zauważyć. Jeśli Kate Ann miała otrzymać potrzebną pomoc - o co postanowił zadbać - musiała wyjść z ukrycia.

W tym odcieniu zieleni nie wydawała się już tak blada, a jej cera przypominała alabaster. Wyobrażał sobie, że ta kobieta nosiła dotychczas jedynie brązy i szarości. Na pewno nie kupiłaby czegoś tak jaskrawego. Gdyby jeszcze zrobiła coś z włosami, wyglądałaby bardzo atrakcyjnie.

Z drugiej strony, jej skromna fryzura - przedziałek na środku i węzeł z tyłu głowy - nie wymagała z pewnością wiele zachodu.

- I jeszcze ta książka na kasecie - mówiła Kate - Słuchałam jej dziś całe rano.

- Przeczytałem wczoraj tę powieść. - Był to nowy thriller sądowy. - Co o niej sądzisz?

- Ta pierwsza była lepsza - odparła Kate.

Peter przyznawał jej w duchu rację, ale nie bardzo wiedział, na czym polegał błąd pisarza - autora doskonałego debiutu.

- Zbyt wydumana?

- Miałam wrażenie, że pomieszał wątki ze swojej poprzedniej książki i tylko poukładał je w innej kolejności. Ale niezbyt dobrze mu to wyszło.

- Udała mu się natomiast postać byłej żony. Też tak uważasz?

- Ona jest naprawdę najsympatyczniejsza. - Blask w oczach Kate Ann zgasł tak szybko, jak się pojawił. - Zazdrozczę jej.

- Zazdrościsz?

- Pomysłowa z niej kobieta. Zawsze znajdzie sposób, żeby zrealizować cel. Walczy o swoje. - Kate Ann nie wytłumaczyła jednak, dlaczego ona sama nie potrafi tak postępować.

- Ty też mogłabyś się postarać - zachęcał ją Peter. Odwróciła wzrok.

- Nie potrafię współżyć z ludźmi. Zupełnie nie potrafię. Te wszystkie nieudane próby sprawiają mi tylko ból. A teraz nie mogę....

- Kate, wezwałem innego lekarza. To neurochirurg z Worcester. Chciałbym, żeby zba-
dał cię w przyszłym tygodniu.

- Myślałam, że już nic nie można zrobić. - Drżącą ręką wskazała swoje nogi, z taką miną, jakby miała zamiar się rozplakać.

Peter ścisnął jej dłoń.

- Zawsze pozostaje coś do zrobienia - powiedział pewnym tonem. - Jeśli nie operacja, to przynajmniej fizykoterapia. - Nie chciał, żeby Kate się poddała.

- Nie mogę sobie pozwolić na innego lekarza.

- Już ci mówiłem, żebyś nie martwiła się o pieniądze.

- Ale ja ich nie mam. Nie będę w stanie za nic zapłacić. A jeśli wkrótce nie zabiorę się do pracy, stracę wszystkie zlecenia. Czy naprawdę nie wolno mi pracować? Przecież mój umysł funkcjonuje normalnie, ręce również. Może mogłabym prowadzić te księgi tutaj?

- Powinnaś odpoczywać.

- Muszę zarabiać - szepnęła i znowu przypominała dziecko z ogromnymi oczami, w których czaiła się desperacja i strach.

Te oczy wyraźnie na niego działały. Dotknął ramienia Kate.

- Zaraz wracam.

Poszedł do pokoju pielęgniarek po ołówek i kartkę.

- Dla kogo pracujesz?

- Ale... - Nie rozumiała jeszcze.

- Zatelefonuję do nich i zobaczę, co się da zrobić. Podyktowała mu wszystkie adresy.

- Niewiele tych firm - stwierdziła nieśmiało - ale jednak trochę płacą.

Złożył kartkę i włożył ją do kieszeni, odczuwając ogromny przypływ współczucia dla biednej, wzruszającej Kate Ann Murther. Cieszył się, że potrafi jej pomóc. Poza tym uważał, że praca, choćby w niewielkim wymiarze godzin, jest tak samo skuteczną terapią jak inne metody leczenia.

- Umieram z głodu - powiedział. - Ale twoja kolacja nie wyglądała szczególnie zachęcająco. W bufecie pewnie podają to samo. Skoczę do Harry'ego i przyniosę pieczeń cielecą. Zjadłabyś kawałek?

Była zdziwiona i zawstydzona.

- Ale malutki.

Kupił pieczeń, poprosił Harry'ego, żeby pokroił jedną porcję, po czym wrócił do szpitala. Kate zjadła całkiem sporo. Peter zapakował resztę i poprosił pielęgniarkę, żeby później namówiła ją na dokładkę. Kate Ann zawsze była chuda, ale teraz wyglądała tak, jakby mógł ją przewrócić najłżejszy powiew wiatru. Peter chciał, żeby przybrała trochę na wadze. Potrzebowała siły - czekała ją długa, trudna droga.

Pijąc później piwo w Tavern nadal myślał o tej drodze. Nagle usłyszał czyjeś znajome kroki. Jego brat, Charlie, usiadł obok niego przy stoliku.

- Hej, hej. Co tam słycać?

- Niewiele - odparł Peter

- Jesteś chyba zmęczony. Wziąłeś nadgodziny w szpitalu?

- Coś w tym rodzaju. Cały czas wlecze się za mną ta historia z kinem. Wiele wody jeszcze upłynie, zanim wszystko wróci do normy.

- Syn Frenchy'ego wrócił wczoraj ze szpitala, ale musi leżeć. Dzieciak Duke'a też. Obaj spadli z balkonu. - Potrząsnął głową. - Takie rzeczy w ogóle nie powinny się zdarzać. Frank

Stickley jest wściekły jak cholera. Był tu niedawno i mówił, że coś by trzeba zadziałać. Inni też psioczą, ale tylko gadają i nic nie robią. Nikt z lokatorów Jamiego Coxa nie odważy się go zażkarzyć. - Pochylił się i ściszył głos. - A ty?

- Ja? - spytał Peter ciekawie, ale bez specjalnego zdziwienia.

- Ty się nadajesz do takich spraw. I sam widziałeś, co on narobił. Poza tym nie masz z nim nic wspólnego.

- Ty również nie.

Charlie cmoknął i rozsiadł się wygodniej.

- Fakt. Ale ja jestem nikim. Nie umiem walczyć w sądzie. Prędeż na ulicy, ale nie w sądzie. A tam właśnie trzeba go zaciągnąć. On się tego boi.

- Widzę, że wszystko przemyślałeś.

- A o czym tu myśleć? Nie jestem głupi. Inni też nie, chociaż czasami udają idiotów. Ale wszyscy wiemy, co trzeba zrobić. Nie mamy tylko pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Weźcie adwokata. Niech on się martwi.

- Dobrze ci mówić. Żaden adwokat z Tucker nie wystąpi przeciwko Jamiemu, więc gdzie mamy szukać innego? Ty masz kontakty ze światem. Znasz lekarzy z dużych miast. Przypuszczam, że również prawników.

Peter myślał długo. Nie chciał się wychylać.

- Naprawdę gadają?

- Są wściekli jak diabli - potwierdził Charlie. - Daję głowę, że byliby ci bardzo wdzięczni, gdybyś się włączył. Zawahał się. - Mara O'Neill na pewno by im pomogła, gdyby żyła.

- Możliwe - przyznał Peter. W chwili gdy padło jej imię, już i tak podjął rękawicę. Ich dusze wreszcie się spotkały.

- To była świetna kobieta - powiedział Charlie i nachylił się do Petera. - A co jest z tą Kate Ann Murther? - spytał.

- Z kim?

- Kate Ann Murther. Po prawdzie to nie wiem, co ona robiła na tym balkonie i dlaczego w ogóle poszła na koncert, ale podobno jest w kiepskiej formie. Gadają, że bardzo się nią interesujesz.

- Kto tak twierdzi? - spytał Peter, udając zaskoczenie.

- Szwagierka Duke'a pracuje na tym piętrze, gdzie leży Kate Ann. Mówi, że często tam przychodzisz.

- Kontroluję stan zdrowia wszystkich pacjentów, którym udzieliłem pomocy po wypadku.

- Ale jej wtedy nie badałeś. - Charlie mrugnął do niego porozumiewawczo. - Tak przynajmniej twierdzi szwagierka Duke'a. Zabrałeś ją tylko potem na górę i kazałeś się nią opiekować.

- No pewnie - warknął Peter. - Biedaczka leżała przerażona na korytarzu, a nikt nie zwracał na nią uwagi. Nie wolno jej traktować gorzej od innych tylko dlatego, że nie ma rodziny, która zaraz narobiłaby rabanu. A oni ją po prostu zostawili. Bóg jeden wie, kiedy w ogóle została przewieziona na salę, gdyby nie ja. Może leżałaby tak do tej pory.

- A więc to prawda - uśmiechnął się Charlie. - Jesteś jej wybawicielem.

- Bez przesady. - Peter najeżył się. - Pilnuję tylko, żeby miała odpowiednią opiekę. Uważam, że taka jest rola lekarza.

Lecz Charlie wciąż się uśmiechał.

- Kate Ann Murther. No, no. Nigdy w życiu bym cię o coś takiego nie podejrzewał. Mogłem zrozumieć Lacey, Marę też, ale Kate Ann Murther? - Z trudnością powstrzymywał się od śmiechu, co doprowadzało Petera do wściekłości.

- A co ty w niej widzisz takiego straszego?

- Przede wszystkim ona jest z Tucker, a ty zawsze interesowałeś się kobietami spoza miasta, bo nasze piękności za dobrze cię znały.

- Co to ma znaczyć?

- Oj, przecież wiesz. - Machnął bagatelizująco ręką. - Byłeś takim kurdupłem. Mogę ci teraz powiedzieć, bo w końcu zrobiłeś karierę. I wyprzystojniałeś. Wszystko ci się udaje, masz więcej oleju w głowie niż wszyscy tuckerczycy razem wzięci.

- Ale nie Kate Ann. Ona naprawdę dużo wie.

- Ona? Taka szara myszka?

- Jest po prostu nieśmiała. Boi się ludzi. Zamknęła się w sobie i dlatego wszyscy uważają ją za dziwadło i idiotkę. Kiedy Kate usiłuje się trochę otworzyć, kosztuje ją to tyle nerwów, że zawsze coś sknoci. Ludzie utwierdzają się tylko w przekonaniu, że mieli rację, a potem się z niej śmieją. Ona wpada w panikę i popełnia coraz więcej błędów. Mówię ci, pod tymi pozorami kryje się inteligentna i wrażliwa kobieta. I nie tylko. Kate potrafi być naprawdę wdzięczna za najmniejszy drobiazg. Kupiłem jej koszulę nocną, żeby nie musiała leżeć w tych obrzydliwych szpitalnych gałganach, a ona zachowała się tak, jakby dostała pierścionek z brylantem.

- Kupiłeś jej koszulę nocną?

Peter wcale nie chciał się wygadać, ale skoro już Charlie przyparł go do muru, nie zamierzał stosować żadnych uników.

- Oczywiście, że tak. Czas najwyższy, żeby wreszcie ktoś okazał tej kobiecie odrobinę serca. I szacunku. Ona w końcu pracuje dla tego miasta, prowadzi księgi wielu firmom. Nie miałeś o tym pojęcia, prawda? - Charlie wpatrywał się w niego ze zdziwieniem. - Otóż tak. A ty nic nie wiedziałeś, bo żadna z tych firm się do niej nie przyznaje. Myślałeś, że Kate żyje powietrzem? Przecież ona nie ma żadnego majątku.

Charlie parsknął śmiechem, ale Peter nie zwracał na niego uwagi. Rozkręcał się coraz bardziej.

- Więc może byśmy wreszcie zdali sobie sprawę, że Kate Ann Murther wykonuje dla miasta pożyteczną pracę, i okazali jej trochę współczucia. Ona jest sparaliżowana, nigdy nie będzie chodzić. To przerażona, samotna kobieta, która mimo całkiem jeszcze młodego wieku została na świecie zupełnie sama i nie ma cienia szansy na znalezienie sobie faceta, szczególnie teraz, po tym wypadku. Czeka ją przyszłość w fotelu na kółkach. W jaki sposób dostanie się do domu? A jeśli już jej się to uda, jak będzie się tam poruszać? Jak wejdzie pod prysznic? W jaki sposób dobrać do miasta, żeby kupić sobie jedzenie? Czy w ogóle możesz sobie wyobrazić, co ona czuje, kiedy leży tam sama i wciąż zadaje sobie te same pytania? Umiera po prostu ze strachu - taka jest prawda.

- Gadasz, jakbyś zamierzał zostać prezydentem - powiedział trochę speszony Charlie.

- Chryste, to kwestia zwykłej uczciwości. Kate i tak miała wystarczająco ciężkie życie, a co dopiero teraz, kiedy spotkało ją prawdziwe nieszczęście. Co byś zrobił na jej miejscu?

- Pewnie zaraz po wyjściu ze szpitala palnąłbym sobie w łeb.

- Właśnie. - Peter odetchnął. Słowa Charliego zawisły w powietrzu. - Mara postąpiła mniej więcej tak samo, bo nikt z jej bliskich, łącznie ze mną, nie traktował serio jej zmartwień. Zrobię wszystko, by taka sytuacja się nie powtórzyła - dodał stanowczo.

Charlie skinął uspokajająco ręką.

- Dobra, dobra. Wierzę ci.

- To dobrze. Bo ja uważam, że troska o tę kobietę nie dowodzi słabości, lecz wręcz przeciwnie - charakteru. I świadczy o zdolności do współczucia. A ty powiedz Duke'owi, żeby poinformował swoją szwagierkę, że jeśli nie chce stracić roboty, niech lepiej pilnuje Kate Ann jak oka w głowie. Będę sprawdzał!

- Dobra! Peter, uspokój się. - Charlie rozejrzał się niespokojnie. - Zjesz z nami świąteczny obiad, czy uciekasz z miasta?

- Będę tutaj. - Peter ochłonął nieco. - Przyprawdę Kate Ann. Przyda jej się parę godzin z dala od szpitala, wśród ludzi.

Charlie patrzył na niego chwilę. Miał taką minę, jakby wątpił w poczytalność brata, a z drugiej strony bał się, że najdrobniejsza uwaga może go znów rozzłościć.

- Oczywiście, Peter. Jak sobie życzysz.

Angie usiadła przy oknie i zapięła pas. Ben zajął sąsiednie miejsce i wziął ją za rękę, a ona spojrzała mu prosto w oczy.

- Świetny weekend - powiedział cicho.

- Jak za dawnych, dobrych czasów.

- Mniej więcej. Nawet miłszy. Żałuję, że nie mogliśmy zostać jeszcze trochę.

Przytaknął i spojrzał na ich złączone dłonie.

- Nie spiesz ci się do powrotu, prawda? - spytała. Już od paru godzin miała wrażenie, że Ben nie chce wracać, i było to bardzo miłe. I podniecające. Jak również niepokojące.

Wzruszył ramionami.

- Mam mieszane uczucia.

- Mów - zachęcała, gdy umilkł. - Chcę, żebyś powiedział mi wszystko.

Obiecali sobie - i to nie w porywie namiętności, których zresztą podczas tych krótkich wakacji nie brakowało - że nie będą niczego przed sobą ukrywać.

- Przeżyliśmy wyjątkowe chwile - odparł. - Boję się, że po powrocie wszystko pryśnie i znów wpadniemy w tę samą koleinę.

- Jeśli widzisz przed sobą koleinę, powinieneś zrobić wszystko, żeby ją ominąć.

- Tak. Tylko że nie wiem, jak to zrobić, przysięgam ci. Jak można walczyć z nudą w mieście, w którym kompletnie nie ma nic do roboty?

- Zamierzam spędzać więcej czasu w domu.

- Więc oboje będziemy się nudzić. - Spojrzał na żonę. - Nie chciałem cię urazić, ale pomyśl, czy się przypadkiem nie mylę. Tucker to Tucker. Możemy rozmawiać ze sobą godzinami, kochać się i jeść kolacje przy świecach, ale Tucker pozostanie Tucker. Nie znajdziemy sobie zbyt wielu innych zajęć w takim małym miasteczku.

- W takim razie wyjeżdżajmy częściej.

- Sądziysz, że w ten sposób zabijemy czas?

- Moglibyśmy urządzać takie eskapady nawet raz w miesiącu - namawiała. Nie zamierzała pozwolić mu się poddać, nie po takim weekendzie. Nie teraz, gdy udało im się wreszcie osiągnąć jakiś postęp. - Zaplanujemy wszystko wcześniej. Wybierzemy miejsce, które oboje chcielibyśmy zobaczyć, i ustalimy, co mamy ochotę robić. Takie oczekiwanie bardzo wiele znaczy.

Ale Ben już kręcił głową.

- Nuda nie jest właściwym określeniem. Ja chcę być z ludźmi. Z różnymi ludźmi, interesującymi. A w Tucker trudno takich spotkać. Tęsknię za Nowym Jorkiem - dodał ciszej, jakby tłumił w sobie długo to wyznanie, a teraz nagle słowa wymknęły mu się spod kontroli.

- Jedziemy tam przecież na Święto Dziękczynienia.

- Ale mi chodzi o pracę.

Angie przeczuwała, że tak będzie. Intuicyjnie wiedziała już od dawna, że na tym właśnie polega problem, ale ignorowała te myśli. Wyrzucała je ze świadomości, bo prawda wydawała jej się zbyt trudna do przyjęcia.

- Dobrze jest mieszkać w jaskini lwa - tłumaczył Ben. - Oczywiście mamy faksy, pocztę komputerową, Federal Express, ale ja i tak jestem daleko od centrum wydarzeń.

Minęła ich stewardesa, sprawdzając, czy zapięli pasy.

- Kiedy odbywałaś staż, mieszkaliśmy w Nowym Jorku i miałem wszystko, na czym mi zależało. Tak samo jak zaraz po urodzeniu Douga. A potem przenieśliśmy się do Tucker i wiele straciłem - powiedział łagodnie Ben.

Angie czuła, jak mocno wali jej serce.

- Czy to znaczy, że chcesz się znowu przeprowadzić?

- Mówię tylko, że tęsknię za Nowym Jorkiem - odparł, patrząc przed siebie smutnym wzrokiem. - Gdyby istniał jakiś sposób, żebyśmy mogli znów tam zamieszkać, na pewno podjąłbym taką decyzję. - Spojrzał przelotnie na żonę, a potem musnął palcem jej ślubną obrączkę.

- Ale ty masz swoją przychodnię.

Serce biło jej coraz mocniej. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy całe życie Angie przewróciło się nagle do góry nogami. Teraz doszedł kolejny problem.

- Tobie o wiele trudniej się przenieść - myślał głośno, odgrywając rolę adwokata diabła własnych interesów. - Jesteś tu ustawiona. Znasz ludzi. Poza tym ich lubisz.

- A ty nie? - spytała zdziwiona.

- Owszem, ja też ich lubię. Są naprawdę mili. Uprzejmi, oddani. Gdy już kogoś znają, gotowi są mu oddać ostatnią koszulę, byle tylko pomóc.

Zamilkł, bo stewardesa instruowała właśnie pasażerów, jak mają się zachować w razie lądowania awaryjnego.

Angie przysunęła się bliżej do męża.

- Nie chodzi mi tylko o ludzi. Bardzo mi odpowiada taki sposób życia. Spokój. Wolne tempo.

- Gdybym oprócz tego miał jakieś bodźce intelektualne, uznałbym, że jestem w niebie.

- Może istnieje inne rozwiązanie? Montpellier jest tak niedaleko stąd. Nie chciałbyś się zatrudnić w tamtejszej gazecie?

Spojrzał na nią wymownie.

- Gazeta nie jest tym samym co „Times”.

- A nauczanie? Mógłbyś prowadzić zajęcia na uniwersytecie w Montpellier, Bennington czy Dartmouth. Tam miałbyś wystarczająco dużo bodźców intelektualnych.

- Niewykluczone, że tak - odparł sceptycznie - ale wątpię, czy potrzebują karykaturzysty.

- Nie jakiegoś emerytowanego karykaturzysty. Mówimy o uhonorowanym wieloma nagrodami karykaturyście politycznym. Przecież jesteś świetny. Nawet jeśli nie byliby zainteresowani prowadzeniem takiego kursu, na pewno chętnie zorganizują fakultety. Mógłbyś nawiązać współpracę z wydziałem kultury. Albo jeszcze lepiej - z wydziałem nauk politycznych.

Stewardesa usiadła. Samolot drgnął.

- A gdybym jeździł do pracy do Nowego Jorku?

Wirowało jej w głowie. Prawie pięćset kilometrów. Pięć godzin jazdy na pustej szosie, siedem w normalnym ruchu.

- No...

Samolot posunął się naprzód.

- Na przykład na trzy dni w tygodniu?

Przełknęła ślinę. Przez trzy dni w tygodniu w ogóle by go nie widywała? Garsoniera w Nowym Jorku? A wieczorami spotkania z nie wiadomo kim i nie wiadomo po co?

- To prawie jak separacja - powiedziała niespokojnie.

- Wcale nie - odparł z tą specyficzną pewnością siebie, którą zawsze tak w nim kochała. - Zwłaszcza nie teraz, po tym wspaniałym urlopie. Ja próbuję tylko ratować twoją karierę, swoje zdrowie psychiczne i nasze małżeństwo. Niewykluczone, że wystarczą trzy dni w tygodniu. Al-

bo trzy dni co drugi tydzień. A nawet trzy dni w miesiącu. Ale nie przekonam się, zanim nie spróbuję.

Chciała powiedzieć, że ten pomysł nie zda egzaminu i pogrzebie wszelkie szanse na ocalenie małżeństwa. Tylko że przecież wielu mężczyzn pracuje poza miejscem zamieszkania. Wielu mężów podróżuje po całym kraju w interesach, a ich żony są do tego przyzwyczajone. A w dodatku ona może się przecież zająć w tym czasie własnymi sprawami. Angie wiedziała, że Ben ma już dosyć. Dlatego nawiązał romans z Norą i dlatego był taki sfrustrowany, na co ona nie zwracała w ogóle uwagi. Lecz bardzo chciała wierzyć, że nauczyła się wreszcie wyciągać prawidłowe wnioski z popełnionych błędów. Chciała wierzyć, że wyrosła.

- Postaram się wytrzymać trzy dni w miesiącu - powiedziała. - Albo ja poszukam pracy poza Tucker - dodała, przekraczając granice zdrowego rozsądku, którym zawsze tak się szczyliła.

Patrzył na nią ze zdumieniem.

- Mogłabyś zrobić coś takiego?

- Gdyby nie było innego wyjścia.

- Wyjechałabyś z Tucker?

- Ty wyprowadziłeś się dla mnie z Nowego Jorku. Pilot zapowiedział, że przygotowują się do startu.

- Co za porównanie! Ja mogę pracować wszędzie - ty odnosisz tutaj sukcesy, a gdzie indziej musiałabyś zaczynać wszystko od początku.

- Nie całkiem. Miałabym ciebie, swoje zdolności i świetną reputację. I Douga, dopóki nie wyjedzie do koledżu. - Uśmiechnęła się. - Miałabym również swoją mamę, brata, bratową, twoją mamę, siostrę, jej męża i ciocię Tillie.

- Gdyby się tak dobrze zastanowić... - zaczął Ben pół żartem, pół serio.

- Zrobię rekonesans - zaproponowała. - Wyślę oferty do znajomych lekarzy. Jeśli będzie etat w jakiejś małej klinice na przedmieściu albo miejsce w spółce, mogłoby mnie to zainteresować.

- Podjęłabyś taką decyzję?

Samolot ustawił się na pasie startowym i czekał. Angie właśnie się nad tym zastanawiała.

- Pediatria zakłada zmiany niejako *a priori*. Dzieci dorastają i wyjeżdżają. Rodzą się nowe.

- Ale ty kochasz swoich pacjentów.

- Tak. Innych również mogłabym pokochać. - Była przekonana, że z wzajemnością. -
Gdybym znalazła coś interesującego, zdecydowałabym się na przeprowadzkę.

- A Paige? A Peter?

- Bardzo by mi ich brakowało. Tak jak tobie kolegów z „Timesa”. A przecież nie straciliście kontaktu. Ja też podtrzymywałabym znajomość z Peterem i Paige. Mogliby nas odwiedzać. Zachowalibyśmy dom w Tucker i przyjeżdżalibyśmy tu na narty albo na weekendy.

- A Doug?

Samolot zaczął kołować po pasie startowym.

W pierwszej chwili miała ochotę powiedzieć, że Doug może chodzić do szkoły wszędzie tam, gdzie zdecydują się zamieszkać. A potem pomyślała o wszystkim, co wydarzyło się tej jesieni.

- On dobrze się czuje w Mount Court. Gdyby chciał zostać, na pewno bym mu pozwoliła.

- Nawet gdybyśmy mieszkali daleko?

- Nie widzieliśmy się z nim w ten weekend i jakoś żyjemy.

Samolot nabrał szybkości. Angie wcisnęła się głębiej w fotel.

- Chcesz się przenieść? - spytał Ben.

Oparła się o zagłówek.

- Nie, ale chcę ciebie i jeśli przeprowadzka pozwoli mi zatrzymać cię przy sobie, niech tak będzie.

Przednie koła samolotu oderwały się od ziemi, później dołączyły do nich tylne i maszyna wzbiła się w powietrze. Angie nie mogła zrozumieć, dlaczego ogarnął ją nagle taki spokój.

Domyślała się tylko, że przyczynił się do tego sposób, w jaki Ben trzymał jej dłoń.

Rozdział dwudziesty

Paige zawsze lubiła Święto Dziękczynienia, które rekompensowało jej smutny dzień urodzin. W ostatnich latach spędzała je w towarzystwie mniej więcej dwudziestoosobowej grupy znajomych - wszyscy przyjechali do Tucker stosunkowo niedawno z różnych części kraju. Stanowili namiastkę rodziny - dzieliła ich różnica wieku i pochodzenie. Każdy z nich natomiast oddał swe wyjątkowe zdolności temu miastu i miał swój - również wyjątkowy - wkład w świąteczną ucztę.

Uroczystości obchodzono co roku w innym domu, ale zawsze o pierwszej po południu podawano zakąski, a całe przyjęcie kończyło się deserem serwowanym o dziesiątej wieczorem. Przez cały czas na kominku buzował ogień, a im przychodziły do głowy różne szalone pomysły.

Nonny była aktywnym członkiem tej grupy i po kilku latach wiedziała już dobrze, że nie należy zawracać sobie głowy przyrządzaniem sałatki ziemniaczanej, lecz zamiast tego upiec o wiele większą porcję placka orzechowego.

Tego roku w centrum uwagi znalazła się Sami, która zaczynała już chodzić, czepiając się mebli. Paige wystroiła ją w nowy bawełniany sweterek, kolorową bluzeczkę i pasujące do nich śpioszki. Śliczna dziewczynka z ciemnymi włoskami i poważną twarzą, od czasu do czasu rozświeconą uśmiechem, stała się cennym nabytkiem towarzyskim - inne dzieci walczyły ze sobą o jej względy.

Paige miała cichą nadzieję, że Noah również zjawi się na przyjęciu, ale pojechał do rodziców do Santa Fe, a Sara wybrała się w odwiedziny do matki do San Francisco. I dobrze się stało. Od pamiętnego dnia swoich urodzin Paige widywała się z Perrinem niemal codziennie. Noah wpadał do szpitala w towarzystwie swoich wychowanków lub też odwiedzał ją wieczorem w domu. Spali ze sobą kilka razy - Perrine czekał, aż Nonny pójdzie na górę, i wślizgiwał się chyłkiem do sypialni Paige, a ona miała za każdym razem ogromne poczucie winy, ale nie mogła go odtrącić. Czowała się zbyt dobrze w jego ramionach.

Dlatego ta przerwa na Święto Dziękczynienia była konieczna. W życiu Paige nastąpiły tej jesieni poważne zmiany. Musiała sobie przypomnieć, że Święto Dziękczynienia w towarzystwie „obcych z Tucker", jak się sami nazywali, będzie istnieć nawet po wyjeździe Noaha Perrine'a.

W nocy zaczął padać śnieg i zawieja trwała aż do samego rana. Paige z trudem dostała

się do przychodni. Na miejscu została tylko ona i Peter - Angie pojechała z Benem do Nowego Jorku, a Cynthia do rodziców w Boulder. Szkoły były wprawdzie zamknięte, ale przeziębienia, alergię i zatrucia nie wiedziały, co to wakacje.

Paige pracowała przez cały dzień, wstąpiła do szpitala do Jill i wróciła do domu w stanie skrajnego zmęczenia. Doszła do wniosku, że jej samopoczucie ma związek ze świętem i rozczarowaniem, jakie przeżyła następnego ranka.

Była ciekawa, czy Noah dobrze się bawił. A może też spotkał go zawód? Nie zatelefonował - właściwie nawet tego nie oczekiwała - ale sądziła, że jeśli o niej pomyśli, zdecyduje się wziąć słuchawkę do ręki. Z pewnością spędzał miło czas z rodziną i przyjaciółmi. Choć Perrine twierdził, że wszędzie czuje się jednakowo dobrze, Paige знаła prawdę. Noah wprost uwielbiał Nowy Meksyk. Konieczność powrotu do Tucker na pewno psuła mu humor.

Sami również coś dolegało, ponieważ zostawiła ponad połowę kolacji. Odsunęła nawet butelkę z piciem. Nie chciała się bujać na huśtawce zawieszanej w rogu kuchni, nie miała ochoty bawić się piłeczką. Jedynym jej marzeniem było tulić się do Paige, która z radością je spełniła. O ósmej trzydzieści zadzwonił telefon - to nie był Noah, choć Paige poczuła, że mocniej bije jej serce - i wezwano ją do szpitala. Trzyletnia dziewczynka oparzyła sobie nogę wrzątkiem. Paige natychmiast pojechała do Tucker General, żeby ją opatrzyć, i równie szybko wróciła do domu.

Sami w dalszym ciągu była niespokojna. Kiedy Paige położyła ją do łóżeczka, dziewczynka miała już pierwsze objawy kataru. Paige wcale nie była zaskoczona, gdy mała obudziła się w środku nocy spocona i rozpalona. Jak świat światem, dzieci zawsze zarażały się katarem od innych dzieci. To było nieuniknione, ważne dla budowy systemu odpornościowego, lecz jednocześnie jakże przykre. Sami - maleńka i bezradna - zupełnie nie rozumiała, dlaczego tak podle się czuje.

Paige wykąpała dziewczynkę, podała jej odpowiednią dawkę tylenolu, a potem usiadła wraz z nią w fotelu na biegunach i zaczęła śpiewać kołysanki, których nauczyła się od Nonny jeszcze w dzieciństwie. Sami zasnęła, ale zaraz potem obudziła się z płaczem. Paige otarła rozgorączkowaną buzię wilgotną ściereczką, po czym przygotowała małej butelkę z sokiem jabłkowym, ale ona wypila tylko parę łyków. Paige zmieniła jej śpioszki i uczesała włoski, a potem znów usiadła z nią w fotelu i pomyślała, że mimo wszystkich swoich dokonań współczesna medycyna nie potrafi się jeszcze uporać ze zwykłym katarem.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Pierwszy raz w życiu Paige zrozumiała, co czują ro-

dzice czuwający przy łóżku chorego dziecka, któremu nie umieją pomóc.

- Nie są aż tak chore, jak wam się wydaje - powtarzała Paige młodym matkom, a teraz musiała sama sobie to wmówić. - Zapewnijcie im troskliwą opiekę. Podawajcie dużo płynów. W żadnym wypadku nie wpadajcie w panikę. Powinnyście być wyspane, zmęczona matka do niczego się nie nadaje.

Ona sama prawie nie spała tej nocy. Kiedy Sami się budziła, kołysała ją do snu, a gdy mała spała, Paige nie chciała ryzykować przenoszenia jej do łóżeczka. Tuż przed świtem, kompletnie wyczerpana, zapakowała Sami do swego własnego łóżka, ale ledwo udało się jej zmrużyć oczy, natychmiast przybiegła Nonny, która nie znalazła dziewczynki w pokoju dzieciennym i bardzo się przestraszyła.

- Paige Pfeiffer! - krzyknęła, porywając dziecko w ramiona. - Ona mogła przecież spać!

- Nie ruszała się zbyt energicznie - mruknęła Paige zaspanym głosem. - Jest chora. Bądź aniołem i daj jej jeszcze tabletkę tylenolu. I obudź mnie za godzinę. Proszę. Rano mam dyżur w przychodni.

Po godzinie wzięła prysznic i jakoś doszła do siebie, ale kiedy skończyła przyjmować, czuła się tak, jakby ktoś ją przepuścił przez maszynkę. Po południu Nonny wybrała się na spacer, a Paige ucięła sobie drzemkę w towarzystwie Sami. Potem wyszła na dwór pobiegać trochę po śniegu.

Oczywiście pomyślała o swoich urodzinach i szalonej wyprawie do Mount Court. W obecnej sytuacji taka wizyta nie miałaby sensu. Wtedy zresztą również by go nie miała, gdyby nie to, że Paige tak bardzo potrzebowała jakiegokolwiek zachęty do życia. Noah niewątpliwie spełnił jej oczekiwania.

Zgoda. Teraz też przydałby się jakiś bodziec - na przykład telefon od znajomego, który powiedziałby jej, że za nią tęskni. Owszem, gdy wróciła do domu, okazało się, że dzwonił ktoś znajomy. Niestety był to Daniel Miller - jeden z nowo przybyłych do Tucker. Był maniakiem komputerowym, mniej więcej w jej wieku. Chciał powiedzieć, że bardzo miło spędził Święto Dziękczynienia i że w następnym tygodniu wybiera się na wystawę do Bennington. Zapraszał na nią Paige, jeśli by nie miała innych planów.

Widocznie miał w stosunku do niej poważne zamiary, skoro zostawił tak wyczerpującą wiadomość u Nonny.

Paige spędziła popołudnie i wieczór z Sami na kolanach. Na szczęście dziewczynka nie miała już tak wysokiej gorączki. Paige odczuła ogromną ulgę i doświadczyła tego niezwykłego

uczucia, jakie towarzyszy matkom, gdy tuli się do nich chore, potrzebujące wsparcia dziecko. Chore dziecko stanowiło równocześnie poważne zagrożenie dla niezależności. Najbardziej bali się tego rodzice, którzy dochowali się liczego potomstwa. Paige nie miała takich obaw.

Mara również nie.

Jestem stacją tranzytową w ich życiu - pisała na temat sprawowania tymczasowej opieki nad dzieckiem - co nadaje dodatkowe znaczenie tym trudnym czasom, gdy tak wiele im potrzeba. Biegam przez cały dzień od gabinetu do gabinetu, ze szpitala do ratusza lub sądu, ale gdy wracam do domu i siadam na huśtawce, trzymając za rękę przygnębione dziecko, mam poczucie pełni. Nie myślę w takich razach o przyszłości. Cieszę się z terażniejszości dla niej samej, a gdy mija - zaczyna mi jej brakować.

Gdy Sami usnęła, Paige poczuła, że jest zupełnie zagubiona. Miała do zrobienia wiele rzeczy, którymi wcale nie chciała się zajmować. Pograła trochę w scrabble z Nonny, ale zabawa nie dawała jej takiej radości jak uścisk dziecka. Poza tym nie pochłaniała jej na tyle, by mogła nie myśleć o milczącym telefonie.

Położyła się wcześniej i zasnęła szybko, choć niezbyt głęboko. Budził ją każdy odgłos docierający przez monitor z pokoju Sami - kaszel, najcichszy nawet płacz. Kilka razy była na górze, ale dziecko spało. Temperatura wyraźnie spadała.

Właśnie wróciła do sypialni po jednej z takich kontroli, gdy nagle usłyszała pukanie do okna. Spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła twarz Noaha. Nie zapalając światła otworzyła okno i pomogła mu wejść do środka.

- Co tu robisz? - krzyknęła uradowana, mimo że na początku nieźle się przestraszyła. - Miałeś przecież wrócić dopiero jutro wieczorem!

Zrzucił płaszcz i wziął ją w ramiona.

- Chciałem cię przytulić - szepnął i wprowadził swój zamiar w czyn. Długo nie wypuszczał Paige z objęć. Wpatrywał się w jej twarz w ciemnościach, badał ją dokładnie, jakby chciał sprawdzić, czy się nie zmieniła po kilku dniach rozstania.

- Jak minęło święto? - spytał.

- Dobrze - odparła, choć myślała tylko o tym wszystkim, co tak bardzo różniło Noaha od innych ludzi. - A tobie?

- Nieźle. Ale po jednym dniu już zaczęło mnie nosić. - Pocałował ją, uśmiechnął się

przepraszająco i znów ją pocałował, a w jego oczach pojawiło się pytanie.

Odpowiedziała od razu, podnosząc brzeg jego swetra. Noah zdjął go i rozpiął koszulę. Paige ucałowała jego tors, a gdy tylko Perrine uporał się zamkiem, wsunęła mu rękę w głąb spodni, jednocześnie szukając ustami jego ust.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła, a odpowiedź znalazła w swoich dłoniach.

Noah oderwał się od niej tylko po to, by zrzucić resztę ubrania i pozbawić Paige koszuli nocnej. Potem potoczyli się razem na łóżko.

Nic nie mówił. Nie musiał. Jego usta wyrażały wystarczająco dużo bez słów; dłonie i ciało powtarzały wszystko, co było do powiedzenia, a gdy wreszcie podniósł ją do góry i posadził na sobie, Paige poczuła, jak ją wypełnia.

Nie mogła się ruszyć, bo Noah trzymał jedną ręką jej biodro, a drugą obejmował plecy.

- Marzyłem o tym przez całą drogę. - Mówił prosto do jej ucha lekko urywanym szep-tem. - Przez całe pięć godzin miałem erekcję. Może stewardesa nic nie zauważyła, ale nie je- stem pewien.

Paige roześmiała się. Przeczesła palcami włosy na jego piersi, a potem przesunęła dłoń po cudownie szerokiej ścianie mięśni.

- Jesteś zepsuty do szpiku kości. Ja w ogóle nie myślę o takich rzeczach.

- W ogóle?

- W ogóle. - Właściwie naprawdę myślała nie tyle o seksie, co o poczuciu pełni. Kiedy była z Noahem, marzenia stawały się rzeczywistością.

Mimo niewinnych pragnień czuła, jaki jest ogromny. Przymknęła oczy, by delektować się przyjemnością. Przyciągnął ją do siebie.

- Uwielbiam, jak tak robisz. - Głos drżał mu lekko.

- Jak?

- Powiedz, że ci jest dobrze.

Objęła go za szyję i przytuliła mocno.

- Kocham cię - szepnął.

- Ja też - odpowiedziało jej serce.

- Tak?

- Tak.

Czuła, jak napinają się wszystkie jego mięśnie.

- Chryste - wymamrotał i odsunął ją do tyłu. Uniosła biodra na jego spotkanie, a on za-

głębiał się w nią bez końca.

Potem drzemali chwilę, trzymając się w objęciach.

- Naprawdę? - spytał, gdy otworzyli oczy.

Nie udawała że nie rozumie. Nigdy dotąd nie wyznała miłości żadnemu mężczyźnie. Nawet o tym nie myślała, dopóki Noah pierwszy nie wypowiedział tych magicznych słów. Wtedy zaczęła rozumieć, co naprawdę czuje.

- Tak. A ty?

- Tak. - Urwał. - To raczej miłe.

- I trochę przerażające.

- Okropnie przerażające. - Ułożył ją wygodniej i podciągnął kołdrę. - Niedawno dostałem interesującą propozycję. Mój stary przyjaciel jest prezesem Rady Powierniczej szkoły, którą skończyłem. Powiedział mi, że dotychczasowy dyrektor właśnie złożył rezygnację.

Co oznaczało, że Noah zamierza się starać o tę posadę.

I najprawdopodobniej ją otrzyma, a wtedy przeprowadzi się do Santa Fe. Akurat teraz, kiedy się w nim zakochała. Jakie to niesprawiedliwe!

- Nie dostanę tej pracy automatycznie - powiedział. - Na pewno rozpatrzą inne kandydatury, ale wszyscy decydenci znają mnie i moją rodzinę, a fakt, że jestem absolwentem tej szkoły, powiększa moje szanse.

- To dobra szkoła? - spytała z głową przy jego piersi.

- Nie dobra. Fantastyczna. Ma świetną opinię, wspaniałych uczniów, duże poparcie ze strony absolwentów i otrzymuje ogromne dotacje.

- Czyli wszystko, czego brakuje Mount Court.

- No tak. Czułbym się zaszczycony, gdyby mnie wybrali.

Znów skinęła głową.

- Mogłabyś pojechać ze mną.

- Ja? Och, nie. Moje życie jest tutaj.

- Spróbuj przenieść je tam.

- Do Nowego Meksyku? Świetnie się czuję w Tucker.

- Mówisz, że mnie kochasz - powiedział, rozumując w typowy dla mężczyzn, uproszczony sposób, jakby wierzył, że miłość wszystko zwycięża, wszystko wybacza i niczego nie niszczy.

- Miłość stanowi jedynie część mojego życia - zachnęła się. - Cała reszta związana jest z

Vermont.

- A gdybyśmy wzięli ślub?

Odetchnęła głęboko, ale tak niefortunnie, że dostała ataku kaszlu. Gdy wreszcie mogła znowu swobodnie zaczerpnąć powietrza, podciągnęła się wyżej, żeby spojrzeć mu prosto w twarz. Ale Noah miał na wpół przymknięte oczy, w pokoju panowała ciemność, więc niewiele udało się jej zobaczyć. Doszła do wniosku, że jest to tak samo nieuczciwe jak jego propozycja.

- Nigdy nie myślałam o małżeństwie.

- Co nie oznacza, że jest w nim coś złego.

- Ty nie masz najlepszych doświadczeń.

- Ale one należą do przeszłości. Ty i Liv pochodzicie z dwóch różnych światów. - Ujął ją pod brodę. - Jesteś albo bardzo cyniczna, albo bardzo przestraszona. Więc?

- Ani jedno, ani drugie - odparła. - I jedno, i drugie. - dodała. - Cholera! - Oparła głowę na jego piersi. Zaraz potem usłyszała płacz i podniosła się z łóżka. - Sami jest chora - powiedziała tonem wyjaśnienia. Znalazła koszulę nocną, wciągnęła ją przez głowę i wyszła z pokoju.

Sami - jeszcze na wpół śpiąca - miała mocno zaróżowione policzki. Stała przy poręczy łóżeczka i popłakiwała, pocierając piąstką nosek i oczy.

Paige wzięła dziewczynkę na ręce i przytuliła ją do serca.

- Ciii, mamusia jest tutaj - uspokajała. - Moje maleństwo nie najlepiej się czuje?

- Co się stało? - spytał Noah. Włożył już spodnie, ale nie zdążył ich zapiąć. Miał również nagi tors.

- To tylko katar. Sami jednak bardzo cierpi, bo zupełnie nie rozumie, co się stało i jak się z tym uporać. Zresztą nie bardzo można jej pomóc - dodała cicho i poszła do łazienki, gdzie zmoczyła ściereczkę i otarła buzię dziewczynki.

- Może miałyby ochotę napić się czegoś? - zapytał Noah.

- Może. Przyniosę butelkę, jak już ją przewinę.

- Ja się tym zajmę. Co trzeba przygotować?

Chciała powiedzieć, że nic i że nie potrzebuje jego pomocy. Dodałaby jeszcze, że potrafi sama o siebie zadbać i do tej pory doskonale dawała sobie ze wszystkim radę. Jak na rozsądną, zrównoważoną kobietę byłoby to całkowicie absurdalne zachowanie.

- Sok jabłkowy. Chętnie go pije.

- Wszystko w porządku? - spytała Nonny, stając nagle w drzwiach. W białej koszuli nocnej i białym szalu wyglądała jak mały duszek.

- Och! Nie wiedziałam, że mamy gości - powiedziała na widok Noaha.

- Bo nie mamy. To tylko Noah. - Paige westchnęła.

- W dodatku fatalnie ubrany jak na taką pogodę. Nie pozwól się znowu wyrzucić o świecie
- zwróciła się do Perrine'a. - W końcu jest niedziela.

- Kiedy byłam dorastającą panienką, było dokładnie tak samo - poskarżyła się Paige. -
Usiłowałam coś przed nią ukryć, a potem okazywało się, że ona i tak wszystko wie.

Nonny potruchtała do toaletki, ciągnąc za sobą zwiewne szatki, po czym położyła dłoń
na czole Sami.

- Mój króliczek znów ma gorączkę?

- Nie. Płakała, bo obudziła się z zatkanym noskiem i nie mogła oddychać. Noah zamie-
rzał właśnie przynieść butelkę. Wracaj do łóżka.

- Chcesz, żeby ominęła mnie cała zabawa?

- Nonny.

- No idę, idę. - Wyszła z pokoju, szurając nogami.

Noah poszedł na dół. Przez ten czas Paige przewinęła Sami, a potem usiadła w fotelu na
biegunach i patrzyła, jak mała pije. Noah oparł się o łóżeczko i obserwował tę scenę.

- Umiesz zajmować się dziećmi - powiedziała cicho Paige. - Bałam się, że będziesz zbyt
szorstki.

- Bardzo lubiłem karmić Sarę.

- Często to robiłeś?

- Kiedy tylko mogłem.

Paige bujała się dalej w fotelu. Sami, która pomagała jej trzymać butelkę, wyjęła ją z bu-
zi i zacisnęła wargi.

- Już nie chcesz? - spytała Paige. - Nic a nic? Nawet za zdrowie mamusi? - Smoczek po-
wędrował z powrotem do ust dziewczynki. - Moje kochane maleństwo.

Sami wypila prawie cały soczek. Paige odstawiła butelkę i znowu zaczęła ją kołysać. Po-
tem ułożyła małą w łóżeczku, przykryła kołderką i wymasowała jej plecki.

- Lubisz się nią opiekować, prawda? - spytał Noah, stając tuż obok.

- Jest taka słodka. - W tamtej chwili jednak wyczuwała bardziej obecność Noaha niż Sa-
mi. Odczuwała bijące od niego ciepło, które wabiło ją w chwili, gdy chciała stawić czoło poku-
sie.

- Myślałaś o tym, żeby ją adoptować?

- Nie.

- Jej również nie brałaś pod uwagę w swoich planach?

Paige nie odpowiedziała. Masując plecki dziecka zastanawiała się, jak wyglądało jej życie przed śmiercią Mary. Minęło już dwa i pół miesiąca. Nie mogła w to uwierzyć.

Mara powiedziałyby, że Paige musiałaby być szalona, żeby nie zaakceptować propozycji Noaha, bo najważniejszy jest głęboki kontakt.

Niewykluczone, że miałyby rację. Ale Paige ponad wszystko odczuwała potworny strach.

- Chyba zasnęła - powiedział Noah, dotykając jej ręki.

Paige skinęła głową. Pozwoliła, by poprowadził ją na dół, bo o wiele przyjemniej jest mieć przewodnika, niż samemu odgrywać tę rolę. Potem jednak, kiedy znaleźli się w sypialni i Noah obrócił ją twarzą ku sobie z wyraźnym zamiarem, by coś powiedzieć, Paige zasłoniła mu dłonią usta.

- Nic nie mów. Nie potrafię teraz myśleć o przyszłości. To, co się dzieje między nami, jest dla mnie zupełnie nowe. Nie lepiej po prostu się tym cieszyć? Cieszyć się tu i teraz?

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, bo słów, które już padły, nie można cofnąć. Następnego dnia Paige zostawiła Nonny i Noaha z Sami, po czym wśliznęła się do sypialni, zwinęła w kłębek na sofie i zagłębiła w przemyśleniach Mary dotyczących mężczyzn.

Nawet w najgorszych czasach zdarzały się cudowne chwile, zupełnie jak sen. Czulałam, że warto znosić to całe piekło. Nie opiekowałam się wtedy Danielem bardziej niż on mną. Byliśmy razem, naprawdę razem - dwoje ludzi o pokrewnych duszach, razem, w całkowitej harmonii.

Kiedy umarł, sądziłam, że już nigdy nie przeżyję czegoś podobnego. A jednak udało mi się to z Nowellem Bricksem.

Paige zdziwiła się niepomiarownie, bo nigdy nie podejrzewałyby Mary o romans z Nowellem.

On wtedy przez jakiś czas mieszkał w Tucker, ale nasz związek nie miał szans, bo Nowell był żonaty. Prawdopodobnie dlatego przeżyliśmy tyle szczęśliwych chwil. Taki bezpieczny związek. Bez perspektyw.

Doświadczyłam czegoś podobnego również z Peterem. Bywało, że leżeliśmy obok siebie w lesie, o świcie, ze wzrokiem utkwionym w obiektyw czekaliśmy, aż pojawi się jeleni i zaczną żerować przy strumyku. Szeptaliśmy bez przerwy - ledwo jedno kończyło mówić, już drugie zaczynało. On wiedział, o czym myślę ja i odwrotnie. Odbieraliśmy dokładnie na tej samej fali.

Ale gdy wstawaliśmy z ziemi, wszystko się kończyło. Ten kontakt istniał między nami również w łóżku, nigdy poza nim. Taka jest historia mojego życia.

Paige opuściła list na kolana.

- Od kogo? - spytał Noah od drzwi.

Kiedyś wykręciła się od odpowiedzi, teraz nie widziała powodu, by robić unik.

- To listy Mary. Znalazłam kilka takich pakietów po jej śmierci. Stanowią rodzaj pamiętnika. Pisała je przez wiele lat.

- O czym w nich pisze?

- O różnych sprawach. Niektóre fragmenty są bardzo osobiste, inne raczej filozoficzne. Jak się okazuje, o wielu rzeczach w ogóle nie miałam pojęcia. To smutne. Byłyśmy ze sobą tak blisko. - Zmarszczyła brwi, bo przypomniła sobie wszystko, czego nie wiedziała o Marze. - Zastanawiam się, czy ktokolwiek z nas zna, naprawdę zna ludzi, z którymi przebywa na co dzień.

- Oczywiście, że tak - powiedział Noah - ale są i tacy, którzy, z różnych zresztą przyczyn, ukrywają przed nami jakąś część siebie. Nie dlatego, że są nieuczciwi. Nie mówią tylko całej prawdy.

- Gdybym wiedziała o niej więcej, być może byłabym w stanie jej pomóc.

- A gdyby Mara należała do osób skorych do wyznań, twoja pomoc prawdopodobnie nie byłaby w ogóle potrzebna. A ona sama byłaby zdrowsza i mocniejsza.

Paige wiedziała, że Peter ma rację. Zerknęła na list.

- Musiała się czuć strasznie osamotniona, kiedy je pisała.

- Szkoda, że nie dała ci ich wcześniej.

- Nie są adresowane do mnie. Przeznaczyła je dla kogoś innego. - Paige znów poczuła się winna.

- Dla przyjaciela?

- Chyba tak. Kogoś z Eugene. Mara nigdy nie wspominała mi o tej kobiecie. - Rzuciła Noahowi pełne skruchy spojrzenie. - Wiem, że powinnam była je odesłać i mam zamiar tak zrobić. Chciałam je tylko jeszcze trochę poczytać. Te listy zbliżyły mnie do Mary. Dzięki nim mogę lepiej zrozumieć jej śmierć.

- Czy ta przyjaciółka z Eugene była na pogrzebie?

Paige potrząsnęła głową.

- Z jej rodzinnego miasta przyjechali tylko rodzice i trzech bracia.

- Sądzisz, że ona wie o śmierci Mary?

- Boże! Mam nadzieję, że tak! - Znów ogarnęły ją wyrzuty sumienia. - Ale nikt z jej przyjaciół nie dzwonił, a minęło już przecież dwa i pół miesiąca. Gdyby były w kontakcie, Lizzie na pewno by zadzwoniła, prawda?

- Tak. Ale być może zerwały znajomość i dlatego właśnie Mara nie wysłała listów.

- W takim razie dlaczego je napisała? - spytała Paige.

- Chciała się komuś zwierzyć.

- Ale dlaczego właśnie tej kobiecie? - Paige zrobiło się bardzo przykro. Poczula nawet lekkie ukłucie zazdrości, choć oczywiście nie zatrzymała listów po to, żeby pozbawić Lizzie Parks czegoś, co sama pragnęła otrzymać.

A może jednak?

Mocno poruszona, sięgnęła po książkę telefoniczną i zadzwoniła do Eugene. Odebrała pani O'Neill. Paige rozmawiała z nią parokrotnie, gdy porządkowała rzeczy Mary.

- Mam tu pewne papiery - powiedziała po serdecznym powitaniu. - Konkretnie listy Mary do Lizzie Parks. Są zaadresowane, więc chciałabym je odesłać. Sądzi pani, że Lizzie nadal tam mieszka?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Paige wyobrażała sobie, że pani O'Neill sprawdza, czy adres jest prawidłowy, bądź szuka nowego w książce telefonicznej.

Ale matka Mary nie zajmowała się ani jednym, ani drugim.

- Nie, pod tym adresem nie mieszka żadna Lizzie - powiedziała zmienionym głosem. - W ogóle nie ma takiej osoby.

Paige pomyślała z przerażeniem, że Lizzie też umarła.

- Jak to?

- Ktoś taki nigdy nie istniał. W każdym razie nie naprawdę. Kiedy Mara była małą dziewczynką, udawała, że ma kuzynkę w swoim wieku, która też mieszka w Eugene. Taką zmyśloną przyjaciółkę.

Paige potrząsnęła głową i przycisnęła palce do skroni.

- Och - powiedziała cicho. - To wszystko wyjaśnia. - Zmyśloną przyjaciółką. Dziękuję, przepraszam, że sprawiłam pani kłopot - powiedziała i odwiesiła słuchawkę.

Wpatrywała się w list, dopóki litery nie zaczęły się jej zamazywać przed oczami. Podniosła oczy na Noaha, ale widziała go niezbyt wyraźnie.

- Nie ma żadnej Lizzie Parks. Mara ją wymyśliła.

Minęła go i podeszła do sofy. Zebrała resztę listów i przewiązała je kawałkiem włóczki. Noah pochylił się nad nią.

- Była bardzo nieszczęśliwa.

- Zmyślona przyjaciółka - powtórzyła Paige, schylając głowę.

- Inni też takie mają.

- Nawet gdy zbliżają się do czterdziestki?

- Czasem tak. Te listy nie różnią się specjalnie od tego, co niektórzy dorośli piszą w pamiętnikach. A Mara opatrzyła swój dziennik imieniem adresata. Wybrała tylko nieco inną formę.

Ale Paige nie pozwoliła się pocieszyć. Ogarnęło ją poczucie klęski.

- W takim razie była jeszcze bardziej samotna, niż przypuszczaliśmy.

- Nie obwiniaj się, Paige. - Przyciągnął ją do siebie. - Mara miała cię pod bokiem i mogła to wykorzystać. Mogła również skorzystać z pomocy innych bliskich sobie ludzi. Ona jednak wolała zachować swoje myśli dla siebie.

- Prawdopodobnie zawsze się miotła między teraźniejszością a przeszłością. Zawsze musiała wyrzekać się jednego, by zyskać drugie. I żaden wybór nie okazał się dobry. Mara była skazana na klęskę. - Paige przytuliła się do Noaha i spazmatycznie wciągnęła powietrze. - Tak bardzo jej współczuję.

Zadzwonił telefon. Paige nie zareagowała. Bliskość Noaha dodawała jej sił. Jednak gdy dzwonek odezwał się po raz drugi, poczucie obowiązku wzięło górę.

- Halo?

- Doktor Pfeiffer?

- Tak.

- Tu Antoni Perrine, ojciec Noaha.

- Dzień dobry, doktorze - powiedziała zerkając na Noaha.

- Obawiam się, że mamy pewien problem. Przed chwilą dzwoniła matka Sary. Sara zniknęła. Liv usiłowała złapać Noaha w domu, ale bez powodzenia. Pomyślałem, że może on jest u pani.

- Tak. Stoi tuż obok. - Przyłożyła Noahowi słuchawkę do ucha, a on natychmiast położył rękę na jej dłoni.

- Słucham.

Jego twarz przybrała najpierw pochmurny, a zaraz potem rozgniewany wyraz.

- Liv nie wie, jak długo jej nie ma? - Słuchał chwilę. - Wspaniale! Liv zasnęła - szepnął do Paige. - Nie widziała Sary od wczorajszego wieczora. - Gdzie szukała do tej pory? - spytał ojca i słuchał przez chwilę, poprawiwszy okulary na nosie. - Zaraz zacznę wydzwaniać do jej koleżanek z Mount Court. Nie sądzę, żeby wiele z nich mieszkało w tamtych stronach, ale zatelefonuję też do innych. Pewnie związała, niech ją Pan Bóg ma w swojej opiece.

Odezwał się gong do drzwi. Paige doszła do wniosku, że Nonny otworzy, i nie ruszyła się z miejsca.

- Powiedz Liv, żeby zadzwoniła do wszystkich starych znajomych Sary, z którymi mogła nawiązać kontakt, zanim zniknęła - powiedział Noah do ojca. - Gdzie ona mogła pojechać z taką wielką torbą? I dlaczego w ogóle uciekła? Kłóciły się?

Paige zbliżyła ucho do słuchawki, ale nie dosłyszała odpowiedzi.

- Zapytaj, czy nie znaleźli czegoś, co pozwoliłoby trafić na jej ślad. Na przykład kartek z numerami telefonów w koszu na śmieci, rozkładu jazdy autobusów i tak dalej.

Noah skinął głową. Słuchając odpowiedzi ojca, wpatrywał się w Paige, a potem zrelacjonował mu jej pytanie.

- Sara nie zniknęłaby ot tak sobie. Nie jest...

- Nieszczęśliwa - powiedziała Paige do mikrofonu. - Zaaklimatyzowała się już w Mount Court i lubi swoją szkołę. Jeśli już, to chyba...

- Prawdopodobnie wsiadła do pierwszego samolotu, jaki wylatywał z San Francisco.

- I wróciła tutaj - dokończyła za niego Paige.

- Jak się macie? - usłyszeli od drzwi.

Paige i Noah odwrócili się i stanęli twarzą w twarz z Sarą, która uśmiechała się od ucha do ucha.

Noah wydał westchnienie ulgi, a Paige podbiegła do dziewczyny i chwyciła ją w objęcia.

- Właśnie przyszła. Wygląda świetnie. - Odchrząknął. - Umieram z ciekawości, jak się tu dostała. Zrób to dla mnie i zadzwoń do Liv, tato. Powiedz, że skontaktuję się z nią kiedy indziej. - Odłożył słuchawkę.

Paige wciąż tuliła Sarę, jakby chciała ją obronić przed ewentualną karą. Ale Noah podszedł do nich i otoczył je obie ramionami. Wtedy dopiero odważyła się głębiej odetchnąć.

Noah bardzo chciał gniewać się na Sarę, ale nie potrafił. Nie uciekła przecież do przyjaciół, tylko wróciła do domu, do ojca, a to bardzo wiele dla niego znaczyło. Okazało się rów-

niez, że na lotnisko pojechała taksówką, a bilet po prostu przedatowała, więc Perrine nie mógł jej właściwie niczego zarzucić. Dziewczyna postąpiła bardzo rozsądnie. Nie zrobiła nic, co mogło okazać się niebezpieczne. Przestraszyła tylko swoją matkę, bo była na nią zła. Liv spędziła wprawdzie z córką Święto Dziękczynienia, ale większość czasu i uwagi poświęcała nowemu narzeczonemu, pozostawiając Sarę samej sobie.

Noah był wściekły na Liv, chociaż niczego innego się po niej nie spodziewał. Zawsze uważał swoją byłą żonę za egoistkę i przy najbliższej okazji zamierzał jej to wytknąć.

- Zapropnowała mi, żebym poszła w odwiedziny do przyjaciół - mówiła Sara. Sami siedziała jej na kolanach, a Nonny, Noah i Paige zajęli sąsiednie miejsca na kanapie. - Ale moje dwie najbliższe koleżanki wyjechały, a te, które zostały w domu, nie pały chęcią spotkania. Ja również nie miałam ochoty ich widzieć. Zamierzałam odwiedzić Jeffa - w końcu tyle lat z nim mieszkałam i noszę jego nazwisko - ale ona mi nie pozwoliła. Więc nie wiedziałam, co robić. W końcu doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę nudzić się tutaj.

Noah wyczuł natychmiast, że Sara chce go sprowokować. Wiedział też, że jej duma została głęboko urażona.

- Następnym razem - ostrzegł, bo musiał inaczej rozmawiać z Liv, a inaczej z córką - uprzedź matkę, że wyjeżdżasz.

- Usiłowałyby mnie zatrzymać. Zabralyby mi bilet i pieniądze. Zamknęłyby mnie w pokoju.

Noah miał co do tego wątpliwości. Sara nie spuszczała z niego wzroku.

- Nie wierzysz mi?

- A zrobiła tak kiedyś?

- Owszem.

Zapytałby, kiedy to się stało, ale oczy dziewczyny zdradziły mu wszystko. Najprawdopodobniej wydarzyło się to po jednej z kradzieży w sklepie. Doszedł więc do wniosku, że Sara nie chce, żeby Nonny i Paige dowiedziały się o jej wyczynach.

A więc nie pytał.

- Zmusiłyby mnie, żebym łażła gdzieś z nią i Rayem. Straszny z niego lizus.

- Lizus? - zdziwiła się Paige.

- Bez przerwy się przed nią płaszczy. Cokolwiek powie czy zrobi, zawsze jej kadzi. Jeżeli ona zdecyduje się wyjść za niego za mąż, wyniosę się stamtąd na dobre.

Noah nie miał nic przeciwko takiej decyzji, ale poczucie obowiązku kazało mu zareago-

wać.

- Ona jest wciąż twoją matką. Mieszkasz teraz ze mną, więc nie widujecie się często, ale byłoby dobrze, gdybyście potrafiły odnosić się do siebie grzecznie.

Sara zrobiła urażoną minę.

- Powiedz to jej. Nie była dla mnie specjalnie miła. Nie podobały się jej moje włosy, cera i figura. Wymawiała mi, że tyję.

- Wcale nie tyjesz - powiedziała szybko Paige, bo w Mount Court dziewczęta często popadały w niebezpieczną manię odchudzania się. Nie chciała mieć takich kłopotów z Sarą.

- Ważę sześć kilo więcej od niej.

- Ale jesteś dziesięć centymetrów wyższa - przypomniał rzeczowo Noah.

- Co znaczy, że proporcjonalnie ważysz mniej. Możesz to powiedzieć matce następnym razem - dodała Paige.

Noah uśmiechnął się. Uwielbiał w niej ten spryt. Kochał też sposób, w jaki tuliła Sarę, wtrącała swoje trzy grosze do rozmowy, sposób, w jaki potrafiła zgadywać jego myśli.

Nagle przestał się uśmiechać, bo zupełnie nie wiedział, co będzie, kiedy on wyjedzie do Santa Fe, a ona zostanie tutaj.

- Tak czy inaczej - mówiła Sara - prędko się z nią nie spotkam. Ewentualnie w czasie marcowych ferii.

- Nie jedziesz tam na gwiazdkę? - spytała Paige rzucając Noahowi zdziwione spojrzenie.

Potrząsnął głową.

- Spędza z matką Święto Dziękczynienia i ferie wiosenne. O lecie jeszcze nie rozmawialiśmy.

- Co zamierzacie robić w święta? - spytała Nonny z błyskiem w oku i Noah zrozumiał od razu, że staruszka ma już w zanadru jakieś plany.

- Ty mi powiedz.

- Oczywiście przyjdziecie do nas. Tu ustawimy drzewko. Udekorujemy dom, wywiesimy pończochy na kominku i pójdziemy śpiewać kolędy.

- Ja też? - spytała Sara.

- No oczywiście - odparła Nonny.

Noah miał ochotę ją uściskać - traktowała Sarę tak szczerze i naturalnie - ale uważał, że ta sielankowa wizja jest trochę przedwczesna.

- Chciałem zabrać Sarę do Nowego Jorku - powiedział. - Zwiedzilibyśmy Centrum Rockefellera i...

- Nowy Jork cuchnie - stwierdziła Sara.

- Masz rację - poparła ją Nonny.

Paige spojrzała na nią karcąco.

- Nikt cię nie pytał o zdanie.

- Ale i tak je wygłosiłam. I zamierzam powiedzieć coś jeszcze, bo jestem tu najstarsza - dodała, przysuwając się do Sary. - Co znaczy, że żyję najdłużej z was wszystkich i mam najwięcej doświadczenia. A ono mówi, że o wiele przyjemniej będzie nam tutaj. Chodź, Saro. Musimy się zastanowić, co podać na kolację.

Sara poszła za nią posłusznie, nie wypuszczając Sami z objęć.

- Przyniosę coś! - zawołał za nimi Noah.

- Najlepiej jakąś meksykańską potrawę! - odkrzyknęła Nonny.

- Taka kuchnia mi szkodzi.

- W takim razie przygotujemy coś same.

Noah patrzył, jak znikają w kuchni. Pomyślał, że Sara spędziła dużo czasu z jego rodzicami i dobrze się czuła w ich towarzystwie, ale Nonny stanowiła dla niej nieoczekiwany, wyjątkowy dar. Sara nie mogła nie przylgnąć do tej ni to staruszki, ni to elfa.

Polubiła również Sami. Jak na osobę, która - wbrew buńczucznym deklaracjom składanym Paige - nie miała kontaktów z dziećmi, Sara świetnie radziła sobie z małą. Opiekowała się nią jak zawodowa niania. Teoria, wedle której miłość jest ważniejsza od doświadczenia, jeszcze raz zdała egzamin.

Noah nie podejrzewał nigdy swej córki o zdolność do gorących uczuć. Zawsze była cicha, zamknięta w sobie, nawet ponura. W tym domu jednak Sara potrafiła się uśmiechać, rozmawiać i uczestniczyć w wydarzeniach dnia codziennego.

- O czym myślisz? - zapytał, ujmując dłoń Paige.

- O tym samym, co ty - odparła z westchnieniem. - Wyglądają razem jak siostry.

- Mogłyby nimi zostać.

- No tak. Cóż...

- Warto poświęcić temu zagadnieniu nieco więcej uwagi.

- Dobrze ci mówić. Nie ty musiałbyś zrezygnować z czegoś, co tworzyłeś przez prawie całe dorosłe życie. - Chciała rozprostować palce, ale Noah mocno ścisnął jej rękę.

- Daj spokój, Paige. Ludzie bez przerwy się gdzieś przenoszą. - Nagle udało mu się więcej wyczytać z jej twarzy. - Ale tobie nie chodzi o przeprowadzkę, tylko o zobowiązania, prawda? Właśnie dlatego tak się boisz.

- Mhm - mruknęła.

I to również w niej kochał. Tę szczerość. Noah nie zawsze zgadzał się z Paige - a już na pewno nie w tym konkretnym przypadku - ale przynajmniej był pewien, że niczego przed nim nie ukrywa.

- Absurd. Przecież zobowiązania zostały z góry wpisane w twoje życie.

- Raczej w niektóre sfery życia.

- A dlaczego nie we wszystkie?

- Bo nie można żądać zbyt wiele.

- Masz zamiar się poddać, mimo że jesteś faworytem - skonstatował gorzko. Nie chciała dać mu szansy i bardzo go to bolało.

- Nie, wcale nie.

- Tak cię przynajmniej zrozumiałem.

- Nie. Próbuję tylko pamiętać o swoich ograniczeniach i uniknąć klęski.

- I dlatego rezygnujesz z najlepszej propozycji, jaką składa ci los. Możesz być z kimś, kogo kochasz. Czyż to nie wspaniale? Nawet nie wiesz, ilu samotnych ludzi marzyłoby o takiej szansie. Pomyśl na przykład o Marze.

- Nigdy o niej nie zapominam.

- Sądzisz, że ona też by się wycofała?

- Zadajesz ciosy poniżej pasa.

- Pewnie masz rację. Ale szczególne okoliczności wymagają szczególnych środków. Wycofujesz się jak ostatni tchórz. Dlaczego? Czy dlatego, że rodzice traktowali cię jak piąte koło u wozu, ty też musisz w ten sposób myśleć o wszelkich związkach? A Nonny? A Sami? Chyba ci nie przeszkadzają? Rodzina nie jest kulą u nogi. Nie stanie się nią również, gdy dokończysz do grona swoich najbliższych jeszcze mnie i Sarę. Będiesz szczęśliwa, zapewniam cię.

Uwolniła dłoń z jego uścisku.

- Moje życie było dotąd zupełnie proste, a ty nagle prosisz mnie, żebym została żoną i matką dwojga dzieci. W dodatku chcesz, żebym zrezygnowała ze swojej praktyki i przeprowadziła się do Santa Fe.

- Możemy ponegocjować.
- Ponegocjować? Jaki ty jesteś romantyczny!
- Mówię ci tylko, że jeszcze nie zdecydowałem się na wyjazd z Tucker.
- Świetnie. Jeśli zostaniesz, nic się między nami nie musi zmieniać.
- Co oczywiście bardzo by ci odpowiadało. Mogłabyś dalej pracować, udawać, że masz męża i rodzinę, a gdyby coś przestało nagle grać, miałabyś prawo uciec. I znów byłabyś wolna jak ptak.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.
- No właśnie. Dlatego ślub niczego nie zmienia.
- Masz rację. W zupełności się z tobą zgadzam. Nie zdołał się powstrzymać od śmiechu.
- Szybka jesteś! Zawsze łapałaś mnie za słowa. Od samego początku.
- A ty od samego początku byłeś uparty - odcięła się natychmiast. - Jeśli już raz wbiłeś sobie coś do głowy, jak na przykład obowiązkową naukę w świetlicy, nie chciałeś zmienić zdania, żeby się waliło i paliło. Na miłość boską! Byłeś już raz nieszczęśliwie żonaty. Dlaczego miałbyś znów próbować?

- Bo teraz zrobiłbym wszystko lepiej.
- I jesteś pewien, że potrafisz?
- Tak mi się wydaje.
- Cóż, w takim razie wierzysz w siebie bardziej niż ja.
- Nie - odparł smutno. - Sądzę, że tylko bardziej tego pragnę. - Pomyślał, że jeśli Paige go nie kocha, nie pozostaje mu nic innego, jak przenieść się do Santa Fe i zostawić całe Tucker daleko za sobą. Przygnębiony i zniechęcony powlókł się do kuchni.

Paige nie wiedziała, co robić. Miała natłok sprzecznych myśli i nie zaznała spokoju tej nocy. Miłość do Noaha była czymś zupełnie nowym w jej życiu. Najchętniej ponosiłaby ją trochę w sercu, żeby się przekonać, czy aby nie uwiera, ale Noah nie chciał jej dać takiej szansy. Zmuszał ją do podejmowania decyzji, jakich nie potrafiła podjąć.

A następnego popołudnia zatelefonowała do niej Joan Felix i Paige została przyparta do muru.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Chyba już mamy - powiedziała Joan.

- Co? - spytała Paige zdziwionym tonem.

- Rodzinę dla Sami. Ci ludzie wychowują czworo własnych dzieci i chcą adoptować piąte. Przenieśli się do Vermont ze środkowego wschodu. Rozmawialiśmy z nimi wstępnie w zeszły piątek. Na pierwszy rzut oka robią dobre wrażenie, wywiad środowiskowy potrwa jednak co najmniej miesiąc. Już przez to przeszłaś, więc sama wiesz najlepiej.

Paige słyszała tylko co drugie słowo. Resztę zagłuszało oszalałe bicie serca. Zrozumiała, że jakaś rodzina z czworgiem dzieci chce zabrać Sami na wschód, ale tak naprawdę docierał do niej tylko obraz opustoszałego, zimnego i cichego pokoju dzieciennego.

- Paige, jesteś tam?

- Tak.

- Myślałam, że coś się rozłączyło.

- Przepraszam. - Paige przycisnęła rękę do żołądka. - Możesz powtórzyć jeszcze raz? Znaleźliście rodzinę dla Sami?

Tym razem usiłowała słuchać, ale gdy odłożyła słuchawkę, poczuła, że ma mdłości. To był dla niej o jeden wstrząs za dużo. Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki puszkę piwa imbirowego. Sączyła je wolno, w nadziei, że uspokoi w ten sposób żołądek i zrozumie wreszcie sens rozmowy z Joan, gdy nagle weszła Angie.

Nie mówiła nic, oparła się tylko o ladę i patrzyła na Paige niespokojnie. Widać było, że jest zdenerwowana.

Paige od razu się to nie spodobało. Takie zachowanie nie pasowało do zwykle bardzo pewnej siebie Angie.

- Dlaczego mam wrażenie, że coś się stało? - spytała zmartwionym tonem.

- Ben i ja uważamy, że mamy szansę - odparła Angie.

- Bardzo się cieszę - wybąkała Paige, siląc się na entuzjastyczny ton, gdy przeanalizowała już wypowiedź przyjaciółki. W głębi duszy była przekonana, że Angie jeszcze nie odkryła wszystkich kart. Powinna się przecież cieszyć, a wyglądała jak półtora nieszczęścia.

- Być może będę musiała się przeprowadzić.

- Przeprowadzić?

- Z powrotem do Nowego Jorku.

- Och, Angie!

- Mam zupełnie rozdartą duszę - powiedziała Angie błagalnie, chwytając Paige za rękę. - Gdyby chodziło tylko o mnie, nawet nie brałabym pod uwagę takiej możliwości. Ale nie ja jestem najważniejsza, choć tak mi się chyba dotychczas wydawało. Istnieje jeszcze Ben, a on chce mieszkać w dużym mieście. Nudzi się tutaj.

Paige nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła sobie wyobrazić przyszłości bez Angie. Już na samym początku, kiedy opracowywała koncepcję spółki, Angie odgrywała w niej bardzo istotną rolę. Ale...

- Co zamierzasz robić?

- Telefonowałam do kolegi z Nowego Jorku. Słyszał o dwóch etatach dla pediatrów - wprawdzie poza miastem, ale niezbyt daleko. Będę mogła dojeżdżać. - Urwała. - I co ty na to? - spytała trochę ironicznie.

Paige miała ostatnio kłopoty z myśleniem. Jej świat po raz kolejny przewrócił się do góry nogami. Niemniej jednak postanowiła spróbować.

- Myślę, że... no... myślę, że nie możesz wyjechać, bo jesteś nam tutaj potrzebna, ale jeśli uda ci się w ten sposób uratować małżeństwo, to chyba będziesz musiała.

Angie wyjeżdża? Sami u obcych ludzi? Paige czuła, że ma węzeł zamiast żołądka.

- Nie podjęłam jeszcze decyzji - ciągnęła Angie. - Niewykluczone, że nie będą mi odpowiadały te posady, a Ben zdecyduje się na pracę w Montpellier albo w Hanoverze. Rozważał nawet dojazdy do Nowego Jorku. Ale jeśli zdecyduje się przenieść, nie mogę odmówić. On przecież próbował, przez dziesięć lat. Robił to tylko i wyłącznie ze względu na mnie, więc teraz staram się słuchać, co on mówi. Jest bardzo bystry. Wiedział, czego naprawdę potrzeba Dougiemu. On ma dopiero czternaście lat, ale w Mount Court wiedzie mu się świetnie. Może zostać w szkole albo pojechać z nami. Oczywiście wolałabym, żeby nie zostawał, tak samo jak nie chcę, żeby w ogóle mieszkał w internacie. W dalszym ciągu całym sercem buntuję się przeciwko tej rozłące, ale rozum mi podpowiada, że taka sytuacja ma swoje zalety. Dougie potrzebuje swobody. Poza tym jeśli do tej pory nie zapomniał, jakie wartości wpajałam mu przez całe czternaście lat, już chyba nigdy nie zapomni. - Odetchnęła. - Staram się patrzeć realistycznie na przyszłość. Nigdy dotąd tego nie robiłam. - Popatrzyła na Paige wyczekująco. - No, powiedz coś.

- Nie umiem. Zawsze wiedziałas, co dla ciebie najlepsze.

- Nie. Tak mi się tylko wydawało. Uważałam, że jeśli coś jest najlepsze dla mnie, staje

się automatycznie najlepsze również dla Douga i Bena, ale oczywiście popełniłam błąd. Oni mają swoje indywidualne potrzeby, a jeśli ja nie potrafię ich zaspokoić, nie widzę sensu w realizacji własnych dążeń. Moje szczęście zależy od tego, czy oni są szczęśliwi. Nie stałam się jednak ich niewolnikiem - dodała z krzywym uśmiechem. - Nigdzie nie pojedę, jeśli okaże się, że nie znajdę pracy, która dawałaby mi zadowolenie, i Ben doskonale mnie rozumie. Nie wolno mi jednak teraz niczego narzucać. Czasem tak, ale nie zawsze.

Paige wzięła Angie w ramiona.

- Mara straciła swoją szansę - zadumała się Angie. - Pragnęła szczęścia, a ono wymknęło się jej z rąk. Nie mogliśmy tego zrozumieć, bo postrzegaliśmy jej życie jako pasmo sukcesów i tylko ona sama widziała wszystko, czego nam nie udało się zauważyć. W końcu zdała sobie sprawę, że bardzo łatwo jest pomylić sukces ze szczęściem. Zrozumiała, że można osiągnąć coś więcej niż karierę. A ja chcę to przeżyć.

Paige nie wypuszczała jej z objęć.

- Dobrze się czujesz? - spytała Angie po chwili.

- Znaleźli rodzinę dla Sami - odparła Paige drżącym głosem.

- Mój Boże! - Angie wyswobodziła się z uścisku. - Chcą ją zabrać już teraz?

- Może nie teraz, ale wkrótce. - Paige dostała dreszczy. - Muszę iść.

- Dokąd idziesz? Pojedę z tobą.

- Nie. Potrzeba mi czasu. Chcę pomyśleć.

- Czy mogę później z tobą porozmawiać?

Paige skinęła głową, a przynajmniej miała taki zamiar. Nie była jednak pewna, czy jej ciało wykonuje rozkazy wydawane mu przez mózg. Chwiejnym krokiem poszła do gabinetu. Czowała, że zupełnie przestaje nad sobą panować. Dwa razy upuściła torebkę, nie mogła trafić kluczykiem w stacyjkę, a kiedy wreszcie znalazła się na drodze, przez pięć minut jechała przed siebie, gdzieś w ciemność, nie bardzo sobie uświadamiając, dokąd właściwie zmierza.

Sprecyzowanie celu tej wyprawy kosztowało ją wiele wysiłku. Dziesięć minut później przejechała pod stalowym łukiem Mount Court, a w chwilę potem zaparkowała przed budynkiem administracji. Sekretarki Noaha nie było w recepcji, więc Paige poszła od razu do jego gabinetu. Perrine tonął w papierach. Miał podwinięte mankiety, rozpięty kołnierzyk i poluzowany krawat. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu nie należy przeszkadzać.

Stała w drzwiach z poczuciem winy. Nie powinna była tu w ogóle przyjeżdżać. Noah borykał się z wieloma problemami związanymi z Mount Court i Paige nie miała prawa dokładać

mu jeszcze swoich spraw.

Z drugiej strony Noah twierdził przecież, że ją kocha. A ona była tak załamana, że tylko on mógł jej pomóc.

Perrine popatrzył na nią ze zdziwieniem i wyszedł zza biurka.

- Paige! Zupełnie się ciebie nie spodziewałem. - Zmarszczył brwi. - Jesteś bardzo blada. - Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam. Wiem, że jesteś zajęty.

- Nie przepraszaj. Nigdy nie przepraszaj.

- Przeżyłam straszne popołudnie - wszystko się nagle pogmatwało. Angie mówi o przeprowadzce, a agencja adopcyjna znalazła rodzinę dla Sami. - Spojrzała na Noaha tak, że jej oczy powiedziały mu wszystko, czego nie zdołała wyrazić słowami.

Pogłaskał ją delikatnie po ramieniu.

- Prawdopodobnie zabiorą mi ją zaraz po wakacjach. Będzie miała dwoje rodziców i czworo rodzeństwa. I - jak sądzę - ładny dom. Joan twierdzi, że to przyzwoici ludzie. Ale czworo dzieci? - dodała z przerażeniem. - W tak dużej rodzinie Sami nie może oczekiwać specjalnego traktowania. Będzie tylko jeszcze jednym dzieckiem, które dostaje w spadku ciuchy po starszych braciach i siostrach. W dodatku oni dopiero teraz przenieśli się do Vermont, więc nikogo tu nie znają. Nie mogą liczyć na wsparcie. A jeśli on zaczyna pracę w nowej firmie, kto mi zagwarantuje, że jej wkrótce nie straci? Albo że nie znienawidzi swojego szefa i nie przeniesie się gdzie indziej, do innego miasta? A Sami nie powinna tak bez końca wędrować. Musi mieć jakieś stałe miejsce.

- Mówiłaś o tym Joan?

- Nie, ten telefon zupełnie mnie zaskoczył. Nie bardzo potrafiłam cokolwiek powiedzieć.

- A już na pewno nie to, że chcesz zatrzymać Sami.

Paige dostrzegła wyzwanie w jego oczach. Odsunęła się od Noaha i podeszła do okna. Wszędzie było pełno śniegu. Od czasu do czasu przez dziedziniec przechodził jakiś uczeń w ciepłym płaszczu, stanowiącym element wyposażenia wychowanków Mount Court na semestr zimowy. Poza tym widok był tak ponury jak jej wizja przyszłości.

- Co za niesprawiedliwość - powiedziała, ukrywając twarz w dłoniach. - Nie prosiłam o Sami, ale ona zjawiała się w moim życiu i musiałam się nią zaopiekować. Byłam to winna Marze. A teraz, kiedy już się przyzwyczaiłam, że jest moja, agencja znajduje ludzi, którzy chcą ją adoptować. Dlaczego od razu ich nie znaleźli? Uważam, że Sami również spotkała krzywdę.

Gdyby była niemowlęciem, trzy miesiące nie miałyby tak kluczowego znaczenia dla jej psychiki. Nie byłoby ważne, kto ją przytula. Ale ona już nie jest niemowlęciem i wie, kto się nią cały czas opiekował. Ja. Nonny. Ty również.

A on też miał zamiar wyjechać. I Angie. Nawet Nonny, gdy stracą Sami. Co za niesprawiedliwość.

- Nienawidzę zmian! - krzyknęła. - Zawsze ich nienawidziłam. A przede wszystkim nienawidzę, gdy zmienia się coś, do czego mimo początkowych oporów zdołałam się już przyzwyczaić.

Noah oparł się o ścianę w pobliżu okna.

- Nie sądzę, żeby zmiana stanowiła tu główny problem - powiedział cicho.

- Na pewno jeden z najważniejszych. Przez pierwsze trzy lata mojego życia rodzice wlekli mnie za sobą wszędzie, dokąd jeździli. Nie miałam własnego pokoju ani przyjaciół. Jedy-
nym stałym elementem znanej mi rzeczywistości stał się pluszowy miś, który i tak gdzieś zgi-
nął w czasie jednej z przeprowadzek. W końcu Nonny wkroczyła do akcji i zabrała mnie do
siebie. Dopiero po trzech latach zgodziłam się raz przenocować poza domem. Stabilizacja jest
dla mnie bardzo ważna.

Noah skrzyżował ręce na piersiach.

- Powinnaś się przede wszystkim zastanowić - kontynuował, jakby ona w ogóle się nie
odzywała - czego chcesz od życia. Nie wierzę, absolutnie nie wierzę, że zaopiekowałaś się Sa-
mi tylko i wyłącznie ze względu na Marę. Tak istotna decyzja, która zresztą pociągnęła za sobą
różne biurokratyczne komplikacje, musiała mieć jeszcze inną motywację. Gdzieś w głębi serca
pragnęłaś mieć Sami przy sobie. Może i dlatego, że chciałaś jakoś wypełnić pustkę, jaka poja-
wiła się w twoim życiu po śmierci Mary, ale prawdopodobnie czułaś również potrzebę, by za-
spokoić instynkt macierzyński.

- Nie mam takiego instynktu.

- Ależ masz. Zasłaniasz się swoim zawodem i nazywasz go leczeniem, ale z pewnością
matkujesz swoim pacjentom. Matkujesz Jill. I oczywiście Sami. Instynkt macierzyński jest w
tobie równie silny jak chęć uzdrawiania.

- Ale...

- Nie chodzi o to, że przyzwyczaiłaś się do Sami. Ty ją kochasz. Spójrz prawdzie w oczy,
Paige. Tak właśnie jest.

- Oczywiście, że ją kocham - przyznała. - Jak mogłabym jej nie kochać? Ona jest taka

słodka.

- Nie, nie. Nie mówimy o miłości w sensie ogólnym. Ty ją kochasz jak matka. Jesteś dumna z jej osiągnięć. Martwisz się, kiedy choruje. Spieszysz się do domu, bo za nią tęsknisz. Poświęcasz jej czas, który mogłabyś wykorzystać dla siebie, i wcale nie masz wątpliwości, czy postępujesz słusznie, bo tak zachowują się wszystkie matki.

- To jest dla mnie coś zupełnie nowego. Nigdy przedtem nie wychowywałam dziecka.

- Przyznaj, że polubiłaś to zajęcie.

- Sami jest naprawdę dobrą dziewczynką.

- Jej towarzystwo sprawia ci przyjemność - zaryzykował.

- Tak. - Nie było sensu się kłócić. - Masz rację.

- Problem powstaje wtedy, gdy zaczynasz myśleć o zalegalizowaniu waszego związku.

Tak samo jak wtedy, gdy zaczynasz rozważać kwestię małżeństwa. Boisz się formalnych zobowiązań. I jakie są konsekwencje takiej postawy? Zostajesz sama. Ta lub inna rodzina adoptuje Sami, Nonny wróci do siebie. A ja pojedę do Santa Fe.

Takie właśnie obrazy majaczyły w podświadomości Paige, odkąd zatelefonowała Joan. Nie. Dłużej. Od chwili, gdy zrozumiała, że zakochała się w Noahu.

Już jej nie obejmował. Mówił ostrym tonem i przypominał Paige mężczyznę, z którym pokłóciła się po raz pierwszy trzy miesiące temu.

- Twoje życie będzie wyglądało dokładnie tak samo jak przed śmiercią Mary - powiedział. - Ale nie będzie takie miłe jak ten sielski obrazek, który chowasz w pamięci, bo codziennie czeka cię powrót do pustego domu. Będziesz jadać samotne kolacje, siedzieć na tej swojej kanapie i czytać bez końca listy Mary. A kiedy zaczniesz się zastanawiać, co robi Sami, Nonny czy ja, uświadomisz sobie, że jesteśmy daleko i nie potrafisz nas odzyskać. Poczujesz straszny żal. A noce będą piekielnie samotne.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?! - krzyknęła.

Przyszła do Noaha po wsparcie, a nie tortury.

Nie odpowiedział - stał tylko z opuszczonymi bezradnie rękami, ale patrzył na nią tak, że poczuła nagły ucisk w okolicy serca. W jego okularach odbijał się blask lampy, ale Paige mogłaby przysiąc, że za szklami kryły się łzy.

- Czasem widzę w ten sposób własne życie - pełne zajęć w dzień, jałowe w nocy. Niedługo skończę czterdzieści cztery lata i zastanawiam się, co mnie jeszcze czeka. Myślę, że przyjechałem tutaj bez specjalnych nadziei na cokolwiek. A coś się jednak wydarzyło. Wystar-

czy tylko sięgnąć ręką, by to pochwycić, ale i tak wszystko może mi się wymknąć. Mam więc taki sam dylemat jak ty.

Podeszła bliżej i dotknęła jego dłoni.

- Nie mówisz tylko o nas, prawda? Potrząsnął głową.

- O pracy?

Myślał chwilę, zasznurował usta i wzruszył ramionami.

- Nie mogę oddzielić od siebie tych spraw. Może Mount Court jest dla mnie atrakcyjne, bo mam szansę cię spotkać na boisku albo w gabinecie lekarskim? Może problemy, z jakimi muszę się uporać, nabierają znaczenia dzięki temu, że niecierpliwie oczekuję chwili, w której będę ci mógł o nich opowiedzieć? - Był wyraźnie zagubiony. - Ja również pragnąłem uniknąć zbędnych komplikacji. Nie miałem zamiaru się angażować. Przyjechałem tutaj sądząc, że po roku wyjadę. Musiałem dojść do porozumienia ze swoją córką i w dalszym ciągu nad tym pracuję. Absolutnie nie chciałem zakochać się w mężatce.

- Przecież nie jestem mężatką - powiedziała ogłupiałym tonem.

- Jesteś. Poślubiłaś to miasto i swoją lecznicę. Oraz przekonanie, że kiedyś było lepiej. - Uśmiechnął się do niej smutno. - Przyszłaś do mnie po wsparcie, bo nie wiesz, co począć. Ale ja też nie wiem. Nie mogę ci doradzić w sprawie Sami. Tylko ty masz prawo podjąć jakąkolwiek decyzję. - Zadzwoił telefon. - Wiem tylko, że musisz to zrobić szybko. Nie znam się na adopcji, ale sędzę, że trudno jest zatrzymać maszynę, gdy już zostanie wprowadzona w ruch. Zanim zdążysz zadzwonić, może być za późno. Stracisz Sami przez zaniedbanie.

Ciebie również - pomyślała Paige. Wiedziała, że straci Noaha, jeśli szybko nie dojdzie do żadnych wniosków. Ale wiązało się z tym tyle zagadnień. Jej proste dotychczas życie strasznie się poplątało.

Znów zadzwonił telefon.

- Tak czy inaczej - powiedział cicho - musisz coś postanowić. Jak najszybciej. Zanim otwarte na oścież drzwi zamkną ci się przed nosem. - Puścił jej rękę i podniósł słuchawkę.

Mara pisała o tych drzwiach, o nie wykorzystanych szansach. Noah miał rację: decyzja należała do niej. Albo wybierze nowe życie, albo zwróci się w stronę przeszłości. Ta druga opcja łączyła się z wielką niewiadomą. W dawnym życiu mieściło się zaś wszystko, w co wierzyła i co było jej znane.

Chciała spokojnie pomyśleć, więc zaczęła się zbierać do odejścia.

- Zaczekaj! - zawołał Noah. - Doktor Pfeiffer jest tutaj - powiedział do słuchawki. - Zaraz

tam przyjdziemy. - Rozłączył się i sięgnął po marynarkę. - Julie Engel siedzi w gabinecie lekarskim. Udzieliła pielęgniarce paru niepokojących odpowiedzi.

Paige uchwyciła się kurczowo problemów Julie, bo znalazła pretekst, by uciec od własnych.

- Na przykład? - spytała, gdy pospiesznie wychodzili z pokoju. Obawiała się narkotyków, a surowy wyraz twarzy Noaha mówił, że jej domysły są najprawdopodobniej słuszne.

- Julie twierdzi, że to nie było jej pierwsze omdlenie. I że cierpi na poranne nudności. Głównie rano.

A więc nie narkotyki. Seks. Niewiele lepiej. Noah przytrzymał przed nią drzwi i wyszli.

- Niepotrzebna mi teraz taka historia - mamrotał. - Akurat w chwili, gdy wszystko zaczyna się układać. Przez cały listopad nie było przypadków rażącego łamania dyscypliny. Same drobiazgi - spóźnienia, trochę wagarów, raz ktoś zapalił w toalecie. W dodatku nie trawkę, tylko papierosa. Robiliśmy postępy, przynajmniej tak mi się wydawało. - Westchnął. - Mogłem przewidzieć, że Julie narobi kłopotów.

Deirdre i Alicia siedziały w poczekalni. Natychmiast wyszły im naprzeciw.

- Zemdlała.

- Padła na podłogę.

- Natychmiast ją tu przyniosłyśmy.

- Już w zeszłym tygodniu jej mówiłam, że powinna pójść do pielęgniarki.

- Prawie nic nie jadła.

- Może ma grypę.

Paige zatrzymała się tylko na chwilę i położyła dziewczętom ręce na ramionach.

- Zaraz ją zbadam. Usiądźcie i przestańcie się denerwować.

Julie leżała na stole. Była całkowicie ubrana i zasłaniała oczy ramieniem.

Paige odsunęła jej rękę.

- Jak się czujesz?

Julie rzuciła niespokojne spojrzenie na Noaha, który stał przy drzwiach.

- Wszystko dobrze. Po prostu zemdlałam.

- Ludzie nie mdleją ot tak sobie. Zawsze jest jakaś przyczyna. - Dotknęła czoła dziewczyny, ale było chłodne, więc poszukała pulsu. - Rozumiem, że mdlałaś już wcześniej.

- Nie, kręciło mi się tylko w głowie.

- Zawroty głowy również nie pojawiają się bez powodu. Nie wspominając już o poran-

nych mdłościach.

- Powiedziałam tylko, że parę dni temu wymiotowałam. Nie mówiłam o porannych mdłościach.

Puls był równy, miarowy.

- Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

- Czy on musi tu być? - Julie znów zerknęła na Noaha.

- Ta odpowiedź dotyczy zarówno mnie, jak i szkoły - odparł Noah.

Julie roześmiała się piskliwie.

- Tak, jakby pan miał z tym coś wspólnego.

Paige pokazała Noahowi wzrokiem, żeby wyszedł do poczekalni.

- Zaraz skończymy.

Noah zrobił zdeglustowaną minę, ale posłusznie opuścił gabinet.

- Ostatnia miesiączka? Julie przewróciła oczami.

- Skąd mam wiedzieć? Nie śledzę kalendarza.

- W zeszłym tygodniu? - Paige nie traciła cierpliwości.

- Nie.

- Dwa tygodnie temu?

- Nie.

- W ubiegłym miesiącu?

- Nie - odparła wolno i niechętnie.

- Dwa miesiące temu?

Wzrok Julie wystarczył za odpowiedź.

- Dobrze - powiedziała Paige, pomagając jej się podnieść. - Myślę, że pojedziemy do przychodni. Muszę cię zbadać.

- Czuję się świetnie. Naprawdę.

- Używasz pigułek? - spytała Paige, patrząc jej prosto w oczy.

- A w jaki sposób zdobyłabym środki antykoncepcyjne? Ojciec by mnie chyba zabił, gdyby dostał taki rachunek.

Co automatycznie wykluczyło spirale.

- Prowadzisz życie seksualne?

- To bardzo krępujące pytanie - skrzywiła się Julie.

- Nie dla atrakcyjnej dziewczyny, która w dodatku czasem zachowuje się prowokująco.

Może zadam je inaczej. Jesteś dziewicą?

- Nie.

- Uprawiałaś seks w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

- Nie prowadzę notatek.

- Julie.

- Tak, ale to nie pani sprawa.

- Moja - odparła Paige, pomagając jej zejść na podłogę.

- Moja, bo uważam, że dziewczęta w twoim wieku nie powinny jeszcze rozpocząć współżycia, a tym bardziej nie powinny uprawiać seksu bez zabezpieczenia. Dostałabyś przecież środki antykoncepcyjne bez wiedzy ojca. Na przykład u mnie w przychodni czy w jakimkolwiek szpitalu. A poza tym możesz jeszcze odmówić mężczyźnie, jeśli on nie ma przy sobie prezerwatywy.

- Co w takim razie mam powiedzieć?

- Masz powiedzieć: „nie”.

Rozwiązanie było wyjątkowo proste, ale tak trudne do przyjęcia przez nastolatki.

- Martwisz mnie, Julie - westchnęła Paige. - Nie chcę, żebyś była w ciąży, ale jeśli jesteś, musimy to stwierdzić jak najszybciej i rozważyć wszystkie możliwości.

Paige i Julie wsiadły do auta. Noah pojechał za nimi swoim wozem. Niedługo potem cała trójka zasiadła w gabinecie Paige, która doznała swoistego *déjà vu*. Tak niedawno przyjmowała tu Jill. A teraz rozmawiała z Julie - panią z dobrego domu, uczęszczającą do prywatnej szkoły - pozornie tak różną od tamtej dziewczyny, a jednak tak do niej podobną.

- Przede wszystkim musimy zadzwonić do twojego ojca - powiedział Noah. - Decyzja należy również do niego.

- Wcale nie. Mam osiemnaście lat.

- Ale jesteś uczennicą w mojej szkole, za którą płaci twój ojciec. Byłaś pod naszą opieką. Mam obowiązek poinformować go, co się wydarzyło.

- On ma rację - powiedziała Paige. - Wy załatwicie tę sprawę między sobą, ale dyrektor musi zadzwonić.

- Tata będzie pytał, czyje to dziecko.

Paige też chciała się tego dowiedzieć. Ktoś nie użył prezerwatywy, a więc okazał się tak samo krótkowzroczny jak Julie. Ten ktoś, kimkolwiek był, powinien razem z dziewczyną stawić czoło jej ojcu.

Julie siedziała na kanapie z nogą założoną na nogę. Miała na sobie dzinsy, które ściśle opinały jej szczupłe uda.

- Więc? - ponagliła Paige. Dziewczyna spojrzała na nią z wyrzutem.

- Myślałam, że trzyma pani moją stronę.

- Oczywiście, że tak. Dlatego chcę wiedzieć. Nie byłaś sama wtedy, nie powinnaś zostać sama również i teraz.

Dziewczyna nie odzywała się.

- Słuchaj - powiedział cicho Noah, pochylając się do niej. - Wolno ci oczywiście nabrać wody w usta. Nie musisz nic mówić. Wiem, że jesteś w głupiej sytuacji, ale twój ojciec prawdopodobnie okaże się mniej wyrozumiały od nas. Na pewno będzie pytał, kto jest ojcem i dlaczego szkoła dopuściła do takiej sytuacji.

- A co wy możecie zrobić? - prychnęła Julie. - Nie wiecie o połowie rzeczy.

- Wiemy więcej, niż sądzisz, ale masz rację - powiedział już bardziej niecierpliwie i wstał. - Nie jesteśmy w stanie wiele zdziałać, chyba że przekształcimy ten internat w więzienie, na co ja nigdy nie pozwolę. Byłoby to niesprawiedliwe w stosunku do uczniów, którym nie brakuje poczucia odpowiedzialności.

Paige również wstała.

- Odwiozę ją - powiedział Noah. Na jego twarzy pojawił się wyraz zmęczenia. - Zaraz potem zadzwonię do jej ojca. Na razie nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Paige przytaknęła i odprowadziła ich na parking. Mogła jedynie znów wziąć Noaha pod ramię. Pragnęła czuć bijące od niego ciepło. Chciała też go zapytać, czy przyjdzie wieczorem, ale nie mogła tego zrobić ze względu na Julie, więc tylko się uśmiechnęła i pomachała im ręką na pożegnanie, a zaraz potem pojechała do domu.

Była wyczerpana psychicznie. Myślała z przykrością, że zarówno Noah, jak i ona sama będą musieli się uporać ze skandalem, jaki niewątpliwie wybuchnie w Mount Court, gdy wyjdzie na jaw, że jedna z uczennic zaszła w ciążę.

Kiedy weszła do domu, problemy osobiste znów wysunęły się na pierwszy plan. Z kuchni dolatywało popiskiwanie Sami. Poszła za jej głosem i stanęła nie zauważona w drzwiach.

Sami siedziała na wysokim krześle, a Nonny ją karmiła. W kuchni panował swojski nieład.

Paige usiłowała sobie wyobrazić powrót do nieskazitelnego, cichego, pustego domu. Ta myśl ją przerażała, ale inne perspektywy były równie niepokojące. Czy mogłaby wrócić do

mieszkania pełnego ludzi, bez poczucia winy, że nie przygotowała im obiadu? Czy mogłaby tak po prostu wyjść w środku nocy w razie wezwania do wypadku? Czy mogłaby zamknąć się w pokoju, gdyby nagle zapragnęła zostać sama?

Wydała cichy okrzyk, gdy coś miękkiego i puszystego otarło się o jej nogi.

- Paige! - wykrzyknęła Nonny. - Chodź. Jest tu taki mały ktoś, kto bardzo chce cię widzieć.

Paige pochyliła się i podrapała Kicię za uchem. Kicia rosła i z dnia na dzień okazywała jej coraz więcej czułości. Sami podniosła główkę i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Dzień dobry, kochanie. Jak się miewa moja mała dziewczynka? - Poczowała ucisk w gardle. Sami nie była jej małą dziewczynką. Inni ludzie byli właśnie w trakcie nabywania praw, by ją w ten sposób nazywać.

- Powiedz mamusi, co dziś zrobiłaś - zachęcała Nonny. - No, powiedz.

- Co? - wyjąkała Paige.

- Pierwszy krok - odparła Nonny z dumą. - Wprawdzie tylko jeden, bo zaraz potem upadła, ale jeśli pomyślisz, że trzy miesiące temu miała kłopoty z siadaniem, uważam to za jej ogromne osiągnięcie.

- Krok? - spytała Paige. - Muszę zobaczyć. - Pozwoliła tylko, by Nonny wytarła dziecku buzię, i zaraz potem wyjęła małą z kojca. Wzięła ją na ręce i zniosła do pokoju, a potem postawiła dziewczynkę na kanapie i odsunęła się.

Wyciągnęła rękę.

- Chodź, kochanie. Chodź do mamy.

Sami klapnęła na pupę.

Paige podniosła ją i znów się cofnęła.

- Muszę to zobaczyć. Omija mnie tyle wspaniałych rzeczy, kiedy jestem w pracy.

Sami znów się przewróciła, ale zanim Paige zdążyła ją podnieść, sama podpełzła do niej na czworakach i wyciągnęła rączki.

Paige wzięła ją w ramiona, boleśnie świadoma czułego uścisku dziecięcych ramion, które oplatały jej szyję.

- Moja słodka - szepnęła, rozdarta na strzępy, na krawędzi łez. - Tak bardzo cię kocham. Ale macierzyństwo mnie przeraża. Małżeństwo również.

Zadzwoił telefon. Paige w dalszym ciągu tuliła Sami, ale po drugim dzwonku zdecydowała się podnieść słuchawkę.

- Mamy kłopot - powiedział Noah bez wstępów. - Prawdziwy kłopot.

- Jeszcze jeden? Nie wiem, czy to wytrzymam.

- Ojciec Julie jest wściekły. Jutro rano przyleci tu samolotem razem ze swoim adwokatem. Mówi, że zaskarży szkołę do sądu.

Paige zaczęła szybko myśleć.

- Nie ma prawa. Julie była wielokrotnie karana za łamanie regulaminu. Nie można was posądzić o lekceważenie obowiązków wychowawczych. Poza tym ona skończyła osiemnaście lat.

- Masz rację. Nie ma sprawy. Ale on i tak najprawdopodobniej narobi takiego rabanu, że nie pozberam się ani ja, ani szkoła. Ja dam sobie jakoś radę, ale gorzej będzie ze szkołą. Muszę ci jednak powiedzieć coś jeszcze, Paige. Julie twierdzi, że ojcem dziecka jest Peter Grace.

- Peter! - krzyknęła Paige. - Co za nonsens!

- Tak powiedziała.

- W takim razie kłamie - oświadczyła Paige, ale ledwo zdążyła to powiedzieć, natychmiast przypomniała sobie list, jaki Julie napisała do Petera, zdjęcia, których jej podobno nie zrobił, oraz te, które rzeczywiście były jego dziełem i tak bardzo zdenerwowały Marę.

- Powiedziała, że ją zmusił.

- No jasne. Nic innego nie mogła zrobić. Tylko w ten sposób ma szansę jakoś się z tego wywinąć. Ale nie mówi prawdy - powtórzyła Paige w nadziei, że się nie myli.

- Chciałem znów wśliznąć się do ciebie przez okno - westchnął Noah - ale sądzę, że powinienem raczej wejść przez drzwi i zabrać cię do Grace'a. Muszę usłyszeć jego wersję. Reputacja Mount Court jest narażona na szwank, nie mówiąc już o reputacji twojej lecznicy.

Paige właśnie doszła do tego samego wniosku. Pomyślała, że oprócz Angie, Noaha i Sami - może jeszcze stracić pracę.

- Co się dzieje, Noah? - spytała drżącym głosem. - Świat wali mi się na głowę.

- Jeszcze nie, kochanie. Będziesz gotowa za kwadrans?

- Tak. Nie. - Zastanawiała się, jak najmądrzej będzie załatwić sprawę z Peterem. - Pozwól, że sama z nim porozmawiam. Tak będzie lepiej.

- Jeśli nie ma nic na sumieniu...

- Nieważne. On już taki jest. Dostanie szalu, odwróci się na pięcie i pójdzie. W ten sposób niczego się nie dowiemy. Pójdę sama i zadzwonię, jak tylko wrócę.

Noah zgodził się, ale niechętnie. Odłożyła słuchawkę i siedziała przez chwilę nerucho-

mo z Sami na kolanach. Dziewczynka bawiła się srebrnym wisiorkiem, który Paige miała na szyi.

- Podoba ci się?

- Ma, ma, ma.

- Moja mama przysłała mi go z Los Angeles kilka lat temu. Twierdziła, że zna artystę, który go wykonał. Myślisz, że mówiła prawdę?

- Ooooo!

- Mnie też się podoba. Chloe zawsze daje wspaniałe prezenty. Jest fatalną matką, ale umie kupować podarki. Powinna być moją bogatą cicią.

- Gdyby nią była - odezwała się Nonny od drzwi - ja nie miałabym wnuczki i nawet w połowie tak wspaniałego życia.

- Ale nie byłabyś niczym skrepowana i mogłabyś robić, co ci się żywnie podoba.

- Muszę się zajmować ważnymi sprawami - zaprotestowała Nonny. - Im więcej się ich zbierze, tym lepiej. Już dawno nie czułam się tak młoda jak teraz.

- Jesteś prawdziwym aniołem. Nigdy nie zdołam ci dostatecznie podziękować.

- Nie słyszysz, co mówię, Paige. Nie chcę twoich podziękowań. Chcę, żebyś pozwoliła mi robić to, co robię. Jak mnie wyślesz z powrotem do domu, umrę w przeciągu tygodnia.

- Nie mów tak!

- W ciągu tygodnia - powtórzyła. - Dłużej nie pożyję. Najwyżej tydzień.

- Nigdzie cię nie wysyłam, więc zapomnij na razie o umieraniu. Poza tym jesteś mi bardzo potrzebna. Muszę szybko pobiec do Petera. - Przytuliła Sami i poczuła, że jej serce aż się wyrывa do dziewczynki, która przywarła do niej ze wszystkich sił.

- Wrócę - powiedziała cicho. Podniosła do ust maleńką rączkę i ucałowała ją czule. - Obiecuję. Wrócę na pewno.

Peter nie odpowiedział na pukanie, ale jego samochód stał pod domem, więc Paige weszła do środka, ponieważ doszła do wniosku, że jeśli to on włamał się jej do mieszkania - ona ma prawo wyrównać rachunki. Zawołała go kilka razy i obeszała pokoje na parterze, ale bez rezultatu.

Drzwi od piwnicy były otwarte i dostrzegła tam światło. Znów zaczęła wołać Petera. Gdy nie odpowiadał, zeszła na dół. Grace stał tyłem do niej, z rękami na biodrach. Mankiety koszulki wywinął na ładny wełniany sweter. Patrzył na suszący się na sznurku rząddek zdjęć.

Podeszła bliżej. Zdjęcia różniły się od siebie tylko wielkością. Wszystkie przedstawiały

Mare w tym samym ujęciu, co zresztą szczególnie jej nie zdziwiło. Nigdy natomiast by się nie domyśliła, że wyrażają takie właśnie uczucia - za tym uśmiechem, pochyleniem głowy i łagodnością, przyłapanymi w kadrze przez aparat Petera, kryła się taka Mara, jaką Paige widywała niezwykle rzadko.

- Ach! - westchnęła, zapominając natychmiast, po co przyszła.

- Wreszcie - zawtórował jej Peter.

Paige nie mogła oderwać oczu od zdjęć. Jedno było bliźniaczo podobne do drugiego.

- Są niesamowite.

- Właśnie taką chciałbym ją zapamiętać.

- Piękną?

- Spokojną.

Jeszcze chwilę patrzył na zdjęcia i w końcu westchnął z ulgą.

- Wiedziałem, co chcę osiągnąć, ale nie byłem pewien, czy mi się uda. Negatywy mogą łatwo zmylić. Ten oglądałem prawdopodobnie z dziesięć razy, zanim dostrzegłem kryjące się w nim możliwości.

- Dlaczego znów się nim zainteresowałeś?

- Jaśniej widzę i umysł pracuje mi lepiej. Myślę rozsądnie, zamiast popadać w rozpacz.

- Pogodziłeś się z jej śmiercią.

- Przyjąłem ją do wiadomości. I teraz pamiętam lepiej jej życie. Wszystko, co było w nim dobre. Czuję, że moje własne też zeszło na właściwy tor.

Paige odniosła wrażenie, że Peter zupełnie nie zachowuje się jak człowiek trawiony poczuciem winy lub też taki, który ma coś do ukrycia. Poza tym Grace wyglądał naprawdę świetnie w tym ciemnym swetrze. Brąz pasował idealnie do jego typu urody. A może do twarzy mu było ze spokojem ducha?

- Mogę z tobą porozmawiać? - spytała cicho. Rozejrzał się, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność.

Poszła przodem na górę - nie powinna mówić tego wszystkiego w obecności Mary - i zaczęła, aż zamknie drzwi.

- Julie Engel jest w ciąży - oznajmiła.

- Właściwie nie ma w tym nic dziwnego - powiedział przekrzywając lekko głowę. - Sama prosiła się o kłopoty. Aż się w końcu doigrała.

- Twierdzi, że ty jesteś ojcem.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

- Ja? Chyba żartujesz!

- Tak powiedziała swemu ojcu, który zakomunikował to Noahowi, a Noah mnie.

- Chryste! - Opuścił głowę, znów ją podniósł i przeszył Paige badawczym spojrzeniem. -

Wierzysz jej?

- Nie chcę jej wierzyć. Mówiłeś mi przecież, że do niczego między wami nie doszło.

- I taka jest prawda. Nigdy nie dotknąłem tej dziewczyny. Ona być może chciała, żeby stało się inaczej. A nawet wyobraziła sobie co innego. Ale kiedy tylko zaczęła rozpinąć bluzkę, uciekłem. Już ci zresztą wszystko opowiadałem.

- Ona twierdzi, że ją zmusiłeś do stosunku.

- Zmusiłem? Boże! Paige! Jeśli wtedy mi nie uwierzyłaś, teraz nie powinnaś mieć żadnych wątpliwości. Julie Engel to niezły numer. Nikt nie potrzebowałby jej do niczego zmuszać. Chyba że odwrotnie.

- Masz jej zdjęcia?

- Nie. Tak jak ci mówiłem. Fotografowałem ją w dziennym świetle, w parku niedaleko kościoła. Zrobiłem zupełnie niewinne zdjęcia. Julie mówiła, że chce je wysłać żonie swego ojca. Potem jednak zaczęła mnie prowokować, więc natychmiast się zmyłem. Prześwietliłem kliszę. Ona nie ma na mnie haka. Nawet cienia dowodu.

- Niestety - ostrzegła Paige - oskarżenia zawsze mogą narobić kłopotów, nawet jeśli nie są poparte żadnymi dowodami.

- Jestem niewinny, dopóki nie udowodni mi się winy.

- W sądzie, ale nie w oczach zwykłych ludzi. Jako dyrektor Mount Court Noah będzie musiał walczyć z podejrzeniem o to, że lekarz szkolny zgwałcił uczennicę. A my jako pediatrzy zostaniemy oskarżeni, że jedno z nas napastowało pacjenta. Jeśli cała ta sprawa nabierze rozgłosu. Musimy więc zdusić wszystkie plotki w zarodku i dlatego tu przyszedłem. Czy poza tym epizodem ze zdjęciami spotkałeś się kiedyś sam na sam z Julie?

- Nie.

- Czy ona kiedykolwiek tu była?

- Nie.

- A kiedy ją ostatnio widziałeś?

- Tuż przed Świętem Dziękczynienia, w szpitalu. Pracowała tam jako ochotniczka.

- Ona może powiedzieć, że wieczorami odwiedzała cię w domu.

- Raczej nie. Zwykle pracuję do późna. Zapytaj pielęgniarek z trzy B.

Paige zaczęła się zastanawiać, czy Peter aby nie romansuje z jedną z sióstr. A potem przypomniała sobie Kate Ann Murther i doznała olśnienia. Prawdopodobnie dała to po sobie poznać, bo Peter natychmiast przyjął postawę obronną.

- Za moimi odwiedzinami u Kate nic się nie kryje. Ludzie jej po prostu nie znają i dlatego wyciągają fałszywe wnioski, ale to naprawdę urocza kobieta. Czasem rozmawiamy, czasem oglądamy filmy. Kiedy poruszamy temat mojej pracy, Kate zawsze zadaje inteligentne pytania. Jest mi wdzięczna za każdy najmniejszy drobiazg, bo nigdy nic więcej od nikogo nie dostała. I proszę bardzo - mimo paraliżu czuje się zupełnie dobrze. Dzięki mnie. Dzięki mojej trosce.

Paige dotknęła jego ramienia.

- Uważam ją za wspaniałą dziewczynę.

- Dlaczego w takim razie tak się dziwisz?

- Bo teraz wszystko rozumiem. Ostatnio zachowywałeś się zupełnie inaczej. Byłeś spokojniejszy. Bardziej skupiony.

- Tragedie ułatwiają tworzenie priorytetów. I takie osoby jak Kate również. Chcę pozwać Coxa do sądu, bo on powinien, do jasnej cholery, zapłacić jej rachunki, a jeśli tego nie zrobi, chyba się z nią ożenię. Wtedy będzie miała prawo skorzystać z mojego ubezpieczenia. - Zrobił niepewną minę. - Mogłem trafić gorzej.

- O wiele gorzej - przytaknęła, czując nagły przypływ ciepła do swego współnika.

Peter potarł dłonią tors okryty brązowym swetrem ręcznej roboty. Nie dalej jak parę tygodni temu Paige odkryła pozostałości tego dzieła Mary.

- Mara miała rację. Rzeczywiście niszczy związek. Ale z Kate Ann jest mi dobrze. Mogę pozostać sobą, a jej się to podoba. Dlatego widzę i myślę jaśniej. - Wskazał piwnicę. - Pewnie dlatego wreszcie wybrałem właściwe zdjęcie.

- Może - zgodziła się Paige czując, że ogarnia ją niezrozumiała zazdrość.

- Nie pozwolę, żeby Julie Engel wszystko mi zepsuła. Jak mam temu zapobiec?

- Jak mamy temu zapobiec? - poprawiła Paige, bo znów nabrała do niego zaufania. - Jutro rano spotkamy się w gabinecie Noaha i zaczekamy na ojca Julie. Pójdziemy tam z adwokatem i postraszymy ich, że jeśli poniesiemy jakiegokolwiek straty z tytułu nieuzasadnionych oskarżeń, będziemy się domagać odszkodowania. Niech trzymają na razie buzię na kłódkę i kalkulują, co im się bardziej opłaca. My tymczasem zasięgniemy języka w Mount Court. Julie ma przecież koleżanki.

- Lojalne koleżanki.

- Ale one ciebie lubią. - Uśmiechnęła się złośliwie, bo właśnie dostrzegła promyk nadziei. - Jesteś przecież czarodziejem. Tylko na nie mrugniesz, a już zdobędziesz ich serca. Twój urok osobisty obrócił się wprawdzie przeciw tobie, ale teraz musisz go wykorzystać jako główny atut. Jeśli koleżanki Julie rozumieją, jak wielką krzywdę spowoduje takie fałszywe oskarżenie, na pewno zaczną mówić. Ona przecież spotykała się z jakimś chłopakiem. Nie twierdzą, że te dziewczyny widziały ich razem na własne oczy, ale na pewno coś wiedzą.

Pomysł wydawał się dobry, prosty i uczciwy. Paige miała nadzieję, że sprawdzi się w praktyce. Teraz, gdy wszystko zaczynało się walić, potrzebowała jakiegoś zajęcia.

Rozdział dwudziesty drugi

Następnego dnia, około południa Noah stał przy biurku i nie bardzo rozumiał, dlaczego jego życie tak bardzo się skomplikowało. Zastanawiał się również, czy jest w stanie zapanować nad sytuacją. Został zatrudniony jako tymczasowy dyrektor szkoły w Mount Court głównie ze względu na swe zdolności kierownicze. Miał nadzieję, że mu ich nie zabraknie.

Jedno było pewne: nie podda się. Postąpił już w ten sposób dwanaście lat temu, gdy Liv tak bardzo go upokorzyła.

Odszedł i rozpoczął nowe życie, a w konsekwencji ograniczył kontakty z Sarą. Nie chciał znow jej stracić.

Nie zamierzał również rezygnować z Paige, niezależnie od tego, co się legło w jej upartej głowie.

Istniał jeszcze problem związany z Mount Court. Choć na początku Perrine uważał, że jest to wyjątkowo okropna szkoła, z czasem udało mu się przekształcić ją w placówkę, która zaczynała rokować pewne nadzieje na przyszłość.

Najlepsi nauczyciele odgrywali w niej teraz pierwszoplanową rolę i dzięki temu zmuszali leniwych do działania. Sytuacja rozwinęła się podobnie w przypadku uczniów, którzy już dawno nie otrzymali tak dobrych ocen na pierwszy semestr. Oczywiście, niektórzy narzekali na zwiększone wymagania, ale była również duża grupa zadowolonych. Po raz pierwszy w historii tej szkoły uczniowie wiedzieli dokładnie, czego się od nich oczekuje, znali zasady i sankcje za złamanie przepisów. Mount Court rozkwitało i to dowodziło, że koncepcja proponowana przez Perrine'a jest słuszna.

Aż tu nagle Julie Engel występuje z oskarżeniem, że Peter Grace ją zgwałcił, a jej ojciec i wynajęty przez niego adwokat zaczynają grozić poważnymi konsekwencjami. Grace również ma adwokata, któremu - przynajmniej na razie - udało się zatkać Engelowi buzie, bo wspomniał na temat odszkodowania za bezpodstawne oskarżenie. Noah nie miał jednak zbyt wiele czasu.

- Są tutaj - powiedziała sekretarka, stając w drzwiach.

Uczył przywołujący gest. Sekretarka skinęła ręką i do gabinetu weszły cztery dziewczyny - koleżanki Julie: Alicia, Deirdre, Tia i Anna. One same poprosiły o spotkanie, co bardzo mu odpowiadało. Gdyby on je wezwał, mógł zostać posądzony o próbę manipulacji. A tak występował jedynie z pozycji dyrektora szkoły, który musi znaleźć czas dla swoich wychowanków.

Poprosił, żeby usiadły, a sam oparł się o grzejnik.

- Wiemy, co się wydarzyło dziś rano - zaczęła Alicia w imieniu całej grupy.

- Skąd? - spytał, jakby nie miał o niczym pojęcia.

- Od Julie. Powiedziała, że nie wolno jej o tym mówić i wymogła na nas obietnicę, żebyśmy nic w tej sprawie nie zrobiły. Jest naprawdę zdenerwowana. Twierdzi, że pan jej nie wierzy. Ale my widziałyśmy, panie dyrektorze.

- Co? - Zachowywał kamienny spokój.

- Julie z doktorem.

- Co robili?

- Obejmowali się. W szpitalu, na oczach wszystkich.

Noah prawdopodobnie jęknąłby z oburzenia, gdyby nie ufał Paige, która z kolei wierzyła Peterowi.

- W jaki sposób?

Alicia zmieszała się. Najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć.

- O co panu chodzi? - wyręczyła ją Deirdre.

- Po przyjacielsku?

- A jak można inaczej?

- Namiętnie. Rozpaczliwie. Z uczuciem ulgi. Lub tak, jak czynią to zwycięzcy.

- Padli sobie w ramiona.

- No tak. Właśnie tak postępują ludzie, gdy się obejmują. Ale ja chcę wiedzieć, jaki charakter miał ich uścisk.

- Uścisk to uścisk - stwierdziła Alicia, uznając temat za wyczerpany.

- Może nie było w nim nic podejrzanego - zasugerował Noah. - Ja też cię przytuliłem, gdy zdobyliśmy Knife Edge, i nikt nic sobie nie pomyślał. A ty? Uważałaś, że cię podrywam?

- Nie - powiedziała szybko Alicia i zaczerwieniła się jak burak.

- Ale jesteś przekonana, że doktor Grace i Julie obejmowali się tak, jakby mieli ze sobą romans. Dlaczego? Całowali się?

- Może później.

- Widziałaś to na własne oczy?

- Nie.

- Czy trzymali się za ręce, kiedy już przestali się obejmować?

Alicia szukała wzrokiem pomocy u koleżanek, ale one milczały.

- Nie - przyznała. - Nie mogli zrobić czegoś takiego. Wszyscy na nich patrzyli.

- Ale wszyscy widzieli również, że się obejmowali. Rozumiem w takim razie, że ten uścisk dawał mniej do myślenia niż trzymanie się za ręce. Był całkiem niewinny, prawda?

Alicia milczała.

- Dobrze - powiedział Noah. - Ustalmy w takim razie, co mówili. Składali sobie jakieś obietnice? Umawiali się na spotkanie?

- Nie słyszałyśmy - odparła Tia. - Schodziłyśmy już ze schodów.

- Ale to wcale nie znaczy - wtrąciła Deirdre - że tak nie było.

- Więc uważacie, że przeprowadzili ze sobą intymną rozmowę?

- Wiemy wszystko od Julie.

Noah zaczerpnął powietrza i wyprostował się.

- Wydaje mi się, że Julie popadła w poważne tarapaty i chce odwrócić od siebie uwagę. Dlatego oskarża doktora Grace'a, który mógłby być jej ojcem. Przecież znalezienie partnerki wśród dorosłych kobiet naprawdę nie sprawiłoby mu trudności. Dlaczego miałby interesować się osiemnastolatką?

- Mężczyźni zawsze wolą młodsze babki.

- Zawsze?

- Często tak jest.

- Mówisz to z własnego doświadczenia, Deirdre? Czy doktor Grace cię napastował?

- Nie.

- A ciebie? - spytał Alicię, która szybko zaprzeczyła ruchem głowy. - A was?

Żadna nie odpowiedziała twierdząco.

- Ale mimo wszystko uważacie, że uwodził Julie?

- Ona tak powiedziała.

- A wy jesteście jej przyjaciółkami, więc ją popieracie. To ładnie, zwłaszcza jeśli miałyby się okazać, że ona mówi prawdę. Bo jeśli nie, wasze zaangażowanie obróci się przeciw wam. Jeśli Julie kłamie, znajdziecie się w fatalnej sytuacji. Koledzy obrzucą was zgniłymi pomidorami. Dowiedzą się, że Julie spotykała się z jakimś chłopakiem, może z kimś z jej rodzinnego miasta, kiedy pojechała tam na ferie. Wtedy też zaszła z nim w ciążę i jest duża szansa, że uda się nam poznać jego nazwisko. Bo naprawdę nie sądzę, żeby ten chłopak siedział spokojnie i patrzył, jak doktor Grace obrywa za nie swoje winy.

- Jeśli się przyzna, popadnie w jeszcze większe tarapaty - wyrwało się Annie. Dziewczyna zrozumiała natychmiast, że się wygadała. Rzuciła spłoszone spojrzenie koleżankom, które usiłowały udawać, że nic się nie stało.

Noah nie przypierał jej do muru. Jeśli nie miał szans dowiedzieć się niczego od innych, mógł spróbować porozmawiać z Annie na osobności. Tak czy inaczej, właśnie ona była najbliższa wyjawienia prawdy. Nie chciał cisnąć jej teraz. Jeszcze zdąży.

- Fakt pozostaje faktem - powiedział. - Julie jest w ciąży. Wy już o tym wiecie, a wkrótce dowie się cała szkoła i wszyscy zaczną szeptać po kątach. - Perrine znał ten mechanizm aż za dobrze. - Idę o każdy zakład, że będzie się mówić wyłącznie o Julie i ewentualnie o feriach świątecznych. Nie uda się uniknąć najróżniejszych spekulacji. Doktor Grace jest świetnym kozłem ofiarnym, ale będzie się bronił. Jeśli dojdzie do procesu, adwokat doktora wezwie was na świadków, zada te same pytania, które ja wam dziś zadałem, i wyjdziecie na idiotki. Bo to, że się obejmowali, o niczym nie świadczy. Szczególnie że oni się znają, a doktor Grace ma już swoje lata. Mogli się obejmować z tysiąca powodów. Gdyby któraś z was była świadkiem czegoś bardziej wymownego - wtedy czy teraz - chciałbym się o tym dowiedzieć. Interesują mnie również kontakty Julie z chłopcami ze szkoły. Na pewno zapytam nauczycieli, czy przypadkiem czegoś nie zauważyli, a widzą więcej, niż myślicie, zapewniam was.

- Dlaczego Julie po prostu nie usunie? - spytała Tia. - Byłoby po sprawie. Po co komu nazwiska?

- Teoretycznie nie są konieczne, ale nie widzę powodu, dla którego Julie musiałaby wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Poza tym jedno nazwisko już padło i teraz ten mężczyzna stoi w obliczu utraty reputacji, co w jego przypadku oznacza również koniec kariery zawodowej. - Przenosił wzrok z jednej na drugą. - Może jednak wiecie, kto naprawdę zawinił? Nie

natknęłyście się czasem na jakieś nazwiska w jej notesie? Nie słyszałyście, z kim spotyka się w tej szopie nad stawem? Sądziłyście, że nie wiem? - dodał, widząc ich zdziwione miny. - Ja też byłem kiedyś młody. Właśnie w takim miejscu umawiałbym się z dziewczyną. - Znów popatrzył na nie uważnie. - Ciekawe, kto z niej teraz korzysta.

Jeśli nawet wiedziały, nie miały zamiaru nic mówić na ten temat.

- W takim razie coś wam jeszcze powiem - odezwał się cicho. Uważał, że powinien uczyć młodzież hierarchii wartości. - Wiem, że wasz niepisany kodeks honorowy mówi, że nie wolno donosić. Przyznaję, że w pewnych okolicznościach taka postawa jest słuszna. Zdarzają się jednak sytuacje, w której absolutnie jej nie popieram. Sprawa Julie należy do tej drugiej grupy. Mógłbym zrozumieć wasze milczenie, gdyby nie padły żadne nazwiska. To, co się wydarzyło między Julie i tym chłopakiem, to ich prywatna sprawa. Tylko do nich należy decyzja, czy się przyznać. Ale my najprawdopodobniej i tak się dowiemy, kto jest ojcem dziecka, a im dłużej będziemy ciągnąć całą tę historię, tym gorzej dla niego. - Przerwał, by mogły dobrze zapamiętać jego słowa. - A jeśli wy będziecie milczeć i patrzeć spokojnie, jak się szkaluje nazwisko doktora Grace'a, staniecie się tak samo winne jak Julie.

Jedna z nich przełknęła głośno ślinę, druga wyla mywała sobie palce, a trzecia z trudnością powstrzymywała się od mrugania.

- Jeśli któraś z was - ciągnął cicho, a w jego głosie wyraźnie pobrzmiwał żal - zechce się znów ze mną spotkać - sam na sam, bądź w grupie - jestem do dyspozycji.

Poklepał grzejnik, wstał i podszedł do biurka. Dziewczęta wyszły, a on wsadził nos w papiery. Spotkanie zakończyło się w samą porę, bo w chwilę później zadzwonił prezes Rady Powierniczej.

Roger Russell ukończył Mount Court trzydzieści lat temu, prowadził dobrze prosperującą firmę w Nowym Jorku i co miesiąc przyjeżdżał do Tucker na zebrania. W przerwach rozmawiał z Noahem przez telefon. Perrine lubił Russella, który był myślącym, rozsądnym człowiekiem, dostrzegającym wszystkie problemy szkoły i pragnącym je rozwiązać. Stanowił przeciwwagę dla innych, starszych, bardziej konserwatywnych i wymagających członków rady. Gdyby którykolwiek z nich był prezesem, Noah prawdopodobnie nie przyjąłby tej posady. Przekonała go dopiero osobista prośba Rogera.

A teraz Roger znów go o coś prosił.

- Powiedz, że to, czego się właśnie dowiedziałem od Clinta Engela, nie jest prawdą.

Noah przewidział, że Engel zadzwoni do Russella. Jeśli rodzice płacą za szkołę tyle, co

w Mount Court, a dyrektor nie spełnia ich oczekiwań, zwykle odwołują się do wyższej instancji.

- Nie wiem, czego się dowiedziałeś, ale jeśli Engel twierdził, że jego córka zaszła w ciążę, to nie kłamał.

- A ojcem jest lekarz szkolny?

- W tym miejscu minął się z prawdą.

- Jesteś pewien?

- Raczej tak. Nie znam dobrze tego człowieka, ale znam za to świetnie jego współpracowniczkę, która ma do niego zaufanie. A Julie urządziła całe przedstawienie. Poprosiła doktora, żeby ją sfotografował, a kiedy odmówił, wściekła się. Teraz jest w ciąży i musi znaleźć winnego, więc przy okazji postanowiła się zemścić. A tak naprawdę ojcem dziecka mogłoby być co najmniej kilku chłopaków ze starszych klas. Ona nie traci czasu.

- Clint aż się pieni z wściekłości. Niezależnie od tego, czy zaskarży doktora, czy nie, wini szkołę o brak dozoru.

- A ty? - spytał Noah chcąc wiedzieć, na czym stoi.

- Oczywiście, że nie. Trudno przecież chodzić za uczniami do toalety, gdzie też można uprawiać seks, jak zresztą wszędzie we wszystkich internatach, wyłączając te nie koedukacyjne, choć i tam zdarzają się różne rzeczy. Jak w takim razie zdołamy dowiedzieć się prawdy?

- Mam zamiar porozmawiać z nauczycielami, którzy dobrze znają Julie - powiedział Noah. - Niewykluczone, że wiedzą, co to za chłopak, albo spróbują coś wykryć. Sprawa wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby winnym okazał się kolega Julie ze szkoły, a nie dorosły mężczyzna, który otrzymuje wynagrodzenie za troskę o stan zdrowia uczniów.

- I tak mamy poważne kłopoty. - Roger westchnął. - Usiłowałem uspokoić Clintę, ale on pała żądzą krwi. Umówiłem się z nim jutro w mieście. Przyjdzie również nasz adwokat. Spróbujemy wytłumaczyć Clintowi, że najbardziej zaszkodzi córce nagłaśniając całą sprawę.

- To groźny facet. Nic dziwnego, że Julie wymyśliła tę historię z gwałtem. Postawił ją pod ścianą.

- Nas również chce tam postawić i muszę ci powiedzieć, że wcale nie jestem zachwycony taką perspektywą. Mount Court zaczęło wracać do czasów dawnej prosperity, a teraz przez jedną nieodpowiedzialną panią wszystko ma runąć w gruzy? Idiocyzm.

- Może cała sprawa rozejdzie się po kościach - Noah usiłował myśleć pozytywnie. - Niewykluczone, że Julie się załamie i przyzna do związku z kimś innym. W ten sposób jej oj-

ciec przekona się, że na początku kłamała. Albo ktoś inny ją sypnie z takim samym skutkiem. Szkoła będzie narażona na kłopoty jedynie w przypadku, gdy Clint zdecyduje się pozwać nas do sądu.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział Roger. - Z bardzo wielu powodów. Przez te trzy miesiące zrobiłeś naprawdę świetną robotę. Chciałem cię przekonać, żebyś został.

We wrześniu Noah nie brał w ogóle pod uwagę takiej możliwości. Zaśmiałyby się Roge-
rowi prosto w twarz. Ale wszystko się zmieniło. W obecnej sytuacji chciałby zostać, z wielu powodów.

- Obiecałem ci rok. I dotrzymam słowa.

- Zacząłeś realizować doskonały program. Zależy mi na tym, żebyś kontynuował tę linię. A jeśli sprawa znajdzie się w sądzie, wszystko weźmie w łeb. Rada będzie usiłowała zdystan-
sować się od ciebie i twoich poczynań, co oznacza, że cofniemy się do punktu wyjścia. Ty sta-
niesz się natomiast obiektem takich samych ataków jak doktor. Nie będziemy mieli żadnego
wyboru, bo Mount Court musi wyjść cało z tej opresji.

Noah świetnie go rozumiał. Był przecież realistą. Wiedział też, że jeśli odejdzie w aurze
procesu sądowego, rada może mieć poważne kłopoty ze znalezieniem nowego dyrektora. Będą
musieli przeprowadzić rozmowy kwalifikacyjne z wieloma kandydatami. A czas naglił.

Ledwo skończył dyskusję z Rogerem, a już zadzwonił Walker Gray - również członek
rady. Walker nie usiłował być tak miły jak Roger.

- Jak to się stało? Podobno objąłeś tę posadę, żeby Mount Court wyszło z kłopotów, a te-
raz się okazuje, że za twojej kadencji lekarz szkolny napastuje uczennicę. Jak mogłeś do czegoś
podobnego dopuścić?

- Rzekomo napastuje - sprostował Noah. - Na razie nie ma żadnych dowodów. A doktor
zaprzecza, że kiedykolwiek dotykał tej dziewczyny, chyba że podczas badania.

- W takim razie kłamie.

- Masz dowody?

- Ona jest w ciąży.

Noah milczał chwilę, żeby się uspokoić i nie odpowiedzieć na to absurdalne wręcz
oskarżenie.

- Co nie znaczy, że napastował ją nasz szkolny doktor. Równie dobrze możesz posądzić
jej ojca.

- Clint? On by czegoś podobnego nie zrobił.

- Peter Grace twierdzi to samo. Więc komu mam wierzyć? Julie prowadziła aktywne życie towarzyskie. Prawdopodobnie zadawała się z wieloma chłopcami, zarówno w Mount Court, jak i w domu.

- Czy ty w ogóle panujesz nad sytuacją?

Noah usiłował się bronić nie tylko przed Walkerem, ale również przed innymi członkami rady, którzy dzwoniли do niego później. Tego popołudnia rozmawiał z czterema przedstawicielami władz szkolnych i pięciorgiem rodziców. Jego sekretarka właśnie wyszła, kiedy telefon zadzwonił po raz kolejny, a on wahał się przez chwilę, czy ma odebrać. W końcu doszedł do wniosku, że potrafi uspokoić ludzi. Większość przyjmowała do wiadomości rozsądne argumenty. Tak więc podniósł słuchawkę.

Ale to był Jim Kehane, jego znajomy z Santa Fe.

- Ciekaw jestem, czy myślałeś jeszcze o pracy tutaj - zaczął. - Nasza oferta jest nadal aktualna. Zaczynamy właśnie rozmowy z innymi kandydatami. Będę pilotował twoją sprawę. Na razie masz największe szanse.

Noah chciał mu zaproponować, żeby lepiej zaczekał na wiadomości o skandalu w Mount Court i dopiero wtedy się zastanowił, kto jest najlepszym kandydatem na stanowisko dyrektora tak szacownej placówki.

- Nadal jestem zainteresowany twoją ofertą - powiedział w końcu. Nie wolno mu było palić za sobą mostów. - Co powinienem przygotować?

- Na razie wystarczy krótki życiorys. I jeszcze ze dwa listy polecające. Na resztę przyjdzie pora później. Naprawdę się cieszę. Bałem się, że postanowisz zostać w Mount Court. Co tam słychać w szkole?

Noah udzielił mu dwuznaczej odpowiedzi i szybko wyszedł z biura. Miał już dość rozmów telefonicznych. Chciał się spotkać z wychowawcami Julie.

Ostatnią tego dnia pacjentką Paige była trzyletnia Emily, najstarsza córka małżeństwa z dolnego Tucker. Jej rodzice rzadko się widywali, bo jedno z nich pracowało w dzień, a drugie w nocy. Dzięki temu dziewczynka zawsze miała opiekę. Tata, który przyniósł swoją pociechę do przychodni z powodu strasznego kaszlu, ubrał ją w kilka warstw, bo było bardzo zimno. Poszczególne ciuszki zupełnie do siebie nie pasowały i małeńka wyglądała jak pulchna, szmaciana lalka - w oczach Paige absolutnie uroczo.

Wręczyła ojcu receptę i wzięła dziecko na rękę.

- Proszę podawać jej lekarstwo cztery razy dziennie po jedzeniu. Córka powinna pić jak najwięcej płynów i przebywać w ciepłych pomieszczeniach. Jeśli w ciągu dwóch dni nie nastąpi poprawa, proszę się odezwać.

Emily leżała spokojnie w ramionach lekarki, jakby wiedziała, że nadchodzi pomoc.

- Słodkie stworzonko - powiedziała Paige i uśmiechnęła się smutno, kiedy pomyślała, jak będzie wyglądać Sami w wieku trzech lat. Znowu coś ścisnęło ją w żołądku. Czowała się dobrze, gdy pracowała i musiała rozwiązywać skomplikowane problemy, ale w takich chwilach jak ta popadała w melancholię.

Przytuliła więc Emily, podała ją ojcu, po czym odprowadziła oboje do wyjścia i natychmiast wróciła do biura. W chwilę później nadeszli Peter i Angie.

- Coś nowego? - spytała Angie.

Peter potrząsnął głową. Był wyraźnie zmęczony. Paige odniosła wrażenie, że Grace ma takie same kłopoty z koncentracją jak ona sama.

- Ojciec Julie nie wniósł jeszcze pozwu - powiedział - ale nie wiem, jak długo uda się go powstrzymać. Ona nadal mnie oskarża.

- Powiedziała ci to prosto w oczy? - spytała Angie.

- Nie. Chciałem ją sprowokować, zaraz na samym początku, w gabinecie Perrine'a, ale adwokat Engelów wtrącił się natychmiast i powiedział, że się zęcęcam nad jego klientką. Jeśli Julie nadal będzie obstawać przy swoim i nikt nie dostarczy nowych dowodów, w końcu pójdą do prokuratora. Zostanę oskarżony o gwałt - jej słowo przeciwko mojemu. - Zerknął na Paige. - Kiepska sprawa.

Paige siedziała nieruchomo, przyciskając pięści do ust. Bardzo chciała pocieszyć Petera, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Cały czas myślała tylko o tym, że oskarżenie o gwałt wyrządzi nieodwracalne szkody Peterowi, Mount Court i lecznicy, wokół której dotychczas kręciło się całe jej życie. Gdyby ich spółka przestała istnieć, Paige zawisłaby na chwilę w powietrzu, a potem roztrzaskała się o ziemię.

- Co Julie ma zamiar zrobić z tą ciążą? - spytała Angie.

- W każdym razie na pewno nie poinformuje mnie o swojej decyzji - zauważył sucho Peter. - A wy wiecie coś na ten temat?

Paige potrząsnęła głową.

- Ojciec zabrał ją do Nowego Jorku. Do położnika.

- Sądziysz, że usunie? - spytała Angie. Paige nie miała zielonego pojęcia.

- Tak czy inaczej, testy DNA potwierdzą, że to nie ja jestem ojcem. Mój adwokat przygotowuje pismo, w którym, w razie usunięcia ciąży, domaga się przebadania tkanki płodu. Jeśli oni nie zastosują się do jego prośby, zostanie to uznane za niszczenie materiału dowodowego. Szkoda, że nie można równie kategorycznie wykluczyć gwałtu.

- Julie nikomu się nie poskarżyła - zauważyła Angie. - Nikt też nie widział żadnych śladów pobicia.

- Nie mogła powiedzieć Paige, że została zgwałcona przez jej współnika - mruknął Peter.

- Oczywiście, że mogła.

- Powie, że nie mogła. Ubierze się w najskromniejsze ciuchy, jakie uda jej się kupić, i pojawi się na sali rozpraw z miną obrażonej niewinności.

- Ale nikt nie widział siniaków.

- A po co komu siniaki? Gwałt to uprawianie seksu z kobietą wbrew jej woli. Siniaki nie są wcale konieczne.

- Niemniej jednak stanowiłyby dowód oskarżenia. Jeśli Julie nie ma żadnego takiego dowodu, a w dodatku testy wykażą, że to nie twoje dziecko, cała sprawa stanie się mocno wątpliwa.

- Nie doceniacie Julie - powiedział. - Ja zresztą również jej nie doceniałem, dopóki mnie nie oskarżyła. To przebiegła, mała suka. Mogłem ją przecież zgwałcić, gdy miała romans z kim innym, a ona pomyślała, że to moje dziecko. Zręczna historyjka, prawda? Głowę daję, że nigdy nie wycofa oskarżenia o gwałt. Wściekła się na mnie, bo odrzuciłem jej względy. Powinienem być zadowolony - prychnął.

- Peter - zgromiła go Angie. Przesunął ręką po karku.

- Ona nigdy nie przyzna się do kłamstwa. Jest uparta i dumna. Ruszyła do natarcia, a poza tym panicznie się boi swojego ojca. - Staął na wprost Angie i Paige. - Kiepska sprawa. Lada moment wszystko wyjdzie na jaw, a wtedy poniesiemy ogromne straty. Czy nie powinienem przedtem zrezygnować?

- Nie - odparła Paige, która słuchała go dotychczas w niemym przerażeniu.

Angie natychmiast jej zawtórowała.

- Zastanówcie się jeszcze - ironizował Peter. - Być może nigdy już nie będzie mnie stać na taką wielkoduszność i prawdopodobnie nie otrzymacie lepszej propozycji.

- Nie.

- Nie.

- A jeśli zostanę oskarżony i pacjenci pójdą gdzie indziej?

- A niby dokąd? - spytała Angie. - Jesteśmy przecież najlepsi.

- Tak. Tylko że wtedy ty już będziesz w Nowym Jorku.

- Niekoniecznie.

- Ale Paige na pewno tutaj zostanie. Co powiesz, Paige? Ty stracisz najwięcej.

- I Cynthia - dodała Angie. - A ona już w ogóle nie ma nic wspólnego z tą całą historią.

- Żadna z was nie zawiniła. To ja jestem ten najgorszy. No i co, Paige?

Paige usiłowała się skupić, ale nie mogła, bo ogarnął ją strach, smutek i żal. Jeszcze bardziej dokuczliwe były wizje szkoły na pustyni, Noaha, Sami, Angie w Nowym Jorku i szczątków Mary na wzgórzu.

Mara wiedziałaby, co powiedzieć Peterowi. Takie właśnie sytuacje dodawały jej sił witalnych. Zawsze walczyła o swoje racje, miała wystarczająco dużo energii. A Paige?

Poczuła z przerażeniem, że oczy wypełniają się łzami. Usiłowała je ukryć, wbijając wzrok w paznokcie.

- Ja... - Odchrząknęła. - Uważam, że to nie powinno się zdarzyć akurat w takim momencie. Cholera jasna, co za pech! - Zaczepnęła powietrza i podniosła wzrok. - Przecież udało ci się pozbierać, odnalazłeś się po tym wypadku. I jest Kate Ann. Toczysz wojnę z Jamie Coxem, zupełnie jak Mara. Ty też, Angie, nie zasłużyłaś sobie na to wszystko. Nie poddałaś się przecież, kiedy życie osobiste zaczęło ci się walić. Walczyłaś.

- Podjęłam ryzyko serca - odparła Angie. - Czasem trzeba.

Ryzyko serca. Tak jak głęboki kontakt Mary. Paige poczuła znów ucisk w gardle. Odchrząknęła.

- Wygrałaś - powiedziała. - Jest lepiej. Niezależnie od tego, czy się przeprowadzisz, czy nie - decyzja powinna należeć do ciebie. Ewentualne wykruszenie się pacjentów w żadnym wypadku nie powinno wpłynąć na twoje ostateczne postanowienie. - Przenosiła wzrok z Petera na Angie. Oboje przebyli daleką drogę od śmierci Mary. A ona sama? Ona tylko odmierzała czas i bała się działać.

- Paige? - odezwała się cicho Angie.

Nie miała odwagi podjąć decyzji. Ale jeśli będzie czekać - przegra. Przegra z kretesem, tak jak Mara.

- Może wolałabyś dokończyć tę rozmowę kiedy indziej?

Powstrzymała łzy i potrząsnęła głową.

- Muszę iść do domu. Do Sami. - Spojrzała na Petera wilgotnymi jeszcze oczami. - Żadnych rezygnacji. Walczymy.

Angie zastała puste mieszkanie. Zdziwiła się bardzo, bo ostatnio Ben starał się nie wychodzić o tej porze.

Umówili się przecież, że będą ze sobą rozmawiać o wszystkim i postarają się jakoś zsynchronizować swoje plany. Angie mówiła Benowi, kiedy zamierza wrócić z pracy, a on na ogół na nią czekał. Nie miało to wprawdzie nic wspólnego ze spontanicznością, jaka towarzyszyła im dwadzieścia lat temu, ale w końcu oboje przekroczyli już czterdziestkę. Nie byli jednak wcale skazani na nudę, tyle że wszystkie atrakcyjne zajęcia musieli wymyślać wcześniej.

Ben nie mówił, że planuje coś na wieczór. Angie już zaczynała się martwić, kiedy usłyszała jego samochód na podjeździe. Stała przy drzwiach akurat w momencie, gdy pojawili się w nich jej mąż i syn.

- Co za niespodzianka! - Uścisnęła ich obu i przypatrzyła się uważnie Dougiemu, który miał dość niewyraźną minę. - Wszystko w porządku?

- Słyszał o Peterze - wyjaśnił Ben. - Chciałem zabrać go do domu na jakiś czas, żebyśmy mogli o tym porozmawiać.

Angie ścisnęła z wdzięcznością jego ramię. Ona też wpadła na taki pomysł, ale obawiała się, że Ben zarzuci jej nadopiekuńczość.

Usadowiła Dougiego przy stole.

- Plotka rozchodzi się szybko jak błyskawica. I cóż takiego mówi się na temat biednego Petera?

- Że zgwałcił Julie. Ale ja w to nie wierzę, mamó. Znam Petera. On nie jest taki.

Usiadła tuż obok syna.

- A inni wierzą?

- Spora grupa tak. Niektórzy popadają w przesadę. Wcale nie tylko dziewczyny. Twierdzą, że on jest zboczony. I że interesuje się dziećmi. Nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Mówiłem im, że chyba zwariowali, ale nikt mnie nie słucha. Wydaje mi się, że moi koledzy świetnie się tym wszystkim bawią.

Angie popatrzyła przeciągle na Bena.

- Bystry chłopak.

- Przypuszczam, że również odarty ze złudzeń? - bardziej stwierdził, niż zapytał, Ben.

Angie podzielała jego troskę.

- Nie sądź ich zbyt surowo - zwróciła się do syna. - Nie znają Petera tak dobrze jak ty. Poza tym buntują się generalnie przeciwko wszystkiemu. A ty masz rację, że go bronisz. Peter twierdzi, że jest niewinny, a ja mu wierzę.

- Ale jeśli oni nie pozwolą mu się do siebie zbliżyć, Peter straci pracę w Mount Court. To niesprawiedliwe.

- Masz rację. Ale jeszcze wszystko może się zmienić. Prawda musi wyjść na jaw.

- Ktoś jest ojcem dziecka Julie - powiedział Ben. - Musimy się dowiedzieć, kto.

Dougie przeniósł wzrok z matki na ojca.

- Nie patrz tak na mnie. Nie wiem, kim jest ten facet. Nie znam Julie Engel. Mówię ci tylko, co oni gadają.

- Rozmawiają wyłącznie o Peterze? - spytała Angie. - Nie wspominali w ogóle o Julie?

- Moi kumple jej nie znają. Chodzi przecież do najstarszej klasy.

- Mama doskonale o tym wie - odezwał się Ben. - Myślała tylko, że jeśli twoi koledzy plotkują na temat Petera, chyba wymieniają również uwagi na temat Julie.

- Nie. Mówią wyłącznie o nim. Nie mogę znieść, że nazywają go zbrojcem. On jest naszym przyjacielem i twoim współnikiem, mamó. Nie uda ci się zachować dobrej reputacji, skoro pracujesz z takim facetem.

- Peter nie jest zbrojcem - oświadczyła stanowczo Angie. Pomyślała o listach znalezionych przez Paige i doszła do wniosku, że Mara pozwoliłaby jej zdradzić treść jednego z nich. - On był zakochany w Marze. Z wzajemnością. Wiedziałaś o tym?

- Naprawdę? - spytał Dougie z rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

Angie potaknęła.

- Dlaczego się nie pobrali?

- Sądzę, że nie byli gotowi, by dzielić swoje uczucia z innymi ludźmi. Może kiedyś wzięliby ślub, gdyby Mara nie umarła.

- Ależ ona by była wściekła, gdyby się dowiedziała, co oni tam wygadują.

- Z pewnością - potwierdziła Angie.

- Na pewno stanęłaby w jego obronie - wtrącił Ben. - Dlatego dobrze się stało, że tam mieszkasz. Masz okazję ją zastąpić.

- Wiele mu nie pomogę - mruknął Dougie. - Usiłowałem go bronić, ale strasznie na mnie naskoczyli.

- Źle się tam czujesz?

- Tak ogólnie? Nie. Tylko wtedy, kiedy zaczynają ten temat.

Angie uderzył nagle tembr jego głosu. Był niższy niż dawniej. Nie dostrzegła jeszcze u syna śladów zarostu, ale wiedziała, że to kwestia najbliższej przyszłości. Dougie dojrzał.

- Podoba ci się w internacie?

- Jest fajnie.

- A gdyby - zaczęła, zerkając na Bena - gdyby nagle się okazało, że my już nie mieszkamy tak blisko? Nie przeszkadzałoby ci to?

- Nie wiem - odparł ostrożnie Dougie. - Dlaczego?

Ale Angie już pożałowała swego pytania. Powinna była poczekać do ostatecznej rozmowy z Benem i zostawić inicjatywę mężowi. Ale znów zaczęła myśleć po staremu i doszła do wniosku, że jeśli ona tak bardzo pragnie wyjaśnić tę kwestię, to jej mąż również chciałby rozwiązać problem. Znów zaczynała dyrygować ich życiem.

Posłała Benowi przepaszające spojrzenie, ale on wcale nie był obrażony. Przeciwnie, postanowił kontynuować temat.

- Mama pyta, bo pomyśleliśmy, że powinienem mieć więcej zajęć w ciągu dnia. Wczesnie kończę pracę, a potem nie wiem, co ze sobą robić. Ty jesteś w Mount Court, mama w przychodni, a ja się nudzę. Tak więc - zacerpnał tchu - niewykluczone, że przeniesiemy się do dużego miasta.

- Do jakiego miasta? - spytał niespokojnie Dougie.

- Do Nowego Jorku.

- Tak daleko?!

- Ale - kontynuował Ben całkowicie zadowolony z siebie - nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji. - Zerknął na Angie. - Rozmawiałem dziś z pewnymi ludźmi w Dartsmouth. Chcieliby, żebym u nich uczył. Nawet bardzo by chcieli.

Angie pojaśniała.

- Naprawdę? Wspaniale!

- Odbyłem tylko rozmowę wstępną, ale oni od razu wiedzieli, kim jestem. Sądzą, że jestem znany również wśród studentów. A w dodatku miałaś rację - mógłbym prowadzić zajęcia na kursie nauk politycznych lub w instytucie sztuki.

- Hanover to nie Nowy Jork.

- Nie. Tam rzeczywiście są mniejsze korki.

- Sądziłam, że zależy ci na kontaktach z ratuszem.

- Praca w Dartsmouth byłaby na pewno bardziej interesująca. Oczywiście, jeśli wszystko wyjdzie.

- Na pewno. - Nie miała żadnych wątpliwości. - Przecież jesteś świetny.

Wzruszył ramionami i lekko skrzywił wargi w uśmiechu, który zawsze robił na niej takie wrażenie.

- W każdym razie wydaje mi się, że powinienem zacząć od Dartmouth, zanim zdecydujemy się stąd wyprowadzić. Jeśli pomysł nie wypali, możemy pomyśleć o czymś innym, ale traktuję wyjazd jak ostateczność. Ty świetnie tu prosperujesz i nie powinienem cię namawiać, żebyś przenosiła się gdzie indziej.

Gdyby byli sami, Angie na pewno by go uściskała. Potem doszła do wniosku, że to tylko jakieś idiotyczne zahamowania, więc okrążyła stół i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Masz cudownego ojca, Dougie - powiedziała przytulając policzek do twarzy Bena.

- Masz cudowną matkę - zawtórował jej z uśmiechem Ben. - Była gotowa zrezygnować dla mnie ze wszystkiego.

- Wszystko z wami w porządku? - spytał zdziwiony Dougie.

- Oczywiście. Słuchajcie, przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Wpadniemy do Petera.

- Urwała. Znowu narzucała im swoją wolę. Trudno nagle zmienić stare nawyki.

- Wpadniemy do Petera - wpadł jej w słowo Ben - żeby mógł cię osobiście przekonać o swojej niewinności, potem szybko zjemy kolację w gospodzie i zawieziemy cię do internatu. Dobrze?

Ale Petera nie było w domu, pojechał do Kate do szpitala. Opróżniali właśnie trzeci pojemniczek z chińszczyzną - Kate nauczyła się jeść pałeczkami z zadziwiającą szybkością, choć posługiwała się nimi po raz pierwszy w życiu.

- Świetnie sobie poradziłaś - powiedział radośnie Peter.

- Umierałam z głodu - odparła, oblewając się rumieńcem.

- Dlatego, że tak cię eksploatują. - Dzięki niemu cały oddział fizykoterapii skakał wokół Kate i choć czucie w nogach nie wróciło, reszta ciała funkcjonowała znakomicie. - To dla twojego dobra.

- Wiem.

- Mówisz takim zrezygnowanym tonem. - Dotknął jej policzka. - Co się stało?

- Nic.

- Jesteś pewna?

Znów przytaknęła, ale zaraz potem potrząsnęła głową. Peter odniósł nagle wrażenie, że zmaląła. Zresztą Kate zawsze kurczyła się ze strachu.

- Powiedzieli, że niedługo mogę wrócić do domu - dodała drżącym głosem.

- Też tak uważam.

- Ale moje mieszkanie nie jest przystosowane do... do...

- Trzeba pozmieniać tam trochę rzeczy. Nie widzę problemu.

- Nie mam pieniędzy.

- Ale za to twoją sprawą zajął się naprawdę dobry adwokat.

- Nie wygra jej jednak tak od razu.

- Zgadzam się z tobą. - Odsunął pojemniki i Strząsnął kilka ziarenek ryżu z prześcieradła.

Usiadł na brzegu łóżka i starał się zachowywać zwyczajnie, tak jakby wpadł na ten pomysł przed chwilą, a nie rozważał go od wielu dni.

- Ja mogę zaadaptować swój dom. Będziesz mieszkać u mnie.

Jej oczy rozszerzyły się nagle z przerażenia.

- U ciebie? Och, nie! Wykluczone!

- Dlaczego?

- Bo to twój dom. I tak zrobiłeś już dla mnie stanowczo zbyt wiele.

- Wcale nie. Jestem strasznym egoistą.

- Dla mnie robisz wszystko.

- Sam również czerpię z tego korzyści. Otworzyłaś mi oczy, Kate Ann. Tobie pierwszej okazałem trochę serca.

- Przecież leczysz dzieci...

- Ich rodzice mi płacą. Otrzymuję honorarium za swoje usługi i właściwie od początku mojej pracy w Tucker tak właśnie patrzyłem na życie. Sądziłem, że zasługuję na pieniądze, szacunek, podziw, uwielbienie. Uważałem, że wszystko mi się należy, bo w dzieciństwie nikt mnie nie rozpieszczał. Potrzebowałem nieustannych dowodów, że jestem człowiekiem sukcesu, nawet wtedy, gdy wcale nim nie byłem. Ale ty też miałaś ciężkie życie i niczego od nikogo nie wymagałaś. Dlatego tak chętnie pomagam właśnie tobie. Poza tym - powiedział i wziął ją za rękę czując, że ogarnia go dziwna nieśmiałość - bardzo cię lubię. Jesteś uczciwa, szczerza i odpowiedzialna.

- Udaje mi się zagmatwać nawet najprostszą sprawę.

- Bo nie działasz mechanicznie.

- Nie potrafię nawiązywać kontaktów z ludźmi.
- Ze mną potrafiłaś. Z moją rodziną również.
- Nie wiedziałam, co mam mówić. - Popatrzyła na niego smutno.
- Byłaś sobą.
- Ale Święto Dziękczynienia to był tylko epizod. A z tobą mieszkałabym na co dzień.

Musiał się uśmiechnąć. Kate Ann potrafiła się uprzeć. Bywała również tępa, najprawdopodobniej dlatego, że całe lata wysłuchiwała takiej właśnie opinii na swój temat i w końcu sama w nią uwierzyła.

- Jak sądzisz, dlaczego odwiedzam cię codziennie wieczorem?
- Bo i tak jesteś w szpitalu.

- Nieprawda. Przychodzę tylko do ciebie. Pomyśl, o ile byłoby wygodniej, gdyby wystarczyło mi po prostu wrócić do domu, żeby się z tobą spotkać.

- Ale...
- Ale co?
- Chciałbyś?

- Nie pytałbym, gdybym nie chciał. Tak naprawdę - powiedział, a przed oczami stanęły mu koszmary codzienności - wyłącznie bym na tym zyskał. - Popatrzył na jej dłoń, która wydała mu się nagle jeszcze bardziej delikatna i krucha. - Widzisz, mam pewien problem.

- Nie usprawiedliwiał się - powiedziała pospiesznie. - Ja przecież niczego nie oczekuję, a już na pewno nie uczucia z twojej strony.

- Tym niemniej ono istnieje - odparł i wreszcie odważył się na nią popatrzeć. - Bardzo, bardzo cię lubię, Kate.

- Ale nie chciałbyś na pewno, żebym została z tobą na stałe. Kochasz Marę. - Rozmawiali o niej godzinami. Peter wyznał Kate Ann prawie wszystko. Zostawał u niej często po godzinach odwiedzin, ale ponieważ był lekarzem - nikt nie protestował.

- Kochałem. Czas przeszedł. Mara nie żyje. Nie mogę z nią rozmawiać, już nigdy mnie nie rozśmieszy. Jej nie ma, Kate Ann, i choć prawdopodobnie jakaś część mnie zawsze będzie ją kochać, na pewno nie będzie to ta część, która żyje i myśli o przyszłości.

- Musisz przecież spotykać się z ludźmi.
- Ty również należysz do tego gatunku.
- Z kobietami.
- Jesteś kobietą.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedziała z tak zdeprymowaną miną, że pochylił się nad łóżkiem i musnął wargami jej czoło. W oczach Kate pojawiło się przerażenie.

- Za to, że byłaś miła - wyjaśnił Peter i wziął głęboki oddech - za to, że dzięki tobie czułem się dobrze, choć świat zaczął walić mi się na głowę. - Powiedział jej o Julie.

- Ona naprawdę tak twierdzi? Skinął głową.

- Jeśli nie wycofa swoich oskarżeń, stracę reputację.

- Ale ona nie ma prawa... Przecież sama widziałam, jak cię wtedy obejmowała.

- Kiedy?

- Wtedy, kiedy mi ją przedstawiłeś. Stałeś przy drzwiach, a ona zaszła cię od tyłu i przytuliła się do ciebie. Odsunąłeś się i powiedziałeś jej, żeby więcej tego nie robiła.

- Słyszałeś to?

Kate Ann przytaknęła.

- Potem przyprowadziłeś ją do mojego pokoju i kazałeś jej się mną opiekować. Wcale nie była zachwycona.

- Nie - odparł z ulgą. - Rzeczywiście nie była.

Kate Ann znowu przytaknęła. Uśmiechnął się.

- To dobra nowina, Kate Ann. Naprawdę dobra. Niedawno ostrzegłem Angie i Paige, że grozi nam utrata pacjentów, jeśli Julie nadal będzie obstawać przy swoim, a ona twierdzi, że zawsze miałem na nią ochotę. To słowo przeciw słowu. Żadnemu z nas nie uda się niczego udowodnić. Ale jeśli chcesz zeznać, co widziałaś - zrobisz dobry początek. - Nie przestawał się uśmiechać. Cicha, maleńka Kate Ann, szara myszka, jego Kate Ann może ocalić mu głowę.

Jakże niecierpliwie oczekiwał rozmowy z Paige.

Rozdział dwudziesty trzeci

Paige nie zobaczyła samochodu Nonny na podjeździe, ale nie zaniepokoiło jej to. Nonny często jeździła na przejażdżki z Sami i choć zwykle wracała przed zmrokiem, teraz ściemniało się tak wcześnie, że być może staruszka zmieniła swoje przyzwyczajenia.

Zmartwiła się dopiero wtedy, kiedy weszła do kuchni, a na stole nie zobaczyła żadnej wiadomości. Gdy Nonny wychodziła z domu, zawsze zostawiała liścik.

Paige szukała go wszędzie, ale na próżno. Wmawiając sobie, że jest to zwykłe przeoczenie ze strony Nonny, poszła do łazienki i przebrała się w dżinsy.

- Gdzie one są? - zapytała Kicię, która skakała dokoła niej z taką radością, jakby już od bardzo dawna była w domu sama.

Ale jeśli kotka wiedziała coś na ten temat, nie zdradziła się ani słowem.

Lekarka wróciła do nieskazitelnie czystej kuchni, która, nie licząc wysokiego krzesła, wyglądała identycznie jak wtedy, gdy Paige była jeszcze sama. Ale teraz przecież mieszkali z nią Nonny i Sami, a Paige strasznie chciała je zobaczyć. Znowu przeżyła kolejny okropny dzień i czuła potrzebę rozmowy z Nonny. Marzyła także o tym, żeby przytulić Sami.

Zatelefonowała do domu towarowego, ale Hollis Weebly ich nie widział. Potem zadzwoniła do piekarni - z takim samym skutkiem. Następnie rozmawiała z panią Corkell - nową przyjaciółką Nonny - ale ona również nie mogła jej pomóc. Paige zatelefonowała jeszcze do znajomych babci z West Winter - Sylvii, Helen i Elisabeth, lecz Sylvia nic nie wiedziała, a Helen i Elisabeth nie było w domu.

Paige usiadła na schodach w holu i zaczęła rzucać Kici papierową kulkę. Kicia przynosiła ją prosto pod nogi Paige i od razu przygotowywała się do kolejnej pogoni za zwitkiem papieru.

- Tylko ty i ja - powiedziała Paige i cisnęła kulkę, wsłuchując się w cichy tupot łapek na drewnianej podłodze. To był naprawdę ledwo słyszalny dźwięk - nie udało mu się zakłócić tej śmiertelnej ciszy, jaka zapanowała nagle w jej domu.

Tylko ty i ja - pomyślała Paige i poczuła się nieskończenie szczęśliwa, że nie jest sama.

Ale ta myśl sprowokowała następne. Paige wyobraziła sobie, że Nonny przeprowadza się znów do West Winter, a Sami mieszka z obcymi ludźmi, Bóg jeden wie gdzie. Wyobraziła sobie, że taka cisza zapanuje w tym domu na zawsze, a jej pozostaną samotne kolacje i zabawy z Kicią. Tylko tyle, bo Noah też się przecież wyprowadzi. Sara wraz nim. Angie również wyje-

dzie, bo podjęła ryzyko serca i zwyciężyła. Zabraknie też Petera, który może przecież przegrać sprawę z Julie, choć udało mu się wreszcie odnaleźć samego siebie. Oczywiście, w Tucker zostaną różni inni ludzie, ale z nimi nie miała ochoty się widywać, A przynajmniej już nie taką jak kiedyś.

Rok za rokiem, rok za rokiem.

Poczuła przyływ paniki, a potem ogarnęła ją pustka tak wielka, że o mało w niej nie utonąła. Usłyszała słowa - *noce w moim domu są ciche, martwe i jałowe* - i pomyślała o Marze, pogrzebanej parę metrów pod ziemią wraz z jej nadziejami i marzeniami, które nigdy się już nie spełnią. I nagle uświadomiła sobie dokładnie, czego chce.

I czego nie chce.

Nie chciała mieszkać w cichym, martwym i pustym domu. Nie chciała paść ofiarą nie docenionych związków. Nie chciała, by jacyś obcy ludzie opiekowali się Sami. Nie chciała, żeby Nonny przeprowadziła się do West Winter. Nie chciała, żeby Noah wyjechał z Tucker.

Zeskoczyła ze schodów tak szybko, że Kicia aż pisnęła ze strachu. Paige chwyciła ją na rękę, podbiegła do telefonu i wystukała numer Noaha.

Miał zmęczony głos i trudno się było temu dziwić, bo przecież miał własne, poważne kłopoty. Ale i tak musiała się z nim zobaczyć.

- Możesz wpaść? Nie wiem, gdzie jest Nonny. Wyobrażam sobie same najgorsze rzeczy.

- Będę za pięć minut - rzucił w słuchawkę i rzeczywiście w parę chwil później Paige usłyszała jego auto na podjeździe. Noah podbiegł do drzwi, a za nim Sara.

Paige bez słowa zarzuciła mu rękę na szyję i mocno go przytuliła. Odzyskała mowę dopiero wtedy, gdy odwzajemnił jej uścisk. Opowiedziała mu, jak wróciła do ciemnego domu, nie znalazła żadnej wiadomości i zaczęła wydzwaniać, gdzie się dało. I o tym, że gdy siedziała na schodach, wydawało się jej, że minęła już cała wieczność.

- Przeżyłam koszmarnie chwile - szlochała na jego ramieniu. - W domu panowała taka straszna cisza. A przedtem, przed śmiercią Mary, mieszkałam sama i czułam się dobrze; Ale wszystko się zmieniło. Już nie jest dobrze. - Gdy znów wziął ją w ramiona, poczuła natychmiastową ulgę. - Nie chcę wracać do przeszłości.

- Ja też nie - szepnął.

- Muszę dorosnąć. Zapomnieć, jak było kiedyś.

- Widzę, że nie żartujesz.

- Ale bardzo się boję.

- Większość słusznych decyzji zawsze na początku budzi lęk.
- Czy na pewno powinnam tu zostać? - spytała Sara, chrząkając znacząco.
- Oczywiście - odparł głośno Noah. - Uczestniczysz w tym wszystkim.

Gdyby Paige nie kochała Noaha tak bardzo, na pewno przytuliłaby dziewczynę. Trwała jednak w jego objęciach i było w tym coś nowego, coś stałego, co powinno ją przerażać, ale nie przerażało.

- Może mam pójść poszukać Nonny? - spytała Sara.
- Nie. Zaraz zadzwonimy do Normana Fincha.
- Halo! - doleciało ich z kuchni. - Jest tu kto?

Paige podniosła wzrok. Zaklęła cicho, oderwała się od Noaha, chwyciła Sarę za rękę i pobiegła do drzwi. Nonny była ubrana tak samo ciepło i kolorowo jak Sami.

- Gdzie się podziewałaś? - wrzasnęła Paige. Jedną ręką obejmowała Sami, drugą Nonny.
- Noah chciał już dzwonić na policję.

- Zostawiłam ci przecież liścik - odparła Nonny. - Tu, na stole. Napisałam, że jedziemy do Elizabeth. Mieszka teraz razem z wnukami, bo ich rodzice wyjechali.

- Nie znalazłam żadnej wiadomości.
- Ja ją jednak zostawiłam - powiedziała z mocą Nonny.
- Strasznie się bałam!
- Nie jest aż tak późno.

- Ale w domu było cicho, pusto i ciemno. - Paige ożywiła się nagle i spojrzała Nonny prosto w oczy. - Chcę zatrzymać Sami. Na zawsze. Zostaniesz?

Twarz staruszki rozjaśniła się.

- Oczywiście. Alleluja! Najwyższy czas!

Paige spojrzała wstydliwie na Noaha i poczuła bijące od niego ciepło.

- Też tak sędzę.

Oczy Perrine'a błyszczały takim samym blaskiem jak oczy Nonny.

- A tu jest liścik - oznajmiła Sara, stając w drzwiach i rozwijając papierową kulkę, którą Paige rzucała Kici.

- Ale to leżało zmięte na podłodze - wyjąkała Paige. Sara rozprostowała arkusik i położyła go na stole.

Zaraz później wskoczyła tam Kicia i pacnęła kartkę łapką.

- Przepraszam - powiedział Noah, odbierając Sami od Paige i oddając ją Sarze. - Musimy

na chwilę zostać sami.

Paige nie zdążyła zaprotestować, gdy wziął ją za rękę i wyprowadził z pokoju. Kiedy znaleźli się w korytarzu i Noah przygniótł ją do ściany, wcale nie miała ochoty się niczemu sprzeciwić. Całował ją tak namiętnie, że straciła jasność myśli. W rekordowo krótkim czasie Paige podjęła wiele ważkich decyzji i nagle poczuła się tak, jakby ktoś uwolnił ją od przerażającego ciężaru.

- Mówiłaś poważnie? - spytał.

- Tak mi się wydaje - odparła beztrąsko.

- Chcesz mnie? Poprawiła mu okulary.

- Zawsze cię chciałam.

- Na męża? Przytaknęła.

- A gdybym musiał wyjechać z Tucker?

- Zawsze chciałam zobaczyć Santa Fe.

- Jeśli tu wybuchnie bomba, Santa Fe również nie będzie wchodzić w grę. Będę musiał zapomnieć o nauczaniu.

- Przecież znajdziesz gdzieś pracę. A ja mogę jechać wszędzie.

- Ale ty kochasz Tucker.

- Ciebie kocham bardziej. - Jej słowa płynęły prosto z serca. Noah aż wstrzymał oddech z wrażenia. Przycisnął ją mocniej. To również kochała. - Pamiętasz naszą pierwszą noc?

- W ogrodzie Mary?

- Czułam, że jestem całkowicie pusta. A potem przyszedłeś ty i pustka znikła. Tylko że dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. Ależ ze mnie tępak, prawda?

- Wszyscy tracimy rozsądek, gdy zaczynamy bronić starych poglądów. Ja zrobiłem tak samo i w efekcie omal nie straciłem własnej córki. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Sarze i mnie jest całkiem dobrze w Mount Court - powiedział, ale w jego głosie nie było radości. - Gdybym mógł sam decydować, zostałbym w Tucker i dał sobie spokój z Santa Fe. Już tak daleko zaszedłem. Tyle że chyba nie dostanę takiej szansy. Zbiorę plony za Mount Court, niezależnie od tego, jak przebiegną żniwa.

- W takim razie musimy pilnować, żeby wszystko poszło w dobrym kierunku - odparła Paige z determinacją. Sądziła, że taka stanowczość odeszła do grobu wraz z Marą. Ale Mara żyła - w Peterze i Kate Ann, w Angie i Benie, a teraz odrodziła się w niej samej. Było to radosne uczucie. Uczucie, które dodało jej siły.

- No? - ponaglił Noah.

Ale Paige dostrzegła Sarę przy kuchennych drzwiach. Odniosła wrażenie, że dziewczyna poczuła się nagle zagrożona i samotna. Wyciągnęła do niej rękę.

- Twój tata podjął właśnie ostateczną decyzję. Nawet gdyby miał inny wybór, chce zostać w Mount Court. Co ty o tym sądzisz?

- Mount Court jest w porządku.

- W porządku nie wystarczy. Liczyliśmy na entuzjazm.

- Lubię Mount Court - powiedziała.

- Więc ty też chcesz zostać?

- Tak.

Po uśmiechu, którego Sara nie zdołała ukryć, Paige poznała, że dziewczyna mówi szczerze.

- W takim razie pozostaje nam tylko wykryć, kto jest ojcem dziecka Julie Engel. - Paige westchnęła z zadowoleniem i spojrzała na Noaha. - Jak należy się do tego zabrać?

- Trzeba rozmawiać z małymi grupkami uczniów, nie ze wszystkimi naraz. Niedługo będą egzaminy, więc zajęcia trwają. Pójdę na parę lekcji.

- Nastawisz wszystkich przeciwko Julie! - krzyknęła Sara.

- Nie. Powiem, że ona kogoś kryje, a my się musimy dowiedzieć kogo. Nie zamierzam jej krytykować.

- Ale oni tak pomyślą i będą milczeć.

- A wiedzą, kto jest ojcem dziecka?

- Nie wiem.

- A ty wiesz?

- Prosisz mnie, żebym zdradziła koleżankę.

- Nie, pytam tylko, czy znasz jego nazwisko.

- Na jedno wychodzi - odparła Sara.

Odsunęła się od nich i poszła do kuchni.

Noah westchnął i spojrzał na Paige.

- Ma rację, prawda?

Paige współczuła obojgu.

- Sara znalazła się między młotem a kowadłem.

- Nie stawiałbym jej w niezręcznej sytuacji, ale nie mam wyjścia. Byłem tak blisko... tak

blisko, żeby osiągnąć cel. - Urwał i przytulił Paige - tym razem on potrzebował pocieszenia. Dała mu z siebie wszystko i traktowała to jak zaszczyt, a nie obciążenie.

Noah znał kodeks milczenia obowiązujący wśród uczniów Mount Court i wiedział, że każdy, kto go złamie, znajdzie się w opałach. Dlatego omijał klasę Sary.

Jego związek z córką, nad którym tak usilnie pracował, wciąż był jeszcze słaby i kruchy, więc nie chciał, by coś zakłóciło ich rodzinne stosunki. Nikt się do niego nie zgłosił. Mijał dzień za dniem, a oskarżenie przeciwko Peterowi Grace'owi nabierało coraz głębszego uzasadnienia wyłącznie dlatego, że nikt mu nie zaprzeczył, choć formalnie nie zostało wniesione do sądu. W mieście szerzyły się plotki, pacjenci odwoływali wizyty.

Noah ponownie rozmawiał z uczniami, a Paige uważnie śledziła przebieg tych rozmów. Łatwo było z nich wywnioskować, co właściwie grozi Peterowi i co może stać się w Mount Court, jeśli nikt nie przeciwstawi się pomówieniom. Uczniowie mogli znać prawdę, ale żaden się z niczym nie zdradził, choć Noah wielokrotnie obiecywał dyskrecję.

Bez przerwy telefonowali zmartwieni rodzice. Nauczyciele szeptali po kątach, zupełnie tak samo jak na początku roku, a w dodatku Noah czuł, że dystans między nim a Sarą znowu zaczyna się zwiększać.

- Ona zamyka się w skorupie. Zupełnie jak dawniej - zwierzył się Paige. - To się dzieje na moich oczach, a ja nie mogę nic zrobić, cholera. Gdy zadaję jej jakieś pytanie - odpowiada, ale jednocześnie mnie unika.

- Porozmawiam z nią - postanowiła Paige.

Wprowadziła swój zamiar w czyn, ale bez specjalnego powodzenia.

- Podobno denerwuje się egzaminami - relacjonowała Noahowi.

- Wierzysz jej?

- Zapytała mnie o to samo. Stwierdziłam, że tak, i dodałam, że egzaminy zawsze stresują, szczególnie gdy zdaje się je po raz pierwszy w nowej szkole. Kupiła wszystko. Potem spytałam, czy przypadkiem nie denerwuje się również sprawą Julie, ale natychmiast zaprzeczyła. Za szybko, jak na mój gust.

- Jaki stąd wniosek?

- Myślę, że coś się szykuje. Po rozmowie z innymi uczniami odniosłam takie samo wrażenie. Oni coś wiedzą, Noah.

Trzeba było jakoś zmusić ich do mówienia. Perrine chciał zakończyć całą sprawę przed świętami, ale nie mógł wywierać zbyt dużej presji na wychowanków, bo zbliżała się sesja.

Wszyscy na pewno chcieli się skupić na nauce.

Przynajmniej tak mu się wydawało. W wieczór poprzedzający rozpoczęcie egzaminów zadzwoniła do niego wychowawczyni z gmachu MacKenziego.

- Mamy problem - powiedziała bez wstępów. - Powinien pan tu przyjść jak najszybciej.

- Jaki problem?

- Klóć się. Parę razy padło nazwisko Julie, ale nie słyszałam wiele więcej.

Julie znikła na razie z horyzontu - ojciec zabrał ją do Nowego Jorku. Jeśli nawet dziewczyna podjęła decyzję w sprawie dziecka, nikt nie wiedział, co w końcu postanowiła. Nikt również nie miał pojęcia, czy Julie zamierza kiedykolwiek wrócić do Tucker.

- Zaraz przyjdę - odparł Noah. Zatelefonował do Paige, przekazał jej najbardziej aktualne nowiny, chwycił kurtkę i pobiegł do MacKenziego.

W holu zebrała się duża grupa uczniów różnej płci - rozmawiali głośno i w ogóle go nie zauważyli. Panował tam ścisk - dyskutanci siedzieli po dwóch na jednym krześle lub tłoczyli się na podłodze, jak na wiecu solidarnościowym. Już na pierwszy rzut oka widać było, że są wśród nich przedstawiciele różnych klas. W chwilę później Noah dostrzegł Sarę. Stała sama obejmując się ramionami i wyglądała tak, jakby płakała. Chciał natychmiast do niej podejść, ale rozum wziął górę nad emocjami.

- To nie nasza sprawa - mówiła jedna z dziewcząt. - Od czego mamy policję?

- Przecież chodzi o to, żeby dowiedzieć się prawdy przed rozpoczęciem śledztwa! - krzyknęła Sara. - Chyba nikomu nie zależy na oficjalnym dochodzeniu.

- W każdym razie Rada Szkoły z pewnością chciałaby uniknąć skandalu - powiedział ktoś ironicznie. - Twój ojciec również. On byłby najszczęśliwszy, gdyby Julie na zawsze została w Nowym Jorku, tak jakby nigdy nie chodziła do naszej szkoły. Ale ona przybyła do Mount Court wcześniej niż wy, Saro. Nie masz prawa paplać. Nie mieszaj się w cudze sprawy.

- To nasz obowiązek.

- Donosić na przyjaciół?

- Nie uważam go za przyjaciela, skoro patrzy spokojnie, jak doktor Grace cierpi za jego winy.

Noah czuł, że ma rozdarte serce. Jego córka znalazła się w fatalnej sytuacji, więc bardzo jej współczuł, z drugiej strony - był z niej bardzo dumny.

- Myślałem, że macie zamiar się uczyć, ale widzę, że interesują was nie tylko egzaminy. - Zdradził swoją obecność, żeby nikt nie posądził go o podsłuchiwanie.

Wszystkie głowy odwróciły się w jego kierunku.

- To wszystko wina Sary. Nie chce odpuścić.

Noahowi wydawało się, że zna ten głos, ale nie miał ochoty dociekać, kto jest kolejnym mówcą. Interesowała go natomiast treść tej wypowiedzi i fakt, że aż tylu uczniów - bo było ich przynajmniej dwudziestu pięciu - bierze udział w dyskusji.

- Poza tym - dodał ktoś inny - i tak jest już po wszystkim. Julie usunęła ciążę.

Noah przewidział taki przebieg wypadków.

- Niestety, to wcale nie oznacza, że sprawa została zakończona - powiedział. - Doktor Grace jest w dalszym ciągu oskarżony o gwałt. Opinia publiczna uważa, że był ojcem dziecka.

- Omiótł wzrokiem kamienne twarze zebranych. - A my wiemy, że Julie utrzymywała kontakty seksualne z trzema uczniami tej szkoły. - Dostrzegł dwóch spośród tej trójki. - Muszę przyznać, że bardzo mnie rozczarowaliście. Czy naprawdę jesteście pewni, że to nie z którymś z was zaszła w ciążę?

- Na pewno nie ze mną - odparł Scott Dunby, przybierając natychmiast postawę obronną.

- Spotykaliśmy się, fakt, ale nic z tych rzeczy.

- A w końcu co za różnica? - rozległ się gderliwy, dziewczęcy głos.

- Jest różnica - odparł Noah. - Doktor Grace został kozłem ofiarnym. Cierpi na tym jego kariera zawodowa. - Dostrzegł przez okno auto Paige. - Ja uważam, że tak być nie powinno.

- Ma adwokata. Da sobie radę - prychnął któryś.

- A ty poniesiesz za niego wszystkie koszty, Hans? Jak byś się czuł, gdyby któraś z dziewcząt bezpodstawnie oskarżyła cię o gwałt? Jak byś się czuł, gdyby w razie wyroku skazującego groziło ci więzienie?

- Nie groziłoby. Jestem niepełnoletni.

- Ale doktor Grace dawno już skończył osiemnaście lat. Postaw się w jego sytuacji. Wyobraź sobie, że siedzi w więzieniu za coś, czego nie zrobił, i ma kompletnie zrujnowane życie.

- Może przecież zostać uniewinniony.

- W porządku. Przyjmijmy taki wariant. Załóżmy, że rzeczywiście zostanie oczyszczony z zarzutów i spróbuje posklejać swoje życie. Do tego czasu straci połowę pacjentów, a poza tym niektórzy ludzie i tak nie uwierzą w słusność wyroku. A on będzie musiał zapłacić adwokatowi grube tysiące dolarów. Dlatego, że był niewinny?

- A może jest winny i powinien odpokutować?

- Oskarżony jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy - powiedział Noah i zoba-

czył, że Paige wchodzi właśnie do sali. Gdy stanęła przy nim, natychmiast poczuł się o wiele lepiej. - Ponadto nie chodzi tu wyłącznie o doktora Grace'a. Sprawa dotyczy również jego współpracowników.

- A pan bierze stronę jednej z nich - mruknął ktoś i zawtórował mu szmer aprobaty.

- Nie w tym problem - zareplikował Noah. - Muszę znaleźć chłopaka, z którym sypiała Julie.

- Chce pan, żebyśmy wszyscy wyszli na łajdaków?

- Przykro mi, jeśli tak odbieracie moje intencje, ale sytuacja jest naprawdę poważna. Za dwa tygodnie wyjedziecie na ferie, a właśnie te dwa tygodnie uważam za najważniejsze. Musimy rozwiązać problem przed wakacjami.

- Chce pan, żebyśmy kłamali, byle tylko wybielić Grace'a?

- Nie, zależy mi na prawdzie. Jeśli jej nie znacie, w ogóle się nie odzywajcie.

- Tak właśnie usiłowaliśmy postępować, ale pan nas ciśnie.

- Bo uważam, że niektórzy z was wiedzą więcej, niż chcieliby ujawnić. - Poprawił okulary. - Może się powtarzam, ale naprawdę sędzę, że powinienem was nauczyć hierarchii wartości. Poświęciłem temu zagadnieniu wiele czasu i dlatego teraz jestem taki zawiedziony. Ci z was, którzy wspięli się na Katahdin, zrozumieli, na czym polega brutalna nawet szczerłość, gdy mijaliśmy Knife Edge. A ci, którzy pracowali społecznie, zetknęli się osobiście z nieszczęśliwymi ludźmi i wiedzą już, że zwykła przyzwoitość nakazuje, by im pomagać. Inni, którzy budowali wraz ze mną dom, uwierzyli już, że można stworzyć coś z niczego. Nie ma żadnego oszustwa w ustawianiu gontów i wbijaniu gwoździ. Pozostaje tylko satysfakcja z dobrze wykonanej pracy. - Urwał. - Więc co się tutaj dzieje? Gdzie się podziała elementarna uczciwość? Co się stało z przyzwoitością? A satysfakcja?

Zaległa cisza.

- Doszliście tak daleko. Dlaczego nie mielibyście się posunąć jeszcze dalej?

- Chce pan kogoś wkopać.

- Nieprawda. On chce kogoś wyciągnąć - wtrąciła Sara.

- Wrabiając jednego z nas.

- A jeśli doktor Grace nie zawinił? - spytała błagalnie.

Uczniowie zaczęli coś szeptać między sobą. Noah dosłyszał tylko: „po ich stronie” i „nie jest jedną z nas”. Wtedy stracił cierpliwość.

- Ona z całą pewnością jest jedną z was - stwierdził z mocą. - Gdyby nie była, już dawno

powiedziałyby mi wszystko, co przede mną ukrywacie.

- I tak ci powiem - oznajmiła Sara. Nigdy nie widział, żeby była aż tak rozgniewana. Miała wprawdzie mokre oczy, ale zachowała kamienny wyraz twarzy. - Jeśli uważają, że nie jestem jedną z nich, to właściwie lepiej dla mnie, skoro oni mają takie poglądy. - Zwróciła się do Noaha. - To był Ron Jordan.

Zaszumiało.

- Skąd wiesz? - spytał ktoś.

Sara spojrzała na pytającego.

- Wiem, bo widziałam. Widziałam ich w lesie na własne oczy.

- W takim razie złamałaś regulamin - powiedział chłopak oskarżycielskim tonem. - Nie wolno nam chodzić w nocy do lasu.

- Masz rację - odparła, marszcząc zabawnie nos. - Ale wszyscy i tak tam chodzą. Ja poszłam do lasu zaraz po przerwie jesiennej. Julie i Ron również tam byli i nie zachowywali się jak ciche myszki. A nawet gdybym ich nie nakryła, i tak wiedziałabym, że ona zaszła w ciążę z Ronem. Wiedziałabym tak samo dobrze jak wy. Od paru dni o niczym innym się tutaj nie mówi. - Popatrzyła na Noaha, wciąż jeszcze bardzo zagniewana. - A więc twierdzą, że to Ron. Wierzysz mi?

- Tak. - Ron Jordan był jedynym podejrzanym, który nie brał udziału w dyskusji. Nauczyciele również uważali, że właśnie on jest ojcem dziecka Julie.

Noah podszedł do niej w tym samym momencie, co Paige, ale Sara nie zwróciła uwagi na żadne z nich. Patrzyła na swoich kolegów, drżała na całym ciele, a z jej policzków spływały łzy.

- We wrześnie przeżyłam tu trudne chwile - wykrztusiła. - Nikogo nie znałam. Gdziekolwiek się obejrzałam, słyszałam tylko wyzwiska pod adresem mojego ojca i strasznie się bałam, że odkryjecie, kim jestem. Potem udało mi się zawrzeć nowe przyjaźnie, a wy przekonaliście się, że on wcale nie jest taki okropny. Poza tym dowiedzieliście się, że jestem jego córką i nie straciłam waszej sympatii. Wtedy wybuchła cała ta afera. - Otarła oczy chusteczką. - Cóż, nie zależy mi już na przyjaźni z wami. Wasza strata. Najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek przytrafiła się tej szkole, było to, że mój ojciec został jej dyrektorem. Jeśli jesteście na tyle samolubni, że go nie docenicie, nie chcę mieć z wami nic wspólnego.

- Ja nie jestem samolubna - powiedziała Meredith, która nagle wyłoniła się z tłumu i zarzuciła Sarze ręce na szyję. - Tak, to Ron - przyznała cicho.

Stojący za nią uczniowie zamilkli na chwilę. Potem wystąpiła Annie Miller i jeszcze jedna dziewczyna.

- Julie zupełnie się załamała - powiedziała wstydliwie Annie. - Myślę, że nie zdawała sobie sprawy, jakie konsekwencje pociągnie za sobą oskarżenie doktora. W ogóle się nad tym nie zastanawiała.

Do Sary podeszli jeszcze trzej uczniowie, tym razem chłopcy. Jednym z nich był Derek Wiggins.

- Najpierw wszyscy posądzali mnie. Ale ja używałem prezerwatyw. Zawsze. I nie wiedziałem, z kim jeszcze ona sypia.

Z tłumu wyszła kolejna dwójka.

- Nie mogła uwierzyć, że jest w ciąży. Nie wiedziała, co ma robić.

- Rozumiem - powiedział łagodnie Noah. - I wcale nie chcę, żebyśmy teraz zaczęli ją krytykować. Ona też bardzo wiele przeszła. Teraz, gdy już znam prawdę, zamierzam zostawić ją w spokoju. Niech dochodzi do siebie.

- To był Ron.

- Chciał się przyznać, ale zmusiła go do milczenia.

- Ale wpadł!

Noah potrząsnął głową. Gniew minął mu bezpowrotnie.

- Ron popełnił błąd. Powinien zatelefonować do Julie. Musi również przeprosić jej ojca, a co najważniejsze - doktora Grace'a. Na pewno z nim porozmawiam, ale co było, minęło. Dziecka również już nie ma. Trzeba jakoś żyć dalej. - Poczul, że Paige bierze go za rękę. Miała ciepłą dłoń, a jej uścisk był pełen ufności. Zdumiał go wyraz niewyobrażalnego spokoju, jaki malował się na jej twarzy.

- Tucker? - spytała cicho.

Wyszukał wzrokiem Sarę, która stała teraz wśród kolegów i uśmiechała się przez łzy. Odnalazła jego spojrzenie.

- Tucker? - spytał Noah bezgłośnie.

Przytaknęła.

Perrine spojrział na Paige i poczul, że ogarnia go taki sam spokój jak ten, który teraz opromieniał jej twarz.

- Tucker.

Droga Maro - pisała Paige. - Wreszcie skończyła się zima. Słońce wstaje wcześniej i świeci dłużej. Widziałam dziś pierwiosnki - tak żywo zielone na białym topniejącym śniegu, a ich pąki bardzo pragną się już otworzyć. Te kwiatki są naprawdę słodkie i tyle w nich nadziei, co teraz w moim życiu.

Przez te sześć miesięcy, odkąd nas opuściłaś, bardzo wiele się zmieniło. Najmniej w przychodni, bo interes kwitnie i tak już pozostanie, dopóki dzieci będą się rodzić, przeziębiam i wkładam sobie do uszu różne dziwne przedmioty. Cynthia Wales to cudowna kobieta - młoda, energiczna i bardzo oddana swoim pacjentom. Nie ma w sobie twojej woli walki, ale, u diabła, nie jest przecież tobą. O tym jednak wiedzieliśmy od początku. I dobrze się stało, bo wszystko zależy od nas. Od naszej trójki, której udało się przetrwać.

Przez ostatnie trzy miesiące Ben i Angie uzdrawiali swe zagubione dusze. Ty pewnie znienawidziłabyś Bena za to, co zrobił, ale ja sądzę, że on sam siebie znienawidził, a jego romans z Norą Eaton wyrwał Bigelowów z marazmu. Cenią sobie bardziej rzeczy, które kiedyś uważali za oczywiste, Więcej ze sobą rozmawiają, częściej spędzają razem wolne chwile. Ben podpisał kontrakt z uniwersytetem w Dartsmouth i od jesieni będzie tam wykładał. Dougie mieszka w Mount Court i dzięki temu jego rodzice mają więcej czasu dla siebie. Często wyjeżdżają na weekendy albo po prostu na jednodniowe wycieczki. Czasem jednak, gdy ich numer nie odpowiada, podejrzewam, że jednak są w domu. I tak jest wspaniale. Angie tego potrzebuje, sądzę, że Ben również. Mężczyźni w ogóle mają ogromne potrzeby - zresztą ty dostrzegłaś ten problem wcześniej niż my.

Są kapryśni, ale nie beznadziejni czy bezradni. Peter niedawno to udowodnił. Gdy umarłaś, popadł w kompletną depresję, choć skrzętnie ukrywał swoje uczucia. Kochał cię bardzo, bardzo głęboko. Kiedy wreszcie zdał sobie ze wszystkiego sprawę, poszedł na dno. Potem zawaliło się kino i on ocknął się z letargu. Powstał na nowo jak Feniks z popiołów, odnalazł spokój i nabrał pewności siebie, choć nie wyzbył się do końca kompleksu pariasa. Teraz jednak w pełni akceptuje siebie takim, jakim jest naprawdę. Ma lepsze zdanie o sobie. Jest dumny z tego, że poświęca czas słusznym sprawom, tym, którymi ty byś się zajmowała. Podniósł upuszczony przez ciebie sztandar i niesie go we właściwym kierunku.

Kate Ann Murther mieszka z Peterem. Wiedziałaś, że to wyjątkowa kobieta, prawda? Ja nie. Popelniłam w stosunku do niej taki sam błąd jak inni mieszkańcy Tucker. Teraz, gdy już miałam okazję ją lepiej poznać, dostrzegłam, jak bardzo jest lojalna i konsekwentna. Co dziwne, dopiero w fotelu na kołkach zaczęła prowadzić aktywny tryb życia, oczywiście głównie dzie-

ki Peterowi. On zabiera ją na kolacje, do kina, a nawet na kuligi, gdy akurat ma ochotę na fotografowanie. Zmusił mieszkańców miasta, by wreszcie zwrócili uwagę na Kate. Nie chodzi z nią wprawdzie do Tavern, ale sam również rzadziej tam bywa. Odwiedza gospodę parę razy w tygodniu - tylko po to, żeby nie stracić stolika, ale na ogół spędza wieczory w towarzystwie Kate. Używając wyświechtanego sformułowania - ona stworzyła mu prawdziwy dom.

Cox jest ugotowany, a więc sprawiedliwości stało się zadość. Ben polecił Peterowi wojowniczego adwokata z Montpellier, który właśnie przygotowuje całą akcję przeciwko Jamie-mu. Już niedługo Cox stanie się tutaj persona non grata. Straci władzę i oczywiście pieniądze.

Jeśli chodzi o mnie, to brakuje mi tylko ciebie. Zaadoptowałam formalnie Sami, która daje mi tyle radości, że nie mogę sobie wyobrazić życia bez niej. To twoja zasługa - zmusiłaś mnie, żebym została matką. Gdyby nie ty, nie zaznałabym tego spełnienia, jakiego jednak nie może zapewnić samo leczenie dzieci. Mam również Sarę. Niewykluczone, że moja rodzina jeszcze się powiększy - pracujemy naprawdę usilnie.

Nonny twierdzi, że powinniśmy dochować się szóstki. Nie pytaj mnie, dlaczego akurat szóstki. Ona jednak stale to powtarza.

Wydaje mi się, że zdecydujemy się na jedno, najwyżej dwoje. Nie chcę się dzielić Noahem z sześciorgiem dzieci. Jest zbyt wyjątkowy.

Wzięliśmy ślub na Boże Narodzenie. Był bardzo piękny. Dlaczego nie przyszałaś, do diabła?

Przerwała pisanie, żeby otrzeć oczy, i dostrzegła Sarę w drzwiach sypialni - sypialni Noaha w pięknym ceglanym domu w stylu Tudorów. Wciąż prowadzili tu remonty, a tego lata chcieli nawet dobudować nowe skrzydło. Sara spędzała z nimi tyle samo czasu, ile w internacie. Paige miała nadzieję, że następnej jesieni córka Noaha sprowadzi się do nich na stałe. Dziewczyna tęskniła przecież za życiem rodzinnym, którego tak naprawdę nigdy nie zaznała.

- Co piszesz? - spytała Sara.

Paige spojrzała z zażenowaniem na leżący przed nią arkusik papieru. Chciała coś napędce wymyślić, ale doszła do wniosku, że Sara zasługuje na to, żeby poznać prawdę. Westchnęła.

- List do Mary. Chcę jej opowiedzieć wszystko, co się tutaj wydarzyło. I bardzo jej podziękować.

Sara nie powiedziała wcale, że Paige oszalała, bo Mara umarła i nigdy już nie przeczyta żadnego listu. Podeszła tylko bliżej do biurka.

- W dalszym ciągu za nią tęsknisz, prawda?

- Tak. Zawsze będę za nią tęsknić. - Oczy znów wypełniły się jej łzami, więc otarła je dłonią, pociągnęła nosem i wyjęła chusteczkę z pudełka stojącego na stoliku nocnym.

- Chcesz, żebym sprowadziła tatę?

Paige uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie, prawie skończyłam. Niedługo przyjdę.

Sara skinęła głową. Ruszyła w stronę drzwi, ale w ostatniej chwili zmieniła zamiar i zatrzymała się.

- Może ci czegoś potrzeba?

- Nie, kochanie. Zaczekajcie tylko na mnie.

Patrzyła, jak Sara wychodzi z sypialni, i uświadomiła sobie, że bardzo się zaprzyjaźniły. Paige bardzo lubiła z nią rozmawiać, zabierać na zakupy i wspólnie dokuczać Noahowi. Dziewczyna złagodniała i okazała się tak wrażliwa, ciepła i komunikatywna jak jej ojciec, a wszystkie wysoki należały już do przeszłości.

Tak jak Mara. Nie. Nie tak jak Mara. Mara nigdy nie odejście do przeszłości - przynajmniej nie w tym najgłębszym, najważniejszym znaczeniu.

Choć rozstaliśmy się zbyt wcześnie - napisała Paige - twoje odejście wiele nas nauczyło, co stanowi pewną pociechę, choć tak bardzo za tobą tęsknimy. Wryłaś swoje inicjały na naszym życiu. Zmieniliśmy się, bo najpierw byłaś wśród nas, a potem musieliśmy przeżyć twoją śmierć.

Często o tobie myślę.

Droga przyjaciółko, uzdrowicielko, tak bardzo kochana - na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci.
